

ELIZABETH
GILBERT

JEDZ,
MÓDL SIĘ
KOCHAJ

czyli jak pewna kobieta
wybrała się
do Italii, Indii i Indonezji
w poszukiwaniu
wszystkiego

Przekład:

MARTA

JABŁOŃSKA-MAJCHRZAK

DOM WYDAWNICZY REBIS



Tytuł oryginału

EAT, PRAY, LOVE: *One Woman's Search for
Everything Across Italy, India and Indonesia*

Copyright © Elizabeth Gilbert, 2006

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2007

Redaktor

Katarzyna Raźniewska

Projekt graficzny okładki:

Leszek Szurkowski,

LES INC STUDIO, www.szurkowski.com, www.eyeopenerbooks.com

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-074-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Skład ZAPIS

Gdańsk, tel. 058-347-64-44

Dla Susan Bowen

*która zapewniała mi schronienie
nawet z odległości 12 000 mil*

Mów prawdę, mów prawdę, mów prawdę.*

Sheryl Louise Moller

* Nie dotyczy nadzwyczajnej sytuacji związanej z handlem nieruchomościami na Bali, jak opisano w Księdze 3.

Wstęp

czyli

Jak działa ta książka czyli
sto dziewięty koralik

Kiedy jest się w Indiach - szczególnie w miejscach świętych i aśramach - spotyka się mnóstwo ludzi z zawieszonymi na szyi koralikami. Na starych fotografiach można zobaczyć nagich, wychudzonych i srogich joginów (a czasami pulchnych, sympatycznych i promiennych joginów) także z paciorkami na szyi. Taki sznur koralików nazywają dżapamala. Używa się ich w Indiach od stuleci - pobożnym hinduistom i buddystom pomagają się skupić podczas modlitewnej medytacji. Naszyjnik trzyma się w jednej ręce i w kółko przesuwając paciorki palcami - jeden na każde powtórzenie mantry. Kiedy święte wojny przywiodły średniowiecznych krzyżowców na Wschód, rycerze zobaczyli wyznawców tamtejszych religii obracających przy modlitwie koraliki. Spodobał im się ten pomysł i tak oto w Europie pojawił się różaniec.

Tradycyjny sznur dżapamala ma sto osiem paciorków. W co bardziej ezoterycznych kręgach wschodnich filozofów liczbę 108 uważa się za niezwykle pomyślną, jest ona bowiem trzycyfrową wielokrotnością trzech, której składniki dają w sumie dziewięć, czyli trzy razy trzy. A trójka reprezentuje oczywiście najwyższą równowagę, o czym doskonale wie każdy, kto kiedykolwiek pomyślał o Trójcy Świętej czy choćby zwykłym stołku barowym. Jako że cała ta książka poświęcona jest poszukiwaniu równowagi, postanowiłam nadać jej formę dżapamali, dzieląc narrację na sto osiem opowieści, czyli koralików. Ten sznur opowieści dzieli się nadto na trzy części, poświęcone kolejno Italii, Indiom i Indonezji - tym trzem krajom, które odwiedziłam podczas dwunastu miesięcy poszukiwania samej siebie. Oznacza to, że każda część zawiera trzydzieści sześć opowieści, co ma dla mnie osobiście szczególne znaczenie, ponieważ piszę to wszystko w trzydziestym szóstym roku życia.

Zamiast rozgadywać się o numerologii, jak nie przymierzając Louis Farrakhan, dodam tylko, że ułożenie tych opowieści na wzór dżapamali podoba mi się również dlatego, że jest to takie... składne. Szczere duchowe dociekania wymagają, i zawsze wymagały, metodyczności i

dyscypliny. Szukanie Prawdy nie jest jakimś niezdarnym działaniem na chybił trafił, nawet teraz, w tych czasach niezdarnych działań na chybił trafił. Zarówno jako osoba poszukująca, jak i pisarka mocno się trzymam tych paciorków, co pomaga mi się skupić na tym, czego próbuję dokonać.

Każda dżapamala posiada szczególnie, dodatkowy sto dziewiąty koralik, który niczym wisiorek dynda poza tym zrównoważonym kręgiem stu ośmiu. Myślałam kiedyś, że to paciorek zapasowy, na wszelki wypadek, spełniający taką rolę jak zapasowy guzik przy drogim swetrze czy najmłodszy syn w rodzinie królewskiej. Najwyraźniej jednak służy on wyższemu celom. Kiedy podczas modlitwy twoje palce docierają do niego, oznacza to, że masz przerwać i podziękować nauczycielom. Zatem tutaj, przy własnym sto dziewiątym koraliku, robię przerwę, nim jeszcze na dobre rozpoczęłam. Składam podziękowania wszystkim moim nauczycielom, którzy tego roku wyłonili się przede mną pod tak wieloma osobliwymi postaciami.

Z całego serca dziękuję mojej guru, która jest siłą napędową empatii i wspaniałomyślnie pozwoliła mi zdobywać wiedzę w swojej indyjskiej aśramie. Jest to także stosowna chwila, bym wyjaśniła, że piszę o swoich przeżyciach w Indiach z czysto osobistego punktu widzenia, a nie jako uczony teolog ani czyjś oficjalny rzecznik. Dlatego też w tej książce nie będę używać imienia mojej guru... jako że nie mogę wypowiadać się w jej imieniu. Jej nauczanie mówi samo za siebie. Nie ujawnię też, gdzie się znajduje jej aśrama, by oszczędzić tej wspaniałej placówce rozgłosu, który mógłby się okazać zbędny i niemożliwy do udźwignięcia.

Pragnę wyrazić swoją wdzięczność jeszcze jednej osobie. Różne są powody, dla których pojawiający się tu czy tam w książce ludzie nie noszą swoich prawdziwych imion ani nazwisk. Jeśli chodzi o Hindusów i ludzi Zachodu, których spotkałam we wspomnianej aśramie, sama postanowiłam nie ujawniać żadnych autentycznych imion. Uznałam bowiem, że większość osób nie po to wyrusza na duchową pielgrzymkę, by pojawić się potem jako bohater książki. (Chyba, że to jestem ja.) Zdecydowałam się na jeden tylko wyjątek od tej narzuconej sobie reguły. Richard z Teksasu naprawdę ma na imię Richard i naprawdę jest z Teksasu. Chciałam użyć jego prawdziwego imienia, bo podczas pobytu w Indiach był dla mnie kimś szczególnie ważnym.

I jeszcze jedno... kiedy spytałam Richarda, czy nie ma nic przeciwko temu, bym wspomniała w swojej książce, że był kiedyś ćpunem i pijakiem, powiedział, że zupełnie mu to nie przeszkadza. „I tak już od dawna kombinuję, jak się do tego przyznać”, oświadczył.

Najpierw jednak - Italia...

Spis treści:

KSIĘGA PIERWSZA Italia czyli „Mów tak, jak jesz” czyli trzydzieści sześć opowieści o poszukiwaniu przyjemności	10
1.....	11
2.....	13
3.....	16
4.....	18
5.....	20
6.....	25
7.....	27
8.....	29
9.....	31
10.....	37
11.....	38
12.....	38
13.....	42
14.....	44
15.....	46
16.....	48
17.....	50
18.....	54
19.....	56
20.....	57
21.....	61
22.....	65
23.....	68
24.....	71
25.....	73
26.....	76
27.....	77
28.....	81
29.....	87
30.....	91
31.....	95
32.....	96
33.....	100
34.....	104
35.....	108
36.....	109
KSIĘGA DRUGA Indie czyli „Winszuję poznania” czyli trzydzieści sześć opowieści o poszukiwaniu pobożności.....	114
37.....	115
38.....	117
39.....	121
40.....	124
41.....	125
42.....	129
43.....	131
44.....	132
45.....	135
46.....	136

47.....	140
48.....	141
49.....	145
50.....	149
51.....	151
52.....	153
53.....	157
54.....	160
55.....	162
56.....	163
57.....	167
58.....	168
59.....	171
60.....	173
61.....	179
62.....	180
63.....	182
64.....	182
65.....	184
66.....	186
67.....	188
68.....	191
69.....	193
70.....	194
71.....	198
72.....	199
KSIĘGA TRZECIA Indonezja czyli „Nawet tam w majtkach czuję się inaczej” czyli trzydzieści sześć opowieści o poszukiwaniu równowagi.....	202
73.....	203
74.....	204
75.....	207
76.....	213
77.....	216
78.....	219
79.....	221
80.....	223
81.....	226
82.....	230
83.....	233
84.....	236
85.....	239
86.....	239
87.....	245
88.....	248
89.....	251
90.....	254
91.....	255
92.....	257
93.....	259
94.....	262
95.....	264
96.....	267

97.....	272
98.....	273
99.....	278
100.....	281
101.....	287
102.....	287
103.....	290
104.....	293
105.....	297
106.....	301
107.....	306
108.....	311
Ostateczne wyrazy uznania i podziękowania	314

KSIĘGA PIERWSZA

Italia

czyli

„Mów tak, jak jesz”

czyli

trzydzieści sześć

opowieści

o poszukiwaniu

przyjemności

Chciałabym, żeby Giovanni mnie pocałował. No tak, ale z wielu powodów jest to fatalny pomysł. Giovanni jest o dziesięć lat młodszy ode mnie i - jak większość Włochów przed trzydziestką - wciąż jeszcze mieszka z matką. To wystarczy, żeby był niezbyt odpowiednim kandydatem na romantyczną znajomość. Dodajmy, że jestem niezależną Amerykanką wolnego zawodu, po trzydziestce; moje małżeństwo okazało się fiaskiem, niedawno zakończone, ciągnące się w nieskończoność korowody rozwodowe były druzgocące, a przeżyty zaraz potem namiętny romans przyniósł bolesne rozczarowanie. Te następujące jedna po drugiej porażki spowodowały, że byłam przygaszona, rozbita i czułam się, jakbym miała z siedem tysięcy lat. Dla zasady nie wypadało narzucać mojego żalosego, poobijanego ja uroczemu Giovanniemu bez skazy. Dodam jeszcze, że właśnie osiągnęłam wiek, w którym kobieta zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście najlepszym lekiem na zabliznianie rany po utracie jednego pięknego ciemnokiego młodzieńca jest bezzwłoczne zaproszenie do łóżka innego. Dlatego od paru miesięcy jestem sama. Ba, właśnie dlatego postanowiłam spędzić cały rok w celibacie.

Co usłyszawszy, znający się na rzeczy obserwator mógłby zapytać: „To po co w takim razie przyjechałaś do It a l i i ?”

Na co mogłabym odpowiedzieć jedynie - szczególnie teraz, kiedy patrzę na siedzącego po drugiej stronie stołu przystojnego Giovannięgo - „Doskonałe pytanie”.

Giovanni jest moim partnerem w „dwustronnej wymianie”. Może brzmi to nieco aluzyjnie, ale niestety, nic z tych rzeczy. Oznacza to tylko tyle, że spotykamy się wieczorami, kilka razy w tygodniu, żeby każde z nas mogło sobie poćwiczyć język ojczysty tego drugiego. Najpierw rozmawiamy po włosku i on okazuje mi wielką cierpliwość; potem mówimy po angielsku i wtedy ja okazuję mu wielką cierpliwość. Odkryłam Giovannięgo kilka tygodni po przyjeździe do Rzymu dzięki tej wielkiej kawiarence internetowej na piazza Barberini, po przeciwległej stronie od fontanny z rzeźbą przedstawiającą seksownego trytona, wydmuchującego przez muszlę strumień wody. Onże (to znaczy Giovanni, nie ten tryton) umieścił na tablicy ogłoszeniowej informację o tym, że rodowity Włoch szuka osoby będącej rodzimym użytkownikiem angielskiego, w celach konwersacyjnych. Tuż obok jego

ogłoszenia wisiało drugie, identyczne, nawet wypisane taką samą czcionką. Jediną różnicą była informacja dotycząca sposobu kontaktowania się. Na jednej kartce widniał adres e-mailowy kogoś o imieniu Giovanni, na drugiej kogoś o imieniu Dario. Ale numer domowego telefonu był taki sam.

Wiedziona moją genialną intuicją wysłałam e-maila do obydwu mężczyzn jednocześnie, pytając ich po włosku: „Czy nie jesteście przypadkiem braćmi?”

Tym, który zareagował odpowiedzią bardzo provocativo, był Giovanni: „Jeszcze lepiej. Bliźniakami”.

Tak... dużo lepiej. Okazali się wysokimi, śniadymi, przystojnymi, jednojajowymi dwudziestopięcioletnimi bliźniakami, obdarzonymi tymi ogromnymi, ciemnymi włoskimi oczyma, których spojrzenie powoduje, że rozpadam się na kawałki. Kiedy ich zobaczyłam, natychmiast przyszło mi do głowy, żeby nieco zmodyfikować reguły dotyczące całorocznego celibatu. Na przykład mogłabym żyć w całkowitej wstrzeźliwości, nie licząc pary identycznych dwudziestopięcioletnich włoskich przystojniaków. Coś mi to przypominało... jedną z moich przyjaciółek stosującą całkowicie wegetariańską dietę, nie licząc bekonu, niemniej... już w głowie układałam list do „Penthouse'a”.

W półmroku rzymskiej kawiarni, ledwie rozjaśnianym migotliwym światłem świec, trudno było odgadnąć, czyje dłonie pieści...

Jednak nie.

Nie i jeszcze raz nie.

Przecięłam to fantazjowanie w pół słowa. Nie była to odpowiednia chwila, by szukać romansu i niechybnie jeszcze bardziej skomplikować sobie już i tak wystarczająco pokręcone życie. Chwila była odpowiednia, by szukać uzdrowienia i pokoju, jaki może dać wyłącznie samotność.

W każdym razie w połowie listopada nieśmiały, pilny Giovanni i ja zakolegowaliśmy się. Jeśli zaś chodzi o Daria - przedstawiłam tego bardziej rozrywkowego z braci mojej rozkosznej szwedzkiej przyjaciółeczce Sofie i ich rzymskie wieczory „dwustronnej wymiany” potoczyły się zupełnie inaczej. Giovanni i ja niestety tylko rozmawiamy. A ściślej, jemy i rozmawiamy. Już od wielu tygodni spędzamy miło czas, posilając się i gawędząc. Dzielimy się pizzą i taktownymi uwagami dotyczącymi błędów gramatycznych. Dzisiejszy wieczór nie odbiegał w niczym od normy: uroczne chwile, wypełnione nowymi idiomami i świeżą mozzarellą.

Dochodzi północ, miasto spowija mgła. Giovanni odprowadza mnie do mojego mieszkania bocznymi rzymskimi uliczkami, które wiją się wokół starożytnych budowli

naturalnie niczym strumienie opływające kępy cyprysów. Dochodzimy do moich drzwi. Odwracamy się do siebie przodem. On ściska mnie serdecznie. Jest to już jakiś postęp; przez kilka pierwszych tygodni ściskał tylko moją dłoń. Myślę, że gdybym została we Włoszech na następne trzy lata, zebrałby dość odwagi, żeby mnie pocałować. A przecież mógłby mnie pocałować już teraz, tego wieczoru, pod moimi drzwiami... wciąż jest na to jakaś szansa... ostatecznie nasze ciała przylegają do siebie dość ściśle, w górze świeci księżyc... i oczywiście byłby to o k r o p n y b ł ą d ... ale to taka cudowna możliwość, że zaraz to zrobi... że po prostu się pochyli... i... i...

Nic z tego. Koniec uścisku.

- Dobranoc, moja droga Liz - mówi.

- *Buona notte, caro mio* - odpowiadam.

Wspinam się po schodach do mojego mieszkania na trzecim piętrze, całkiem sama. Wchodzę do maleńkiej kawalerki, całkiem sama. Zamykam za sobą drzwi. Kolejna samotna noc w Rzymie. Przede mną jeszcze jeden długi sen... a w łóżku tylko włoskie rozmówki i słowniki - nikogo i niczego więcej.

Jestem sama, całkiem sama, zupełnie sama.

Kiedy ten fakt w pełni do mnie dociera, upuszczam torebkę, padam na kolana i przyciskam czoło do podłogi.

W tej pozycji zanoszę wszechświatowi żarliwą modlitwę dziękczynną.

Najpierw po angielsku.

Potem po włosku.

A potem - na wszelki wypadek - w sanskrycie.

2

Skoro już tkwię na podłodze w tej pokornej pozie suplikantki, pozwólcie, że tam pozostanę i cofnę się w czasie o trzy lata, do chwili, w której zaczęła się ta cała historia - kiedy znajdowałam się dokładnie w takiej samej pozycji: na kolanach, na podłodze, pogrążona w modlitwie.

Wszystko poza tym w tamtej scenie sprzed trzech lat było inne. Wtedy znajdowałam się nie w Rzymie, ale na przedmieściach Nowego Jorku w łazience na piętrze dużego domu,

który kupiłam nieco wcześniej z mężem. Był zimny listopad, około trzeciej nad ranem. Mąż spał w naszym wspólnym łóżku. Ja kryłam się w łazience już chyba czterdziestą siódmą z kolei noc i - jak w te wszystkie poprzednie noce - zanosilałam się płaczem. W rzeczy samej, łkałam tak zawzięcie, że na kafelkach rozlało się wielkie jezioro łez i smarków, prawdziwie Jezioro Dolne (powiedzmy) mojego wstydu i lęku, i zakłopotania, i żalu. *Nie chcę już tego małżeństwa.*

Tak bardzo się starałam, żeby tego nie wiedzieć, ale prawda narzucała mi się siłą.

Nie chcę już tego małżeństwa. Nie chcę mieszkać w tym dużym domu. Nie chcę mieć dziecka.

Ale przecież powinnam chcieć dziecka. Kończyłam trzydzieści jeden lat. Mój mąż i ja - byliśmy ze sobą osiem lat, sześć jako małżeństwo - zbudowaliśmy całe nasze życie wokół tej oczywistości, że kiedy osiągnę już stateczny wiek lat trzydziestu, zechcę osiąść gdzieś na stałe i rodzić dzieci. Oboje spodziewaliśmy się, że do tego czasu znudzą mi się już podróże i będę marzyć o życiu w dużym, wypełnionym gwarem dziecięcych głosów domu z ogrodem, ręcznie robionymi narzutami na łóżkach i smakowitym gulaszem bulgoczącym na kuchence. (Fakt, że był to dość dokładny obraz mojej matki, wskazuje wyraźnie, jaką trudność sprawiało mi kiedyś odróżnienie siebie od tej silnej kobiety, która mnie wychowała.) Tymczasem odkryłam z przerażeniem, że nie chcę żadnej z tych rzeczy. Lata mijały i niczym termin wykonania kary śmierci zbliżała się TRZYDZIESTKA, a ja stwierdziłam, że wcale nie mam ochoty zajść w ciążę. Czekałam i czekałam na to, żeby chcieć dziecka, ale nic z tego. A wierzcie mi, ja wiem, jak to jest, kiedy się czegoś chce. Znam uczucie pragnienia. Nie było go tam. Co więcej, nie mogłam przestać myśleć o tym, co kiedyś powiedziała mi moja siostra, karmiąc piersią swoje pierworodne: „Posiadanie dziecka jest jak tatuaż na twarzy. Trzeba być całkowicie pewnym, nim się podejmie ostateczną decyzję”.

Jak miałam się teraz wycofać? Wszystko już było na swoim miejscu. To miał być właśnie ten rok. Prawdę mówiąc, już od kilku miesięcy staraliśmy się zajść w ciążę. Bezskutecznie (pomijając fakt, że z nerwów dopadły mnie jej złośliwe objawy - co rano miałam nudności i zwracałam śniadanie). I co miesiąc, kiedy dostawałam miesięczkę, szeptałam ukradkiem w łazience: *Dzięki, dzięki, dzięki, dzięki za jeszcze jeden miesiąc życia...*

Próbowałam przekonać samą siebie, że to normalne. Doszłam do wniosku, że wszystkie kobiety, kiedy chcą zajść w ciążę, muszą się czuć jak ja teraz. („Ambiwalentnie” było tym słowem, którego używałam, unikając bardziej precyzyjnej frazy: „Owładnięta strachem”.) Wmawiałam sobie, że moje odczucia są całkiem zwyczajne, pomimo wszystkich dowodów świadczących o tym, że jest inaczej... takich jak na przykład rozmowa ze znajomą,

na którą wpadłam przypadkiem tydzień wcześniej, a która właśnie odkryła, że po dwóch latach wysiłków i fortunie wydanej na leczenie bezpłodności jest wreszcie w ciąży. Była uszczęśliwiona. Od zawsze marzyła o dziecku, oświadczyła. Wyznała, że od lat kupowała po kryjomu ciuszki dziecięce i chowała przed mężem pod łóżkiem. Widziałam radość na jej twarzy i wyglądało to bardzo znajomo. Taką samą radością promieniałam poprzedniej wiosny, kiedy dowiedziałam się, że czasopismo, dla którego pracowałam, zamierza wysłać mnie do Nowej Zelandii, żebym napisała artykuł o poszukiwaniach kałamarnicy olbrzymiej. I pomyślałam sobie: „Dopóki nie będę odczuwała takiego uniesienia na myśl o posiadaniu dziecka, jakie odczuwałam na myśl o podróży do Nowej Zelandii i kałamarnicy olbrzymiej, to dziecka mieć nie mogę”.

Nie chcę już tego małżeństwa.

Za dnia nie dopuszczałam do siebie tej myśli, ale nocą zżerał mnie straszliwy niepokój. To przecież katastrofa. Jaką trzeba być wredną małpą, żeby zabrać tak daleko w małżeństwo po to tylko, by z niego zrezygnować? Zaledwie rok temu kupiliśmy ten dom. Czyż nie chciałam mieć ładnego domu? Czy nie byłam nim zachwycona? Więc dlaczego snuję się nocami po jego korytarzach, wyjąć niczym Medea? Czy nie byłam dumna z wszystkiego, czego się dorobiliśmy - okazałego domu, położonego w prestiżowej Hudson Valley, mieszkania na Manhattanie, ośmiu linii telefonicznych, czy nie lubiłam naszych przyjaciół i pikników, i przyjęć? A co z tymi weekendami spędzonymi na wędrownkach pomiędzy regałami pudełkowego supermarketu, który sobie wybraliśmy, żeby kupić jeszcze więcej artykułów gospodarstwa domowego na kredyt? Uczestniczyłam aktywnie w każdym momencie tworzenia tego życia... dlaczego zatem czułam, że nie ma tu nic ze mnie? Dlaczego byłam taka przytłoczona obowiązkami, znużona rolą głównej żywicielki, gospodyni domowej i koordynatorki życia towarzyskiego, opiekunki psa, misją żony i przyszłej matki, i - gdzieś pomiędzy tym wszystkim - pisarki...?

Nie chcę już tego małżeństwa.

Mój mąż spał w pokoju obok, w naszym łóżku. Jednakowo kochałam go i nie znosiłam. Nie mogłam go obudzić, by się podzielić własną udręką... bo niby po co? Już od miesięcy patrzył, jak popadam w przygnębienie, widział, że zachowuję się jak wariatka (oboje zgodziliśmy się, że to odpowiednie słowo), teraz zaś jedynie go nużyłam. Oboje wiedzieliśmy, że coś jest ze mną nie w porządku, a on zaczynał tracić dla tego czegoś cierpliwość. Kłóciliśmy się i wrzeszczeliśmy; byliśmy już zmęczeni w sposób typowy dla pary, której małżeństwo się rozpada. Mieliśmy spojrzenia uciekinierów.

Rozliczne powody, dla których nie chciałam już dłużej być żoną tego człowieka, są nazbyt osobiste i zbyt przykre, bym się tu nimi dzieliła. W dużej części związane one były z moimi problemami, ale w znaczącym stopniu nasze trudności wzięły się również z jego problemów. Jest to zresztą całkiem naturalne; ostatecznie każde małżeństwo to dwie osobowości - dwa głosy, dwie opinie, dwa sprzeczne zestawy decyzji, pragnień i ograniczeń. Nie uważam jednak, bym miała prawo roztrząsać jego kłopoty w swojej książce. Nie wmawiałabym też czytelnikom, że jestem zdolna przekazać obiektywny obraz naszego związku, i dlatego historia tego nieudanego małżeństwa nie zostanie tutaj przedstawiona. Nie będę też omawiać tych powodów, dla których nadal chciałam być jego żoną, wszystkich jego wspaniałych cech, ani nie powiem, dlaczego go kochałam i dlaczego za niego wyszłam, i dlaczego nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Wystarczy powiedzieć, że tamtej nocy on ciągle był dla mnie w równym stopniu drogowskazem jak kulą u nogi. Jedyną rzeczą bardziej niewyobrażalną od odejścia było pozostanie; jedyną bardziej niemożliwą od pozostania - odejście. Nie chciałam niszczyć niczego ani nikogo. Chciałam po prostu wymknąć się cichutko tylnymi drzwiami, nie powodując żadnego zamieszania ani konsekwencji, i zatrzymać się dopiero na Grenlandii.

To nie jest przyjemny fragment mojej opowieści, wiem o tym. Dzielę się nim jednak w tym miejscu, ponieważ wtedy właśnie, na podłodze łazienki, miało zajść coś, co na zawsze zmieniło bieg mojego życia... coś jak te nadzwyczajne astronomiczne wydarzenia, kiedy to planeta bez najmniejszego powodu wywija nagle kozła w kosmosie, jej płynne jądro się przelewa, bieguny przestawiają, a ona zmienia kształt z kulistego w jajowaty. Coś w tym sensie.

A wydarzyło się to, że zaczęłam się modlić. No wiecie... do B o g a .

3

Cóż, była to dla mnie całkowita nowość. A skoro wprowadziłam pierwszy raz to ważne słowo - BÓG - do swojej książki i ponieważ pojawi się ono jeszcze wielokrotnie na tych stronach, wypada się w tym miejscu na chwilę zatrzymać i wyjaśnić, co dokładnie mam na myśli, kiedy je wymawiam, tak żeby ludzie od razu mogli zdecydować, jak bardzo mają się poczuć urażeni.

Odkładając na później dyskusję na temat tego, czy Bóg w ogóle istnieje (nie... mam lepszy pomysł: zrezygnujmy z tej dyskusji), pozwólcie, że wyjaśnię, dlaczego używam słowa Bóg, kiedy równie dobrze mogłabym powiedzieć: Jehowa, Allah, Siwa, Brahma, Wisznu lub Zeus. Mogłabym nazwać Boga „Tym”, jak to czynią stare pisma sanskryckie i, co - jak sądzę - dość blisko określa wszechogarniający, niewysłowiony byt, którego istnienia czasami doświadczam. Jednak tamto „To” odbieram jako coś bezosobowego - rzecz, a nie istotę - i osobiście nie potrafię się modlić do jakiegoś Tego. Potrzebuję odpowiedniego imienia, by móc w pełni wyczuwać tę szczególną obecność. Dlatego też nie kieruję swoich modlitw do Wszechświata, Wielkiej Pustki, Opatrzności, Najwyższego, Wszechrzeczy, Stwórcy, Światła, Siły Wyższej, nie używam nawet tej najbardziej poetyckiej wersji boskiego imienia, Cień Zmienności, pochodzącej, jak mi się wydaje, z ewangelii gnostycznych.

Nie mam nic przeciwko żadnemu z tych terminów. Czuję, że wszystkie są sobie równe, ponieważ wszystkie są tak adekwatnym, jak i nieadekwatnym opisem tego, czego opisać nie można. Każdemu z nas potrzebna jest jednak jakaś praktyczna nazwa owego nieopisywalnego, a Bóg jest imieniem, które dla mnie ma najwięcej ciepła, i dlatego go używam. Muszę też się przyznać, że myślę o Bogu jako o „Nim” i ani trochę mi to nie przeszkadza, ponieważ według mnie jest to po prostu wygodny, nadający osobisty charakter zaimek osobowy, a nie precyzyjny opis anatomiczny ani powód do rewolucji. Oczywiście nie przeszkadza mi, kiedy niektórzy mówią o Bogu „Ona”, i nawet rozumiem intencję, która za tym stoi. I znów... dla mnie są to terminy równorzędne, tak samo adekwatne, jak i nieadekwatne. Choć zdecydowanie uważam, że wielka litera na początku każdego z tych zaimków to sympatyczny gest, drobna grzeczność w obliczu boskości.

Kulturowo, choć nie teologicznie, jestem chrześcijanką. Urodziłam się w rodzinie białych anglosaskich protestantów. I chociaż naprawdę kocham tego wspaniałego nauczyciela pokoju, którego nazywano Jezusem, i chociaż daję sobie prawo, by w pewnych trudnych sytuacjach zastanawiać się, co On by uczynił, nie potrafię przełknąć tej niewzruszonej zasady, według której Chrystus jest j e d y n ą ścieżką wiodącą do Boga. Zatem, ściśle rzecz biorąc, nie mogę nazywać się chrześcijanką. Większość ze znanych mi chrześcijan przyjmuje moje odczucia w tej sprawie taktownie i z wyrozumiałością. No tak, ale większość chrześcijan, których j a znam, nie wyraża się na ten temat zbyt precyzyjnie. Wszystkich tych, którzy mówią (i myślą) o tym w sposób precyzyjny, przepraszam, jeśli ranię ich uczucia, znikam z ich pola widzenia.

Nigdy nie byłam obojętna wobec transcendentnych mistyków różnych religii. Zawsze reagowałam entuzjastycznie, słuchając tych wszystkich, którzy mówią, że Bóg nie żyje w

dogmatycznych pismach i nie zasiada na tronie w dalekich niebiosach, tylko przebywa bardzo blisko nas... o wiele bliżej, niż to sobie wyobrażamy, że jest wprost w naszych sercach. Z wdzięcznością odbieram słowa każdego, kto kiedykolwiek wędrował do wnętrza tego serca i powrócił, by nam wszystkim powiedzieć, że Bóg to wszechogarniająca miłość. W tradycji każdej ziemskiej religii zawsze byli święci mistycy i ludzie, którzy dostąpili objawienia, i oni zawsze tak mówili o swoich doznaniach. Niestety dla wielu skończyło się to uwięzieniem i śmiercią. Ale i tak ich podziwiam.

Ostatecznie moje pojmowanie Boga okazało się proste. Wygląda to tak... miałam kiedyś naprawdę świetnego psa. Suczkę ze schroniska. Była mieszanką około dziesięciu ras, ale wyglądała tak, jakby odziedziczyła najlepsze cechy ich wszystkich. Miała brązową sierść. Kiedy ludzie pytali mnie: „Co to za rasa?”, zawsze odpowiadałam tak samo: „Brązowa”. Podobnie kiedy słyszę pytanie: „W jakiego Boga wierzysz?”, odpowiadam bez wahania: „We wspaniałego”.

4

Oczywiście od tamtej nocy na posadzce w łazience, kiedy to pierwszy raz w życiu zwróciłam się do Boga bezpośrednio, miałam dość czasu, by sformułować swoje opinie na temat boskości. Podczas tamtego mrocznego listopadowego kryzysu nie byłam jednak zainteresowana definiowaniem swoich poglądów dotyczących teologii.

Interesowało mnie wyłącznie ratowanie własnego życia. Dostrzegłam bowiem w końcu, że osiągnęłam stan beznadziejnej i śmiertelnie groźnej rozpacz, i przyszło mi do głowy, że czasami ludzie znajdujący się w takim stanie zwracają się o pomoc do Boga. Chyba czytałam o tym w jakiejś książce.

Zanosząc się płaczem, powiedziałam do Boga mniej więcej coś takiego: „Cześć, Boże. Jak się masz? Jestem Liz. Miło Cię poznać”.

Tak... mówiłam do Stwórcy wszechświata, jakby przedstawiono nas sobie na jakimś koktajlowym party. Ale w życiu tak właśnie jest, że posługujemy się tym, co mamy pod ręką, a to są akurat słowa, jakich zawsze używam na początku znajomości. Prawdę mówiąc, mało brakowało, żeby dodała: „Zawsze byłam wielką fanką Twojej twórczości...”

„Przepraszam, że zwracam Ci głowę o tak późnej porze - ciągnęłam - ale mam poważne kłopoty. I przepraszam za to, że nie zwracałam się wcześniej bezpośrednio do Ciebie, ale mam nadzieję, że zawsze wyrażałam stosowną wdzięczność za wszystkie łaski, jakimi mnie w życiu obdarzałeś”.

To ostatnie spowodowało, że jeszcze mocniej się rozszlochałam. Bóg to odczekał. W końcu opanowałam się na tyle, żeby mówić dalej: „Jak wiesz, nie jestem specjalistką od modlitwy. Czy mimo to możesz mi pomóc? Ogromnie potrzebuję pomocy. Nie wiem, co robić. Muszę znać odpowiedź. Proszę, powiedz mi, co mam zrobić. Proszę, powiedz mi, co mam zrobić. Proszę, powiedz mi co mam zrobić...”

W ten sposób moja modlitwa zawężała się do tej jednej zwykłej prośby: „Proszę, powiedz mi, co mam zrobić”.

Nie wiem, ile razy to powtórzyłam. Wiem tylko, że moja gorąca prośba była jak błaganie o życie. I dalej zalewałam się łzami.

Aż nagle przestałam.

W jednej chwili zauważyłam, że już nie płaczę. Można powiedzieć, że przestałam w połowie szlochnięcia. Poczucie nieszczęścia jakoś ze mnie wyparowało. Oderwałam czoło od posadzki i usiadłam zaskoczona, zastanawiając się, czy teraz ujrzę jakąś Wspaniałą Istotę, która odjęła ode mnie mój płacz. Nikogo nie było. Byłam sama. Chociaż jednocześnie tak naprawdę nie sama. Byłam otoczona czymś, co mogę nazwać jedynie małym bąblem ciszy, tak wyjątkowej, że bałam się oddychać, by jej nie odstraszyć. Poczułam się niewypowiedzianie spokojna. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej doświadczyłam tak zupełnego spokoju.

Potem usłyszałam jakiś głos. Proszę się nie niepokoić... nie był to starotestamentowy, hollywoodzki głos Charltona Hestona ani też żaden inny, który by mówił, że muszę na swoim podwórku zbudować boisko do bejsbolu. Był to mój własny głos, przemawiający z mojego wnętrza. Chociaż był mój, to jednak brzmiał całkiem dla mnie niezwykajnie: mądrze, spokojnie i współczująco. Brzmiał tak, jakbym przez całe życie doświadczała jedynie miłości, jakby nie opuszczała mnie pewność siebie. Jak mam opisać ciepło i czułość, jakie emanowały z tego głosu, gdy udzielał mi odpowiedzi, która na zawsze miała przesądzić o mojej wierze w Boga?

Głos powiedział: „Wracaj do łóżka, Liz”.

Wypuściłam powietrze z płuc.

Natychmiast stało się oczywiste, że jest to jedyne rozwiązanie. Nie przyjąłabym żadnej innej odpowiedzi. Nie zaufałamby głosowi, który grzmiałby: Musisz rozwieść się z

mężem! Albo: Nie wolno ci rozwodzić się z mężem!, bo to nie oznaczałoby prawdziwej mądrości. Prawdziwą mądrością w każdej sytuacji jest udzielenie tej jedynej możliwej odpowiedzi. „Wracaj do łóżka”, wypowiedział ów wszytkowiedzący głos wewnętrzny, ponieważ nie musisz już w tej chwili, o trzeciej rano, w listopadowy czwartek, znać ostatecznej odpowiedzi. „Wracaj do łóżka”, bo cię Kocham. „Wracaj do łóżka”, bo jedyne, co musisz teraz zrobić, to odpocząć i zadbać o siebie do czasu, kiedy poznasz odpowiedź. „Wracaj do łóżka”, żebyś kiedy nadejdzie burza, miała dość siły, by sobie z nią poradzić. A ta burza nadchodzi, moja droga. Zbliża się. Ale nie rozpęta się jeszcze tej nocy. Dlatego: „Wracaj do łóżka, Liz”.

W jakimś sensie ten drobny epizod miał wszystkie cechy typowego chrześcijańskiego nawrócenia - mroczna noc duszy, wołanie o pomoc, odpowiadający na wołanie głos, poczucie przemiany. Nie powiedziałabym jednak, że dla mnie była to religijna konwersja, nie w tym tradycyjnym sensie ponownych narodzin czy zbawienia. To, co wydarzyło się tamtej nocy, nazwałabym raczej początkiem religijnej konwersacji. Pierwsze słowa otwartego i poznawczego dialogu, który ostatecznie rzeczywiście miał zaprowadzić mnie blisko Boga.

5

Gdybym tylko wiedziała, że sytuacja - jak stwierdziła kiedyś Lily Tomlin, amerykańska aktorka i pisarka - znacznie się pogorszy, zanim się pogorszy, nie wiem, jak dobrze spałabym tamtej nocy. W każdym razie po siedmiu nieznośnych miesiącach odeszłam od męża. Kiedy wreszcie podjęłam tę decyzję, myślałam, że najgorsze mam za sobą. Co tylko świadczy o tym, jak niewiele wiedziałam o rozwodach.

Był kiedyś taki rysunek satyryczny w „New Yorkerze”. Rozmawiają dwie kobiety, jedna mówi do drugiej: „Jeśli naprawdę chce się kogoś dobrze poznać, trzeba się z nim rozwieść”. Moje doświadczenia wskazywały na coś zupełnie odmiennego. Ja powiedziałabym raczej, że jeśli chce się kogoś PRZESTAĆ znać, to trzeba się z nim rozwieść. Albo z nią. Bo właśnie do czegoś takiego doszło pomiędzy mną i moim mężem. Myślę, że oboje byliśmy wstrząśnięci tym, że tak szybko z najlepiej znających się ludzi na świecie staliśmy się dla siebie najbardziej niezrozumiałymi i obcymi istotami. Ta obcość wynikała z beznadziejnego faktu, że oboje robiliśmy coś, co temu drugiemu wydawało się rzeczą absolutnie niemożliwą;

on nie dopuszczał do siebie myśli, że rzeczywiście od niego odejdę, mnie nigdy nie przyszło do głowy, że on tak mi to utrudni.

Kiedy opuściłam męża, byłam przekonana, że za pomocą kalkulatora, zdrowego rozsądku i odrobiny dobrej woli w stosunku do osoby, którą się kiedyś kochało, w kilka godzin rozwiążemy sprawy praktyczne. Zaproponowałam, byśmy sprzedali dom i podzielili aktywa po połowie; nie wyobrażałam sobie, że mogłoby być inaczej. Nie uważał takiego rozwiązania za uczciwe. Zaproponowałam więc inny rodzaj podziału pół na pół: on weźmie wszelkie aktywa, a ja przyjmę na siebie całą winę. Ale nawet taka propozycja go nie zadowoliła. Znalazłam się w kropce. Jak można negocjować, jeśli zaproponowało się już wszystko, co było do zaoferowania? Mogłam jedynie czekać na kontrpropozycje. Poczucie winy, że to ja go opuściłam, nie pozwalało mi myśleć, że mogłabym zachować choćby centa z pieniędzy, które zarobiłam w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Co więcej, nowo odkryta duchowość wymagała ode mnie, by sprawę załatwić pokojowo. Moja sytuacja była jasna - ani się nie bronię, ani z nim nie walczę. Tym wszystkim, którzy się o mnie troszczyli, bardzo długo nie dawałam się namówić na choćby jedną konsultację z prawnikiem, bo nawet to uważałam za działania wojenne. Chciałam zachować się w tej sprawie jak Gandhi. Jak Nelson Mandela. Nie brałam wtedy pod uwagę faktu, że obaj byli p r a w n i k a m i .

Mijały miesiące. Moje życie zawisło w próżni, a ja sama czekałam na uwolnienie, liczyłam, że dowiem się, jakie będą jego warunki. Mieszkaliśmy osobno (on przeniósł się do mieszkania na Manhattanie), ale żadne decyzje nie zostały podjęte. Rósł stos rachunków, kariery zawodowe zostały zahamowane, dom popadał w ruinę, a mój mąż tylko od czasu do czasu przerywał milczenie, żeby mi przypomnieć, jaka to ze mnie wredna małpa.

No i był jeszcze David.

Wszystkie trudy i urazy tych paskudnych lat okresu ciągnącego się rozwodu pomnożone były dramatem związanym z Davidem - facetem, w którym się zakochałam, kiedy żegnałam się ze swoim małżeństwem. Czy powiedziałam, że „się zakochałam” w Davidzie? Tak naprawdę chodziło mi o to, że opuściłam swoje małżeństwo i wylądowałam w ramionach Davida, tak jak cyrkowiec z kreskówki, który z wysokiej platformy daje nura do małego kubka z wodą i cały w nim znika. Uciekając od małżeństwa, chwyciłam się Davida, jakby był ostatnim helikopterem odlatującym z Sajgonu. Zwaliłam na niego wszystkie swoje nadzieje na wybawienie i szczęście. I rzeczywiście go kochałam. Gdybym jednak mogła wymyślić mocniejsze słowo niż „rozpaczliwie”, żeby opisać, jak go kochałam, użyłabym tego słowa; miłość rozpaczliwa jest zawsze tą najtrudniejszą.

Wprowadziłam się do Davida, kiedy odeszłam od męża. David był - jest - cudownym młodym człowiekiem. Urodzony nowojorczyk, aktor i pisarz, z tymi ciemnymi, włoskimi oczyma, których spojrzenie zawsze (czy już o tym wspominałam?) powoduje, że rozpadam się na kawałki. Cwany, niezależny, ordynarny, uduchowiony, uwodzicielski, wegetarianin. Buntowniczy poeta-jogin z Yonkers. Seksowny początkujący bejsbolista-łącznik od samego Boga. Najważniejszy w świecie. Albo jeszcze ważniejszy. Przynajmniej dla mnie. Kiedy moja najlepsza przyjaciółka, Susan, słuchała pierwszy raz, jak o nim opowiadam, popatrzyła na moją rozognioną twarz i oświadczyła: „O mój Boże, kochana, wpadłaś jak śliwka w kompot”.

Spotkaliśmy się z Davidem, ponieważ występował w sztuce opartej na moich opowiadaniach. Grał wymyśloną przeze mnie postać, co jest dość znamienne. Zawsze tak jest, kiedy się rozpaczliwie zakochamy, prawda? Rozpaczliwie zakochani wymyślamy sobie postaci naszych partnerów, żądając od nich, by byli tacy, jacy nam są potrzebni, a potem załamujemy się, kiedy nie chcą odgrywać roli, jaką im przydzieliliśmy.

W każdym razie wspaniale nam było ze sobą podczas tych pierwszych miesięcy, kiedy on pozostawał moim romantycznym bohaterem, a ja spełnieniem jego marzeń. Nie wyobrażałam sobie, że możliwe są takie emocje i taka zgodność. Stworzyliśmy własny język. Jeździliśmy na jednodniowe i dłuższe wycieczki. Wspinaliśmy się na szczyty w jednym miejscu, nurkowaliśmy do dna gdzie indziej, planowaliśmy wspólne podróże na drugi koniec świata. Przeżyliśmy więcej radości, czekając razem w kolejce w Wydziale Komunikacji, niż większość par podczas miodowego miesiąca. Nadaliśmy sobie takie same przydomki, żeby nie było niczego, co by nas rozdzielało. Razem ustalaliśmy cele, składaliśmy przysięgi, obietnice, szykowaliśmy kolacje. On czytał mi książki i prał moje rzeczy. (Za pierwszym razem zadzwoniłam do Susan, żeby zdać jej sprawę z tego niezwykłego wydarzenia, zupełnie jakbym zobaczyła wielbłąda korzystającego z automatu telefonicznego. „Mężczyzna właśnie zrobił mi pranie! Poprał nawet ręcznie najdelikatniejsze rzeczy” - oświadczyłam. A ona powtórzyła swoje: „O mój Boże, kochana, wpadłaś jak śliwka w kompot”.)

To pierwsze lato Liz i Davida wyglądało niczym zmontowane z kawałków wszystkich romantycznych filmów, jakie kiedykolwiek nakręcono, włącznie z pluskaniem w falach przyboju i bieganiem o zmroku po złocistych łąkach, z trzymaniem się za ręce. Wtedy wierzyłam jeszcze, że mój rozwód przebiegnie łagodnie, chociaż dawałam mężowi spokój przez całe lato, żebyśmy oboje mieli czas ochłonać. Zresztą i tak podczas całego tego okresu szczęśliwości łatwo było zapomnieć o stracie. A potem tamto lato (znane inaczej jako „odroczenie”) dobiegło końca.

Dziewiątego września 2001 roku spotkałam się z mężem twarzą w twarz po raz ostatni, nie zdając sobie sprawy z tego, że przy każdym następnym spotkaniu konieczna będzie między nami obecność prawników jako mediatorów. Jedliśmy kolację w restauracji. Chciałam porozmawiać o naszym rozstaniu, ale jedynie się kłóciliśmy. Oświadczył, że jestem kłamczuchą i zdrajczynią i że mnie nienawidzi, i nigdy się już do mnie nie odezwie. Dwa dni później obudziłam się po niespokojnej nocy, by usłyszeć, że porwane samoloty wbijają się w dwa najwyższe budynki mojego miasta, i zobaczyć, jak to, co było symbolem stałości, wali się w stos dymiących ruin. Zadzwoiłam do męża, żeby sprawdzić, czy jest bezpieczny. Płakaliśmy oboje, ale nie pojechałam do niego. Podczas tamtego tygodnia wszyscy w Nowym Jorku przez wzgląd na tę straszną tragedię zapominali urazy - ja mimo to nie wracałam do męża. Dlatego oboje wiedzieliśmy, że z nami koniec, absolutny koniec.

Nie będzie wielką przesadą, jeśli powiem, że przez następne cztery miesiące nie zmrużyłam oka.

Sądziłam, że wcześniej przeżyłam załamanie, jednak dopiero teraz (w zgodzie z widocznym upadkiem całego świata) moje życie rzeczywiście legło w gruzach. Wzdragam się na myśl, czym obciążałam Davida podczas tych miesięcy wspólnego życia, tuż po jedenastym września i po moim rozstaniu z mężem. Wyobraźcie sobie jego zdumienie, kiedy odkrył, że ta najszczęśliwsza, najbardziej pewna siebie kobieta, jaką znał, jest w rzeczywistości - gdy już się u niego zadomowiła - mroczną otchłanią bezdennej żalości. Znowu nie mogłam przestać płakać. Wtedy właśnie zaczął się wycofywać, a ja zobaczyłam drugą stronę mojego namiętnego bohatera romantycznego - odkryłam Davida zdystansowanego, potrzebującego do życia większej przestrzeni niż stado amerykańskich bizonów, samotnika niczym rozbitek.

To jego raptowne emocjonalne oddalenie nawet w najlepszych okolicznościach byłoby dla mnie katastrofą, zważywszy, że jestem najbardziej uczuciową formą życia na tej planecie (coś jak krzyżówka golden retrievera i pąkli), a przecież działo się to w okolicznościach najgorszych. Byłam znękana i zależna, potrzebowałam większej troski niż urodzone przed czasem trojaczki. On się odsuwał, więc potrzebowałam jeszcze większej troski; no to on odsuwał się coraz szybciej, aż w końcu umykał ścigany zadawanymi płaczącym tonem pytaniami: „Dokąd się wybierasz? Co się z nami stało?”

(Wskazówka dla kobiet: Mężczyźni to UWIELBIAJĄ.)

Prawda jest taka, że się od Davida uzależniłam (na swoją obronę muszę dodać, że on podsycił to uzależnienie, bo był kimś w rodzaju „mężczyzny fatalnego”), i teraz, kiedy jego zainteresowanie mną słabło, cierpiałam łatwe do przewidzenia konsekwencje. Uzależnienie jest charakterystyczne dla każdego opartego na zauroczeniu romansu. Wszystko zaczyna się,

kiedy obiekt twojego uwielbienia obdarza cię dawką oszłamiającego i halucynogennego środka, o jakim nigdy wcześniej nawet nie ośmieliłabyś się pomyśleć - ten emocjonalny narkotyk składa się z porażającej miłości i przyjemnie drażniącej ekscytacji. Wkrótce zaczynasz łaknąć tego silnego zainteresowania równie obsesyjnie jak każdy ćpun na głodzie. Kiedy narkotyku zabraknie, natychmiast chorujesz, szalejesz, słabniesz (żeby już nie wspomnieć urazy do dilerka, który przecież doprowadził do tego uzależnienia, a teraz już nie chce dostarczać dobrego towaru - mimo że ma go gdzieś w ukryciu, niech to szlag, bo przecież zawsze dawał ci go za friko). W następnym stadium wychudzona trzęsiesz się w jakimś kącie, przekonana, że jesteś gotowa zaprzedać duszę albo obrabować sąsiada, żeby dostać to choćby tylko jeszcze jeden raz. Tymczasem stajesz się coraz bardziej odpychająca dla obiektu swojego uwielbienia. Patrzy na ciebie, jakby cię nigdy wcześniej nie widział, a już na pewno nie jak na kogoś, kogo kiedyś tak namiętnie kochał. Ironia tkwi w tym, że nawet nie możesz za bardzo go winić. No bo przyjrzyj się sobie. Jesteś żalonym straszylem, sama się nawet nie rozpoznajesz.

I tak to wygląda. Osiągnęłaś ostateczny punkt zauroczenia - całkowitą i bezlitosną deprecjację własnego ja.

Dzisiaj mogę o tym pisać spokojnie, co jest przekonującym dowodem na to, że czas leczy rany, wtedy bowiem było to dla mnie ciężkie przeżycie. Utrata Davida zaraz po klęsce mojego małżeństwa, tuż po ataku terrorystycznym na moje miasto i w trakcie najpaskudniejszej fazy postępowania rozwodowego (życiowego doświadczenia, które mój przyjaciel Brian przyrównał do „uczestniczenia w poważnym wypadku samochodowym, codziennie, przez dwa lata”)... no cóż, było tego zdecydowanie za dużo.

Za dnia nadal dzieliłam z Davidem jakieś radości, nocą jednak, w jego łóżku, czułam się, jakbym była tą jedyną, która przeżyła zimę nuklearną, bo on tak wyraźnie się ode mnie oddalał, coraz bardziej z każdym dniem, zupełnie jakbym mogła go czymś zarazić. Zaczęłam się lękać nocy, jakby była izbą tortur. Leżałam obok pięknego, niedostępnego ciała pogrążonego we śnie Davida, targana rozpaczą samotności i precyzyjnymi, szczegółowymi myślami samobójczymi. Wszystko mnie bolało. Czułam się tak, jakbym była prymitywną, sprężynową machiną, którą poddano sile, do jakiej nie została skonstruowana, i lada chwila może wybuchnąć, zagrażając wszystkim stojącym w pobliżu. Wyobraziłam sobie, jak z mojego tułowia odlatują fragmenty ciała, żeby uciec przed wulkanicznym jądrem nieszczęścia, którym się stałam. Budząc się, David znajdował mnie zazwyczaj na podłodze obok łóżka. Spałam tam niespokojnie, zwinięta na stosie ręczników kąpielowych jak pies.

- O co tym razem chodzi? - pytał... jeszcze jeden mężczyzna bezgranicznie mną znużony.

W tym czasie schudłam chyba ze trzydzieści funtów.

6

Och, nie wszystko było takie całkowicie złe podczas tamtych kilku lat... Bóg, nawet jeśli zatrząskuje człowiekowi drzwi przed nosem, to podsuwa mu jednocześnie pudełko z ciasteczkami (czy jak tam brzmi to stare powiedzonko), i rzeczywiście w cieniu tych smutnych wydarzeń spotkało mnie kilka wspaniałych rzeczy. Po pierwsze, zaczęłam się wreszcie uczyć włoskiego. Po drugie, znalazłam hinduską guru. I po trzecie, pewien sędziwy szaman zaprosił mnie do siebie, do Indonezji. Wyjaśnię po kolei.

Przede wszystkim sprawy zaczęły wyglądać trochę lepiej, kiedy na początku roku 2002 wyprowadziłam się od Davida i pierwszy raz w życiu znalazłam sobie mieszkanie. Nie bardzo było mnie na to stać, bo nadal płaciłam za ten duży dom na przedmieściach, którego sprzedaży, choć nikt już w nim nie mieszkał, mój mąż mi zakazał, do tego nadal musiałam radzić sobie z honorariami prawników i doradców... jednak posiadanie choćby najmniejszego kąta okazało się sprawą żywotną. Myślałam o mieszkaniu niemal jak o sanatorium, klinice, w której mam dojść do zdrowia. Moja siostra podarowała mi z tej okazji termofor (żebym nie musiała leżeć sama w zimnym łóżku), spałam więc co noc z tym przedmiotem przytulonym do serca, jakbym leczyła kontuzję sportową.

Z Davidem rozstaliśmy się na dobre. A może nie. Trudno spamiętać, ile razy przez te miesiące zrywaliśmy, żeby ponownie się zejść. Powstała jednak pewna prawidłowość: kiedy izolowałam się od Davida, odzyskiwałam siłę i pewność siebie, a to zwykle wzbudzało jego dawną namiętność do mnie. Pełni wzajemnego szacunku, w sposób trzeźwy i inteligentny rozważaliśmy możliwość „spróbowania raz jeszcze”, zawsze z tym samym rozsądnym planem ograniczenia do minimum naszych oczywistych niezgodności. Tak bardzo się angażowaliśmy w rozwiązanie tej sprawy. Bo niby jak to możliwe, żeby dwoje ludzi tak bardzo w sobie zakochanych miało nie żyć razem długo i szczęśliwie? M u s i a ło się udać. Prawda? Znowu razem, pełni nadziei, przeżywaliśmy kilka szaleńczo szczęśliwych dni. Czasami nawet tygodni. Ostatecznie jednak David znów zaczynał się odsuwać, a ja czepiałam

się go kurczowo (albo ja się czepiałam, a on odsuwał... nigdy nie wymyśliśmy, co było przyczyną, a co skutkiem) i kolejny raz kończyło się to moim kompletnym rozbiciem. I jego odejściem.

David był dla mnie jednocześnie tym, czym waleriana dla kota i kryptonit dla Supermana.

W tym trudnym czasie, kiedy byliśmy z dala od siebie, uczyłam się żyć samotnie. I to doświadczenie wywoływało we mnie jakąś wewnętrzną zmianę. Wyczuwałam, że chociaż moje życie nadal można porównać do skutków zderzenia wielu samochodów na autostradzie do New Jersey podczas wakacyjnego ruchu, to zaczynam pomału raczkować jako osoba niezależna. Kiedy nie byłam akurat w wisielczym nastroju w związku z rozwodem albo w związku z brakiem Davida, czułam się właściwie całkiem zadowolona i znajdowałam w rozkładzie dnia czas i miejsce, żeby zadawać to zasadnicze nowe pytanie: „Co tak naprawdę chcesz robić, Liz?”

Na ogół (wciąż znękana wykupywaniem się z małżeństwa) nie ośmielałam się udzielać odpowiedzi na to pytanie, ekscytowałam się jedynie w skrytości ducha jego istnieniem. A kiedy w końcu zaczęłam na nie odpowiadać, robiłam to bardzo ostrożnie. Pozwalałam sobie wyrażać niewielkie chęci. Na przykład:

Chcę uczęszczać na zajęcia z jogi.

*Chcę wyjść wcześniej z tego przyjęcia, żeby wrócić do domu
i poczytać sobie jakąś powieść.*

Chcę sobie kupić nowe etui na długopisy.

I zawsze pojawiała się jedna, taka sama, dziwaczna odpowiedź:

Chcę się nauczyć włoskiego.

Przez lata żałowałam, że nie znam włoskiego - języka, który uważam za piękniejszy od róż - nigdy jednak nie potrafiłam znaleźć praktycznego uzasadnienia, by się go uczyć. Czemu nie zająć się na nowo francuskim czy rosyjskim, których przecież uczyłam się lata temu? Albo nauczyć się hiszpańskiego, co pomogłoby mi porozumiewać się z milionami amerykańskich współrodaków? Do czego był mi potrzebny włoski? Przecież nie zamierzałam się przeprowadzić do Italii. Przydatniejsza byłaby umiejętność gry na akordeonie.

Dlaczego jednak wszystko musi mieć praktyczne zastosowanie? Przez całe lata byłam taka pilna i skrupulatna - pracowałam, pisałam, zawsze dotrzymywałam terminów, nie zaniedbywałam bliskich mi osób ani swoich działań, kredytów, głosowań itd. Czy życie składa się wyłącznie z obowiązków? Czy w tym ponurym okresie poczucia straty

rzeczywiście musiałam mieć jakieś usprawiedliwienie dla nauki włoskiego, prócz tego, że była to jedyna rzecz, która - jak sobie wyobrażałam - mogła mi w tym momencie sprawić przyjemność? Zresztą nie był to chyba nazbyt ekstrawagancki cel. Przecież nie mówiłam, że w wieku trzydziestu dwóch lat chcę zostać primabaleriną baletu nowojorskiego. Języka można się rzeczywiście nauczyć. Zapisalam się na zajęcia w jednym z ośrodków kształcenia ustawicznego (zwanych też wieczorową szkołą dla rozwódek). Moi znajomi uznali to za bardzo zabawne. Nick żartował: „Dlaczego uczysz się włoskiego? Jeśli Włochy znowu napadną na Etiopię, tym razem z powodzeniem... chcesz się chęłpić znajomością języka używanego w całych dwóch krajach?”

Ja jednak bylam zachwycona. Każde słowo było dla mnie słowiczym śpiewem, sztuką magiczną, truflą. Po zajęciach wracałam w deszczu do domu, robiłam sobie gorącą kąpiel i leżąc w pianie, czytałam na głos włoski słownik, dzięki czemu zapominałam o przykrościach rozvodu i złamanym sercu. Poszczególne słowa wywoływały u mnie zachwyt. Zaczęłam mówić o swoim telefonie komórkowym *mio telefonino* („mój telefonik”). Dołączyłam do grona tych irytujących osób, które mówią *Ciao!* Tyle, że ja bylam jeszcze bardziej irytująca, bo zawsze wyjaśniałam, skąd się to *ciao* wzięło. (Jeśli musicie wiedzieć, jest to skrót używanego przez średniowiecznych Wenecjan przyjacielskiego pozdrowienia: *Sono il suo schiavo!* Co znaczy: „Jestem twoim niewolnikiem!”) Już samo wymawianie tych słów powodowało, że czułam się seksowna i uszczęśliwiona. Moja prawniczka uważała, że nie mam się czym przejmować, powiedziała, że jakaś jej klientka (z pochodzenia Koreanka) po koszmarnym rozwodzie zmieniła urzędowo nazwisko na włoskie, po to tylko, żeby ponownie poczuć się seksowna i uszczęśliwiona. Może jednak przeprowadzę się do Italii...

7

Inna godna odnotowania sprawa z tamtego czasu to przygoda związana z dyscypliną duchową. Wszystko zaczęło się od wprowadzenia w moje życie prawdziwej hinduskiej guru... za którą zawsze będę Davidowi wdzięczna. Zobaczyłam moją guru pierwszego wieczoru, jaki spędziłam u Davida. W pewnym sensie zakochałam się w obydwójgu jednocześnie. Weszłam do mieszkania Davida i na komodzie zauważyłam zdjęcie olśniewająco pięknej Hinduski.

- Kto to? - zapytałam.

- To moja duchowa nauczycielka - odparł.

Moje serce zamarło na moment, potem ruszyło biegiem, potknęło się i padło na pysk. Po chwili się podniosło, otrzepało, wzięło głęboki oddech i oświadczyło: „Chcę mieć duchowego nauczyciela”. Chodzi mi o to, że odezwało się moje s e r c e, przemawiając przez usta. Poczułam, że nastąpił we mnie jakiś dziwny podział i umysł opuścił na chwilę ciało, zdumiony zrobił zwrot, żeby stanąć twarzą w twarz z sercem. „Naprawdę?” - spytał cicho. „Tak - odparło serce. - Naprawdę”. „Od kiedy to?” - spytał umysł odrobinę sarkastycznie. Ja jednak już znałam odpowiedź: Od tamtej nocy spędzonej na posadzce w łazience.

Mój Boże, jak bardzo chciałam duchowego nauczyciela. Natychmiast zaczęłam fantazjować, jak by to mogło być. Wyobraziłam sobie, że ta olśniewająco piękna Hinduska kilka razy w tygodniu przychodzi do mnie wieczorem, siadamy sobie, pijemy herbatę i rozmawiamy o boskości, ona wyznacza mi lekturę i wyjaśnia znaczenie tych dziwnych uczuć, jakich doznaję podczas medytacji...

Tymczasem całe to fantazjowanie zostało zdmuchnięte jak świeca, kiedy David poinformował mnie o międzynarodowym prestiżu tej kobiety, o tym, że ma dziesiątki tysięcy uczniów... z których wielu nigdy nie widziało jej na oczy. Dodał jednak, że każdego wtorku wieczorem spora grupa zbiera się tutaj, w Nowym Jorku, żeby wspólnie medytować i śpiewać.

- Jeśli nie przeraża cię - oznajmił - przebywanie w jednym pomieszczeniu razem z kilkoma setkami ludzi powtarzających imię Boga w sanskrycie, możesz kiedyś wpaść.

Poszłam z nim w najbliższy wtorek. Mało że nie przerażili mnie ci wyglądający najnormalniej w świecie ludzie, to jeszcze poczułam, jak moja przejrzysta dusza podąża w górę za tym ich skierowanym do Boga monotonnym śpiewem. Tego wieczoru wracałam do domu z takim uczuciem, jakby powietrze przepływało swobodnie przez moje ciało, jakbym była tkaniną łożącą na sznurze do bielizny, jakby cały Nowy Jork stał się miastem z papieru ryżowego... a ja nabrałam takiej lekkości, że mogłabym biegać po dachach. Zaczęłam tam chodzić w każdy wtorek. Potem każdego ranka medytowałam, korzystając z sanskryckiej mantry, którą guru daje wszystkim swoim uczniom, majestatycznej Om Namaha Śivaja, jej sens można oddać tak: „Pokłon Tobie, Siwo”. Potem po raz pierwszy wysłuchałam głosu guru i od jej słów dostałam gęsiej skórki na całym ciele, nawet na twarzy. I kiedy usłyszałam, że ma w Indiach swoją aśramę, wiedziałam, że muszę się tam jak najszybciej znaleźć.

Przedtem czekała mnie podróż do Indonezji, związana ze zleceniem z pewnego czasopisma.

Akurat w momencie, kiedy najbardziej użalałam się nad sobą, że jestem taka samotna, bez grosza, internowana w obozie dla rozwodzących się, naczelna jednego z kobiecych czasopism zapytała, czy nie chciałabym pojechać na Bali i napisać o wakacjach z jogą. Wtedy ja zarzuciłam ją całą serią pytań, głównie typu: „A czy trawa jest zielona?” i „Czy piosenki Jamesa Browna mogą kogoś przygnębiać?” Kiedy dotarłam na Bali, (które, najkrócej mówiąc, jest bardzo ładnym miejscem), nasza nauczycielka jogi spytała: „Skoro już tu jesteście, to może ktoś z was chciałby odwiedzić balijskiego szamana w dziewiątym pokoleniu?” (pytanie z gatunku tych, na które odpowiedź jest oczywista), więc pewnego wieczoru wszyscy jak jeden mąż udaliśmy się do jego domu.

Szaman, jak się okazało, był drobnym staruszkiem o brązowej skórze, wesołym spojrzeniu i praktycznie bezzębnych ustach. Podobieństwo do Yody z Gwiezdných wojen narzucało się samo. Nazywał się Ketut Liyer. Mówił zabawnie niezgrabną angielszczyzną, ale był z nami tłumacz, który przychodził z pomocą, kiedy brakło mu słowa.

Nauczycielka jogi powiedziała nam wcześniej, że każde z nas może zadać jedno pytanie albo przedstawić jakiś problem, a szaman postara się udzielić nam odpowiedniej rady. Całymi dniami zastanawiałam się, o co go zapytać. Pierwsze pomysły były dość żałosne. „Czy mógłbyś zmusić mojego męża, żeby mi dał rozwód?” „Czy mógłbyś spowodować, żeby David znów mnie pożądał?” Wstydziłam się tych myśli. Przecież to zupełnie bez sensu. Nie po to lecę na drugi koniec świata i staję twarzą w twarz z sędziwym szamanem, by go prosić o interwencję w sprawach damsko-męskich?

Kiedy więc starzec sam zwrócił się do mnie i zapytał, czego bym chciała, wy dobyłam z siebie inne, prawdziwsze słowa.

- Chcę doświadczyć trwałego przeżywania Boga - powiedziałam. - Czasami mam wrażenie, że rozumiem, w czym się wyraża boskość tego świata, ale po chwili to mi umyka, bo rozpraszają mnie małe pragnienia i lęki. Chcę być z Bogiem cały czas. Ale nie pragnę zostać mniszka ani zrezygnować całkowicie z ziemskich przyjemności. Raczej chciałabym wiedzieć, jak żyć w tym świecie i cieszyć się nim, a jednocześnie móc poświęcić się Bogu.

Ketut stwierdził, że może odpowiedzieć za pomocą rysunku. Pokazał mi, co narysował kiedyś podczas medytacji. Była to bezpłciowa ludzka postać stojąca z rękami złożonymi jak

do modlitwy. Miała cztery nogi, tam zaś, gdzie powinna być głowa, widniała płatanina paproci i kwiatów. Na sercu postać nosiła małą, uśmiechniętą twarzyczkę.

- Żeby odnaleźć równowagę, na której ci zależy - mówił Ketut za pośrednictwem tłumacza - musisz być właśnie tym. Musisz stać mocno na ziemi, jakbyś miała cztery nogi, a nie dwie. Dzięki temu wytrzymasz na tym świecie. Musisz jednak przestać patrzeć na niego za pośrednictwem głowy. Zamiast tego musisz patrzeć sercem. W ten sposób poznasz Boga.

Potem zapytał, czy może poczytać mi z ręki. Podałam mu lewą, a on zaczął składać mnie w całość tak gładko, jakbym była trzyczęściową układanką.

- Jeździsz po świecie - rozpoczął.

Pomyślałam, że to dość oczywiste, zważywszy na fakt, że byłam właśnie w Indonezji, ale się nie odezwałam...

- Masz więcej szczęścia niż inni, których poznałem. Będziesz żyła długo, miała wielu przyjaciół, wiele doświadczeń. Zobaczysz cały świat. Masz tylko jeden problem w życiu. Za dużo się martwisz. Podchodzisz do wszystkiego zbyt emocjonalnie, zbyt nerwowo. Jeśli ci obiecuję, że nie będziesz miała w życiu powodu do zmartwień, to mi uwierzysz?

Skinęłam głową, ani trochę nie wierząc.

- Twoja praca ma charakter twórczy - ciągnął - to coś takiego jak praca artysty, i dostajesz za nią dobrą zapłatę. Zawsze będziesz dostawała dużo pieniędzy za to, co robisz. Jeśli chodzi o pieniądze, to jesteś szczodra, może za szczodra. I jeszcze jedno. Raz w życiu stracisz wszystkie pieniądze. Wydaje mi się, że niedługo.

- Chyba za jakieś sześć do dziesięciu miesięcy - przytaknęłam, myśląc o rozwodzie.

Ketut skinął głową, jakby chciał powiedzieć: Taa, to by się z grubsza zgadzało.

- Ale się nie przejmuj - mówił. - Jak stracisz te pieniądze, to niemal natychmiast je odzyskasz. Od razu ci się poprawi. Dwukrotnie w życiu będziesz mężatką. Jedno małżeństwo będzie krótkie, drugie długie. I będziesz miała dwoje dzieci...

Czekałam, aż powie: „jedno krótkie, drugie długie”, ale on nagle zamilkł i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w moją dłoń.

- Dziwne... - mruknął, co jest słowem, którego wolałabyś nie słyszeć ani od wróżącego ci z ręki, ani od dentysty. Poprosił, żebym przesunęła się bezpośrednio pod wiszącą żarówkę, by mógł lepiej widzieć.

- Pomyliłem się - oświadczył. - Będziesz miała tylko jedno dziecko. Późno, córeczkę. Może. Jeśli się zdecydujesz... ale jest coś jeszcze. - Zmarszczył brwi, po czym podniósł wzrok, nagle całkowicie pewny. - Pewnego dnia, niedługo, wrócisz na Bali. Musisz tu wrócić. Zostaniesz jakieś trzy, może cztery miesiące. Zaprzyjaźnisz się ze mną. Może zamieszkas

tutaj z moją rodziną. Będę mógł z tobą ćwiczyć angielski. Nigdy nie miałem nikogo, z kim mógłbym poćwiczyć. Wydaje mi się, że ze słowami czujesz się swobodnie. Chyba ta twoja twórcza praca ma coś wspólnego ze słowami, zgadza się?

- Tak! - przyznałam. - Jestem pisarką. Piszę książki!

- Jesteś pisarką z Nowego Jorku - oświadczył, potwierdzając moje słowa. - Wrócisz więc na Bali, będziesz tu mieszkać i uczyć mnie angielskiego. A ja nauczę cię wszystkiego, co wiem.

Potem wstał i otrzepał dłonie, jakby chciał powiedzieć: Zatem sprawa jest załatwiona.

- Skoro mówisz to poważnie, nauczycielu, to ja też traktuję to poważnie.

Obdarzył mnie promiennym, bezzębny uśmiechem.

- Nie zwlekaj, będę czekał - powiedział.

9

Jeśli indonezyjski szaman w dziewiątym pokoleniu mówi mi, że moim przeznaczeniem jest przeprowadzka na Bali i zamieszkanie u niego na cztery miesiące, robię wszystko, żeby doprowadzić to do skutku - do takich właśnie osób należę. I w taki właśnie sposób cały ten mój pomysł o rocznej podróży zaczął się krystalizować. Koniecznie musiałam wrócić do Indonezji, tym razem na własny koszt. To było oczywiste. Choć nie potrafiłam jeszcze wymyślić, jak miałabym tego dokonać, zważywszy na panujący w moim życiu zamęt. (Nie tylko miałam na głowie kosztowny rozwód i zmartwienia z powodu Davida, ale też pracowałam dla tamtego czasopisma, co nie pozwalało mi zniknąć na całe miesiące.) Ale musiałam tam wrócić. Czy mogło być inaczej? Przecież on to przepowiedział. Rzecz w tym, że chciałam też pojechać do Indii, odwiedzić aśramę mojej guru, a taka wyprawa wymaga sporo czasu i pieniędzy. Jakby to wszystko było nie dość skomplikowane, marzyłam o wyjeździe do Włoch, gdzie mogłabym ćwiczyć język w stosownym otoczeniu i dokąd ciągnęło mnie pragnienie, żeby przez jakiś czas pożyć w kulturze, w której docenia się przyjemności i piękno.

Wszystkie te pragnienia wydawały się ze sobą sprzeczne.

Najbardziej zaś Włochy i Indie. Co było ważniejsze? Ta część mnie, która chciała jeść cielęcinę w Wenecji? A może ta druga, która chciała budzić się na długo przed świtem w

surowej i skromnej aśramie, żeby rozpocząć długi dzień poświęcony medytacji i modlitwie? Wielki suficki poeta i filozof Rumi poradził kiedyś swoim uczniom, żeby zapisali trzy rzeczy, których pragną najbardziej w życiu. Jeśli któraś z pozycji na liście będzie w niezgodności z którąkolwiek inną pozycją, ostrzegł ich Rumi, czeka was los ludzi nieszczęśliwych. Lepiej żyć, skupiając się na jednym, nauczał. A co z zaletami harmonijnej egzystencji pomiędzy przeciwnościami? Gdyby tak stworzyć sobie życie na tyle rozległe, by można było nim objąć pozornie wykluczające się krańce i zsynchronizować w jeden światopogląd, który niczego nie pomija? Moja prawda wyglądała dokładnie tak, jak to powiedziałam szamanowi na Bali... chciałam doświadczyć i jednego, i drugiego. Pragnęłam ziemskich przyjemności i boskiej transcendencji... tej dwoistej wspaniałości ludzkiego życia. Pragnęłam tego, co Grecy nazwali *kalos kai agathos*, owej szczególnej równowagi piękna i dobra. W ostatnich trudnych latach brakowało mi obu, ponieważ zarówno radość, jak pobożność, żeby rozkwitnąć, potrzebują wolnej od napięć, spokojnej atmosfery, tymczasem w moim życiu wszystko kotłowało się jak w gigantycznej zgniatarce śmieci. Jeśli zaś chodzi o równowagę między pragnieniem radości a tęsknotą za pobożnością... cóż, zapewne istniał jakiś sposób, żeby tę sztukę opanować. Po moim krótkim pobycie na Bali wydawało mi się, że mogę się tego nauczyć od Balijszyków. Może nawet od samego szamana.

Cztery nogi na ziemi, głowa pełna zielska, patrzenie na świat sercem...

Dałam sobie spokój z próbą dokonania wyboru - Italia? Indie? Indonezja? - i ostatecznie po prostu zdecydowałam, że chcę pojechać we wszystkie te miejsca. Spędzę cztery miesiące w każdym. W sumie cały rok. Oczywiście było to nieco bardziej ambitne niż „Chcę sobie kupić nowe etui na długopisy”, ale o to mi właśnie chodziło. I wiedziałam, że chcę o tym napisać. Nie zależało mi na dokładnym poznaniu tych krajów; to już zrobiono. Jeśli rzeczywiście chciałam coś dokładnie poznać, miał to być za każdym razem inny aspekt samej siebie na tle kraju, w którym właśnie z tą sprawą tradycyjnie już świetnie sobie radzono. Chciałam poznać sztukę doznawania radości w Italii, pobożności w Indiach, a w Indonezji - sztukę równoważenia jednego z drugim. Dopiero znacznie później, kiedy już przyznałam się do tego marzenia, zwróciłam uwagę na to, że nazwy tych wszystkich krajów zaczynają się od litery I. To całkiem dobrze wróżący znak na początek wędrówki służącej odkrywaniu siebie.

Zechciejcie sobie teraz wyobrazić, ile okazji do żartów ten pomysł dał moim mądralińskim przyjaciółom. Chciałam pojechać do trzech I, prawda? To niby dlaczego nie miałabym spędzić roku w Iranie, Iraku i na Islandii? Albo jeszcze lepiej... czemu miałabym się nie udać na pielgrzymkę do wspaniałej trójki rozpoczynających się na „I” potęg: Islip, tej

dziury na Long Island, I-95 i Ikei? Moja przyjaciółka Susan zasugerowała nawet, żebym założyła organizację humanitarną pod nazwą Rozwódki bez granic. Wszystkie te żarty były jednak bezprzedmiotowe, ponieważ nie mogłam jeszcze nigdzie jechać. Do rozwodu - choć upłynęło tyle czasu od dnia, w którym skończyłam z moim małżeństwem - wciąż było daleko. Stosowanie nacisku prawnego wymagało ode mnie robienia okropnych rzeczy, prosto z najgorszych rozwodowych koszmarów, jak dostarczanie różnych zaświadczeń i pisanie oskarżeń (wymaganych prawem stanu Nowy Jork) na temat rzekomego psychicznego okrucieństwa mojego męża. Wszystkie te dokumenty nie zostawiały miejsca na żadne subtelności, nie było najmniejszej możliwości zwrócenia się do sędziego: „Tak naprawdę był to skomplikowany związek i ja też popełniłam ogromne błędy, bardzo mi z tego powodu przykro, i chcę jedynie, żeby pozwolono mi odejść”.

(W tym miejscu robię przerwę, żeby pomodlić się za moich drogich czytelników: Obyście nigdy, przenigdy, nie musieli się rozwodzić w Nowym Jorku.)

Wiosną 2003 roku sprawy osiągnęły stan krytyczny. Półtora roku po moim odejściu mąż był wreszcie gotów przedyskutować warunki ugody. Owszem, chciał dostać pieniądze i dom, i wyłączne prawo do mieszkania na Manhattanie... jednym słowem wszystko, co mu przez cały ten czas proponowałam. Oprócz tego jednak życzył sobie rzeczy, których w ogóle nie brałam pod uwagę (część z tantiem za książki napisane przeze mnie w trakcie małżeństwa, udział w zyskach z ewentualnej sprzedaży pozwoleń na kręcenie filmów, prawo do części moich funduszy emerytalnych itp.), i w tym miejscu musiałam wreszcie zaprotestować. Po miesiącach negocjacji pomiędzy naszymi prawnikami powoli zaczęła pojawiać się nadzieja na kompromis i szansa, że mój mąż zaakceptuje jakąś zmodyfikowaną ugodę. Wiedziałam, jak drogo by mnie ona kosztowała, ale walka w sądzie pochłonęłaby nieskończenie więcej pieniędzy i czasu, żeby już nie wspomnieć o tym, jak bardzo byłaby przygnębiająca. Gdyby podpisał ugodę, mogłabym zapłacić i odejść. To mnie urządziło. Relacje między nami były już tak zrujnowane, że brakowało w nich choćby odrobiny miejsca na zwykłą uprzejmość; teraz pragnęłam wyłącznie znaleźć się w drzwiach wyjściowych.

Problem polegał na tym, czy podpisze. Mijały tygodnie, a on przyczepiał się do kolejnych szczegółów. Gdyby nie zgodził się na tę ugodę, sprawa musiałaby trafić na wokandę. Proces niemal na pewno oznaczałby, że wydałabym ostatni grosz na opłacenie prawników. A co najgorsze, oznaczałby przynajmniej jeszcze jeden rok tego paskudnego zamętu. Zatem cokolwiek postanowi mój małżonek (wciąż przecież b y ł moim mężem), będzie to miało decydujący wpływ na kolejny rok mojego życia. Czy będę sobie podróżowała

samotnie przez Italię, Indie i Indonezję? Czy raczej gdzieś w podziemiach sądu będę pod przysięgą odpowiadać na pytania?

Codziennie dzwoniłam po czternaście razy do mojej prawniczki. „Coś nowego?” - pytałam, a ona za każdym razem mnie zapewniała, że robi, co może, i zadzwoni natychmiast, gdy ugoda zostanie podpisana. Moje ówczesne zdenerwowanie można by określić jako stan pośredni między tym, co się czuje, czekając na wezwanie do gabinetu szefa i na otrzymanie wyniku biopsji. Bardzo bym chciała powiedzieć, że byłam spokojna i wyciszona, jak każe filozofia zen, ale nic z tych rzeczy. Zdarzało się, że nocą w napadach złości niemiłosiernie okładałam swoją kanapę kijem do softballu. Na ogół jednak byłam już tylko bezgranicznie przygnębiona.

David i ja ponownie zerwaliśmy ze sobą. Tym razem wydawało się, że na dobre. A może nie... jakoś nie potrafiliśmy zrezygnować z siebie do końca. Nadal często byłam gotowa z miłości dla niego poświęcić wszystko. Kiedy indziej miałam całkowicie odmienne odczucia... w nadziei, że odnajdę spokój i szczęście, pragnęłam, żeby oddzielały nas od siebie wszystkie kontynenty i oceany.

Na mojej twarzy pojawiły się bruzdy, zapłakiwanie się i zamartwianie zostawiło trwałe ślady między moimi brwiami.

Na domiar złego, właśnie miało się ukazać paperbackowe wydanie książki, którą napisałam przed paroma laty, i musiałam pojechać w krótką trasę promocyjną. Dla towarzystwa zabrałam ze sobą przyjaciółkę Ivę. Jest w moim wieku, ale dorastała w Bejrucie, w Libanie. A to oznacza, że w czasach, gdy ja uprawiałam sporty i jako uczennica szkoły średniej w Connecticut brałam udział w przesłuchaniach do roli w musicalu, ona spędzała większość nocy, kuląc się w schronie i walcząc o przetrwanie. Nie mam pojęcia, jak te brutalne doświadczenia mogły ukształtować kogoś zrównoważonego, w każdym razie Iva jest jedną z najspokojniejszych osób, jakie znam. Posiada też coś, co nazywam bezpośrednim łączem telefonicznym z wszechświatem - jedyny w swoim rodzaju, czynny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kanał łączący ją z Bogiem.

Jechałyśmy więc przez Kansas i ciągle roztrzęsiona stanem niepewności - podpisze, nie podpisze? - odezwałam się do Ivy:

- Jeśli nie podpisze, to chyba nie zniosę ciągnącego się przez rok procesu. Potrzebuję boskiej interwencji. Chciałabym przedłożyć Bogu prośbę o zakończenie tego wszystkiego.

- Czemu tego nie zrobisz?

Wyjaśniłam Ivie moją osobistą opinię na temat modlitwy: że głupio mi prosić Boga o konkretne rzeczy, bo to świadczy chyba o słabości wiary. Nie lubię prosić: „Czy mógłbyś

zmienić to lub owo w moim życiu, bo sprawia mi kłopot?” Bóg może mieć przecież powód, żeby kazać mi zmagać się z tą konkretną trudnością. Łatwiej mi modlić się o siłę, która pozwoli mi spokojnie zmierzyć się z tym, co mnie w życiu spotyka, obojętnie, czym się to skończy. Iva wysłuchiwała mnie uprzejmie.

- Skąd ci przyszła do głowy taka głupia myśl? - spytała po chwili.

- O co ci chodzi?

- Skąd ten pomysł, że nie wolno ci się zwracać poprzez modlitwę do wszechświata? Jesteś jego częścią, Liz. Jesteś jego elementem... masz prawo uczestniczyć we wszechświecie i wyrażać swoje uczucia. Przedstaw więc tam swoją opinię. Zaprezentuj swoją sprawę. Możesz mi wierzyć... zostanie to co najmniej rozważone.

- Naprawdę? - Wszystko to dla mnie było całkowitą nowością.

- Naprawdę! Słuchaj... gdybyś teraz miała wystosować do Boga prośbę, to co byś w niej zawarła?

Myślałam przez chwilę, a potem wyciągnęłam notes i napisałam taką oto petycję:

Drogi Boże,

Proszę, zainterweniuj i pomóż zakończyć ten rozwód. Mój mąż i ja nie sprawdziliśmy się w naszym małżeństwie, a teraz nie sprawdzamy się podczas rozvodu. Ta sprawa zatruwa nasze umysły, sprowadza cierpienie na nas i na wszystkich bliskich nam ludzi.

Wiem, że jesteś zajęty wojnami i nieszczęściami, i znacznie poważniejszymi konfliktami niż spór jednej dysfunkcyjnej pary. Rozumiem jednak, że kondycja tej planety zależna jest od kondycji każdego pojedynczego jej mieszkańca. Dopóki choćby dwie osoby pozostają uwięzione w pułapce konfliktu, cierpi na tym cały świat. Podobnie, jeśli nawet jedna czy dwie osoby zostaną uwolnione z tej pułapki, wpłynie to dobrze na kondycję całego świata, tak jak kilka zdrowych komórek organizmu wpływa na jego stan ogólny.

Zanoszę więc do Ciebie moją pokorną prośbę, żebyś pomógł nam zakończyć ten konflikt, tak by dwoje ludzi mogło odzyskać wolność i zdrowie, by było odrobinę mniej wrogości i goryczy w świecie, na którym już i tak jest zbyt dużo bólu.

Dziękuję za uprzejmie poświęconą mi uwagę.

Z poważaniem,

Elizabeth M. Gilbert

Odczytałam to Ivie, a ona skinęła z aprobatą głową.

- Podpisałabym się pod tym - powiedziała.

Podalam jej petycję i długopis, ale była zbyt zajęta prowadzeniem auta.

- No dobrze, załóżmy, że ją właśnie podpisałam. Podpisałam ją w sercu.

- Dzięki, Iva. Doceniam twoje wsparcie.

- No dobrze, kto jeszcze by to podpisał? - spytała.

- Moja rodzina. Matka i ojciec. Siostra.

- W porządku - powiedziała. - Właśnie podpisali. Przyjmijmy, że ich nazwiska są tutaj. Zresztą czułam, jak podpisują. Są teraz na liście. OK... kto jeszcze by podpisał? Zaczynij dodawać nazwiska.

Zacząłam więc wymieniać nazwiska wszystkich, którzy moim zdaniem, podpisałiby tę prośbę. I tak wymieniłam wszystkich najbliższych przyjaciół, potem paru krewnych i kilka spośród osób, z którymi pracowałam. Po każdym nazwisku Iva potwierdzała: „Taa. Właśnie podpisał” albo „Właśnie podpisała”. Czasami zgłaszała własnych sygnatariuszy, na przykład: „Właśnie moi rodzice złożyli podpisy. Wychowywali dzieci podczas wojny. Nienawidzą bezsensownych konfliktów. Byliby szczęśliwi, widząc koniec tych rozwodowych korowodów”.

Zamknęłam oczy i czekałam, aż przyjdą mi do głowy następne nazwiska.

- Myślę, że Bill i Hillary Clintonowie właśnie ją podpisali - oświadczyłam.

- Nie wątpię - odparła Iva. - Posłuchaj, Liz... k a ż d y może podpisać się pod tą prośbą. Rozumiesz to? Wezwij kogokolwiek, żywego czy umarłego, i zacznij zbierać podpisy.

- Święty Franciszek z Asyżu właśnie podpisał! - J a s n e ! - Iva podkreśliła swoją pewność klepieniem w kierownicę.

Teraz dopiero dałam czadu.

- Abraham Lincoln podpisał! I Gandhi, i Mandela, i wszyscy rozjemcy i mediatorzy. Eleanor Roosevelt, Matka Teresa, Bono, Jimmy Carter, Muhammad Ali, Jackie Robinson i Dalajlama... i moja babka, która zmarła w 1984 roku, i moja żyjąca babka... i mój nauczyciel włoskiego, i moja terapeutka, i moja agentka... i Martin Luther King, i Katharine Hepburn... i Martin Scorsese - (czego pewno byście się nie spodziewali, niemniej to ładnie z jego strony) - ...i oczywiście moja guru... i Joanne Woodward, i Joanna d'Arc, i pani Carpenter, moja nauczycielka w czwartej klasie, i Jim Henson...

Imiona i nazwiska wylewały się ze mnie strumieniem. Płynęły nieustannie przez niemal godzinę, podczas gdy przemierzałyśmy Kansas, a moja pokojowa petycja rozrastała się o kolejne niewidzialne strony popierających mnie osób. Iva za każdym razem

potwierdzała - „tak, podpisał, tak podpisała” - a mnie, otoczoną zbiorową dobrą wolą tylu znaczących ludzi, ogarnęło wspaniałe poczucie bezpieczeństwa.

Wreszcie lista się skończyła, a wraz z nią mój niepokój. Poczułam senność.

- Zdrzemnij się - powiedziała Iva.

Zamknęłam oczy. Pojawiło się jeszcze jedno, ostatnie nazwisko.

- Właśnie podpisał się Michael J. Fox - wymamrotałam i pogrążyłam się we śnie.

Nie wiem, jak długo spałam, może tylko dziesięć minut, ale był to głęboki sen. Kiedy się obudziłam, Iva nuciła pod nosem jakąś piosenkę. Ziewnęłam.

Zadzwoiła moja komórka.

Popatrzyłam na to wariackie *telefonino* wibrujące z podnieceniem w popielnicze wynajętego samochodu. Byłam zdezorientowana, otumaniona drzemką, nagle zapomniałam, do czego służy telefon.

- Na co czekasz - odezwała się Iva. Ona już wiedziała. - Odbierz.

Podniosłam telefon, wyszeptałam „halo”.

- Wspaniałe wiadomości! - oświadczyła moja prawniczka daleko w Nowym Jorku. - Właśnie podpisał!

10

Kilka tygodni później mieszkam we Włoszech. Rzuciłam pracę, spłaciłam zobowiązania rozwodowe i rachunki prawników, oddałam dom, mieszkanie, zostawiłam u siostry rzeczy, jakie mi zostały, i spakowałam dwie walizki. Rozpoczął się mój rok podróży. Stać mnie na to dzięki oszałamiającemu cudowi, jaki mi się zdarzył: mój wydawca zapłacił mi z góry za książkę, w której ją opiszę. Było dokładnie tak, jak przepowiedział ów indonezyjski szaman. Straciłam wszystkie pieniądze i natychmiast je zastąpiłam innymi... przynajmniej taką ilością, żeby starczyło na ten rok.

Jestem więc teraz mieszkanką Rzymu. Mieszkanie, które sobie znalazłam, to cicha kawalerka w historycznym budynku, kilka przecznic od Schodów Hiszpańskich, rozciągających się w cieniu wytwornych ogrodów Willi Borghese, niedaleko od piazza del Popolo, gdzie starożytni Rzymianie organizowali wyścigi rydwanów. Oczywiście dzielnica ta

nie ciągnie się imponująco jak tamta moja nowojorska, z widokiem na wlot do Lincoln Tunnel, mimo to... Wystarczy.

11

Pierwszy posiłek, jaki zjadłam w Rzymie, był całkiem skromny. Makaron domowej roboty (spaghetti carbonara) ze szpinakiem i czosnkiem. (Wielki poeta romantyczny Shelley napisał kiedyś wstrząśnięty w liście do przyjaciela w Anglii na temat włoskiej kuchni: „Młode kobiety z towarzystwa jedzą tutaj - nigdy byś nie zgadł - CZOSNEK!”) Spróbowałam karczocha; Rzymianie są bardzo dumni ze swoich karczochów. Potem czekała mnie niespodzianka w postaci przystawki, którą kelnerka podała gratis - porcji smażonych kwiatów cukinii z odrobiną sera pośrodku (przygotowanych z taką delikatnością, że prawdopodobnie kwiatki nie zdążyły nawet zauważyć rozstania się z łądygą). Po spaghetti spróbowałam cieleciny. Aha, wypłam też karafkę podawanego w tym lokalu czerwonego stołowego wina, sama, całą. I zjadłam trochę ciepłego chleba z solą i oliwą z oliwek. Na deser tiramisu.

Kiedy po posiłku wracałam do domu, około godziny jedenastej, z jednego z pobliskich domów dochodził hałas, przypominało to zabawę siedmiolatków... może przyjęcie urodzinowe? Śmiech i wrzaski, i bieganie. Wspięłam się na schody do swojego mieszkania, położyłam na swoim nowym łóżku i zgasłam światło. Czekałam, kiedy zacznę płakać albo się zamartwiać, ponieważ zawsze tak się działo, kiedy gasło światło, ale czułam się całkiem nieźle. Właściwie czułam się dobrze. Zaczęłam wręcz odczuwać pierwsze objawy zadowolenia.

Moje zmęczone ciało zapytało mój zmęczony umysł: „Więc tylko tego ci brakowało?” Odpowiedzi nie było. Spałam.

12

W każdym z ważniejszych miast Zachodu niektóre *rzeczy* zawsze wyglądają tak samo. Tacy sami Afrykanie sprzedają podróbki torebek i okularów słonecznych tych samych

projektantów, a tacy sami gwatemalscy muzycy grają na bambusowych fujarkach *I'd rather be a sparrow than a snail*. A jednak pewne rzeczy spotykamy tylko w Rzymie. Na przykład sprzedawcę kanapek, który w sposób zupełnie naturalny zwraca się do mnie „piękna” za każdym razem, kiedy rozmawiamy. „Życzysz sobie panino z grilla czy na zimno, bella? Albo migdałace się pary, których wszędzie pełno, jakby chodziło o jakieś zawody. Spleceni w uścisku ludzie rozkładają się na ławkach, gładzą się wzajemnie po włosach i kroczu, nieustannie się przytulają, ocierają o siebie...

I fontanny. Pliniusz Starszy napisał kiedyś: „Jeśli ktoś zastanowi się nad ilością wody dostarczanej do Rzymu dla celów publicznych, do łaźni, zbiorników, kanałów, domów, ogrodów, willi, i rozważy odległość, jaką pokonuje ona po wysokich łukach akweduktów, przez przebite góry, ponad dolinami... przyzna, że na całym świecie nie istniało nigdy nic cudowniejszego”.

Prawie dwadzieścia wieków później mam kilka konkurentek do miana mojej ulubionej rzymskiej fontanny. Jedna znajduje się w Willi Borghese. Pośrodku tej fontanny stoi baraszkująca rodzinka z brązu. Tata jest faunem, mama zwyczajną kobietą. Jest z nimi dziecko, które zajada winogrono. Mama i tata przyjęli dziwne pozy - przodem do siebie, trzymając się wzajemnie za nadgarstki, odchylają się do tyłu. Trudno powiedzieć, czy szarpią się za ręce w walce, czy kręcą wesoło w kółko, niemniej widać, że kipią energią. Tak czy owak, dziecię przysiadło sobie na ich wyciągniętych rękach, obojętne na ich rozbawienie czy zmagania, objada winogrona z kiści i wymachuje kopytkami. (Ma je po tatusiu.)

Jest początek września 2003 roku. Ciepły i rozleniwiający. Dotychczas, a to już czwarty dzień w Rzymie, moja stopa nie przekroczyła progu żadnego kościoła ani muzeum, nie zajrzałam też jeszcze do przewodnika. Włączyłam się tylko bez końca i bez celu, aż natrafiłam na malutki lokalik, gdzie, jak poinformował mnie życzliwy kierowca autobusu, mają najlepsze lody w Rzymie. Nazywa się Il Gelato di San Crispino. Nie jestem pewna, ale chyba można to przetłumaczyć jako „lody chrupkiego świętego”. Spróbowałam miodowych i orzechowych. Nieco później tego samego dnia wróciłam po grejpfrutowe i melonowe. Wieczorem, po kolacji, wybrałam się tam raz jeszcze, pieszo, żeby spróbować cynamonowo-imbirowych.

Codziennie staram się przeczytać jeden artykuł w gazecie, obojętnie ile czasu miałyby mi to zająć. Mniej więcej co trzecie słowo sprawdzam w słowniku. Dzisiejsze wiadomości były fascynujące. Trudno sobie wyobrazić bardziej dramatyczny nagłówek: *Obesità! I Bambini Italiani Sono i Più Grassi d'Europa!* Dobry Boże! Otyłość! Ten artykuł, jak sędzę, mówi o tym, że włoskie niemowlęta są najgrubsze w Europie! Czytając dalej, dowiaduję się,

że są one znacząco grubsze od niemieckich i bardzo znacząco grubsze od francuskich. (Na szczęście nie podano, jak wyglądają w porównaniu z dziećmi amerykańskimi.) Starsze dzieci włoskie też są niepokojąco otyłe, piszą w artykule. (Przemysł makaronowy się obronił.) Te alarmujące dane dotyczące otyłości włoskich dzieci zostały udostępnione wczoraj przez - nie ma potrzeby tego tłumaczyć - *una task force internazionale*. Odszyfrowanie artykułu zajęło mi niemal godzinę. Przez cały ten czas jadłam pizzę i słuchałam jednego z włoskich dzieci, które po drugiej stronie ulicy grało na akordeonie. Dzieciak nie wyglądał mi na szczególnie upasionego, może dlatego, że był Cyganem. Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam ostatnią linijkę artykułu, ale wydaje mi się, że zdaniem rządu jedynym sposobem na tę plagę otyłości we Włoszech będzie nałożenie podatku od nadwagi... Czy to może być prawda? Czy jak będę się tak zajadać przez kilka miesięcy, to mnie też dopadną?

Trzeba czytać codziennie gazetę, żeby wiedzieć, jak się miewa papież. Tutaj, w Rzymie, stan zdrowia papieża jest ogłaszany codziennie w gazecie, podobnie jak prognoza pogody czy program telewizji. Dzisiaj papież jest zmęczony. Wczoraj papież był mniej zmęczony niż dzisiaj. Jutro, jak się spodziewamy, papież nie będzie tak zmęczony jak dzisiaj.

Czuję się tutaj niczym w jakiejś krainie z bajki. Dla kogoś, kto zawsze chciał znać włoski, cóż może być lepszego od Rzymu? Zupełnie jakby ktoś wymyślił miasto w pełni odpowiadające moim konkretnym potrzebom, w którym wszyscy (nawet dzieci, nawet taksówkarze, nawet aktorzy w reklamach!) posługują się tym magicznym językiem. Jakby ludzie zmówili się, żeby nauczyć mnie włoskiego. Gotowi są nawet drukować gazety po włosku, co im szkodzi!, tak długo, jak tu będę. Są tutaj księgarnie, które sprzedają **w y ł ą c z n i e** książki napisane w języku włoskim! Wczoraj natrafiłam na taką jedną i czułam się, jakbym weszła do czarodziejskiego pałacu. Wszystko było po włosku... nawet Dr Seuss. Obeszłam wewnątrz, dotykając książek, w nadziei, że każdy kto na mnie spojrzy, pomyśli sobie, że włoski to mój język ojczysty. Och, jak bardzo bym chciała, żeby włoski otworzył się przede mną całkowicie! To uczucie przypominało mi czas, kiedy miałam cztery lata i nie potrafiłam jeszcze czytać, ale marzyłam, żeby się nauczyć. Pamiętam, jak siedziałam z matką w poczekalni u lekarza, trzymając w rękach miesięcznik „Good Housekeeping”, jak obracałam powoli kartki, wpatrywałam się w tekst, z nadzieją, że dorośli w tej poczekalni pomyślą sobie, że rzeczywiście czytam. Nigdy później nie rwałam się w ten sposób do opanowania żadnej dziedziny wiedzy. Znalazłam w tej księgarni dzieła kilku amerykańskich poetów, z wersją oryginalną wydrukowaną na jednej stronie, a włoskim przekładem na drugiej. Kupiłam tomik Roberta Lowella i Louise Gluck.

Gdziekolwiek się ruszę, trafiam na spontaniczne lekcje konwersacji. Siedziałam dzisiaj na ławce w parku, kiedy podeszła maleńka staruszka w czarnej sukni, usadziła się obok i zaczęła mnie za coś besztać. Oniemiała i zdezorientowana tylko kręciłam głową. Wreszcie odezwała się bardzo ładną włoszczyzną: „Przykro mi, ale nie mówię po włosku”, a ona spojrzała na mnie, jakby miała wielką ochotę mi przyłożyć. „Ale rozumiesz!” - upierała się. (Co ciekawe, miała rację. To zdanie rzeczywiście zrozumiałam.) Potem chciała wiedzieć, skąd jestem. Powiedziałam, że z Nowego Jorku, i spytałam, skąd ona pochodzi. Też pytanie... z Rzymu. Co usłyszawszy, zaklaskałam w dłonie jak małe dziecko. „Och, Rzym! Piękny Rzym! Uwielbiam Rzym! Uroczy Rzym!” Słuchała moich prymitywnych deklamacji ze sceptyczną miną. Potem przeszła do rzeczy i spytała, czy jestem mężatką. Powiedziałam, że jestem rozwiedziona. Pierwszy raz wypowiedziałam te słowa, i to na dodatek po włosku. Jej reakcja była do przewidzenia. Perché? - rzuciła.

Cóż... na pytanie „dlaczego?” trudno odpowiedzieć w jakimkolwiek języku. Jąkałam się, po czym w końcu wykrztusiłam: *L'abbiamo rotto* („Rozeszliśmy się”).

Skinęła głową, wstała i poszła na swój przystanek, wsiadła do autobusu i nawet się nie obejrzała. Czy była na mnie zła? Dziwne, ale czekałam na nią dwadzieścia minut na tej parkowej ławce, mając nadzieję, wbrew rozsądkowi, że może wróci i podejmie przerwana rozmowę, ale nie wróciła. Miała na imię Celeste, wymawiane z ostrym cz jak w cello.

Później tego samego dnia znalazłam bibliotekę. Ojej, jak ja to lubię. Ponieważ jesteśmy w Rzymie, ta biblioteka to istne stareńkie cacko. W jej wnętrzu znajduje się dziedziniec z ogrodem, którego istnienia nigdy byście nie odgadli, patrząc na ten dom z ulicy. Idealnie kwadratowy ogród, obsadzony drzewkami pomarańczowymi, ma w samym środku fontannę. Ta fontanna dołączy do rywalizujących o miano mojej ulubionej. Od razu to wiedziałam, choć nie przypominała żadnej, jakie dotąd widziałam. Przede wszystkim nie była wyrzeźbiona ze szlachetnego marmuru. Była małą, zieloną, omszałą, naturalną fontanną. Przypominała zmierzwioną, przeciekającą kępę paproci. (Prawdę mówiąc, wyglądała jak tanto zielsko wyrastające z głowy postaci, którą narysował w Indonezji stary szaman.) Woda tryskała z samego środka tego kwitnącego krzaka i spadała deszczem na liście, z melancholijnym, rozkosznym, dźwiękiem, który rozchodził się po całym dziedzińcu.

Usiadłam na ławce pod drzewkiem pomarańczowym i otworzyłam jeden ze zbiorów poezji, które kupiłam dzień wcześniej. Louise Glück. Przeczytałam pierwszy wiersz po włosku, potem po angielsku i zatrzymałam się raptownie przy wersie:

Dal centro della mia vita venne una grande fontana...

„Z głębi mojego życia wytrysnęła wspaniała fontanna...”

Ogarnięta radosną ulgą odłożyłam książkę na kolana.

13

Mówiąc prawdę, nie jest ze mnie najlepsza podróżniczka.

Wiem to, bo mnóstwo podróżowałam i widziałam ludzi, którzy są w tej dziedzinie mistrzami. Są do tego stworzeni. Spotykałam podróżników, którzy są tak krzepcy, że mogliby wypić wiadro wody z rynsztoka Kalkuty i nie zachorować. Łapią obce języki jak inni infekcje. Zawsze wiedzą, jak nie przyciągnąć uwagi groźnego przedstawiciela straży granicznej i jak przypochlebić się niechętnemu urzędnikowi wystawiającemu wizy. Są to ludzie, którzy mają odpowiedni wzrost i karnację, żeby nie rzucać się w oczy, gdziekolwiek się udadzą... w Turcji mogliby uchodzić za Turków, w Meksyku stają się nagle Meksykanami, w Hiszpanii można ich wziąć za Basków, w Afryce Północnej - za Arabów...

Ja tych cech nie posiadam. Przede wszystkim nie wtapiam się w otoczenie. Wysokiej blondynce z różową cerą jest bliżej do flaminga niż kameleona. Gdziekolwiek pojedę, z wyjątkiem Dusseldorfu, wyróżniam się w widoczny sposób. Kiedy byłam w Chinach, kobiety na ulicy podchodziły bliżej i pokazywały mi palcami dzieciom, zupełnie jakbym była zbiegłym z ogrodu zoologicznego zwierzęciem. A te dzieci - które nigdy wcześniej nie widziały takiej widmowej osoby o różowej twarzy i żółtych włosach - często na mój widok wybuchały płaczem. Szczerze tego w Chinach nie znosiłam.

Kiepska też jestem (czy może raczej leniwa), jeśli chodzi o studiowanie informacji na temat odwiedzanych miejsc; mam zwyczaj się tam pojawiać i czekać, co się będzie działo. Kiedy człowiek tak właśnie podróżuje, na ogół godzinami tkwi zdezorientowany na jakiejś stacji kolejowej albo niepotrzebnie wydaje za dużo na hotele tylko dlatego, że za mało wie. Moje niepewne wyczucie kierunku i słaba orientacja w terenie oznaczają, że wprawdzie byłam na sześciu kontynentach, ale miałam dość mgliste pojęcie na temat tego, gdzie się w danym momencie znajduję. Poza zwichrowanym kompasem wewnętrznym charakteryzuję się nieumiejętnością zachowania spokoju, co w podróży może być istną kulą u nogi. Nigdy nie przyswoiłam sobie umiejętności przybierania obojętnego, niewzruszonego wyrazu twarzy, dzięki któremu stajemy się niewidoczni, co jest szczególnie użyteczne podczas podróży przez niebezpieczne obce tereny. No wiecie - chodzi mi o tę superodprężoną minę, która powoduje,

że pasujecie do każdego miejsca i sytuacji, nawet jeśli się znajdziecie w samym środku rozruchów w Dżakarcie. Ze mną jest odwrotnie. Kiedy nie wiem, co robię, to wyglądam jak ktoś, kto nie wie, co robi. Kiedy jestem podekscytowana lub zdenerwowana, wyglądam na podekscytowaną i zdenerwowaną. A kiedy się zgubię, co zdarza się często, widać po mnie, że się zgubiłam. Jak to kiedyś ujął David: „Masz odwrotność tego, co nazywają twarzą pokerzysty. Masz, że tak powiem... twarz gracza w minigolfa”.

Aha! I jeszcze te udreki, o jakie podróże przyprawiają mój układ pokarmowy. Nie chcę tak naprawdę otwierać tej (wybaczcie wyrażenie) puszkę Pandory, wystarczy powiedzieć, że spotkały mnie wszystkie przypadki skrajnych kłopotów trawiennych. W Libanie pewnej nocy zachorowałam tak gwałtownie, że podejrzewałam już u siebie jakąś bliskowschodnią wersję wirusa Ebola. Na Węgrzech dopadła mnie zupełnie inna przypadłość jelitowa, która doprowadziła do tego, że już na zawsze zmienił się mój stosunek do określenia „blok sowiecki”. Mam też inne fizyczne słabości. Mój krzyż wysiadł pierwszego dnia podróży po Afryce, w Wenezueli byłam jedynym członkiem grupy, który wynurzył się z dżungli z zakażeniem po ugryzieniach pajaków; no i pytam was - błagam, powiedzcie! - czy słyszeliście o kimś, kto doznał poparzenia słonecznego w S t o k h o l m i e ?

Pomimo wszystkich tych niemiłych przygód podróżowanie jest jednak prawdziwą wielką miłością mojego życia. Od czasu, kiedy w wieku szesnastu lat pojechałam w swoją pierwszą podróż do Rosji za pieniądze zarobione na pilnowaniu dzieci, czułam niezmiennie, że jeżdżenie po świecie warte jest wszelkich kosztów i poświęceń. Jestem lojalna i stała w miłości do podróży, tak jak nie zawsze byłam lojalna i stała w innych miłościach. Do podróżowania mam taki stosunek jak szczęśliwa młoda matka do swojego nieznośnego, cierpiącego na kolki, niespokojnego nowo narodzonego malucha - niezależnie od tego, na co mnie naraża. Ponieważ je uwielbiam. Bo jest moje. Bo wygląda dokładnie tak jak ja. Może mnie całą obrzygać, jeśli przyjdzie mu ochota... i niczego to nie zmieni w moich uczuciach.

W każdym razie jak na flaminga nie jestem tak zupełnie bezradna w szerokim świecie. Mam własny zestaw technik umożliwiających przetrwanie. Jestem cierpliwa. Umiem się tak spakować, żeby bagaż był lekki. Niestraszne mi żadne potrawy. Moim największym talentem podróżnika jest jednak to, że mogę zaprzyjaźnić się z k a ż d y m . Nawet z umarłym. Kiedyś w Serbii zaprzyjaźniłam się ze zbrodniarzem wojennym, a on zaprosił mnie na wakacje w górach do swojej rodziny. Nie żebym była dumna z włączania masowych morderców do kręgu najbliższych mi i najdroższych (musiałam się z nim zaprzyjaźnić, żeby usłyszeć jego historię, a także żeby uniknąć jego pięści), ja tylko mówię... że potrafię to zrobić. Gdyby w pobliżu nie było nikogo, z kim mogłabym pogadać, pewnie byłabym w stanie zaprzyjaźnić się

z wysokim na cztery stopy stosem płyt kartonowo-gipsowych. Dlatego nie boję się podróżować do większości odległych miejsc na świecie, jeśli tylko są tam jakieś istoty ludzkie.

„Masz w Rzymie przyjaciół?” - pytali mnie ludzie przed wyjazdem do Włoch, a ja kręciłam przecząco głową i myślałam sobie: *Ale będę miała.*

Na ogół w podróży zaprzyjaźniasz się z ludźmi, których poznajesz nieoczekiwanie, na przykład siadając obok nich w pociągu, w restauracji lub w policyjnej izbie zatrzymań. Ale to jest szczęśliwy traf, a my nigdy nie powinniśmy zdawać się całkowicie na przypadek. W ramach systematycznego podejścia do zagadnienia wciąż istnieje znakomita stara metoda „listu polecającego” (obecnie raczej w postaci e-maila). To świetny sposób poznawania ludzi, jeśli ma się dość tupetu, żeby zadzwonić i wprosić się na kolację. Zatem przed wyjazdem do Włoch pytałam wszystkich swoich amerykańskich znajomych, czy nie mają jakichś przyjaciół w Rzymie, i muszę z zadowoleniem oświadczyć, że wyruszyłam w podróż z całkiem długą listą.

Z największą ciekawością czekam, by spośród osób znajdujących się na mojej liście potencjalnych włoskich przyjaciół poznać kogoś, kto... trzymajcie się mocno... nazywa się Luca Spaghetti. Luca Spaghetti jest serdecznym przyjacielem mojego kumpla Patricka McDevitta, którego znam jeszcze ze studiów. I naprawdę tak się nazywa, przysięgam na Boga, nie zmyślam. To zupełnie szalone. To znaczy... tylko pomyślcie. Wyobrażacie sobie na starość nazywać się Patrick McDevitt?

W każdym razie planuję jak najszybciej skontaktować się z Lucą Spaghettem.

14

Najpierw jednak muszę wciągnąć się w tryby szkoły. Zajęcia w Akademii Języka imienia Leonarda da Vinci, gdzie pięć razy w tygodniu po cztery godziny dziennie będę się uczyć włoskiego, zaczynają się dzisiaj. Jestem tym bardzo podniecona. Taka ze mnie bezwstydną uczennicą. Już wieczorem przygotowałam sobie ubranie, tak jak zrobiłam to dawno temu przed pierwszym dniem w pierwszej klasie, z półbutami z lakierowanej skóry i nowym pudełkiem na lunch. Mam nadzieję, że nauczyciel mnie polubi.

Pierwszego dnia w Leonardzie da Vinci wszyscy przechodzimy test, na którego podstawie odbędzie się przydział do grup o odpowiednim poziomie. Kiedy tylko o tym usłyszałam, natychmiast zaczęłam się martwić, by nie zakwalifikowano mnie na poziom pierwszy; to byłoby upokarzające, zważywszy na fakt, że już miałam za sobą cały semestr nauki włoskiego w wieczorowej szkole dla rozwódek w Nowym Jorku i że spędziłam lato, ucząc się na pamięć słówek ze specjalnych kart, i że już od tygodnia byłam w Rzymie i ćwiczyłam włoski w kontaktach osobistych, rozmawiając nawet ze starszankami o rozwodzie. Rzecz w tym, że nie wiem, ile jest tych poziomów, ale ledwie usłyszałam słowo poziom, postanowiłam, że muszę się dostać na poziom drugi... c o n a j m n i e j .

Leje więc dzisiaj jak z cebra, a ja przychodzę do szkoły wcześniej (jak zawsze to robiłam... idiotka!) i przystępuję do testu. Jest taki trudny! Nie mogę przebrnąć nawet przez jedną dziesiątą! Uczylałam się już włoskiego, znam d z i e s i ą t k i włoskich słów, ale oni nie chcą nic z tego, co znam. A potem jest egzamin ustny, jeszcze gorszy. I ta chuda włoska nauczycielka, która mnie przepytuje i moim zdaniem mówi o wiele za szybko, i powinno mi iść znacznie lepiej, niż idzie, ale jestem tak zdenerwowana, że popełniam błędy, których już nie powinnam popełniać (dlaczego na przykład powiedziałam *Vado a scuola* zamiast *Sono andata a scuola*?. Przecież to wiem!).

Wszystko jednak kończy się dobrze. Chuda nauczycielka przegląda mój test i wybiera dla mnie poziom nauki:

DRUGI!

Zajęcia zaczynają się po południu. Idę więc na lunch (pieczona cykorja), potem wracam do szkoły, z wyższością mijam wszystkich uczniów z poziomu pierwszego (którzy naprawdę muszą być molto stupido) i wchodzę na swoje pierwsze zajęcia. Z równymi sobie. Tyle, że bardzo szybko staje się oczywiste, że nie dorównuję im i że nie powinno mnie tutaj w ogóle być, bo poziom drugi jest nieznośnie t r u d n y . Mam uczucie, jakbym próbowała pływać, ledwo-ledwo utrzymując się na powierzchni. Jakbym za każdym oddechem łykała wodę. Nauczyciel, chudy facet (dlaczego nauczyciele tutaj są tacy chudzi? Nie ufam chudym Włochom) za szybko rwie do przodu, opuszcza całe rozdziały książki, powtarzając: „To już znacie, tamto już wiecie...” i z szybkością karabinu maszynowego prowadzi konwersację z moimi najwyraźniej biegłymi w tym kolegami. Żołądek mam ściśnięty z przerażenia, z trudem łapię oddech i modlę się, żeby mnie nie wywołał. Ledwie lekcja się kończy, a ja wybiegam na trzęsących się nogach i niemal we łzach pędzę do biura, gdzie bardzo czystą angielszczyzną błagam, żeby przenieśli mnie na poziom pierwszy. Przenoszą. I teraz jestem tutaj.

Ten nauczyciel jest pulchny i mówi powoli. Tak jest znacznie lepiej.

15

Jeśli chodzi o tę moją klasę, ciekawe jest to, że nikt z tych ludzi tak naprawdę nie musi tutaj być. Jest nas dwanaścioro, w różnym wieku, z całego świata, ale wszyscy przybyli do Rzymu w tym samym celu - uczyć się włoskiego, bo taką mają ochotę. Żadne z nas nie potrafi wymienić nawet jednego praktycznego powodu swojej obecności tutaj. Niczyj szef nie powiedział: „Musisz koniecznie opanować włoski, żebyśmy mogli prowadzić nasze interesy za granicą”. Wszyscy, nawet ten sztywny niemiecki inżynier, dzielą ze mną motywację, którą dotąd uważałam za jak najbardziej osobistą: chcemy mówić po włosku, bo czerpiemy ogromną radość z uczucia, jakie nam to daje. Rosjanka o smutnej twarzy mówi, że pozwala sobie na naukę włoskiego, ponieważ uważa, że zasługuje na coś pięknego. Niemiecki inżynier powiada: „Chcę poznać włoski, bo uwielbiam *dolce vita*” - słodkie życie. (Przy jego twardym niemieckim akcencie brzmi to tak, jakby uwielbiał *deutsche vita* - niemieckie życie - którego, obawiam się, miał już dosyć.)

Jak odkryję podczas tych kilku następnych miesięcy, na to, że włoski nie tylko dla mnie jest najbardziej uwodzicielsko pięknym językiem na świecie, złożyło się parę istotnych rzeczy. Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że kiedyś w Europie panował harmider niezliczonych, wywodzących się z łaciny dialektów, które stopniowo, w miarę upływu stuleci, ukształtowały się w kilka odrębnych języków - francuski, portugalski, hiszpański, włoski. Sposób, w jaki odbyło się to we Francji, Portugalii i Hiszpanii, można określić mianem ewolucji organicznej: dialekt najbardziej znaczącego miasta był stopniowo przejmowany przez cały region. Tak więc to, co dziś nazywamy francuskim, jest naprawdę pewną wersją średniowiecznego paryskiego. Portugalski to w zasadzie lizboński. Hiszpański, to w istocie madrileno - madrycki.

Z włoskim było inaczej. Jedną z zasadniczych różnic wynikała z tego, że Italia bardzo długo nie była nawet państwem. Zjednoczenie nastąpiło późno (zapoczątkowane w 1861 roku); do tamtego czasu był to po prostu półwysep opanowany przez butnych miejscowych książąt albo przez innych europejskich władców miast-państw, które toczyły z sobą nieustanne wojny. Kawałki Italii należały do Francji, do Hiszpanii, niektóre części do

Kościola, a jeszcze inne do każdego, kto potrafił zagarnąć miejscową twierdzę lub pałac. Ludność Italii czuła się tą dominacją albo upokorzona, albo miała do niej stosunek nonszalancki. Większości nie podobało się kolonizowanie przez europejskich współbraci, ale był jeszcze ten apatyczny tłumek, który głosił: *Franza o Spagna, purché se magna*, co można przetłumaczyć jako: „Francja czy Hiszpania, bylebym miał co jeść”.

Ten wewnętrzny podział oznaczał, że Italia nie tworzyła całości i nie powstał jeden wspólny język. Nic zatem dziwnego, że przez stulecia Włosi pisali i mówili różniącymi się od siebie lokalnymi dialektami, co było bardzo kłopotliwe. Uczony z Florencji miał trudności, żeby dogadać się z sycylijskim poetą lub weneckim kupcem (chyba, że po łacinie, której jednak nie można by uznać za język narodowy). W szesnastym wieku zebrała się grupa włoskich intelektualistów i uznała tę sytuację za absurdalną. Ten włoski półwysep koniecznie potrzebował włoskiego języka, przynajmniej w formie pisanej, na którą wszystkim łatwiej byłoby się zgodzić. Zatem zgromadzeni intelektualiści dokonali dzieła bez precedensu w historii Europy; wybrali najpiękniejszy z lokalnych dialektów i nazwali go językiem włoskim.

Aby odszukać najpiękniejszy z dialektów, jakich kiedykolwiek używano w Italii, musieli sięgnąć dwa stulecia wstecz, do czternastowiecznej Toskanii. Dialekt, który od tej pory będzie uważany za właściwy język włoski, to ten, którym posłużył się wielki florencki poeta, Dante Alighieri. Dante nie napisał swojej *Boskiej Komedii* (1321), wizjonerskiego obrazu wędrówki przez Piekło, Czyściec i Raj, po łacinie, miał bowiem poczucie, że łacina jest zdegenerowanym językiem elit i jej użycie w poważnej prozie „zmieniło literaturę w ladacnicę”, czyniąc narrację uniwersalną, dostępną jedynie za pieniądze, poprzez przywilej arystokratycznego wykształcenia. Dante sięgnął więc na ulice, biorąc z nich żywy język, jakim mówili mieszkańcy jego miasta (także Boccaccio i Petrarca).

Arcydzieło Dantego należało do *dolce stil nuovo*, „słodkiego nowego stylu” i wywarło taki sam wpływ na język, jaki kiedyś dzieła Szekspira miały wyrzucić na angielszczyznę okresu elżbietańskiego. Fakt, że o wiele później jakaś grupa intelektualistów o nastawieniu narodowym usiadła i zdecydowała, że język Dantego będzie od tej chwili językiem oficjalnym, można by przyrównać do sytuacji, w której grupa oksfordzkich profesorów siada sobie w dziewiętnastym stuleciu i postanawia, że od tej chwili już na zawsze każdy żyjący w Anglii będzie mówił czystym Szekspirem. Co zadziwiające, to się rzeczywiście udało.

Dlatego język włoski, jakim mówimy dzisiaj, nie jest ani dialektem rzymskim, ani weneckim (choć były to dwa potężne pod względem wojskowym i ekonomicznym miasta), ani nie do końca tokańskim. W gruncie rzeczy jest on dantejski. Żaden inny europejski język nie ma tak artystycznego rodowodu. I bardzo możliwe, że żaden inny język nie nadaje się

lepiej do wyrażania ludzkich uczuć niż ten czternastowieczny dialekt w formie nadanej mu przez jednego z najwspanialszych poetów cywilizacji zachodniej. Dante napisał *Boską Komedie w terza rima*, tercynie - co oznacza trójwersową strofę z rymem okalającym, w których środkowy wers strofy pierwszej rymuje się z pierwszym i trzecim strofy następnej - nadając pięknemu dialektowi tokańskiemu to, co uczeni zwą „rytmem kaskadowym”... rytm, który nawet dzisiaj żyje w opadającej poetyckiej intonacji włoskich taksówkarzy i rzeźników oraz urzędników administracji państwowej. Ostatni wers Boskiej Komedii, w którym Dante wyraża swoje uczucia, kiedy dane mu jest oglądać samego Boga, wciąż pozostaje zrozumiałą dla każdego, kto zna tak zwany nowoczesny język włoski. Dante pisze, że Bóg jest nie tylko oślepiającym wspaniałością światłem, ale że jest On nade wszystko *l'Amor che move il sole e l'altre stelle...*

„Miłością, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy”¹.

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że tak rozpaczliwie chcę się nauczyć tego języka.

16

Przygnębienie i Samotność odnajdują mnie po jakichś dziesięciu dniach pobytu we Włoszech, kiedy pewnego wieczoru, po udanym dniu w szkole, idę przez Willa Borghese i oglądam słońce zachodzące złościście za Bazyliką Świętego Piotra. Czuję się dobrze w tej romantycznej scenerii, mimo że jestem zupełnie sama, a wszyscy inni w tym parku albo tulą ukochaną osobę, albo bawią się z roześmianym dzieckiem. Zatrzymuję się jednak przy balustradzie, żeby obejrzeć zachód słońca, i odrobinę za dużo myślę, co zamienia się w rozpamiętywanie, i to właśnie wtedy mnie dopadają.

Skradają cię cicho, groźne niczym detektywi Pinkertona, biorą mnie między siebie - Przygnębienie ustawia się z lewej, Samotność z prawej. Nie muszą mi pokazywać odznak. Dobrze znam tych agentów. Od lat gramy ze sobą w kotka i myszkę. Choć przyznam, że jestem dość zaskoczona spotkaniem o zmroku w wytwornym włoskim ogrodzie. Zupełnie tutaj nie pasują.

„Jak mnie znaleźliście? - pytam. - Kto wam powiedział, że jestem w Rzymie?”

Przygnębienie, mądrała jak zawsze, rzuca: „A co... nie cieszysz się?”

¹ Przekł. E. Porębowicza.

„Odejdź”, mówię mu.

Samotność, ta wrażliwsza agentka, mówi: „Przykro mi, proszę pani. Możliwe, że będę musiała panią śledzić podczas całej tej podróży. Takie przydzielono mi zadanie”.

„Wolałabym nie”, mówię do niej, a ona wzrusza ramionami, niemalże przeprasza ją, jednocześnie jednak przysuwa się coraz bliżej.

Potem mnie obszukują. Opróżniają mi kieszenie z wszelkiej radości, którą tam nosiłam. Przygnębienie konfiskuje mi nawet tożsamość, ale on zawsze to robi. Potem Samotność zaczyna mnie przesłuchiwać, co mnie przeraża, bo to zawsze ciągnie się godzinami. Jest uprzejma, ale nieustępliwa i ostatecznie zawsze złapie mnie na jakiejś nieścisłości. Pyta, czy znam jakiś powód, dla którego miałabym być zadowolona. Pyta, dlaczego dzisiaj wieczorem znowu jestem sama. Pyta (choć te pytania przerabialiśmy już setki razy), dlaczego moje związki zawsze się rozpadają, dlaczego zniszczyłam swoje małżeństwo, dlaczego zawałam sprawę z Davidem, dlaczego spałam relacje z każdym mężczyzną, z którym się związałam. Pyta mnie, gdzie byłam w wieczór swoich trzydziestych urodzin i dlaczego od tamtego czasu wszystko się zepsuło. Pyta, dlaczego nie potrafię się pozierać i dlaczego nie jestem w ładnym domu i nie wychowuję miłych dzieci, co powinna robić każda szanująca się kobieta w moim wieku.

Pyta, z jakiej to racji uważam, że należą mi się wakacje w Rzymie, skoro obróciłam swoje życie w perzynę. Pyta, dlaczego uważam, że ucieczka do Rzymu, jakbym była jakąś panienką z college'u, miałaby mnie uszczęśliwić. Pyta wreszcie, czy domyślam się, jak skończę na starość, jeśli nadal będę żyła w taki sposób.

Wracam do domu z nadzieją, że uda mi się ich zgubić po drodze, ale mnie nie opuszczają, dranie. Przygnębienie trzyma mnie mocno za ramię, a Samotność zamecza pytaniami. Nawet nie myślę o kolacji. Nie chcę, żeby mnie przy niej obserwowali. Nie chcę wpuścić ich na górę, do swojego mieszkania, ale znam Przygnębienie, ma drewnianą pałkę i nic go nie powstrzyma, jeśli zechce wejść.

„To nieuczciwe z waszej strony, że tu przyjechaliście - mówię do Przygnębienia. - Przecież już się was pozbyłam. Odbylałam karę w Nowym Jorku”.

On jednak obdarza mnie tym swoim mrocznym uśmiechem, rozsiada się w moim ulubionym fotelu, kładzie nogi na stoliku i zapala cygaro, wypełniając całe mieszkanie okropnym smrodem dymu. Samotność patrzy i wzdycha, a potem całkowicie ubrana, w butach na nogach, kładzie się na moim łóżku i przykrywa pod samą brodę. Zmusi mnie, żebym z nią spała, ja to wiem.

Zaledwie kilka dni wcześniej odstawiłam leki. Wydawało mi się kompletnym wariactwem brać środki przeciwdepresyjne we Włoszech. Jak mogłabym tu cierpieć na depresję?

Przede wszystkim nigdy nie chciałam brać takich leków. Długo się temu opierałam, głównie dlatego, że miałam długą listę zastrzeżeń (np.: Amerykanie biorą za dużo leków; nie znamy wpływu, jaki na dłuższą metę mogą wywierać te środki na ludzki mózg; wprost karygodne jest to, że w dzisiejszych czasach nawet amerykańskie dzieci dostają leki przeciwdepresyjne; leczymy objawy, a nie przyczyny kryzysu, jakim jest dotknięty stan psychiczny naszego narodu...). W ciągu kilku ostatnich lat mojego życia nie było najmniejszych wątpliwości, że jestem w poważnych kłopotach i że te kłopoty szybko nie przemijają. Kiedy rozpadło się moje małżeństwo i kiedy rozwijał się mój dramat z Davidem, zaczęłam mieć wszystkie objawy ciężkiej depresji - bezsenność, utrata apetytu i libido, wybuchy niekontrolowanego płaczu, przewlekłe bóle krzyża i żołądka, poczucie obcości i braku nadziei, trudności z koncentrowaniem się na pracy, niezdolność do złości, nawet kiedy republikanom udało się psim swędem wygrać wybory prezydenckie... i tak dalej, i tak dalej.

Kiedy człowiek zagubi się w takim gąszczu, czasami zajmuje mu dłuższą chwilę, nim uświadomi sobie, że się zgubił. Bardzo długo jesteśmy przekonani, że zboczyliśmy ze ścieżki tylko odrobinę, że już lada moment znajdziemy się z powrotem na szlaku. A potem przychodzi jedna noc za drugą i nadal nie mamy pojęcia, gdzie się znajdujemy, i wreszcie musimy przyznać, że tak daleko odeszliśmy od ścieżki, że już nawet nie wiemy, po której stronie wschodzi słońce.

Walczyłam z depresją, jakby to była walka mojego życia; i tak w istocie było. Stałam się badaczką własnych depresyjnych doświadczeń, próbowałam rozwikłać przyczyny. Co jest źródłem tej czarnej rozpacz? Czy jest ono natury psychicznej? (Wina mamy i taty?) Czy jest czymś przemijającym, „złym okresem” w moim życiu? (Kiedy skończy się rozwód, to czy wraz z nim skończy się depresja?) Czy ma podłoże genetyczne? (Melancholia, przeróżnie nazywana, przez całe pokolenia dotykała moją rodzinę, razem ze swoim smętnym partnerem, alkoholizmem.) Czy to sprawa kulturowa? (Pokłosie prób odnalezienia równowagi w tym coraz bardziej stresującym i alienującym środowisku wielkomiejskim przez postfeministyczną, amerykańską, robiącą karierę zawodową dziewczynę? Czy jest to kwestia astrologiczna? (Taki ze mnie smętek, ponieważ jestem drażliwym Rakiem, którego

wszystkimi ważnymi poczynaniami rządzą niezrównoważone Bliźnięta.) A może artystyczna? (Czy nie jest tak, że ludzie twórczy zawsze cierpią z powodu depresji, ponieważ są tak nadzwyczajnie wrażliwi i wyjątkowi?) Czy ewolucyjna? (Noszę w sobie resztki strachu, jaki towarzyszył mojemu gatunkowi przez tysiące lat walki o przetrwanie w tym brutalnym świecie?) Czy wiąże się z karmą? (Te napady przygnębiającego smutku są konsekwencją złego zachowania w poprzednich wcieleniach, ostatnią przeszkodą na drodze do całkowitej wolności?) Z hormonami? Dietą? Filozofią? Ma charakter sezonowy? Środowiskowy? Czy to przejaw powszechnej tęsknoty za Bogiem? Czy wynika z zachwiania równowagi chemicznej? Czy też po prostu ktoś powinien mnie przelecieć?

Jaka ogromna liczba czynników składa się na jedną ludzką istotę! Na jak wielu poziomach działamy i jak przemożny wpływ wywiera na nas nasz mózg, nasze ciało, historia, rodzina, nasze miasto, dusza i nasze lunchy! Zaczęłam odnosić wrażenie, że moja depresja może być jakimś nieustannie zmieniającym się zbiorem tych wszystkich czynników i że prawdopodobnie zawiera jeszcze coś, czego nie potrafię nazwać ani nawet sobie wyobrazić. Czekala mnie zatem walka na każdym poziomie. Kupowałam wszystkie te samouczki o żenujących tytułach (zawsze pamiętając obłożyć je w najnowszy numer „Hustlera”, żeby nieznajomi nie widzieli, co czytam). Zaczęłam korzystać z profesjonalnej pomocy terapeutki, która była równie miła jak wnikliwa. Modliłam się niczym nowicjuszka w zakonie. Przestałam jeść mięso (przynajmniej na jakiś czas) po tym, jak ktoś mi powiedział, że jem „ten strach, jaki zwierzę odczuwa w momencie śmierci”. Jakiś postrzelony newage'owy masażysta powiedział mi, że powinnam nosić pomarańczowe majtki, żeby przywrócić równowagę swoim seksualnym czakrom i co?... zrobiłam to. Wypiłam tyle cholernej herbatki z dziurawca, że starczyłoby do rozweselenia całego gułagu, u mnie bez widocznego rezultatu. Ćwiczyłam. Wystawiałam się na wpływ krzepiących dzieł sztuki, odgradzałam od smutnych filmów, książek i piosenek (gdyby ktoś w jedynym zdaniu wymienił takie słowa, jak Leonard i Cohen, wyszłabym z pokoju).

Bardzo starałam się zapanować nad płaczem. Pamiętam, jak pewnej nocy, zwinięta w kłębek w tym samym rogu tej samej starej kanapy, znowu zalewając się łzami pod wpływem tych samych co zawsze żalonych myśli, spytałam samą siebie: „Czy jest w tej sytuacji coś, co mogłabyś zmienić, Liz?” Byłam w stanie wymyślić tylko tyle, by zwlec się z kanapy i nie przestając szlochać, próbować stać na jednej nodze pośrodku pokoju. Skoro nie potrafiłam powstrzymać łez ani zmienić tego ponurego wewnętrznego dialogu, chciałam udowodnić, że wciąż jeszcze sprawuję nad czymś kontrolę: przynajmniej mogłam się zapłakiwać, balansując na jednej nodze. To już było coś.

Przechodziłam na drugą stronę ulicy, żeby iść w pełnym słońcu. Szukałam wsparcia u pomocnych osób, podtrzymując kontakty z rodziną i pielęgnując moje najbardziej budujące przyjaźnie. A kiedy te natrętne czasopisma kobiece bezustannie mi powtarzały, że moja niska samoocena absolutnie nie pomaga w walce z depresją, zmieniłam fryzurę, kupiłam wymyślne kosmetyki i sprawiłam sobie ładną sukienkę. (Kiedy przyjaciółka pochwaliła mój nowy wygląd, potrafiłam tylko odpowiedzieć ponuro: „Operacja poczucie własnej wartości - pieprzony dzień pierwszy”.)

Ostatnią rzeczą, jakiej spróbowałam po mniej więcej dwóch latach walki z wszechogarniającym smutkiem, były leki. Jeśli mogę wyrazić w tym miejscu własną opinię, to one zawsze powinny być ostatnią rzeczą, jakiej się próbuje. Decyzję, by pójść szlakiem „witamina P”, podjęłam po nocy, którą spędziłam na podłodze sypialni, starając się odwieść samą siebie od podcięcia żył kuchennym nożem. Tamtej nocy wygrałam spór z sobą, ale mało brakowało. W owym czasie miałam też inne niezłe pomysły - skok z okna albo strzał w głowę mógł skrócić moje cierpienia. Jednak właśnie noc spędzona z nożem w ręku przeważała szalę.

Nazajutrz, kiedy tylko wzeszło słońce, zadzwoniłam do mojej przyjaciółki, Susan, z błaganem o pomoc. Nie sądzę, by którakolwiek z kobiet w całej historii mojej rodziny zrobiła kiedykolwiek coś takiego, mianowicie usiadła pośrodku drogi i oświadczyła: „Nie zrobię już ani kroku... ktoś musi mi pomóc”. Tamtym kobietom nic by to nie dało, gdyby przestały iść. Nikt by im nie pomógł, nie mógłby im pomóc. Jedynym rezultatem byłoby to, że one i ich rodziny by głodowały. Nie mogłam przestać o nich myśleć.

I nie zapomnę nigdy wyrazu twarzy Susan, kiedy wpadła do mojego mieszkania jakąś godzinę po tym alarmującym telefonie i zobaczyła mnie skuloną w rogu kanapy. W lęku o moje życie malującym się na jej twarzy zobaczyłam jak w lustrze obraz mojego bólu i jest to nadal jedno z najbardziej przerażających wspomnień z tych wszystkich przerażających lat. Zwijałam się w kłębek, podczas gdy Susan dzwoniła do kilku osób. W końcu znalazła psychiatrę, który mógł mnie przyjąć jeszcze tego samego dnia, żeby omówić możliwość zastosowania środków przeciwdepresyjnych. Usłyszałam, jak Susan powiedziała lekarzowi: „Obawiam się, że moja przyjaciółka może wyrządzić sobie poważną krzywdę”. Też się tego obawiałam.

Tamtego popołudnia podczas wizyty psychiatra spytał mnie, dlaczego tak długo nie zwracałam się o pomoc... jakbym przez cały ten czas nie próbowała sobie pomóc. Powiedziałam mu o swoich zastrzeżeniach i wątpliwościach dotyczących leków przeciwdepresyjnych. Położyłam mu na biurku trzy moje wydane książki i oświadczyłam: „Jestem pisarką. Proszę, niech pan nie robi niczego, co mogłoby zaszkodzić mojemu

mózgowi”. „Gdyby chorowała pani na nerki, nie zawahałaby się pani wziąć odpowiedniego leku... dlaczego waha się pani teraz?” - spytał. Ale to tylko pokazuje, że nic nie wiedział o mojej rodzinie; jest całkiem prawdopodobne, że Gilbertowie nie leczyliby chorych nerek, zgodnie z naszym rodzinnym przekonaniem, że choroba jest oznaką osobistej, etycznej, moralnej klęski.

Stosował kolejno różne leki - Xanax, Zoloft, Wellbutrin, Buspiron - dopóki nie znaleźliśmy kombinacji, która nie powodowała mdłości i nie czyniła z libido wyłącznie odległego, mglistego wspomnienia. Dość szybko, w niecały tydzień, poczułam, jak do mojego mrocznego umysłu przedostaje się odrobina światła. Przestała mnie dręczyć bezsenność. A to był prawdziwy dar, bo kiedy nie możesz spać, nie wyrwiesz się z dołka... nie ma na to najmniejszej szansy. Pigułki zwróciły mi te godziny nocnego odpoczynku i uspokoiły trzęsące się ręce, rozluźniły szczęki ściskającego mi pierś imadła i wyłączyły przycisk wyzwalający w moim sercu panikę.

Mimo wszystko nigdy nie złagodziłam swojego stanowiska w sprawie brania tych leków, choć pomogły mi natychmiast. Obojętnie kto mi mówił, że te środki to dobry pomysł i że są całkiem bezpieczne, zawsze miałam w związku z nimi mieszane uczucia. Nie mam wątpliwości, że były elementem mojego mostu prowadzącego na tę drugą stronę, jednak chciałam jak najszybciej je odstawić. Zaczęłam zażywać leki w styczniu 2003 roku. Do maja znacząco zmniejszyłam dawkę. To były dla mnie najtrudniejsze miesiące - ostatnie miesiące korowodów rozwodowych, ostatnie nierówne miesiące z Davidem. Czy przetrzymałabym ten okres bez leków, gdybym wytrzymała jeszcze odrobinę dłużej? Czy ocalałabym samą siebie bez pomocy? Nie wiem. Tak to już jest z ludzkim życiem - nie istnieje żadna grupa kontrolna, nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, jak byśmy sobie poradzili, gdyby przedstawiono którąkolwiek ze zmiennych.

Wiem natomiast, że dzięki tym pigułkom moje cierpienie było mniej katastrofalne. Za to jestem wdzięczna. Nadal jednak mam zdecydowanie niejednoznaczny stosunek do leków poprawiających nastrój. Ich moc robi na mnie wrażenie, ale niepokoi mnie powszechność ich stosowania. Uważam, że w Stanach Zjednoczonych winny być one przepisywane i zażywane z większą powściągliwością oraz że zawsze powinna im towarzyszyć psychoterapia. Leczenie objawów choroby bez zbadania jej przyczyn jest skutkiem typowego, idiotycznego zachodniego sposobu myślenia, zgodnie z którym każdy zawsze może wyzdrowieć. Te pigułki być może uratowały mi życie, ale jedynie dlatego, że ich stosowanie połączone było z ogromnym, mającym ze dwadzieścia różnych postaci wysiłkiem z mojej strony, i mam szczerą nadzieję, że już nigdy nie będę musiała do nich wracać. Jeden z lekarzy zauważył

wprawdzie, że być może jeszcze wielokrotnie będę szukać ratunku w środkach przeciwdepresyjnych, a to z racji mojej „skłonności do melancholii”, ale mam nadzieję, że się myli. Zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by udowodnić, że nie ma racji; przynajmniej ze wszystkich sił i wszelkimi możliwymi sposobami będę zwalczać u siebie tę skłonność. Czy mój upór okaże się daremny czy też pozwoli mi przetrwać, nie potrafię powiedzieć.

W każdym razie jestem, gdzie jestem.

18

A dokładniej jestem tutaj. W Rzymie. I mam kłopoty. Te zbiry, Przygnębienie i Samotność, znowu wtargnęły do mojego życia, a ja zaledwie przed trzema dniami wzięłam ostatni Wellbutrin. W najniższej szufladce mam jeszcze pigułki, ale ich nie chcę. Chcę się na zawsze od nich uwolnić. Ale nie życzę też sobie towarzystwa Przygnębienia i Samotności, więc nie wiem, co robić, i wpadam w spiralę paniki, jak zawsze w podobnych sytuacjach. Tego wieczoru sięgam do mojego najbardziej osobistego notesu, który trzymam przy łóżku na wypadek nagłych kłopotów. Otwieram go. Odnajduję pierwszą pustą stronę. Piszę: „Potrzebna mi twoja pomoc”.

Potem czekam. Po chwili przychodzi odpowiedź, udzielona moją własną ręką.

Jestem tutaj. Co mogę dla ciebie zrobić?

I zaczyna się moja najdziwniejsza i najbardziej sekretna rozmowa. Tutaj, w tym najbardziej osobistym notesie, rozmawiam z sobą. Mówię do tego samego głosu, który usłyszałam tamtej nocy, kiedy na posadzce w łazience, tonąc we łzach, modliłam się do Boga o pomoc i wtedy coś (czy ktoś) powiedziało: „Wracaj do łóżka, Liz”. W latach, które nastąpiły potem, odnajdywałam ten głos w chwilach wielkiego zagrożenia i zorientowałam się, że najlepiej mi się z nim rozmawia w formie pisemnej. Z zaskoczeniem odkryłam, że mogę do niego dotrzeć niemal zawsze, nieważne, jak straszne cierpię katusze. Nawet pośród najgorszej udręki ten spokojny, współczujący, czuły i nieskończenie mądry głos (który może jest mną, a może nie całkiem mną) w każdej chwili, dniem i nocą, gotów jest pojawić się w pisemnej konwersacji.

Postanowiłam nie martwić się możliwością, że rozmowa z sobą samą na papierze oznacza, że jestem schizofreniczką. Może ten głos, do którego docieram, jest głosem Boga, a może to moje guru mówi przeze mnie albo anioł wyznaczony do mojego przypadku, a może to moja najgłębsza jaźń lub tylko wytwór mojej podświadomości, wymyślony, by chronić mnie przed udręką, jaką sama na siebie sprowadzam. Święta Teresa nazywała te boskie głosy wewnętrzne „lokucjami” - słowami ze świata nadprzyrodzonego, które spontanicznie pojawiają się w umyśle i przełożone na nasz własny język oferują niebiańską pociechę. Wiem oczywiście, co by powiedział Freud o takich duchowych pocieszeniach - że są irracjonalne i „nie zasługują na zaufanie. Doświadczenie uczy nas, że świat to nie dziecięcy pokój”. Zgadza się... świat nie jest dziecięcym pokojem. Ale właśnie dlatego, że ten świat stanowi aż takie wyzwanie, trzeba czasami sięgać po pomoc poza obszar jego jurysdykcji i apelować do wyższej władzy.

W początkach mojego duchowego eksperymentu nie zawsze miałam taką wiarę w wewnętrzny głos mądrości. Pamiętam, jak sięgnęłam kiedyś po swój intymny notes w napadzie wściekłej goryczy i żalu i naskrobałam wiadomość do mojego głosu wewnętrznego - do boskiej wewnętrznej pociechy - zapisując całą stronę drukowanymi literami:

„ZA CHOLERĘ W CIEBIE NIE WIERZĘ!!!!!!!!!!”

Po chwili, ciągle dysząc ciężko, poczułam w sobie rozbłyskujący punkcik światła, a potem zobaczyłam, jak piszę tę zabawną i najspokojniejszą w świecie odpowiedź:

Z kim w takim razie rozmawiasz?

Od tamtej pory nie wątpiłam już w istnienie tego głosu. Dlatego dzisiaj znowu uciekam się do niego. Pierwszy raz od przyjazdu do Włoch. Tej nocy piszę w swoim dzienniczku, że jestem słaba i przepelniona lękiem. Wyjaśniam, że pojawili się Przygnębienie i Samotność i boję się, że zostaną na dobre. Mówię, że nie chcę już więcej brać leków, ale boję się, że będę musiała. Jestem przerażona, że mogę już nigdy nie uporządkować swojego życia.

W odpowiedzi gdzieś z mojego wnętrza wyłania się dobrze mi już znana istota i mówi wszystko to, czego zawsze w chwilach kłopotów oczekiwałam od drugiej osoby. Oto, co piszę do siebie:

Jestem przy tobie. Kocham cię. Nie przeszkadza mi, że musisz przeplakać całą noc, i zostanę z tobą. Jeśli znów potrzebny ci lek, nie wahaj się, weź go... ja i tak będę cię kochać. Jeśli nie potrzebujesz leku, też będę cię kochać. Nie ma niczego, co mogłoby ci odebrać moją

miłość. Będę cię chronić aż do końca, a i po śmierci wciąż będę cię chronić. Mam większą moc niż Przygnębienie i więcej odwagi niż Samotność i nic nigdy nie wyczerpie mych sił.

Tego wieczoru, ten dziwny wewnętrzny gest przyjaźni - dłoń podana samej sobie, kiedy nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby dodać otuchy - przypomina coś, co przydarzyło mi się kiedyś w Nowym Jorku. Pewnego popołudnia weszłam spiesźnie do biurowca i wpadłam do czekającej windy. Kiedy do niej wbiegałam, niespodziewanie mignęło mi własne odbicie w lustrze. W tym jednym momencie mój umysł zrobił coś dziwnego - w ułamku sekundy przesłał mi wiadomość: „Ejże! Znasz ją! To twoja przyjaciółka!” A ja rzeczywiście ruszyłam do przodu, w stronę swojego odbicia, z uśmiechem, gotowa powitać tę dziewczynę, której imię gdzieś mi umknęło, ale której twarz była tak znajoma. Oczywiście natychmiast uświadomiłam sobie pomyłkę i roześmiałam się zażenowana tym moim niemal psim zachowaniem, które u zwierząt wynika z niezrozumienia działania lustra. Z jakiegoś powodu tamten incydent ponownie przychodzi mi na myśl dzisiejszego wieczoru, kiedy jestem smutna w Rzymie i kiedy stwierdzam, że piszę u dołu strony tę pocieszającą uwagę:

Nigdy nie zapominaj, że kiedyś, dawno temu, w chwili nieuwagi, rozpoznałaś w sobie przyjaciela.

Zasypiam z notesem przyciśniętym mocno do piersi, otwartym na stronie niosącej to najświeższe zapewnienie. Kiedy się budzę rano, nadal czuję słaby zapach dymu z cygara, ale Przygnębienia nigdzie nie widać. W jakimś momencie nocy wstał i wyszedł. Jego koleżanka Samotność też się ulotniła.

19

Jedno jest dość dziwne. Wygląda na to, że od przyjazdu do Rzymu nie jestem w stanie uprawiać jogi. Latami ćwiczyłam systematycznie i solidnie i teraz też miałam najlepsze chęci, przywożąc z sobą matę do ćwiczeń. I jakoś nic z tego. No bo niby kiedy miałam robić te swoje rozciągania? Przed włoskim upojnym śniadankiem złożonym z oblanych czekoladą ciastek i podwójnego cappuccino? Czy po? Przez pierwsze kilka dni, każdego ranka, rozkładałam dzielnie swoją matę, po czym stwierdzałam, że mogę tylko na nią popatrzeć i roześmiać się. Raz nawet powiedziałam do siebie na głos, przyjmując rolę gadającej maty do

jogi: „OK, panienko *Penne ai Quattro Formaggi*... zobaczmy, co tam dzisiaj masz”. Zmieszana odłożyłam matę na dno walizki (by jej nie rozwinąć, jak się okazało, aż do Indii). Potem poszłam na spacer i zjadłam lody pistacjowe. Włosi uważają, że tak właśnie powinien wyglądać posiłek zjadany o dziewiątej trzydzieści rano, i trudno byłoby się z nimi nie zgodzić.

Z tego, co widzę, kultura Rzymu jakoś nie bardzo pasuje do kultury jogi. Prawdę mówiąc, doszłam do wniosku, że Rzym i joga nie mają ze sobą absolutnie nic wspólnego. No może tylko tyle, że jedno i drugie, każde na innej zasadzie kojarzy mi się ze słowem „toga”.

20

Konieczniamusiałam znaleźć sobie przyjaciół. Zająłamsię więc tym jak najszybciej i teraz, a mamy październik, mam ich sporą grupkę. Znam w Rzymie dwie Elizabeth, nie licząc mnie. Obie są Amerykankami, obie pisarkami. Pierwsza jest autorką powieści, a druga pisze o jedzeniu. Ta druga ma mieszkanie w Rzymie, dom w Umbrii, męża Włocha i pracę, która wymaga od niej podróżowania po całej Italii, zjadania się różnymi potrawami i opisywania ich w „Gourmet”, wygląda więc na to, że w swoim poprzednim wcieleniu musiała uratować przed utonięciem mnóstwo sierot. Nic dziwnego, że zna wszystkie miejsca w Rzymie, gdzie można dobrze zjeść. Dzięki niej poznałam gelateria, w której podają mrożony pudding ryżowy (jeśli nie mają czegoś takiego w niebie, to naprawdę nie chcę tam iść). Niedawno zabrała mnie na lunch i zjadłyśmy nie tylko jagnięcinę z truflami oraz carpaccio nadziewane musem orzechowym, ale też egzotyczne marynowane *lampascione*, które jest - jak każdy wie - cebulką dzikiego hiacynta.

Oczywiście teraz jestem już zaprzyjaźniona z Giovannim i Dariem, bliźniakami jak z bajki od dwustronnej wymiany językowej. Wdzięk Giovanniego w mojej opinii czyni go skarbem narodowym Włoch. Na zawsze zjednał sobie moją sympatię już pierwszego wieczoru, ledwie się poznaliśmy. Wściekałam się coraz bardziej, ponieważ nie mogłam znaleźć potrzebnych mi włoskich słów, a on wtedy położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Liz, kiedy uczysz się czegoś nowego, musisz być dla siebie bardzo uprzejma”. Czasami mi się wydaje, że jest starszy ode mnie, ma taki uroczysty wyraz twarzy, skończone studia filozoficzne i zdecydowane poglądy polityczne. Próbuję go rozśmieszyć, ale Giovanni nie

zawsze chwyta moje dowcipy. Trudno jest wyczuć humor w obcym języku. Szczególnie kiedy się jest takim poważnym młodym człowiekiem jak Giovanni. Wczoraj wieczorem powiedział do mnie: „Kiedy stosujesz ironię, nigdy nie nadażam. Jestem wolniejszy. Jakbyś ty była błyskawicą, a ja grzmotem”.

A ja pomyślałam sobie: *Taa, mój mały! Ty jesteś magnezem, a ja żelazem! Zdejmuj swoją skórę, ściągaj moje koronki! Jak w tej piosence Stevie Nicks.*

A on jeszcze nawet mnie nie pocałował.

Rzadko widuję Daria, drugiego bliźniaka, choć spędza on mnóstwo czasu z Sofie. Sofie to moja najlepsza przyjaciółka z kursu językowego; na pewno jest osobą, z którą każdy na miejscu Daria chciałby spędzać czas. Sofie dobiega trzydziestki, jest Szwedką i ma tyle uroku, że można by ją wsadzić na haczyk i używać jako przynęty do chwytania mężczyzn różnej narodowości i w różnym wieku. Ku przerażeniu rodziny i zdumieniu kolegów, właśnie wzięła czteromiesięczny urlop z dobrej pracy w jakimś szwedzkim banku tylko dlatego, że chciała przyjechać do Rzymu i nauczyć się tego pięknego języka, jakim jest włoski. Codziennie po zajęciach siadamy z Sofie nad Tybrem, jemy lody i razem się uczymy. Właściwie trudno to, co robimy, nazwać „nauką”. Bardziej przypomina to wspólne rozkoszowanie się włoskim - rytuał niemal religijny, a my podsuwamy sobie wzajemnie nowe wspaniałe idiomy. Na przykład dowiedziałyśmy się niedawno, że *un'amica stretta* oznacza „serdeczną przyjaciółkę”. Jednak *stretta* dosłownie znaczy „ciasna”, jak w przypadku ubrania, choćby spódniczki. Zatem serdeczna przyjaciółka po włosku jest kimś, kogo możemy trzymać blisko, tuż przy swojej skórze, i właśnie kimś takim staje się dla mnie moja szwedzka przyjaciółeczka.

Na początku lubiałam sobie myśleć, że Sofie i ja wyglądamy jak siostry. Potem któregoś dnia jechałyśmy taksówką i taksówkarz spytał, czy Sofie jest moją córką. Wyobraźcie sobie, moi drodzy... to dziewczę jest zaledwie siedem lat młodsze ode mnie. Mój mózg w popłochu szukał wytłumaczenia dla tego, co facet powiedział. (Myślałam sobie, na przykład: *A może on nie mówi dobrze po włosku i tak naprawdę chciał spytać, czy jesteśmy siostrami.*) Niestety nie, powiedział córka i miał na myśli córkę. Och, cóż mogę rzec? Tyle przeszłam przez ostatnie lata. Po tym rozwodzie muszę wyglądać na wykończoną i posuniętą w latach. Ale jak głosi stara teksańska piosenka country: „Przelecieli mnie, zaskarżyli i wytatuowali, a ja wciąż stoję przed wami...”

Zaprzyjaźniłam się też ze świetną parą, Marią i Giuliem. Poznałam ich dzięki mojej przyjaciółce Anne - amerykańskiej malarce, która mieszkała w Rzymie kilka lat wcześniej. Maria pochodzi ze Stanów, Giulio z południa Włoch. On jest filmowcem, ona pracuje dla

organizacji zajmującej się międzynarodową polityką rolną. On mówi słabo po angielsku, za to ona płynnie po włosku (a także francusku i chińsku, więc to mnie nie onieśmiela). Giulio chce się nauczyć angielskiego, więc spytał, czy nie moglibyśmy się spotykać w ramach jeszcze jednej dwustronnej wymiany. Gdyby przyszło wam do głowy zapytać, dlaczego nie ćwiczysz angielskiego ze swoją amerykańską żoną, odpowiedź brzmi, że są małżeństwem i za bardzo się kłócą, kiedy tylko jedno usiłuje nauczyć czegoś to drugie. Tak więc Giulio i ja spotykamy się na lunchu dwa razy w tygodniu, żeby poćwiczyć mój włoski i jego angielski; dobre zajęcie dla dwojga ludzi, którzy nie mają za sobą wielu lat wzajemnego działania sobie na nerwy.

Giulio i Maria mają piękne mieszkanie. Największe wrażenie wywiera w nim, moim zdaniem, ściana, którą Maria pokryła przekleństwami ciskanymi w Giulia (wypisanymi grubym czarnym markerem), kiedy pewnego razu się kłócili, a „on wrzeszczy głośniejsze ode mnie”, i ona koniecznie chciała co nieco wtrącić.

Uważam, że Maria jest niesamowicie seksowna, zresztą ten wybuch w postaci niekontrolowanego graffiti dobitnie o tym świadczy. Co ciekawe, Giulio postrzega tę zabazgraną ścianę jako dowód zahamowań Marii, ponieważ wypisała te przekleństwa po włosku, a włoski jest jej drugim językiem, takim, który wymaga od niej chwili zastanowienia, zanim wybierze odpowiednie słowo. Powiedział, że gdyby Maria rzeczywiście dała się ponieść gniewowi - czego nigdy jako porządna anglosaska protestantka nie robi - zapisałaby całą tę ścianę swoją ojczystą angielszczyzną. Mówi, że wszyscy Amerykanie są tacy: tłumią emocje. Co czyni ich groźnymi i potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznymi, kiedy już wybuchną.

- Dzikusy - postawił diagnozę.

Piękne jest to, że toczyliśmy tę rozmowę w pełni odprężeni, podczas miłego posiłku, spoglądając od czasu do czasu na rzeczoną ścianę.

- Jeszcze wina, kochanie? - spytała Maria.

Moim najlepszym przyjacielem we Włoszech jest, oczywiście, Luca Spaghetti. A tak przy okazji, nawet we Włoszech nazwisko Spaghetti uchodzi za bardzo zabawne. Jestem wdzięczna Luce, bo dzięki niemu dorównałam wreszcie mojemu koledze Brianowi, który miał szczęście mieszkać po sąsiedzku z północnoamerykańskim Indianinem, niejakim Dennisem Ha-Ha, i zawsze się chełpił, że ma kumpla o najfajniejszym nazwisku. Wreszcie mogę wystartować w tej konkurencji.

Luca mówi świetnie po angielsku i jest łasuchem (po włosku *una buona forchetta* - „dobry widelec”), więc nadaje się na kompana dla takich jak ja głodomorów. Często dzwoni do mnie w środku dnia, żeby rzucić: „Cześć, jestem niedaleko... chcesz się spotkać na

filiżankę kawy? Albo na ogon wołowy?” Spędzamy mnóstwo czasu w tych brudnych knajpkach w bocznych uliczkach i zaułkach Rzymu. Lubimy restauracje z jarzeniowym oświetleniem i bez szyldu z nazwą na zewnątrz. Plastikowe obrusy w czerwoną kratę. Likier *limoncello* domowej roboty.

Domowej roboty czerwone wino. Makaron podawany w niewiarygodnych ilościach przez tych, których Luca nazywa „małymi Juliuszami Cezarami”: hardych, nachalnych facecików, z dłońmi porośniętymi na wierzchu włosami i fantastycznie zadbanymi fryzurami w stylu lat pięćdziesiątych. Powiedziałaam kiedyś do Luki: „Mam wrażenie, że ci faceci uważają się przede wszystkim za rzymian, potem za Włochów, a na końcu za Europejczyków”. Poprawił mnie. „Nie, po pierwsze są rzymianami, po drugie są rzymianami i po trzecie są rzymianami. A każdy na dodatek jest cesarzem”.

Luca jest doradcą podatkowym. Włoskim doradcą podatkowym, co oznacza, że jest, jak sam mówi, „artystą”, ponieważ istnieje kilkaset oficjalnych przepisów podatkowych i wszystkie są ze sobą sprzeczne. Zatem wypełnienie zeznania podatkowego przypomina improwizację jazzową. Uważam za zabawne, że osoba tak beztraska jak on jest doradcą podatkowym. Luca natomiast uważa za zabawne istnienie tego innego aspektu mojej osoby - związanego z jogą - którego nigdy nie miał okazji zobaczyć. Nie rozumie, po co miałabym wybierać się do Indii - a na dodatek, do jakiejś aśramy! - skoro mogłabym zostać na cały rok we Włoszech, gdzie, co oczywiste, jest moje miejsce. Za każdym razem, kiedy widzi, jak kawałkiem chleba wycieram resztki sosu z talerza, a potem oblizuję palce, pyta: „Co będziesz jadła, kiedy pojedziesz do Indii?” Czasami niezwykle ironicznym tonem nazywa mnie Gandhim, na ogół kiedy otwieram drugą butelkę wina.

Luca sporo podróżował, choć twierdzi, że mógłby mieszkać jedynie w Rzymie, blisko matki, zresztą jest przecież Włochem... cóż innego może mówić? Jednak to nie tylko *mamma* tutaj go trzyma. Ma trzydzieści kilka lat i odkąd był nastolatkiem, ma tę samą dziewczynę (śliczną Giulianę, której słodką świeżość czule opisuje, używając trafnego wyrażenia, *acqua e sapone* - „woda i mydło”). Wszyscy jego przyjaciele to przyjaciele z dzieciństwa - w dodatku z tej samej dzielnicy. Każdej niedzieli chodzą razem oglądać mecze piłki nożnej - albo na stadionie, albo w barze (jeśli drużyny rzymskie grają na wyjeździe) - a potem rozchodzą się do domów, w których wyrosli, żeby zjeść solidny niedzielny popołudniowy posiłek, ugotowany przez matkę albo babkę.

Też bym się nie wyprowadzała z Rzymu, gdybym była Luca Spaghettim.

Luca był kilka razy w Stanach i podobało mu się. Nowy Jork go fascynuje, ale uważa, że ludzie zbyt ciężko tam pracują, choć przyznaje, że robią wrażenie, jakby im to

odpowiadało. Natomiast rzymianie pracują ciężko, ale serdecznie tego nie cierpią. Nie odpowiada mu jednak amerykańskie jedzenie, które określa dwoma słowami: „dworcowa pizza”.

To z Lucą pierwszy raz w życiu próbowałam wnętrzości nowo narodzonego jagnięcia - rzymskiej specjalności. Jeśli chodzi o potrawy, Rzym jest niezbyt wyrafinowanym miastem, znanym z umiejętności mieszkańców do przerabiania na strawę tych wszystkich części zwierzęcia, na przykład wnętrzości i ozorów, które zamożni ludzie z północy wyrzucają. Jagnięce jelita smakowały dobrze, dopóki nie myślałam, co jem. Podawano je w gęstym, maślanym, smakowitym sosie, który sam był fantastyczny, ale ta reszta miała taką... no cóż... j e l i t o w ą konsystencję. Trochę jak wątróbka, tyle że bardziej papkowata. Całkiem dobrze mi szło, ale w końcu zaczęłam się zastanawiać, jak opisać to danie, i pomyślałam: *To nie wygląda jak wnętrzości, to właściwie wygląda jak tasieniec*. Wtedy odsunęłam talerz i poprosiłam o sałatkę.

- Nie smakuje ci? - spytał Luca, który za tym daniem przepada.
- Założę się, że Gandhi w życiu nie jadł jagnięcych jelit - odparłam.
- Mógł jeść.
- Nie, nie mógł. Gandhi był wegetarianinem.
- Ależ wegetarianie mogą to jeść - przekonywał mnie Luca. - Bo jelita to przecież nie jest mięso, Liz. To zwyczajne gównno.

21

Przyznaję, czasami zastanawiam się, co ja tutaj robię. Mimo że przyjechałam do Rzymu, by doznawać przyjemności, to podczas pierwszych tygodni pobytu w tym mieście zaczęłam odczuwać pewien niepokój, nie bardzo wiedząc, jak to się robi. Mówiąc szczerze, czysta przyjemność nie należy do mojego kulturowego paradygmatu. Pochodzę z długiej linii ludzi nadzwyczaj sumiennych. Rodzina matki to imigranci ze Szwecji, rolnicy, na zdjęciu wyglądający na takich, którzy napotkawszy na swojej drodze coś przyjemnego, zaraz by to rozdeptali nabijanymi ćwiekami buciorami. (Mój wuj nazywa ich wszystkich „wołami”.) Przodkowie ojca to angielscy purytanie, ci wspaniali durni wielbiciele wszelkich uciech.

Kiedy popatrzę na drzewo genealogiczne taty, sięgające aż do siedemnastego wieku, to naprawdę mogę tam znaleźć ludzi o takich imionach, jak Gorliwość i Potulność.

Moi rodzice mają niewielką farmę - dorastałyśmy tam obie z siostrą, prowadząc pracowite życie. Uczono nas, że mamy być dziewczętami godnymi zaufania, odpowiedzialnymi, świetnymi uczennicami, najlepiej zorganizowanymi i najbardziej fachowymi opiekunkami do dzieci w okolicy. Miniaturkami naszej zapracowanej matki, gospodyni, opiekunki. Byłyśmy jak para szwajcarskich scyzoryków, stworzonych do wykonywania wielu różnorodnych zadań. W naszej rodzinie nie brakowało radości ani śmiechu, ale ściany były wytapetowane listami rzeczy do zrobienia, a ja nigdy, ani razu, nie doświadczyłam osobiście ani też nie byłam świadkiem nieróbstwa.

Mówiąc ogólnie, Amerykanie nie umieją w pełni zatopić się w czystej przyjemności. Nasz naród pragnie rozrywki, niekoniecznie zaś przyjemności. Amerykanie wydają miliardy, żeby się zabawić czymkolwiek, od pornografii poprzez parki tematyczne po wojny, ale to nie to samo co spokojne cieszenie się czymś. Obecnie Amerykanie pracują ciężiej i dłużej, i w większym stresie niż ktokolwiek inny na świecie. Ale, jak zauważył Luca Spaghetti, musimy to lubić. Alarmujące statystyki potwierdzają jego obserwacje, pokazując, że wielu Amerykanów czuje się bardziej zadowolonych i spełnionych w biurze niż w domu. Oczywiście wszyscy pracujemy zbyt ciężko, przez co się wypalamy i potem musimy spędzić cały weekend w piżamie, jedząc płatki kukurydziane prosto z pudełka i półprzymotnie gapiąc się w telewizor (co, owszem, jest przeciwieństwem pracy, ale nie całkiem tym samym co przyjemność). Amerykanie po prostu nie mają pojęcia, jak nic nie robić. Z tego się bierze ten wielki smutny amerykański stereotyp - zestresowanego menedżera, który jedzie co prawda na wakacje, ale za nic nie potrafi się odprężyć.

Spytałam pewnego czasu Lucę, czy Włosi na wakacjach mają ten sam problem. Śmiał się tak serdecznie, że omal nie wjechał motocyklem w fontannę.

- Ależ skąd! - odparł. - Jesteśmy mistrzami w *bel far niente*.

To urocze powiedzonko. *Bel far niente* oznacza „piękne nieróbstwo”. A teraz posłuchajcie... Włosi tradycyjnie byli zawsze pracowici, szczególnie tamci cierpliwie znoszący swój los robotnicy zwani *braccianti* (którzy nie posiadali nic poza siłą własnych rąk - *braccie* - by przetrwać na tym świecie). Mimo to *bel far niente* zawsze było cenionym przez Włochów ideałem. Piękne nieróbstwo jest celem, do którego dążymy poprzez ciężką pracę, ostatecznym osiągnięciem, którego się nam gratuluje. Im wspanialej i rozkoszniej potrafisz nic nie robić, tym większe twoje życiowe osiągnięcie. I nie musisz być wcale bogaty, by tego doświadczyć. Istnieje jeszcze jedno cudowne włoskie powiedzonko: *l'arte d'arrangiarsi* -

sztuka robienia czegoś z niczego. Sztuka przekształcenia kilku prostych składników w ucztę albo spotkania grupki przyjaciół w święto. Każdy, kto potrafi czynić życie szczęśliwym, może to robić, nie tylko bogacze.

Dla mnie główną przeszkodą w poszukiwaniu przyjemności było głęboko zakorzenione purytańskie poczucie winy. Czy naprawdę zasługuję na tę przyjemność? To też jest bardzo amerykańskie... ta niepewność, czy zasłużyliśmy sobie na nasze szczęście. W Ameryce reklama w sieci kręci się wokół konieczności przekonania niepewnego konsumenta, że rzeczywiście, naprawdę zasługuje na ten szczególny prezent. To cudo jest dla Ciebie! Zasługujesz dziś na zmianę! Bo jesteś tego wart! Wiele dokonałeś, Stary! A niepewny konsument myśli sobie: *Taa! Dziękuję! Jasne, że kupię sobie sześciopak, do cholery! Może nawet dwa!* Po czym następuje popijawa. A po niej wyrzuty sumienia. Takie kampanie reklamowe w kulturze włoskiej by się nie sprawdziły, tu ludzie już wiedzą, że w tym życiu mają prawo do przyjemności. We Włoszech odpowiedzią na „zasługujesz dziś na zmianę” byłoby zapewne: *Taa, bez wątplenia. Dlatego właśnie planuję zrobić sobie przerwę w południe, żeby wpaść do twojego domu i przespać się z twoją żoną.*

Prawdopodobnie właśnie dlatego, kiedy powiedziałam moim włoskim przyjaciołom, że przybyłam do ich kraju, żeby przez cztery miesiące zaznawać czystej przyjemności, przyjęli to z pełnym zrozumieniem. *Complimenti! Vai avanti!* Gratulacje, mówili. Nie trać czasu. Idź na całość. Nie żałuj sobie. Nikt nie powiedział: „Cóż za nieodpowiedzialność” ani „To ci dopiero fanaberie”. Ale choć Włosi udzielili mi całkowitego przyzwolenia na sprawianie sobie radości, ja wciąż nie potrafię rzucić się w to z pełnym przekonaniem. Podczas pierwszych kilku tygodni pobytu we Włoszech wszystkie moje protestanckie synapsy świsnęły w rozpacz, szukając dla siebie jakiegoś zajęcia. Chciałam potraktować doznawanie przyjemności jak zadanie domowe albo wielki naukowy projekt. Przemyślałam problemy w stylu: „W jaki sposób można skutecznie zmaksymalizować przyjemność?” Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie powinnam spędzać całego czasu w bibliotece na badaniu historii przyjemności. A może powinnam robić wywiady z Włochami, którzy w swoim życiu doznają wielu przyjemności, pytać ich, jak je odczuwają, a potem napisać raport na ten temat. (Może z podwójną interlinią i marginesem na cal? I zacząć zaraz w poniedziałek rano?)

Kiedy wreszcie uświadomiłam sobie, że jedyne pytanie, na jakie znam odpowiedź, brzmi: „Jak ja definiuję przyjemność?”, i że rzeczywiście znajduję się w kraju, w którym ludzie pozwolą mi na swobodne badanie tego problemu, wszystko uległo zmianie. Wszystko stało się... pyszne. Wystarczyło, żebym pierwszy raz w życiu codziennie zadawała sobie

pytanie: „Co cię dzisiaj ucieszy, Liz? Co sprawi ci przyjemność już w tej chwili?” Wolna od konieczności uwzględniania czyjegoś harmonogramu i zobowiązań, którymi bym się zamartwiała, wydobyłam w końcu z tego pytania jego sens i nabrało ono absolutnie swoistego charakteru.

Bardzo ciekawe było dla mnie odkrycie, czego we Włoszech nie chcę robić. Doszło do tego, gdy wreszcie upoważniłam siebie do cieszenia się pobytem w tym kraju. We Włoszech przyjemność może przybierać tak różne formy, że nie starczyłoby czasu na wypróbowanie wszystkiego. W pewnym sensie trzeba sobie ustalić, co będzie główną przyjemnością, w przeciwnym bowiem razie mogą nas one przytłoczyć. To było powodem, dla którego nie interesowałam się pokazami mody, operą ani kinem, luksusowymi samochodami ani jazdą na nartach w Alpach. Nie miałam nawet ochoty oglądać zbyt wielu dzieł sztuki. Trochę się wstydzę, że podczas czterech miesięcy pobytu we Włoszech nie odwiedziłam ani jednego muzeum. (Ojej... jest znacznie gorzej. Muszę się przyznać, że poszłam do jednego muzeum: Narodowego Muzeum Makaronu w Rzymie.) Zauważyłam, że tak naprawdę mam tylko ochotę jeść wspaniałe potrawy i jak najwięcej mówić pięknym językiem włoskim. Tak to wyglądało.

I nic więcej. Zdecydowałam więc, że skupię się na dwóch głównych przyjemnościach... mówieniu i jedzeniu (z akcentem na lody).

To niewiarygodne, ile radości mogą przynieść dwie tak zwyczajne czynności, jak jedzenie i mówienie. W środku października spędziłam kilka godzin w sposób, który postronnemu obserwatorowi mógłby się nie wydać niczym szczególnym, ale ja te chwile zaliczam do najszczęśliwszych w życiu. Blisko mojego mieszkania, zaledwie kilka przecznic dalej, znalazłam rynek, którego jakoś wcześniej nie zauważyłam. Podeszłam do maleńkiego straganu, gdzie pewna Włoszka i jej syn sprzedawali swoje produkty - intensywnie zielony, niemal jak algi, szpinak, pomidory tak czerwone i krwiste, że wyglądały jak krowie narządy, i winogrona w kolorze szampana, ze skórką napiętą jak trykot tancerki.

Wybrałam pęczek cienkich, białych szparagów. Zapytałam kobietę po włosku, zupełnie swobodnie, czy mogę kupić tylko połowę pęczka. Jestem sama, wyjaśniłam... nie potrzeba mi wiele. Natychmiast wyjęła mi z rąk szparagi i podzieliła pęczek na połowy. Spytałam, czy to targowisko jest tu codziennie, a ona odparła, że owszem, że ona sama jest tutaj każdego dnia od siódmej. Wtedy jej uroczy syn spojrzał na mnie szelmowsko i powiedział: „No cóż, ona stara się być tutaj o siódmej...” Wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Cała ta rozmowa odbyła się po włosku... w języku, którym ledwie kilka miesięcy wcześniej w ogóle nie mówiłam.

Po powrocie do mieszkania wzięłam dwa świeże jajka w brązowych skorupkach i ugotowałam je na miękko. Obrałam i ułożyłam na talerzu obok siedmiu szparagów (które okazały się takie cienkie i kruche, że w ogóle nie wymagały gotowania). Dodałam kilka oliwek oraz cztery kopczyki serka owczego, który kupiłam poprzedniego dnia w *formaggeria* na mojej ulicy, oraz dwa błyszczące plasterki różowego łososia. Na deser - śliczna brzoskwinia, którą kobieta z ryneczku mi podarowała i która wciąż była ciepła od rzymskiego słońca. Bardzo długo nie mogłam nawet tknąć tego jedzenia, bo było to takie dzieło sztuki, prawdziwy przykład kunsztu robienia czegoś z niczego. Kiedy wreszcie nacieszyłam oczy urodą swojego posiłku, usiadłam w plamie słonecznego światła na czystej drewnianej podłodze i zjadłam palcami wszystko do końca, czytając przy tym, jak co dzień, artykuł we włoskiej gazecie. Szczęście przepelniało każdą cząsteczkę mojego ciała.

Dopóki nie odezwał się ten mój alarmujący dzwonek poczucia winy - co podczas pierwszych miesięcy podróży zdarzało się często. Usłyszałam w uchu pogardliwy głos męża: *To dla czegoś takiego rzuciłaś wszystko? To dla tego zrujnowałaś całe nasze wspólne życie? Dla kilku szparagów i włoskiej gazety?*

Odpowiedziałam mu na głos: „Po pierwsze, bardzo mi przykro, ale to już nie twoja sprawa. A po drugie, odpowiadając na twoje pytania... t a k ”.

22

Kiedy mówię o tej mojej pogoni za przyjemnością we Włoszech, muszę się odnieść do jeszcze jednej kwestii: *Co z s e k s e m ?*

Odpowiadając na to pytanie prosto: Nie chcę go, kiedy jestem tutaj.

Odpowiadając bardziej szczegółowo i szczerze: oczywiście czasami bardzo bym chciała, postanowiłam jednak przeczekać tę rundę. Nie chcę się angażować. Naturalnie brakuje mi całowania, bo uwielbiam, kiedy mnie całują. (Tyle się już skarżyłam na to Sofie, aż wreszcie rzuciła zirytowana: „Na miłość boską, Liz... jak już nie będziesz mogła wytrzymać, to ja cię pocałuję”.) Na razie nie zamierzam nic w tej sprawie robić. Kiedy czuję się samotna, myślę sobie: *Więc bądź samotna, Liz. Naucz się nie gubić w tej samotności. Zrób sobie jej mapę. Przynajmniej raz w życiu pobądź z nią. Rozgość się w tym ludzkim*

doświadczeniu. Nigdy jednak już nie używaj uczuć ani ciała innej osoby jako placu ćwiczeń dla swoich niespełnionych pragnień.

Jest to swojego rodzaju strategia ratunkowa stosowana w nagłej potrzebie. Pogoń za seksualnymi i miłosnymi przyjemnościami zaczęłam na dość wczesnym etapie życia. Ledwie zdażyłam fizycznie dojrzeć, a już miałam pierwszego chłopaka. Od piętnastego roku życia konsekwentnie spotykałam się z jakimś chłopakiem albo mężczyzną (czasami i jednym, i drugim). To było jakieś - niech pomyślę - dziewiętnaście lat temu. Przez prawie dwadzieścia lat byłam zawsze zaplątana w swego rodzaju dramat z jakimiś facetami. Jeden się kończył, drugi zaczynał - przerwy na złapanie oddechu trwały nie dłużej niż tydzień. Trudno więc, bym nie uważała tego za swoiste obciążenie na mojej drodze do dojrzałości.

Poza tym w moich stosunkach z mężczyznami występują kwestie granic. Może to jednak nie tak. Żeby mieć problem granic, trzeba najpierw mieć granice, prawda? Ja natomiast zatracam się całkowicie w osobie, którą kocham. Jestem jak błona przepuszczalna. Jeśli cię kocham, możesz mieć wszystko. Mój czas, moje oddanie, mój tyłek, pieniądze, rodzinę, psa, pieniądze mojego psa, czas psa... w s z y s t k o . Jeśli cię kocham, przecierpię za ciebie każdy twój ból, przejmę na siebie wszystkie twoje długi (w każdym znaczeniu tego słowa), ochronię cię przed twoją własną niepewnością, przeniosę na ciebie wszelkie dobre cechy, których tak naprawdę nigdy w sobie nie wykształciłeś, i kupię gwiazdkowe prezenty dla całej twojej rodziny. Dam ci słońce i deszcz, a jeśli akurat okaże się to niemożliwe, zagwarantuję ci je na przyszłość. Dam ci to i wiele więcej, aż będę tak osłabiona i wyczerpana, że odzyskam energię, tylko jeśli zadurzę się w kimś innym.

Nie przedstawiam tych faktów z dumą, ale tak to właśnie z mojej strony zawsze wyglądało.

Jakiś czas po odejściu od męża byłam na przyjęciu i pewien człowiek, którego prawie nie znałam, powiedział do mnie: „Wiesz, teraz, kiedy masz nowego chłopaka, robisz wrażenie zupełnie innej osoby. Kiedyś wyglądałaś jak twój mąż, a teraz wyglądasz jak David. Nawet ubierasz się tak jak on, mówisz jak on. Wiesz, że niektórzy ludzie upodabniają się do swoich psów? Wydaje mi się, że ty zawsze wyglądasz jak twoi faceci”.

Dobry Boże, przydałoby się przerwać na chwilę ten cykl, poświęcić trochę czasu na odkrycie tego, jak wyglądam i mówię, kiedy nie próbuję zlać się z kimś w jedno. A także, bądźmy szczerzy... może by to wszystkim wyszło na zdrowie, gdybym na jakiś czas zostawiła w spokoju sprawy intymne. Kiedy robię przegląd moich miłosnych dokonań, nie wygląda mi to dobrze. Jedna katastrofa za drugą. Ilu jeszcze różnych mężczyzn będę usiłowała pokochać i ile jeszcze poniosę na tym polu porażek? Pomyślcie o tym w ten sposób - gdybyście mieli

dziesięć poważnych wypadków drogowych pod rząd, czy nie odebrano by wam w końcu prawa jazdy? Czy w jakimś sensie sami byście tego nie pragnęli?

Jest jeszcze ostatni powód, dla którego waham się z kimś wiązać. Tak się zdarzyło, że nie przestałam kochać Davida, i uważam, że byłoby to nieuczciwe wobec kolejnego faceta. Nie jestem nawet pewna, czy całkowicie ze sobą zerwaliśmy. Przed moim wyjazdem do Włoch wciąż spędzaliśmy razem dużo czasu, choć już od dawna nie spaliśmy z sobą. Niemniej przyznawaliśmy się nadal do pewnych nadziei, że może kiedyś...

Nie wiem.

Wiem natomiast tyle - jestem zmęczona nagromadzeniem konsekwencji życia pełnego pospiesznych wyborów i chaotycznych namiętności. Kiedy wyjeżdżałam do Włoch, byłam chora na ciele i duszy. Czułam się, jakbym była glebą na farmie dzierżawcy, maksymalnie wyeksploatowaną, taką, którą trzeba zostawić, by poleżała odłogiem. Dlatego dałam sobie z tym spokój.

Wierzcie mi, zdaję sobie doskonale sprawę z ironii sytuacji, w której wybieram się do Włoch w pogoni za przyjemnością w okresie narzuconego sobie celibatu. Niemniej uważam, że wstrzeźliwość bardzo dobrze mi zrobi. Upewniłam się o tym pewnej nocy, kiedy moja sąsiadka z piętra wyżej (bardzo ładna Włoszka z zadziwiającą kolekcją kozaczków na szpilkach) przeżywała z aktualnym szczęśliwcem najdłuższą, najgłośniejszą, uatrakcyjnioną największą liczbą klaśnieć ciała o ciało i łomotów łóżka, najbardziej katorżniczą sesję miłosną, jaką w życiu słyszałam. Ten hałaśliwy taniec, okraszony efektami dźwiękowymi, na które składało się spazmatyczne sapanie i zwierzęce wołanie godowe, trwał ponad godzinę.

Leżałam piętro niżej, samotna i zmęczona, i przyszła mi do głowy tylko jedna myśl:
Brzmi to jak ciężka harówka...

Oczywiście czasami zalewa mnie fala pożądania. Mijam dziennie co najmniej kilku Włochów, których bez trudu jestem w stanie wyobrazić sobie w moim łóżku. Albo w ich łóżku. Gdziekolwiek. Na mój gust, mężczyźni w Rzymie są niedorzecznie, boleśnie, głupio wręcz piękni. Szczerze mówiąc, piękniejsi od kobiet. Włosi są piękni na ten sam sposób co Francuzki, to znaczy... że w poszukiwaniu doskonałości nie został pominięty żaden szczegół. Są niczym pudle na wystawie psów. Czasami wyglądają tak świetnie, że mam ochotę klaskać. Tutejsi mężczyźni swoją urodą zmuszają mnie, bym do ich opisu wykorzystywała słownictwo z romansów. Są „szatańsko atrakcyjni” albo „okrutnie przystojni”, albo „zdumiewająco muskularni”.

Muszę się przyznać do czegoś, co nie jest dla mnie zbyt pochlebne: zauważyłam, że rzymianie na ulicy nie obdarzają mnie drugim spojrzeniem. Ani nawet pierwszym

spojrzeniem, jeśli chodzi o ścisłość. Na początku nieco mnie to niepokoiło. Byłam już raz we Włoszech, kiedy miałam dziewiętnaście lat, i pamiętam, że mężczyźni nieustannie nagabywali mnie na ulicy. I w pizzeriach. I w kinie. I w Watykanie. Było to okropne. Stało się to prawdziwym mankamentem podróży po Włoszech, czymś, co mogło nawet zepsuć człowiekowi apetyt. Teraz, kiedy mam trzydzieści cztery lata, jestem najwyraźniej niewidzialna. Jasne, czasami jakiś mężczyzna odezwie się do mnie przyjacielsko: „Pięknie dziś wyglądasz, signorina”, ale nie zdarza się to często i nigdy nie jest agresywne. I choć można się cieszyć, że żaden obrzydliwy facet nie obmacuje nas w autobusie, to przecież ma się tę swoją kobiecą dumę i trudno się nie zastanawiać: *Co tu się zmieniło? Czy to ja? Czy oni?*

Pytam więc wokół i wszyscy potwierdzają, że rzeczywiście w ciągu minionych dziesięciu-piętnastu lat we Włoszech nastąpiła pewna istotna zmiana. Może to zwycięstwo feminizmu albo ewolucja kultury, albo też nieuchronne zmiany będące rezultatem wejścia do Unii Europejskiej. A może to tylko młodsze pokolenie czuje się zażenowane obleśnym zachowaniem swoich ojców i dziadków. Z czegokolwiek by to wynikało, wydaje się, że Włosi jako społeczeństwo uznali, iż napastowanie kobiet jest nie do przyjęcia. Nawet mojej prześlicznej przyjaciółeczce Sofie nie zdarza się, by ją zaczepiano na ulicy, a przecież kiedyś te szwedzkie dziewczyny o świeżości dójek nie mogły się tu opędzić od mężczyzn.

W sumie - wygląda na to, że Włosi zasłużyli sobie na nagrodę dla najbardziej zreformowanych.

Przyjmuję to z ulgą, bo już myślałam, że powód tkwi we mnie samej. To znaczy obawiałam się, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, bo już nie mam dziewiętnastu lat i przestałam być ładna. Myślałam, że może mój przyjaciel Scott miał rację, kiedy latem oświadczył: „Och, nie przejmuj się, Liz... Włosi nie będą cię już napastowali. To nie Francja, gdzie gustują w starszych babkach”.

Wczoraj po południu poszłam na mecz piłki nożnej z Luçą Spaghettim i jego przyjaciółmi. W Rzymie są dwa kluby piłkarskie - Lazio i Roma. Rywalizacja między tymi drużynami i ich kibicami jest zacięta i bywa, że dzieli szczęśliwe pod każdym innym względem rodziny i

spokojne dzielnice, tworząc z nich strefy wojny domowej. Trzeba odpowiednio wcześniej w życiu dokonać wyboru, czy jest się fanem Lazio czy Romy, ponieważ od tego w dużym stopniu zależy, z kim przez resztę życia będziesz spędzał każde niedzielne popołudnie.

Luca ma około dziesięciu bliskich przyjaciół, którzy kochają się jak bracia. Tyle że połowa z nich to kibice Lazio, a połowa Romy. Nic na to nie mogą poradzić; przyszli na świat w rodzinach, które od lat były wierne jednej lub drugiej drużynie. Dziadek Luki (który, jak mam nadzieję, znany jest jako Nonno Spaghetti) podarował mu pierwszą błękitną jak niebo koszulkę drużyny Lazio, kiedy chłopak był brzdącem. Luca zatem będzie do śmierci kibicował Lazio. Możemy zmienić żonę, powiedział, możemy zmienić posadę, narodowość, a nawet religię, ale nie możemy zmienić naszej drużyny.

A przy okazji, włoskie słowo na fanatycznego kibica to *tifoso*. Wywodzi się od tyfusu. Innymi słowy, oznacza kogoś bardzo rozgorączkowanego.

Pierwszy mecz piłki nożnej z Lucą Spaghettem był dla mnie szaleńczą ucztą włoskiego. Na stadionie nauczyłam się przeróżnych nowych i ciekawych słów, jakich nie złapiesz w szkole. Siedzący za mną starszy mężczyzna rzucał w stronę graczy skomplikowane kwieciste wiązanki. Nie znam się za bardzo na piłce nożnej, ale nie marnowałam czasu na zadawanie dumnych pytań na temat tego, co się dzieje w grze. Za to pytałam w kółko: „Luca, co ten gość za mną właśnie powiedział? Co znaczy *cafone*?” I Luca - ani na moment nie odwracając wzroku od boiska - odpowiadał: „Dupek. To znaczy dupek”.

Wszystko sobie zapisywałam. Potem przymknęłam oczy i wsłuchiwałam się w tyradę starego, która brzmiała mniej więcej tak:

Dai, dai, dai, Albertini, dai... va bene, va bene, ragazzo mio, perfetto, bravo, bravo... Dai! Dai! Via! Via! Nella porta! Eccola, eccola, eccola, mio bravo ragazzo, caro mio, eccola, eccola, ecco... AAAAAAAAAA!!! VAFFANCULO!!! FIGLIO DI MIGNOTTA!! STRONZO! CAFONE! TRADITORE! Madonna... Aaa, Dio mio, perché, perché, perché, questo è stupido, è una vergogna, la vergogna... Che casino, che bordello... NON HAI UN CUORE, ALBERTINI! FAI FINTA! Guarda, non è suc-ceso niente... Dai, dai, aa... Molto migliore, Albertini, molto migliore, sì sì, sì, eccola, bello, bravo, anima mia, aa, ottimo, eccola adesso... nella porta, nella porta, nell... VAFFANCULO!!!!!!!

Co mogłabym spróbować przełożyć w sposób następujący:

Dalej, dalej, dalej, Albertini, dalej... OK, OK, mój chłopcze, doskonałe, wspaniałe, wspaniałe... Dalej! Dalej! Ruszaj! Ruszaj! Na bramkę! Właśnie tak, właśnie tak, właśnie tak, wspaniały chłopiec, mój drogi, właśnie tak, właśnie tak... AAAAA! PIEPRZ SIĘ! TY SUKINSYNU! WSZARZ! DUPEK! ZDRAJCA!... Matko Boska... O mój Boże, dlaczego, dlaczego, dlaczego, to głupie, to wstyd, co za wstyd... Ale bajzel... [Uwaga autorki: Niestety nie ma dobrego sposobu, żeby przełożyć na angielski te bajeczne włoskie wyrażenia che casino i che bordello, które dosłownie znaczą „co za kasyno” i „co za burdel”, ale zasadniczo mają oznaczać jedno: „co za pieprzony galimatias”].]... BRAK CI ODWAGI, ALBERTINI!!!! TYLKO UDAJESZ! Słuchaj, nic się nie stało... Dalej, dalej, hej, tak... Znacznie lepiej, Albertini, znacznie lepiej, tak tak tak, właśnie tak, pięknie, wspaniale, och, cudownie, właśnie tak... do bramki, do bramki, do... NIECH CIĘ SZLAAAAAG!!!

Och, jakże wspaniałe i szczęśliwe były te chwile, kiedy siedziałam na stadionie, mając tego człowieka za plecami. Wielbiłam każde słowo, które wypływało z jego ust. Miałam ochotę położyć głowę na jego starych kolanach, żeby mógł już bez końca wlewać swoje potoczyste przekleństwa wprost do moich uszu. Nie był zresztą w tym osamotniony! Cały stadion huczał podobnymi tyradami. Z jaką zarliwością je wygłaszano! Kiedy tylko doszło do jakiejś niesprawiedliwości na płycie boiska, wszyscy zrywali się na równe nogi, wymachując wściekle rękoma, i rzucali przekleństwa, zupełnie jakby całe dwadzieścia tysięcy ludzi właśnie brało udział w awanturze kierowców w następstwie stłuczki na drodze. Piłkarze Lazio nie zachowywali się ani trochę mniej dramatycznie od swoich fanów, wili się spektakularnie z bólu na murawie jak w scenach śmierci z Juliusza Cezara, potem zrywali się i już w dwie sekundy później prowadzili kolejny atak na bramkę przeciwnika.

Niemniej przegrali.

Po meczu, czując potrzebę poprawienia sobie nastroju, Luca Spaghetti spytał przyjaciół: „Pójdziemy na miasto?”

Założyłam, że oznacza to „pójdziemy do baru”. Tak właśnie by zrobili kibice sportowi w Stanach po przegranej swojej drużyny. Poszliby do baru i dali sobie w gardło. Zresztą nie tylko Amerykanie... także Anglicy, Australijczycy, Niemcy... wszyscy, prawda? Jednak Luca i jego przyjaciele nie mieli zamiaru poprawiać sobie nastroju w barze. Oni poszli do cukierni. Była to skromna cukierenka ukryta w suterenie domu, w niczym niewyróżniającej się dzielnicy Rzymu. Tego niedzielnego wieczoru cukierenka była pełna ludzi. Tak jest zawsze po meczu. Kibice Lazio zatrzymują się tutaj w drodze do domu; wsparci na motocyklach stoją

godzinami na ulicy, rozprawiają o meczu, są męscy jak diabli i zajadają ptysie. Uwielbiam Włochy.

24

Uczę się mniej więcej dwudziestu nowych włoskich słów dziennie. Nieustannie coś powtarzam, przerzucam notatki, spacerując po mieście i unikając zderzenia z pieszymi. Skąd mi się bierze miejsce w mózgu na magazynowanie tych słówek? Mam nadzieję, że mój umysł postanowił wyrzucić trochę starych negatywnych myśli i smutnych wspomnień i wypełnić miejsce po nich tymi nowymi, lśniącymi słowami.

Pracuję ciężko nad swoim włoskim, ale ciągle mam nadzieję, że pewnego dnia zostanie mi on nagle objawiony, w całości, niczym nie skażony. Pewnego dnia otworzę usta i okaże się, że jakimś cudem mówię płynnie po włosku. Wtedy będę prawdziwą Włoszką, a nie stuprocentową Amerykanką, która słysząc, jak ktoś woła przez ulicę do swojego przyjaciela „Marco”, chce odkrzyknąć instynktownie: „Polo!” Chciałabym, żeby ten włoski po prostu zamieszkał we mnie, ale w tym języku jest tyle pułapek. Dlaczego na przykład włoskie słowa oznaczające „drzewo” i „hotel” (*albero* i *albergo*) są tak bardzo podobne? Z tego powodu zdarza mi się mówić ludziom, że wychowałam się na „plantacji bożonarodzeniowych hoteli”, zamiast na „plantacji bożonarodzeniowych drzewek”, co byłoby zgodne z prawdą i mniej surrealistyczne. Są jeszcze te słowa o podwójnym czy potrójnym znaczeniu. Na przykład *tasso*. Może oznaczać stopę procentową, borsuka albo cis. Domyślam się, że zależnie od kontekstu. Najbardziej mnie irytuje, kiedy natykam się na włoskie słowa, które są - mówię to z ogromną przykrością - po prostu brzydkie. Odbieram to niemal jak osobistą zniewagę. Przepraszam, ale nie po to odbyłam tę długą podróż, żeby wymawiać takie słowa jak *schermo* („ekran”).

Ogólnie jednak warto się było fatygować. Bo w większości to czysta przyjemność. Mamy świetną zabawę z Giovannim, ucząc się nawzajem angielskich i włoskich idiomów. Poprzedniego wieczoru rozmawialiśmy o wyrażeniach, których używamy, żeby kogoś pocieszyć w nieszczęściu. Powiedziałam mu, że po angielsku mówimy czasem: „Też tam byłem”. Z początku tego nie rozumiał... Byłem gdzie? Wytłumaczyłam mu jednak, że głęboki żal jest niczym jakieś konkretne miejsce, przecięcie współrzędnych na mapie czasu. Kiedy

stojmy w tym lesie smutku, trudno nam sobie wyobrazić, że będziemy w stanie odnaleźć drogę do jakiegoś lepszego miejsca. Jeśli natomiast ktoś nas zapewni, że już kiedyś stał w tym samym miejscu, ale zdołał się stamtąd wyrwać, może nam to dać nadzieję.

- Więc smutek to miejsce? - spytał Giovanni.

- Czasami ludzie żyją tam latami - odparłam.

Z kolei Giovanni powiedział, że jeśli Włoch chce wyrazić współczucie, używa zwrotu: *L'ho provato sulla mia pelle*, czyli: „Doświadczyłem tego na własnej skórze”. Chce przez to powiedzieć, że został poparzony lub zraniony w taki sam sposób i wie dokładnie, co przeżywasz.

Na razie najbardziej zachwyca mnie proste powszednie włoskie słowo:

Attraversiamo.

Oznacza „Przejdźmy na drugą stronę”. Ludzie ciągle go używają, kiedy idą z kimś chodnikiem i stwierdzają, że czas przejść na drugą stronę. Krótko mówiąc, formalnie jest to słowo dla pieszych. Nie ma w nim nic szczególnego. Niemniej, z jakiegoś powodu, robi na mnie piorunujące wrażenie. Kiedy Giovanni użył go pierwszy raz, przechodziliśmy właśnie w pobliżu Koloseum. Usłyszałam nagle, jak wymawia to piękne słowo, i stanęłam jak wryta, żądając natychmiastowego wyjaśnienia: „Co to znaczy? Co powiedziałaś?”

Attraversiamo.

Nie mógł pojąć, dlaczego tak bardzo mi się to spodobało. *Przejdźmy na drugą stronę ulicy?* Dla mojego ucha jest to jednak idealna kombinacja włoskich głosek. Rzewne a na początku, drżące r, kojące s, ten przeciągły zestaw „ijamo” na końcu. Uwielbiam to słowo. Ciągle je teraz powtarzam. Wymyślam preteksty, żeby go użyć. Doprowadzam tym Sofię do szaleństwa. *Przejdźmy na drugą stronę! Przejdźmy na drugą stronę!* Bezustannie wlokę ją w tę i z powrotem przez zatłoczone samochodami jezdnie Rzymu. Kiedyś tym słowem zabiję nas obie.

Giovanniemu najbardziej podoba się brzmienie angielskiego *half-assed* („przygłupi”).
Luce - *surrender* („kapitulacja”).

W Europie toczy się walka o władzę. Kilka miast współzawodniczy o to, które z nich stanie się wielką europejską metropolią dwudziestego pierwszego wieku. Czy będzie to Londyn? Paryż? Berlin? Zurych? Może Bruksela, centrum młodej unii? Wszystkie chcą wyprzedzić pozostałe w sprawach kultury, architektury, polityki, finansów. Rzym jednak, trzeba to tutaj powiedzieć, nie dołączył do tego wyścigu. Rzym nie współzawodniczy. Rzym przygląda się temu zamieszaniu i zmaganiom kompletnie niespeszony, z obojętną miną: *Hej... róbcie sobie, co chcecie, ja i tak pozostanę Rzymem*. Porywa mnie królewska pewność siebie tego miasta, tak mocno zakorzenionego i uładzonego, tak rozbawionego i monumentalnego, świadomego, że tkwi bezpiecznie w uścisku historii. Jako starsza pani chciałabym być taka jak Rzym.

Dzisiaj idę na sześciogodzinny spacer przez miasto. Nie jest to trudne, szczególnie jeśli zatrzymujemy się, żeby po drodze posilić się espresso i ciastkami. Wyruszam spod drzwi mojego mieszkania i przechodzę przez znajdujące się po sąsiedzku kosmopolityczne centrum handlowe. (Właściwie nie można tego nazwać sąsiedztwem, przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Bo wtedy musiałabym powiedzieć, że mam za sąsiadów tych zwykłych, prostych ludzi o nazwiskach takich, jak Valentino, Gucci i Armani.) Zawsze była to ekskluzywna dzielnica. Rubens, Tennyson, Stendhal, Balzac, Liszt, Wagner, Thackeray, Byron, Keats... oni wszyscy tutaj byli. Mieszkam w okolicy, którą kiedyś zwano „angielskie getto” - tu podczas Wielkich Objazdów po Europie zatrzymywali się wszyscy wytworni arystokraci. Jeden z londyńskich klubów podróżniczych nazywał się nawet Stowarzyszenie Dyletantów... wyobraźcie sobie tylko, chwalić się dyletanctwem! Cóż za wspaniały bezwstyd...

Przechodzę na piazza del Popolo ze wspaniałym łukiem, wyrzeźbionym przez Berniniego dla uhonorowania wizyty szwedzkiej królowej Krystyny (która tak naprawdę była jedną z bomb neutronowych historii. Oto, jak moja szwedzka przyjaciółka opisuje tę wielką królową: „Potrafiła jeździć konno, potrafiła polować, była uczoną, przeszła na katolicyzm i wywołała tym wielki skandal. Niektórzy twierdzą, że była mężczyzną, ale prawdopodobnie była lesbijką. Nosila spodnie, brała udział w wykopaliskach archeologicznych, kolekcjonowała dzieła sztuki i odmawiała pozostawienia po sobie następcy tronu”). Obok łuku stoi kościół, do którego można wejść za darmo i obejrzeć dwa malowidła Caravaggia, przedstawiające męczeństwo świętego Piotra oraz nawrócenie świętego Pawła (tak przejętego

łaską, że padł na ziemię w świętym uniesieniu; nawet jego koń nie jest w stanie w to uwierzyć). Te obrazy Caravaggia zawsze mnie przytłaczają i wprowadzają w płaczliwy nastrój, który sobie poprawiam, przechodząc na drugą stronę kościoła i ciesząc oczy freskiem, przedstawiającym najszcześliwszego, najzabawniejszego, najbardziej rozchichotanego małego Jezuska w Rzymie.

Ponownie ruszam na południe. Mijam Palazzo Borghese, w którym mieszkało wiele sławnych osób, włącznie z Pauliną, prowadzącą się skandalicznie siostrą Napoleona, która trzymała tam niezliczonych kochanków. Lubiła też używać pokojówek jako podnóżków. (Czytelnik ma zawsze nadzieję, że odczytał niepoprawnie to zdanie w *Przewodniku po Rzymie*, ale nie... to nie pomyłka. Paulina życzyła sobie, czytamy, żeby do kąpieli niósł ją „ogromny Murzyn”). Potem idę wzdłuż brzegu szerokiego, bagnistego, sielsko wyglądającego Tybru, aż do Wyspy Tyberyńskiej, która jest jednym z moich ulubionych spokojnych miejsc w Rzymie. Wyspę tę zawsze kojarzono z lecznictwem. Po zarazie z roku 291 wzniesiono tutaj świątynię Asklepiosa; w średniowieczu szpital wybudowali tu zakonnicy zwani Fatebenefratelli (co można znakomicie przełożyć jako „bracia dobro czyniący”), dzisiaj też jest na wyspie szpital.

Przechodzę na drugi brzeg rzeki do Trastevere - dzielnicy, którą podobno zamieszkują ci najprawdziwsi rzymianie, robotnicy, ludzie, którzy przez stulecia wybudowali wszystkie pomniki na tym brzegu Tybru. Jem lunch w cichej trattorii, siedząc nad jedzeniem i winem przez kilka godzin, ponieważ w Trastevere nikt cię nie pogania, kiedy się zasiedzisz. Na przystawkę zamawiam zestaw *bruschette*, potem trochę spaghetti *cacio e pepe* (tę prostą rzymską specjalność złożoną z makaronu z serem i pieprzem), a na koniec małego pieczonego kurczaka, którym dzielę się ostatecznie z bezpańskim psem, patrzącym na mnie tak, jak potrafi to robić tylko bezpański pies.

Po lunchu przechodzę mostem z powrotem, idę przez stare żydowskie getto, boleśnie smutne miejsce, które przetrwało stulecia, aż w końcu mieszkańców zabrali hitlerowcy. Wracam na północ, mijam piazza Navona z gigantyczną fontanną wzniesioną dla uhonorowania czterech wielkich rzek planety Ziemi (z dumą, choć niekoniecznie zgodnie z prawdą, włączono do tej listy ospały Tyber). Potem rzucam okiem na Panteon, na który staram się patrzeć za każdym razem, kiedy mam okazję. Według starego powiedzenia bowiem, jeśli ktoś pojedzie do Rzymu i nie zobaczy Panteonu, to „pojedzie tam jako dureń i durniem wróci”.

W drodze powrotnej zbaczam nieco z trasy, żeby zatrzymać się w miejscu, które w Rzymie porusza mnie w najdziwniejszy sposób - pod Augusteum. Ta wielka, okrągła ruina to

wszystko, co zostało po wspaniałym mauzoleum, które kazał wybudować Oktawian August, żeby można było w nim złożyć po wsze czasy szczątki jego i jego rodziny. Wówczas cesarzowi nie mogło przemknąć przez głowę, że Rzym kiedyś przestanie być czczącym potężnego Augusta imperium. Jak miałby przewidzieć upadek cesarstwa? Skąd miałby wiedzieć, że barbarzyńcy zniszczą akwedukty, drogi popadną w ruinę, a ludność opuści miasto i minie niemal dwadzieścia wieków, nim Rzym odzyska taką liczbę mieszkańców, jaką miał w czasach swojej największej świetności?

W średniowieczu mauzoleum Augusta popadło w ruinę i zostało splądrowane. Ktoś, nie wiadomo kto, ukradł prochy cesarza. U schyłku jedenastego wieku mauzoleum odbudowano i przerobiono na fortecę dla potężnej rodziny Colonna, która chroniła się tam przed atakami różnych wojowniczych książąt. Potem jakimś cudem Augusteum stało się winnicą, następnie renesansowym ogrodem, później areną walk byków (teraz jesteśmy w wieku osiemnastym), potem składnicą fajerwerków, wreszcie salą koncertową. W latach trzydziestych Mussolini kazał odrestaurować tę budowę aż do klasycznych fundamentów, żeby któregoś dnia mogła posłużyć jako miejsce spoczynku jego doczesnych szczątków. (Wtedy też nie można było przewidzieć, że Rzym kiedyś przestanie być czczącym Mussoliniego imperium.) Jak wiadomo, faszystowskie marzenia Mussoliniego nie przetrwały, a on sam nie otrzymał tego cesarskiego pochówku, którego oczekiwał.

Dzisiaj zagłębione w ziemi Augusteum jest jednym z najspokojniejszych i najmniej uczęszczanych miejsc w Rzymie. Przez stulecia wyrosło wysoko wokół niego miasto. (Cał rocznie to w przybliżeniu przyrost rumowiska upływającego czasu.) Powyżej i wokół tego historycznego pomnika trwa szalony ruch uliczny i nikt nie schodzi tam na dół - jak widzę - chyba jedynie żeby wykorzystać to miejsce jako publiczny szalet. Budynek jednak wciąż stoi, z godnością trzyma się rzymskiej ziemi, czeka na swoje kolejne wcielenie.

Ta trwałość Augusteum, fakt, że miało tak zmienne losy, a mimo to potrafiło się dostosować do szaleństw różnych czasów, dodaje mi otuchy. Augusteum jest dla mnie jak osoba, która prowadziła kompletnie zwariowany żywot... na początku mogła być panią domu, potem niespodziewanie została wdową, potem dla zarobku zaczęła uprawiać taniec z wachlarzem, a dziwnym sposobem skończyła jako pierwsza dentystka w kosmosie, po czym spróbowała jeszcze swoich sił w polityce... i wbrew wszystkiemu w całym tym chaosie zawsze potrafiła zachować poczucie własnej tożsamości.

Patrzę na Augusteum i myślę sobie, że może ostatecznie moje życie nie jest aż takie chaotyczne. Rzecz w tym, że ten świat jest chaotyczny, przynosi zmiany, jakich nikt nie był w stanie przewidzieć. Augusteum jest ostrzeżeniem, bym nie przywiązywała się do żadnych

przestarzałych pomysłów na temat tego, kim jestem, co sobą reprezentuję, do kogo należę albo jaką zamierzałam kiedyś odgrywać rolę. Wczoraj mogłam być dla kogoś wspianym pomnikiem, to prawda... jutro jednak mogę być składem fajerwerków.

Nawet w Wiecznym Mieście, mówi to milczące Augusteum, należy być przygotowanym na niepohamowane i niekończące się fale przemian.

26

Tuż przed wyjazdem z Nowego Jorku wysłałam do Włoch na swój rzymski adres skrzynkę książek. Przesyłka miała zostać dostarczona do mojego mieszkania w cztery do sześciu dni, myślę jednak, że włoska poczta zrozumiała to jako „czterdzieści sześć dni”, bo minęły już dwa miesiące, a po skrzynce ani śladu. Włoscy przyjaciele radzą, żebym o niej zapomniała. Mówią, że przesyłka przyjdzie albo nie przyjdzie i że na takie sprawy nie mamy najmniejszego wpływu.

- Może ktoś to ukradł? - pytam Lucę Spaghetiego. - Może poczta gdzieś zgubiła?

- Nie zadawaj takich pytań - odpowiada i zakrywa rękoma oczy. - Po co się masz denerwować?

Tajemnica zaginionej przesyłki powoduje, że pewnego wieczoru Maria, jej mąż Giulio i ja wdajemy się w długą dyskusję na ten temat. Maria uważa, że w cywilizowanym społeczeństwie powinno się móc polegać na takich rzeczach jak niezawodność poczty, Giulio natomiast pozwala sobie mieć inne zdanie. Utrzymuje, że poczta nie jest zależna od człowieka, ale od losu, i że nikt nie może zagwarantować czegoś takiego jak dostarczenie przesyłki. Maria oświadcza ze złością, że to jeszcze jeden dowód na to, jak różni są protestanci od katolików. Najlepiej tę odmienność, mówi, pokazuje fakt, że Włosi - włącznie z jej mężem - nie potrafią robić planów na przyszłość, nawet jeśli to dotyczy tylko przyszłego tygodnia. Spróbuj umówić się z protestantem z amerykańskiego Środkowego Zachodu na kolację za tydzień, a on, czując się panem swojego losu, odpowie: „Czwartek wieczór mi odpowiada”. Jeśli zechcesz w ten sposób umówić się z katolikiem z Kalabrii, wrzuci jedynie ramionami, wzniesie oczy do nieba i powie: „Skąd miałbym wiedzieć, czy będę wolny w przyszły czwartek? Przecież wszystko jest w rękach Boga i nikt z nas nie zna swego losu”.

Mimo to idę kilka razy na pocztę, usiłując wytropić moją skrzynkę, bez rezultatu. Urzędniczka nie jest zachwycona, że przerywam jej telefoniczną rozmowę z chłopakiem, a mój włoski - który naprawdę jest coraz lepszy, słowo daję - zawodzi mnie w takich stresujących sytuacjach. Kiedy próbuję mówić całkiem logicznie o zaginionej przesyłce, kobieta spogląda na mnie, jakbym puszczała bańki ze śliny.

- Może przyjdzie w przyszłym tygodniu? - pytam ją po włosku.

- *Magari*. - Wzrusza ramionami.

Jeszcze jedno slangowe wyrażonko nie do przetłumaczenia, oznaczające coś pomiędzy „miejmy nadzieję” i „możesz sobie pomarzyć, frajerko”.

Och, może tak będzie najlepiej. Już nawet nie pamiętam, jakie książki zapakowałam do tej skrzynki. Na pewno było to coś, co wydawało mi się warte przestudiowania, jeśli miałam naprawdę zrozumieć Włochy. Wypakowałam skrzynkę starannie dobranymi materiałami na temat Rzymu, ale teraz, kiedy tu jestem, wydają się one zupełnie nieważne. Chyba nawet wsadziłam tam *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* i *Upadek cesarstwa rzymskiego na Zachodzie* Gibbona. Ostatecznie, może i lepiej mi bez nich. Zważywszy, że życie jest takie krótkie, czy naprawdę mam ochotę spędzić jedną dziewięćdziesiątą z pozostałego mi na ziemi czasu, czytając Edwarda Gibbona?

27

W ubiegłym tygodniu spotkałam Australijkę, która pierwszy raz w życiu wyruszyła w podróż po Europie. Pokazałam jej drogę na dworzec kolejowy. Wybierała się do Słowenii, żeby zobaczyć, jak tam jest. Kiedy usłyszałam, jakie ma plany, ogarnęła mnie taka niemądra zazdrość, że zaczęłam powtarzać w myślach: *Chcę pojechać do Słowenii! Dlaczego ja właściwie nigdzie nie jeżdżę?*

Osobie niezorientowanej może się wydawać, że ja już jestem w podróży. A tęsknota za podróżowaniem, kiedy człowiek już podróżuje, jest, przyznaję, szaleńczą pazernością. To tak jakby fantazjować o seksie z ulubioną gwiazdą filmową, uprawiając seks z inną ulubioną gwiazdą filmową. To jednak, że dziewczyna spytała o drogę właśnie mnie (najwyraźniej wzięła mnie za miejscową), oznacza, że w zasadzie nie jestem w Rzymie przejazdem, tylko tu mieszkam. Nieważne, jak tymczasowy to pobyt, jestem mieszkanką tego miasta. Bo

rzeczywiście, kiedy wpadłam na tę dziewczynę, szłam właśnie zapłacić rachunek za prąd, czym podróżnicy się przecież nie przejmują. Energia podróżowania do jakiegoś miejsca i energia zamieszkiwania w jakimś miejscu to dwa zasadniczo odmienne rodzaje energii i w spotkaniu z tą Australijką udającą się do Słowenii było coś, co wywołało u mnie ogromne pragnienie, żeby ruszyć w drogę.

Dlatego zadzwoniłam do swojej przyjaciółki Sofie i powiedziałam: „Wpadnijmy na jeden dzień do Neapolu na pizzę!”

Natychmiast, zaledwie kilka godzin później, siedzimy w pociągu, a potem - jak w sztuczce magicznej - jesteśmy u celu podróży. Od razu zakochuję się w tym mieście. Szalony, hałaśliwy, zgiełkliwy, brudny, ekshibicjonistyczny Neapol. Kopiec mrówek w króliczej norze, z całą egzotyką bliskowschodniego bazaru i odrobiną nowoorleańskiego wudu. Odjazdowy. Niebezpieczny i radosny dom wariatów. Mój znajomy, Wade, odwiedził Neapol w latach siedemdziesiątych i został okradziony w... muzeum. Całe miasto udekorowane jest praniem, które wisi w każdym oknie i huśta się nad każdą ulicą; świeżo wyprane podkoszulki i biustonosze łopoczą na wietrze niczym tybetańskie flagi modlitewne. Nie ma w Neapolu ulicy, na której jakiś nieletni twarziel w krótkich spodenkach i każdej skarpetce innej nie wrzeszczałby z chodnika do innego małego twarziela na pobliskim dachu. Nie ma też domu, w którym nie tkwiłaby w oknie przynajmniej jedna zgarbiona staruszka, obserwując podejrzliwie, co się dzieje na ulicy.

Ludzie mają tu fioła na punkcie swojego neapolitańskiego pochodzenia, ale dlaczego by nie? Ostatecznie to jest miasto, które dało światu pizzę i lody. Neapolitanki to harde kobiety, są głośne, wielkoduszne, wścibskie, apodyktyczne, nieustępliwe, łatwo wpadają w złość, bo przecież starają się tylko do cholery p o m ó c na miłość boską, ty tumanie... a w ogóle to dlaczego one muszą się wszystkim zajmować? Tutejszy akcent przypomina przyjacielski kuksaniec w ucho. Ma się wrażenie, że człowiek idzie przez miasto kucharzy realizujących zamówienie na szybkie danie - wszyscy wrzeszczą jednocześnie. Nadal mają tutaj własny dialekt i potoczysty, wciąż się zmieniający slang, ale stwierdzam, że neapolitańczycy to ludzie, których mowę najłatwiej mi zrozumieć. Dlaczego? Bo oni chcą, żeby człowiek ich rozumiał, do diabła. Mówią głośno i z emfazą, i jeśli nie rozumiesz tego, co akurat wypływa z ich ust, możesz wywnioskować znaczenie słów z ich gestów. Na przykład jedna gówniara z podstawówki pokazała mi środkowy palec z tylnego siodełka motocykla starszego kuzyna, obdarzając jednocześnie czarującym uśmiechem, żebym zrozumiała jej przesłanie: „Hej, bez urazy, paniusiu. Chociaż mam tylko siedem lat, wiem już, że jesteś kompletną kretynką, ale to jest super... uważam, że i tak jesteś wystarczająco OK, i

nawet dość mi się podoba twoja tępa twarz. Obie wiemy, że chciałabyś być mną, ale przykro mi... nie możesz. W każdym razie oto mój środkowy palec, miłego pobytu w Neapolu i *ciao!*”

Jak wszędzie w miejscach publicznych we Włoszech, także tutaj zawsze widzi się chłopców, nastolatków i dorosłych mężczyzn grających w piłkę nożną, ale w Neapolu zdarza się coś więcej. Na przykład dzisiaj na jakimś placu zobaczyłam chłopców - mam na myśli grupę ośmiolatek - którzy pozbierali stare skrzynki po kurczakach, ustawili je jako stolik i krzesła i rżnęli w p o k e r a z taką zaciętością, jakby wszystko miało się skończyć strzelaniną.

Giovanni i Dario, moi bliźniacy od dwustronnej wymiany, pochodzą z Neapolu. Aż trudno w to uwierzyć. Nie potrafię sobie wyobrazić nieśmiałego, pilnego, zycziwego

Giovanniego jako małego chłopca wśród tej - a nie używam tego słowa pochopnie - zgrai. Jest jednak neapolitańczykiem, bez dwóch zdań, ponieważ przed moim wyjazdem z Rzymu podał mi nazwę pizzerii w Neapolu, gdzie robią najlepszą jego zdaniem pizzę w mieście. Byłam bardzo podekscytowana tą perspektywą, zważywszy, że najlepsza pizza we Włoszech pochodzi z Neapolu, a najlepsza pizza na świecie z Włoch, co oznacza, że w tej pizzerii muszą podawać... wręcz boję się to powiedzieć... najlepszą pizzę na świecie. Giovanni mówił mi o tej pizzerii z takim namaszczeniem i przejęciem, jakby mnie wprowadzał do jakiegoś tajnego stowarzyszenia. Wcisnął mi w dłoń karteczkę z adresem i oświadczył z głęboką ufnością: „Idź, proszę, do tej pizzerii. Zamów pizzę margherita z podwójną mozzarellą. Jeśli będąc w Neapolu, nie zjesz tej pizzy, to proszę, nigdy się przede mną do tego nie przyznawaj”.

Poszliśmy więc z Sofie do Pizzeria da Michele i te pizze, które właśnie zamówiliśmy - po jednej dla każdej z nas - doprowadzają nas do szaleństwa. Ja tak uwielbiam tę swoją, że w całym tym rozgorączkowaniu zaczęłam wierzyć, że ona może odwzajemniać moje uczucie. Nawiązuję z tą pizzą bliski związek, prawie romans. Tymczasem Sofie niemal łka nad swoją, przeżywa w związku z nią metafizyczny kryzys i pyta mnie: „Po co w Sztokholmie zawracają sobie głowę robieniem pizzy? Po co w Sztokholmie w ogóle zawracają sobie głowę jedzeniem?”

Pizzeria da Michele to niewielki lokal, z dwiema salami i rozpalonym cały czas piecem. Jakiś kwadrans drogi z dworca kolejowego, w deszczu, ale nie należy zwracać na to uwagi, tylko po prostu iść. Trzeba tam być w miarę wcześnie, ponieważ później zdarza się, że brakuje im ciasta, co może złamać człowiekowi serce. Około pierwszej na ulicach wokół pizzerii tłoczą się neapolitańczycy, którzy starają się wepchnąć do środka z taką energią, jakby walczyli o miejsce w łodzi ratunkowej. Nie ma żadnego menu. Podają tu pizzę w dwóch odmianach - zwyczajną i z podwójnym serem. Żadnego tam newage'owego, wtórnego

dziadostwa w stylu południowokalifornijskim, oliwki-plus-suszone-na-słońcu-pomidory. Ciasto, co stwierdzam w połowie posiłku, w smaku bardziej przypomina indyjski nan niż jakąkolwiek pizzę, którą w życiu jadłam. Jest miękkie, ciągnie się i ugina, a jednocześnie jest niewiarygodnie cienkie. Zawsze myślałam, że jeśli chodzi o ciasto pizzy, to mamy tylko taki wybór - cienkie i chrupkie albo grube i wiotkie. Skąd mogłam wiedzieć, że istnieje na świecie ciasto, które po upieczeniu jest i cienkie, i wiotkie? Wielkie nieba! Cienkie, wiotkie, mocne, kleiste, pyszne, ciągnące się, pikantne, co tu dużo mówić: pizzowy raj. Na wierzchu słodki sos pomidorowy, który niemal pieni się, rozpuszczając świeżą mozzarellę z bawolego mleka, i pojedyncza gałązka bazylii pośrodku, która nadaje pizzy jakiejś ziołowej promienności, podobnie jak obecność jednej jaśniejszej gwiazdy filmowej na przyjęciu dodaje splendoru wszystkim wokół. Oczywiście, patrząc na to od strony technicznej, taką pizzę bardzo trudno się je. Próbujesz odgryźć kęs, a kleiste ciasto zwija się, gorący ser spływa jak górna warstwa gleby przy osunięciu się ziemi, plami ciebie i wszystko wokół talerza, ale trzeba się jakoś z tym uporać.

Faceci, którzy są sprawcami tego cudu, nieustannie wkładają i wyjmują pizzę z opalanego drewnem pieca, wyglądają jak palacze we wnętrzu wielkiego statku, wrzucający węgiel do buzującego w paleniskach pod kotłami ognia. Zawinięte rękawy na spoconych przedramionach, twarze zaczerwienione od wysiłku, jedno oko przymknięte z powodu żaru i dymu buchającego z pieca, papieros zwisający z kącika ust. Zamawiamy z Sofie po jeszcze jednej pizzy dla każdej z nas, ale chociaż staramy się ze wszystkich sił, to nie możemy ich pokonać.

Słówko na temat mojego ciała. Oczywiście codziennie po trochu przybieram na wadze. Robię tutaj swojemu ciału różne okropne rzeczy, wchłaniając koszarne ilości sera i makaronu, i chleba, i wina, i czekolady, i pizzy. (W innym miejscu w Neapolu powiedziano mi, że można dostać coś, co nazywa się *c z e k o l a d o w a p i z z a*. Co to za bzdura? Jakiś czas później rzeczywiście taką zjadłam i jest pyszna, ale słowo daję... czekoladowa pizza?) Nie ćwiczę, jem za mało błonnika, nie biorę żadnych witamin. W moim rzeczywistym życiu na śniadanie jadałam organiczny jogurt z koźlego mleka posypany kielkami pszenicy. Moje rzeczywiste życie dawno przeminęło. Teraz w Stanach Susan opowiada ludziom, że jestem na wycieczce pod hasłem: „Nie odpuszczać żadnym węglowodanom”. Moje ciało ma jednak sympatyczne podejście do tego wszystkiego. Przymyka oko na te przewinienia i dogadanie sobie, jakby mówiło: „No dobra, mała, korzystaj, ile możesz, czuję, że to nie potrwa długo. Daj mi znać, kiedy twój mały eksperyment z zażywaniem czystej przyjemności dobiegnie końca, a ja wtedy postaram się naprawić te szkody”.

W każdym razie, kiedy patrzę na siebie w lustrze najlepszej pizzerii w Neapolu, to widzę zdrową, zadowoloną twarz o gładkiej cerze i jasnym spojrzeniu. Dawno nie widziałam siebie takiej.

„Dziękuję”, szepczę. A potem wybiegam z Sofie w deszcz, żeby poszukać ciastek.

28

Chyba właśnie to zadowolenie (trwające już kilka miesięcy) powoduje, że wróciwszy do Rzymu, zaczynam myśleć, by koniecznie coś zrobić w sprawie Davida. Może już przyszedł czas, żebyśmy raz na zawsze zakończyli naszą historię. Rozstaliśmy się jak najbardziej oficjalnie, pozostawiliśmy jednak otwartą furtkę nadziei, że może kiedyś (po moich podróżach, po rocznej rozłące) raz jeszcze spróbujemy. Kochaliśmy się. Co do tego nigdy nie było najmniejszej wątpliwości. Rzecz w tym, że nie potrafiliśmy wymyślić, jak przestać się tak strasznie, upiornie, karygodnie unieszczęśliwiać.

Ostatniej wiosny David zaproponował pół żartem, pół serio takie oto szalone rozwiązanie naszych kłopotów: „A gdybyśmy tak pogodzili się z tym, że nasz związek jest nieudany, i dalej w nim trwali? Gdybyśmy przyznali, że doprowadzamy się wzajemnie do szaleństwa, nieustannie ze sobą walczymy, rzadko uprawiamy seks, ale nie potrafimy bez siebie żyć i musimy jakoś sobie z tym radzić? A potem moglibyśmy spędzić razem życie... nieszczęśliwi, ale zadowoleni, że jesteśmy razem”.

Niech będzie dowodem mojej miłości do tego faceta fakt, że spędziłam ostatnie dziesięć miesięcy na poważnym rozważaniu tej propozycji.

Oczywiście gdzieś w głębi naszych umysłów kołatała się jeszcze jedna myśl, że może któreś z nas się zmieni. On mógłby stać się otwarty i czuły, przestać chować się za powściągliwością wynikającą z lęku, że ktoś, kto go kocha, pożre mu duszę. Albo ja mogłabym nauczyć się, jak... przestać pożerać mu duszę.

Tyle razy, będąc z Davidem, żałowałam, że nie umiem postępować tak jak moja matka w swoim małżeństwie - w sposób niezależny, wykazując siłę, samodzielność. Zawsze samowystarczalna, umiała istnieć, mimo że za męża miała lubiącego samotność farmera, który niezbyt często okazywał jej serdeczność czy udzielał pochwał. Radośnie obsadzała stokrotkami grządki pomiędzy niezrozumiałymi kamiennymi murami milczenia, które mój

ojciec buduje czasami wokół siebie. Mówiąc najprościej, przepadam za swoim tatą, ale muszę przyznać, że bywa nieco dziwaczny. Jeden z moich byłych chłopaków opisał go następująco: „Twój ojciec stoi tylko jedną stopą na ziemi. A ma naprawdę wyjątkowo długie nogi...”

Wyrosłam w domu, w którym matka przyjmowała miłość i czułość męża, kiedy tylko zdarzyło mu się ją okazywać, ale zawsze stawała z boku i zajmowała swoimi sprawami, kiedy on odchodził w ten swój osobliwy świat obojętności i braku zainteresowania. Tak to wyglądało przynajmniej w moich oczach, zważywszy, że nikt (a szczególnie dzieci) nie zna tajemnic małżeństwa. Wyrosłam w przekonaniu, że moja matka nic od nikogo nie potrzebuje. Taka była moja mama... kobieta, która jako nastolatka sama nauczyła się pływać w lodowatym jeziorze w Minnesocie, korzystając jedynie z wypożyczonej z miejscowej biblioteki książki Nauka pływania. Nie było niczego, czego by ta kobieta nie potrafiła samodzielnie zrobić - tak to widziałam.

Na krótko przed moim wyjazdem do Rzymu odbyłam jednak z matką odkrywczą rozmowę. Przyjechała do Nowego Jorku, żeby zjeść ze mną ostatni wspólny lunch, i spytała otwarcie - łamiąc wszelkie reguły komunikacji obowiązujące dotąd w naszej rodzinie - co wydarzyło się pomiędzy mną i Davidem. A ja, również ignorując wzorcowy regulamin komunikacji między członkami rodziny Gilbertów, odpowiedziałam na to pytanie. Powiedziałam jej wszystko. Powiedziałam, że bardzo kocham Davida, ale czułam się samotna i zrozpaczona, bo ciągle znikał z pokoju, z łóżka, z tej planety.

- Trochę przypomina twojego ojca - powiedziała. Odważne i szczere stwierdzenie jak na nią.

- Problem w tym - odparłam - że ja nie jestem podobna do swojej matki. Nie jestem taka twarda jak ty, mamó. Muszę stale odczuwać bliskość osoby, którą kocham. Chciałabym być bardziej podobna do ciebie, bo wtedy moglibyśmy z Davidem żyć długo i szczęśliwie. Ale jeśli nie mogę liczyć na czułość wtedy, kiedy jej potrzebuję, kompletnie mnie to rozbija.

I wtedy matka powiedziała coś, co mną wstrząsnęło.

- Wiesz, Liz, jeśli chodzi o te wszystkie rzeczy, jakich spodziewasz się w swoim związku, to ja też ich zawsze pragnęłam.

W tym momencie wydawało mi się, że widzę jak na dłoni te niezliczone przypadki na przestrzeni dziesięcioleci, kiedy moja silna matka musiała zaciskać zęby, żeby utrzymać szczęśliwe małżeństwo (a uwzględniając wszystko, jest to szczęśliwe małżeństwo) z ojcem. Nigdy wcześniej tak na nią nie patrzyłam, ani razu. Nigdy nie byłam w stanie wyobrazić sobie, czego ona może pragnąć, czego jej brakuje, o co dla dobra sprawy postanowiła nie

walczyć. Kiedy to wszystko zobaczyłam, poczułam, że mój pogląd na świat ulega radykalnej zmianie.

Jeśli nawet ona chce tego co ja, to...?

Kontynuując te bezprecedensowe zwierzenia, matka powiedziała:

- Musisz zrozumieć, kochanie, że nie wychowano mnie, bym uważała, że na coś w życiu zasługuję. Nie zapominaj... pochodzę z innych czasów i z innego miejsca niż ty.

Przymknęłam oczy i zobaczyłam swoją matkę, dziesięciolatkę na rodzinnej farmie w Minnesocie, gdzie pracowała jak wyrobnik, zajmowała się młodszymi braćmi, nosiła ubrania po starszej siostrze i odkładała dziesięciocentówki, żeby się stamtąd wyrwać...

- I musisz zrozumieć, jak bardzo kocham twojego ojca - zakończyła.

Moja matka dokonała w życiu wyborów, jak my wszyscy, i nie żałuje ich. Widzę jej spokój. Nie szukała dla siebie wymówek. Jej wybory przynoszą ogromne korzyści - długie, stabilne małżeństwo z człowiekiem, którego nazywa swoim najlepszym przyjacielem; rodzinę, która obejmuje teraz uwielbiające ją wnuki; wiarę we własne siły. Być może coś poświęciła, i mój tata też coś poświęcił... ale kto z nas żyje bez poświęceń?

Pytania, jakie sama sobie teraz stawiam, brzmią: Jaki mam wybór? Na co we własnym mniemaniu zasługuję? Co mogę poświęcić, a czego nie? Tak trudno mi było wyobrazić sobie życie bez Davida. Wyobrazić sobie choćby, że już nie wybiorę się na żadną eskapadę z moim ulubionym towarzyszem podróży, że już nigdy nie podjadę z opuszczonymi szybami pod jego dom. Przypomniałam sobie, jak z radia dochodził głos Springsteena, a my z zapasem żartów i wałówek na całe życie jechaliśmy autostradą w kierunku oceanu. Godzić się na szczęście, które ma swoją ciemną stronę - druzgocące osamotnienie, żrącą niepewność, podstępne rozżalenie i oczywiście całkowity rozpad osobowości w momencie, kiedy David przestaje dawać, a zaczyna odbierać. Nie mogę już tego znieść. Coś w tej radości, jaka mnie ogarnęła ostatnio w Neapolu, dało mi pewność, że nie tylko mogę, ale wręcz muszę znaleźć szczęście bez Davida. Nieważne, jak bardzo go kocham (a naprawdę go kocham i to bez umiaru), teraz muszę go pożegnać. I muszę dopilnować, żeby to było już na zawsze.

Piszę więc do niego e-maila.

Jest listopad. Nie rozmawialiśmy z sobą od lipca. Poprosiłam go, żeby nie kontaktował się ze mną, obawiałam się bowiem, że jeśli będę śledziła jego sprawy, nie dam rady skupić się na podróży; byłam po prostu za mocno do niego przywiązana. A teraz, tym mailem, znowu wkraczam w jego życie.

Wyrażam nadzieję, że wszystko u niego w porządku, tak jak i u mnie. Rzucam kilka dowcipów. Zawsze lubiliśmy żartować. Potem wyjaśniam, że moim zdaniem powinniśmy na

dobre zakończyć nasz związek. Że może nadszedł czas, by przyznać, że nic z tego nie wyjdzie, że powinniśmy przestać mieć nadzieję. List nie jest szczególnie dramatyczny. Bóg mi świadkiem, że dramatu między nami było już dość. Piszę krótko i prosto. Muszę jednak coś jeszcze dodać. Wstrzymując dech, wystukuję: „Jeśli chcesz poszukać nowej życiowej partnerki, to masz oczywiście moje błogosławieństwo”. Ręce mi się trzęsą. Kończę ucałowaniem, starając się utrzymać jak najradośniejszy ton.

Czuję się, jakby ktoś przyłożył mi kijem w pierś.

Niewiele śpię tej nocy, wyobrażam go sobie, jak czyta to, co napisałam. Następnego dnia, oczekując odpowiedzi, biegam kilkakrotnie do kafejki internetowej. Usiłuję zignorować tę część siebie, która marzy, żeby znaleźć odpowiedź:

„WRACAJ! NIE ODCHODŹ! ZMIENIĘ SIĘ!” Usiłuję nie zwracać uwagi na tę dziewczynę obecną we mnie, która z radością porzuciłaby wspaniały pomysł podróży dookoła świata w zamian za coś tak prostego jak klucze do mieszkania Davida. Około dziesiątej wieczorem otrzymuję odpowiedź. Naturalnie e-mail jest cudownie sformułowany. David zawsze umiał pisać. Zgadza się, że owszem, czas, byśmy pożegnali się na zawsze. Sam już o tym myślał, mówi. Nie mógłby być w tym, co pisze, miłszy, i opisuje swoje uczucie straty i żalu z największą czułością, do jakiej czasami był tak boleśnie zdolny. Wyraża nadzieję, że wiem, jakim darzy mnie uwielbieniem - uwielbieniem tak wielkim, że nie potrafi znaleźć słów, by to wyrazić. „Jednak żadne z nas nie jest tym, którego to drugie potrzebuje”, mówi. Mimo to jest przekonany, że kiedyś odnajdę swoją wielką miłość. Jest tego pewien. Ostatecznie, oświadcza, „piękno przyciąga piękno”.

To jest wspaniale, naprawdę. Są to zapewne najwspanialsze słowa, jakie może powiedzieć mężczyzna twojego życia, jeśli nie mówi: „WRACAJ! NIE ODCHODŹ! ZMIENIĘ SIĘ!”

Siedzę tam, wpatrując się w milczeniu w monitor komputera, przez długi, przepelniony smutkiem czas. Tak będzie najlepiej, wiem to. Wybieram szczęście zamiast cierpienia, wiem, że tak jest. Tworzę przestrzeń, którą nieznana przyszłość wypełni niespodziankami. Wszystko to wiem. A jednak...

To przecież D a v i d . Utraciłam go na zawsze.

Długo kryję twarz w dłoniach, ogarnięta jeszcze większym smutkiem. W końcu podnoszę oczy i widzę, że jedna z Albanek, które pracują w tej kafejce, przerwała nocne mycie podłogi i oparłszy się o ścianę, obserwuje mnie. Przez chwilę patrzymy na siebie zmęczonym wzrokiem. Po czym ja kręcę ponuro głową i oświadczam na głos: „Kompletny

szajs”. Kiwa ze współczuciem głową. Naturalnie nic nie rozumie, ale na swój sposób rozumie wszystko doskonale.

Odzywa się mój telefon komórkowy.

To Giovanni. Jest zdezorientowany. Mówi, że już od godziny czeka na mnie na piazza Fiume, gdzie zawsze w czwartki spotykamy się na konwersację. Jest zdumiony, bo na ogół to on się spóźnia albo zapomina przyjść na spotkanie, tymczasem tego wieczoru przyszedł punktualnie i był przekonany... nie byliśmy umówieni?

Kompletnie zapomniałam. Mówię mu, gdzie jestem. Przyjedzie po mnie samochodem, oświadcza. Nie jestem w nastroju, żeby się z kimkolwiek widzieć, ale trudno to wyjaśnić przez *telefonino*, zważywszy na nasze kłopoty językowe. Wychodzę na ziąb i czekam na niego przed kawiarenką. Kilka minut później podjeżdża jego czerwony samochodzik i wsiam do środka. Pyta mnie w slangowym włoskim, co się dzieje. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, i wybucham płaczem. To znaczy szloch. To znaczy zanoszę się tym okropnym, spazmatycznym łkaniem, które moja przyjaciółka Sally nazywa „podwójnym pompowaniem”. Przy każdym szlochu trzeba rozpaczliwie wciągnąć dwa hausty powietrza. Nic nie zapowiadało nadejścia tej katastrofalnej żałości, wzięła mnie przez zaskoczenie.

Biedny Giovanni! Pyta zacinając się angielszczyzną, czy coś zrobił nie tak. Może jestem na niego wściekła? Czy zranił moje uczucia? Nie mogę mu odpowiedzieć, kręcę tylko przecząco głową i nie przestaję wyc. Jestem potwornie zażenowana i szkoda mi drogiego Giovanniego, uwięzionego w aucie ze szlochającą, bąkającą coś nieskładnie starszą kobietą, która jest kompletnie *a pezzi* - „w kawałkach”.

Wreszcie udaje mi się wychrypieć zapewnienie, że mój nieszczęsny stan nie ma z nim nic wspólnego. Wyduszam też przeprosiny. Giovanni reaguje w sposób wyjątkowo dojrzały jak na swój wiek. Mówi: „Nie przepraszaj za płacz. Bez takich uczuć jesteśmy tylko robotami”. Daje mi papierowe chusteczki z pudełka stojącego z tyłu samochodu. „Jedźmy” - mówi.

Ma rację - teren przed kafejką internetową jest miejscem nazbyt publicznym i zbyt dobrze oświetlonym, żeby akurat tutaj iść w rozsypkę. Jedzie kawałek, zatrzymuje się pośrodku piazza della Repubblica, jednego z najbardziej szlachetnych placów rzymskich. Parkuje przed wspaniałą fontanną z niezwykle urodziwymi nagimi nimfami, baraszkującymi niemal pornograficznie ze stadem fallicznoszyich ogromnych łabędzi. Jak na rzymskie standardy, fontanna jest stosunkowo nowa. Według mojego przewodnika, dwie kobiety, które pozowały artyście do rzeźby nimf, były siostrami, popularnymi w swoim czasie tancerkami z teatru burleski. Rzeźba przyniosła im sławę; Kościół przez wiele miesięcy próbował zapobiec

odslonięciu fontanny, bo emanowała seksem. Siostry dożyły późnej starości i jeszcze w latach dwudziestych XX wieku widywano dwie dystyngowane starsze panie, które przychodziły codziennie na plac, żeby popatrzeć na „swoją” fontannę. I co roku, do końca ich życia, francuski rzeźbiarz, który utrwalił ich urodę i młodość w marmurze, przyjeżdżał do Rzymu i zapraszał je na lunch, gdzie wspólnie wspominali czasy, kiedy byli młodzi, piękni i szaleni.

Zatem Giovanni parkuje tam i czeka, aż się wezmę w garść. Jedyne, co mogę zrobić, to wciskać sobie dłonie nasadą do oczu, próbując w ten sposób powstrzymać łzy. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy na tematy osobiste, ja i Giovanni. Przez te wszystkie miesiące, wszystkie wspólne kolacje rozmawialiśmy wyłącznie o filozofii, sztuce, kulturze, polityce i o jedzeniu. Nic nie wiemy o naszym prywatnym życiu. On nawet nie wie, że jestem rozwiedziona i że w Ameryce zostawiłam swoją miłość. Ja nie wiem o nim nic, poza tym, że chce zostać pisarzem i że urodził się w Neapolu. Tymczasem mój płacz wymusza konwersację na zupełnie innym poziomie. Wolałabym, żeby tak nie było. Nie w tych okropnych okolicznościach.

Mówi: „Przykro mi, ale nie rozumiem. Czy coś dzisiaj straciłaś?”

Ja jednak wciąż mam kłopot z tym, jak powinnam z nim rozmawiać. Giovanni uśmiecha się i mówi zachęcająco: *Parla come magni*. Wie, że to jedno z moich ulubionych powiedzonek w rzymskim dialekcie. Oznacza: „Mów tak, jak jesz” albo, w moim przekładzie: „Powiedz to tak, jakbyś to miała zjeść”. Ma ono przypominać - w sytuacji, kiedy z wyjaśnienia czegoś robisz wielki problem, kiedy szukasz odpowiednich słów - że język ma być prosty i zwyczajny jak rzymskie jadło. Nie rób z tego wielkiego spektaklu. Po prostu postaw na stole.

Biorę głęboki wdech i przedstawiam po włosku mocno okrojoną (a przecież jednocześnie pełną) wersję mojej sytuacji. „Chodzi o historię miłosną, Giovanni. Musiałam dzisiaj kogoś pożegnać”.

Po czym moje dłonie znów wędrują do oczu, łzy spływają między palcami. Na szczęście Giovanni nie próbuje pocieszająco objąć mnie ramieniem, nie widać też po nim żadnego zakłopotania w związku z moim wybuchem smutku. Siedzi w milczeniu, dopóki się nie uspokoję. Wtedy dopiero odzywa się głosem pełnym współczucia, dobierając starannie słowa (jako jego nauczycielka angielskiego, byłam tego wieczoru taka z niego dumna!), powoli, wyraźnie i życzliwie: „Rozumiem, Liz. Ja też tam byłem”.

Przybycie do Rzymu mojej siostry kilka dni później pomogło mi oderwać uwagę od dojmującego smutku po Davidzie i przywróciło normalny rytm życia. Siostra robi wszystko szybko, a energia wiruje wokół niej niczym miniaturowe cyklony. Jest starsza ode mnie o trzy lata i o trzy cale wyższa. Jest sportsmenką i naukowcem, i matką, i pisarką. Przez cały swój pobyt w Rzymie trenowała do maratonu, co oznacza, że budziła się o świcie i przebiegała osiemnaście mil w czasie, jaki mnie na ogół zajmuje przeczytanie jednego artykułu w gazecie i wypicie dwóch cappuccino. Kiedy biegnie, przypomina jelenia. Będąc w ciąży z pierwszym dzieckiem, pewnej nocy przepłynęła w ciemnościach całutki jezioro. Nie popłynęłam z nią, a przecież nawet nie byłam w ciąży. Za bardzo się bałam. Moja siostra nie zna jednak strachu. Kiedy była w ciąży z drugim dzieckiem, położyła spytana ją, czy Catherine ma jakieś obawy związane z dzieckiem... na przykład o uszkodzenia genetyczne albo komplikacje przy porodzie. Siostra odpowiedziała: „Moją jedyną obawą jest to, że mogłoby wyrosnąć na zwolennika republikanów”.

Taka jest moja siostra - Catherine. Nie mam więcej rodzeństwa. Kiedy dorastałyśmy na farmie rodziców w Connecticut, w okolicy nie było żadnych innych dzieci. Ona była silna i dominująca, dowodziła całym moim życiem. Darzyłam ją pełnym podziwem i lękiem szacunkiem. Liczyła się jedynie jej opinia. Oszukiwałam przy grze w karty tak, by przegrać, żeby się na mnie nie wściekła. Nie zawsze się przyjaźniłyśmy. Ona się na mnie złościła, a ja się jej bałam, aż w wieku chyba dwudziestu ośmiu lat stwierdziłam, że mam tego dosyć. Wtedy wreszcie stawiałam jej czoło, a ona zareagowała czymś w rodzaju: „Dlaczego dopiero teraz?”

Właśnie wykuwałyśmy nowe warunki naszych wzajemnych relacji, kiedy moje małżeństwo zaczęło się zsuwać po równi pochyłej. Tak łatwo byłoby Catherine obrócić moją klęskę w swoje zwycięstwo. Zawsze byłam tą kochaną i szczęściarą, ulubienicą zarówno rodziny, jak i losu. Świat zawsze był lepszy i bardziej przyjazny dla mnie niż dla mojej siostry, która tak mocno napierała na życie, że w rewanżu ono często nieźle ją raniło. Łatwo by jej przyszło zareagować na mój rozwód i depresję okrzykiem: „Aha! Popatrzcie teraz na nasze Słoneczko!” A jednak nie, ona niezłomnie podtrzymywała mnie na duchu. Kiedy w rozpaczę dzwoniłam do niej w środku nocy, wysłuchiwała mnie i wydawała pocieszające pomruki. I była przy mnie, kiedy szukałam odpowiedzi na pytanie, dlaczego pograżam się w

takim smutku. Bardzo długo w sposób pośredni przechodziła razem ze mną terapię. Dzwoniłam do niej po każdej sesji ze sprawozdaniem na temat wszystkiego, co odkryłam w gabinecie terapeutki, a ona odkładała to, co robiła, żeby powiedzieć: „Aha... to mnóstwo wyjaśnia”, mając na myśli, że to mnóstwo wyjaśnia na temat n a s o b u .

Teraz niemal codziennie rozmawiamy przez telefon... a przynajmniej tak było przed moim wyjazdem do Rzymu. Zanim któraś z nas wsiądzie do samolotu, dzwoni do drugiej i mówi: „Wiem, że to może zabrzmieć makabrycznie, ale chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham. No wiesz... na wszelki wypadek...” A ta druga dopowiada zawsze: „Wiem... na wszelki wypadek”.

Przyjeżdża do Rzymu przygotowana, jak zawsze. Przywozi pięć przewodników, wszystkie przeczytała, i ma już w głowie mapę miasta. Wiedziała, jak się tutaj poruszać, zanim wyjechała z Filadelfii. I to jest klasyczny przykład różnic między nami. Ja jestem tą, która spędziła pierwsze tygodnie w Rzymie, błądząc bez celu. Na ogół nie miałam pojęcia, gdzie jestem, ale cały czas przepełniała mnie radość, że wszystko wokół mnie jest niewytłumaczalną, piękną tajemnicą. Tak zresztą przeważnie patrzę na otaczający mnie świat. Dla mojej siostry nie istnieje nic, czego nie da się wytłumaczyć, tylko trzeba mieć dostęp do odpowiedniej biblioteki. Ta kobieta trzyma encyklopedię w kuchni obok książek kucharskich... i czyta ją dla przyjemności.

Lubię czasami grać z przyjaciółmi w „Poczekaj chwilę!” Kiedy ktoś zastanawia się nad czymś, czego nie jest pewien (na przykład: Kim właściwie był święty Ludwik?), ja mówię: „Poczekaj chwilę!” i podnoszę słuchawkę najbliższego telefonu, by wybrać numer siostry. Czasami łapię ją w aucie, kiedy swoim volvo odwozi dzieci ze szkoły do domu, a wtedy ona zastanawia się na głos: „Święty Ludwik... no cóż, był królem Francji. Nosił włosienicę, co jest dość ciekawe, ponieważ...”

Moja siostra przyjeżdża więc odwiedzić mnie w Rzymie - moim nowym mieście - a potem mi je pokazuje. Oto Rzym według Catherine. Pełen faktów, dat i architektury, której nie widzę, bo mój mózg nie działa w taki sposób. Jedyne, co chcę wiedzieć o jakimś miejscu lub człowieku, to o p o w i e ś ć , tylko tego szukam... nigdy szczegółów estetycznych. (Sofie przyszła do mojego mieszkania miesiąc po tym, jak się tam wprowadziłam, i powiedziała: „Ładna różowa łazienka”. Wtedy dopiero zauważyłam, że rzeczywiście jest różowa. Jaskraworóżowa, od podłogi do sufitu, cała wyłożona różowymi kafelkami... naprawdę ich wcześniej nie widziałam.) Wprawne oko mojej siostry dostrzeże gotyckie, romańskie czy bizantyńskie cechy budowli, wzór posadzki w kościele lub niewyraźny zarys niedokończonego fresku ukrytego za ołtarzem. Przemierza Rzym na swoich długich nogach

(nazywaliśmy ją kiedyś Catherine szczupło noga), a ja drepczę za nią, jak wtedy, kiedy byłam brzdącem, dwa moje gorliwe kroki na jej jeden.

„Widzisz, Liz? - mówi. - Widzisz, jak po prostu walnęli tę dziewiętnastowieczną fasadę na te mury? Założę się, że jak skręcimy za róg, to znajdziemy... tak jest!... patrz, rzeczywiście użyli oryginalnych rzymskich bloków na podpory, może dlatego, że nie mieli ludzi, żeby je przesunąć... tak, całkiem mi się podoba sfatygowany wygląd tej bazyliki...”

Catherine niesie plan Rzymu i przewodnik Michelina, a ja nasz lunch (dwie bułki wielkości piłek softballowych, pikantną kielbasę, mięsiste zielone oliwki, owinięte marynowane sardynki, pachnący lasem pasztet z grzybów, kulki wędzonej mozzarelli, grillowaną sałatkę Arugula z pieprzem, pomidory czereśniowe, pecorino, wodę mineralną oraz małą butelkę zimnego białego wina) i kiedy ja zastanawiam się w duchu, kiedy będziemy to jadły, moja siostra zastanawia się na głos: „Dlaczego nie mówi się więcej o soborze trydenckim?”

Prowadzi mnie do dziesiątków rzymskich kościołów, a ja nie jestem w stanie zbyt wiele zapamiętać, co jest co - święty od tego i świętego od tamtego, i święty ktoś, i boski pokutnicy słusznej marności... ale fakt, że nie jestem w stanie zapamiętać nazw i detali tych wszystkich przypór i gzymsów, nie znaczy, że nie uwielbiam spędzać czasu w tych wnętrzach z moją siostrą, której kobaltowe oczy nie pominą niczego. Nie pamiętam, pod jakim wezwaniem był kościół, w którym freski tak bardzo przypominały heroiczne malowidła ściennie wykonywane w ramach programu kulturalnego amerykańskiego Nowego Ładu, pamiętam natomiast, jak Catherine, wskazując je palcem, odezwała się do mnie: „Czyż nie zachwycający są ci papieże tam w górze, przypominający styl Franklina Roosevelta...” Pamiętam też ranek, kiedy obudziłyśmy się wcześniej i poszłyśmy na mszę do Świętej Zuzanny. Trzymając się za ręce, słuchałyśmy, jak zakonnice śpiewają poranne hymny gregoriańskie, obie we łzach, urzeczone tajemniczością odbijających się echem modlitw. Moja siostra nie jest religijna. Tak naprawdę nikt w naszej rodzinie nie jest religijny. (Ja od jakiegoś czasu nazywam siebie rodziną „białą owcą”.) Moje duchowe poszukiwania interesują siostrę głównie jako intelektualna ciekawostka. „Uważam, że taka wiara jest piękna - szepcze do mnie w kościele - ale ja nie potrafię, po prostu nie potrafię...”

A oto jeszcze jeden przykład naszego różnego spojrzenia na świat. Pewną rodzinę mieszkającą w sąsiedztwie mojej siostry dotknęła ostatnio podwójna tragedia - u młodej matki i jej trzyletniego synka wykryto raka. Kiedy Catherine mi o tym powiedziała, byłam tak wstrząśnięta, że mogłam jedynie wykrztusić: „Dobry Boże, ta rodzina potrzebuje miłosierdzia”. Odparła na to stanowczo: „Ta rodzina potrzebuje z a p i e k a n e k”, po czym

zaczęła organizować wszystkich sąsiadów, żeby codziennie przez cały rok, przynosili kolejno tej rodzinie obiady. Nie jestem pewna, czy moja siostra zdaje sobie sprawę, że to właśnie jest akt miłosierdzia.

Wychodzimy z kościoła i Catherine zaczyna mówić: „Czy wiesz, do czego papieżom potrzebne było w średniowieczu planowanie przestrzenne miasta? Otóż rocznie przybywało tutaj około dwóch milionów katolickich pielgrzymów z całego zachodniego świata, którzy pokonywali tę drogę z Watykanu do Świętego Jana Laterańskiego - czasami na kolanach - trzeba więc było im wszystkim zapewnić toalety”.

Moja siostra pokłada wiarę w wiedzy. Jej świętą księgą jest *Oxford English Dictionary*. Kiedy pochyla nad nim głowę i przesuwa błyskawicznie palcami po jego stronicach, jest ze swoim bogiem. Później tego samego dnia widzę ją rozmodloną na kolanach pośrodku Forum Romanum; odgarnia jakieś śmieci (jakby wycierała szkolną tablicę), po czym podnosi kamyczek i rysuje na ziemi plan klasycznej romańskiej bazyliki. Podnosi znad rysunku rękę i wskazuje ruiny, dając mi do zrozumienia (wręcz każąc mi rozumieć!), jak ta budowla musiała wyglądać osiemnaście stuleci wcześniej. Kreśli palcem w powietrzu nieistniejące już łuki, nawę główną, okna. Jak Harold w kreskówce swoim ołówkiem, tak ona wyobraźnią wypełnia pustkę i przemienia ruinę w całość.

W języku włoskim istnieje rzadko używany czas gramatyczny zwany *passato remoto*, przeszły dokonany. Używa się go, kiedy rozmawia się o odległej przeszłości, o sprawach, które wydarzyły się tak dawno temu, że nie mają już na nas żadnego wpływu... na przykład o czasach starożytnych.

Gdyby moja siostra mówiła po włosku, nie używałaby tego czasu w rozmowie o starożytności. W jej świecie Forum Romanum nie jest odległe i nie należy do przeszłości. Jest dokładnie tak samo obecne i bliskie jak ja. Wyjeżdża następnego dnia.

- Słuchaj - mówię do niej - koniecznie zadzwoń, kiedy wylądujesz, dobrze? Nie chcę, żeby zabrzmiało to makabrycznie, ale...

- Wiem, skarbie - odpowiada. - Ja też cię kocham.

Czasami jestem taka zaskoczona, kiedy dociera do mnie, że moja siostra jest żoną i matką, a ja nie. Jakoś zawsze myślałam, że będzie odwrotnie. Uważałam, że to ja będę miała dom pełen zabłoconych butów i rozwrzeszczanych dzieci, a Catherine będzie żyła sobie w pojedynkę, samotnie czytając wieczorem w łóżku. Wyrosłyśmy na inne dorosłe, niż ktokolwiek mógł to przepowiedzieć, gdy byłyśmy dziećmi. Sądzę jednak, że tak jest lepiej. Wbrew wszelkim przewidywaniom stworzyłyśmy sobie życie, które jest dla każdej z nas odpowiednie. Jej natura samotnika oznacza, że potrzebuje rodziny, która obroni ją przed samotnością; moja towarzyska natura oznacza, że nigdy nie będę musiała martwić się samotnością, nawet kiedy nie jestem z nikim związana. Cieszę się, że ona wraca do domu, by znów być ze swoją rodziną, i jednocześnie cieszę się, że mam przed sobą jeszcze dziewięć miesięcy podróży, podczas których muszę jedynie jeść i czytać, i modlić się, i pisać.

Nadal nie wiem, czy będę kiedykolwiek chciała mieć dzieci. Mając trzydziestkę, byłam taka zaskoczona odkryciem, że ich nie pragnę; pamiętając o tamtym zaskoczeniu, z dużą ostrożnością zakładałam się o to, jakie będę moje odczucia około czterdziestki. Mogę jedynie powiedzieć, co czuję teraz: radość, że jestem sama. Wiem też, że nie zdecyduję się na dzieci tylko dlatego, że kiedyś później mogłabym żałować, że ich nie urodziłam; nie uważam, by była to wystarczająca motywacja do sprowadzania kolejnych niemowląt na ten świat. Choć podejrzewam, że ludzie czasami rozmnażają się z tego właśnie powodu... żeby zabezpieczyć się przed uczuciem żalu. Myślę, że ludzie mają dzieci z wielu przeróżnych powodów - czasem z czystego pragnienia, by je wychowywać i patrzeć, jak rosną, niekiedy z braku wyboru, czasami, by utrzymać przy sobie partnera lub zapewnić dziedzica, a czasami bez szczególnego zastanawiania się nad tym. Nie wszystkie powody posiadania dzieci są równie ważne, niekoniecznie wszystkie są bezinteresowne. Tak samo nie wszystkie powody nieposiadania dzieci mają tę samą wagę i wcale nie zawsze wynikają z egoizmu.

Mówię to, bo ciągle przetrwam oskarżenie ze strony mojego męża o egoizm, z czasów, kiedy nasze małżeństwo się rozpadało. Za każdym razem, kiedy to mówił, zgadzałam się z nim całkowicie, przyjmowałam na siebie winę, przyznawałam do wszystkiego. Mój Boże, jeszcze nie urodziłam tych dzieci, a już je zaniedbywałam, już miałam się za ważniejszą od nich. Już byłam złą matką. Te urojone dzieci wielokrotnie pojawiały się w naszych kłótniach. Kto zajmie się dziećmi? Kto zostanie z dziećmi w domu? Kto będzie je

utrzymywał? Kto będzie karmił je w środku nocy? Pamiętam, jak raz powiedziałam mojej przyjaciółce Susan, gdy już moje małżeństwo stawało się nieznośne: „Nie chcę, by moje dzieci dorastały w takim domu”. Susan odparła: „Dlaczego nie usuniesz tych tak zwanych dzieci ze swoich dyskusji? Jeszcze ich nawet nie ma, Liz. Dlaczego po prostu nie przyznasz, że nie chcesz dłużej być nieszczęśliwa? Że żadne z was tego nie chce. A przy okazji, lepiej uświadomić sobie to teraz niż na sali porodowej, kiedy będziesz miała pięciocentymetrowe rozwarcie”.

Pamiętam, że mniej więcej w tym czasie poszłam na przyjęcie. Pewnemu małżeństwu, parze odnoszących sukcesy artystów, właśnie urodziło się dziecko, a dodatkowo matka świętowała wernisaż swojej wystawy. Pamiętam, że obserwowałam, jak ta kobieta, świeżo upieczona matka, moja bliska znajoma, artystka, stara się pełnić honory pani domu (przyjęcie odbywało się w jej lofcie), zajmując się jednocześnie niemowlęciem i prowadząc kompetentne rozmowy na temat swojej pracy. Nigdy w życiu nie widziałam nikogo, komu bardziej przydałoby się trochę snu. Nie zapomnę jej widoku, jak tkwi po północy w kuchni i usiłuje zaprowadzić porządek po imprezie. Jej mąż (przykro mi o tym mówić i zdaję sobie doskonale sprawę, że to w żadnym razie nie dotyczy wszystkich mężów) siedział w pokoju obok, z nogami na stoliku, i oglądał telewizję. W końcu ona spytała, czy nie pomógłby jej posprzątać kuchni, a on na to: „Zostaw, skarbie... zrobimy to rano”. Dziecko znowu się rozplakało. Mleko z pełnej piersi przesiąkło przez materiał koktajlowej sukienki mojej przyjaciółki.

Prawie na pewno reszta gości wyszła z tego przyjęcia z innym wrażeniem niż ja. Wielu z nich mogło zazdrościć tej pięknej kobiecie zdrowego małżeństwa, sukcesów zawodowych, sympatycznego męża, pięknego mieszkania, szykownej sukienki. Na pewno byli na tym przyjęciu ludzie, którzy natychmiast by zamienili swoje życie na jej życie, gdyby tylko mieli taką możliwość. Prawdopodobnie ta kobieta sama pamięta ten wieczór - jeśli w ogóle o nim myśli - jako męczący, ale wart wysiłku w dającym jej zadowolenie życiu, na które składało się macierzyństwo i małżeństwo, i kariera artystyczna. Muszę jednak otwarcie przyznać, że spędziłam całe to przyjęcie, trzęsąc się w panice: *Jeśli nie widzisz, że taka jest twoja przyszłość, Liz, to jesteś szalona. Nie pozwól jej się ziszczyć.*

Czy ciążyła na mnie odpowiedzialność posiadania rodziny? O Boże... odpowiedzialność. To słowo dręczyło mnie, dopóki się nie mogłam nad nim pastwić, dopóki nie przyjrzałam mu się dokładnie i nie rozbiłam go na dwa słowa, które tworzą jego prawdziwą definicję: odpowiednie działanie. Moim odpowiednim działaniem, o czym przekonywała mnie każda cząstka mojego jestestwa, było wyrwać się z tego małżeństwa.

Gdzieś w moim wnętrzu system wczesnego ostrzegania przepowiadał, że jeśli będę szła przez tę burzę przerażona, to dorobię się raka. I że gdybym sprowadziła na ten świat dzieci tylko dlatego, że nie chciałam przeżywać utarczek i wstydu związanego z ukazaniem pewnych niewygodnych faktów o sobie... byłoby to aktem żalostnej nieodpowiedzialności.

Ostatecznie jednak pokierowałam się tym, co powiedziała moja przyjaciółka Sheryl podczas tamtego przyjęcia, kiedy natknęła się na mnie w łazience luksusowego mieszkania naszej wspólnej przyjaciółki, gdzie trzęsłam się z przerażenia i ochlapywałam sobie twarz wodą. Sheryl jeszcze nie wiedziała, co się dzieje w moim małżeństwie. Nikt nie wiedział. Tamtej nocy też jej tego nie powiedziałam. Jedyne, co byłam w stanie wystękać, to: „Nie wiem, co mam robić”. Pamiętam, że chwyciła mnie za ramiona i z uśmiechem, spokojnie patrząc w oczy, powiedziała po prostu: „Mów prawdę, mów prawdę, mów prawdę”.

I to właśnie starałam się zrobić.

Wyrwanie się z małżeństwa jest trudnym przedsięwzięciem, nie tylko zresztą ze względu na prawne/finansowe komplikacje i wstrząsające zmiany w sposobie życia. (Jak zauważyła kiedyś mądrze inna moja przyjaciółka, Deborah: „Nikt jeszcze nigdy nie umarł od dzielenia się meblami”.) Ale tym, co naprawdę zabija, jest emocjonalny wstrząs, szok wywołany wyjściem z utartych kolein życia i utratą wszystkich wygod, które tylu ludzi już na zawsze trzymają w tych koleinach. Stworzenie rodziny ze współmałżonkiem jest jednym z najbardziej fundamentalnych sposobów na znalezienie ciągłości i sensu w amerykańskim (i każdym innym) społeczeństwie. Odkrywam tę prawdę na nowo za każdym razem, kiedy biorę udział w wielkim zjeździe rodziny mojej matki w Minnesocie i widzę, jak wszyscy krzepiaco utrzymują swoją pozycję. Najpierw jest się dzieckiem, potem nastolatkiem, potem młodą, świeżo poślubioną osobą, następnie rodzicem, potem emerytem, wreszcie dziadkiem lub babcią - na każdym etapie wiesz, kim jesteś, jakie są twoje obowiązki i gdzie masz usiąść podczas rodzinnego spotkania. Siadasz z innymi dziećmi albo nastolatkami, albo młodymi rodzicami, albo emerytami. Aż wreszcie siedzisz w cieniu, z dziewięćdziesięciolatkami, i z zadowoleniem spoglądasz na swoich potomków. Kim jesteś? Nie masz z tym żadnego problemu - jesteś osobą, która to wszystko stworzyła. Satysfakcja wynikająca z tej wiedzy jest bezpośrednia i co więcej, twój sukces jest powszechnie uznawany. Ileż to razy słyszałam ludzi, którzy mówili, że ich największym życiowym osiągnięciem i największą pociechą są dzieci! Mają coś, na czym zawsze mogą się oprzeć w chwili jakiegoś metafizycznego kryzysu lub w momencie, w którym ogarnia ich zwątpienie co do własnej wartości... *Nawet jeśli nie zrobiłem niczego więcej w tym życiu, to wiem, że przynajmniej dobrze wychowałem swoje dzieci.*

Co się jednak dzieje, jeśli nie mieścimy się w tym pokrzepiającym łańcuszku rodzinnej ciągłości, obojętnie czy z własnego wyboru, czy nie? Co jeśli wystąpimy z szeregu? Gdzie siadamy podczas rodzinnego zjazdu? Czy boimy się, że roztrwoniliśmy swój czas na ziemi, nie odgrywając żadnej istotnej roli? Będziemy musieli znaleźć inny cel i mierzyć nasze ewentualne sukcesy inną miarą. Kocham dzieci, ale co będzie, jeśli nie będę miała własnych? Jaką osobą mnie to uczyni?

Virginia Woolf napisała: „Na rozległy kontynent kobiecego życia pada cień miecza”. Po jednej stronie tego miecza, powiedziała, znajdują się konwencja, tradycja i porządek, tam „wszystko jest właściwe”. Po drugiej stronie jednak, jeśli jesteś na tyle szalona, by tam przejść i wybrać życie, które nie pasuje do konwencji, „wszystko jest zamętem. Nic nie dzieje się zwyczajnie”. Pisarka utrzymywała, że przekroczenie cienia rzucanego przez ten miecz może przynieść kobiecie życie o wiele ciekawsze, ale też na pewno bardziej niebezpieczne.

Moje szczęście, że mam przynajmniej pisanie. To coś, co ludzie potrafią zrozumieć. Aha, poświęciła małżeństwo, żeby chronić swoją sztukę. Jest to w pewnym sensie prawda, chociaż nie cała. Mnóstwo pisarzy ma rodziny. Toni Morrison, żeby podać jeden przykład, nie pozwoliła, by wychowanie syna powstrzymało ją od zdobycia tego drobiazgu zwanego Nagrodą Nobla. Toni Morrison wytyczyła swoją ścieżkę, ja muszę wytyczyć moją. *Bhagawadgita* -święta księga hinduizmu - powiada, że lepiej wieść Życie niedoskonałe, ale zgodne ze swoim przeznaczeniem, niż doskonałe, ale będące naśladowaniem cudzego. Zaczęłam więc teraz żyć własnym życiem. Może ono wyglądać na niedoskonałe i pokraczne, ale odzwierciedla wreszcie mnie, bardzo dokładnie.

Podnoszę to wszystko jedynie po to, by przyznać, że - w porównaniu z sytuacją mojej siostry, która ma dom, udane małżeństwo i dzieci - moja sytuacja wygląda na bardzo niestabilną. Nie mam nawet stałego miejsca zamieszkania, a to już jest zupełnie nienormalne, kiedy człowiek dożył słusznego wieku trzydziestu czterech lat. Wszystkie moje rzeczy złożone są w domu Catherine, która oddała mi do dyspozycji pokój (nazywany teraz „Komnatą niezamężnej ciotki”, jest tam bowiem mansardowe okienko, przez które mogę wyglądać na wrzosowiska, ubrana w moją starą suknię ślubną, bolejąc nad utraconą młodością). Układ ten zdaje się nie przeszkadzać Catherine, a dla mnie jest zdecydowanie wygodny, choć odczuwam pewne obawy, że jeśli to moje poddawanie się biegowi wypadków potrwa zbyt długo, to któregoś dnia zaczną mnie uważać za rodzinnego dinozaura.

A może już się to stało. Ostatniego lata moja pięcioletnia siostrzenica zaprosiła do domu swoją koleżankę. Spytałam tę małą, kiedy obchodzi urodziny. Powiedziała, że

dwudziestego piątego stycznia. „O! Jesteś Wodnikiem! Chodziłam na randki z wieloma Wodnikami i wiem, że sprawiają kłopoty”, zażartowałam.

Obie dziewczynki popatrzyły na mnie ze zdumieniem i niepewnością pomieszaną z obawą. Nagle stanął mi przed oczyma przerażający obraz kobiety, którą mogę się stać, jeśli nie będę ostrożna: zwariowanej ciotki Liz. Zobaczyłam się jako rozwódkę w długiej, luźnej hawajskiej sukni, z ufarbowanymi na pomarańczowo włosami, która nie jada nabiału, za to pali papierosy mentolowe, właśnie wraca z sesji astrologicznej albo zrywa ze swoim chłopakiem, specjalistą od aromaterapii, która stawia tarota dzieciom z zerówki i mówi rzeczy w stylu: „Przynies cioci jeszcze jednego drinka, to ciocia pozwoli ci ponosić pierścień pokazujący stan ducha...”

Pewno w końcu i tak znów będę musiała się stać porządną obywatelką, jestem tego świadoma.

Ale jeszcze nie teraz... b ł a g a m . Jeszcze nie.

31

W ciągu następnych sześciu tygodni odwiedzam Bolonię, Florencję, Wenecję, jadę na Sycylię, Sardinie, ponownie do Neapolu, a potem do Kalabrii. Są to krótkie wyprawy, przeważnie tydzień tu, tydzień tam, akurat dość czasu, żeby poczuć nastrój miejsca, rozejrzeć się, popytać ludzi na ulicy, gdzie można dobrze zjeść, a potem tam iść i się uraczyć. Rezygnuję z kursu włoskiego, bo mam wrażenie, że tylko przeszkadzał mi w moich zamiarach nauczenia się języka, zmuszając mnie do siedzenia w klasie i nie pozwalając na objeżdżanie Włoch - czyli na jak najbardziej naturalną naukę języka.

Te tygodnie spontanicznych podróży okazują się jakimś cudownym zawirowaniem czasu, najbardziej swobodnym okresem mojego życia, kiedy biegając na stację kolejową i kupując bilety na prawo i lewo, wreszcie zaczęłam korzystać ze swojej wolności, bo w końcu dotarło do mnie, że mogę jechać, gdzie tylko zechcę. Przez jakiś czas nie widuję swoich rzymskich przyjaciół. Giovanni mówi mi przez telefon: *Sei una trottola* („Jesteś jak bąk”). Ma na myśli wirującą zabawkę. Pewnej nocy, w jakimś mieście nad Morzem Śródziemnym, w pokoju hotelowym na wybrzeżu, z głębokiego snu budzi mnie dźwięk własnego śmiechu. Jestem zaskoczona. Kto się śmieje w moim łóżku? Uświadomienie sobie,

że to ja sama, wywołuje kolejny wybuch śmiechu. Teraz już nie pamiętam, co mi się śniło. Możliwe, że miało to coś wspólnego z łodziami.

32

We Florencji zabawiam tylko przez weekend. Przyjeżdżam tam pociągiem w piątkowy rano, żeby spotkać się z ciotką Deb i wujem Terryem z Connecticut. Jest to ich pierwsza wizyta we Włoszech, no i chcą też zobaczyć się ze mną. Przylatują wieczorem, a ja zabieram ich na przechadzkę w stronę Duomo, który zawsze wygląda imponująco, czego najlepszym dowodem jest reakcja mojego wuja: „Aj-waj! - wykrzykuje, milknie, po czym dodaje: - A może nie powinno się tak wyrażać uznania dla katolickiego kościoła...”

Pośrodku ogrodu oglądamy porwanie bezbronných Sabinek i oddajemy hołd Michałowi Aniołowi, muzeum nauki, widokom ze wzgórz wokół miasta. Potem zostawiam wujostwo, żeby cieszyli się resztą wakacji bez mojego towarzystwa, i ruszam samotnie do zamożnej, dostatniej Lukki, tokańskiego miasteczka ze słynnymi sklepami rzeźniczymi, gdzie najpiękniejsze kawałki mięsa, jakie widziałam we Włoszech, pyszną się i kuszą nabywców, jakby mówiły: „Dobrze wiesz, że chcesz mnie”. Kiełbasy wszelkich możliwych rozmiarów, kolorów i pochodzenia huśtają się pod sufitami sklepów niby kobiece nogi w wyzywających pończochach, wiszące na wystawach szynki przyzywają przechodniów niczym pośladki ekskluzywnych amsterdamskich dziwek. Kurczaki są takie pulchne i bez troskie nawet po śmierci, że można sobie wyobrazić, jak dziarsko szły pod nóż, by skończyć żywot wypełniony rywalizacją o tytuł najbardziej soczystego i najtłustszego. Nie tylko mięso jest w Lukce cudowne; również kasztany, brzoskwinie, figi, Boże drogi, te figi...

Miasto słynie oczywiście także z tego, że urodził się tutaj Puccini. Wiem, że powinnam się tym zainteresować, ale o wiele bardziej ciekawi mnie tajemnica, jaką zdradził mi miejscowy właściciel sklepu spożywczego - że najlepsze grzyby podają w restauracji naprzeciwko domu, w którym urodził się Puccini. Wędruję więc przez Lukkę i po włosku pytam o drogę do tego domu. Wreszcie jakiś uprzejmy obywatel prowadzi mnie tam i zapewne jest bardzo zaskoczony, kiedy mówię: Grazie, po czym obracam się na pięcie i zamiast do muzeum, wchodzę do restauracji po drugiej stronie ulicy. Przechekuję tam deszcz nad porcją *risotto ai funghi*.

Już teraz nie pamiętam, czy to było przed czy po Lukce, w każdym razie pojechałam do Bolonii - miasta tak pięknego, że dopóki w nim byłam, nie mogłam przestać śpiewać: „Moja Bolonia ma imię! Brzmi ono PIĘKNA”. Tradycyjnie Bolonia - z uroczą ceglana zabudową i słynną zamożnością - nazywana jest „Czerwona, Otyła i Piękna”. (Taki też był mój pomysł na inny tytuł dla tej książki.) Jedzenie jest tutaj zdecydowanie lepsze niż w Rzymie, a może tylko używają więcej masła. Nawet *gelato* w Bolonii są lepsze (mówiąc te słowa, czuję się nieco nielojalna, ale to prawda). Tutaj grzyby wyglądają jak duże, grube, zmysłowe języki, a *prosciutto* zdobi pizzę niczym koronkowy woal na wymyślnym kapeluszu damy. I jest sos boloński, który śmieje się lekceważąco z każdego innego pomysłu na *ragu*.

W Bolonii przychodzi mi do głowy, że w angielskim nie ma odpowiednika zwrotu *buon appetito*. Szkoda, ale zarazem trzeba przyznać, że jest to bardzo znaczące. Myślę też sobie, że w podróży przez Italię każdy przystanek to jakby nazwa najśłynniejszych na świecie potraw i win: następny przystanek Parma... następny przystanek Bolonia... zbliżamy się do *Montepulciano*... W pociągach oczywiście też dają jedzenie... małe kanapki i dobrą gorącą czekoladę. Jeśli pada deszcz, to jeszcze przyjemniej jest coś pojadać w tym pędzie. Podczas jednej dłuższej trasy dziełem przedział z przystojnym młodym Włochem, który przesy피아 kilkugodzinny deszcz, podczas gdy ja zajadam się sałatką z ośmiornicy. Gość budzi się krótko przed przyjazdem do Wenecji, przeciera oczy, ogląda mnie starannie od stóp do głów.

- Carina - mamrocze. Słodziutka.

- Grazie mille - odpowiadam z przesadną uprzejmością. Tysięczne dzięki.

Jest zaskoczony. Nie sądził, że mówię po włosku. Zresztą ja też nie, co nie przeszkadza nam rozmawiać przez dwadzieścia minut - po raz pierwszy uświadamiam sobie, że rzeczywiście mówię po włosku. Przekroczyłam jakąś niewidzialną linię i naprawdę mówię tym językiem. Nie przekładam; mówię. Oczywiście w każdym zdaniu jest błąd i znam tylko trzy czasy, ale mogę się porozumiewać z tym młodym człowiekiem bez wielkiego wysiłku. *Me la cavo*, powiedziałoby się po włosku, czyli „jakoś sobie radzę”. W tym wyrażeniu występuje czasownik, którego używamy, kiedy mówimy o odkorkowywaniu butelki z winem; oznacza on: „Potrafię używać tego języka, żeby wyplątać się z trudnych sytuacji”.

Najwyraźniej się do mnie przystawia, smarkacz! Nie można powiedzieć, by mi to nie pochlebiało. Jest dość atrakcyjny. Choć jednocześnie daleko mu do skromnego. W pewnym momencie mówi do mnie coś, co najwyraźniej ma być komplementem:

- Nie jesteś zbyt gruba jak na Amerykankę.

- A ty zbyt oślizgły, jak na Włocha - odpowiadam po angielsku.

- *Come?*

Powtarzam nieco zmodyfikowaną wersję poprzedniego zdania, tym razem po włosku:

- A ty jesteś pełen wdzięku, jak wszyscy Włosi. Umiem mówić po włosku! Ten dzieciak myśli, że mi się podoba, a ja tymczasem flirtuję ze słowami. Mój Boże... najwyraźniej się przestawiłam! Odkorkowałam usta i włoski wreszcie płynnie swobodnie! Młody człowiek chce spotkać się ze mną później, w Wenecji, ale on mnie w ogóle nie interesuje. Jestem zakochana w języku, więc chłopakowi pozwalam się ulotnić. Zresztą już jestem umówiona w Wenecji. Z moją znajomą, Lindą.

Zwariowana Linda, jak lubię ją nazywać, choć wcale taka nie jest, przylatuje do Wenecji z Seattle, jednego z tych wilgotnych i szarych miast. Chciała się spotkać ze mną we Włoszech, więc zaprosiłam ją, żeby mi towarzyszyła na tym etapie mojej podróży, ponieważ nie zamierzam - absolutnie nie - wybierać się do tego najbardziej romantycznego miasta świata samotnie, nie, nie teraz, nie w tym roku. Wyobrażam sobie, siedzę sama na dziobie gondoli posuwającej się we mgle, gondolier nuci coś słodko, podczas gdy ja... czytam jakieś czasopismo. Smutny obrazek. To jakby samotnie wjeżdżać na wzgórze rowerem dla dwóch osób. Zatem Linda posłuży mi za towarzystwo, i to dobre towarzystwo.

Poznałam ją (i jej dredy, i kolczyki w różnych częściach ciała) na Bali, niemal dwa lata temu, kiedy wyprawiłam się do ośrodka jogi. Potem pojechaliśmy razem do Kostaryki. Jest jedną z moich ulubionych towarzyszek podróży, zajmującym i zaskakująco dobrze zorganizowanym małym chochlikiem w obcisłych czerwonych spodniach z gniecionego weluru, którego nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Linda żyje w niezachwianej równowadze psychicznej i nie wie, co to depresja, ale za to ma bardzo głębokie poczucie własnej wartości. Kiedyś, oglądając się w lustrze, powiedziała do mnie: „Zgoda, może i nie we wszystkim wyglądam fantastycznie, ale nie przeszkadza mi to kochać samej siebie”. Posiada też tę umiejętność zmuszania mnie do milczenia, kiedy zaczynam trapić się problemami metafizycznymi z rodzaju: „Jaka jest natura wszechświata?” (Odpowiedź Lindy: „Moim jedynym pytaniem jest: Po co pytać?”) Chciałaby wyhodować swoje dredy do takiej długości, żeby opleść je potem na drucianej konstrukcji na głowie, co wyglądałoby jak „przycięte w ozdobny kształt drzewko”, i może nawet umieścić tam jakiegoś ptaka. Balińczycy ją uwielbiali. Podobnie Kostarykanie. Kiedy nie zajmuje się swoimi domowymi zwierzakami w postaci jaszczurek i fretek, kieruje w Seattle zespołem programistów i zarabia furę pieniędzy.

Spotykamy się więc w Wenecji. Linda przygląda się ze zmarszczonymi brwiami planowi miasta, po czym odwraca go do góry nogami, odnajduje nasz hotel i oznajmia z charakterystyczną dla siebie pokorą: „No to możemy już tu rządzić”.

Jej radość, jej optymizm w żaden sposób nie pasują do tego cuchnącego, powolnego, tonącego, tajemniczego, milczącego, dziwnego miasta. Wenecja może być cudownym miastem, jeśli się chce umierać powolną śmiercią alkoholika albo stracić ukochaną osobę, albo pozbyć się narzędzia zbrodni, za pomocą którego najpierw pozbyło się ukochanej osoby. Kiedy oglądam Wenecję, cieszę się, że na miejsce zamieszkania wybrałam Rzym. Nie sądzę, bym tutaj była w stanie szybko odstawić środki przeciwdepresyjne. Wenecja jest piękna, ale w taki sposób, w jaki piękny jest film Bergmana; można ją podziwiać, tak naprawdę jednak nie chce się tu mieszkać.

Całe miasto łuszczy się i blaknie, przypomina pokoje na tyłach pałaców, do których zamożne niegdyś familie wycofują się, gdy utrzymanie całości staje się zbyt kosztowne i najłatwiej jest zabić gwoździami drzwi i zapomnieć o ginących skarbach po ich drugiej stronie... taka właśnie jest Wenecja. Tluste fale cofających się wód Adriatyku poszturchują cierpliwie fundamenty budynków, sprawdzając wytrzymałość tego czternastowiecznego eksperymentu naukowego pod hasłem: „Hej, a jakby tak zbudować miasto, które całe czasy tkwi w wodzie?”

Pod szarym ziarnistym listopadowym niebem Wenecja wygląda niesamowicie. Trzeszczy i kołysze się jak pomost dla wędkarzy. Mimo początkowego przekonania Lindy, że możemy tu rządzić, codziennie się gubimy, szczególnie nocą, skręcamy nie tam, gdzie trzeba, ku mrocznym zaułkom, które kończą się niebezpiecznie kanałem. Pewnej mglistej nocy mijamy stary budynek, który wydaje dźwięki, jakby jęczał z bólu. „Nie ma się czym przejmować - szczebiocze Linda. - To tylko wygłodniała paszcza szatana”. Uczę ją swojego ulubionego włoskiego słówka - *attraversiamo* - i nerwowo się stamtąd wycofujemy.

Piękna młoda weneckanka, właścicielka restauracji w pobliżu naszego hotelu, przeklina swój los. Nienawidzi Wenecji. Twierdzi, że każdy, kto tutaj mieszka, uważa to miasto za grobowiec. Zakochała się kiedyś w artyście z Sardynii, który obiecał jej całkiem inny świat, pełen słońca i światła, ale ją rzucił, z trojgiem dzieci, i nie miała innego wyboru, jak tylko wrócić do Wenecji i poprowadzić rodzinną restaurację. Jest w moim wieku, ale wygląda poważniej niż ja; za nic nie potrafię sobie wyobrazić, jaki mężczyzna mógł zrobić coś podobnego tak atrakcyjnej kobiecie. („To był potężny mężczyzna - mówi weneckanka - a ja usychałam z miłości w jego cieniu”). Wenecja jest miastem konserwatywnym. Ta kobieta miała kilka romansów, może nawet niektórzy z jej kochanków byli żonaci, i zawsze kończyło się to smutno. Sąsiedzi plotkują na jej temat. Ludzie milkną, kiedy wchodzi do pokoju. Matka błaga ją, żeby dla zachowania pozorów nosiła obrączkę ślubną... mówi: „Kochanie, to nie Rzym, gdzie możesz żyć, jak ci się podoba”. Codziennie rano przychodzi z Lindą na

śniadanie i pytam naszą smętną młodą/starą wenecką restauratorkę o prognozę pogody, a ona przykłada palce do skroni jak lufę pistoletu i mówi: „Znów deszcz”.

Mimo to depresja mnie tutaj nie dopada. Daję sobie radę, obcując z melancholią pograżającej się w wodzie Wenecji, w pewnym sensie czerpię nawet z niej przyjemność, przynajmniej przez te kilka dni. Potrafię rozpoznać, że nie jest to moja melancholia; ona należy do tego miasta, a ja jestem w tym czasie na tyle zdrowa, by czuć różnicę pomiędzy mną a nim. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie uznać tego za oznakę powrotu do równowagi, krzepnięcia mojego ja. Mam za sobą kilka takich lat zagubionych w bezgranicznej rozpacz, kiedy doświadczałam smutku całego świata, jakby był moim własnym. Wszystko przeze mnie przeciekało i pozostawiało za sobą wilgotne ślady.

Zresztą trudno być w depresji, kiedy Linda paple bez przerwy i próbuje mnie namówić na kupno ogromnego fioletowego futrzanego kapelusza albo wypytuje, kiedy siedzimy nad marną kolacją: „Czy to się nazywa klopsy w sosie własnym?” Jest jak świetlik, ta moja Linda. W średniowiecznej Wenecji wynajmowało się człowieka, zwanego *codega*, który nocą oświetlał ludziom drogę, odstraszał złodziei i demony, dając na tych ciemnych ulicach poczucie pewności i bezpieczeństwa. Taką rolę odgrywa Linda - to moja tymczasowa, przysłana na specjalne życzenie, podróżna wenecka *codega*.

33

Kilka dni później wysiadam z pociągu w Rzymie, gdzie pod upalnym, rozslonecznionym niebem panuje wieczny bałagan. Natychmiast po wyjściu na ulicę słyszę okrzyki jak na stadionie piłkarskim - to uczestnicy *manifestazione*, jeszcze jednej pracowniczej demonstracji. Mój taksówkarz nie potrafi powiedzieć, o co teraz strajkują, głównie dlatego, że jest mu to obojętne. *Sti cazzi*, mówi o strajkujących. (Tłumaczenie dosłowne: „Te zbuki”, my powiedzielibyśmy: „Mam to w dupie”.) Dobrze jest być z powrotem. Po stateczności i powadze Wenecji miło być znów tam, gdzie można zobaczyć gościa w kurtce z lamparciej skóry przechodzącego obok pary nastolatków całującej się namiętnie pośrodku ulicy. Miasto jest takie rozbudzone i ożywione, takie szykowne i takie zmysłowe w tym słonecznym świetle.

Pamiętam, co powiedział kiedyś Giulio, mąż Marii. Siedzieliśmy w kawiarence na świeżym powietrzu, a on w ramach naszych ćwiczeń z konwersacji zapytał mnie, co sądzę o Rzymie. Powiedziałam, że naprawdę uwielbiam Rzym, jakżeby inaczej, ale jednocześnie wiem, że to nie jest miasto, w którym mogłabym mieszkać do końca życia. Bo jest w Rzymie coś takiego, co nie do końca pasuje do mnie, ale nawet nie bardzo wiem, co to takiego. Właśnie kiedy o tym rozmawialiśmy, przemaszerowała obok nas prawdziwa pomoc wizualna: chodząca kwintesencja rzymianki - fantastycznie zadbana, obwieszona biżuterią czterdziestokilkuletnia dama, na wysokich szpilkach, w obcisłej spódniczce z rozcięciem do pasa i w okularach przeciwsłonecznych, które wyglądają jak samochody wyścigowe (i chyba tyle samo kosztują). Prowadziła osobliwego pieska na nabijanej klejnotami smyczy, a futrzany kołnierz przy jej opiętym zakiecie wyglądał, jakby zrobiono go z jej poprzedniego osobliwego pieska. Otaczała ją olśniewająca aura przepychu, oznaczająca jedno: Możecie sobie na mnie popatrzeć, ale ja na was nie spojrzę. Trudno było sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek w życiu, choćby przez dziesięć minut, nie miała na rzęsach tuszu. Ta kobieta pod każdym względem była moim przeciwieństwem - osoby ubierającej się w stylu, który moja siostra określa jako „Stevie Nicks idzie na zajęcia z jogi w pizamie”. Wskazałam Giuliovi tę kobietę.

- Widzisz... to jest rzymianka - powiedziałam. - Rzym nie może być jednocześnie jej miastem i moim miastem. Tylko jedna z nas tutaj pasuje. I chyba oboje wiemy która.

- Może po prostu ty i Rzym macie inne słowa - zauważył Giulio.

- Co masz na myśli?

- Nie wiesz, że tajemnica zrozumienia miasta i jego mieszkańców tkwi w poznaniu... tego, co jest słowem ulicy?

Potem mieszaniną angielskiego, włoskiego i gestykulacji zaczął mi wyjaśniać, że każde miasto posiada jakieś jedno słowo, które je określa i które można odnieść do większości jego mieszkańców. Gdyby się potrafiło czytać myśli ludzi, którzy mijają nas na ulicy w dowolnym mieście, odkryłoby się, że większość ma w głowie tę samą myśl. I to właśnie ona jest słowem miasta. Jeśli twoje osobiste słowo nie pokrywa się ze słowem tego miasta, to rzeczywiście nie należysz do niego.

- Jakie jest słowo Rzymu? - spytałam.

- SEKS - oświadczył.

- Czy nie jest to tylko stereotyp?

- Nie.

- Chyba są w Rzymie jacyś ludzie, którzy myślą o czymś innym?

- Nie - przekonywał Giulio. - Jedyne, o czym wszyscy myślą przez cały dzień, to SEKS.

- Nawet w Watykanie?

- To co innego. Watykan nie jest częścią Rzymu. Mają tam inne słowo. WŁADZA.

- Można by raczej pomyśleć, że WIARA.

- WŁADZA - powtórzył. - Naprawdę. Ale w Rzymie tym słowem jest SEKS.

Skoro mamy uwierzyć Giuliovi, to tym słówkiem - SEKS - wybrukowane są w Rzymie ulice, przepływa ono przez tutejsze fontanny, wypełnia powietrze niczym uliczny hałas. Myślenie o nim, ubieranie się dla niego, szukanie go, rozważanie, odmawianie go, czynienie z niego sportu i zabawy - tylko tym się wszyscy zajmują. To by co nieco wyjaśniało, dlaczego, mimo całej wspaniałości Rzymu, nie czuję się tutaj jak w rodzinnym mieście. Nie w tym momencie mojego życia. Bo SEKS nie jest w tej chwili moim słowem. Był nim w innych okresach mojego życia, ale nie teraz. Dlatego to śmigające ulicami rzymskie słowo zderza się ze mną i pędzi dalej, nie pozostawiając najmniejszego wrażenia. To nie jest moje słowo, więc nie mieszkam tutaj tak do końca. To świrięta teoria, niesprawdzalna, ale mnie się całkiem podoba.

- A jakie to jest słowo w Nowym Jorku? - spytał mnie Giulio.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- To oczywiście czasownik. Myślę, że OSIĄGAĆ - odpowiedziałam w końcu zdecydowanym głosem.

(Co, jak wierzę, subtelnie, ale znacząco różni się od słowa określającego Los Angeles, które także jest czasownikiem, a ściśle mówiąc, frazą czasownikową: ODNOSIĆ SUKCES. Później podzielę się tą teorią z Sofie, a ona wyrazi opinię, że tym słowem krążącym po ulicach Sztokholmu jest PRZYSTOSOWANIE, co obie nas przygnębia.)

- A jak brzmi to słowo w Neapolu? - spytałam Giulia, który zna dobrze południe Italii.

- WALKA - oświadcza. - A co było tym słowem w twojej rodzinie, kiedy dorastałaś?

Trudne pytanie. Starłam się wymyślić jedno słowo, które w jakiś sposób łączy OSZCZĘDNY i ZUCHWAŁY, ale Giulio przeszedł już do kolejnego i najbardziej oczywistego pytania:

- Jakie jest twoje słowo?

Na to już w ogóle nie mogłam odpowiedzieć.

Nawet teraz, po kilku tygodniach zastanawiania się, nie potrafię dobrze odpowiedzieć. Znam kilka słów, które nim na pewno nie są. Nie jest nim MAŁŻEŃSTWO, to oczywiste. Nie jest RODZINA (choć było to słowo miasta, w którym przez kilka lat mieszkałam z

mężem, a ponieważ nie pasowałam do tego słowa, stało się to istotnym powodem mojego cierpienia). Nie jest nim już DEPRESJA, dzięki Bogu. Nie przejmuję się tym, że dzieję ze Sztokholmem jego PRZYSTOSOWANIE. Nie czuję już jednak, bym tak całkowicie zamieszkiwała nowojorskie OSIĄGACĆ, choć było to moje słowo pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Mogłoby nim być teraz POSZUKIWAĆ. (Bądźmy jednak uczciwi... równie dobrze mogłoby to być UKRYWAĆ.) W ciągu tych spędzonych we Włoszech miesięcy moje słowo to przede wszystkim PRZYJEMNOŚĆ, ale ono nie odnosi się do całej mnie, bo inaczej nie wybierałabym się tak chętnie do Indii. Moim słowem mogłaby być POBOŻNOŚĆ, chociaż to uczyniłoby ze mnie większą świętoszkę, niż jestem, i nie uwzględniło ilości wina, jaką w siebie wlałam.

Nie znam odpowiedzi i przypuszczam, że dlatego właśnie wybrałam się w tę roczną podróż. Chodzi mi o znalezienie własnego słowa. Jednego jestem pewna - nie jest nim SEKS.

Tak w każdym razie uważam. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego dzisiaj nogi same zaprowadziły mnie do dyskretnego butiku przy uliczce odchodzącej w bok od via Condotti, gdzie pod troskliwym okiem wyrozumiałej młodej ekspedientki spędziłam kilka kojących godzin (które kosztowały mnie tyle, ile bilet na lot za Atlantyk), gromadząc taki stos bielizny, że starczyłoby dla nałożnicy sułtana na tysiąc i jedną noc. Kupiłam po biustonoszu w każdym dostępnym fasonie i modelu, a także przejrzyste, zwiewne koszulki na ramiączkach i szykowne skąpe majteczki we wszystkich kolorach tęczy, haleczki uszyte z kremowej satyny i najdelikatniejszego jedwabiu, ręcznej roboty stringi i inne drobiazgi, czyli w zasadzie całe mnóstwo jedwabnych, ozdobionych koronką szalonych prezentów walentynkowych.

Nigdy wcześniej nie posiadałam czegoś takiego. Dlaczego więc teraz? Kiedy wychodziłam ze sklepu, unosząc opakowaną w bibułki frywolną bieliznę, przypomniał mi się nagle pełen udręki okrzyk kibica na meczu Lazio, kiedy gwiazda tej drużyny, niejaki Albertini, w krytycznym momencie, bez najmniejszego powodu, posłał piłkę na chybił trafił na puste pole, całkowicie rozbijając składną akcję.

Per chi???, krzyczał niemal oszalały kibic. *Per chi???*

Dla KOGO??? Dla kogo ta piłka, Albertini? T a m nikogo nie ma.

Kiedy ochłonełam po gorączkowych godzinach spędzonych na kupowaniu bielizny, przypomniał mi się ów kibic i jego słowa wyszeptalam do siebie: *Per chi?*

Dla kogo, Liz? Dla kogo cały ten dekadenski erotyzm? Tam nikogo nie ma. Zostanę we Włoszech jeszcze tylko kilka tygodni i nie mam zamiaru wdawać się w żaden romans. Czy aby na pewno? A może w końcu znalazłam się pod wpływem tego słowa z rzymskich ulic? Może jest to ostateczna próba zostania Włoszką? Czy zrobiłam podarek samej sobie, czy

też z myślą o jakimś niewyobrażonym jeszcze kochanku? Czy była to pierwsza próba uzdrowienia libido po klęsce mojej seksualnej pewności siebie w ostatnim związku?

Zadałam sobie pytanie: Zabierasz to wszystko do Indii?

34

W tym roku urodziny Luki Spaghetiego przypadają na amerykańskie Święto Dziękczynienia i w związku z tym chce on przyrzadzić na urodzinowe przyjęcie indyka. Nigdy wcześniej nie jadł wielkiego, tłustego, pieczonego amerykańskiego świątecznego indyka, ale widywał je w kinie. Uważa, że odtworzenie takiej uczytury powinno być łatwe (szczególnie z pomocą takiej prawdziwej Amerykanki jak ja). Mówi, że może skorzystać z kuchni swoich przyjaciół, Maria i Simony, którzy mają ładny, przestronny dom w górach niedaleko Rzymu i zawsze udostępniają go Luce na urodzinowe przyjęcia.

Oto, jak wyglądał plan tej uroczystości: Luca zabierze mnie około siódmej wieczorem, kiedy skończy pracę, i ruszymy na północ za miasto. Droga zajmie nam około godziny. W domu przyjaciół spotkamy się z innymi gośćmi, wypijemy trochę wina, a kiedy już wszyscy się poznają, prawdopodobnie około dziewiątej, zabierzemy się do pieczenia wazącego dwadzieścia funtów indyka...

Musiałam mu dłuższy czas wyjaśniać, co oznacza pieczenie dwudziestofuntowego indyka. Powiedziałam, że jego urodzinowa uczytura byłaby gotowa nie wcześniej niż o świcie. Był zdruzgotany.

- A gdybyśmy kupili bardzo małego indyka? Świeżo wyklutego indyka? - dopytywał się.

- Luca... ułatwimy sobie sprawę i podajmy pizzę, jak z okazji Święta Dziękczynienia robi co druga dysfunkcyjna amerykańska rodzina - poradziłam.

Jemu jednak nadal jest smutno. Choć trzeba powiedzieć, że w Rzymie w tej chwili panuje jakiś ogólny smutek. Oziębilo się. Śmieciarze, kolejarze i państwowe linie lotnicze - wszyscy zaczęli strajk tego samego dnia. Ukazały się wyniki badań, które pokazują, że trzydzieści sześć procent włoskich dzieci ma alergię na gluten obecny w mące używanej do wyrobu makaronu, pizzy i chleba, no i koniec z włoską kulturą. Jest zresztą znacznie gorzej. Niedawno widziałam artykuł opatrzony wstrząsającym tytułem: „Insoddisfatte 6 Donne su

10!” Co oznacza, że sześć na dziesięć włoskich kobiet nie odczuwa satysfakcji seksualnej. Co więcej, 35 procent Włochów ma zaburzenia un'erezione, więc badacze są bardzo perpleksi (zakłopotani), a ja zastanawiam się, czy w związku z tym nadal powinno się uważać SEKS za to szczególne rzymskie słowo.

Dużo gorszą wiadomością było to, że dziewiętnastu włoskich żołnierzy zginęło ostatnio w wojnie amerykańskiej (jak ją tutaj nazywają) w Iraku - jest to największa liczba Włochów zabitych w działaniach militarnych od drugiej wojny światowej. Rzymianie byli tym wstrząśnięci i w dzień pogrzebu żołnierzy miasto praktycznie zamarło. Zdecydowana większość Włochów nie chce mieć nic wspólnego z wojną George'a Busha. Ich zaangażowanie było rezultatem decyzji Silvia Berlusconi, premiera Włoch (powszechnie określanego tutaj jako l'idiota). Ten bezrozumny biznesmen, właściciel klubu piłki nożnej, skompromitowany korupcją i ciemnymi interesami, który regularnie wprawia w zażenowanie swoich współobywateli, czyniąc sprośne gesty w europejskim parlamencie, który opanował sztukę mówienia *l'aria fritta* („smażone powietrze”), który mistrzowsko manipuluje mediami (co nie jest trudne, kiedy się jest ich właścicielem) i który, mówiąc najogólniej, nie zachowuje się jak prawdziwy światowy przywódca, ale raczej jak burmistrz Waterbury (to dowcip zrozumiały wyłącznie dla mieszkańców Connecticut... przepraszam), teraz wplątał Włochów w wojnę, którą oni postrzegają jako coś, co ich zupełnie nie dotyczy.

„Zginęli za wolność”, oświadczył Berlusconi na pogrzebie dziewiętnastu chłopców, ale większość rzymian ma inne zdanie na ten temat: Zginęli, biorąc udział w prywatnej wojnie George'a Busha. Wydawałoby się, że w takim klimacie trudno być tutaj gościem z Ameryki. Szczerze mówiąc, kiedy przyleciałam do Włoch, spodziewałam się pewnych pretensji, mimo to ze strony większości Włochów spotkało mnie tylko głębokie zrozumienie. Przy każdej wzmiance o Bushu ludzie wskazują po prostu Berlusconi, mówiąc: „Rozumiemy, jak to jest... też mamy jednego takiego”.

My też tam byliśmy.

Dlatego dziwi mnie, że w takiej sytuacji Luca chce wykorzystać swoje urodziny dla uczczenia amerykańskiego Święta Dziękczynienia, choć sam pomysł mi się podoba. To święto jest wspaniałe; Amerykanie mogą być z niego szczerze dumni. Poza tym to nasze jedyne narodowe święto, które nie uległo pełnej komercjalizacji. Jest to nadal dzień łaski i wdzięczności; dzień społeczności lokalnych i - owszem - przyjemności. Mógłby więc być tym, czego nam wszystkim teraz potrzeba.

Moja przyjaciółka Deborah przyleciała z Filadelfii na weekend do Rzymu, żeby świętować razem ze mną. Deborah jest szanowaną w środowiskach międzynarodowych

psycholożką, pisarką oraz teoretyczką feminizmu, ja jednak wciąż pamiętam ją z czasów, kiedy pracowałam jako kelnerka w taniej filadelfijskiej restauracyjce, do której ona przychodziła na lunch. Była moją ulubioną klientką, piła dietetyczną coca-colę bez lodu i mówiła mi przez kontuar różne mądre rzeczy. Naprawdę dodawała tej knajpce szyku. Przyjaźnimy się już od piętnastu lat. Sofie też będzie na przyjęciu Luki. Sofie i ja jesteśmy przyjaciółkami od piętnastu tygodni. Wszyscy są zawsze mile widziani na obchodach Święta Dziękczynienia. Szczególnie kiedy przypada w urodziny Luki Spaghettiiego.

Wyjeżdżamy z wymęczonego, zestresowanego Rzymu późnym wieczorem i kierujemy się w stronę gór. Luca uwielbia amerykańską muzykę, puszcza więc na cały regulator Eaglesów i śpiewamy *Take it... to the limit... one more time!!!!*, co dodaje nieco dziwnego kalifornijskiego smaczku naszej jeździe przez gaje oliwne i pod starożytnymi akweduktami. Przybywamy do domu starych przyjaciół Luki, Maria i Simony, rodziców dwunastoletnich bliźniaczek, Giulii i Sary. Paolo - przyjaciel Luki, którego spotykałam wcześniej na meczach piłki nożnej - też tam jest, razem ze swoją dziewczyną. Oczywiście jest też dziewczyna Luki, Giuliana; przyjechała sama trochę wcześniej. Dom jest piękny, otoczony drzewami oliwnymi i cytrynowymi. Na kominku płonie ogień. Oliwę z oliwek wytłoczono domowym sposobem.

To oczywiste, że nie ma czasu na upieczenie dwudziestofuntowego indyka, ale Luca smaży ładne kawałki indyczej piersi, a ja staram się przypomnieć sobie przepis i kieruję krzątającą się w wielkim pośpiechu grupką, która przygotowuje farsz, złożony z okruchów najlepszej jakości włoskiego pieczywa, z niezbędnymi kulturowymi zamiennikami (daktyle zamiast moreli; fenkuł zamiast selera. O dziwo, rezultat okazuje się wyśmienity. Luca zamartwiał się, jak będziemy ze sobą rozmawiać, zważywszy na to, że połowa gości nie mówi po angielsku, a druga połowa nie mówi po włosku (a tylko Sofie mówi po szwedzku), ale wygląda na to, że jest to jeden z tych wieczorów cudów, kiedy wszyscy się znakomicie rozumieją, a w najgorszym przypadku, jeśli czegoś nie chwytasz, pomaga ci sąsiad.

Nie wiem, ile butelek sardyńskiego wina zdążyliśmy już opróżnić, kiedy Deborah rzuca propozycję, żebyśmy zgodnie z miłym amerykańskim zwyczajem, wzięli się za ręce i powiedzieli kolejno, za co czujemy największą wdzięczność. Płynie zatem po kolei ta składanka dziękczynna w trzech różnych językach.

Deborah jest pierwsza. Wyraża wdzięczność za to, że Stany Zjednoczone będą miały wkrótce możliwość wybrania sobie nowego prezydenta. Sofie (najpierw po szwedzku, potem po włosku, na końcu po angielsku) mówi, że jest wdzięczna za życzliwe włoskie serca i za te wszystkie miesiące, podczas których doznawała tylu radości w tym kraju. Mario - pan domu -

nie kryjąc łez, dziękuje Bogu za swoją pracę, za ten piękny dom, którym może się cieszyć wraz z rodziną i przyjaciółmi. Paolo wywołuje śmiech, kiedy mówi, że on też jest wdzięczny za to, że wkrótce Stany będą miały szansę wybrać nowego prezydenta. Słuchamy natomiast z powagą, kiedy Sara, jedna z dwunastoletnich bliźniaczek, dzielnie wyraża wdzięczność za to, że może być tutaj dzisiaj wieczorem, z takimi miłymi ludźmi, bo ostatnio w szkole przeżywa ciężkie chwile i niektórzy uczniowie jej dokuczają... „więc dziękuję wam, że jesteście dla mnie mili, a nie złośliwi jak tamci”. Giuliana wyznaje, że jest wdzięczna za wszystkie lata wierności Luki i za to, że w trudnym czasie otoczył opieką jej rodzinę. Simona - pani domu - płacze jeszcze bardziej otwarcie niż jej mąż i wyraża wdzięczność za to, że ci nieznajomi z Ameryki, którzy tak naprawdę nie są nieznajomymi, ale przyjaciółmi Luki, więc także przyjaciółmi pokoju, przynieśli do jej domu ten nowy zwyczaj świętowania i dziękczynienia.

Kiedy przychodzi moja kolej, zaczynam od Sono grata... po czym stwierdzam, że nie mogę wyjawic swoich prawdziwych myśli. Myślę, jaką głęboką czuję wdzięczność za to, że dzisiejszego wieczoru jestem wolna od depresji, która wyzarła takie dziury w mojej duszy, że nie byłam w stanie cieszyć się nawet podobnie wspaniałymi wieczorami jak ten. Nie wspominam nic z tych rzeczy, bo nie chcę niepokoić dziewczynek. Zamiast tego mówię prostszą prawdę - że jestem wdzięczna za starych i nowych przyjaciół, a tego wieczoru szczególnie za Lucę Spaghetiego.

Życzę mu szczęśliwych trzydziestych trzecich urodzin i tego, by żył długo, jest bowiem przykładem dla innych ludzi, jak należy być szczodrym, lojalnym i kochającym człowiekiem. I kończę, wyrażając nadzieję, że nikomu nie przeszkadzają moje łzy, zresztą dlaczego miałyby im przeszkadzać, skoro płaczą wszyscy.

Luca jest tak przejęty, że nie potrafi znaleźć słów. Mówi tylko: „Wasze łzy są moja modlitwą”.

Wino z Sardynii płynie strumieniem. Paolo zmywa naczynia, Mario układa zmęczone córki do snu, a Luca gra na gitarze i wszyscy, pijani, śpiewają z różnym akcentem piosenki Neila Younga. I wtedy Deborah, ta amerykańska feministka psycholożka, odzywa się do mnie cicho: „Popatrz na tych porządnych Włochów. Zobacz, jak nie wstydzą się okazywać uczuć i jaką miłością otaczają swoje rodziny. Zobacz, z jakim szacunkiem traktują kobiety i dzieci. Nie wierz temu, co czytasz w gazetach, Liz. Ten kraj ma się bardzo dobrze”.

Przyjęcie trwa niemal do świtu. Prawdę mówiąc, zdążylibyśmy upiec tego dwudziestofuntowego indyka i zjeść go na śniadanie. Luca Spagheti odwozi mnie, Deborah i Sofie do domu. Wschodzi słońce, a my śpiewamy na cały głos kolędy, by Luca nie zasnął za

kierownicą. Cicha noc, święta noc, wyśpiewujemy w kółko we wszystkich językach, jakie znamy, w drodze powrotnej do Rzymu.

35

Dłużej nie dało się tego wytrzymać. Po niecałych czterech miesiącach pobytu we Włoszech nie pasują już na mnie żadne moje spodnie. Nie mieszczę się już nawet w te, które kupiłam w zeszłym miesiącu (kiedy wyrosłam ze spodni rozmiaru „drugi miesiąc we Włoszech”). To prawda, że nie stać mnie na wymienianie garderoby co kilka tygodni i dobrze wiem, że wkrótce znajdę się w Indiach i te dodatkowe funty po prostu wyparują, niemniej... w tych spodniach nie mogę już chodzić. To nieznośne.

Sprawa jest oczywista, ponieważ kiedy całkiem niedawno weszłam na wagę w jednym z wytwornych włoskich hoteli, okazało się, że podczas czterech miesięcy pobytu tutaj przytyłam dwadzieścia trzy funty - naprawdę znaczące osiągnięcie. Jakieś piętnaście funtów było mi rzeczywiście potrzebne, bo kilka lat korowodów rozwodowych i depresja bardzo mnie wyniszczyły. Kolejne pięć funtów przybrałam dla zabawy. A te ostatnie trzy? Pewnie żeby dowieść swoich racji, jak przypuszczam.

W rezultacie kupuję teraz coś, co zachowam sobie jako cenną pamiątkę: „moje dzinsy z ostatniego miesiąca pobytu we Włoszech”. Dziewczyna w sklepie jest taka miła, że przynosi mi do przymierzalni spodnie w coraz większych rozmiarach, podaje mi je po kolei przez zasłonę bez słowa komentarza, jedynie z powtarzaniem za każdym razem z troską pytaniem, czy te są lepsze. Co chwilę wystawiam głowę zza zasłony i pytam: „Przepraszam... są może jeszcze odrobinę większe?” Aż w końcu dziewczyna podaje mi parę tak szeroką, że przecieram oczy, kiedy czytam, jaki mają obwód w pasie. Wychodzę z przymierzalni, prezentuję się sprzedawczyni.

Nawet nie mruga okiem. Patrzy na mnie jak kustosz w muzeum starający się ocenić wartość wazy. Raczej dużej wazy.

- *Carina* - oświadcza wreszcie. Jaka miła.

Proszę ją po włosku, żeby mi szczerze powiedziała, czy w tych dzinsach nie przypominam jej krowy.

Nie, *signorina*, słyszę w odpowiedzi. Nie przypomina pani krowy.

- A świnię?

Nie, zapewnia mnie z całą powagą. Świni też jej nie przypominam.

- Może bawołu?

Robi się z tego dobre ćwiczenie ze słówek. Usiłuję wywołać u ekspedientki uśmiech, ale ona za bardzo stara się zachować profesjonalizm.

Próbuję jeszcze raz:

- To może wyglądam jak bawola mozzarella?

Tak, może, przyznaje, wreszcie leciuteńko się uśmiechając. Może rzeczywiście wygląda pani odrobinę jak bawola mozzarella...

36

Został mi tylko tydzień. Przed lotem do Indii zamierzam jeszcze wrócić do Stanów na Boże Narodzenie, nie tylko dlatego, że nie potrafię znieść myśli o spędzeniu świąt z dala od rodziny, ale również dlatego, że następne osiem miesięcy mojego podróżowania - Indie i Indonezja - wymaga całkowitej wymiany ekwipunku. Bardzo niewiele z rzeczy potrzebnych w Rzymie przyda mi się podczas wędrówek przez Indie.

I całkiem możliwe, że właśnie w ramach przygotowań do swojej indyjskiej wyprawy decyduję się spędzić ten ostatni tydzień na Sycylii - jest to bowiem najbardziej przypominający Trzeci Świat region Włoch i dobre miejsce do odwiedzenia, jeśli człowiek musi się przygotować na spotkanie ze skrajną nędzą. A może chcę tam pojechać, ponieważ „Bez Sycylii nie można w pełni zrozumieć Italii”, jak powiedział Goethe.

Nielatwo jest jednak dostać się na Sycylię i się po niej poruszać. Muszę wykorzystać wszystkie swoje umiejętności, żeby znaleźć pociąg, który jedzie w niedzielę aż na wybrzeże, a potem odnaleźć właściwy prom do Mesyny (budzące strach i podejrzaną sycylijskie miasto portowe, które zdaje się wrzeszczeć zza zabarykadowanych drzwi: „To nie moja wina, że jestem paskudne! Jestem ofiarą trzęsień ziemi i nalotów dywanowych, i gwałtów mafii!”). Kiedy już docieram do Mesyny, muszę odnaleźć dworzec autobusowy (brudny jak płuco palacza) i człowieka, którego praca polega na tym, że siedzi w kasie, oplakuje swój los i zastanawia się, czy sprzedać mi bilet do nadbrzeżnego miasta Taormina. Potem posuwam się rozklekotanym autobusem wzdłuż skał i plaż niezwykle poszarpanego wschodniego

wybrzeża, a potem muszę znaleźć taksówkę i hotel. Wreszcie wieczorem pozostaje mi tylko znaleźć właściwą osobę, której mogę zadać po włosku swoje ulubione pytanie: „Gdzie tu można najlepiej zjeść?” W Taorminie tą osobą okazuje się zaspany policjant. Daje mi jeden z najlepszych możliwych prezentów - maleńki kawałek papieru z nazwą jakiejś restauracji i odręcznie wyrysowanym planem, żebym mogła do niej trafić.

Znajduję tę małą trattorię, gdzie przyjaźnie nastawiona starsza właścicielka przygotowuje się do przyjęcia wieczornych gości; zdjęła pantofle i stoi w pończochach na stoliku, i starając się nie stracić bożonarodzeniowego żłóbka, pucuje do połysku okna. Mówię jej, że nie potrzebuję menu, i proszę o przyniesienia tego, co ma najlepszego, ponieważ jest to mój pierwszy wieczór na Sycylii. Zaciera radośnie dłonie, krzyczy coś w dialekcie sycylijskim do jeszcze starszej kobiety, swojej matki, która urzęduje w kuchni, a za dwadzieścia minut zajądam niewątpliwie najbardziej zaskakujący posiłek ze wszystkich, jakich dotąd próbowałam we Włoszech. Jest to makaron, ale takiego nigdy wcześniej nie widziałam - duże prostokąty świeżego ciasta, zwinięte jak ravioli, mają kształt (choć nie wielkość) papieskiego kapelusza i faszerowane są pikantnym aromatycznym puree ze skorupiaków, ośmiornicy i kalmara, wymieszane ze świeżymi sercówkami i pociętymi w paseczki warzywami, a wszystko to pławi się w tłusciutkim rosole. Potem dostaję duszonego królika w tymianku.

Następnego dnia w Syrakuzach jest jeszcze lepiej. Tutaj autobus wypłuwa mnie na rogu ulicy późnym popołudniem prosto w zimno i deszcz. Natychmiast zakochuję się w tym mieście. W Syrakuzach mam pod stopami trzy tysiące lat historii. Jest to miejsce tak starej cywilizacji, że Rzym przy nim wydaje się niczym Dallas. Według mitu Dedal przyleciał tutaj z Krety, a sam Herakles przespał tu jedną noc. Syrakuzy były grecką kolonią, którą Tukidydes nazywał „miastem ani trochę nie gorszym od Aten”. Syrakuzy to ogniwo łączące starożytną Grecję i starożytny Rzym. Mieszkało tutaj wielu dramaturgów i mędrców.

Platon uważał je za idealne miejsce do przeprowadzenia eksperymentu państwa utopijnego, w którym jakimś „boskim zrzędzeniem losu” władcy mogliby się stać filozofami, a filozofowie władcami. Historycy utrzymują, że w Syrakuzach wynaleziono retorykę, a także (ale to już drobiazg) s p i s e k .

Wędruję po tym popadającym w ruinę mieście od targu do targu, a moje serce przepełnia uwielbienie, którego nie potrafię ani nazwać, ani wyjaśnić, kiedy przyglądam się, jak sędziwy mężczyzna w czarnej wełnianej czapce patroszy dla klienta rybę (trzyma papierosa w ustach, jak krawcowa szpilki podczas szycia; jego nóż aż śmiga, kiedy z nabożną dokładnością dzieli rybę na płaty i usuwa ości). Pytam nieśmiało tego rybaka, gdzie mam iść

na kolację, i na koniec rozmowy ściskam w garści kolejny karteluszek, z którym idę do restauracji bez nazwy. Ledwie siadam tam przy stoliku, kelner stawia przede mną *ricottę* w puchatych kłębkach posypanych pistacjami, kawałki chleba unoszące się w naczyniach z wonnym olejem, plasterki wędlin i oliwki na małych półmisekczkach, sałatkę ze schłodzonych pomarańczy, wymieszanych z surową cebulą i zieloną pietruszką. To wszystko dzieje się, zanim jeszcze usłyszę o specjalności lokalu, kałamarnicach.

„Żadne miasto, niezależnie od tego, jakie obowiązuje w nim prawo, nie może żyć w spokoju - napisał Platon - kiedy jego obywatele... nie robią nic, tylko uczują i piją, i zamęczają się miłosnymi zmaganiem”.

Ale czy naganne jest oddawanie się takiemu życiu przez krótkie kilka miesięcy? Czy to takie okropne podróżować poprzez czas bez ambicji większych jak dotarcie do kolejnego smakowitego posiłku? Albo uczyć się obcego języka tylko dlatego, że jego brzmienie sprawia człowiekowi przyjemność? Albo zdrzemnąć się w ogrodzie, w kręgu słonecznego światła, w środku dnia, tuż obok ulubionej fontanny? A potem, następnego dnia, jeszcze raz?

Oczywiście nie można bez końca żyć w taki sposób. Rzeczywiste życie i wojny, i głębokie urazy, i śmiertelność ostatecznie na to nie pozwolą. Tutaj, na Sycylii, z jej strasznym ubóstwem, rzeczywistość nigdy nie jest odległa od ludzkich myśli. Od wieków jedyną grupą odnoszącą tu sukcesy jest mafia (zajmująca się ochroną mieszkańców przed samą sobą), która wciąż trzyma łapy w kieszeniach wszystkich. Palermo, miasto, którego niewysłowionym pięknem zachwycił się Goethe, jest chyba jedynym miastem w Europie Zachodniej, gdzie nadal można deptać po gruzach z drugiej wojny światowej, co świadczy o tempie rozwoju tego regionu. Miasto było systematycznie i niewyobrażalnie szpeczone przez szkaradne i niezdrowe bloki mieszkalne, które mafia postawiła w latach osiemdziesiątych w ramach operacji prania pieniędzy. Spytałam pewnego Sycylijczyka, czy domy te zbudowano z taniego betonu, a on odparł: „Och nie... to bardzo drogi beton. W każdej jego partii były ciała kilkorga ludzi zabitych przez mafię, a to kosztuje. No i został wzmocniony dodatkiem kości i zębów”.

Czy w podobnym otoczeniu wypada myśleć jedynie o czymś tak płytkim jak kolejny wspaniały posiłek? A może to najlepsze, co można zrobić, zważywszy na tę trudną rzeczywistość? Luigi Bardini w *Gli Italiani*, arcydziele z roku 1964 (które napisał, kiedy znużyli go piszący o Włoszech obcokrajowcy, przesadzający albo z miłością, albo z nienawiścią do tego kraju), spróbował spojrzeć obiektywnie na własną kulturę. Chciał odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Włosi wydali najwspanialsze artystyczne, polityczne i naukowe umysły wszech czasów, a mimo to nigdy nie stali się światową potęgą. Dlaczego są mistrzami słownej dyplomacji na skalę planety, a ich własne rządy są tak niekompetentne?

Dlaczego indywidualnie są tacy dzielni, a jednocześnie tacy nieskuteczni w grupie jako armia? Jak mogą pojedynczo być takimi sprytnymi kupcami, a jako naród budować tak nieskuteczny kapitalizm?

Jego odpowiedzi na te pytania są bardziej złożone niż to, co mogę tutaj zwięźle przedstawić, ale wynikają w dużym stopniu ze smutnej historii Włoch, obejmującej korupcję miejscowych przywódców, wykorzystywanie przez obce siły, co w rezultacie doprowadziło Włochów do pozornie trafnego wniosku, jakoby nikomu i niczemu na świecie nie można było ufać. Skoro świat jest tak zepsuty, zakłamany, wyolbrzymiony i niesprawiedliwy, powinno się ufać jedynie temu, czego doświadczamy własnymi zmysłami, a to powoduje, że zmysły są we Włoszech bardziej wyostrzone niż gdziekolwiek indziej w Europie. Dlatego właśnie, twierdzi Barzini, Włosi będą tolerowali obrzydliwie niekompetentnych generałów, prezydentów, tyranów, profesorów, urzędników, dziennikarzy i magnatów przemysłowych, ale nigdy nie będą tolerować niekompetentnych „śpiewaków operowych, dyrygentów, balerin, kurtyzan, aktorów, reżyserów filmowych, kucharzy, krawców...”. W świecie zamętu, kataklizmów i oszustw czasami można zaufać jedynie pięknu. Tylko artystyczna doskonałość jest nieprzekupna. Przyjemność ma swoją niezmienną cenę. I czasami posiłek jest jedyną rzeczywistą walutą.

Zatem poświęcenie się tworzeniu piękna i rozkoszowaniu nim może stać się poważną sprawą... niekoniecznie musi być tylko środkiem ucieczki od rzeczywistości, ale czasami wręcz pomaga się jej trzymać, kiedy wszystko inne obraca się w... retorykę i spisek. Nie tak dawno na Sycylii aresztowano bractwo mnichów katolickich, którzy ściśle współpracowali z mafią, komu więc mamy ufać? Czemu wierzyć? Świat jest wrogi i niesprawiedliwy. Odezwij się przeciwko tej niesprawiedliwości, a przynajmniej tu, na Sycylii, skończysz jako fundament jakiegoś nowego szkaradnego budynku. Co można zrobić w takim środowisku, żeby zachować poczucie ludzkiej godności? Może nic. Nic poza czerpaniem dumy z umiejętności perfekcyjnego filetowania ryby lub przyrządzania najbardziej puszystej w mieście *ricotty*?

Nie chcę nikogo obrażać, czyniąc zbyt daleko idące porównania pomiędzy sobą a doświadczonymi przez los Sycylijczykami. Tragedie w moim życiu były natury osobistej i na ogół przeze mnie wywołane, nie miały wymiarów epickich. Przeszłam przez rozwód i depresję, a nie przez kilka stuleci tyranii. Doświadczyłam kryzysu tożsamości, ale miałam też środki (finansowe, artystyczne i emocjonalne), za pomocą których mogłam go opanować. Jestem jednak skłonna twierdzić, że to samo przekonanie, które pozwalało pokoleniom Sycylijczyków zachować swoją godność, pomogło mi zacząć odzyskiwać moją - jest to

koncepcja, zgodnie z którą docenianie przyjemności może być kotwicą czyjegoś człowieczeństwa. Sądzę, że to właśnie miał na myśli Goethe, kiedy powiedział, że trzeba przyjechać tutaj, na Sycylię, żeby zrozumieć Włochy. I zapewne to właśnie czułam, kiedy postanowiłam wybrać się do Włoch, żeby zrozumieć siebie.

Naprawianie mojej duszy zaczęło się w Nowym Jorku, kiedy siedziałam w wannie i na głos czytałam włoski słownik. Moje życie rozsypało się na kawałki i nie rozpoznawałam samej siebie, zapewne nie umiałabym wskazać siebie w szeregu osób ustawionych przy policyjnym okazaniu. Dostrzegłam jednak pewną zapowiedź szczęścia, kiedy zaczęłam się uczyć włoskiego, a gdy człowiek wyczuwa choćby małą szansę zaznania szczęścia po takim mrocznym okresie, musi chwycić je z całych sił za nogi i nie puszczać, dopóki nie wyciągnie go z błota... to nie egoizm, lecz obowiązek. Dostałaś życie; jest twoją powinnością (a także twoim prawem jako istoty ludzkiej) znaleźć w nim coś pięknego, nawet gdyby było to bardzo małe.

Przyjechałam do Włoch wynędzniała, chuda jak szczapa. Nie wiedziałam jeszcze, na co zasługuję. Może wciąż do końca nie jestem tego pewna. Wiem jednak, że ostatnio się pozbierałam - czerpiąc radość z niewinnych przyjemności - stałam się osobą o wiele bardziej zintegrowaną. Najprościej, najbardziej po ludzku można to wyrazić, mówiąc, że przytyłam. Opuszczę Włochy zdecydowanie większa, niż tu przybyłam. I wyjadę z nadzieją, że rozprzestrzenienie się jednej osoby - powiększenie jednego życia - jest w tym świecie aktem wartościowym. Nawet jeśli to życie, w tym przypadku, jest tylko moje.

KSIĘGA DRUGA

Indie

czyli

„Winszuję poznania”

czyli

trzydzieści sześć

opowieści o

poszukiwaniu

pobożności

Kiedy byłam dziewczynką, trzymaliśmy kury. Zawsze mieliśmy ich z tuzin i kiedy któraś ginęła - porwana przez jastrzębia, lisa albo jakąś tajemniczą kurzą chorobę - ojciec kupował na jej miejsce inną. Jechał do pobliskiej fermy drobiu i wracał z nową kurą w worku. Rzecz w tym, że trzeba być ostrożnym, kiedy wprowadza się taką kurę do stada. Nie można jej tak po prostu wrzucić do pozostałych, bo zobaczą w niej napastnika. Trzeba wsunąć tego nowego ptaka do kurnika w środku nocy, kiedy pozostałe śpią. Posadzić go na grzędzie obok reszty i cichutko się oddalić. Rano, kiedy kury się obudzą, nie zwrócą uwagi na przybyszkę, pomyślą sobie tylko: „Musiała tu być przez cały czas, skoro nie widziałyśmy, jak się pojawiła”. Dowcip w tym, że ta nowa kura nawet nie pamięta, że jest nowa, i myśli sobie tylko: „Musiałam tutaj być przez cały czas... „

Dokładnie w taki sposób pojawiaam się w Indiach. Mój samolot ląduje w Bombaju około wpół do drugiej w nocy. Jest trzydziesty grudnia. Zabieram bagaż, potem znajduję taksówkę, która powiezie mnie wiele godzin do aśramy ulokowanej w odległej wiosce. Drzemię podczas nocnej jazdy przez Indie, od czasu do czasu budzę się i zerkam przez okno, widzę dziwne, znękanne, szczupłe kobiety w sari, posuwające się skrajem drogi z wiązkami drewna opałowego na głowach. O tej porze? Mijają nas autobusy bez włączonych świateł, my mijamy ciągnięte przez woły wozy. Imponujące wielkością i elegancją korzenie banianów zarastają rowy.

O wpół do czwartej nad ranem docieramy do aśramy. Tuż za główną bramą widzę świątynię. Kiedy wysiadam z taksówki, z cienia wychodzi jakiś młody człowiek w zachodnim ubraniu i w wełnianej czapce i przedstawia mi się - to Arturo, dwudziestoczteroletni dziennikarz z Meksyku i entuzjasta mojej guru, który zjawił się tutaj, żeby mnie powitać. Kiedy wymieniamy szeptem powitania, słyszę dobiegające z wnętrza pierwsze takty mojej ulubionej sanskryckiej pieśni. To *arati*, pierwsza poranna modlitwa, śpiewana codziennie o trzeciej trzydzieści, kiedy aśrama budzi się ze snu. Wskazuję ręką świątynię i pytam Artura: „Czy mogę...?”, a on wykonuje zapraszający gest. Płacę zatem taksówkarzowi, chowam plecak za drzewem, zsuwam buty, klękam i dotykam czołem stopnia świątyni, po czym

wślizguję się do jej wnętrza, by dołączyć do niewielkiego zgromadzenia, złożonego głównie z Hindusek, śpiewających tę piękną pieśń.

Jest to pieśń, którą ja nazywam „zadziwiająca łaską sanskrytu”, przepelniona nabożną tęsknotą. To jedyna religijna pieśń, jakiej się nauczyłam, wkładając w jej zapamiętanie nie wysiłek, ale miłość. Zaczynam śpiewać znane mi sanskryckie słowa, poczynając od prostego wprowadzenia dotyczącego świętych nauk jogi, przez wznoszące się coraz wyżej tony uwielbienia („Czczę praprzyczynę wszechświata... czczę Jedyne, którego oczami są słońce, księżyc i ogień... jesteś dla mnie wszystkim, o Boże Bogów... „), aż do tej ostatniej perełki będącej podsumowaniem wszelkiej wiary („To jest doskonałością, tamto jest doskonałością, jeśli odejmiesz doskonałość od doskonałości, to pozostaje doskonałość”).

Kobiety kończą śpiewać. Składają w milczeniu pokłon, po czym wychodzą bocznymi drzwiami i ciemnym dziedzińcem przechodzą do mniejszej świątyni, oświetlonej zaledwie jedną lampką oliwną i pachnącej kadzidłem. Idę za nimi. Pomieszczenie wypełnione jest wiernymi - Hindusami i ludźmi Zachodu - otulonymi w wełniane szale chroniące od chłodu przedświt. Wszyscy siedzą pogrążeni w medytacji, jak kury na grzędzie, można by rzec, a ja dołączam do nich, nowy ptak w tym stadzie, niezauważona przez nikogo. Siadam po turecku, kładę dłonie na kolanach, zamykam oczy.

Nie medytowałam od czterech miesięcy. Od czterech miesięcy nawet nie myślałam o medytacji. Siedzę. Mój oddech się uspokaja. Mówię do siebie mantrę, raz, bardzo powoli i z rozwagą, sylaba po sylabie.

Om.

Na.

Ma.

Ha.

Śi.

Wa.

Ja.

Om Namaha Śiwaja.

Pokłon Tobie, Śiwo.

Potem to powtarzam. I jeszcze raz. I jeszcze. Można by powiedzieć, że nie tyle medytuję, ile ostrożnie odpakowuję tę mantrę, tak jak odpakowałamby najlepszą, dawną nie używaną porcelanę po babce.

Nie wiem, czy zapadam w sen, czy w jakiś rodzaj zauroczenia, nie wiem nawet, ile czasu mija. Kiedy w końcu tego ranka w Indiach wschodzi słońce i wszyscy otwierają oczy i rozglądają się wokół, Włochy są odległe ode mnie o dziesięć tysięcy mil i mam wrażenie, jakbym od zawsze była członkiem tego stada.

38

Dlaczego uprawiamy jogę? Kiedyś w Nowym Jorku nasz trener zadał to pytanie podczas wyjątkowo wymagających zajęć z jogi. Wszyscy byliśmy wygięci w niebywale wyczerpujący trójkąt, a on kazał nam utrzymywać tę pozycję dłużej, niżbyśmy chcieli.

„Dlaczego uprawiamy jogę? - spytał ponownie. - Czy po to, żebyśmy stali się trochę bardziej giętki od naszych sąsiadów? Czy może dla jakiegoś wyższego celu?”

Sanskryckie słowo *joga* może być rozumiane jako „jedność”; wywodzi się ono od rdzenia *judź*, znaczącego między innymi „zaprzęgać”, „wiązać”, „nakładać jarzmo”, krótko mówiąc, podejmować zadanie z dyscypliną wołu. W jodze zadaniem jest znalezienie jedności... umysłu z ciałem, człowieka z jego Bogiem, myśli z ich źródłem, nauczyciela z uczniem, a także jedności z naszymi czasem niezbyt giętkimi sąsiadami. Na Zachodzie poznaliśmy jogę głównie za pośrednictwem słynnych ćwiczeń skręcających ciało w precel, ale to jest tylko hatha-joga, jedna gałąź tej filozofii. Starożytni wymyślili te rozciągające ćwiczenia nie dla uzyskania sprawności fizycznej, ale dla rozluźniania mięśni i oczyszczania umysłu, co służy przygotowaniu do medytacji. Ostatecznie trudno jest siedzieć nieruchomo przez wiele godzin, jeśli boli cię biodro i przeszkadza ci kontemplować swoją wewnętrzną boskość.

Joga może również oznaczać próbę odnalezienia Boga przez medytację, nauki, przez zachowanie milczenia, nabożeństwa albo przez powtarzanie mantry - świętych słów w sanskrycie. Choć niektóre z tych praktyk mogą mieć hinduistyczne pochodzenie, joga nie jest tożsama z hinduizmem, podobnie jak nie wszyscy hindusi są joginami. Prawdziwa joga z niczym nie rywalizuje i nie wyklucza innych religii. Można stosować jogę - jako ćwiczenia w

osiąganiu świętej jedności - żeby zbliżyć się do Kryszny, Jezusa, Mahometa, Buddy czy Jehowy. W czasie pobytu w aśramie spotkałam wiernych, którzy byli praktykującymi chrześcijanami, żydami, buddystami, hinduistami, a nawet muzułmanami. Spotkałam też takich, którzy woleli w ogóle nie mówić o swojej religijnej przynależności, za co w naszym kłótliwym świecie trudno ich potępić.

Podążając ścieżką jogi, pozbywamy się tych defektów ludzkiej kondycji, które, upraszczając sprawę, mogę nazwać bolesną nieumiejętnością podtrzymywania stanu zadowolenia. Różne szkoły filozoficzne na przestrzeni stuleci znalazły rozmaite wyjaśnienia dla tej najwyraźniej wrodzonej ludzkiej niedoskonałości. Taoiści zwą ją nierównowagą, buddyści niewiedzą, islam naszą niedolę tłumaczy buntem przeciwko Bogu, a tradycja judeochrześcijańska wszystkie nasze cierpienia wywodzi od grzechu pierworodnego. Freudyści utrzymują, że czujemy się nieszczęśliwi w wyniku nieuchronnego zderzenia naturalnych popędów z wymogami cywilizacji. (Jak wyjaśnia to moja przyjaciółka Deborah: „Pożądanie to błąd w projekcie”). Jogini mówią natomiast, że niezadowolenie jest prostym przypadkiem pomyłonej tożsamości. Czujemy się nieszczęśliwi, ponieważ sądzimy, że nie jesteśmy niczym więcej jak odrębnymi osobami, pozostawionymi samym sobie z naszymi lękami, wadami, urazami i z naszą śmiertelnością. Mylimy się, uważając, że cała nasza natura to jedynie ograniczone małe ego. Nie potrafiliśmy odnaleźć w sobie głębszego, boskiego aspektu. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że gdzieś we wnętrzu nas wszystkich istnieje jakieś najwyższe Ja, pozostające w stanie nieustannego spokoju. To najwyższe Ja stanowi naszą prawdziwą tożsamość, uniwersalną i boską. Dopóki nie zdamy sobie z tego sprawy, głoszą jogini, będziemy żyć w rozpacz, co bardzo ładnie wyraził w rzuconym z irytacją zdaniu grecki stoik Epiktet: „Nosisz Boga w sobie, nieszczęśniku, i nawet o tym nie wiesz”.

Joga to wysiłek podjęty w celu osobistego doświadczenia własnej boskości, a potem trzymanie się tego przeżycia już zawsze. Joga to panowanie nad sobą i usilne odwracanie własnej uwagi od nieustannego rozpatrywania przeszłości, od ciągłego zamartwiania się o przyszłość, a skupienie się na znalezieniu sobie miejsca wiecznej obecności, z którego możemy niewzruszenie spoglądać na siebie i swoje otoczenie. Jedynie osiągnąwszy taki spokój umysłu, będziemy w stanie dostrzec prawdziwą naturę świata (i własną). Prawdziwi jogini ze swojego miejsca równowagi widzą cały ten świat jako wielość równorzędnych przejawów twórczej energii Boga - mężczyźni, kobiety, dzieci, buraki, pluskwy, koralowce: wszystko to jest Bogiem w przebraniu. Jogini wierzą jednak, że życie człowieka daje szczególne możliwości, bo tylko w postaci ludzkiej i tylko z ludzkim umysłem może dojść

kiedykolwiek do uświadomienia sobie Boga. Burak, pluskwy, koralowiec... one nigdy nie będą miały szansy dowiedzieć się, kim tak naprawdę są. My tę szansę mamy.

Jak napisał święty Augustyn - całkiem zresztą jologicznie - musimy oczyścić „oko serca, jeżeli chcemy widzieć Boga”.

Jak wszystkie koncepcje filozoficzne, ta też łatwa jest do zrozumienia, ale niemożliwa do wchłonięcia. W porządku... więc wszyscy jesteśmy jednością i boskość jednakowo w nas mieszka. Żadnych problemów. Jasne i zrozumiałe. Spróbujmy jednak zacząć żyć od tego miejsca. Spróbujmy praktykować tę ideę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie jest to takie łatwe. Dlatego w Indiach uważa się za oczywiste, że do jogi potrzebujemy nauczyciela. Jeśli człowiek nie urodził się jako jeden z tych rzadkich jaśniejących świętych, którzy pojawiają się na tym świecie całkowicie spełnieni, będzie potrzebował przewodnika w wędrówce ku oświeceniu. Jeśli mamy szczęście, znajdziemy żywego guru. Po to właśnie od stuleci przybywają do Indii pielgrzymi. Aleksander Wielki w czwartym wieku przed naszą erą wysłał do Indii swego człowieka, aby sprowadził na jego dwór jednego ze sławnych joginów. (Wysłannik znalazł jogina, ale nie potrafił przekonać go do podróży.). W pierwszym wieku naszej ery Apolloniusz z Tiany, inny grecki wysłannik, pisał o swojej podróży przez Indie: „Widziałem indyjskich braminów jednocześnie żyjących i nieżyjących na tej ziemi, wzmocnionych bez żadnych umocnień i nie mających niczego, a jednocześnie posiadających bogactwo wszystkich ludzi”. Sam Gandhi zawsze chciał się uczyć pod kierunkiem jakiegoś guru, lecz niestety nie miał ani czasu, ani okazji, by go znaleźć.

„Myślę, że jest wiele prawdy - napisał - w teorii głoszącej, że prawdziwej wiedzy bez guru osiąść nie można”.

Wielkim joginem jest każdy, kto osiągnął trwały stan oświeconej błogości. Guru zaś to wielki jogin, który potrafi przekazać ten stan innym. Słowo *guru* złożone jest z dwóch sanskryckich sylab. Pierwsza oznacza „ciemność”, druga „światło”. Z ciemności w światło. To, co przechodzi od mistrza do ucznia, zwie się *mantrawirja*: „Moc oświeconej świadomości”. Zatem przychodzi się do swojego guru nie tylko po naukę, jak do każdego nauczyciela, ale i po to, by otrzymać jego stan łaski.

Takie przenoszenie łaski może się zdarzyć nawet podczas najbardziej przelotnych spotkań z wielką osobą. Kiedyś w Nowym Jorku wybrałam się na spotkanie z wietnamskim mnichem, poetą i mediatorem Thich Nhat Hanhem. Tłumy przeciskały się do sali i tam połączone napięcie wszystkich obecnych wytworzyło nerwową atmosferę pośpiechu. Wreszcie na podwyższeniu pojawił się mnich. Usiadł i zastygł w bezruchu i wtedy dosłownie czuło się, jak zebrani w sali nowojorczyki rząd za rządem ulegają jego spokojowi. Wkrótce

było cicho jak makiem zasiał. W ciągu zaledwie dziesięciu minut ten drobny Wietnamczyk wciągnął każdego z nas w swoją ciszę. A może, mówiąc precyzyjniej, wciągnął nas w n a s z ą ciszę, w ten spokój, który z natury ma każdy z nas, a którego nawet nie próbowaliśmy odkryć ani przywołać. Jego zdolność do wydobycia tego stanu z każdego z nas wyłącznie za sprawą swojej obecności w tej sali... to jest boska moc. I dlatego właśnie przychodzimy do guru: z nadzieją, że przymioty naszego mistrza odkryją nam naszą własną ukrytą wielkość.

Klasyczni hinduistyczni mędrcy napisali, że istnieją trzy czynniki, które pozwalają stwierdzić, czy dusza została obdarowana najbardziej obiecującą pomyślnością we wszechświecie. Trzeba:

1. Urodzić się istotą ludzką, zdolną do świadomych poszukiwań.
2. Posiadać wrodzone lub wyrobione pragnienie zrozumienia natury wszechświata.
3. Znaleźć przewodnika duchowego.

Istnieje teoria, że jeśli wystarczająco szczerze pragnie się guru, to się go znajdzie. Wszechświat ulegnie przesunięciu, przeorganizują się cząsteczki przeznaczenia i wkrótce twoja ścieżka przetnie się ze ścieżką mistrza, którego potrzebujesz. Zaledwie miesiąc po tej pamiętnej nocy mojej pierwszej modlitwy, kiedy zalewając się łzami w łazience, błagałam Boga o odpowiedzi, znalazłam przewodnika. Wystarczyło wejść do mieszkania Davida i spojrzeć na fotografię tej przepięknej Hinduski. Oczywiście miałam mieszane uczucia, jeśli chodzi o samą ideę posiadania guru. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie Zachodu nie są oswojeni z tym słowem. Znamy je od niedawna, i to dość pobieżnie. W latach siedemdziesiątych pewna liczba zamożnych, gorliwych, wrażliwych młodych poszukiwaczy z Zachodu zetknęła się z garstką charyzmatycznych, ale podejrzanych indyjskich guru. Teraz ówczesny zamęt się uspokoił, ale echo zawiedzionego zaufania wciąż pobrzmiwa. Nawet ja, po całym tym czasie, jeszcze się wzbraniam przed użyciem słowa *guru*. Dla moich przyjaciół w Indiach taki problem nie istnieje; znają pojęcie guru od dziecka, jest ono dla nich oczywiste. Jak powiedziała mi pewna młoda Hinduska: „Każdy w Indiach prawie ma jakiegoś guru!”

Wiem, co chciała powiedzieć (prawie każdy w Indiach ma jakiegoś guru), ale odnoszę się tutaj do jej niezamierzonego stwierdzenia, bo czasami właśnie tak to odczuwam... jakbym prawie miała jakiegoś guru. Czasami nie potrafię tego przyznać, ponieważ dziedzictwem kulturowym każdej porządnej kobiety z Nowej Anglii są sceptycyzm i pragmatyzm. W każdym razie nigdy świadomie nie poszukiwałam guru. Ona się po prostu zjawiała. A kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz, zdawało mi się, że patrzy na mnie z fotografii - te ciemne oczy płonęły pełnym zrozumienia współodczuwaniem - i mówi do mnie: „Wzywałaś mnie i oto jestem. Chcesz więc tego czy nie?”

Pomijając wyrażany żartobliwie niepokój oraz zakłopotanie związane z zetknięciem dwóch różnych kultur, muszę zawsze pamiętać, co wtedy odpowiedziałam: było to jednoznaczne i zdecydowane TAK.

39

Jedną z moich pierwszych współlokatorek w aśramie była Afroamerykanka w średnim wieku, pobożna baptystka i instruktorka medytacji z Karoliny Południowej. Potem, w miarę upływu czasu, wśród moich współlokatorek były też argentyńska tancerka, szwajcarska homeopatka, meksykańska sekretarka, australijska matka pięciorga dzieci, młoda programistka komputerowa z Bangladeszu, pediatra z Maine i księgowa z Filipin. Przyjeżdżały i wyjeżdżały również inne kobiety.

Ta aśrama nie jest miejscem, do którego można wpaść z wizytą. Przede wszystkim niełatwo do niej dotrzeć. Znajduje się daleko od Bombaju, przy drodze gruntowej, w dolinie rzeki, w pobliżu malowniczej nędznej wioseczki (jedna ulica, jedna świątynia, kilka sklepików oraz wędrujące swobodnie krowy, które czasami odwiedzają warsztat krawiecki i tam się kładą). Pewnego wieczoru zobaczyłam gołą sześćdziesięciową żarówkę zwisającą na drucie z drzewa stojącego pośrodku wioski; to ich jedyna latarnia uliczna. Aśrama jest dumą wioski, na niej opiera się cała okoliczna gospodarka. Poza murami aśramy są tylko kurz i bieda. Wewnątrz znajdują się nawodnione ogrody z klombami, kwitnącymi orchideami, ptaki śpiewają pośród drzew mangowych, chlebowców, nerkowców, palm, magnolii, banianów. Budynki są ładne, choć niezbyt okazałe. Jadalnia jest prosta jak stołówka. Biblioteka zawiera duży zbiór literatury na tematy związane z głównymi religiami świata. Jest kilka świątyń, dla różnego rodzaju zgromadzeń. Są dwie „groty” medytacyjne - ciemne i ciche, podziemne pomieszczenia, wyłożone miękkimi poduszkami, otwarte dzień i noc wyłącznie dla celów medytacyjnych. Na dworze jest kryty pawilon, gdzie rano odbywają się zajęcia z jogi, oraz coś w rodzaju parku z biegnącą po łuku ścieżką, gdzie dla utrzymania kondycji uczniowie mogą uprawiać jogging. Śpię w betonowym dormitorium.

Podczas mojego pobytu w aśramie nigdy nie przebywało tam jednocześnie więcej niż kilkaset osób. Jeśli sama guru była na miejscu, liczba ta rosła znacząco, ale kiedy ja tam przebywałam, nie było jej w Indiach. Właściwie tego się spodziewałam; ostatnio spędzała

mnóstwo czasu w Ameryce, ale nigdy nie było pewności, czy się niespodziewanie nie pojawi. Fizyczna obecność guru nie jest niezbędną do tego, by zostać jej uczniem. Istnieje oczywiście niepowtarzalny stan euforii, którego człowiek doświadcza, kiedy znajduje się w pobliżu mistrza jogi, i ja już tego kiedyś doświadczyłam. Wielu jednakże przyznaje, że może to rozproszyć uwagę... jeśli się nie zachowa ostrożności, można dać się wciągnąć w tę atmosferę ekscytacji, jaka otacza guru, i zapomnieć o swoich prawdziwych zamierzeniach. Jeśli natomiast udamy się do jednej z jej aśram i narzucimy sobie dyscyplinę, stosując się do surowego harmonogramu ćwiczeń, możemy stwierdzić, że łatwiej porozumieć się z naszą nauczycielką z głębi indywidualnej medytacji, niż przepychając się przez tłum gorliwych uczniów, żeby się do niej odezwać.

W aśramie jest kilka osób płatnego personelu, większość prac jednak wykonują sami uczniowie. Zatrudniona jest tu także grupka wieśniaków z tej najbliższej wioski. Są też tacy, którzy pochodzą z wioski, ale zostali uczniami guru i zamieszkali tutaj. Jeden kilkunastoletni Hindus szczególnie mnie zafascynował. Roztaczał jakąś przykuwającą uwagę (wybaczcie mi to słowo...). a ure. Przede wszystkim był niewiarygodnie chudy (choć to tutaj dość powszechny widok; jeśli jest na świecie coś chudszego od indyjskiego nastolatka, to bałabym się to zobaczyć). Ubrał się tak, jak moi interesujący się komputerami szkolni koledzy ubierali się kiedyś na koncerty swoich ulubionych kapel - ciemne spodnie i wyprasowana, zapinana na guziki biała koszula. Jego cienka, patykowata szyja sterczała z kołnierzyka o wiele za dużej koszuli jak pojedyncza stokrotka z ogromnej donicy. Włosy przyczesał na mokro. Nosił pasek po kimś starszym, bo owijał się nim chyba dwukrotnie. Codziennie wyglądał tak samo. Zorientowałam się, że to jego jedyne ubranie. Na pewno co wieczór prał ręcznie tę koszulę i prasował ją rano. (Choć trzeba zauważyć, że powszechnie poświęca się tu dużą uwagę przyzwoitemu strojowi; indyjscy chłopcy w nakrochmalonych koszulach szybko zmusili mnie, bym ze wstydem zamieniła swoje wymyślne sukienki w stylu ludowym na porządniejszy, skromniejszy ubiór.). Co więc takiego było w tym chłopcu? Dlaczego byłam tak poruszona za każdym razem, kiedy widziałam jego twarz... twarz tak rozświetloną, że robiła wrażenie, jakby jej właściciel wrócił właśnie z długich wakacji na Drodze Mlecznej? Wreszcie spytałam inną indyjską nastolatkę, kim on jest. Odpowiedziała rzeczowo: „To syn sklepikarzy z wioski. Są bardzo biedni. Guru zaprosiła go tutaj. Kiedy gra na tablach, można usłyszeć głos Boga”.

Jest taka świątynia w aśramie, która jest otwarta dla wszystkich, i wielu Hindusów przychodzi tu przez cały dzień, by oddawać cześć posągowi Siddha Yogi (albo „doskonałemu mistrzowi”), który ustanowił tę tradycję nauczania jeszcze w latach dwudziestych i ciągle jest

czczony w Indiach jako wielki święty. Reszta aśramy jest wyłącznie dla uczniów. Nie jest to hotel ani żadna turystyczna atrakcja. Raczej coś w rodzaju uczelni. Trzeba się starać o przyjęcie i wykazać, że poważnie i przez dłuższy czas uprawiało się jogę. Najkrótszy pobyt trwa miesiąc. (Ja postanowiłam spędzić tu sześć tygodni, a potem odbyć samotną podróż po Indiach, by odkryć inne świątynie, aśramy i miejsca kultu religijnego.).

Uczniowie dzielą się niemal po równo na Hindusów i ludzi Zachodu (a ci z Zachodu też prawie równo na Amerykanów i Europejczyków). Zajęcia są prowadzone zarówno w hindi, jak i po angielsku. Do zgłoszenia należy dołączyć napisany własnoręcznie esej, referencje, należy też odpowiedzieć na pytania dotyczące zdrowia psychicznego i fizycznego, podać informacje o ewentualnym nadużywaniu alkoholu czy narkotyków, a także o sytuacji materialnej. Guru nie życzy sobie, żeby ludzie wykorzystywali jej aśramę jako ucieczkę od bałaganu, jakiego narobili w swoim życiu; to nie przyniosłoby nikomu pożytku. Uważa też, że jeśli rodzina i bliskie osoby z jakiegoś powodu są zdecydowanie przeciwne naszemu pomysłowi podążenia za guru i zamieszkania w aśramie, to nie należy, wręcz nie warto tego robić. W takiej sytuacji trzeba zostać w domu, w swoim normalnym życiu, i być porządnym człowiekiem. Nie ma powodu, by zachowywać się w tej sprawie przesadnie dramatycznie.

Niezwykła rzeczowość i wrażliwość tej kobiety zawsze są dla mnie krzepiące.

Zatem aby się tu zatrzymać, musisz zademonstrować, że ty też jesteś wrażliwą i rzeczową istotą ludzką. Musisz pokazać, że potrafisz pracować, bo oczekuje się, że wniesiesz swój codzienny wkład w funkcjonowanie tego miejsca, odpracowując mniej więcej pięć godzin *sewa*, czyli „bezinteresownej służby”. Jeśli w ciągu ostatnich sześciu miesięcy miałeś jakieś traumatyczne przeżycia (rozwód, śmierć w rodzinie), zarząd aśramy prosi, żebyś przełożył swoją wizytę. Może się bowiem zdarzyć, że nie będziesz jeszcze gotowy, by w pełni skoncentrować się na zajęciach, a jeśli dojdzie do tego jakieś nagłe złamanie, to tylko zakłócisz spokój innym uczniom. Ja sama dopiero co odcięłam się od przeżyć związanych z rozwodem. I kiedy pomyślę o psychicznej udźęcie, przez jaką przeszłam, kiedy rzuciłam moje małżeństwo, nie mam wątpliwości, że byłoby to ogromnym obciążeniem dla wszystkich w aśramie, gdybym przyjechała tutaj w tamtym okresie. O wiele lepiej było odpocząć we Włoszech, odzyskać siły i zdrowie i dopiero potem pojawić się tutaj. Teraz ta siła bardzo mi się przyda.

Chcą, żebyś przyjeżdżał tutaj w pełni sił, ponieważ życie w aśramie wiąże się z dużą dyscypliną. Nie tylko ciała (dzień zaczyna się o trzeciej rano i kończy o dziewiątej wieczorem), ale również psychiki. Spędzasz długie godziny na medytacji i kontemplacji, zdany tylko na własny umysł. Mieszkasz z nieznanymi w indyjskiej głuszy. Są tu owady,

węże i szczury. Pogoda jest niezwykle kapryśna - czasem leje całymi tygodniami, czasem już przed śniadaniem temperatura sięga trzydziestu kilku stopni. Tutaj sprawy mogą przybrać bardzo rzeczywistą formę, i to bardzo szybko.

Moja guru zawsze powtarza, że kiedy przybędziesz do aśramy, wydarzy się tylko jedno: odkryjesz, kim naprawdę jesteś. Zatem jeśli już tkwisz na krawędzi szaleństwa, to lepiej w ogóle tu nie przyjeżdżaj, ponieważ - mówiąc szczerze - nikt nie ma ochoty wynosić cię stąd z drewnianą łyżką wciśniętą między zęby.

40

Mój przyjazd zbiega się miło z nadejściem nowego roku. Mam zaledwie jeden dzień, żeby przestawić się na aśramę, i już jest sylwester. Po kolacji mały dziedziniec zaczyna zapełniać się ludźmi. Wszyscy siadamy na ziemi... jedni na chłodnej marmurowej posadzce, inni na matach z trawy. Wszystkie indyjskie kobiety wystrojone są jak do ślubu. Ciemne błyszczące włosy splotły w opadające na plecy warkoczki. Mają na sobie najlepsze jedwabne sari, na rękach złote bransolety, u każdej pośrodku czoła tkwi ozdobione klejnotami *bindi*, będące jakby słabym odbiciem światła gwiazd nad naszymi głowami. W planie jest wspólne zawodzenie aż do północy, do nadejścia nowego roku.

Zawodzenie nie jest odpowiednim słowem na określenie czegoś, co kocham. Dla mnie zawodzenie to coś żałośnie monotonnego, jak śpiewy druidów wokół ofiarnego ognia. Ale kiedy zawodzimy tutaj, w aśramie, przypomina to chóry anielskie. Nasz śpiew przybiera formę wezwania i odpowiedzi. Garstka młodych mężczyzn i kobiet z najpiękniejszymi głosami intonuje jedną melodyjną frazę, a reszta ją powtarza. Jest to ćwiczenie umiejętności skupienia... staramy się utrzymać uwagę na tym, jak postępuje melodia, i zlać nasze głosy z głosami sąsiadów, żeby w rezultacie śpiewać jak jeden człowiek. Odczuwam skutki długiej podróży samolotem i boję się, że nie dotrzmam do północy, nie mówiąc już o wykrzesaniu z siebie energii do śpiewu. Ten muzyczny wieczór zaczyna się dochodzącym z cienia dźwiękiem skrzypiec powtarzających jedną przeciągłą, tęskną nutę. Potem włącza się fisharmonia, następnie powolne table, wreszcie ludzkie głosy...

Jestem z tyłu dziedzińca ze wszystkimi matkami, Hinduskami; dla nich siedzenie po turecku jest całkiem naturalne, śpiące dzieci okrywają ich kolana jak małe pledy. Dzisiejsze

zawodzenie jest kołysanką, lamentem, próbą okazania wdzięczności, na co wskazuje melodia *raga*, wyrażająca współczucie i oddanie. Śpiewamy w sanskrycie, jak zawsze (ten język starożytnych Indii teraz używany jest jedynie w modlitwach i studiach religijnych), a ja staram się być wokalnym lustrem dla prowadzących śpiewaków: odbijam modulacje ich głosów jak promyki błękitnego światła. Przekazują mi święte słowa, ja zatrzymuję je na chwilę, po czym oddaję im z powrotem - w taki sposób możemy śpiewać i śpiewać bez zmęczenia całą wieczność. Kołysujemy się w ciemności nocy niczym wodorosty wśród prądów mrocznych głębin oceanu. Dzieci wokół mnie są owinięte w jedwab jak podarki.

Jestem taka zmęczona, ale trzymam się błękitnego promyka pieśni i popadam w stan przypominający sen, w którym wołam imię Boże, a może tylko spadam w studnię wszechświata. Około wpół do dwunastej orkiestra ożywiła tempo i śpiew stał się czystą radością. Pięknie odziane kobiety w pobrzękujących bransoletach klaszczą i tańczą, są jak żywe tamburyny. Table biją rytmicznie, podniecająco. Minuty mijają, a mnie się wydaje, że wszyscy razem przyciągamy do siebie rok 2004. Jakbyśmy pochwycili go liną naszej muzyki, a teraz ciągnęli poprzez nocne niebo jak wielką rybacką sieć, wypełnioną naszymi nieznanymi przeszłymi losami. Ta sieć jest taka ciężka; dźwiga wszystkie narodziny, śmierci, tragedie, wojny, historie miłosne, wynalazki, przemiany i kataklizmy, które są naszym przeznaczeniem w nadchodzącym roku. Śpiewamy i ciągniemy, kawałek za kawałkiem, minuta po minucie, głos za głosem, bliżej i coraz bliżej. Sekundy dzielą nas od północy, a nasz śpiew osiąga apogeum i wraz z tym ostatnim wysiłkiem narzucamy wreszcie sieć Nowego Roku na siebie, kryjąc pod nią także niebo. Bóg jeden wie, co ten rok ze sobą niesie, my wiemy tylko, że jest już tutaj i ogarnia nas wszystkich.

To mój pierwszy Nowy Rok, którego nadejście świętuję wśród nieznanych mi ludzi. Mimo tych śpiewów i tańców nie mam kogo uściskać o północy. Nie mogłabym jednak powiedzieć, żeby cokolwiek tej nocy nasuwało myśl o samotności.

Nie, w żadnym razie nie mogłabym tego powiedzieć.

Wszyscy tutaj mamy przydzieloną jakąś pracę. Moją jest szorowanie posadzek w świątyniach. Tam właśnie można mnie znaleźć przez kilka godzin dziennie - na kolanach, na zimnym

marmurze, ze szczotką i wiadrem, tyram jak przyrodnia siostra z bajek. (A przy okazji jestem świadoma tej metafory - szorowanie do czysta świątyni, która jest moim sercem, polerowanie własnej duszy, ten codzienny przyziemny wysiłek, który jest potrzebny przy duchowych ćwiczeniach, żeby się oczyścić itd., itp.).

Podłogi szorują ze mną głównie indyjskie nastolatki. Zawsze powierzają im to zajęcie, bo wymaga dużej siły fizycznej, ale niewielkiej odpowiedzialności; nie można wyrządzić zbyt wielu szkód, jeśli wykona się to zadanie niedokładnie. Lubię ich. Te dziewczęta to trzepoczące motylki, które wydają się o tyle młodsze od osiemnastoletnich Amerykanek, a chłopcy to poważni mali autokraci, którzy robią wrażenie o wiele starszych od osiemnastoletnich Amerykanów. W świątyniach w zasadzie nie wolno rozmawiać, ale to przecież jeszcze dzieci, więc podczas pracy słychać nieustanną paplaninę. Nie są to jedynie plotki. Jeden z chłopców, który szoruje posadzkę obok mnie, robi mi gorliwie wykłady na temat tego, w jaki sposób mogę najlepiej wykonywać tutaj moją pracę: „Traktuj poważnie.

Rób punktualnie. Bądź spokojna i prosta. Pamiętaj... wszystko, co robisz, robisz dla Boga. I wszystko, co robi Bóg, On robi dla ciebie”.

To ciężka fizyczna praca, ale ten codzienny czas pracy jest zdecydowanie łatwiejszy niż codzienny czas medytacji. Chodzi o to, że chyba nie jestem dobra w medytowaniu. Wiem, że wyszłam z wprawy, ale mówiąc szczerze, nigdy nie byłam w tym dobra. Wydaje mi się, że nie potrafię zapanować nad swoim umysłem. Wspomniałam o tym raz hinduskiemu mnichowi, a on powiedział: „Szkoda, że jesteś jedyną osobą w historii świata, którą dotknął ten problem”. A potem zacytował mi *Bhagawadgitę*: „Och, Kryszno, jakże niespokojny, wzburzony, silny i nieustępliwy jest umysł. Zauważam, że poskromić go równie trudno jak wiatr”.

Medytacja jest zarówno kotwicą, jak skrzydłami jogi. Medytacja jest drogą. Jest pewna różnica pomiędzy medytacją i modlitwą, choć za pomocą obydwu szukamy łączności z Bogiem. Słyszałam opinię, że modlitwa jest aktem zwracania się do Boga, podczas gdy medytacja aktem słuchania. Spróbujcie zatem zgadnąć, co mi przychodzi łatwiej. Potrafię paplać do Boga o wszystkich moich uczuciach i problemach przez cały dzień, ale kiedy przychodzi czas na milczenie i s ł u c h a n i e... cóż, to już zupełnie inna historia. Kiedy proszę swój umysł, żeby zachował całkowity spokój, zaskakująco szybko zaczyna być (1) znudzony, (2) zły, (3) przygnębiony, (4) niespokojny albo (5) wszystko to razem.

Jak większość człekokształtnych obarczona jestem tym, co buddyści zwaą „małpim umysłem” - myślami, które przeskakują z gałęzi na gałąź, zatrzymując się jedynie po to, żeby się podrapać, splunąć i zawyc. Mój umysł skacze jak szalony przez czas, od dalekiej

przeszłości do niewiadomej przyszłości, prześlizgując się po dziesiątkach spraw na minutę, wolny i niezdyscyplinowany. Samo w sobie niekoniecznie stanowi to problem; problemem jest zaangażowanie emocjonalne, które towarzyszy myśleniu. Radosne myśli czynią mnie radosną, ale - no proszę! - jakże szybko burzę ten nastrój, przeskakując w obsesyjny niepokój; a potem przypominam sobie dawną złość i od nowa zaczynam się gorączkować i wkurzać; wreszcie mój umysł postanawia, że właśnie przyszedł czas, by poużalać się nad sobą, i natychmiast przychodzi poczucie samotności. Ostatecznie jesteśmy tym, co myślimy. Nasze emocje są niewolnikami naszych myśli, a my jesteśmy niewolnikami naszych emocji.

Inny problem związany ze skakaniem przez gąszcz myśli: Nie jest się tam, gdzie się jest. Ciągłe grzebiemy się w przeszłości albo wtykamy nos w przyszłość, rzadko natomiast przebywamy w chwili obecnej. Przypomina to zwyczaj mojej kochanej przyjaciółki Susan, która za każdym razem, gdy trafia w jakieś piękne miejsce, wykrzykuje bliska paniki: „Tak tutaj pięknie! Trzeba koniecznie kiedyś tu wrócić!”, i muszę wykorzystywać wszystkie swoje umiejętności, by ją przekonać, że już tu jest. Jeśli poszukujemy jedności z Bogiem, to przeskakiwanie do przodu i do tyłu stanowi pewien problem. Jest jakiś powód, dla którego mówi się o Bogu jako o niewidzialnej, ale o b e c n e j istocie, bo On przebywa właśnie tutaj, właśnie teraz. Teraźniejszość jest jedynym miejscem, gdzie można Go znaleźć, a tym jedynym czasem jest teraz.

Pozostawanie w teraźniejszości wymaga skupienia uwagi na jednym punkcie. Różne techniki medytacyjne uczą tego w różny sposób... na przykład każąc skupiać wzrok na pojedynczym punkcie światła albo obserwować własny oddech. Moja guru uczy medytowania za pomocą mantry, świętych słów czy sylab powtarzanych w pełnym skupieniu. Mantra odgrywa dwie role. Po pierwsze zajmuje umysł. To tak jakby dać małpie stos stu tysięcy guzików i kazać jej przenieść te guziki po kolei na nowy stos - dużo łatwiej byłoby jej wykonać to zadanie, niż siedzieć bez ruchu w kącie. Po drugie, mantra przenosi nas jak łódź po wzburzonych falach umysłu w inny stan. Za każdym razem, kiedy naszą uwagę porwie przeciwny nurt myśli, należy wrócić do mantry, wdrapać się z powrotem do łodzi i płynąć dalej. Uważa się, że te wspaniałe sanskryckie mantry mają niewyobrażalną moc; jeśli się trzymać którejs z nich, można dotrzeć aż do samych brzegów boskości.

Wśród moich wielu, bardzo wielu problemów z medytacją jest i ten, że mantra, którą mi zalecono - *Om Namaha Śiwaja* - nie chce się zadomowić w mojej głowie. Uwielbiam jej brzmienie i znaczenie, ale jakoś nie wprowadza mnie ona w stan medytacji. Zawsze tak było, przez całe dwa lata moich ćwiczeń. Kiedy próbuję powtarzać w głowie *Om Namaha Śiwaja*,

mantra zaczyna mnie dławić, przygniata pierś, wywołując nerwowość. Nigdy nie udaje mi się zgrać jej sylab z oddechem.

Pewnego wieczoru pytam o to moją współlokatorkę, Corellę. Wstyd mi, co prawda, przyznać, że nie mogę się skupić na powtarzaniu mantry, ale przecież ona jest instruktorką medytacji. Może potrafi mi pomóc. Mówi mi, że jej umysł też kiedyś błędził podczas medytacji, ale że teraz to ćwiczenie jest dla niej wspaniałą, łatwą, przeobrażającą życie radością.

- Po prostu siadam i zamykam oczy - mówi. - Wystarczy, że pomyślę o mantrze, i już jestem w niebie.

Kiedy to słyszę, zalewa mnie zawiść, ale uświadamiam sobie szybko, że przecież Corella uprawia jogę prawie tyle lat, ile ja chodzę po świecie. Pytam, czy może mi pokazać, w jaki dokładnie sposób wykorzystuje *Om Namaha Śiwaja* w swoich medytacjach. Czy bierze jeden wdech na każdą sylabę? (Kiedy ja tak robię, wydaje mi się, że trwa to w nieskończoność i jest nieznośne.). A może bierze jedno słowo na jeden oddech? (Ale przecież słowa mają różną długość! Jak więc można je wyrównać?) A może mówi całą mantrę na jednym wdechu i powtarza na wydechu? (Bo kiedy ja tego próbuję, strasznie się spieszę i ogarnia mnie niepokój.).

- Nie wiem - odpowiada Corella. - Ja jakoś tak... mówię.

- Ale czy śpiewasz? - nalegam rozpaczliwie. - Nadajesz temu jakiś rytm?

- Po prostu mówię.

- Czy mogłabyś powiedzieć mi to na głos, tak jak to mówisz sobie w głowie podczas medytacji?

Traktując mnie z pobłażaniem, moja współlokatorka zamyka oczy i zaczyna mówić na głos mantrę, tak jak pojawia się ona w jej głowie. I rzeczywiście, ona ją po prostu... mówi. Mówi ją cicho, normalnie, z lekkim uśmiechem na twarzy. Powtarza ją nawet kilka razy, aż zaczynam się niecierpliwić i przerywam jej.

- I nie nudzisz się? - pytam.

- Aha... - mówi Corella i nie przestając się uśmiechać, otwiera oczy. Spogląda na zegarek. - Minęło dziesięć sekund, Liz, a ty już się nudzisz, co?

Nazajutrz przybywam punktualnie o czwartej na sesję medytacyjną, którą zawsze zaczyna się tutaj dzień. Należy siedzieć w milczeniu godzinę, ale ja odmierzam minuty, jakby były milami - sześćdziesiąt strasznych mil, które muszę jakoś przetrwać. Przy czternastej mili/minucie nerwy zaczynają mi puszczać, czuję ból w kolanach i irytację. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ rozmowa pomiędzy mną i moim umysłem podczas medytacji przebiega na ogół tak:

Ja: No dobrze, więc teraz będziemy medytować. Zwracajmy uwagę na oddech i skupmy się na mantrze. *Om Namaha Śiwaja. Om Namaha Śiwaja...*

Umysł: Wiesz, że mogę ci w tym pomóc!

Ja: To świetnie, bo potrzebna mi twoja pomoc. Zaczynamy. *Om Namaha Śiwaja, Om Namaha Śi...*

Umysł: Mogę ci pomóc myśleć o ładnych medytacyjnych obrazach. Jak... słuchaj, ten jest niezły. Wyobraź sobie, że jesteś świątynią. Świątynią na wyspie! A ta wyspa jest na morzu!

Ja: Och, to rzeczywiście ładny obrazek.

Umysł: Dzięki. Sam go wymyśliłem.

Ja: Ale jakie morze sobie tutaj wyobrażamy?

Umysł: Morze Śródziemne. Wyobraź sobie, że jesteś na jednej z tych greckich wysp, ze starą grecką świątynią. Nie, nie to, to za bardzo zalatuje turystyką. Wiesz co? Zapomnijmy o morzu. Morza są zbyt niebezpieczne. Mam lepszy pomysł... wyobraź sobie, że jesteś na wyspie na jeziorze.

Ja: Możemy już rozpocząć medytację? Proszę. *Om Namaha Śiw...*

Umysł: Tak! Jak najbardziej! Ale spróbuj nie wyobrażać sobie jeziora, którego powierzchnia roi się od... jak się to nazywa...

Ja: Skutery wodne?

Umysł: Tak. Od skuterów wodnych! One zużywają tyle paliwa! Są prawdziwym zagrożeniem dla środowiska. Wiesz, co jeszcze zużywa mnóstwo paliwa? Dmuchawy do liści. Człowiek by nie przypuszczał, a przecież...

Ja: No dobrze, ale proszę, medytujmy już. *Om Namaha...*

Umysł: Tak! Oczywiście! Wspaniale! Zdecydowanie chcę ci pomóc medytować! I dlatego daruję sobie ten obraz wyspy na jeziorze lub na morzu, bo najwyraźniej nie działa. Wyobraźmy więc sobie, że jesteś wyspą na... rzece!

Ja: Och, masz na myśli coś takiego jak wyspa Bannermanna na rzece Hudson?

Umysł: Tak! Właśnie! Idealnie. Medytujmy więc z tym obrazem... wyobraź sobie, że jesteś wyspą na rzece. Wszystkie myśli, jakie przepływają podczas medytacji, to są po prostu naturalne prądy tej rzeki i możesz je zignorować, bo jesteś wyspą.

Ja: Chwileczkę, myślałam, że powiedziałeś, że jestem świątynią.

Umysł: Zgadza się, przepraszam. Jesteś świątynią na wyspie. Właściwie jesteś zarówno świątynią, jak i wyspą.

Ja: Rzeką też jestem?

Umysł: Nie, rzeka to tylko myśli.

Ja: Przestań. Przestań, proszę! DOPROWADZASZ MNIE DO SZAŁU!!!

Umysł (zraniony): Przepraszam. Staralem się tylko pomóc.

Ja: *Om Namaha Śiwaja... Om Namaha Śiwaja... Om Namaha Śiwaja...*

Tutaj następuje obiecująca ośmiosekundowa przerwa w myśleniu. Potem jednak...

Umysł: Jesteś na mnie zła?

... a potem chwytam łapczywie powietrze, jakbym się wynurzała spod wody, i mój umysł wygrywa, otwieram oczy i rezygnuję. Ronię łzę. Aśrama ma być przecież miejscem, do którego przychodzi się, żeby pogłębić medytację, a to tutaj to istna katastrofa. Presja jest zbyt duża. Nie potrafię tego zrobić. Ale co w takim razie powinnam robić? Codziennie po czternastu minutach mam wybiegać zapłakana ze świątyni?

Tego ranka, zamiast walczyć, po prostu dałam sobie spokój. Podałam się. Oparłam się ciężko o ścianę. Bolały mnie plecy, opadłam z sił, umysł miałam roztrzępotany. Cała moja postawa zawałiła się jak zerwany most. Zdjęłam mantrę z głowy (przygniatała mnie niczym jakieś niewidzialne kowadło) i postawiłam ją obok siebie. A potem zwróciłam się do Boga: „Naprawdę mi przykro, ale dzisiaj już bardziej się do Ciebie nie zbliżę”.

Siuksowie Lakota mówią, że dziecko, które nie potrafi usiedzieć spokojnie, nie jest w pełni rozwinięte. A stary sanskrycki tekst mówi: „Po pewnych znakach można stwierdzić, czy

medytacja jest prowadzona właściwie. Jednym z nich jest ten, że ptak usiądzie na twojej głowie, myśląc, że jesteś nieruchomym przedmiotem”. Czegoś takiego nie doświadczyłam do dzisiaj. Niemniej wtedy przez jakieś czterdzieści minut starałam się zachowywać jak najspokojniej, uwięziona w tej sali, złapana w sidła własnego wstydu i nieudolności, obserwując innych wokół siebie. Siedzieli w idealnych pozycjach, z zamkniętymi oczyma, a na ich zadowolonych twarzach malował się spokój, wskazujący na to, że na pewno przenieśli się do jakiegoś idealnego nieba. Przepęłniał mnie wielki piekący smutek i miałam ochotę wybuchnąć płaczem, powstrzymywałam się jednak z całych sił, pamiętając coś, co powiedziała kiedyś moja guru... że nie należy nigdy pozwolić sobie na załamanie, bo wtedy staje się to pewną skłonnością i nieustannie powtarza. Należy zatem wyrobić w sobie siłę.

Ja jednak nie czułam się silna. Moje ciało było zgnębione własną nieprzydatnością. Zastanawiałam się, kim jest to „ja”, kiedy tak prowadzę konwersację ze swoim umysłem, i kim jest ten „umysł”. Myślałam o swoim mózgu jak o maszynerii bezustannie produkującej myśli i pożerającej duszę i zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym go opanować. Potem przypomniałam sobie zdanie ze Szczęk i nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu:

„Będzie nam potrzebna większa łódź”.

43

Pora kolacji. Siedzę samotnie i usiłuję jeść powoli. Moja guru zachęca nas do ćwiczenia dyscypliny podczas posiłków. Radzi jeść z umiarkowaniem, bez pośpiesznego przetykania, żebyśmy nie zgasili świętych ogni naszych ciał, obciążając przewód pokarmowy zbyt dużą ilością jedzenia w zbyt krótkim czasie. (Moja guru, jestem tego prawie pewna, nigdy nie była w Neapolu.). Kiedy uczniowie skarżą się, że mają problemy z medytacją, zawsze ich pyta, jak tam u nich ostatnio z trawieniem. Co tylko pokazuje, że można mieć kłopot z lekkim przejściem do transcendencji, kiedy nasze wnętrza usiłują poradzić sobie z *calzone* faszerowaną kielbasą, funtem smażonych skrzydełek kurczaka i połówką przekładanego kremem placka kokosowego. Tutaj nie podaje się takich rzeczy. Potrawy w aśramie są wegetariańskie, lekkie i zdrowe. Mimo to pyszne. Dlatego z takim trudem powstrzymuję się od rzucania się na jedzenie jak jakaś wygłodniała sierota. Na dodatek posiłki podawane są na zasadzie szwedzkiego stołu, a mnie nigdy nie było łatwo powstrzymać się od wzięcia sobie

dokładki, drugiej czy wręcz trzeciej, kiedy przed nosem pyszniły mi się smakowite, aromatyczne dania, do tego za darmo.

Siedzę więc przy stoliku zupełnie sama i staram się powstrzymać widelec, kiedy widzę, jak jakiś mężczyzna idzie z tacą w moją stronę i rozgląda się za wolnym krzesłem. Kiwam głową zapraszająco. Nie widziałam go tutaj wcześniej. Pewnie jakiś nowy. Chód ma swobodny, nieśpieszny i porusza się z pewnością szeryfa z przygranicznego miasteczka albo pokerzysty, który całe życie gra o wysokie stawki. Wygląda na pięćdziesiąt kilka lat, chodzi jednak tak, jakby żył od stuleci. Ma białe włosy i białą brodę, a na sobie kraciatą flanelową koszulę. Szerokie bary i ogromne dłonie wyglądają groźnie, ale wyraz twarzy ma niezwykle spokojny.

Siada naprzeciwko mnie i przeciągając samogłoski, w sposób typowy dla mieszkańców południowych stanów, oświadcza: „O rany! Mają tu takie wielkie moskity, że mogłyby zgwałcić kurczaka”.

Panie i panowie, przybył Richard z Teksasu.

44

Wśród wielu prac, jakich Richard z Teksasu miał się w życiu - a wiem, że nie wszystkie tutaj uwzględniam - była praca robotnika na polu naftowym; kierowcy osiemnastokołowej ciężarówki; pierwszego autoryzowanego przedstawiciela na obydwie stany Dakota firmy Birkenstocks, niemieckiego producenta obuwia; wytrząsacza worków na składowisku odpadów na Środkowym Zachodzie (przykro mi, ale szkoda chyba czasu na wyjaśnianie, co to za praca); był robotnikiem przy budowie autostrady; żołnierzem w Wietnamie; „pośrednikiem w handlu surowcami” (tymi surowcami były na ogół meksykańskie narkotyki); alkoholikiem i ćpunem (jeśli można to nazwać pracą); potem nawróconym alkoholikiem i ćpunem (o wiele bardziej szanowana profesja); farmerem w komunie hipisowskiej; lektorem w rozgłośni radiowej; i wreszcie odnoszącym sukcesy przedstawicielem handlowym producentów wysokiej klasy sprzętu medycznego (aż do rozpadu małżeństwa, kiedy przekazał cały interes byłej żonie i znowu zostało mu tylko „drapanie się po zbankrutowanym białym tyłku”). Teraz zajmuje się odnawianiem starych

domów w Austin. „Nigdy nie wciągnąłem się w żaden zawód - mówi. - Zawsze umiałem tylko kombinować”.

Richard z Teksasu nie jest facetem, który zamartwiałby się zbyt wieloma sprawami. Nie należy do osób neurotycznych, w żadnym razie. A ponieważ sama jestem nieco neurotyczna, on mnie zachwyca. Richard jednocześnie mnie rozwesela i daje wspaniałe poczucie bezpieczeństwa.

Jego ogromna, naturalna pewność siebie zagłusza moją wrodzoną nerwowość i każe mi wierzyć, że wszystko będzie dobrze. (A jeśli już nie dobrze, to przynajmniej zabawnie.). Pamiętacie Foghorna Leghorna, tego koguta z kreskówki? Cóż, Richard trochę go przypomina, a ja staję się jego gadatliwym małym kompanem, Jastrzębiem. Jak ujął to sam Richard: „Ja i Żarełko, my zawsze gotowi śmiać się w cholerę”. Żarełko.

Tak właśnie nazwał mnie Richard podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy zobaczył, ile potrafię zjeść. Próbowałam się bronić („Przecież specjalnie trzymałam zwój apetyt w ryzach!”), ale przewisko przyłgnęło.

Może i Richard z Teksasu nie wygląda na typowego zwolennika jogi. (Lepiej mnie nie pytajcie o właściciela gospodarstwa mleczarskiego z irlandzkiej wsi, którego poznałam tutaj pewnego dnia, ani o byłą zakonnice z RPA.). Richard zbliżył się do tego systemu jogi dzięki swojej byłej dziewczynie, która zabrała go samochodem z Teksasu do aśramy w Nowym Jorku, żeby mógł posłuchać naszej guru. Richard mówi: „Pomyślałem sobie, że ta aśrama to najdziwaczniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem, i zastanawiałem się, gdzie jest to pomieszczenie, w którym przekazuje się im wszystkie pieniądze i prawo własności do swojego domu i auta, ale nic takiego się nie wydarzyło...”

Po tamtym doświadczeniu sprzed dziesięciu lat Richard zauważył, że ciągle się modli. Jego modlitwa zawsze była taka sama. Bezustannie błagał Boga: „Proszę, proszę, otwórz moje serce, proszę”. Tylko tego chciał... otwartego serca. I zawsze kończył tę swoją modlitwę: „I proszę, daj mi znak, kiedy tak się stanie”. Teraz, przypominając sobie tamten czas, mówi: „Uważaj, o co się modlisz, Żarełko, bo może się zdarzyć, że to otrzymasz”. Jak sądzicie, co dostał Richard po kilku miesiącach próśb o otwarte serce? Zgadza się... operację na otwartym sercu w trybie nagłym. Jego klatka piersiowa została dosłownie rozłamana, żebra się rozstały, by wpuścić wreszcie trochę dziennego światła do jego serca, jakby Bóg chciał powiedzieć: „Jak ci się podoba taki znak?” Więc teraz Richard jest w swoich modlitwach ostrożny. „Kiedy obecnie modlę się o cokolwiek - mówi - zawsze kończę modlitwę tak: Aha i jeszcze jedno, Boże. Obchodź się ze mną łagodnie, dobrze?”

- Co powinnam zrobić z moimi medytacjami? - pytam Richarda któregoś dnia, kiedy przygląda się, jak szoruję posadzkę w świątyni. (Ma szczęście... pracuje w kuchni, nawet nie musi się tam pojawiać wcześniej niż na godzinę przed kolacją. Ale lubi się przyglądać, jak ja szoruję podłogi. Śmieszny go to.)

- A dlaczego miałabyś cokolwiek z nimi robić, Żarełko?

- Bo są beznadziejne.

- Niby dlaczego?

- Nie potrafię utrzymać umysłu w spokoju.

- Nie zapominaj, czego uczy nas guru... jeśli siadasz z czystym zamiarem, żeby medytować, to, co wydarza się potem, nie jest już twoją sprawą. Dlaczego więc osądzasz swoje doświadczenie?

- Ponieważ n i e m o ż e być celem jogi to, co się dzieje podczas moich medytacji.

- Żarełko, dziecino... ty nie masz najmniejszego pojęcia, co się dzieje.

- Nigdy nie mam wizji, żadnych transcendentnych przeżyć...

- Chcesz oglądać piękne kolorki? Czy może chcesz poznać prawdę o sobie? O co ci chodzi?

- Wydaje mi się, że próbując medytować, tylko się ze sobą spieram.

- To tylko twoje ego, które próbuje się upewnić, że wciąż rządzi. Tak właśnie robi nasze ego. Odgradza cię, daje ci poczucie dwoistości, próbuje cię przekonać, że masz mnóstwo wad, że jesteś samotna i rozbita, zamiast być jedną całością.

- I niby jak ma mi to służyć?

- To ci nie służy. Zadaniem ego nie jest służenie tobie. Ono dąży tylko do utrzymania władzy. A teraz twoje ego jest śmiertelnie przerażone, bo lada moment ma zostać pomniejszone. Jeśli wytrwasz na swojej duchowej ścieżce, dziecinko, to dni tego niegrzecznego chłopca będą policzone. Już wkrótce twoje ego pozostanie bez zajęcia, a wszystkie decyzje będzie podejmowało twoje serce. Więc ego walczy o przetrwanie, gra twoim umysłem, próbuje zapewnić sobie panowanie, usiłuje przytrzymać cię w kąciku, w zagrodzie, z dala od reszty wszechświata. Nie słuchaj go.

- Jak go nie słuchać?

- Próbowalaś kiedyś odebrać zabawkę małemu dziecku? One tego nie lubią, prawda? Zaczynają kopać i wrzeszczeć. Najlepszy sposób na odebranie takiemu zabawki to odwrócić jego uwagę, dać mu coś innego do zabawy. Zamiast na siłę wyciągać myśli ze swojego umysłu, daj mu coś lepszego do zabawy. Coś zdrowszego.

- Na przykład co?

- Na przykład miłość, Żarełko. Na przykład czystą, boską miłość.

45

Codziennie medytowanie w grocie ma być czasem obcowania z Bogiem, ale ja ostatnio chodziłam tam, wzdrygając się tak jak moja suczka, kiedy wprowadzałam ją do gabinetu weterynarza (wiedziała, że nieważne jak bardzo wszyscy są mili, cała rzecz i tak zakończy się jakimś przykrym ukłuciem). Jednak rankiem po ostatniej rozmowie z Richardem próbuję nowego podejścia. Siadam do medytacji i oświadczam swojemu umysłowi: „Słuchaj... rozumiem, że jesteś nieco przerażony. Ale daję słowo, nie próbuję cię unicestwić. Staram się tylko znaleźć ci miejsce do odpoczynku. Kocham cię”.

Któregoś dnia pewien mnich powiedział mi: „Miejscem odpoczynku dla umysłu jest serce. Przez cały dzień umysł słyszy bicie dzwonów i hałas, i kłótnię i w końcu pragnie tylko spokoju. A jedynym miejscem, gdzie umysł może odnaleźć spokój, jest cisza panująca w sercu. Tam właśnie musisz się udać”.

Poza tym wypróbuję inną mantrę. Taką, z którą udało mi się kiedyś w przeszłości. Jest prosta, ma tylko dwie sylaby. *Ham-sa*.

W sanskrycie znaczy to „Jestem Tym”.

Jogini mówią, że *Ham-sa* jest najbardziej naturalną mantrą, tą, którą wszyscy otrzymujemy od Boga przed urodzeniem. Jest to dźwięk naszego oddechu. *Ham* przy wdechu, *sa* przy wydechu. (A przy okazji, *ham* wymawia się delikatnie, przedłużając a, *haaam*. I *sa* rymuje się z „Aaa... „) Dopóki żyjemy, z każdym naszym oddechem powtarzamy tę mantrę. Jestem Tym. Jestem boży, jestem z Bogiem, jestem wyrazem Boga, nie jestem oddzielony, nie jestem samotny, nie jestem ograniczoną iluzją jednostki ludzkiej. Mantra *Ham-sa* zawsze była dla mnie łatwa i odprężająca. Łatwiej było z nią medytować niż z *Om Namaha Śiwaja*, z tą - jak można powiedzieć - „oficjalną” mantrą tej odmiany jogi. Mnich poradził mi, żebym używała *Ham-sa*, jeśli pomaga mi ona w medytacji. Powiedział: „Medytuj, opierając się na tym, co działa na twój umysł”.

Więc dzisiaj będę siedziała tu z nią.

Ham-sa.

Ja jestem Tym.

Myśli przychodzą, ale nie zwracam na nie szczególnej uwagi, przemawiam do nich tylko niemal jak matka: „Och, znam was, wy żartownisie... idźcie teraz na dwór się pobawić... mamusia właśnie słucha Boga”.

Ham-sa.

Ja jestem Tym.

Zasypiam na chwilę. (Chyba. W medytacji nie można być tak do końca pewnym, czy to, co uważasz za sen, jest nim rzeczywiście, czy to tylko inny poziom świadomości.). Kiedy się budzę, chyba, czuję, jak ta łagodnie pulsująca błękitna energia przepływa przez moje ciało, fala za falą. To nieco niepokojące, ale też zadziwiające. Nie wiem, co robić, więc po prostu przemawiam do tej energii. Mówię jej: „Wierzę w ciebie”, a ona w reakcji na moje słowa rośnie, olbrzymieje. Jest teraz przerażająco potężna, zupełnie jakby zajęła wszystkie moje zmysły. Bucząc, posuwa się od podstawy kręgosłupa w górę. Moja szyja ma ochotę rozciągnąć się i skrócić, więc jej na to pozwalam i w rezultacie siedzę tam w najdziwniejszej pozycji - wyprostowana jak porządny jogin, z lewym uchem przyciśniętym mocno do lewego barku. Nie wiem, dlaczego głowa i szyja chcą to robić, ale nie zamierzam się z nimi spierać, są bardzo stanowcze. Bucząca błękitna energia rozpycha się w moim ciele, a ja słyszę jakieś dudnienie i teraz ona jest tak potężna, że dłużej już nie potrafię sobie z nią poradzić. Tak mnie przeraża, że mówię do niej: „Jeszcze nie jestem gotowa!”, i otwieram oczy. Wszystko znika. Znow jestem w grocie, znow w swoim otoczeniu. Patrzę na zegarek. Byłam tutaj - albo gdzie indziej - niemal godzinę. Dyszę, ciężko dyszę.

46

Żeby zrozumieć, czym było tamto doświadczenie w tamtym wnętrzu (mam na myśli zarówno „w grocie medytacyjnej”, jak „we mnie”), należy podjąć temat raczej ezoterycznej i nieopanowanej natury... mianowicie *kundalini śakti*.

Każda religia na świecie miała i ma pewną grupę wyznawców, którzy poszukują bezpośredniego, transcendentnego doświadczenia Boga, porzucając studiowanie pism i dogmatów na rzecz osobistego spotkania z boskością. Co ciekawe, kiedy ci mistycy opisują własne przeżycia, wszystkie wyglądają tak samo. Na ogół ich zjednoczenie z Bogiem

zachodzi w stanie medytacji, za sprawą jakiegoś źródła energii, które wypełnia całe ciało zachwycającym światłem elektrycznym. Japończycy nazywają tę energię *ki*, chińscy buddyści *chi*, mieszkańcy Bali nazywają ją *taksu*, chrześcijanie Duchem Świętym, Buszmeni z pustyni Kalahari *n/um* (ich święci mężowie opisują ją jako moc wężową, która wspina się po kręgosłupie i wybija w głowie dziurę, przez którą wchodzi bogowie). Muzułmańscy poeci suficy nazywali tę boską energię „Ukochaną” i poświęcali jej poematy. Australijscy Aborygeni opisują węża, który schodzi z nieba i wstępuje w szamana, przynosząc mu potężne, zaświatowe moce. Według żydowskiej kabały do tego zespolenia z boskością dochodzi stopniowo, poprzez kolejne etapy duchowego wznoszenia, za pomocą energii, która biegnie w górę wzdłuż kręgosłupa ciągiem niewidocznych punktów.

Święta Teresa z Avili, ta wielka katolicka mistyczka, opisała swoje zjednoczenie z Bogiem jako fizyczne zjawisko wznoszenia się światła przez siedem wewnętrznych „komnat” jej jestestwa, po którym nagle znajdowała się w obecności Boga. Zapadała w tak głęboki trans medytacyjny, że inne zakonnice w ogóle nie wyczuwały jej pulsu. Błagała siostry, żeby nie mówiły nikomu o tym, co widziały, jako że była to „rzecz najniezwyklejsza, mogąca wywołać wiele gadania”. (Żeby już nie wspomnieć ryzyka przesłuchania przez inkwizycję.). Największym wyzwaniem, pisała święta, było powstrzymanie się od rozumowania podczas medytacji; jakakolwiek przebiegająca przez umysł myśl - nawet najbardziej żarliwa modlitwa - mogłaby zgasić ten boski ogień. Ledwie bowiem dokuczliwy umysł „zacznie układać przemowy i wymyślać argumenty, szczególnie gdy są one inteligentne, zaraz sobie wyobrazi, że wykonuje ważną pracę”. Jeśli jednak potrafimy przejść ponad tymi myślami, wyjaśniała Teresa, i wznieść się ku Bogu, „doświadczamy cudownego zadziwienia, niebiańskiego szaleństwa, w którym nabywamy prawdziwą mądrość”. Wtórując nieświadomie poematom Hafeza, sufickiego mistyka z Persji, który pytał, dlaczego, mimo wielkiej Bożej miłości, nie wszyscy jesteśmy takimi szaleńcami, w swojej autobiografii Teresa woła, że jeśli te przeżycia są jedynie oznaką szaleństwa, to „błagam cię, Ojczy, pozwól, byśmy wszyscy byli szaleni!”

Kiedy czyta się dzisiaj świętą Teresę, czuje się niemalże, jak wynurza się z tych swoich szaleńczych doznań, rozgląda wokół, zauważa polityczny klimat ówczesnej Hiszpanii (żyła przecież w czasach jednej z najbardziej opresyjnych religijnych tyranii w historii) i trzeźwo, posłusznie przeprosza za swoją ekscytację. Píše: „Wybaczcie, jeśli byłam zbyt śmiała”, i wielokrotnie powtarza, by nie zwracać uwagi na jej idiotyczną paplaninę, ponieważ, oczywiście, jest tylko kobietą i nędznym robakiem itd., itp. Domyślam się, jak

wygładza habit i wsuwa pod czarny welon luźne pasemka włosów, co do ostatniego... jej boska tajemnica pozostaje buzującym ukrytym ogniskiem.

W tradycji hinduskiej jogi ten boski sekret zwie się *kundalini śakti* i ukazywany jest w postaci węża, który spoczywa uspiiony pod ostatnim kręgiem lędźwiowym, dopóki nie zbudzi go dotknięcie mistrza albo jakiś cud, po czym wstępuje w górę po siedmiu czakramach lub kręgach (które moglibyśmy również nazwać komnatami duszy) i wyskakuje przez głowę, jednocząc się z Bogiem. Czakramy nie istnieją fizycznie, jak mówią jogini, więc nie ma co ich szukać w ciele; ich istnienie jest subtelniejsze i o tym mówią buddyjscy nauczyciele, kiedy zachęcają uczniów, by z fizycznego ciała wydobyli na zewnątrz nowego siebie, tak jak wyciąga się miecz z pochwy. Mój znajomy Bob, który oprócz tego, że studiuje jogę, jest także neurobiologiem, powiedział mi, że koncepcja czakramów zawsze pobudzała jego wyobraźnię i chciał je zobaczyć w poddanym sekcji ludzkim ciele, żeby uwierzyć w ich istnienie. Po jednym szczególnie transcendentnym doświadczeniu medytacyjnym doszedł wszakże do nowego zrozumienia tego problemu. Powiedział mi: „Tak jak istnieje w formie pisanej prawda dosłowna i prawda poetycka, tak w istocie ludzkiej istnieje anatomia dosłowna i anatomia poetycka. Jedną można zobaczyć, drugiej - nie. Jedna składa się z kości, zębów i ciała; ta druga - z energii, pamięci i wiary. Obie są jednak prawdziwe”.

Lubię, kiedy nauka i pobożność spotykają się w jakimś punkcie. Niedawno znalazłam w „New York Timesie” ciekawy artykuł na ten temat. Otóż zespół neurologów podłączył tybetańskiego mnicha do tomografu, by sprawdzić, co się dzieje - z naukowego punktu widzenia - z jego mózgiem, kiedy doświadcza oświecenia. W mózgu normalnej myślącej osoby szaleje nieustanna burza elektryczna myśli i impulsów, co widoczne jest na obrazach uzyskanych w badaniu w postaci żółtych i czerwonych błysków. Im bardziej rozgniewana czy rozgorączkowana staje się poddana badaniu osoba, tym wyraźniej i głębszą barwą płoną czerwone błyski. Natomiast mistycy z różnych okresów historii i różnych kultur wszyscy jak jeden mąż opisywali wyciszenie mózgu podczas medytacji i twierdzili, że to ostateczne zjednoczenie z Bogiem miało postać błękitnego światła, które promieniowało z samego środka ich czaszek. W tradycji jogi nazywa się to „błękitną perłą”, a celem każdego poszukującego jest ją odnaleźć. Jak można było oczekiwać, ten poddany badaniu tybetański mnich podczas medytacji tak dokładnie wyciszył swój umysł, że nie pojawiły się żadne, ani żółte, ani czerwone błyski. Jak się okazało, w końcu cała neurologiczna energia tego człowieka skupiła się w samym środku jego mózgu - można to było obserwować na monitorze - w postaci małej, chłodnej, błękitnej perły światła. Tak jak zawsze opisywali to jogini.

Taki jest cel *kundalini śakti*.

W mistycznych Indiach, podobnie jak w wielu tradycjach szamanistycznych, *kundalini śakti* uważana jest za siłę niebezpieczną, z którą bez nadzoru nie należy się zabawiać; niedoświadczony jogin mógłby dosłownie rozwalić nią sobie umysł. Potrzebny jest nauczyciel - guru - który poprowadzi odpowiednią ścieżką, i potrzebne jest bezpieczne miejsce - aśrama - skąd można zacząć wędrówkę. Mówi się, że to poprzez dotyk guru (albo dosłowny, albo za pośrednictwem jakiegoś nadnaturalnego spotkania, na przykład we śnie) uśpiona energia *kundalini* uwalnia się ze swojego miejsca u dołu kręgosłupa i rozpoczyna wędrówkę w górę, ku Bogu. Ten moment uwolnienia nazywa się *śaktipat*, „boska inicjacja”, stanowi on największy dar od oświeconego mistrza. Po tym dotknięciu uczniowi może ta mozolna droga ku oświeceniu zająć jeszcze całe lata, niemniej sama wędrówka już się rozpoczęła. Energia została uwolniona.

Otrzymałam *śaktipat* dwa lata wcześniej, kiedy pierwszy raz spotkałam moją guru, jeszcze w Stanach. Było to podczas weekendowego pobytu w jej aśramie w Górach Catskill. Mówiąc szczerze, nie czułam nic szczególnego. Miałam nadzieję na oślepiające spotkanie z Bogiem, może jakąś błękitną błyskawicę czy proroczą wizję albo chociaż jakieś szczególne znaki na ciele, ale nic nie znalazłam. Czułam się jedynie trochę głodna, jak zawsze. Myślałam wtedy, że prawdopodobnie nie mam dość wiary, by doświadczyć czegoś naprawdę tak szalonego jak uwolnione *kundalini śakti*. Pamiętam, że uznałam się za osobę zbyt bystrą, z niedostatkiem intuicji, i stwierdziłam, że moja ścieżka pobożności będzie zapewne bardziej intelektualna niż ezoteryczna. Będę się modliła, czytała książki, snuła ciekawe myśli, ale zapewne nigdy nie zdołam dotrzeć do owej boskiej medytacyjnej błogości, jaką opisuje święta Teresa. Nie szkodzi. Nadal kochałam te religijne praktyki. Tyle, że *kundalini śakti* było nie dla mnie.

Następnego dnia w aśramie wydarzyło się coś interesującego. Ponownie byliśmy wszyscy z naszą guru. Wprowadziła nas w stan medytacji i wtedy zapadłam w sen (jakkolwiek nazwiemy ów stan) i śniło mi się, że znajduję się na plaży nad oceanem. Fale były ogromne i przerażające i szybko rosły. Nagle obok mnie pojawił się jakiś mężczyzna. Był to sam mistrz mojej guru - wspaniały, charyzmatyczny jogin, którego będę tutaj nazywać krótko „Swamidzi” (co w sanskrycie znaczy „czcigodny ojciec”). Swamidzi zmarł w roku 1982. Znałam go tylko z fotografii, które były w aśramie. Nawet na nich - muszę tu przyznać - gość wyglądał odrobinę zbyt groźnie, emanował zbyt dużą siłą i był zbyt płomienny jak na mój gust. Długo odsuwałam od siebie wszelką myśl o nim i na ogół unikałam jego spojrzenia, kiedy patrzył na mnie ze ścian. Wydawał się przytłaczający. Nie był to guru w moim guście.

Zawsze wołałam swoją uroczą, współodczuwającą, żywą nauczycielkę od tamtego zmarłego (ale nadal groźnego) człowieka.

Teraz jednak Swamidzi znalazł się w moim śnie, w pełni swych mocy stał obok mnie na plaży. Byłam śmiertelnie przerażona. Wskazał ręką nadbiegające fale i oświadczył poważnym głosem: „Masz wymyślić sposób, jak to powstrzymać”. Przeważona wyciągnęłam notes i zaczęłam rysować jakieś pomysłowe urządzenia, które powstrzymałyby fale. Rysowałam solidne falochrony, kanały i zapory. Te moje wszystkie projekty były jednak głupie i bezsensowne. Wiedziałam, że jest to zadanie przekraczające moje możliwości (nie jestem inżynierem!), ale czułam, że Swamidzi mnie obserwuje, niecierpliwie i osądzająco. Wreszcie poddałam się. Żaden z tych moich wynalazków nie był dość dobry ani mocny, żeby powstrzymać te fale.

Wtedy usłyszałam śmiech Swamidziego. Podniosłam wzrok na tego drobniutkiego Hindusa w pomarańczowych szatach, a on zaśmiewał się do rozpuku i zgięty w pół ocierał z twarzy łzy radości.

„Powiedz mi, moja droga - odezwał się i wskazał ręką ten ogromny, potężny, rozkołysany ocean - powiedz mi, jeśli jesteś tak uprzejma... jak ty chciałaś to powstrzymać?”

47

Już dwie noce z rzędu śnił mi się wąż wślizgujący do mojego pokoju. Czytałam, że to dobry znak, jeśli chodzi o sprawy duchowe (nie tylko w religiach Wschodu; świętemu Ignacemu w mistycznych wizjach pojawiał się wąż), ale przez to węże nie stają się mniej sugestywne i przerażające. Budziłam się zrana potem. Co gorsza, kiedy już się obudziłam, mój umysł znów płatał figle, wciągając mnie w stan przerażenia, jakiego nie zaznałam od czasu rozvodu. Myśli biegły wstecz, do rozpadu mojego małżeństwa oraz do wstydu i gniewu, jakie się z tym łączyły. Jeszcze gorzej, znowu zaczęłam rozmyślać o Davidzie.

W myślach się z nim kłóczę, jestem wściekła i samotna i pamiętam każde bolesne słowo i czyn, jakimi mnie zranił. Jednocześnie rozpamiętuję wszystkie te chwile oszałamiającego szczęścia, które dzieliliśmy z sobą. To jedyne, co mogę robić, żeby nie wyskoczyć z łóżka i nie zadzwonić do niego z Indii w środku nocy i po prostu - no nie wiem -

odłożyć bez słowa słuchawki. Albo błagać, żeby mnie znowu pokochał. Albo odczytać mu zajadłe oskarżenie, wyliczające jego wady charakteru.

Dlaczego to wszystko znowu się pojawia?

Wiem, co by powiedzieli starzy bywalcy tej aśramy. Powiedzieliby, że to całkiem normalne, że każdy przez to przechodzi, że intensywna medytacja wydobywa na powierzchnię wszystko, że człowiek pozbywa się po prostu tych ostatnich demonów... ale ja jestem w takim stanie emocjonalnym, że nie potrafię tego znieść i nie mam ochoty wysłuchiwać żadnych hipisowskich teorii. Sama czuję, jak to wszystko podchodzi do góry, wielkie dzięki. Podchodzi jak wymiociny do gardła.

Jakoś udaje mi się ponownie zasnąć, szczęściara ze mnie, i mam kolejny sen. Tym razem zamiast węży pojawia się smukły zły pies, który goni mnie i powtarza: „Zabiję cię. Zabiję cię i pożrę!”

Budzę się roztrzęsiona i zapłakana. Nie chcę niepokoić moich współlokatorek, więc chowam się w łazience. Łazienka, zawsze ta łazienka! Niech się niebiosy nade mną zmiłują, bo znowu w łazience, znowu w środku nocy, w samotności wypłakuję na podłodze serce. Och, bezduszny świecie... jestem tak znużona tobą i wszystkimi twoimi okropnymi łazienkami.

Nie przestaję lać łez i w końcu przynoszę sobie z pokoju notes i długopis (to ostateczna ucieczka wrednej małpy) i raz jeszcze zasiadam obok sedesu. Otwieram notes na pustej stronie i skrobię swoją znajomą, rozpaczliwą prośbę:

„POTRZEBUJĘ TWOJEJ POMOCY”.

Potem wydaję długie westchnienie ulgi, kiedy moim własnym charakterem pisma nieodłączny przyjaciel (kto to taki?) odpowiada na to wołanie:

„Jestem tuż obok. Wszystko jest w porządku. Kocham cię. Nigdy cię nie zostawię...”

48

Poranna medytacja nazajutrz okazuje się katastrofą. Usilnie błagam swój umysł, żeby ustąpił na bok i pozwolił mi znaleźć Boga, ale mój umysł wpatruje się we mnie nieugięcie i oświadcza: „Nigdy cię nie przepuszczę”.

Cały ten dzień kipię taką złością i wrogością, że obawiam się o życie każdego, kto znajdzie się na mojej drodze. Napadam na tę biedną Niemkę, ponieważ nie zna dobrze angielskiego i nie rozumie, kiedy jej tłumaczę, gdzie jest księgarnia. Tak się wstydzę tej mojej napastliwości, że uciekam do (jeszcze jednej!) łazienki i wybucham płaczem, a potem wściekam się na siebie, bo pamiętam radę guru, żeby nie pozwalać sobie na załamanie przy byle okazji, bo stanie się to nawykiem... ale co ona o tym wie? Jest oświecona. Nie potrafi mi pomóc. Nie rozumie mnie.

Nie chcę, by ktokolwiek się do mnie odzywał. W tej chwili nie jestem w stanie znieść widoku niczyjej twarzy.

Udaje mi się nawet przez jakiś czas unikać Richarda z Teksasu, ale w końcu odnajduje mnie przy kolacji i zasiada - odważny człowiek - w obłoku czarnego dymu mojej odrazy do samej siebie.

- Co cię tak zgmiotło? - odzywa się, przeciągając samogłoski, jak zwykle z wykałaczką w zębach.

- Nie pytaj - odpowiadam, po czym zaczynam mówić i mówię mu dosłownie wszystko. - A najgorsze jest to, że nie mogę sobie poradzić z obsesją na punkcie Davida. Myślałam, że już mi przeszło, ale okazuje się, że tak nie jest.

- Daj sobie jeszcze pół roku, poczujesz się lepiej.

- Już dałam sobie dwanaście miesięcy.

- To daj sobie jeszcze te sześć. Dorzucaj po sześć miesięcy, aż ci przejdzie. Takie sprawy wymagają czasu.

Gwałtownie wypuszczam powietrze nosem jak rozszluszczony byk.

- Żarełko - mówi Richard - posłuchaj mnie. Kiedyś będziesz wspominała ten okres swojego życia jako słodki czas żałości. Stwierdzisz, że byłaś w żałobie i miałaś złamane serce, ale że twoje życie ulegało zmianie i znajdowałaś się w najbardziej odpowiednim do tego celu miejscu - w pięknym sanktuarium, otoczona łaską. Wykorzystaj ten czas, wykorzystaj każdą chwilę. Niech się wszystko ułoży samo, tutaj, w Indiach.

- Ale ja naprawdę go kochałam.

- Wielka mi rzecz. No więc się w kimś zakochałaś. Nie widzisz, co się stało? Ten gość poruszył pewne miejsce w twoim sercu, głębsze niż mogłabyś się spodziewać. Chcę przez to powiedzieć, że zważyło cię z nóg, mała. Ale ta miłość, którą wtedy czułaś, to dopiero początek. Dopiero posmakowałaś miłości. To tylko ograniczona, drobna, byle jaka miłość zwyczajnych śmiertelników. Poczekaj, a przekonasz się, o ile głębiej potrafisz kochać. A

niech to, Żarełko... masz w sobie potencjał, żeby pewnego dnia pokochać cały świat. To twoje przeznaczenie. Nie śmieję się.

- Nie śmieję się. - Prawdę mówiąc, znów lałam łzy. - I proszę, żebyś ty się ze mnie nie śmiał, ale chyba dlatego jest mi tak ciężko zapomnieć tego faceta, bo byłam przekonana, że David to bratnia dusza.

- Pewnie tak było. Twój problem polega na tym, że nie rozumiesz tego wyrażenia. Ludzie uważają, że bratnia dusza oznacza idealne dopasowanie, i tego właśnie wszyscy pragną. Tak naprawdę bratnia dusza to lustro, osoba, która pokazuje ci wszystko, co jest w tobie zdławione, osoba, która zwraca twoją uwagę na samą siebie, żebyś mogła odmienić własne życie. Prawdziwe bratnie dusze to prawdopodobnie najważniejsze osoby, z jakimi mamy do czynienia, bo to one obalają mury, którymi się otaczamy, i powodują, że możemy się ocknąć. Ale zostać z bratnią duszą na stałe? Nie. To byłoby zbyt bolesne. Bratnie dusze pojawiają się w naszym życiu, żeby odsłonić przed nami kolejną warstwę nas samych, po czym odchodzą. I dzięki Bogu. Twój problem polega na tym, że po prostu nie masz ochoty puścić swojej bratniej duszy. A to już koniec, Żarełko. Celem Davida było potrząsnąć tobą, wyrwać cię z tego małżeństwa, od którego chciałaś się uwolnić, potarosić nieco twoje ego, pokazać ci, jakie nosisz w sobie przeszkody i uzależnienia, rozerwać ci serce, żeby mogło wniknąć do niego nowe światło, doprowadzić cię do takiej rozpacz i bezradności, żebyś musiała przeobrazić swoje życie, potem przedstawić cię twojej duchowej mistrzyni i zmyć się. To było jego zadanie i świetnie je wykonał, ale teraz już jest po wszystkim. A ty nie chcesz przyjąć do wiadomości, że ten związek miał taki krótki żywot. Jesteś niczym pies przy śmietniku, dziecinko... wylizujesz pustą puszkę, starając się jeszcze coś w niej znaleźć. A jak nie będziesz ostrożna, to zakleszczy się ona na twoim pysku i całkiem unieszczęśliwi. Więc daj sobie spokój.

- Kiedy ja go kocham.

- No to go kochaj.

- Tęsknię za nim.

- No to tęsknij. Przesyłaj mu trochę miłości i światła za każdym razem, kiedy o nim myślisz, a potem daj spokój. Ty po prostu boisz się puścić te ostatnie kawałki Davida, bo wtedy rzeczywiście będziesz sama, a Liz Gilbert śmiertelnie lęka się tego, co się zdarzy, kiedy będzie sama. Musisz jednak coś zrozumieć, Żarełko. Jeśli opróżnisz całą tę przestrzeń umysłu, którą teraz zajmuje ci obsesja na punkcie tego faceta, powstanie tam próżnia, wolne miejsce... otworzy się przejście. I zgadnij, co świat zrobi z tym przejściem? Wedrze się

przez nie - Bóg się wdrze - i napełni cię taką miłością, o jakiej nawet nie marzyłeś. Prześnij więc używać Davida do zatykania tego przejścia. Puść go.

- Ale chciałabym, żeby David i ja...

- Widzisz, to jest właśnie twój problem - przerywa mi. - Za dużo byś chciała, dziecko. Czas zamienić te swoje chcenia na usztywnienia... kręgosłupa.

Ta ostatnia uwaga powoduje, że wreszcie wybucham śmiechem.

- Zatem ile czasu minie - pytam Richarda - nim przejdzie ta cała żalność?

- Chcesz znać dokładną datę?

- Tak.

- Coś, co zakreślisz sobie w kalendarzu?

- Tak.

- Coś ci powiem, Żarełko... dręczy cię przymus kontrolowania.

Zapałałam świętym oburzeniem. Przymus kontrolowania? U mnie? Całkiem serio rozważam spoliczkowanie Richarda za tę obelgę. Po chwili jednak gdzieś z głębi mojej furii wydobywa się prawda. Wyrażna, oczywista, żalosna prawda.

On ma całkowitą rację.

Złość we mnie wygasa, równie szybko, jak się pojawiła.

- Masz całkowitą rację - mówię.

- Wiem, że mam rację, malutka. Posłuchaj, jesteś silną kobietą, przyzwyczajoną dostawać od życia to, czego chcesz, a w swoich ostatnich związkach nie dostałaś tego, czego chciałaś, wszystko się w tobie zacięło. Twój mąż nie zachowywał się tak, jak chciałaś, i David też nie. Raz w życiu nie poszło ci tak jak trzeba. A nic tak nie wkurza osoby, która ma bzika na punkcie sprawowania kontroli, jak życie, które nie układa się po jej myśli.

- Nie mów, że mam bzika na punkcie sprawowania kontroli.

- Ale to naprawdę twój problem, Żarełko. No, przyznaj się. Nikt ci tego wcześniej nie powiedział?

(No cóż... t a a . Tyle że przy rozwodzie po jakimś czasie człowiek przestaje słuchać tych wszystkich podłych rzeczy, jakie o nim mówią.)

Rozchmurzam się w końcu i przyznaję, że rzeczywiście tak jest.

- W porządku, pewnie masz rację. Może i mam taki problem. To tylko takie niesamowite, że zauważyłaś. Bo nie sądzę, żeby było to takie oczywiste. To znaczy... założę się, że większość ludzi nie jest w stanie tego dostrzec, kiedy mnie pierwszy raz widzą.

Richard z Teksasu śmieje się tak serdecznie, że o mało nie gubi wykałaczki.

- Nie są w stanie? Skarbie... Ray Charles by to zobaczył!

- No dobra. Chyba mam już dość tej rozmowy, dziękuję ci bardzo.

- Musisz się nauczyć rezygnować, Żarełko. W przeciwnym razie doprowadzisz się do choroby. Nigdy nie prześpisz spokojnie nocy. Będziesz się wiercić i przewracać z boku na bok, powtarzając sobie, że twoje życie to kompletne fiasko. „Co jest ze mną nie tak? Dlaczego spieprzyłam wszystkie swoje związki? Dlaczego ze mnie taki nieudacznik?” Niech zgadnę... pewnie znowu wałkowałam to w nocy.

- Już dobrze, Richardzie, wystarczy - mówię. - Chcę, żebyś już przestał łązić w środku mojej głowy.

- Więc zamknij drzwi - odpowiada na to mój duży teksaski jogin.

49

Kiedy miałam niecałe dziesięć lat, przeżyłam prawdziwy kryzys metafizyczny. Może wydaje się to trochę przedwczesne, ale ja zawsze byłam nad wiek rozwiniętym dzieckiem. Wszystko to wydarzyło się latem pomiędzy czwartą a piątą klasą. W lipcu przypadały moje dziesiąte urodziny i w tym przejściu od dziewięciu do dziesięciu - od liczby jedno- do dwucyfrowej - było coś tak wstrząsającego, że wywołało to u mnie prawdziwy lęk egzystencjalny, w zasadzie zarezerwowany dla ludzi dobiegających pięćdziesiątki. Pamiętam, jak myślałam, że życie mija mi t a k s z y b k o . Zaledwie wczoraj byłam w przedszkolu, a oto proszę, za chwilę będę miała dziesięć lat. Wkrótce będę nastolatką, kobietą w średnim wieku, starszą panią, a potem umrę. Wszyscy inni też starzeli się w przyspieszonym tempie. Wszyscy wkrótce umrą. Moi rodzice umrą. Moi przyjaciele. Mój kot. Moja starsza siostra już była w szkole średniej; pamiętałam, jak całkiem niedawno szła do pierwszej klasy, w takich krótkich podkolanówkach, a teraz była w szkole średniej? Oczywiście nie potrwa długo, nim umrze. Jaki to wszystko miało sens?

Najdziwniejsze w tym kryzysie było to, że nie został wywołany przez żadne konkretne wydarzenie. Nie umarł żaden przyjaciel ani krewny, nic więc nie dało mi poznać tego pierwszego smaku śmiertelności, nie czytałam też ani nie oglądałam niczego szczególnego, co by dotyczyło śmierci; jeszcze nawet nie przeczytałam *Pajęczyny Charlotty*. Ta panika, jaką poczułam w wieku dziesięciu lat, nie była niczym innym niż spontanicznym, pełnym uświadomieniem sobie nieuchronnego marszu śmiertelności, a ja nie znałam nawet

duchowego słownictwa, które mogłoby mi pomóc to opisać. Byliśmy protestantami, nieszczęśliwie pobożnymi. Odmawialiśmy modlitwę przed posiłkiem jedynie przed obiadem w Boże Narodzenie i w Święto Dziękczynienia, do kościoła chodziliśmy rzadko. Niedzielnny ranek mój tato wolał spędzać w domu, a swoją pobożność wyrażać pracami farmerskimi. Ja śpiewałam w chórze, bo lubiłam śpiewać; moja piękna siostra była aniołkiem w jasełkach. Matka wykorzystywała kościół jako kwaterę główną, skąd można było dowodzić działaniami dobroczynnymi na rzecz miejscowej społeczności. Jednak nawet w samym kościele, jak pamiętam, nie mówiono wiele o Bogu. Ostatecznie była to Nowa Anglia, a słowo Bóg wprowadza Jankesów w stan podenerwowania.

Moje poczucie bezradności było przytłaczające. Chciałam użyć wobec świata jakiegoś hamulca bezpieczeństwa, takiego jak te, które widziałam w metrze podczas szkolnej wycieczki do Nowego Jorku. Chciałam zażądać przerwy, żeby wszyscy mogli się zatrzymać aż do chwili, w której będę w stanie ogarnąć to rozumem. Podejrzewam, że to pragnienie, żeby zmusić cały wszechświat do zatrzymania się w miejscu do czasu, kiedy wezmę się w garść, mogło właśnie stanowić początek tego, co mój drogi przyjaciel Richard nazywa „przymusem kontrolowania”. Oczywiście moje wysiłki i niepokoje były daremne. Im pilniej obserwowałam czas, tym bardziej chyżo pędził, i tamto lato minęło tak szybko, że aż mnie głowa od tego bolała, i pamiętam, że na koniec każdego dnia myślałam: „Jeszcze jeden odszedł” i wybuchałam płaczem.

Mój kolega ze szkoły średniej pracuje z osobami upośledzonymi umysłowo i twierdzi, że jego pacjenci mają szczególną, bolesną świadomość upływu czasu, jakby nie posiadali tego psychicznego filtra, który pozwala reszcie z nas zapominać co jakiś czas o śmiertelności i po prostu żyć. Jeden z pacjentów Roba zawsze na początku każdego dnia pyta go o datę, a pod koniec tego samego dnia mówi: „Rob... kiedy znów będzie czwarty lutego?” I zanim Rob zdąży odpowiedzieć, potrząsa ze smutkiem głową i oświadcza: „Wiem, wiem, nieważne... dopiero w przyszłym roku, prawda?”

To uczucie jest mi bardzo bliskie. Znam tę smutną tęsknotę za możliwością opóźnienia końca kolejnego czwartego lutego. Ten smutek to jedna z cięższych prób w eksperymencie zwanym ludzkością. Z tego, co wiem, jesteśmy jedynym gatunkiem na Ziemi, który otrzymał dar - a może przekleństwo - świadomości, że jest śmiertelny. Ostatecznie wszystko tutaj umiera; ale tylko my jesteśmy szczęściarzami, którzy mogą codziennie o tym myśleć. Jak sobie radzić z tą wiedzą? Kiedy miałam dziewięć lat, nie umiałam zrobić nic, mogłam tylko płakać. Później, kiedy lata mijały, moja wrażliwa, nadmiernie wyczulona na szybkość upływu czasu świadomość zmusiła mnie do doświadczania życia w przyspieszonym

tempie. Skoro moja wizyta na ziemi miała trwać tak krótko, musiałam zrobić, co się da, żeby doznawać wszystkiego od razu. Stąd tyle podróży, romansów, wszystkie ambicje, ta cała reszta. Moja siostra miała przyjaciółkę, która myślała, że Catherine ma dwie lub trzy młodsze siostry, bo ciągle słyszała o siostrze, która jest w Afryce, siostrze pracującej na ranchu w Wyomingu, siostrze barmance w Nowym Jorku, siostrze piszącej książkę, siostrze wychodzącej za mąż... to chyba nie mogła być ta sama osoba? Rzeczywiście, gdybym mogła rozdzielić się na wiele Liz Gilbert, chętnie bym to uczyniła, żeby nie stracić ani jednego momentu z życia. Co też ja mówię? Przecież podzieliłam się na wiele Liz Gilbert i wszystkie one, w wieku około trzydziestu lat, jednej nocy, osunęły się kompletnie wyczerpane na posadzkę w łazience w domu na przedmieściu.

Zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy przechodzą tego rodzaju kryzys metafizyczny. Niektórzy z nas mają wbudowany wewnętrzny system zamartwiania się własną śmiertelnością, podczas gdy inni - nie. Spotyka się na tym świecie mnóstwo ludzi apatycznych, ale też widuje się takich, którzy potrafią z całym spokojem przyjmować warunki, na jakich świat funkcjonuje, i którzy ani trochę nie przejmują się jego paradoksami i niesprawiedliwością. Babka jednej z moich przyjaciółek zwykła powtarzać: „Nie ma na tym świecie takiego kłopotu, którego nie dałoby się wyleczyć gorącą kąpielą, szklaneczką whisky i modlitewnikiem”. Niektórym to wystarcza. Innym potrzebne są zdecydowanie bardziej radykalne środki.

Teraz wreszcie wspomnę swojego przyjaciela, właściciela gospodarstwa mleczarskiego w Irlandii... zdawałoby się, że najmniej spodziewaną w indyjskiej aśramie osobę. Sean należy jednak do ludzi, którzy podobnie jak ja przyszli na świat z szaloną i nieustępliwą potrzebą zrozumienia istoty życia. Jego mała parafia w hrabstwie Cork nie mogła mu dać żadnej odpowiedzi w tej kwestii, więc w latach osiemdziesiątych zostawił farmę i udał się w podróż po Indiach, aby szukać wewnętrznego spokoju za pośrednictwem jogi. Kilka lat później wrócił do Irlandii. Siedział w kuchni starego kamiennego domu z ojcem - małym farmerem - i opowiadał mu o swoich duchowych odkryciach na egzotycznym Wschodzie. Ojciec Seana słuchał z umiarkowanym zainteresowaniem, patrzył w ogień na palenisku i palił fajkę. W ogóle się nie odzywał, aż do czasu, kiedy Sean powiedział: „Tato... to medytowanie, ono jest kluczowe w nauczaniu pogody ducha. Naprawdę potrafi uratować człowiekowi życie. Uczy człowieka, jak uspokoić swój umysł”.

Ojciec podniósł na niego wzrok i oświadczył łagodnie: „Ja już mam spokojny umysł, synu” i ponownie zapatrzył się w ogień.

Ale ja nie mam. Ani Sean. Wielu z nas nie ma. Wielu z nas spogląda w ogień i widzi jedynie piekło. Ja muszę aktywnie się uczyć tego, z czym najwyraźniej ojciec Seana już się urodził... uczyć się żyć tak, jak napisał kiedyś Walt Whitman: „z dala od przepychanek... rozbawiony, zadowolony z siebie, pełen współczucia, beczynny, spójny... czy w grze, czy poza nią, przyglądam się i dziwię temu wszystkiemu”. Tyle że zamiast być rozbawiona, jestem niespokojna. Zamiast przyglądać się, ciągle tylko wnikam we wszystko i analizuję. Ostatnio podczas modlitwy powiedziałam do Boga: „Słuchaj... rozumiem, że życie bezmyślne nie jest warte przeżywania, ale czy sądzisz, że dane mi będzie kiedyś zjeść bezmyślnie lunch?”

Jedna z opowieści o Buddzie mówi o tych chwilach, jakie nastąpiły tuż po doznaniu przez niego oświecenia. Kiedy po trzydziestu dziewięciu dniach medytacji opadła w końcu zasłona iluzji, ukazując wielkiemu nauczycielowi, w jaki sposób naprawdę funkcjonuje wszechświat, powiadają, że otworzył oczy i oświadczył: „Tego się nie da nikogo nauczyć”. Potem jednak zmienił zdanie, ostatecznie postanowił pójść między ludzi i spróbować nauczyć garstkę uczniów medytacji. Wiedział, że jego nauki zainteresują niewielu. Większość, powiedział, ma oczy tak zaklejone kurzem kłamstwa, że nigdy nie dojrzy prawdy. Niektórzy (jak tato Seana) mają z natury tak jasny ogląd świata i taki spokój, że nie potrzebują żadnych instrukcji i pomocy. Są też ci, którzy mają oczy tylko trochę zaklejone kurzem i którzy przy pomocy odpowiedniego mistrza mogliby kiedyś się nauczyć widzieć wyraźniej. Budda postanowił zostać nauczycielem dla dobra tej właśnie mniejszości... „dla tych z niewielką ilością kurzu w oczach”.

Mam ogromną nadzieję, że należę do ludzi ze średnio zalepionymi oczyma, ale tego nie wiem. Wiem jedynie, że z determinacją szukam wewnętrznego spokoju, uciekając się do metod, które innym ludziom mogłyby się wydawać nieco drastyczne. (Na przykład kiedy w Nowym Jorku powiedziałam pewnemu znajomemu, że jadę do Indii, by zamieszkać w aśramie i poszukiwać Boga, westchnął tylko i oświadczył: „Och, jest we mnie jakaś cząstka, która pragnie, żebym sam zechciał to zrobić... ale tak naprawdę nie mam na to najmniejszej ochoty”). Ja z kolei nie wiem, czy mam w tej sprawie jakiś wybór. Przez wiele lat na wiele różnych sposobów poszukiwałam zadowolenia i okazało się, że wszystko, co człowiek zdobywa, co osiąga... ostatecznie śmiertelnie go nuży. Życie, jeśli je szaleńczo gonić, zamęczy nas na śmierć. Czas - ścigany jak bandyta - będzie się zachowywał jak bandyta; zawsze wyprzedzi cię o to jedno hrabstwo, o ten jeden pokój, będzie zmieniać imię i kolor włosów, żeby ci umknąć, wyslizgnie się tylnymi drzwiami z motelu akurat wtedy, kiedy będziesz szła śmiało przez hall do recepcji z najświeższym nakazem przeszukania w rękę, a

on pozostawi ci jeszcze dymiącego papierosa w popielniczce, żeby sobie z ciebie zadrwić. W którymś momencie będziesz musiała się zatrzymać, bo on się nie zatrzyma. Musisz przyznać, że nie potrafisz go schwytać. Że w ogóle nie należy próbować go schwytać. W którymś momencie, jak powtarza mi to ciągle Richard, musisz sobie darować i pozwolić, by zadowolenie samo do ciebie przyszło.

Oczywiście darowanie sobie to przerażające przedsięwzięcie dla tych z nas, którzy uważają, że świat obraca się jedynie dlatego, że to my osobiście kręcimy rączką i że jeśli puścimy ją choćby na chwilę, cóż... to będzie koniec. Ale spróbuj ją puścić, Żarełko. To jest przesłanie, jakie do mnie teraz dociera. Siedź na razie spokojnie i skończ z tym swoim nieustannym włączaniem się we wszystko, co się dzieje. Obserwuj, co się dzieje. Ptaki jakoś nie spadają martwe z nieba. Drzewa nie schną i nie umierają, rzeki nie spływają krwią. Życie toczy się dalej. Nawet włoska poczta będzie dreptała do przodu, robiąc swoje bez ciebie... skąd ta twoja pewność, że mikrozarządzanie każdym momentem na całym tym świecie jest tak istotne? Czemu nie zostawisz go w spokoju?

Wysłuchuję tego argumentu i przemawia on do mnie. Mój umysł to rozumie. Naprawdę. Potem jednak zastanawiam się - zważywszy na wszystkie niespokojne tęsknoty, całą moją buzującą gorliwość i tę moją głupio łapczywą naturę - jak mam wykorzystać swój zapas energii. Odpowiedź na to pytanie też się pojawia: *Szukaj Boga*, podpowiada moja guru. *Szukaj Boga jak człowiek z płonąca głową szuka wody.*

50

Nazajutrz, podczas medytacji, ponownie pojawiają się wszystkie moje stare nieznośne, żrące myśli. Zaczynam je postrzegać jak te irytujące osoby, które sprzedają towary przez telefon, zawsze w najmniej odpowiednich momentach. Niepokoi mnie, kiedy stwierdzam, że podczas medytacji mój mózg nie jest szczególnie interesującym miejscem. Okazuje się, że w kółko myślę tylko o kilku rzeczach. Nazywa się to chyba „rozpamiętywaniem”. Rozpamiętuję swój rozwód i cały ból małżeństwa, i wszystkie błędy, które popełniłam, i wszystkie błędy męża, potem (a nie ma możliwości odejścia od tego ponurego tematu) zaczynam rozpamiętywać swój związek z Davidem...

To ostatnie, szczerze mówiąc, staje się nieco żenujące. Bo przecież... przebywam w tym miejscu świętych rozważań, w głębi Indii, a potrafię myśleć jedynie o swoim byłym chłopaku? Kim jestem, uczennicą ósmej klasy?

A potem przypominam sobie pewną historię, którą opowiedziała mi Deborah. Kiedyś, jeszcze w latach osiemdziesiątych, władze Filadelfii poprosiły ją, żeby społecznie udzielała pomocy psychologicznej grupie uchodźców z Kambodży - ludziom, którzy opuścili swój kraj na małych łodziach i niedawno przybyli do miasta. Deborah jest wyjątkowo dobrym psychologiem, ale to zadanie strasznie ją onieśmiało. Ci Kambodżanie doświadczyli najgorszych potworności, jakie ludzie mogą zadać innym ludziom - ludobójstwa, gwałtów, tortur, głodu; widzieli, jak mordowano ich najbliższych, przeżyli długie lata w obozach uchodźców i niebezpieczną podróż łódkami na Zachód, podczas której wielu umarło, a ich ciała pożarły rekiny... jak Deborah mogła tym ludziom pomóc? Jak mogła zrozumieć ich cierpienia? „Domyślasz się - zapytała mnie kiedyś - o czym ci ludzie chcieli rozmawiać, kiedy już spotkali się z terapeutką?”

Wyglądało to tak: Poznałam tego człowieka, kiedy przebywałam w obozie dla uchodźców, i zakochaliśmy się w sobie. Myślałam, że on naprawdę mnie kocha, ale potem znaleźliśmy się na różnych łodziach i on zainteresował się moją kuzynką. Teraz jest jej mężem, ale mówi, że tak naprawdę to kocha mnie, i ciągle do mnie wydzwaniał, i ja wiem, że powinnam powiedzieć, żeby sobie poszedł, ale nadal go Kocham i nie potrafię przestać o nim myśleć. I nie wiem, co robić...

Tacy jesteśmy. Tak jesteśmy zaprojektowani emocjonalnie jako gatunek. Kiedyś poznałam starszą panią, niemal stuletnią, a ona powiedziała mi: „Są tylko dwie kwestie, o które istoty ludzkie toczyły wojny przez całą swoją historię. «Jak bardzo mnie Kochasz?» I «Kto tu rządzi?»», Ze wszystkim innym można się jakoś uporać. Ale te dwie kwestie, miłość i władza, gubią nas wszystkich, podstawiają nam nogę, wywołują wojny, ból i cierpienie. I obie niestety (lub oczywiście) są tym, z czym ja muszę sobie radzić tutaj, w tej aśramie. Kiedy siedzę w milczeniu i zerkam na swój umysł, wzbudzają mnie tylko te pytania, które dotyczą tęsknoty i sprawowania kontroli, a właśnie wzburzenie nie pozwala mi się posuwać naprzód.

Kiedy tego ranka, po mniej więcej godzinie nieszczęsnych rozmyślań, próbowałam pogрузić się z powrotem w medytacji, zabrałam ze sobą nowy koncept: współodczuwanie. Poprosiłam swoje serce, aby łaskawie natchnęło moją duszę większą wyrozumiałością dla funkcjonowania mojego umysłu. Zamiast uważać, że jestem ofiarą losu, mogłabym przecież przyjąć, że jestem tylko istotą ludzką... na dodatek całkiem normalną. Stosowne myśli pojawiły się jak zwykle - w porządku, niech tak będzie - ale potem wypłynęły na wierzch

związane z nimi emocje. Samotna i rozzłoszczona, zaczęłam odczuwać zniechęcenie, już miałam zamiar potępić samą siebie. Potem jednak z najgłębszych zakamarków serca wykipiła wściekła reakcja i powiedziałam sobie: „Nie będę cię osądzała za te myśli”.

Mój umysł zaprotestował, oświadczając: „Taa, ale jesteś taką ofiarą losu, że nigdy do niczego nie dojdiesz... „

I nagle wydało mi się, że lew w mojej piersi się rozryczał, zagłuszając całą tę cczą gadaninę. W moim wnętrzu zahuczał potężny głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam.

Był tak bezmiernie, bezwzględnie głośny, że przykryłam dłonią usta - bałam się, że jeśli je otworzę i wypuszczę ten głos na zewnątrz, wstrząśnie fundamentami budynków aż po dalekie Detroit.

A oto, co ten głos zaryczał:

NIE MASZ NAJMNIEJSZEGO POJĘCIA, JAK SILNA JEST MOJA MIŁOŚĆ!!!!!!!!!!!!!!

Negatywne myśli z mojego umysłu rozsypały się w wichrze tego oświadczenia niczym ptaki i króliki, i antylopy... zmykały stamtąd przerażone. Nastąpiła cisza. Intensywna, wibrująca, sroga cisza. Lew z rozległej sawanny mojego serca z satysfakcją dokonywał przeglądu swojego nowego cichego królestwa. Młasnął, zamknął żółte ślepia i zasnął z powrotem.

A potem w tej wspaniałej ciszy wreszcie... zaczęłam medytować o Bogu (i z Bogiem).

51

Richard z Teksasu ma urocze zwyczaje. Za każdym razem, kiedy przechodzi obok mnie i zauważa po mojej roztargnionej minie, że myślami błędzę milion mil stąd, rzuca: „Jak się ma David?”

„Pilnuj własnego nosa - odpowiadam nieodmiennie. - Nie masz pojęcia, o czym myślę, koleś”. Oczywiście, zawsze wie.

Zwykle też czeka na mnie, kiedy wychodzę z sali medytacyjnej, bo lubi sobie popatrzeć, jak opuszczam to miejsce wytarמושona i dziwaczne pokręcona. Wyglądam

ponoć, jakbym odpierała ataki aligatorów i duchów. Mówi, że jeszcze nie widział nikogo, kto by tak gwałtownie ze sobą walczył. O t y m nic nie wiem, ale jest prawdą, że to, co dzieje się w sali medytacyjnej, w moim przypadku nabiera dość intensywnego charakteru. Najbardziej gwałtowne przeżycia pojawiają się, gdy pokonuję strachliwość i pozwalam tej żywiołowej energii wyzwolić się i ruszyć w górę kręgosłupa. Teraz śmieszy mnie, że mogłam kiedyś odrzucać koncept *kundalini śakti* jako mit. Kiedy ta energia przeze mnie przepływa, warczy niczym silnik dieslowski na niskich obrotach i wymaga ode mnie tylko jednego: *Bądź uprzejma się przenicować, tak żeby twoje płuca i serce, i wnętrzości znalazły się na zewnątrz, a cały wszechświat wewnątrz. I zrób to samo z emocjami.* Czas kompletnie wariuje w tej burzliwej przestrzeni, w której - odrętwiała, ogłupiała i osłupiała - jestem przenoszona do różnych światów, gdzie po kolei doświadczam żaru, zimna, nienawiści, pożądania, lęku... Kiedy to wszystko dobiega końca, dźwigam się na nogi i zataczając, wychodzę na światło dnia w takim oto stanie: głodna jak wilk, niebywale spragniona, napalona bardziej niż marynarz na trzydniowej przepustce. Richard zazwyczaj czeka na mnie, gotów wybuchnąć śmiechem. Widząc moją zakłopotaną i wymęczoną twarz, zawsze wita mnie tak samo: „Myślisz, że kiedyś coś osiągniesz, Żarełko?”

Kiedy usłyszałam ryk lwa (NIE MASZ NAJMNIEJSZEGO POJĘCIA, JAK SILNA JEST MOJA MIŁOŚĆ), następnego ranka podczas medytacji poczułam się jak wojownicza królowa. Richard nawet nie zdążył zapytać, czy myślę, że kiedyś coś osiągnę, bo stanęłam z nim oko w oko i oświadczyłam: „Już osiągnęłam, koleś”.

„No, no! - powiedział Richard. - Trzeba to uczcić. Chodź, mała... zabiorę cię do osady, postawię ci brawko”.

Brawko to indyjski napój w rodzaju coca-coli, tyle że ma z dziewięć razy więcej syropu kukurydzianego i trzy razy więcej kofeiny. Wydaje mi się, że może zawierać nawet metamfetaminę. Widzę po nim podwójnie. Kilka razy w tygodniu idę z Richardem do wsi, gdzie wypijamy na spółkę jedną małą butelkę brawka - dość radykalne doznanie po prostocie wegetariańskich posiłków aśramy - zawsze starając się nie dotykać butelki wargami. Zasada Richarda dotycząca podróżowania po Indiach jest rozsądna: „Nie dotykaj niczego oprócz samego siebie”. (Jasne, to też był jeden z próbnych tytułów dla tej książki.).

Mamy w wiosce swoje ulubione miejsca. Zawsze składamy pokłon przed świątynią i witamy się z panem Panicarem, krawcem, który podaje nam rękę i za każdym razem mówi: „Winszuję poznania!” Patrzymy na włóczące się krowy, zadowolone ze swojego statusu (myślę, że go nadużywają, pokładając się pośrodku drogi, żeby tylko pokazać, jakie są święte), i obserwujemy drapiące się psy, które wyglądają, jakby się zastanawiały, co one tu w

ogóle robią. Przyglądamy się kobietom pracującym przy naprawie drogi pod palącym słońcem. Wymachują młotami, boscami, zadziwiająco piękne w kolorowych jak klejnoty sari, przystrojone naszyjnikami i bransoletami. Obdarzają nas olśniewającymi uśmiechami, których zupełnie nie rozumiem... jak mogą być szczęśliwe, wykonując taką ciężką pracę w takich okropnych warunkach? Dlaczego nie mdleją i nie umierają po kwadransie machania młotem w tym morderczym upale? Pytam o to pana Panicara, a on mówi, że tak to już jest tutaj ze wszystkimi, że ludzie w tej części świata urodzili się do ciężkiej pracy i praca jest jedyną rzeczą, do jakiej są przyzwyczajeni. „A poza tym - rzuca od niechcenia - my tutaj nie żyjemy zbyt długo”.

To oczywiście uboga wioska, ale nie przeraźliwie uboga według indyjskich standardów; bliskość (i dobroczynność) aśramy oraz pewna ilość krążącej w okolicy zachodniej waluty czynią znaczącą różnicę. Nie żeby było tu wiele do kupienia, chociaż Richard i ja lubimy się rozglądać po wszystkich sklepikach, które sprzedają paciorki i małe posążki. Jest tu kilku kupców z Kaszmiru - naprawdę bardzo obrotnych - którzy starają się sprzedać nam swój towar. Jeden z nich zaczepił mnie dzisiaj, pytając, czy szanowna pani nie chciałaby kupić pięknego kaszmirskiego kołdry do swojego domu.

Rozbawiło to Richarda. Jedną z jego rozrywek jest bowiem naśmiewanie się z mojej bezdomności.

- Szkoda twoich słów, bracie - powiedział. - Staruszka nie ma podłóg, na których mogłaby położyć dywan.

- To może szanowna pani chciałaby kołdrę na ścianę? - kupiec nie zniechęcał się.

- Posłuchaj - odparł Richard - w tym właśnie rzecz... ścian też jej trochę brakuje.

- Ale mam dzielne serce! - wtrąciłam się w obronnym odruchu.

- I parę innych cennych zalet - dodał Richard, pierwszy raz okazując mi łaskawość.

52

Tak naprawdę medytacja nie jest dla mnie najtrudniejszą rzeczą w aśramie. Jest trudna, zgoda, ale nie mordercza. Jest tu coś znacznie gorszego. Mordercze jest to, co robimy każdego ranka po medytacji, a przed śniadaniem (mój Boże, ależ te ranki są długie)... wyśpiewywanie czegoś, co się nazywa *Gurugita*. Richard mówi o niej po prostu *gita*, czyli

pieśń. Mam z tą pieśnią wielki kłopot. Nie podoba mi się, nigdy się nie podobała, od pierwszego razu, kiedy ją usłyszałam w aśramie położonej na północy stanu Nowy Jork. Podobają mi się wszystkie inne pieśni i hymny z tej tradycji jogi, jednak *Gurugitę* odczuwam jako wyjątkowo długą, męczącą, monotonną i nieznośną. To naturalnie moja opinia; inni twierdzą, że ją uwielbiają, choć zupełnie nie pojmuję, jak to możliwe.

Gurugita ma sto osiemdziesiąt dwa wersy do głośnego wykrzykiwania (co czasami robię), a każdy wers to kolejna porcja nieprzeniknionego sanskrytu. Razem z partią wstępną i końcowym chórem wykonanie całości trwa około półtorej godziny. Nie zapominajcie, że dzieje się to przed śniadaniem, kiedy mamy już za sobą godzinę medytacji i dwadzieścia minut porannych śpiewów. To właśnie *Gurugita* jest powodem, dla którego musimy wstawać o trzeciej nad ranem.

Nie podoba mi się melodia i nie podobają mi się słowa. Kiedy dzielę się tą opinią z kimkolwiek w aśramie, zawsze słyszę odpowiedź: „Och, ale to takie święte!” Owszem, ale święta jest też Księga Hioba, a nie mam ochoty wyśpiewywać jej na głos każdego ranka przed śniadaniem.

Gurugita ma imponującą duchową genealogię; jest fragmentem świętego starożytnego tekstu *Skandapurany*, którego większość zaginęła, a bardzo niewiele zostało przełożone z sanskrytu na inne języki. Jak większość pism jogicznych, napisana jest w formie rozmowy, niemalże sokratejskiego dialogu. Rozmowy pomiędzy boginią Parwati i wszechmocnym, wszechogarniającym bogiem Siwą. Parwati i Siwa są boskim wcieleniem kreatywności (pierwiastek żeński) i świadomości (pierwiastek męski). Ona reprezentuje energię witalną wszechświata; on jest jego czystą mądrością. Cokolwiek Siwa sobie wyobrazi, Parwati powołuje do życia. On coś sobie wyśnił; ona materializuje. Ich taniec, ich związek (ich joga) jest jednocześnie przyczyną wszechświata i przejawem jego istnienia.

W *Gurugicie* bogini dopytuje się o tajemnice ziemskiego spełnienia, a bóg jej odpowiada. Wkurza mnie ta pieśń. Kiedyś miałam nadzieję, że moje nastawienie zmieni się podczas pobytu w aśramie. Wierzyłam, że w tym otoczeniu nauczę się ją kochać. Jest jednak odwrotnie. Kiedy tu przybyłam, *Gurugita* budziła we mnie zwyczajną niechęć, teraz, po kilku tygodniach, budzi strach. Zaczęłam ją opuszczać i spędzać ranki w inny sposób, który moim zdaniem lepiej służył duchowemu rozwojowi, na przykład pisałam dziennik, brałam prysznic albo dzwoniłam do siostry do Pensylwanii, żeby sprawdzić, jak mają się jej dzieci.

Richard zawsze wytyka mi zaniedbanie. „Zauważyłem, że nie było cię dzisiaj rano na gicie”, mówi, a ja mu na to: „Porozumiewam się z Bogiem w inny sposób”, na co on: „Masz na myśli wylegiwanie się, tak?”

Kiedy już jednak idę na śpiewanie *Gurugity*, czuję zazwyczaj ożywienie. Fizyczne. Bo nie tyle śpiewam ten hymn, ile mnie za nim wloką. Oblewam się potem. To bardzo dziwne, bo należę do ludzi, którzy nieustannie marzną, a w tej części Indii w styczniu panuje chłód przed wschodem słońca. Wszyscy są opatuleni w wełniane koce i mają okryte głowy, a ja co kawałek hymnu zrzucam z siebie kolejne warstwy, spieniona jak przepracowany koń roboczy. Wychodzę po *Gurugicie* ze świątyni i w zimnym powietrzu poranka pot paruje, spowijając mnie jakąś okropną, zieloną, cuchnącą mgłą. Reakcja fizyczna jest całkiem łagodna w porównaniu z gorącymi emocjami, jakie mną targają, kiedy próbuję to śpiewać. Zresztą trudno to nazwać śpiewaniem. Mój głos jest co najwyżej pełnym urazy chrypieniem.

Mówiłam, że ma sto osiemdziesiąt dwa wersy?

Kilka dni temu, po wyjątkowo wstrętnej sesji tego niby-śpiewania, postanowiłam poszukać rady u mojego ulubionego miejscowego nauczyciela - mnicha z cudownie długim sanskryckim imieniem, które można przetłumaczyć jako „Ten, Który Mieszka w Sercu Pana, Który Mieszka w Jego Własnym Sercu”. Mnich jest Amerykaninem po sześćdziesiątce, bystrym i wykształconym. Był kiedyś profesorem teatru klasycznego na nowojorskim uniwersytecie i nadal nosi się z szacowną godnością. Złożył śluby prawie trzydzieści lat temu. Lubię go, ponieważ jest rzeczowy i dowcipny. W chwili posępnej dezorientacji związanej z Davidem zwierzyłam mu się ze swoich sercowych problemów. Wysłuchał z powagą i udzielił życzliwej rady, po czym oświadczył: „A teraz ucałuję swoje szaty”. Uniósł do ust rąbek szafranowej szaty i cmoknął głośno. Myśląc, że to jakiś religijny zwyczaj dla super wtajemniczonych, spytałam, dlaczego to robi. Odparł: „Robię to zawsze, kiedy ktoś przychodzi do mnie po radę w sprawie swojego związku. Po prostu dziękuję Bogu, że jestem mnichem i mnie osobiście te problemy już nie dotyczą”.

Wiedziałam więc, że mogę rozmawiać z nim otwarcie o swoich kłopotach z *Gurugita*. Pewnego wieczoru, po kolacji, poszliśmy na spacer do ogrodu. Powiedziałam mu, jak bardzo nie znoszę tej pieśni, i spytałam, czy nie mógłby mnie zwolnić z obowiązku jej śpiewania. Wybuchnął śmiechem.

- Nie musisz jej śpiewać, jeśli nie chcesz. Nikt tutaj nigdy nie będzie cię zmuszał, żebyś robiła coś, czego nie chcesz robić - powiedział.

- Ale ludzie mówią, że to ważne ćwiczenie duchowe.

- Bo tak jest. Ale nie zamierzam ci mówić, że pójdziesz do piekła, jeśli nie będziesz go wykonywać. Powiem ci tylko, że zdanie twojej guru w tej sprawie jest jednoznaczne... *Gurugita* jest jednym z najważniejszych tekstów tej jogi, a może nawet najważniejszym

ćwiczeniem oprócz medytacji. Jeśli mieszkasz w aśramie, oczekuje się od ciebie, że codziennie rano będziesz wstawiała na te śpiewy.

- Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko wstawaniu wcześnie rano...

- To o co chodzi?

Wyjaśniłam mnichowi, dlaczego tak nie cierpię tej pieśni i jaką stała się dla mnie torturą.

- Ojej - powiedział - niech ci się przyjrzę. Wystarczy, że o niej wspomnisz, a już cię skręca.

Tak było. Czułam, jak pod pachami zbiera mi się zimny, lepki pot.

- Czy nie mogłabym wykorzystać tego czasu na inne ćwiczenia? Zauważyłam, że czasami, kiedy podczas *Gurugity* pójdę do groty medytacyjnej, wpadam w miły nastrój.

- Aha... Swamidzi by cię za to zrugali. Nazwałby cię złodziejką, bo wykorzystujesz energię zgromadzoną pracą wszystkich pozostałych. Posłuchaj, *Gurugita* nie jest jakąś tam piosenką do śpiewania. Pełni zupełnie inną funkcję. Jest tekstem niewyobrażalnej mocy. Jest potężnym ćwiczeniem oczyszczającym. Spala wszystkie nagromadzone w tobie śmieci, wszystkie negatywne emocje. Myślę, że ma pozytywny wpływ na ciebie, skoro doświadczasz takich silnych emocji i reakcji fizycznych, kiedy ją śpiewasz. Może to być bolesne, ale jest bardzo dobroczynne.

- Mam się do tego zmuszać?

- A istnieje jakieś inne wyjście? Chcesz zrezygnować, kiedy tylko coś staje się wyzwaniem? Pałętać się całe życie bez celu, nieszczęśliwa i niepełna?

- Naprawdę powiedziałeś „pałętać się”?

- Owszem. Tak powiedziałem.

- To co mam robić?

- Sama musisz zdecydować. Moja rada - skoro o nią prosiłaś - to śpiewać *Gurugitę*, kiedy tutaj jesteś, właśnie dlatego, że w taki skrajny sposób na nią reagujesz. Jeśli coś tak mocno cię porusza, to możesz być pewna, że na ciebie działa. Właśnie taka jest rola *Gurugity*. Wypala ego, zamienia cię w czysty popiół. Ale to dokonuje się mozolnie, Liz. Ta pieśń ma moc, której nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Zostajesz w aśramie jeszcze tylko tydzień, prawda? A potem będziesz mogła podróżować i dobrze się bawić. Wyśpiewaj więc tę pieśń jeszcze siedem razy, a potem już nigdy nie będziesz musiała tego robić. Pamiętaj, co mówi nasza guru... bądź badaczem własnego doświadczenia duchowego. Nie przebywasz tutaj jako turystka ani dziennikarka; jesteś tutaj jako osoba poszukująca. Zatem szukaj.

- Więc mnie nie zwolnisz?

- Sama możesz się zwolnić, kiedy tylko zechcesz,

Liz. Masz święte prawo do czegoś takiego, co nazywamy wolnością.

53

Odważnie i zdecydowanie powędrowałam więc nazajutrz na śpiewy, a *Gurugita* posłała mnie kopniakiem dwadzieścia stóp w dół po betonowych schodach... przynajmniej tak to odczułam. Następnego dnia było jeszcze gorzej. Obudziłam się wściekła i zanim dotarłam do świątyni, już się pociłam, kipiałam i dosłownie wibrowałam. Myślałam sobie: „To tylko półtorej godziny... przez półtorej godziny można robić wszystko. Na miłość boską, znasz kobiety, które rodziły przez czternaście godzin...” W każdym razie chyba nawet przybita do tego krzesła nie czułabym się gorzej. Fale ognia, jak uderzenia gorąca przy menopauzie, przepływały przez moje ciało i myślałam, że zemdleję albo z wściekłości kogoś pogryzę.

Moja złość była gigantyczna. Obejmowała wszystkich na świecie, ale w szczególności skierowana była przeciwko Swamidziem, mistrzowi mojej guru, który ustanowił to rytualne zawołanie *Gurugity*. Nie była to moja pierwsza trudna potyczka z wielkim, nieżyjącym już joginem. To on pojawił się na plaży w moim śnie, żądając, bym mu powiedziała, jak zamierzam zatrzymać fale, i zawsze miałam wrażenie, że robi mnie w balona.

Przez całe swoje życie Swamidzi był nieustępliwym duchowym agitatorom. Jak święty Franciszek z Asyżu urodził się w zamożnej rodzinie i oczekiwano, że przejmie rodzinne interesy. Kiedy był chłopcem, w wiosce położonej niedaleko jego wioski spotkał pewnego świętego męża i to doświadczenie wywarło na niego głęboki wpływ. Mając kilkanaście lat, opuścił dom rodzinny tylko w przepasce na biodrach i spędził wiele lat, pielgrzymując do wszystkich świętych miejsc Indii w poszukiwaniu prawdziwego duchowego mistrza. Spotkał podobno sześćdziesięciu świętych i guru, nigdy jednak nie trafił na takiego nauczyciela, jakiego szukał. Głodował, wędrował pieszo, sypiał pod gołym niebem wśród himalajskich śnieżnych zamieci, chorował na malarię, dyzenterię... i te lata spędzone na poszukiwaniu kogoś, kto pokazałby mu Boga, nazywał najszcześniejszymi w swoim życiu. Swamidzi stał się hatha--joginem, ekspertem medycyny i kuchni ajurwedycznej, architektem, ogrodnikiem, muzykiem i mistrzem walki na miecze (to mi się szczególnie podoba). W wieku średnim wciąż nie miał swojego guru, aż pewnego dnia spotkał nagiego, szalonego mędrca,

który kazał mu wracać do domu, z powrotem do wioski, gdzie jako dzieciak spotkał świętego męża, i studiować u tego wielkiego człowieka.

Swamidzi posłuchał, wrócił do domu i został najbardziej oddanym uczniem świętego męża; pod jego kierunkiem osiągnął w końcu oświecenie. Ostatecznie sam został guru. Z czasem jego indyjska aśrama rozrosła się z trzech pomieszczeń farmy na jałowej ziemi w ten bujny ogród, jakim jest dzisiaj. Potem Swamidzi uznał, że powinien wyruszyć w podróż i wywołać ogólnoświatową rewolucję medytacyjną. W roku 1970 przybył do Stanów Zjednoczonych i wszyscy oniemieli z wrażenia. Udzielał świętej inicjacji - *śaktipat* - setkom i tysiącom ludzi dziennie. Posiadał moc o natychmiastowym i przeobrażającym działaniu. Wielebny Eugene Callender (szanowany przywódca walki o prawa obywatelskie, kolega Martina Luthera Kinga Juniora, nadal sprawujący funkcję pastora w kościele baptystów w Harlemie) pamięta, jak spotkał Swamidziego w latach siedemdziesiątych i jak zdumiony opadł na kolana przed tym Hindusem, myśląc: „Nie ma czasu na kombinowanie, to jest to... Ten człowiek wie o tobie wszystko, co warto wiedzieć”.

Swamidzi wymagał entuzjazmu, zaangażowania, samokontroli. Zawsze łajał ludzi za to, że są *dźad*, co w hindi znaczy „opieszali”. W życiu swoich często buntowniczych młodych zachodnich zwolenników wniósł starodawne koncepcje dyscypliny, nakazując im przestać marnować własny (oraz wszystkich innych) czas i energię beztruską hipisowskich bzdurow. Potrafił w jednej chwili rzucić w kogoś laską, w następnej go przytulić. Był osobą skomplikowaną, często kontrowersyjną, ale naprawdę zmieniał świat. To on spowodował, że mamy teraz na Zachodzie dostęp do wielu starożytnych pism jogicznych, ponieważ sam nadzorował przekład i odrodzenie filozoficznych tekstów, od dawna zapomnianych nawet w wielu częściach samych Indii.

Moja guru była najbardziej gorliwą uczennicą Swamidziego. Można powiedzieć, że urodziła się, by być jego uczennicą, ponieważ jej rodzice, Hindusi, znaleźli się wśród pierwszych jego zwolenników. Będąc dzieckiem, często śpiewała po osiemnaście godzin na dobę, niezmordowana w swojej pobożności. Swamidzi zauważył jej zdolności i wziął kilkunastoletnią dziewczynkę do siebie jako tłumaczkę. Podróżowała z nim po całym świecie, tak pilnie obserwując swojego guru, że nawet jego kolana do niej przemawiały, jak się później wyraziła. W 1982 roku, mając dwadzieścia kilka lat, została jego następczynią.

Wszyscy wielcy guru są podobni do siebie pod tym względem, że żyją w nieustannym stanie samorealizacji, różnią się natomiast cechami zewnętrznymi. Oczywiste różnice pomiędzy moją guru a jej mistrzem są ogromne - ona jest sprytną profesjonalistką znającą wiele języków, wykształconą na uniwersytecie; jego można porównać do starego,

południowoindyjskiego lwa, raz kapryśnego, raz iście królewskiego w zachowaniu. Dla porządnej dziewczyny z Nowej Anglii, jak ja, to jest łatwe: pójść za kimś takim jak moja żyjąca nauczycielka, o sposobie bycia tak stosownym, że można by ją przyprowadzić do domu i przedstawić rodzicom. Tymczasem Swamidzi... to była jedna wielka niewiadoma. Kiedy weszłam na tę ścieżkę jogiczną i zobaczyłam fotografie Swamidźiego, i usłyszałam opowieści o nim, pomyślałam sobie już na samym początku: „Po prostu będę trzymała się z dala od tego gościa. Jest dla mnie za wielki. Onieśmiela mnie”.

Teraz, kiedy jestem w Indiach, w tej aśramie, która była jego domem, stwierdzam, że jedyne, czego pragnę, to Swamidzi. Wszystko, co czuję, to Swamidzi. Jest osobą, do której zwracam się w modlitwach i medytacjach. Kanał ze Swamidżim włączony przez okrągłą dobę. Znajduję się tutaj w piecu Swamidźiego i czuję, jak on nade mną pracuje. Nawet po śmierci jest w nim jakaś ziemską obecność. Jest mistrzem, jakiego mi potrzeba w moich zmaganiach, ponieważ mogę go przeklinać i pokazywać mu wszystkie swoje porażki, a on tylko się śmieje. Śmieje się i mnie kocha. Jego śmiech mnie złości, a złość stanowi motywację do działania. A najbardziej czuję jego bliskość podczas *Gurugity*, z tym jej niezgłębionym sanskryckim tekstem. W głowie przez cały czas spieram się ze Swamidżim, rzucając chełpliwe oświadczenia w rodzaju: „Lepiej zrób coś dla mnie, bo ja robię to dla ciebie! Chcę wreszcie widzieć jakieś rezultaty! Lepiej, żeby to było oczyszczające!” Wczoraj tak się wściekłam, kiedy spojrzłam w swój śpiewnik i uświadomiłam sobie, że jesteśmy dopiero przy dwudziestym piątym wersie, a ja nie mogę wysiedzieć, już się pocę (i to nie tak, jak poci się człowiek, ale raczej jak poci się ser), że wykrzyknęłam na głos: „To chyba żarty!” i kilka kobiet obrzuciło mnie zaniepokojonym spojrzeniem, oczekując bez wątplenia, że moja głowa zacznie się obracać w kółko na szyi jak u demona.

Co jakiś czas przypominam sobie, że mieszkałam w Rzymie i spędzałam leniwe poranki na jedzeniu słodkich ciastek, picciu cappuccino i czytaniu gazety.

To było naprawdę przyjemne.

Choć wydaje się takie odległe.

Dziś rano zasnęłam. Obudziłam się kwadrans po czwartej, co dla osoby gnuśnej jak ja i tak jest nieludzką porą. Za kilka minut rozpoczynała się *Gurugita*. Zmobilizowałam się do wstania z łóżka, opłukałam wodą twarz, ubrałam - czując się rozdrażniona i pełna urazy - podeszłam do drzwi, żeby ruszyć w czarny jak smoła mrok przedświt... i odkryłam, że moja współlokatorka już wyszła z pokoju i zamknęła mnie na głucho.

Jak to się mogło stać? Pokój nie jest duży i trudno nie zauważyć, że współlokatorka wciąż śpi w łóżku obok. A ona jest odpowiedzialną, praktyczną Australijką... matką pięciorga dzieci. To zupełnie nie w jej stylu. A jednak to zrobiła. Zamknęła mnie w pokoju na kłódkę.

Moja pierwsza myśl: *Lepszego powodu, żeby wymigać się od Gurugity, już nie będzie.* A druga myśl? Cóż... nawet nie myśl. Działanie.

Wyskoczyłam przez okno.

Mówiąc ściśle, przeczółgałam się na drugą stronę balustrady, chwyciłam się jej spoconymi rękoma i wisząc przez chwilę w ciemności, na wysokości pierwszego piętra, zadałam sobie wreszcie rozsądne pytanie: „Dlaczego stąd wyskakujesz?” Odpowiedź przyszła z gwałtowną, bezosobową determinacją: *Muszę zdążyć na Gurugitę.* Potem puściłam balustradę i poleciałam w dół jakieś dwanaście do piętnastu stóp, spadłam na betonowy chodnik, po drodze zawadzając o coś, co zdarło mi z prawej łydki długi pasek skóry, ale się tym zupełnie nie przejęłam. Pozbierałam się i pobiegłam boso, czując, jak tętni mi w uszach, do świątyni, gdzie znalazłam sobie miejsce, otworzyłam modlitewnik dokładnie w momencie, w którym rozpoczął się śpiew i - z krwawiącą przez cały czas nogą - zaczęłam śpiewać Gurugitę.

Dopiero po kilku wersach odzyskałam oddech i byłam w stanie włączyć tę swoją normalną, instynktowną, poranną myśl. *Nie chcę tutaj być.* Po czym usłyszałam, jak Swamidzi wybuchł śmiechem w mojej głowie i mówi: *Zabawne... bo zachowujesz się jak ktoś, kto bardzo chce tutaj być.*

A ja mu odpowiedziałam: *W porządku. Wygrałeś.*

Siedziałam tam, śpiewałam i krwawiłam, i myślałam, że może przyszedł czas, żebym zmieniła stosunek do tego konkretnego duchowego ćwiczenia. *Gurugita* ma być pieśnią czystej miłości, mnie coś jednak powstrzymywało od szczerego jej ofiarowania. Więc śpiewając kolejne wersy, uświadomiłam sobie, że muszę znaleźć coś - lub kogoś - komu

mogłabym tę pieśń poświęcić, by odnaleźć w sobie miejsce czystej miłości. Przy dwudziestym wersie już wiedziałam: N i c k .

Nick, mój siostrzeniec, jest ośmiolatkiem, chudym jak na swój wiek, strasznie inteligentnym, przerażająco bystrym, wrażliwym i skomplikowanym. Już kilka minut po urodzeniu był jedynym spośród rozwrzeszczanych noworodków w sali poporodowej, który nie płakał; rozglądał się tylko wokół dorosłymi, mądrymi i zakłopotanymi oczyma, jakby robił już to wszystko tyle razy, że nie jest pewien, czy warto się podniecać tym, że znów musi to robić. Jest dzieckiem, dla którego życie nigdy nie jest proste, które słyszy, widzi i czuje wszystko naprawdę intensywnie, które może tak szybko poddać się jakiejś emocji, że wszystkich nas wyprowadza tym z równowagi. Kocham tego chłopca miłością głęboką i opiekuńczą. Zorientowałam się - obliczając różnicę czasu pomiędzy Indiami i Pensylwanią - że zbliża się pora, kiedy on chodzi spać. Zaśpiewałam więc *Gurugitę* dla mojego siostrzeńca, Nicka, żeby pomóc mu zasnąć. Czasami miewa z tym kłopot, bo nie może uspokoić umysłu. Zatem każde pobożne słowo tej pieśni zadedykowałam Nickowi. Nappełniłam tę pieśń wszystkim, czego chciałam nauczyć go o życiu. Każdym wersem próbowałam dodać mu pewności, że choć ten świat bywa czasami trudny i niesprawiedliwy, to nic nie szkodzi, bo on, Nick, jest otoczony tak wielką miłością. Są przy nim ludzie, którzy zrobią dla niego wszystko. I nie tylko to... on sam posiada własną mądrość i cierpliwość, ukryte głęboko we wnętrzu, które ujawnią się z upływem czasu, a ja pomogę mu przejść każdą próbę. Jest dla nas wszystkich darem od Boga. Powiedziałam mu to za pośrednictwem tego starego świętego sanskryckiego tekstu i już po chwili poczułam, że po twarzy spływają mi chłodne łzy. Zanim jednak zdążyłam je otrzeć, *Gurugita* dobiegła końca. Minęło półtorej godziny. Miałam wrażenie, że minęło zaledwie dziesięć minut. Zorientowałam się, co zaszło - to Nicky przeniósł mnie przez nią. Malec, któremu chciałam pomóc, w rzeczywistości pomagał mnie.

Wyszłam na zewnątrz i stając przodem do świątyni, pokłoniłam się do samej ziemi, wyrażając wdzięczność Bogu, doniosłej sile miłości, sobie, mojej guru i mojemu siostrzeńcowi... w jednej bowiem chwili pojęłam na poziomie molekularnym (nie na intelektualnym), że nie ma absolutnie żadnej różnicy pomiędzy tymi słowami, tymi ideami czy tymi ludźmi. Potem wślizgnęłam się do groty medytacyjnej, gdzie przesiedziałam niemal dwie godziny, przepełniona spokojem, zapomniawszy o śniadaniu.

Nie muszę chyba mówić, że potem ani razu nie opuściłam *Gurugity* i jej śpiewanie stało się dla mnie największą świętością w aśramie. Oczywiście Richard robił sobie żarty w związku z moim skokiem przez okno, nigdy nie zapominał też powtarzać po kolacji: „Do zobaczenia jutro rano podczas Pieśni, Żarełko. Aha, słuchaj... spróbuj tym razem zejść

schodami, dobrze?” A kiedy w następnym tygodniu zadzwoniłam do siostry, powiedziała mi, że nagle, jak ręką odjął, skończyły się kłopoty Nicka z zasypianiem. No i oczywiście kiedy kilka dni później czytałam w bibliotece pewną księgę o hinduskim świętym Śri Ramakrisznie, natrafiłam przypadkiem na historię pewnej kobiety, która przyszła do wielkiego mistrza, by wyznać mu, że boi się, iż nie jest dość pobożna i nie dość kocha Boga. A święty spytał: „Czy nie kochasz nikogo?” Kobieta przyznała, że najbardziej na świecie kocha swojego małego siostrzeńca. Święty rzekł wtedy: „No proszę. On jest twoim Kryszną, osobą ci najbliższą. Troszcząc się o siostrzeńca, służysz Bogu”.

Wszystko to nie jest jednak ważne. Najbardziej zdumiewająca rzecz wydarzyła się tego samego dnia, którego wyskoczyłam przez okno. Tamtego popołudnia wpadłam na Delię, moją współlokatorkę. Wspomniałam o tym, że zamknęła mnie w pokoju. Była wstrząśnięta.

- Nie rozumiem, jak mogłam coś takiego zrobić! - zawołała. - Tym bardziej że cały ranek myślałam o tobie. Tamtej nocy śniłaś mi się jak żywa. Przez cały dzień nie mogłam przestać myśleć o tym śnie.

- Opowiedz mi o nim - poprosiłam.

- Śniło mi się, że płoniesz - powiedziała Delia - i że twoje łóżko też stoi całe w płomieniach. Skoczyłam ci na ratunek, ale zanim do ciebie dotarłam, byłaś już tylko białym popiołem.

55

Właśnie wtedy zdecydowałam, że powinnam przedłużyć pobyt w aśramie. Było to kompletnie wbrew moim pierwotnym planom. Miałam tu spędzić sześć tygodni, doznać nieco transcendentnych przeżyć, po czym ruszyć w dalszą podróż po Indiach... hmm... w poszukiwaniu Boga. Miałam mapy i przewodniki, i buty do pieszej wędrówki, wszystko! Miałam też listę konkretnych świątyń i meczetów, które chciałam zobaczyć, i świętych mężów, których chciałam spotkać. W końcu to przecież Indie! Jest tutaj tyle do obejrzenia i do przeżycia. Tyle mil do pokonania, świątyń do zwiedzenia, słoni i wielbłądów do ujeżdżenia! I będę zdruzgotana, jeśli nie zobaczę Gangesu, wielkiej pustyni Thar w Radżasthanie, zbikowanych kin Bombaju, Himalajów, starych plantacji herbaty, rikszy w Kalkucie ścigających się ze sobą jak rydwany w *Ben Hurze*. Planowałam nawet na marzec

spotkanie z Dalajlamą, wysoko w Dharamśali. Miałam nadzieję, że to on nauczy mnie o Bogu.

Tkwic na miejscu, zaszyć się w małej aśramie, obok maleńkiej osady, daleko od wszystkiego... nie, nie taki był mój plan.

Mistrzowie zen wszakże powtarzają, iż nie można zobaczyć swojego odbicia w płynącej wodzie, tylko w stojącej. Coś więc mi mówiło, że byłoby duchową nonszalancją uciekać teraz, kiedy tyle się dzieje tutaj, w tym małym, odosobnionym miejscu, gdzie każda minuta dnia jest zorganizowana po to, by ułatwić zgłębianie siebie i praktyki religijne. Czy rzeczywiście akurat teraz jest mi potrzebna podróż pociągami, łapanie pasożytów przewodu pokarmowego i przebywanie w towarzystwie pieszych turystów? Czy nie mogę zrobić tego później? Czy nie mogę zobaczyć Dalajlamy kiedy indziej? Przecież on będzie tam zawsze. (A gdyby umarł, Boże broń, czyż nie znajdą kolejnego?) Mój paszport już i tak wygląda jak pokryta tatuażami skóra cyrkówki. Czy dalsza podróż rzeczywiście przybliży mnie do Boga na tyle, że doznam objawienia?

Nie wiedziałam, co robić. Cały dzień się zastanawiałam. Jak zwykle ostatnie słowo należało do Richarda z Teksasu.

- Siedz na miejscu, Żarełko - powiedział. - Zapomnij na razie o zwiedzaniu... masz na to resztę życia. Jesteś teraz na wędrówce duchowej, dziecino. Nie wykręcaj się, wykorzystując jedynie połowę swojego potencjału. Masz tutaj osobiste zaproszenie od Boga... naprawdę zamierzasz je odrzucić?

- Ale co z tymi wszystkimi pięknymi miejscami w Indiach? - spytałam. - Czy nie szkoda przejechać pół świata po to tylko, żeby cały czas przesiedzieć w małej aśramie?

- Żarełko, dziecino, posłuchaj swojego przyjaciela Richarda. Idź i sadzaj swój biały jak lilia tyłek w grocie medytacyjnej przez następne trzy miesiące, a ja ci obiecuję... zaczniesz widzieć rzeczy tak cholernie piękne, że będziesz miała ochotę ciskać kamieniami w Tadž Mahal.

Zastanawiałam się, gdzie będę mieszkała, kiedy skończy się ten rok podróżowania. Nie chcę wracać do Nowego Jorku na zasadzie odruchu. Może tak jakieś inne miasto zamiast niego? Podobno Austin jest sympatyczne. A w Chicago mają całą tę piękną architekturę. Tyle że tamtejsze zimy są okropne. A może zamieszkać za granicą? Słyszałam dobre opinie na temat Sydney... Gdybym mieszkała w jakimś tańszym od Nowego Jorku miejscu, może stać by mnie było na dodatkową sypialnię i wtedy miałabym osobny pokój do medytacji! To dopiero byłoby miłe. Mogłabym pomalować go na złoto. A może na głęboki błękit. Nie, złoto. Nie, błękit...

Kiedy wreszcie się zorientowałam, jakim torem podążają moje myśli, byłam wstrząśnięta. Pomyślałam sobie: *Oto jesteś tutaj, w Indiach, w aśramie, w jednym z najświętszych miejsc pielgrzymowania na ziemi. I zamiast komunikować się z Bogiem, próbujesz zaplanować sobie, gdzie będziesz medytować za rok, w domu, którego jeszcze nie ma, w mieście, które dopiero wybierzesz. I co ty na to, pokręcona idiotko... może byś tak pomedytowała tutaj, teraz, w miejscu, w którym się w tej chwili znajdujesz?*

Ponownie skierowałam całą uwagę na bezgłośnie powtarzanie mantry.

Kilka chwil później zrobiłam małą przerwę, żeby odwołać to wredne określenie, pokręcona idiotka, jakim się obdarzyłam. Doszłam do wniosku, że może jednak za mało w tym miłości.

Tak czy owak, pomyślałam w następnej chwili, *miło byłoby mieć złoty pokój do medytacji.*

Otworzyłam oczy i westchnęłam. Czy tylko na tyle mnie stać?

Jeszcze tego samego wieczoru spróbowałam czegoś nowego. Niedawno spotkałam w aśramie pewną kobietę, która uczyła się medytacji Vipassana. Vipassana to ultra-ortodoksyjna, surowa i bardzo intensywna buddyjska technika medytacyjna. Zasadniczo, to tylko s i e d z e n i e . Wstępny kurs Vipassany trwa dziesięć dni, podczas których siedzi się w milczeniu po dwie, trzy godziny, razem dziesięć godzin dziennie. To ten rodzaj transcendencji, który można zaliczyć do kategorii sportów ekstremalnych. Nauczyciel Vipassany nie da ci nawet mantry; uważano by to za oszustwo. Ta medytacja to ćwiczenie czystego skupiania uwagi, obserwowania własnego umysłu i całkowitej koncentracji na przebiegu naszych myśli, niepozwalaniu, by cokolwiek ruszyło nas z miejsca.

Trzeba przyznać, że jest to bardzo wyczerpujące fizycznie. Kiedy już usiądziesz, nie wolno ci w ogóle się poruszać, nieważne jak bardzo ci niewygodnie. Po prostu siedzisz i powtarzasz sobie: „Nie ma żadnego powodu, żebym się poruszała przez następne dwie godziny”. Jeśli ci niewygodnie, to masz medytować nad tą niewygodą, obserwując wpływ,

jaki ból fizyczny na ciebie wywiera. W naszym realnym życiu nieustannie się trzepoczemy, żeby nie uwierały nas problemy fizyczne, emocjonalne ani psychiczne, broniąc się przed smutkiem i zgryzotą. Vipassana naucza, że smutek i zgryzota są w tym życiu nieuniknione, ale jeśli potrafisz wystarczająco długo wysiedzieć nieruchomo, z czasem doświadczysz prawdy, że wszystko (zarówno to, co niemiłe, jak piękne) zawsze w końcu przeminie.

„Świat nęka ją śmierć i rozkład, dlatego mądrzy, znając charakter tego świata, nie ubolewają nad nim”, mówi stara buddyjska nauka. Innymi słowy: Przyzwyczaj się do tego.

Nie sądzę, by Vipassana była najlepszą ścieżką dla mnie. Jest nazbyt surowa jak na moje pojęcie o religijnych praktykach, które na ogół kręcą się wokół miłosierdzia, miłości, motylków, szczęśliwości, przyjaznego Boga (tego wszystkiego, co mój przyjaciel Darcey nazywa „teologią pizamowego kinderbalu”). W Vipassanie nie mówi się nawet o „Bogu”, ponieważ pojęcie Boga uważane jest przez niektórych buddystów za końcowy obiekt uzależnienia, ostatnią dającą poczucie bezpieczeństwa przystankę, którą należy porzucić na drodze do pełnego zdystansowania się. Szczerze mówiąc, mam kłopot z samym pojęciem „dystansowania się”, bo spotkałam już niejednego poszukiwacza duchowości żyjącego w kompletnym oderwaniu emocjonalnym od innych istot ludzkich i kiedy taki rozprawia o świętym poszukiwaniu dystansu, mam ochotę potrząsnąć nim i wrzasnąć: „Stary, akurat ty nie musisz się tego uczyć!”

A przecież potrafię dostrzec, kiedy w życiu pewna dawka rozsądnego niezaangażowania może być cennym narzędziem do uzyskania spokoju. I pewnego popołudnia w naszej bibliotece, po lekturze na temat medytacji Vipassana, zaczęłam myśleć o tym, ile czasu w życiu spędzam, ciskając się jak wielka wyjęta z wody ryba albo wrywając jakiejś nieznośnej udręce, albo szukając łakomie kolejnych przyjemności. I zastanawiałam się, czy będzie mi to służyć (mnie i tym wszystkim, którzy są obarczeni zadaniem kochania mnie), jeśli nauczę się tkwić nieruchomo i wytrzymywać odrobinę więcej, zamiast zawsze dawać się tylko wlec po wyboistej drodze nadarzających się okoliczności.

Wszystkie te pytania powróciły do mnie tego ranka, kiedy znalazłam sobie spokojną ławeczkę w jednym z ogrodów aśramy i postanowiłam na niej pomedytować przez godzinę... w stylu Vipassany. Bez najmniejszego poruszenia, bez zmiany pozycji, nawet bez mantry... czyste skupienie. Zobaczymy, co się pojawi. Niestety, zapomniałam, co „się pojawia” w Indiach o zmierzchu: komary. Ledwie usiadłam na ławce o tej uroczej szarej godzinie, kiedy usłyszałam bzyczenie ruszających na mnie owadów; muskały moją twarz, lądowały - w zbiorowym ataku - na głowie, kostkach nóg, na ramionach. A potem pieczenie tych

niezliczonych drobnych ukłuć. Nie podobało mi się to. Pomyślałam, że to zła pora na praktykowanie medytacji Vipassana.

Kiedy jednak jest ta odpowiednia pora dnia czy życia, żeby siedzieć nieruchomo w całkowitym oderwaniu od wszystkiego? Kiedy jest tak, że nic nie byczy ci przy uchu, próbując zawładnąć twoją uwagą i sprowokować cię do działania? Podjęłam zatem decyzję (ponownie zainspirowana pouczeniem mojej guru, że mamy być badaczami naszych własnych wewnętrznych przeżyć). Tytułem eksperymentu postanowiłam sprawdzić, co się stanie, jeśli raz to przesiedzę. Co, jeśli zamiast oganiać się i rozkwasać na sobie komary, przesiedzę tę niewygodną sytuację chociaż przez godzinę mojego długiego życia?

Tak zrobiłam. Znieruchomiła obserwowałam, jak dobierają się do mnie komary. Mówiąc całkiem szczerze, jakaś część mnie zastanawiała się, o co chodzi w tym eksperymentyku, w którym miałam odgrywać rolę twardziela, inna jednak część dobrze wiedziała... miała to być próba samokontroli osoby początkującej. Gdybym potrafiła przesiedzieć ten nie zagrażający życiu fizyczny dyskomfort, to jakie inne nieprzyjemności byłabym w stanie przetrwać w przyszłości? Co z dyskomfortem emocjonalnym, doskwierającym mi jeszcze bardziej? Co z zazdrością, gniewem, lękiem, rozczarowaniem, samotnością, wstydem, nudą?

Na początku swędzenie było obłędne, w końcu jednak zlało się w ogólne uczucie szczypania, a ja złagodziłam to pieczenie do stanu łagodnej euforii. Pozwoliłam, by ból przestał się z czymkolwiek kojarzyć, a stał się samym doznaniem - ani dobrym, ani złym, tylko intensywnym; intensywność wydobyła mnie z siebie i przeniosła do stanu medytacji. Siedziałam tam dwie godziny. Ptak mógłby wylądować na mojej głowie; nie zauważyłabym.

Jedno chciałabym wyraźnie zaznaczyć. Wiem, że ten eksperyment nie był najbardziej stoickim aktem odwagi w historii ludzkości, i nie proszę o Medal Honorowy Kongresu. Niemniej całkiem emocjonująca była myśl, że podczas trzydziestu czterech lat życia n i g d y nie powstrzymałam się przed trzaśnięciem komara, który mnie ukłuł. Byłam marionetką i w tym przypadku, i w milionach innych drobnych i wielkich sygnałów bólu lub przyjemności przez całe moje życie. Kiedy coś się dzieje, zawsze reaguję. I proszę, tutaj... zlekceważyłam ten odruch. Udało mi się coś, czego nie zrobiłam nigdy wcześniej. Drobiazg, zgoda, ale jak często mam okazję powiedzieć coś takiego o sobie? A co będę w stanie zrobić jutro, czego nie potrafię zrobić dzisiaj?

Kiedy było po wszystkim, wstałam, wróciłam do swojego pokoju i oceniłam szkody. Doliczyłam się około dwudziestu bąbli. Jednak po półgodzinie zmałyły. Ustępują. Ostatecznie przecież wszystko przemija.

Poszukiwanie Boga stanowi odwrócenie normalnego przyziemnego porządku świata. Poszukując Boga, odwracamy się od tego, co nas pociąga, i płyniemy ku temu, co jest trudne. Porzucamy krzepiące, dobrze nam znane zwyczaje z nadzieją (to tylko nadzieja!), że w zamian za to, z czego zrezygnowaliśmy, otrzymamy coś wspanialszego. Wszystkie religie świata koncentrują się na podobnym pojmowaniu sposobu postępowania prawdziwego wyznawcy - powinien wcześniej wstawać i modlić się do swojego Boga, doskonalić cnoty, być dobrym sąsiadem, szanować siebie i innych, panować nad ządzami. Wszyscy się zgadzamy, że łatwiej byłoby pospać sobie dłużej, i wielu z nas tak robi, ale od tysiącleci są też ci inni, którzy wstają przed świtem, obmywają twarz i udają się na modły. A potem zawzięcie trzymają się swoich przekonań religijnych pośród szaleństwa, jakie niesie ze sobą kolejny dzień.

Pobożni tego świata odprawiają rytuały bez żadnej gwarancji, że kiedykolwiek wyjdzie z nich coś dobrego. Oczywiście jest mnóstwo świętych pism i kapłanów, którzy obiecują wiele za dobre uczynki (albo grożą karami za uchybienia), ale ufanie tym zapowiedziom jest jedynie aktem wiary, nikt bowiem spośród nas nigdy nie widział końcówki. Pobożność to skrupulatność bez odrobiny pewności. Wiara to sposób mówienia: „Tak, przyjmuję a priori warunki wszechświata i z góry akceptuję to, czego teraz nie jestem zdolny pojąć”. Nie bez powodu mówimy o „przyjmowaniu na wiarę”... jako że niełatwo jest przyjąć koncepcję pierwiastka boskiego i przejść od tego, co racjonalne, do tego, co niepoznawalne, i nie obchodzi mnie, jak niezmordowanie uczeni każdej religii będą nas zarzucać książkami i udowadniać za pomocą świętych pism, że ich wiara jest racjonalna; bo nie jest. Gdyby wiara miała charakter racjonalny, nie byłaby - z definicji - wiarą. Wiara to wierzenie w coś, czego nie możemy zobaczyć, udowodnić ani dotknąć. Wiara to podążanie na oślep, na łeb, na szyję, w mrok. Gdybyśmy naprawdę z góry znali wszystkie odpowiedzi dotyczące istoty życia oraz natury Boga i przeznaczenia naszych dusz, nie musielibyśmy przyjmować tego wszystkiego na wiarę i taka wiara nie byłaby odważnym aktem człowieczeństwa; byłaby po prostu... roztropną polisą ubezpieczeniową.

Nie interesuje mnie rynek ubezpieczycieli. Jestem zmęczona własnym sceptycyzmem, zirytowana duchową roztropnością i znudzona debatą empiryczną. Nie chcę już tego więcej słuchać. Nie obchodzą mnie świadectwa, dowody i zapewnienia. Chcę po prostu Boga. Chcę

Go w sobie. Pragnę, żeby Bóg igrał w moim krwiobiegu, tak jak światło słońca tańczy po powierzchni wody.

58

Moje modlitwy stają się coraz bardziej przemyślane i konkretne. Przyszło mi do głowy, że nie ma wielkiego sensu ślać modłów do wszechświata, jeśli są one leniwe. Codziennie rano, przed medytacją, klękam w świątyni i przez kilka minut przemawiam do Boga. Na początku pobytu w aśramie zauważyłam, że często podczas tych rozmów z Bogiem jestem dość otepiała. Byłam zmęczona, zdezorientowana i znudzona, a moje modlitwy brzmiały tak samo. Pamiętam, jak uklękałam pewnego ranka, dotknęłam czołem podłogi i wymamrotałam do mojego Stwórcy: „Och, nie mam pojęcia, czego chcę... ale Ty na pewno masz jakieś pomysły... więc po prostu zrób coś w tej sprawie, dobrze?” Przypominało to sposób, w jaki często zwracałam się do swojej fryzjerki. Poza tym, muszę przyznać, że to chyba kiepsko brzmi. Można sobie wyobrazić, jak Bóg słucha tej modlitwy z uniesioną brwią i rewanżuje się takim przesłaniem: „Zgłoś się do mnie ponownie, kiedy już podejdziesz do sprawy poważnie”. *O c z y w i ś c i e*, Bóg już wie, czego mi potrzeba.

Rzecz w tym... czy ja wiem? Rzucanie się do boskich stóp w akcie bezradnej desperacji jest całkiem w porządku - niebiosą świadkiem, robiłam to wielokrotnie - jednak wyniesie się znacznie więcej z tego doświadczenia, jeśli da się coś od siebie. Jest taki cudowny włoski dowcip o biedaku, który chodzi codziennie do kościoła i modli się przed figurą wielkiego świętego, błagając: „Drogi święty... proszę, bardzo proszę... spraw, abym wygrał na loterii”. Ten lament trwa przez wiele miesięcy. Wreszcie doprowadzona do ostateczności postać ożywa, spogląda na błagającego człowieka i znużonym głosem oświadcza: „Mój synu... proszę, bardzo proszę... *k u p 1 o s*”.

Modlitwa to związek; połowa zadania należy do mnie. Jeśli pragnę przemiany, a nie chce mi się nawet jasno wyrazić, o co mi konkretnie chodzi, to w jaki sposób ma do niej dojść? Połowa pożytku z modlitwy zawarta jest w samej prośbie, w klarownie przedstawionej i dobrze rozważonej intencji. Bez tego nasze prośby i pragnienia nie mają żadnego charakteru, są mdłe, mizerne; klębią się zimną mgłą u naszych stóp i nigdy się nie unoszą. Zatem teraz każdego ranka poświęcam czas na przeszukanie siebie, żeby znaleźć tę konkretną rzecz, o

którą rzeczywiście proszę. Klęczę tam, w świątyni, twarzą dotykając zimnego marmuru, tyle czasu, ile zajmuje mi sformułowanie autentycznej modlitwy. Jeśli nie czuję w sobie szczerości, nie ruszam się z podłogi tak długo, aż ją poczuję. To, co udało się wczoraj, nie musi się udać dzisiaj. Modlitwy mogą tracić świeżość i stawać się nudne i oklepane, jeśli tylko pozwolimy sobie na stagnację uwagi. Starając się zachować czujność, przyjmuję na siebie rolę strażniczki odpowiedzialnej za stan własnej duszy.

Wydaje mi się, że przeznaczenie to także związek - połączenie Bożej łaski z naszym świadomym wysiłkiem. Nad połową nie mamy żadnej kontroli; druga połowa jest całkowicie w naszych rękach, a nasze działania przynoszą wymierne efekty. Człowiek nie jest ani marionetką bogów, ani jedynym panem samego siebie; jest pierwszym i drugim po trochu. Galopujemy przez życie jak artyści cyrkowi, balansując na biegnących obok siebie koniach - jedna stopa spoczywa na koniu zwanym „przeznaczenie”, druga na koniu zwanym „wolna wola”. A pytanie, jakie musimy sobie codziennie zadawać, brzmi: Który to koń? Którym koniem powinnam przestać się zamartwiać, ponieważ nie mam nad nim żadnej kontroli, a którym muszę kierować ze zdwojonym wysiłkiem?

Jest w moim życiu wiele spraw, które muszę zostawić swojemu biegowi, inne jednak zależą wyłącznie ode mnie. Pewne losy na loterii mogę kupić, zwiększając tym samym swoją szansę na zadowolenie. Mogę decydować, jak spędzam czas, z kim się widuję, z kim dzielę łożę i życie, komu daję pieniądze i poświęcam energię. Mogę wybierać, co jem, czytam i czego się uczę. Mogę traktować nieszczęśliwe wydarzenia w swoim życiu jako przekleństwo albo daną mi okazję (a wtedy, gdy nie potrafię wznieść się do tego najbardziej optymistycznego punktu widzenia, bo zbyt często nad sobą użalam, mogę wpłynąć na zmianę swojego poglądu). Mogę dobierać słowa i ton głosu, jakich używam w stosunku do innych. A nade wszystko, mogę wybierać sobie myśli.

Ten ostatni koncept jest dla mnie całkowicie nowym pomysłem. Richard z Teksasu zwrócił mi na to ostatnio uwagę, kiedy narzekałam, że nie mogę się powstrzymać od nieustannego rozpamiętywania. Powiedział: „Żarełko, musisz się nauczyć dobierać myśli tak samo, jak codziennie decydujesz, co na siebie włożysz. To umiejętność, którą możesz w sobie rozwinąć. Skoro tak bardzo ci zależy, żeby sprawować kontrolę nad własnym życiem, popracuj nad umysłem. To jedyne, czym powinnaś starać się sterować. Na resztę możesz machnąć ręką. Bo jeśli nie potrafisz zapanować nad swoim myśleniem, nigdy nie wygrzebiez się z kłopotów”.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to zadaniem niemal niewykonalnym. Sterować własnymi myślami? A nie odwrotnie? Wyobraźmy sobie jednak, że jest to możliwe. Nie

chodzi tu o zaprzeczenie ani wyparcie. Te mechanizmy psychiczne przejawiają się w zawiłych grach, pozwalających udawać, że nie ma negatywnych myśli ani uczuć. Richard mówi, żeby zamiast tego przyznać, że negatywne myśli istnieją, zrozumieć, skąd się wzięły i dlaczego się pojawiły, a potem - odważnie i wyrozumiale - odpędzić je. Jest to ćwiczenie, które łączy się z pracą wykonywaną podczas psychoterapii. Można wykorzystać gabinet psychoterapeuty, aby zrozumieć przede wszystkim, skąd te destrukcyjne myśli; można zastosować ćwiczenia duchowe, które pomogą je pokonać. Pozwolić im odejść jest oczywiście pewnym poświęceniem. Oznacza utratę starych przyzwyczajęń, wygodnych, zapiekłych pretensji i dobrze znanych obrazków z przeszłości. Naturalnie wszystko to wymaga wysiłku i ćwiczeń. Nie jest to umiejętność, którą można opanować od pierwszego razu. Wymaga stałej czujności i ja zamierzam ją zachować. Muszę ją zachować, jeżeli mam wykazać się siłą. *Devo farmi ossa*, jak mówią po włosku. „Muszę wzmocnić kości”.

Zacząłam więc czujnie obserwować i kontrolować swoje myśli przez całe dni. Jakieś siedemset razy dziennie powtarzam przysięgę: „Mój umysł nie będzie już przystanią dla niezdrowych myśli”. Za każdym razem, kiedy jakaś niecna myśl pojawi się w mojej głowie, niezmordowanie powtarzam: „Mój umysł nie będzie już przystanią dla niezdrowych myśli”. Słyszając, jak pierwszy raz wymawiałam te słowa, moje ucho wewnętrzne samo się nadstawiło i reaguje na słowo „przystań”. Przzystań jest oczywiście miejscem schronienia, portem przybycia. Wyobraziłam sobie ten port swojego umysłu - nękało go wiele sztormów i nie jest w najlepszym stanie, ale za to ma niezłe położenie i wcale nie jest płytki. Przzystań mojego umysłu, położona nad otwartą zatoką, jest tym jedynym miejscem, z którego można dostać się na wyspę mojego Ja (wyspa jest młoda i wulkaniczna, ale jest żyzna i daje nadzieję). Prawda, doświadczyła kilku wojen, jednak obecnie jest oddana sprawie pokoju, dzięki nowemu przywódcy (to ja), który wprowadził nową politykę, by chronić wyspę. I teraz - niech wieść o tym niesie się przez morza i oceany - przybywający zetkną się z o wiele ostrzejszymi przepisami.

Nie mają tu wstępu zawzięte i napastliwe myśli, przyplływające na zadzumionych żaglowcach, statkach z niewolnikami, wojennych okrętach myśli - wszystkie zostaną odesłane. To samo dotyczy statków przenoszących gniewnych albo wygłodniałych banitów, malkontentów i pamflecistów, buntowników i brutalnych skrytobójców, zdesperowane prostytutki, alfonsów i podróżujących na gapę wywrotowców... wam też już dziękujemy. Myśli kanibalistyczne z oczywistych powodów nie będą przyjmowane. Nawet misjonarzy starannie się odsieje, na podstawie kryterium szczerości. To spokojna przzystań, wrota pięknej i dumnej wyspy, która dopiero teraz zaczyna kultywować spokój. Jeśli możecie przestrzec

tych praw, moje drogie myśli, jesteście w moim umyśle mile widziane... w przeciwnym razie zawrócę was wszystkie na morze, skąd przybyłyście.

Taka jest moja misja i będzie trwała bez końca.

59

Zaprzyjaźniłam się z siedemnastoletnią Hinduską o imieniu Tulsi. Dziewczyna szoruje ze mną codziennie świątynne posadzki. Każdego wieczoru chodzimy na spacer po ogrodach aśramy i rozmawiamy o Bogu i muzyce hiphopowej, na te dwa tematy, które Tulsi traktuje z jednakowym nabożeństwem. Tulsi jest uroczym mołem książkowym - jeszcze bardziej uroczym od zeszłego tygodnia, kiedy jedno szkło „kularów” (jak mówi) pokryło się gęstą pajęczyną spękań, co wcale jej nie przeszkadza ich zakładać. Tulsi stanowi dla mnie źródło wielu ciekawych i nowych spostrzeżeń, jest bowiem jednocześnie nastolatką, chłopczycą, Hinduską, zbuntowaną córką, osobką tak zwariowaną na punkcie Boga, jakby była zakochaną w Nim uczennicą. Poza tym mówi rozkoszną, śpiewną angielszczyzną, jaką słyszy się tylko w Indiach... zawierającą takie kolonialne wykrzykniki, jak „wybornie!” i „nonsens!”, a czasami przejawiającą się w malowniczych stwierdzeniach w rodzaju: „Jest rzeczą zbawienną spacerować po trawie rankiem, kiedy rosa się już zebrała, jako że obniża to w sposób naturalny i przyjemny temperaturę ciała”. Kiedy powiedziałam Tulsi, że wybieram się na jeden dzień do Bombaju, oświadczyła: „Stój, proszę, ostrożnie, bo zobaczysz, ile tam wszędzie pędzących autobusów”.

Jest dokładnie o połowę młodsza ode mnie i praktycznie o połowę mniejsza.

Ostatnio podczas spacerów dużo rozmawialiśmy o małżeństwie. Tulsi skończy niedługo osiemnaście lat i będzie odtąd traktowana jako pełnoprawna kandydatka do małżeństwa. Polega to na tym, że po osiemnastych urodzinach będzie się pojawiać na rodzinnych ślubach odziana w sari, które jest oznaką kobiecości. Jakaś miła *amma* („cioteczka”) przyjdzie, usiądzie obok niej i zacznie wypytywać: „Ile masz lat? Z jakiej podchodzisz rodziny? Czym zajmuje się ojciec? Na jakie uczelnie złożyłaś dokumenty? Czym się interesujesz? Kiedy obchodzisz urodziny?” I nim się Tulsi zorientuje, jej ojciec dostanie pocztą dużą kopertę ze zdjęciem wnuka tej „cioteczki”, który studiuje informatykę w Delhi, z

jego wykresami astrologicznymi i stopniami z indeksu oraz nieuniknionym pytaniem: „Czy pańska córka zechciałaby go poślubić?”

- To jest do bani - oświadcza Tulsi.

Dla rodziny udane wydanie za mąż i ożenek dzieci znaczy bardzo wiele. Tulsi ma ciotkę, która właśnie ogoliła głowę w geście dziękczynnym, ponieważ jej najstarsza córka - w sędziwym wieku dwudziestu ośmiu lat - wreszcie wyszła za mąż. Niełatwo ją było wydać; jej sytuacja nie przedstawiała się korzystnie. Spytałam Tulsi, z jakiego powodu może być trudno wydać za mąż indyjską dziewczynę, a ona odpowiedziała, że jest wiele powodów.

- Jeśli ma zły horoskop. Jeśli jest za stara. Jeśli ma zbyt ciemną skórę. Jeśli jest za dobrze wykształcona i nie można znaleźć mężczyzny z wyższą pozycją, a w dzisiejszych czasach to problem powszechny, ponieważ kobieta nie może być lepiej wykształcona od męża. Albo jeśli miała z kimś romans i cała społeczność o tym wie, och, po czymś takim byłoby dość trudno znaleźć męża...

Przyjrzałam się sobie pod kątem tego, jakie miałabym szanse na małżeństwo w społeczeństwie Indii. Nie wiem, czy mój horoskop jest dobry czy zły, ale jestem zdecydowanie za stara i o wiele za dobrze wykształcona, a o mojej moralności mówiono na forum publicznym (i to źle)... nie, nie byłabym dobrą kandydatką na indyjską żonę. Przynajmniej skórę mam jasną. Jedyne to przemawia na moją korzyść.

W ubiegłym tygodniu Tulsi musiała iść na ślub kolejnej kuzynki i z tej okazji przyznała się (zupełnie nie w indyjskim stylu), jak bardzo nienawidzi ślubów. Tych wszystkich tańców i plotek. Tego strojenia się. Wolałaby zostać w aśramie, szorować podłogi i medytować. Nikt w rodzinie tego nie rozumie; jej oddanie Bogu wykracza daleko poza to, co uważają za normalne.

- W mojej rodzinie już machnęli na mnie ręką, bo zbyt się różnię od reszty - powiedziała. - Mam opinię osoby, która jeśli każe się jej zrobić jedno, niemal na pewno zrobi to drugie. Poza tym miewam humory. I nie poświęcam się nauce, tyle że akurat teraz się poświęcę, bo idę do college'u i sama mogę decydować o tym, czym się interesuję. Chcę studiować psychologię, tak jak nasza guru. Uważa się mnie za trudną dziewczynę, taką, której trzeba podać dobry powód, jeśli się chce, żeby coś zrobiła. Moja matka to rozumie i zawsze stara się mi takie powody podawać, ale ojciec nigdy. Owszem, podaje jakieś powody, ale według mnie niezbyt dobre. Czasami zastanawiam się, skąd ja się wzięłam w tej mojej rodzinie, bo zupełnie nie jestem do nich podobna.

Ta kuzynka, która wyszła za mąż w ubiegłym tygodniu, ma tylko dwadzieścia jeden lat, a starsza, dwudziestoletnia siostra Tulsi jest następną w kolejce do zamążpójścia, co

oznacza, że zaraz potem przyjdzie kolej na samą Tulsi. Spytałam, czy w ogóle chce wyjść za mąż, a ona odparła:

- Niiieeeeeeeeeeeeeee...

... i słowo to ciągnęło się dłużej niż zachód słońca, który właśnie oglądałyśmy.

- Chcę wędrować po świecie! - oświadczyła. - Jak ty.

- Wiesz, Tulsi, nie zawsze mogłam tak sobie wędrować. Byłam kiedyś mężatką.

Zobaczyłam zmarszczone brwi, pytające spojrzenie zza potrzaskanych „kularów”, zupełnie jakbym jej właśnie powiedziała, że byłam kiedyś brunetką, a ona próbowała to sobie wyobrazić.

- Ty, mężatką? - odezwała się w końcu. - Trudno mi w to uwierzyć.

- Ale to prawda...

- Czy ty zakończyłaś to małżeństwo?

- Tak.

- Uważam za bardzo chwalebne, że to zrobiłaś. Wydajesz się teraz niezwykle zadowolona. Ale jeśli chodzi o mnie... to skąd ja się tutaj wzięłam? Dlaczego urodziłam się Hinduską? To oburzające! Dlaczego w tej rodzinie? Dlaczego muszę chodzić na tyle ślubów?

- Potem, chcąc wyrazić swoją frustrację, zaczęła biegać w kółko i wykrzykiwać (całkiem głośno jak na standardy aśramy):

- Chcę mieszkać na Hawajach!!!

60

Richard z Teksasu też był kiedyś żonaty. Ma dwóch synów, obaj są już dorośli, obaj bliscy ojcu. Czasami Richard wspomina byłą żonę w jakiejś anegdocie i zawsze zdaje się mówić o niej z sympatią. Zaczynam odczuwać zawiść, kiedy to słyszę, wyobrażając sobie, jakie to Richard ma szczęście, że może pozostawać w przyjaźni ze swoją byłą żoną, nawet długo po tym, jak się rozstali. To dziwny efekt uboczny mojego okropnego rozwodu; ilekroć słyszę o jakimś małżeństwie, które rozchodzi się po przyjacielsku, odczuwam zazdrość. Jest jeszcze gorzej... zaczęłam uważać to za coś romantycznego, że ludzie rozchodzą się tak kulturalnie. „Och... jakie to słodkie... musieli naprawdę się kochać...”

Spytałam o to Richarda któregoś dnia.

- Wydaje mi się, że myślisz ciepło o swojej byłej żonie. Wciąż jesteście sobie bliscy?

- Eee tam - mruknął. - Ona uważa, że zmieniłem nazwisko na Skurwiel.

Fakt, że najwyraźniej zupełnie się tym nie przejmowałam, zrobił na mnie wrażenie. Mój były małżonek też uważa, że zmieniłam nazwisko, ale mnie to bardzo boli. Jedną z największych przykrości związanych z moim rozwodem było to, że on nigdy nie wybaczył mi odejścia, nieważne ile ton przeprosin i wyjaśnień składałam u jego stóp, ile winy brałam na siebie ani ile aktywów i aktów skruchy byłam skłonna ofiarować w zamian za swoje odejście... on w żadnym razie nie zamierzał pogratulować mi i oświadczyć: „Hej, zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie swoją wielkodusznością i szczerością, więc chcę ci powiedzieć, że rozwód z tobą był samą przyjemnością”. Nie. Najmniejszych szans na odkupienie grzechów. I ta nieodkupiona otchłań ciągle we mnie tkwiła. Nawet kiedy byłam szczęśliwa i podekscytowana (szczególnie wtedy), nie potrafiłam na dłużej o niej zapomnieć. *On nadal mnie nienawidzi*. I czułam, że to nigdy nie minie, nigdy się od tego nie uwolnię.

Rozmawiałam kiedyś o tym wszystkim z przyjaciółmi w aśramie - wśród których znalazł się niedawno hydraulik z Nowej Zelandii. Usłyszał, że jestem pisarką, i mnie szukał, żeby mi powiedzieć, że on też pisze. Jest poetą i niedawno opublikował w Nowej Zelandii niesamowite wspomnienia o swojej duchowej podróży zatytułowane Wędrowniki hydraulika. Hydraulik/poeta z Nowej Zelandii, Richard z Teksasu, właściciel gospodarstwa mleczarskiego z Irlandii, Tulsi, indyjska chłopczyca, oraz Vivian, starsza kobieta o delikatnych białych włosach i tryskających humorem oczach (dawna zakonnica z RPA) - to była grupa moich tutejszych najbliższych przyjaciół, ludzi o niezwykle żywych osobowościach, których nigdy bym się nie spodziewała spotkać w indyjskiej aśramie.

Któregoś dnia podczas lunchu rozmawialiśmy wszyscy o małżeństwie i hydraulik/poeta z Nowej Zelandii powiedział:

- Małżeństwo postrzegam jako operację zszywającą dwoje ludzi, a rozwód jako rodzaj amputacji, po której zostają trudno gojące się rany. Im dłużej małżeństwo trwa, tym bardziej skomplikowana amputacja i tym trudniejszy powrót do zdrowia.

I rzeczywiście, mimo że minęło już kilka lat, czuję te pooperacyjne blizny i wymachuję fantomową kończyną, strącając z półek różne przedmioty.

Richard z Teksasu zastanawiał się, czy mam zamiar pozwalać byłemu mężowi mówić mi przez resztę życia, co powinnam o sobie myśleć, a ja powiedziałam, że faktycznie, sama nie wiem, jak to jest... głos mojego byłego nadal się dla mnie liczy, a mówiąc szczerze, ciągle czekam, kiedy mi wybaczy, uwolni mnie i pozwoli żyć dalej w spokoju.

Właściciel gospodarstwa mleczarskiego z Irlandii zauważył:

- Czekanie na nadejście tego dnia nie jest najbardziej racjonalnym wykorzystywaniem czasu.

- Co mogę powiedzieć? Potrafię wiele działać z poczuciem winy. Trochę tak jak inne kobiety potrafią wiele działać z kolorem beżowym - wyznałam.

Była katolicka zakonnica (która, bądź co bądź, powinna nieźle znać się na sprawach dotyczących winy) nie chciała tego słuchać.

- Poczucie winy to sztuczka ego, które usiłuje wmanewrować cię w poczucie, że dokonujesz moralnego postępu. Nie daj się na to nabrać, moja droga.

- Z moim rozwodem najgorsze jest to, że wciąż nie stał się sprawą definitywnie zamkniętą. Pozostaje ciągle żywą, otwartą raną.

- Jeśli się przy tym upierasz - powiedział Richard - bo tak sobie to umyśliłaś, nie będę ci psuł zabawy.

- Któregoś dnia to się musi skończyć - oświadczyłam. - Chciałabym tylko wiedzieć czym.

Po lunchu hydraulik/poeta z Nowej Zelandii wsunął mi do ręki karteczkę. Napisał, żebym spotkała się z nim po kolacji, bo chce mi coś pokazać. Tego samego wieczoru spotkaliśmy się w pobliżu grot medytacyjnych, a on mi powiedział, żebym poszła za nim i że ma dla mnie prezent. Przeprowadził mnie przez całą aśramę, potem wprowadził do budynku, w którym nigdy wcześniej nie byłam, otworzył kluczem drzwi i poprowadził tylnymi schodami na górę. Domyśliłam się, że zna to miejsce, dlatego że reperuje te wszystkie urządzenia klimatyzacyjne, a niektóre z nich znajdują się właśnie tutaj. Na szczycie schodów znajdowały się drzwi z zamkiem elektronicznym, który musiał otworzyć za pomocą kombinacji cyfr; zrobił to szybko, z pamięci. Potem znaleźliśmy się na cudownym dachu, wyłożonym płytkami ceramicznymi, które w półmroku wieczoru lśniły niczym odbijające światło dno basenu. Poprowadził mnie przez ten dach do małej wieżyczki, takiego jakby minaretu, i pokazał kolejne schody, wąskie, prowadzące na jej okrągły szczyt. Podniósł rękę i powiedział:

- Teraz cię zostawię. Pójdiesz na samą górę. Zostań tam, aż to się skończy.

- Aż co się skończy?

Tylko się uśmiechnął i podał mi latarkę, „żebyś mogła po wszystkim bezpiecznie zejść”. Wręczył mi też złożoną kartkę. Po czym zniknął.

Weszłam na szczyt wieżyczki. Stałam teraz w najwyższym punkcie aśramy. Miałam widok na całą dolinę rzeki. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się góry i pola. Przyszło mi do głowy, że nie jest to miejsce, w którym normalnie wolno przebywać uczniom, ale było tutaj tak

pięknie. Może stąd moja guru obserwuje zachód słońca, kiedy przebywa w aśramie. A właśnie w tej chwili słońce zachodziło. Wiał ciepły wiaterek. Rozwinęłam kartkę, którą dał mi hydraulik/poeta.

Odczytałam napisany przez niego na maszynie tekst:

PRZEPIS NA WOLNOŚĆ

1. *Metafory życia są instrukcjami Boga.*
2. *Właśnie się wspięłaś na dach i jeszcze wyżej. Między Tobą a Nieskończonością nie ma nic. Teraz się uwolnij.*
3. *Dzień dobiega końca. Czas, by coś, co było piękne, zmieniło się w coś innego pięknego. Teraz się uwolnij.*
4. *Szukałaś rozwiązania poprzez modlitwę. Twoja obecność tutaj jest Bożą reakcją. Uwolnij się i patrz, jak pojawiają się gwiazdy... na zewnątrz i wewnątrz.*
5. *Całym sercem proś o łaskę i się uwolnij.*
6. *Całym sercem mu przebacz, PRZEBACZ SOBIE, i uwolnij go.*
7. *Niech Twoim zamiarem będzie wolność od bezużytecznego cierpienia. Więc się uwolnij.*
8. *Patrz, jak żar dnia zmienia się w nocny chłód. Uwolnij się.*
9. *Kiedy karma związku się wypełni, pozostaje jedynie miłość. Jest bezpiecznie. Uwolnij się.*
10. *Kiedy przeszłość wreszcie od Ciebie odejdzie, uwolnij się. Potem zjeżdż na dół i rozpocznij resztę swojego życia. Z wielką radością.*

Z początku nie mogłam opanować śmiechu. Widziałam całą tę dolinę, rozciągającą się poza baldachimem mangowców, a wiatr powiewał moimi włosami jak flagą. Obejrzałam zachód słońca do końca, a potem położyłam się na plecach i obserwowałam, jak pojawiają się kolejne gwiazdy. Zaśpiewałam króciutką modlitwę w sanskrycie i powtarzałam ją za każdym razem, kiedy na ciemniejące niebo wynurzała się nowa gwiazda, prawie jakbym ją przywoływała, potem jednak gwiazdy zaczęły wyskakiwać tak szybko, że nie mogłam za nimi nadążyć. Pomiędzy Bogiem a mną była jedynie... nicość.

Potem zamknęłam oczy i powiedziałam: „Drogi Panie, proszę, pokaż mi to wszystko, co powinnam zrozumieć na temat wybaczenia i kapitulacji”.

Od tak dawna chciałam porozmawiać z moim byłym mężem, ale najwyraźniej nie miało nigdy do tego dojść. Zawsze pragnęłam jakiegoś rozwiązania, pokojowego szczytu, z którego moglibyśmy wyjść ze zrozumieniem tego, co się wydarzyło w naszym małżeństwie, i gotowością wybaczenia sobie wzajemnie ohydy naszego rozvodu. Niestety długie miesiące porad i mediacji prawników jeszcze bardziej oddaliły nas od siebie i utwierdziły na dotychczasowych pozycjach, zmieniając w ludzi absolutnie niezdolnych do darowania sobie czegokolwiek. A przecież właśnie to było nam obojgu potrzebne, byłam o tym przekonana. Wiedziałam też, że zasady transcendencji wymagają, aby nie próbować choćby o jeden cal przybliżyć się do Boga, zanim pozbedziemy się pokusy obwiniania innych. Czym dla płuc palenie papierosów, tym dla duszy jest uraza; nawet jedno zaciągnięcie się nią jest dla nas niezdrowe. Bo jak wtedy brzmiałaby modlitwa... „Naszej powszedniej urazy daj nam dzisiaj”? Równie dobrze można by się nie fatygować i powiedzieć Bogu cześć, jeśli rzeczywiście musimy zwać na kogoś winę za ograniczenia własnego życia. Dlatego tej nocy, na dachu aśramy, spytałam Boga - uwzględnivszy fakt, że prawdopodobnie już nigdy nie będę miała sposobności rozmawiać ze swoim byłym mężem - czy istnieje jakiś poziom, na którym kontakt pomiędzy nami byłby jednak możliwy. Jakiś poziom, na którym moglibyśmy sobie przebaczyć.

Leżałam tam, wysoko ponad światem, i byłam zupełnie sama. Zapadłam w stan medytacji i czekałam na odpowiedź. Nie wiem, ile minut czy godzin minęło, zanim dowiedziałam się, co robić. Uświadomiłam sobie, że myślałam o tym wszystkim zbyt dosłownie. Przez cały czas chciałam rozmawiać z byłym mężem? Więc r o z m a w i a j z nim. Teraz, zaraz. Cały czas czekałam na wybaczenie? Sama go udziel. Natychmiast. Pomyślałam o tym, jak wielu ludzi idzie do grobu, nie otrzymawszy wybaczenia i nie wybaczywszy innym. Pomyślałam, jak wielu ludziom znika z życia rodzeństwo, znikają przyjaciele, dzieci, kochankowie, zanim padną bezcenne słowa miłosierdzia i rozgrzeszenia. Jak ci, co przeżyli rozstania, mogą znieść ból sprawy niedokończonej? W tym miejscu medytacji uzyskałam odpowiedź... możesz sama dokończyć tę sprawę, działając z własnego wnętrza. To jest nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne.

A potem, sama się sobie dziwiąc, nie przerywając medytacji, zrobiłam coś niezwykłego. Powiedziałam swojemu byłemu mężowi, żeby był uprzejmy dołączyć do mnie tutaj, na tym dachu w Indiach. Zaprosiłam go na pożegnalne spotkanie. Po czym czekałam, aż

poczuję, że przybył. I przybył. Nagle jego obecność stała się bezsporna i namacalna. Praktycznie czułam jego zapach.

„Cześć, skarbie”, przywitałam go.

Już miałam zacząć płakać, ale zorientowałam się, że nie ma takiej potrzeby. Łzy to część życia ciała, a to miejsce, gdzie tej nocy w Indiach spotykały się dwie dusze, nie miało z ciałem nic wspólnego. Ta para, która tam, na dachu, musiała ze sobą porozmawiać, nie była już nawet ludźmi. Nawet nie mieli ze sobą rozmawiać. Nie byli już nawet byłymi małżonkami, nie tym upartym mieszkańcem Środkowego Zachodu ani tą nerwową Jankeską, ani mężczyzną po czterdziestce, ani kobietą po trzydziestce, nie byli dwojgiem tamtych ograniczonych ludzi, którzy latami spierali się o seks i pieniądze, i meble... nic z tego się nie liczyło. Dla celów tego spotkania, na poziomie tego zejścia się, istniały tylko dwie chłodne błękitne dusze, które już wszystko rozumiały. Nieskrępowane ciałami, nieskrępowane skomplikowaną historią minionego związku, w nieskończonej mądrości zetknęły się nad tym dachem (i nade mną). Nadal pogrążona w medytacji, obserwowałam, jak te chłodne błękitne dusze krążą wokół siebie, jak się stapiają w jedno, jak ponownie się rozdzielają i nawzajem dostrzegają swoją doskonałość oraz wzajemne podobieństwo. Wiedziały wszystko. Wiedziały wszystko już od dawna i zawsze wszystko będą wiedziały. Nie musiały sobie przebaczać, narodziły się, przebacząc sobie wzajemnie.

Lekcja, której mi udzielały w tym pięknym przeistoczeniu, brzmiała: „Trzymaj się od tego z daleka, Liz. Twoja rola w tym związku już się skończyła. Od tej chwili pozwól nam rozwiązywać problemy. Ty żyj sobie dalej”.

O wiele później otworzyłam oczy i wiedziałam, że jest po wszystkim. Skończyło się nie tylko moje małżeństwo i nie tylko mój rozwód, ale zniknął cały ten ciągnący się pusty, jałowy smutek, jaki się z tym wiązał... wreszcie nadszedł koniec tego wszystkiego. Czułam, że jestem wolna. Powiem to jasno - nie chodzi o to, że już nigdy nie pomyślę o byłym mężu ani też że nie będę odczuwać żadnych emocji związanych z pamięcią o nim, bo będę. Chodzi natomiast o to, że ten rytuał na dachu dał mi nareszcie takie miejsce, w którym będę mogła umieścić te myśli i uczucia, za każdym razem gdy pojawią się w przyszłości... a pojawią się jeszcze nie raz. Jednak wtedy po prostu odeślę je tutaj, na ten dach pamięci, pod opiekę tych dwóch chłodnych błękitnych dusz, które już teraz i na zawsze rozumieją wszystko.

Do tego służą rytuały. My, ludzie, odprawiamy obrzędy duchowe, by stworzyć bezpieczne miejsce dla naszych najbardziej zawiłych, radosnych i smutnych uczuć, po to, żebyśmy nie musieli zawsze dźwigać ich ze sobą, bo w końcu by nas przytłoczyły. Wszystkim nam są potrzebne takie rytualne schowki. I głęboko wierzę, że jeśli nasza kultura

czy tradycja nie posiada tego przydatnego rytuału, to jak najbardziej wolno nam wymyślić jakiś własny obrzęd, by naprawić nasz uszkodzony system emocjonalny pomysłowocią majsterkowicza, czynnego hydraulika/poety. Jeśli w tych własnych obrzędach wykażemy stosowną gorliwość, Bóg udzieli nam łaski. I dlatego potrzebujemy Boga.

Podniosłam się więc i na dachu mojej guru stanęłam na rękach, żeby uczcić koncepcję wyzwolenia. Pod dłońmi czułam zakurzone płytki. Czułam własną siłę i niezachwianą równowagę. Czułam łagodny wietrzyk łaskoczący podeszwy bosych stóp. Takie zachowanie - spontaniczne stanie na rękach - nie jest czymś, co mogłaby zrobić bezcielesna chłodna błękitna dusza, natomiast człowiek może. My mamy ręce; jeśli chcemy, możemy sobie na nich postać. To nasz przywilej. To radość dla śmiertelnego ciała. I dlatego Bóg nas potrzebuje. Bo Bóg uwielbia czuć różne rzeczy naszymi dłońmi.

61

Dzisiaj wyjechał Richard z Teksasu. Odleciał do Austin. Pojechałam z nim na lotnisko i obojgu nam było smutno. Długo staliśmy na chodniku, zanim wreszcie wszedł do środka.

- Co ja zrobię, kiedy już nie będę miał kim poniewierać? - Westchnął. I dodał: - W aśramie doświadczyłaś czegoś dobrego, prawda? Wyglądasz inaczej niż parę miesięcy temu, jakbyś odrzuciła trochę z tego przygnębienia, które ze sobą taszczyłaś.

- Czuję się teraz naprawdę szczęśliwa, Richardzie.

- Cóż, pamiętaj tylko... całe twoje nieszczęście będzie czekało na ciebie przy drzwiach, gotowe zabrać się z tobą, kiedy będziesz odchodzić.

- Nie wezmę go.

- Grzeczna dziewczynka.

- Bardzo mi pomogłeś - powiedziałam. - Myślę o tobie jak o aniele z owłosionymi rękoma i paskudnymi paznokciami u stóp.

- Taa, te moje paznokcie nie doszły do siebie po Wietnamie, biedactwa.

- Mogło być gorzej.

- Było gorzej dla wielu kolegów. Ja przynajmniej zachowałem nogi. No tak, trafiło mi się całkiem komfortowe wcielenie w tym życiu, maleńka. Tobie też... pamiętaj. W następnym możesz wrócić jako jedna z tych nieszczęsnych indyjskich kobiet tłukących

kamienie przy naprawie drogi, odkryć, że życie nie jest zbyt zabawne. Więc docień to, co masz teraz, dobrze? Naucz się pielęgnować uczucie wdzięczności. Dłużej pożyjesz. Aha, Żarełko? Zrobisz coś za mnie? Zaczynij żyć dalej, dobrze?

- Już żyję.

- Chodzi mi o to... żebyś kiedyś kogoś znowu pokochała. Wykorzystaj tyle czasu, ile potrzeba do uzdrowienia, ale nie zapomnij podzielić się z kimś sercem. Nie rób ze swojego życia pomnika poświęconego Davidowi ani byłemu mężowi.

- Nie zrobię tego - odparłam. I nagle wiedziałam, że to prawda... nie zrobię tego. Poczułam, jak ten stary ból utraconej miłości i popełnionych błędów słabnie i kurczy się dzięki słynnym uzdrowieńczym mocom czasu, cierpliwości i łaski Boga.

I wtedy Richard znów się odezwał, szybko ściągając mnie do rzeczywistości.

- Wiesz przecież, co mówią... czasem najlepszym sposobem, żeby się od kogoś odkleić, jest przykleić się do kogoś innego.

Roześmiałam się.

- Dobrze, Richardzie, wystarczy. Teraz już możesz wracać do Teksasu.

- Chyba tak - powiedział i rozejrzał się po opustoszałym indyjskim parkingu. - Bo przecież nie przybywa mi urody, kiedy tak tu wystaję.

62

W drodze powrotnej do aśramy dochodzę do wniosku, że za dużo gadam. Mówiąc szczerze, całe życie byłam rozgadana, ale tak naprawdę to za dużo gadam podczas pobytu w aśramie. Zostanę tu jeszcze dwa miesiące i nie chcę marnować tej najwspanialszej w moim życiu duchowej okazji, prowadząc ożywione życie towarzyskie i nieustanne pogaduszki. Ze zdumieniem odkryłam, że nawet w tym świętym otoczeniu duchowego ustronia na drugim końcu świata udało mi się stworzyć wokół siebie coś w rodzaju koktajlowej atmosfery. Nie tylko z Richardem gadałam nieustannie - choć z nim najwięcej - ale ciągle z kimś trajluję. Odkryłam, że tu - w aśramie, zwróćcie tylko uwagę! - organizowałam sobie spotkania ze znajomymi, mówiąc: „Przepraszam, ale nie mogę pogadać z tobą w czasie lunchu, bo obiecałam Sakszi, że usiądę z nią... może umówimy się na najbliższy wtorek”.

Tak było przez całe moje życie. Taka jestem. Ostatnio jednak myślę sobie, że być może jest to duchowe obciążenie. Milczenie i samotność są nie bez powodu powszechnie uznanymi ćwiczeniami duchowymi. Nauczenie się, jak zdyscyplinować swoją mowę, pomaga zapobiegać wylewaniu się naszej energii przez rozwarte usta, co nas wycieńcza, a świat wypełnia słowami, słowami, słowami, zamiast ciszą, spokojem, szczęśliwością. Swamidzi, mistrz mojej guru, miał bzika na punkcie ciszy w aśramie, narzucał ją wszystkim jako ćwiczenie z pobożności. Nazywał ciszę jedyną prawdziwą religią. To wydaje się zupełnie niedorzeczne, że tak wiele się nagadałam w aśramie, tym jedynym miejscu na świecie, gdzie powinna - i może - panować cisza.

Postanowiłam więc, że nie będę już dłużej duszą towarzystwa aśramy. Żadnego więcej biegania, plotkowania, dowcipkowania. Żadnego więcej znajdowania się w centrum uwagi, brylowania w rozmowach. Koniec ze słownymi popisami nagradzanymi głosami aprobaty. Czas się zmienić. Teraz, po wyjeździe Richarda, chcę doświadczyć całkowitego milczenia - do końca pobytu w aśramie. Będzie to trudne, ale nie niemożliwe, ponieważ milczenie jest tutaj ogólnie szanowane. Cała społeczność udzieli mi wsparcia, zobaczywszy w mojej decyzji zdyscyplinowany akt pobożności. W księgarni sprzedają nawet małe plakietki, które można nosić na piersi, z napisem: „Trwam w milczeniu”.

Kupię sobie taką.

W drodze powrotnej do aśramy puściłam wodze fantazji i wyobraziłam sobie, jaka to ja teraz będę cicha. Będę tak milczeć, że stanę się z tego powodu sławna. Pomyślałam sobie, że zaczną o mnie mówić „to ciche dziewczę”. Będę się po prostu trzymać harmonogramu aśramy, jadać posiłki sama, medytować codziennie przez wiele godzin i (bez najmniejszego protestu) szorować świątynne podłogi. Obcowanie z innymi ograniczy się do błęgiego uśmiechu z głębi mojego zamkniętego świata ciszy i pobożności. Ludzie będą o mnie rozmawiać, pytać: „Kim jest to ciche dziewczę z tyłu świątyni, które zawsze szoruje podłogi, zawsze na kolanach? Nigdy się nie odzywa. Jest taka oddalona. Tyle w niej mistycyzmu. Nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, jak mógłby brzmieć jej głos. Nie słyhać, kiedy idzie za nami ścieżką w ogrodzie... porusza się lekko jak wietrzyk. Na pewno pozostaje w stałej łączności z Bogiem. To najcichsza dziewczyna, jaką w życiu widzieliśmy”.

Następnego dnia znowu szorowałam na kolanach marmurową posadzkę, roztaczając wokół siebie (jak sobie wyobrażałam) świętą aurę milczenia, kiedy wszedł indyjski chłopiec z posłaniem - mam się natychmiast zgłosić do Biura Sewa. Jak już mówiłam *Sewa* to sanskryckie określenie na duchowe ćwiczenie bezinteresownej służby (na przykład szorowanie świątynnej posadzki). Biuro Sewa przydzieliło pracę na terenie całej aśramy. Powędrowałam więc tam, bardzo zaciekawiona, a miła pani zza biurka spytała mnie, czy jestem Elizabeth Gilbert.

Obdarzyłam ją najcieplejszym z pobożnych uśmiechów i skinęłam głową. W milczeniu.

Wtedy powiedziała, że zmieniono mi przydział. Na specjalną prośbę kierownictwa nie będę już należała do zespołu szorującego podłogi. Mają dla mnie w aśramie nowe stanowisko.

A nazwa mojej nowej funkcji brzmi ni mniej, ni więcej tylko „naczelną hostessa”.

To zakrawało na jeszcze jeden z dowcipów Swamidźiego.

Chciałaś być tym cichym dziewczęciem z tyłu świątyni? Cóż, nie uwierzysz...

Tak zawsze dzieje się w aśramie. Podejmujesz jakąś wielką, ambitną decyzję dotyczącą tego, co musisz robić albo kim musisz być, i natychmiast pojawiają się okoliczności, które pokazują, jak mało z siebie rozumiałaś. Nie wiem, ile razy Swamidźi powtórzył to za swojego życia, i nie wiem, ile razy moja guru powtórzyła to po jego śmierci, ale chyba jeszcze nie całkiem dotarła do mnie prawda ich najbardziej stanowczego stwierdzenia:

„Bóg mieszka w tobie jako ty”.

JAKO ty.

Jeśli istnieje jedna święta prawda tej jogi, to zawiera ją właśnie to zdanie. Bóg mieszka w tobie, jak ty s a m, dokładnie tak jak ty. Boga nie interesuje obserwowanie, jak się popisujesz naginaniem osobowości, żeby ci pasowała do własnego pomyłonego pojęcia na

temat wyglądu lub zachowania osoby uduchowionej. Chyba nam wszystkim się wydaje, że aby być świętymi, musimy dokonać jakiejś generalnej, dramatycznej zmiany charakteru, że musimy wyrzec się własnej osobowości. To klasyczny przykład tego, co tutaj, na Wschodzie, zwa „złym myśleniem”. Swamidzi zwykli mawiać, że ci, którzy się wyrzekają, każdego dnia znajdują coś nowego, czego mogą się wyrzec, wprowadzając się tym w stan przygnębienia, a nie ukojenia. Zawsze nauczał, że surowość i wyrzeczenie - tylko dla zasady - nie są tym, czego nam potrzeba. Aby poznać Boga, wystarczy wyrzec się jednego - poczucia oddzielenia od Boga. Resztę należy pozostawić w spokoju i żyć w zgodzie z własną naturą.

Jaka zatem jest moja prawdziwa natura? Jestem zachwycona pobytam w tej aśramie, ale moje marzenie, by odnaleźć boskość, snując się tutaj w milczeniu i z łagodnym niebiańskim uśmiechem na twarzy... co to za osoba? To pewnie ktoś, kogo widziałam w telewizji. Rzeczywistość natomiast jest taka, choć przyznaję to z pewnym smutkiem, że nigdy nie będę taką osobą. Zawsze fascynowały mnie takie widmowe, delikatne istoty. Zawsze chciałam być taką cichą dziewczyną. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że nią nie jestem. Dlatego uważam gęste, ciemne włosy za piękne, że takich nie mam i nie mogę mieć. Jednak w którymś momencie należy pogodzić się z tym, co otrzymaliśmy, i gdyby Bóg chciał, żebym była wstydliwym dziewczęciem z gęstymi, ciemnymi włosami, toby mnie taką stworzył. Byłoby zatem dobrze przyjąć tę formę, którą otrzymałam, i w niej się rozgościć.

Warto przywołać powiedzenie Sekstusa, pitagorejczyka: „Człowiek mądry jest zawsze podobny do siebie”.

To nie oznacza, że nie mogę być pobożna. Nie oznacza, że nie będę przytłoczona i zawstydzona Bożą miłością. Nie oznacza, że nie mogę służyć ludzkości. Nie oznacza, że nie mogę się poprawić jako istota ludzka, doskonaląc cnoty i pracując każdego dnia nad wyzbywaniem się słabości. Na przykład nigdy nie będę podpierać ścian, co nie oznacza, że nie przyjrę się poważnie moim zwyczajom związanym z mówieniem i nie dokonam w nich zmian na lepsze... interweniując w e w n ą t r z swojej osobowości. Tak, lubię mówić, ale może nie muszę aż tyle przeklinać i niekoniecznie powinnam gustować w niewybrednych dowcipach, i czy muszę tyle mówić o sobie. Aha, jest taki jeden radykalny pomysł... powstrzymać się od przerywania innym, kiedy mówią. Bo chociaż staram się popatrzeć twórczo na ten swój zwyczaj, widzę, że w moim zachowaniu jest jedno przesłanie: „Uważam, że to, co ja mówię, jest ważniejsze od tego, co ty mówisz”. To z kolei można zrozumieć tylko jako: „Uważam, że jestem ważniejsza od ciebie”. A to się musi skończyć.

Wszystkie te zmiany byłyby zmianami na lepsze. Niemniej, nawet z pewnymi rozsądnymi modyfikacjami moich konwersacyjnych zwyczajów, nigdy nie będę znana jako

„to ciche dziewczę”. Nieważne, jak piękny byłby to obrazek i jak bardzo bym się starała. Bo nie zapominajmy, o kim mówimy. Przydzielając mi nową funkcję, kobieta z Biura Sewa dodała: „Mamy specjalny przydomek dla osoby na tym stanowisku. Nazywamy ją Zuzia Promienna Buzia, bo musi być towarzyska, pełna życia i cały czas uśmiechnięta”.

Co miałam powiedzieć?

Wyciągnęłam tylko rękę do uścisku i zegnając się po cichu ze swoimi mrzonkami, oświadczyłam: „Do usług... droga pani”.

65

Muszę wyjaśnić, z czym się wiąże moja nowa rola. Tej wiosny w aśramie odbędzie się seria zjazdów. W każdej trwającej od tygodnia do dziesięciu dni sesji weźmie udział około setki chętnych z całego świata, którzy chcą pogłębić znajomość technik medytacyjnych. Ja mam się opiekować tymi ludźmi. Przez większość czasu uczestnicy tych dni skupienia milczą. Dla niektórych będzie to pierwsze doświadczenie z takim ćwiczeniem i może się ono okazać silnym przeżyciem. Ja natomiast będę tą jedyną osobą w aśramie, do której mogą się odezwać, jeśli znajdą się w kłopotcie.

Tak jest... będę oficjalnie pełnić funkcję przyciągającego mowę magnesu.

Wysłucham problemów uczestników spotkań, a potem postaram się znaleźć rozwiązanie. Może ktoś będzie chciał zmienić współlokatora na takiego, który nie chrapie, a może będzie trzeba kogoś skontaktować z lekarzem w związku z typowymi dla Indii kłopotami trawiennymi. Muszę poznać ich imiona, nazwiska, muszę wiedzieć, skąd pochodzą. Będę chodziła z kartkami przyczepionymi do podkładki, robiła notatki i stosownie je wykorzystywała. Oto ja - wasza kierowniczką.

Owszem, na tym stanowisku dostaje się pager.

Kiedy zaczyna się pierwszy zjazd, szybko staje się oczywiste, że jestem wprost stworzona do tej pracy. Siedzę przy stole powitalnym z plakietką „Cześć, mam na imię... „, a ludzie, których witamy, przybywają z trzydziestu różnych krajów, niektórzy z nich to starzy wyjadacze, ale wielu nigdy wcześniej nie było w Indiach. O dziesiątej przed południem temperatura przekracza 32°C, a przecież większość z nich spędziła całą noc w klasie turystycznej samolotów różnych linii. Niektórzy pojawiają się w aśramie z takim wyrazem

twarzy, jakby się właśnie ocknęli w bagażniku samochodu i zupełnie nie mieli pojęcia, skąd się tutaj wzięli. Pragnienie transcendencji, które skłoniło ich do zgłoszenia się na te duchowe ćwiczenia, już dawno zostało zapomniane, prawdopodobnie wtedy, gdy w Kuala Lumpur zagubiono ich bagaż. Są spragnieni, ale jeszcze nie wiedzą, czy mogą pić tutejszą wodę. Są głodni, ale nie wiedzą, o której podają lunch i gdzie jest jadalnia. Na ten tropikalny żar wszyscy są niestosownie ubrani, w sztuczne tworzywa i ciężkie buty. Nie wiedzą, czy jest tutaj ktoś, kto mówi po rosyjsku.

Ja mówię ociupinę po rosyjsku...

Potrafię im pomóc. Jestem dobrze wyposażona. Wszystkie te czułości, jakie w swoim życiu wypuściłam, a które nauczyły mnie odczytywać uczucia ludzi, cała ta intuicja, którą w sobie rozwinęłam jako superwrażliwe młodsze dziecko, wszystkie umiejętności słuchania, których nabyłam jako współczująca barmanka i dociekliwa dziennikarka, cała wprawa w troszczeniu się o innych, jakiej nabrałam, będąc czyjąś żoną, przyjaciółką... wszystko to skumulowało się, bym mogła pomóc tym porządnym ludziom udźwignąć trudne zadanie, jakiego się podjęli. Przybywają z Meksyku, Filipin, Afryki, Danii, z Detroit, a ja mam uczucie, jakbym patrzyła na tamtą scenę z *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*, kiedy to Richard Dreyfuss i pozostali poszukiwacze gromadzą się w głębi stanu Wyoming dla powodów, których w ogóle nie rozumieją, przyciągnięci tam przybyciem statku kosmicznego. Ogarnia mnie zdumienie na widok ich odwagi. Ci ludzie pozostawili swoje rodziny i swoje życie po to, by udać się do Indii i zatopić w ciszy pośród zupełnie sobie obcych ludzi. Nie wszyscy są do tego zdolni.

Kocham ich wszystkich, automatycznie i bezwarunkowo. Kocham nawet tych upierdliwych. Potrafię za ich nerwicami dostrzec przeraźliwy strach przed tym, co ich czeka, kiedy wkroczą w siedmiodniowy okres milczenia i medytacji. Kocham tego Hindusa, który przychodzi do mnie i z oburzeniem zgłasza, że czterocalowej figurce hinduskiego boga Ganeśi, którą zastał w swoim pokoju, brakuje jednej stopy. Jest wściekły, uważa to za bardzo zły znak i chce, żeby zabrano tę figurkę... najlepiej, jeśli zrobi to bramin w trakcie „tradycyjnie stosownej” ceremonii oczyszczającej. Pocieszam go i wysłuchuję jego gniewnych słów, potem wysyłam Tulsi do jego pokoju, żeby zabrała tę figurkę, kiedy on pójdzie na lunch. Następnego dnia posyłam mu liścik, w którym wyrażam nadzieję, że teraz, kiedy już nie ma uszkodzonego posążka, czuje się lepiej, i przypominam, że zawsze kiedy będzie czegoś potrzebował, może na mnie liczyć; nagradza mnie szerokim uśmiechem, w którym widać ulgę. On się po prostu boi. Ta Francuzka, która tak panikuje w związku ze swoją alergią na pszenicę... ona też się boi. Argentyńczyk, który chce spotkania z całym

personalem działu hatha-jogi, bo nie wie, jak ma siedzieć podczas medytacji, żeby nie bolała go kostka; on też tylko się boi. Oni wszyscy się boją. Zanurzając się w ciszę, wejda głęboko we własne umysły i dusze. Nawet dla doświadczonego w medytacji człowieka jest to zupełnie nieznanymi teren. Tam wszystko może się wydarzyć. Ich przewodniczką w tym doświadczeniu będzie cudowna kobieta, mniszka po pięćdziesiątce, której każdy gest i słowo wyraża głęboką empatię, ale oni wciąż się boją, ponieważ - nieważne jak pełna miłości jest ta mniszka - nie pójdzie z nimi tam, gdzie oni się udają. Nikt tego nie może zrobić.

Akurat wtedy, kiedy rozpoczynała się pierwsza sesja, dostałam list z Ameryki, od znajomego, który kręci dla „National Geographic” filmy o dzikiej przyrodzie. Napisał mi, że właśnie był w nowojorskim hotelu Waldorf-Astoria na wytwornej kolacji, wydanej dla uczczenia członków Klubu Odkrywców. Pisał też, że to niezwykle uczucie znaleźć się w towarzystwie takich odważnych ludzi, którzy tyle razy ryzykowali życie, żeby odkryć najdalsze i najbardziej niebezpieczne zakamarki naszej planety, pasma górskie, kaniony, rzeki, oceaniczne głębie, pola lodowe i wulkany. Napisał, że tylu z nich zostało okaleczonych przez rekiny, w wyniku odmrożeń czy w innych strasznych okolicznościach. Potracili palce u rąk, stóp, nosy...

Napisał: „Nigdy nie widziałas tylu dzielnych ludzi zebranych w jednym miejscu w tym samym czasie”. Pomyślałam sobie: *Niewiele widziałeś, Mike.*

66

Tematem duchowych ćwiczeń i jednocześnie ich celem jest stan *turiya* - ulotny, trudny do osiągnięcia czwarty poziom ludzkiej świadomości. W typowym ludzkim doświadczeniu, mówią jogini, większość z nas zawsze porusza się pomiędzy trzema różnymi stanami świadomości - czuwania, marzenia sennego, snu bez marzeń. Istnieje jeszcze jeden poziom. Ten czwarty poziom jest świadkiem wszystkich pozostałych, integralną świadomością, która wiąże ze sobą te trzy pozostałe stany. Jest to czysta inteligentna świadomość, która potrafi - na przykład - przekazać ci treść twoich snów rano po przebudzeniu. Ciebie nie było, poszłaś spać, ale ktoś pilnował w tym czasie twoich snów... kim był ten świadek? I kim jest ten, który zawsze znajduje się na zewnątrz twojego aktywnego umysłu, obserwując jego myśli? To po prostu Bóg, mówią jogini. I jeśli potrafisz przenieść się w ten stan, w którym jesteś zarówno

świadkiem, jak świadomością, to możesz być z Bogiem przez cały czas. To nieprzerwane odczuwanie i przeżywanie Bożej obecności może zdarzyć się tylko na czwartym poziomie ludzkiej świadomości, nazywanym *turija*.

Oto, jak możesz stwierdzić, czy osiągnęłaś stan *turija*... musisz znajdować się w stanie niezachwianej szczęśliwości.

Ten, kto żyje ze środka stanu *turija*, nie podlega zmianom nastroju, nie lęka się upływu czasu, nie dotyka go żadna strata. „Nieskalany, czysty, lekki, spokojny, cichy, bezinteresowny, nieskończony, odporny, niezachwiany, wieczny, nienarodzony, niezależny, trwa w swojej wielkości”, głoszą Upaniszady, opisujące tych, którzy osiągnęli stan *turija*. Znani z historii wielcy święci, wielcy guru, wielcy prorocy... wszyscy oni żyli w stanie *turija*, przez cały czas. Jeśli zaś chodzi o resztę z nas, większość też tam była, choćby przez krótkie, ulotne chwile. Większość z nas, nawet jeśli tylko przez dwie minuty swojego życia, doświadczyła kiedyś nie dającego się niczym wytłumaczyć, zupełnie przypadkowego uczucia pełnej błogości, nie związanego z niczym, co akurat działo się w świecie zewnętrznym. W jednej chwili człowiek jest zwyczajnym Joem, człapiącym się przez swoje prozaiczne życie, a potem nagle - co to takiego? - nic się nie zmieniło, a przecież czujemy się dotknięci łaską, przeniknięci zachwytem, przepelnieni błogością. Wszystko - bez najmniejszego powodu - jest nagle doskonałe.

Oczywiście u większości z nas ten stan mija równie szybko, jak się pojawił. Zupełnie jakby pokazano nam naszą wewnętrzną doskonałość, żeby nas podrażnić, a zaraz potem staczamy się znów w „rzeczywistość”, lądując na stosie naszych starych trosk i pragnień. Przez stulecia ludzie starali się przytrzymać ten stan upojonej doskonałości za pomocą przeróżnych środków zewnętrznych - narkotyków, seksu, władzy, adrenaliny i kolekcjonowania pięknych przedmiotów - ale nic z tego. Wszędzie szukamy szczęścia, a jesteśmy niczym ten żebrak u Tołstoja, który spędził żywot, siedząc na garncu złota, żebrząc u przechodniów o grosze, nieświadom, że przez cały czas fortuna znajduje się pod nim. Twój skarb - twoja doskonałość - już znajduje się w tobie. Jednak żeby po niego sięgnąć, musisz wydostać się z chaosu swojego umysłu, porzucić pragnienia ego i wstąpić do ciszy serca. Zabierze cię tam *kundalini śakti* - najwyższa boska energia. Po to wszyscy tutaj przybyli.

Kiedy napisałam to zdanie, miałam na myśli coś takiego: „Oto, dlaczego tych stu uczestników ćwiczeń duchowych przybyło z całego świata do aśramy w Indiach”. Ale święci jogini i filozofowie zgodziliby się z szerokim znaczeniem tego mojego zapisanego zdania: „Po to wszyscy tutaj przybyli”. Według mistyków, to poszukiwanie pochodzącego od Boga błogostanu stanowi wyłączny cel ludzkiego życia. Dlatego tak ochoczo wybieramy się

na ten świat i dlatego warto znosić wszystkie cierpienia i ból życia... dla szansy doświadczenia tej nieskończonej miłości. A kiedy już odnajdziemy boskość we własnym wnętrzu, czy potrafimy ją utrzymać? Bo jeśli potrafimy, to... b ł o g o ś ć .

Spędzam mnóstwo czasu z tyłu świątyni, czuwając nad medytującymi w półmroku i w całkowitej ciszy. Moim zadaniem jest dbać o ich wygodę, pilnie uważać, czy nie mają kłopotów, czy czegoś im nie potrzeba. Wszyscy złożyli śluby milczenia na cały czas duchowego skupienia i każdego dnia wyczuwam, jak schodzą coraz głębiej w to milczenie, aż cała aśrama zastyga w ciszy. Z szacunku dla uczestników zjazdu wszyscy chodzimy na palcach, nawet posiłki spożywamy w milczeniu. Nie ma żadnych pogaduszek. Nawet ja zachowuję spokój. Ta głęboka cisza jest jak bezgłośna ponadczasowość, której na ogół człowiek doświadcza dopiero około trzeciej nad ranem, kiedy jest zupełnie sam... a przecież tutaj trwa ona przez cały dzień i ogarnia całą aśramę.

Nie mam pojęcia, co ta setka medytujących myśli czy czuje, wiem jednak, co chcą przeżyć, i nieustannie modlę się za nich do Boga, dokonując dziwnych transakcji w stylu: *Proszę, daj tym cudownym ludziom te błogosławieństwa, jakie zarezerwowałeś dla mnie.* Nawet nie próbuję medytować w tym samym czasie, kiedy robią to nasi goście; moim zadaniem jest mieć na nich oko, a nie zajmować się własną drogą duchową. Niemniej każdego dnia czuję, jak unosi mnie fala ich zbiorowej pobożności. Tak właśnie niektóre drapieżne ptaki unoszone przez prądy rozgrzanego powietrza docierają o wiele wyżej, niż byłyby w stanie pofrunąć o własnych siłach. Nie należy zatem się dziwić temu, co się wydarzyło. Pewnego czwartku na tyłach świątyni, w trakcie pełnienia swoich obowiązków - z przyklejoną plakietką i w ogóle - przenoszę się nagle przez portal wszechświata, by opaść na sam środek dłoni Boga.

67

Jako czytelniczka i osoba poszukująca zawsze odczuwam frustrację w takim właśnie momencie czyichś duchowych wspomnień - kiedy ten ktoś opuszcza czas i miejsce i zlewa się z nieskończonością. Od Buddy przez świętą Teresę, mistyków sufickich do mojej guru... tyle wspaniałych osób przez całe stulecia starało się wyrazić słowami, jakie to jest uczucie - stać się jednością z Bogiem, mnie jednak te opisy nigdy nie wystarczały. Często napotyka się to

irytujące wyrażenie „nie dający się opisać”, używane właśnie przy próbie opisanego zdarzenia. Jednak nawet najbardziej wymowni sprawozdawcy tego religijnego przeżycia - jak Rumi, perski poeta mistyczny, który pisał o rezygnacji z wszelkich wysiłków i uczepteniu się boskiego rękawa, czy Hafez, który powiedział, że on i Bóg stali się niczym dwaj otyli mężczyźni mieszkający na małej łódce - „wpadamy ciągle na siebie i wybuchamy śmiechem” - nawet ci dwaj poeci nie ułatwiają mi zrozumienia. Nie chcę o tym czytać; ja też chcę to poczuć. Sri Ramana Maharshi, uwielbiany hinduski guru, miał długie przemowy do swoich uczniów na temat przeżyć transcendentnych i zawsze kończył je poleceniem: „A teraz przekonajcie się o tym sami”.

Właśnie się przekonałam. I nie chcę mówić, że to, czego doświadczyłam tamtego czwartkowego popołudnia w Indiach, było nie do opisanego, choć rzeczywiście było. Spróbuję to jednak wyjaśnić. Ujmując rzecz prosto, przeleciałam przez tunel czasoprzestrzenny Absolutu i w tym pędzie nagle dokładnie zrozumiałam, jak funkcjonuje wszechświat. Opuściłam swoje ciało, opuściłam pokój, opuściłam planetę, przekroczyłam czas i znalazłam się w pustce. Byłam wewnątrz tej pustki, ale byłam też pustką i na nią patrzyłam, wszystko jednocześnie. Ta pustka była miejscem bezgranicznego spokoju i mądrości. Była świadoma i inteligentna. Była Bogiem, co oznacza, że ja znajdowałam się wewnątrz Boga. Ale nie w trywialny, fizyczny sposób... żadna tam Liz Gilbert wbita we fragment mięśnia udowego Boga. Ja byłam po prostu częścią Boga. Oprócz tego, że byłam Bogiem. Byłam zarówno małą częścią wszechświata, jak i byłam dokładnie tego samego co on rozmiaru. („Wszyscy wierzą, że kropla rozplywa się w oceanie, ale mało kto wie, że ocean rozplywa się w kropli”, napisał mędrzec Kabir... a ja mogę osobiście potwierdzić prawdziwość jego słów.).

To, co odczuwałam, nie było halucynogenne. Było bardzo konkretnym wydarzeniem. To było niebo, tak. To była najgłębsza miłość, jakiej kiedykolwiek doznałam, przekraczająca wszystko, co mogłam sobie kiedykolwiek wyobrazić, ale nie towarzyszyła jej ani euforia, ani ekscytacja. Nie pozostało we mnie dość ego ani żarliwości, by wytworzyć euforię i ekscytację. To było po prostu oczywiste. To jakby długo przyglądać się czemuś, co jest złudzeniem, wysilając wzrok, by przejrzeć tę sztuczkę, i nagle wszystko staje się jasne, i proszę... teraz widzisz to wyraźnie!... te dwa wazony są w rzeczywistości dwiema twarzami. I kiedy już raz zobaczysz rzeczywistość, nigdy nie przestaniesz jej widzieć.

„Więc to jest Bóg - pomyślałam. - Winszuję poznania”.

Miejsca, w którym stałam, nie da się opisać jako czegoś ziemskiego. Nie było ani ciemne, ani jasne, ani duże, ani małe. Nie było też miejscem i ściśle rzecz ujmując, ja tam nie stałam i nie byłam już „ja”. Nadal miałam swoje myśli, ale były one takie skromne i spokojne,

i były obserwacjami. Niezachwiane współodczuwanie wiązało mnie ze wszystkim i wszystkimi, a jednocześnie nieco dziwnie i zabawnie było zastanawiać się, czy można kiedykolwiek czuć coś innego. Bawiły mnie też moje dawne wyobrażenia co do tego, kim i jaka jestem. *Jestem kobietą, pochodzę ze Stanów Zjednoczonych, jestem gadulą i pisarką* - wszystko to wydawało mi się takie słodkie i przestarzałe. Wyobraźcie sobie, żeby wciskać się w mizerne ramki takiej tożsamości, kiedy można doświadczać własnego bezmiaru.

Zastanawiałam się, dlaczego całe życie uganiam się za szczęściem, kiedy przez cały ten czas ta błogość znajduje się tutaj?

Nie wiem, jak długo unosiłam się w tym cudownym eterze zjednoczenia, nim uderzyła mnie nagle myśl: „Chcę, by było tak już zawsze!” I w tym momencie zaczęłam się stamtąd wyrzucać. Jedno małe słówko - „chcę!” - i zaczęłam osuwać się z powrotem na ziemię. Wtedy dopiero mój umysł zaczął naprawdę protestować - *Nie, nie chcę stąd odchodzić!* - i ześlizgiwałam się dalej.

Chcę!

Nie chcę!

Chcę!

Nie chcę!

Czułam, jak każdym powrotem tych rozpaczliwych myśli przeszywam kolejną warstwę iluzji, niczym bohater z komediowego filmu akcji, który spadając z dachu budynku, przelatuje kolejno przez kilka markiz. Ten powrót bezużytecznego pragnienia umieszczał mnie z powrotem w moich małych ramkach, przywracał mojej śmiertelnej powłoce, mojemu ograniczonemu komiksowemu światu. Przyglądałam się powrotowi ego, które pojawiało się stopniowo, tak jak polaroidowe zdjęcie, z każdą chwilą coraz wyraźniejsze - oto twarz, zmarszczki wokół ust, oto brwi - tak, już gotowe: mamy pełen obraz całej dawnej mnie. Poczułam trwogę, żal wywołany utratą tego boskiego doświadczenia. Oprócz tej trwogi wyczuwałam jednak także obecność świadka, siebie starszej i mądrzejszej, i ona po prostu pokręciła głową i uśmiechnęła się, wiedząc jedno: Skoro wierzyłam, że ten błogostan może mi być odebrany, to najwyraźniej jeszcze go nie rozumiałam. I dlatego nie byłam jeszcze gotowa, by zamieszkać w nim na stałe. Muszę więcej ćwiczyć. I w tym momencie, kiedy sobie to uświadomiłam, Bóg mnie puścił, pozwolił prześlizgnąć się między swoimi palcami, żegnając mnie tym ostatnim krzepiącym, bezgłośnym przesłaniem:

Możesz tu powrócić, kiedy w pełni zrozumiesz, że zawsze tutaj jesteś.

Medytacje zakończyły się dwa dni później i wszyscy wyszli z kręgu milczenia. Trudno policzyć uściski, jakimi obdarzyli mnie wdzięczni za pomoc ludzie.

„Ależ nie! To ja wam dziękuję!” - powtarzałam, zła z powodu niestosowności tych słów, niemożności wyrażenia w pełni tego, jak jestem wdzięczna za to, że ponieśli mnie aż do takich wyżyn.

Tydzień później przybyła następna setka na duchowe ćwiczenia i powtórzyły się nauki, i odważne wysiłki kolejnych osób starających się dotrzeć do własnego wnętrza, i to wszechogarniające milczenie. Tymi też się opiekowałam i próbowałam im pomóc na wszystkie możliwe sposoby i kilkakrotnie wślizgnęłam się z nimi w stan *turiya*. A potem mogłam się tylko śmiać, kiedy wielu z nich po wyjściu z medytacji mówiło mi, że pojawiałam się im jako „szybująca w milczeniu eteryczna postać”. Czy to więc był ten ostatni żart aśramy ze mnie? Czy rzeczywiście dopiero kiedy nauczyłam się akceptować swoją hałaśliwą, gadatliwą, towarzyską naturę i w pełni wyzyskałam swoją wewnętrzną „naczelną hostessę”... dopiero wtedy ostatecznie mogłam się stać „tym cichym dziewczęciem z tyłu świątyni”?

Podczas tych ostatnich tygodni mojego pobytu w aśramie ogarnęła mnie melancholia podobna do tej, jaką się czuje pod koniec letniego obozu. Codziennie kolejni ludzie z bagażami wsiadali do autobusu i odjeżdżali. Następni już nie przyjeżdżali. Był już prawie maj, najgorętsza pora roku w Indiach i aśrama zwalniała tempo życia. Nie planowano kolejnych dni skupienia, więc dostałam inne stanowisko, tym razem w Biurze Rejestracji, gdzie miałam łączące słodycz z goryczą zajęcie oficjalnego „odhaczania” w komputerze wszystkich moich już nieobecnych przyjaciół.

Dzieliłam biuro z zabawną byłą fryzjerką z Madison Avenue. Razem oddawałyśmy się porannym modlitwom, tylko we dwie śpiewałyśmy nasz hymn do Boga.

„Mogłybyśmy dzisiaj podkreślić trochę tempo? - spytała fryzjerka któregoś dnia. - I może zaśpiewać o oktawę wyżej? Żeby nie brzmiała jak uduchowiona wersja Counta Basiego?”

Teraz mam znacznie więcej czasu dla siebie. Codziennie spędzam cztery do pięciu godzin w grotach medytacyjnych. Potrafię siedzieć tam naprawdę długo, czując się dobrze sama ze sobą, oddzielona od swojego życia na ziemi. Czasami moje medytacje są surrealistycznym i fizycznym przeżywaniem *śakti* - z całym tym skręcającym kręgosłup i

gotującym krew w żyłach szaleństwem. Staram się jak najmniej mu opierać. Innymi razy doświadczam słodkiego, spokojnego zadowolenia i tak też jest dobrze. Mój umysł wciąż formułuje zdania i myśli wciąż wykonują swój mały popisowy taniec, ale ja już tak dobrze znam te układy, że zupełnie przestały mi przeszkadzać. Moje myśli przypominają starych sąsiadów, nieco uciążliwych, ale w sumie ujmujących - państwo Gadulscy i ich troje durnych dzieci, Ple, Ple i Ple. Ale oni mi nie przeszkadzają. W tej okolicy jest miejsce dla nas wszystkich.

Jeśli chodzi o jakieś inne zmiany, które mogły zajść we mnie podczas tych kilku ostatnich miesięcy, to pewno ich jeszcze nie odczuwam. Moi przyjaciele, którzy przez długi czas oddawali się jodze, mówią, że wpływ, jaki aśrama na nas wywarła, dostrzegamy, kiedy ją opuścimy i wrócimy do normalnego życia. „Dopiero wtedy - powiedziała była zakonnica z RPA - zaczniesz zauważać, jak twoje wnętrze przemeblowano”. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie jestem pewna, jak ma wyglądać to moje normalne życie. Chodzi o to, że może niedługo wprowadzę się do tego sędziwego szamana z Indonezji... czy to jest moje normalne życie? Bardzo możliwe, kto wie? W każdym razie moi przyjaciele mówią, że zmiany ujawniają się później. Można odkryć, że utrzymujące się latami obsesje przestały nas gnębić albo że różne głęboko zakorzenione, niedobre nawyki zniknęły bez śladu. Irytujące drobiazgi, doprowadzające nas kiedyś do szału, przestały stanowić problem, a ciężkiej niedoli, której dawniej doświadczaliśmy z przyzwyczajenia, teraz nie tolerujemy nawet przez pięć minut. Toksyczne związki są przewartościowywane albo zrywane, a do twojego świata zaczynają przybywać radośniejsi ludzie, niosący ze sobą więcej dobrego.

Ubiegłej nocy nie mogłam spać. Nie z niepokoju, ale z powodu radosnej niecierpliwości. Ubrałam się i poszłam pospacerować po ogrodzie. Soczyście dojrzały księżyc w pełni unosił się nade mną, powlekając wszystko metaliczną poświatą. Powietrze przesycala woń jaśminu, a także upojny zapach unoszący się z oszalamiającego krzewu, który rozkwita jedynie nocą. Było tylko nieco mniej parno niż w dzień. Spowita ciepłym powietrzem, uświadomiłam sobie: „Jestem w Indiach”.

Jestem w sandałach i w Indiach!

Zboczyłam ze ścieżki na łąkę i pobiegłam przez posrebrzone światłem księżyca trawy. Moje ciało tryskało zdrowiem i energią po tych wszystkich miesiącach jogi, wegetariańskich potraw i wczesnego zasypiania. Moje sandały lekko poświstywały na zroszonej trawie i był to jedyny dźwięk w całej dolinie. Rozradowana podbiegłam do kępy eukaliptusów rosnących w środku parku (gdzie, jak mówią, stała kiedyś starożytna świątynia ku czci boga Ganeśi - tego, który usuwa przeszkody), objęłam jedno z drzew, wciąż ciepłe od żaru dnia, i ucałowałam je

namiętnie. Chcę powiedzieć, że zrobiłam to z całego serca, nie myśląc wcale, że tak właśnie wygląda najgorsza z mora wszystkich amerykańskich rodziców, których dzieci uciekły do Indii, żeby się odnaleźć. Truchleję na myśl, że to się skończy na orgiach z drzewami w świetle księżyca.

Miłość, którą czułam, była czysta. Była pobożna. Rozejrzałam się po cieniejszej dolinie i nie zobaczyłam niczego, co nie byłoby Bogiem. Byłam tak głęboko, niezmiernie szczęśliwa. Pomyślałam sobie: „Czymkolwiek jest to uczucie... jest tym, o co się modliłam. I do niego się modliłam”.

69

A przy okazji znalazłam swoje słowo. Oczywiście ja, mól książkowy, natrafiłam na nie w bibliotece. Zastanawiałam się nad moim słowem od tamtego rzymskiego popołudnia, kiedy mój włoski przyjaciel Giulio powiedział, że słowem Rzymu jest SEKS, i spytał, jak brzmi moje. Nie znałam wtedy odpowiedzi, ale wykombinowałam sobie, że wcześniej czy później to słowo samo się pojawi, a wtedy na pewno je rozpoznam.

Zobaczyłam je więc w ostatnim tygodniu pobytu w aśramie. Czytałam dawne teksty o jodze i natrafiłam na wzmiankę o starożytnych poszukiwaczach duchowości. W tekście pojawiło się sanskryckie słowo: ANTEWASIN. Oznacza ono „tego, który żyje na granicy”. W dawnych czasach był to opis dosłowny. Określał osobę, która porzuciła pełne zgiełku światowe życie, by udać się na skraj lasu, gdzie zamieszkiwali duchowi mistrzowie. *Antewasin* przestawał być wieśniakiem... nie był już głową rodziny wiodącą zwyczajny żywot. Nie był też jeszcze transcendentem... jednym z tych w pełni zrealizowanych mędrców, którzy żyją głęboko w niezbadanych lasach. *Antewasin* był kimś pomiędzy. Mieszkańcem pogranicza. Mieszkał na granicy obydwu światów, ale patrzył w stronę nieznanego. I był uczonym.

Kiedy przeczytałam wytłumaczenie tego słowa, tak się tym podekscytowałam, że aż wydałam cichy okrzyk. To twoje słowo, dziecinko! Oczywiście w dzisiejszych czasach zarówno niezbadany las, jak i granica byłyby określeniami użytymi przenośnie. Mimo to można tam zamieszkać. Można żyć na tej migotliwej linii pomiędzy starym myśleniem a nowym rozumieniem i stale się uczyć. W sensie metaforycznym jest to granica, która stale się

przesuwa... kiedy się do niej zbliżasz swoimi rozważaniami i dokonaniem, ten tajemniczy las nieznanego zawsze znajduje się o kilka stóp przed tobą, musisz więc podróżować z niewielkim bagażem, żeby nadążyć za nim. Musisz być zawsze gotowy, ruchliwy i gibki. Nawet nieco śliski. Co zabawne, zaledwie dzień wcześniej mój przyjaciel hydraulik/poeta z Nowej Zelandii opuszczał aśramę i na odchodnym wręczył mi pożegnalny wierszyk o moich podróżach. Zapamiętałam go:

*Elizabeth, tkwiąca pomiędzy
Włoskimi frazami i snami o Bali,
Elizabeth, ni to, ni owo,
Czasami śliska jak ryba...*

W ostatnich latach tyle czasu poświęciłam zastanawianiu się, kim mam być. Żoną? Matką? Kochanką? Seksualną abstynentką? Włoszką? Obżartuchem? Podróżniczką? Artystką? Joginką? Naprawdę jednak nie jestem żadną z tych osób, przynajmniej nie w całości. I nie jestem też zwariowaną ciotką Liz. Jestem po prostu śliską *antena-sin* - tkwiącą pomiędzy - uczennicą na przesuwającej się nieustannie granicy w pobliżu cudownego, przerażającego lasu nowych spraw.

70

Wierzę, że jądrem wszystkich religii świata jest pragnienie odkrycia jakiejś porywającej metafory. Kiedy człowiek chce uzyskać jedność z Bogiem, to tak naprawdę stara się odsunąć od spraw ziemskich i przejść do wiecznych (z wioski do lasu, można by rzec, jak *ante-wasin*) i trzeba mieć jakąś wspianiałą ideę, która nas tam przeniesie. Musi być ona wielka, ta metafora... naprawdę wielka i potężna, bo przecież musi cię przenieść niezwykle daleko. Musi być największą łodzią, jaką można sobie wyobrazić.

Rytuały religijne często rozwijają się z mistycznych eksperymentów. Jakiś dzielny zwiadowca wyrusza na poszukiwanie nowej ścieżki wiodącej do Boga, doświadcza transcendentnego przeżycia i wraca do domu jako prorok. Przynosi swojej społeczności opowieści o niebie oraz mapy, za pomocą których można tam trafić. Inni powtarzają słowa,

działania, modlitwy albo uczynki tego proroka, żeby również odbyć tę drogę. Czasami to działa... czasami ta sama, dobrze znana kombinacja sylab i praktyk religijnych powtarzana przez pokolenia może przenieść ludzi na tę drugą stronę. A czasami się nie udaje. Nieuchronnie nawet najbardziej oryginalne nowe idee twardnieją w dogmaty albo przestają wystarczać.

Hindusi z tych okolic opowiadają ku przestrodze bajkę o wielkim świętym, którego w aśramie zawsze otaczali lojalni zwolennicy. Święty i jego uczniowie wiele godzin dziennie poświęcali medytacjom. Był tylko jeden kłopot. Kotek świętego przechadzał się po świątyni, miaucząc i mrucząc, czym przeszkadzał wszystkim w medytacji. Zatem ów święty, w swojej praktycznej mądrości, nakazał, żeby na czas medytacji przywiązywać zwierzę na zewnątrz do słupa. Stało się to zwyczajem - najpierw przywiązywano kota, następnie medytowano o Bogu. Lata mijały, a zwyczaj utrwalił się i stał rytuałem religijnym. Nikt nie zaczął medytować, póki nie przywiązano kota do słupa. Aż pewnego dnia kot zdechł. Uczniowie świętego wpadli w panikę. Nastąpił poważny kryzys religijny - jak mają teraz medytować, bez kota przy słupie? Jak mają dotrzeć do Boga? W ich umysłach kot stał się niezbędnym środkiem do celu.

Uważajcie, ostrzega ta opowieść, żeby nie popaść w obsesję związaną z powtarzaniem rytuałów religijnych dla zasady. Szczególnie w tym podzielonym świecie - gdzie koalicje talibów i chrześcijan nadal toczą wojnę o międzynarodowy znak handlowy, dający prawo do słowa Bóg, oraz o to, kto jest w posiadaniu właściwych rytuałów, za pomocą których można do Boga dotrzeć - warto pamiętać, że przywiązywanie kota do słupa nie zawiodło nikogo do transcendencji, że może się to stać jedynie za sprawą pojedynczego człowieka pragnącego doznać wiecznego współodczuwania istoty boskiej. W sprawach dotyczących Boga elastyczność jest równie istotna jak dyscyplina.

Zatem waszym zadaniem, jeśli zechcecie je podjąć, jest poszukiwanie tych metafor, rytuałów i nauczycieli, którzy pomogą wam zbliżyć się do Boga. Pisma jogiczne mówią, że Bóg reaguje zarówno na uświęcone modlitwy, jak i na inne sposoby modlenia się śmiertelników... jeśli tylko jest w tym szczerść. Jak czytamy w upaniszadach: „Ludzie wybierają różne ścieżki, proste i kręte, zgodnie ze swoim usposobieniem, w zależności od tego, którą uważają za najlepszą lub najbardziej odpowiednią... i wszyscy oni docierają do Ciebie, podobnie jak rzeki wpadają do oceanu”.

Oczywiście innym celem religii jest nadanie sensu naszemu nieuporządkowanemu światu i wyjaśnienie niezrozumiałych spraw, codziennie rozgrywających się na naszych oczach: niewinni cierpią, podli są wynagradzani... jak mamy to rozumieć? Tradycja Zachodu głosi: „To wszystko zostanie uregulowane po śmierci, w niebie i w piekle”. (Wszelka

sprawiedliwość będzie wymierzona przez kogoś, kogo James Joyce nazywa „Bogiem Katem”... który z wyżyn swojego tronu sądzi z ojcowską surowością, karząc zło i nagradzając dobro.). Na Wschodzie natomiast upanisady z lekceważeniem traktują wszelkie wysiłki zrozumienia chaosu naszego świata. Nie są nawet pewne, że świat rzeczywiście jest chaotyczny, zauważają natomiast, że taki może nam się tylko wydawać z powodu naszych ograniczonych możliwości widzenia. Teksty te nie obiecują nikomu sprawiedliwości ani pomsty, choć mówią, że każde działanie niesie za sobą konsekwencje... należy więc postępować rozsądnie. Te konsekwencje nie muszą pojawić się szybko. Joga zawsze postrzega wszystko w dłuższej perspektywie. Co więcej, upanisady dają do zrozumienia, że ten tak zwany chaos może mieć w rzeczywistości boską funkcję, nawet jeśli tego nie możemy zauważyć: „Bogowie gustują w zagadkach, a nie lubią oczywistości”. Zatem najlepsze, co możemy zrobić w zderzeniu z niezrozumiałym i niebezpiecznym światem, to ćwiczyć równowagę wewnątrz... nieważne, jakie szaleństwo nas otacza.

Sean, praktykujący jogę właściciel gospodarstwa mleczarskiego z Irlandii, wyjaśnił mi to w ten sposób: „Wyobraź sobie, że wszechświat jest ogromną wirującą machiną. Należy stać blisko jej rdzenia - w samej piastce koła - nie na obrzeżach, gdzie obroty są szalone, gdzie można zostać poszarpanym i zwariować. Ta piasta, ośrodek spokoju... to twoje serce. Tam właśnie, w twoim wnętrzu mieszka Bóg. Przestań więc szukać odpowiedzi w świecie. Skieruj się do tego centrum, a odnajdziesz spokój”.

To była najbardziej sensowna koncepcja dotycząca sfery duchowej, z jaką się zetknęłam. W moim przypadku ona działa. I jeśli kiedyś znajdę coś, co będzie działało lepiej, zapewniam was... skorzystam z tego.

W Nowym Jorku mam wielu przyjaciół, którzy nie są religijni. Powiedziałabym nawet, że dotyczy to większości z nich. Albo odeszli od duchowych nauk z młodości, albo też dorastali bez Boga. Naturalnie niektórych z nich nieco wkurzają moje najnowsze próby osiągnięcia świętości.

Oczywiście dowcipkują. Jak Bobby, który robiąc porządek w moim komputerze, rzucił żartem: „Bez obrazy dla twojej aury, ale ty nadal gównie wiesz na temat ściągania danych”. Radzę sobie z tymi dowcipami. Też uważam, że to wszystko jest zabawne. Jasne, że tak.

Widzę natomiast u swoich przyjaciół, w miarę jak przybywa im lat, tęsknotę za czymś, w co mogliby wierzyć. Tęsknota ta natrafia jednak na wiele przeszkód, łącznie z ich intelektem i zdrowym rozsądkiem. Niezależnie od swojego intelektu, ci ludzie ciągle żyją w swoich światach, które chwieją się niebezpiecznie, nawiedzane kolejnymi szalonymi,

niszczyielskimi i zupełnie bezsensownymi wstrząsami. Wszyscy doświadczamy w życiu zarówno wielu cierpień, jak radości i te głębokie przeżycia powodują, że kiedy chcemy podnieść lament albo wyrazić wdzięczność lub szukać zrozumienia, potrzebujemy jakiegoś duchowego tła. Problem w tym... co wyznawać, do kogo się modlić?

Mojemu bliskiemu przyjacielowi umarła matka, a wkrótce potem urodziło się jego pierwsze dziecko. Po tej koincydencji cudu i straty mój przyjaciel poczuł pragnienie odwiedzenia jakiegoś świętego miejsca albo odprawienia jakiegoś rytuału, żeby móc sobie poradzić z emocjami. Był wychowany w rodzinie katolickiej, jednak jako dorosły nie wyobrażał sobie powrotu do tamtego Kościoła. („Już nie potrafię w to wierzyć - oświadczył - wiedząc to, co wiem”). Oczywiście byłby zażenowany, gdyby miał przejść na hinduizm lub buddyzm, lub na coś równie cudacznego. Co więc mógł zrobić? Jak mi powiedział: „Nie powinno się dobierać religii do siebie”.

Jest to podejście, które w pełni szanuję, tyle że się absolutnie z nim nie zgadzam. Uważam, że mamy prawo wybierać tam, gdzie chodzi o poruszenie naszego ducha i o odnalezienie spokoju w Bogu. Uważam, że wolno nam swobodnie poszukiwać wszelkich metafor, jakie mogą przenieść nas przez tę ziemską rozpadlinę, kiedy tylko potrzebujemy transportu lub też pokrzepienia. Nie ma najmniejszego powodu do zażenowania. Bo tak przecież wygląda historia poszukiwania świętości przez ludzkość. Gdyby nie było ewolucji w poszukiwaniu Boga, mnóstwo z nas nadal darzyłoby czią złote posążki egipskich kotów. A w tej ewolucji arbitralny wybór odgrywał dość istotną rolę. Bierzesz to, co działa, skądkolwiek, i podążasz w stronę światła.

Indianie Hopi wierzyli, że każda religia świata posiada jedną duchową nić i te nici nieustannie się wzajemnie szukają, żeby się połączyć. A kiedy już w końcu wszystkie zostaną ze sobą splecione, utworzą powróż, który wyciągnie nas z tego mrocznego cyklu historii w inną sferę. W czasach bardziej współczesnych Dalajlama powtórzył tę samą koncepcję, wielokrotnie zapewniając swoich zachodnich słuchaczy, że nie muszą stawać się tybetańskimi buddystami, by być jego uczniami. Zachęcał ich, żeby czerpali pełnymi garściami z buddyzmu i włączali te koncepcje we własne praktyki religijne. Nawet w najmniej prawdopodobnych i najbardziej konserwatywnych miejscach czasami komuś przyjdzie do głowy, że może jednak Bóg jest większy od tego, czego nauczyły nas nasze ograniczone doktryny religijne. W roku 1954 sam papież Pius XI wysłał delegację Watykanu do Libii z następującą pisemną instrukcją: „Nie sądźcie, że udajecie się do Niewiernych. Muzułmanie też uzyskują zbawienie. Nieskończone są drogi Opatrzności”.

Czyż nie jest to sensowne? Że nieskończoność, w rzeczy samej... jest nieskończona? Że nawet najświętsi pośród nas w danym momencie zdolni są widzieć jedynie porozrzucane fragmenty obrazu wieczności? I że być może, gdybyśmy pozbierali i poukładali te kawałki, zaczęłyby się nam ukazywać opowieść o Bogu, która przypominałaby każdego i zawierała w sobie wszystkich? I czy tęsknota każdego z nas za transcendencją nie jest częścią tego wielkiego, prowadzonego przez ludzkość poszukiwania Boga? Czy nie mamy prawa trwać w tym poszukiwaniu, dopóki nie zbliżymy się bardziej do źródła tego, co nas zadziwia? Nawet jeśli oznacza to przyjazd do Indii i całowanie drzew w świetle księżyca?

Innymi słowy, to moja sytuacja. Ja w centrum uwagi. Dokonuję wyboru swojej religii.

71

Mój samolot odlatuje o czwartej rano, co jest dość charakterystyczne dla sposobu, w jaki Indie funkcjonują. Postanawiam w ogóle nie spać, tylko spędzić noc w jednej z grot medytacyjnych na modlitwie. Z natury nie jestem osobą, która przesiaduje po nocach, coś we mnie każe mi jednak spędzić te ostatnie godziny w aśramie, nie śpiąc. W życiu robiłam już przeróżne rzeczy. Zdarzyło mi się nie spać przez całą noc, ponieważ... kochałam się z kimś, kłóciłam, jechałam gdzieś daleko samochodem, tańczyłam, płakałam, zamartwiałam (a czasami wszystko to naraz, jednej nocy)... nigdy jednak nie poświęciłam nocnego snu wyłącznie dla modlitwy. Czemu by więc nie teraz?

Pakuję torbę i zostawiam przy drzwiach świątyni, żebym mogła ją chwycić, kiedy przed świtem przyjedzie taksówka. A potem idę z boczem wzgórza i wchodzę do grotki. Jestem tam sama, siadam jednak w miejscu, z którego widzę dużą fotografię Swamidźiego, mistrza mojej guru, założyciela tej aśramy, lwa, który odszedł dawno temu, ale jakoś nadal jest tutaj. Zamykam oczy i pozwalam, by mantra przyszła do mnie sama. Zstępuję po drabinie, do własnego ośrodka spokoju. Kiedy już tam jestem, czuję, jak świat staje w miejscu, tak jak chciałam, kiedy miałam dziewięć lat i rozpaczałam z powodu bezlitosnej nieuchronności mijającego czasu. W moim sercu zegar się zatrzymuje, a kartki kalendarza przestają sfruwać ze ściany. Siedzę w niemym zadziwieniu, że teraz to wszystko pojmuję. Nie modłę się zwyczajnie. Ja stałam się modlitwą.

Mogę przesiadzić tutaj całą noc.

I tak robię.

Nie wiem, co budzi moją czujność, kiedy przychodzi czas przyjazdu taksówki. Przez kilka godzin siedzę zastygła w kompletnym bezruchu i nagle czuję szturchnięcie, a kiedy spoglądam na zegarek, jest pora, by iść. Wstaję więc i składam ukłon przed fotografią Swamidźiego - apodyktycznego, cudownego, płomiennego. A potem wsuwam karteczkę pod dywan, tuż przed jego wizerunkiem. Na kartce są dwa wiersze, które napisałam podczas moich czterech miesięcy w Indiach. To moje pierwsze prawdziwe wiersze w życiu. Hydraulik z Nowej Zelandii zachęcił mnie, żebym popróbowwała sił w poezji... i oto rezultat. Jeden z wierszy napisałam zaledwie po miesiącu pobytu w aśramie. Ten drugi - dzisiejszego ranka.

W przestrzeni pomiędzy tymi dwoma wierszami odnalazłam całe połączenie łaski.

72

Dwa wiersze z aśramy w Indiach

Pierwszy

*Cała ta gadka o nektarze i o błogości zaczyna mnie
wkurzać.*

Nie wiem jak ty, mój przyjacielu,

Ale moja ścieżka do Boga to nie woń kadzidła.

To kot wpuszczony do gołębnika,

*I ja jestem tym kotem... ale też tymi, które podnoszą
wrzask przygwożdżone.*

Moja ścieżka do Boga to bunt robotnika,

Nie będzie spokoju, póki nie utworzą związku.

Ich pikietą jest taka groźna,

Gwardia Narodowa nie zbliży się do nich.

*Moją ścieżkę ubił przede mną do nieprzytomności
Drobny śniady człowiek, którego nigdy nie widziałam,
Który ścigał Boga przez całe Indie, po kolana w błocie,
Boso i na głodniaka, z malarią we krwi,
Śpiąc w bramach, pod mostami... bezdomny,
Zmierzający do domu.
A teraz ściga mnie, mówiąc: Rozumiesz już, Liz?
Co oznacza ZMIERZAĆ DO DOMU? Co znaczy
ZMIERZAĆ?*

Drugi

*A przecież.
Gdyby można było nosić spodnie zrobione
Ze świeżo skoszonej tutaj trawy,
Robiłabym to.*

*Gdyby można było całować się namiętnie
Z każdym eukaliptusem w Gaju Ganeśi,
Przysięgam, robiłabym to.*

*Ostatnio pocilałam się rosą,
Pozbywałam toksyn,
Ocierałam brodę o korę drzewa,
Biorąc je za nogę mojego mistrza.*

Nie mogę dotrzeć wystarczająco głęboko.

*Gdyby można było jeść tutejszą glebę
Podawaną na ptasich gniazdach,*

*Zjadłabym tylko połowę,
A na reszcie przespala całą noc.*

KSIĘGA TRZECIA

Indonezja

czyli

„Nawet tam w majtkach
czuję się inaczej”

czyli

trzydzieści sześć

opowieści o

poszukiwaniu

równowagi

Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się działać tak zupełnie bez planu jak wtedy, kiedy wybrałam się na Bali. W całej historii mojego beztroskiego podróżowania nigdzie nie pojawiłam się w sposób tak bardzo niefrasobliwy. Nie wiem, gdzie będę mieszkała ani co będę robiła, nie wiem, jaki jest kurs waluty, nie mam pojęcia, jak złapać na lotnisku taksówkę... zresztą i tak nie wiem, dokąd ta taksówka miałaby mnie zawieźć. Nikt na mnie nie czeka. W Indonezji nie mam przyjaciół ani nawet przyjaciół przyjaciół. Pojawia się jeszcze jeden problem, będący rezultatem podróżowania ze zdezaktualizowanym przewodnikiem, do którego zresztą i tak nie zajrzałam: okazuje się, że nie mogę sobie siedzieć w Indonezji przez cztery miesiące, tak jak bym chciała. Dowiaduję się już na miejscu, że mam prawo tylko do jednomiesięcznej wizej turystycznej. Nie przyszło mi wcześniej do głowy, że indonezyjski rząd mógłby nie być zachwycony perspektywą goszczenia mnie w swoim kraju tak długo, jak będę miała fantazję w nim pozostać.

Kiedy miły przedstawiciel urzędu imigracyjnego przystawia mi w paszporcie pieczętkę zezwalającą na trzydziestodniowy pobyt na Bali, pytam go najuprzejmiej jak potrafię, czy nie mogłabym zatrzymać się tutaj dłużej.

- Nie - odpowiada najuprzejmiej jak potrafi. Balińczycy słyną z uprzejmości.

- No bo mam tu zostać trzy czy cztery miesiące - mówię.

Nie wspominałam, że chodzi o przepowiednię... nie wyjaśniam, że przed dwoma laty, podczas trwającego dziesięć minut seansu czytania z ręki, sędziwy i zapewne obłąkany szaman przepowiedział mi trzy- lub czteromiesięczny pobyt tutaj. Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić.

Jakie tak naprawdę były słowa szamana? Czy rzeczywiście powiedział, że wrócę na Bali i zamieszkać u niego na trzy albo cztery miesiące? Czy faktycznie powiedział „zamieszkać u mnie”? Czy może chciał tylko, żebym kiedyś, będąc w okolicy, wpadła do niego i dała mu następne dziesięć dolców za kolejne wróżenie z ręki? Czy powiedział, że wrócę czy że powinienam wrócić? Czy naprawdę powiedział: „I nie masz co zwlekać, bo będę czekać”, czy było to coś innego?

Nie kontaktowałam się z nim od tamtego wieczoru. Zresztą i tak bym nie wiedziała, jak to zrobić. Jaki on mógł mieć adres? „Szaman, Na Swojej Werandzie, Bali, Indonezja”? Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Pamiętam, że dwa lata temu, kiedy się spotkaliśmy, wyglądał na bardzo sędziwego; od tamtego czasu wszystko się mogło zdarzyć. Na pewno wiedziałam tylko, jak się nazywa - Ketut Liyer - i pamiętałam, że mieszkał w wiosce bardzo blisko miasteczka Ubud. Nie pamiętałam nazwy tej wioski.

Może powinnam była przemyśleć to wszystko dokładniej.

74

Bali okazuje się dość łatwym terenem dla podróżnika. To nie jest tak, jakbym bez najmniejszego pojęcia o niczym wylądowała gdzieś w Sudanie. Tutaj mamy do czynienia z wyspą, w przybliżeniu rozmiarów Delaware, na dodatek chętnie odwiedzaną przez turystów. To miejsce tylko czeka, żeby nam pomóc; człowiek Zachodu z kartą kredytową bez problemu sobie tutaj poradzi. Po angielsku mówią wszędzie i chętnie. (Co przyjmuję z uczuciem ulgi i poczuciem winy. W ostatnich miesiącach moje synapsy mózgowie tak się przeciążyły wysiłkiem związanym z nauką współczesnego włoskiego i starożytnego sanskrytu, że nie jestem w stanie wziąć na siebie zadania uczenia się indonezyjskiego ani jeszcze trudniejszego balijskiego - języka bardziej zawilego niż marsjański.). Naprawdę pobyt tutaj to prościzna. Pieniądze można wymienić na lotnisku, bez trudu znaleźć taksówkę z uprzejmym kierowcą, który zaproponuje uroczy hotel - wszystko idzie jak z płatka. A ponieważ zainteresowanie turystów drastycznie zmalało po zamachu terrorystycznym sprzed dwóch lat (do którego doszło kilka tygodni po tym, jak opuściłam Bali za pierwszym razem), przyjeźdnemu jest teraz jeszcze łatwiej, bo każdy bardzo chce mu pomóc, każdy rozpaczliwie szuka pracy i zarobku.

Jadę więc taksówką do Ubud, które wydaje mi się odpowiednim miejscem na początek. Zatrzymuję się w ładnym hoteliku stojącym przy ulicy o niesamowitej nazwie Małpi Las. Hotel ma śliczny basen i ogród pełen tropikalnych roślin, o kwiatach większych od piłki do siatkówki (przy których uwija się wysoce wyspecjalizowany zespół kolibrów i motyli). Personel złożony jest z Balijszyków, co oznacza, że z punktu darzą cię uwielbieniem; ledwie przekroczysz próg, prawią ci komplementy na temat twojej urody. Z pokoju roztacza

się widok na szczyty drzew, a śniadanie wraz ze stosem świeżych owoców tropikalnych wliczone jest w cenę. Krótko mówiąc, to jedno z najprzyjemniejszych miejsc, w jakich się zatrzymywałam, i kosztuje mnie niecałe dziesięć dolarów dziennie. Cieszę się, że tutaj wróciłam.

Ubud położone jest pośrodku wyspy, w górach, otaczają je pola ryżowe i niezliczone hinduistyczne świątynie, rzeki przecinają głębokimi kanionami dżunglę, zza horyzontu wyrastają wulkany. Ubud od dawna uważane jest za kulturalne centrum Bali, miejsce, gdzie przetrwało tradycyjne balijskie malarstwo, taniec, rzeźba oraz obrzędy religijne. Nie ma w pobliżu żadnych plaż, więc turyści wybierający się do Ubud reprezentują pewną klasę; wolą obejrzeć jakąś ceremonię w starożytnej świątyni, niż popijać piña coladę podczas przyływu. Niezależnie od tego, co jeszcze wyniknie z proroctwa mojego szamana, jest to urocze miejsce, w którym można przez jakiś czas pomieszkać. To miasteczko to taka mniejsza pacyficzna wersja Santa Fe, tyle że wokół spacerują małpy i wszędzie widać Balińczyków w ich tradycyjnych strojach. Są tu przyzwoite restauracje i przyjemne księgarenki. Wyobrażam sobie, że mogłabym tutaj, w Ubud, spędzić cały czas, robiąc to, co miłe rozwiedzione Amerykanki robią ze swoim czasem, odkąd tylko wynaleziono Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej - zapisywać się na jeden kurs po drugim: kursy techniki batikowej, gry na bębnach, wyrobu biżuterii, ceramiki, tradycyjnych indonezyjskich tańców i kuchni... Naprzeciwko mojego hotelu znajduje się nawet coś, co nosi nazwę Warsztat Medytacyjny - niewielki budynek z afiszem reklamującym otwarte sesje medytacyjne, w każdy wieczór pomiędzy szóstą i siódmą. Niech na ziemi zapanuje pokój, głosi afisz. Jestem jak najbardziej za.

Kiedy kończę się rozpakowywać, jest wczesne popołudnie, postanawiam więc wybrać się na spacer i przypomnieć sobie układ miasteczka, którego nie widziałam dwa lata. A potem spróbuję wykombinować, jak poszukiwać mojego szamana. Wyobrażam sobie, że będzie to trudne zadanie, może zająć wiele dni, a nawet tygodni. Nie wiem, od czego zacząć, więc wychodząc, zatrzymuję się przy recepcji, żeby spytać Maria, czy nie mógłby mi pomóc.

Mario to jeden z pracowników tego hotelu. Zawarłam z nim bliższą znajomość, kiedy się tu meldowałam, głównie z powodu jego imienia. Nie tak dawno temu podróżowałam po kraju, gdzie wielu mężczyzn miało na imię Mario, żaden z nich jednak nie był takim niewysokim, muskularnym, energicznym Balińczykiem, w jedwabnym sarongu i z kwiatem wetkniętym za ucho. Musiałam więc go zapytać:

- Czy naprawdę masz na imię Mario? Nie brzmi to zbyt indonezyjsko.
- Nieprawdziwe imię - odparł. - Prawdziwe to Nyoman.

Aha... powinnam była wiedzieć. Powinnam była pamiętać, że mam dwudziestopięcioprocentową szansę odgadnięcia jak, Mario ma naprawdę na imię. Na Bali, jeśli mogę sobie pozwolić na dygresję, są tylko cztery imiona, które większość mieszkańców wyspy nadaje swoim dzieciom, nieważne, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Te imiona to: Wayan (wymawiane „łajen”), Made („madej”), Nyoman i Ketut. Imiona te znaczą po prostu Pierwsze, Drugie, Trzecie i Czwarte i określają kolejność narodzin. Jeśli ma się piąte dziecko, zaczyna się ten cykl od nowa, tak że piąte dziecko nosi imię, które znaczy mniej więcej tyle, co „Wayan do drugiej potęgi”. I tak dalej. Jeśli się ma bliźnięta, nadaje im się imiona zgodnie z kolejnością przyjścia na świat. Ponieważ w zasadzie na Bali są tylko cztery imiona (wyższe kasty mają inny zestaw imion), jest całkiem możliwe (ba, wręcz całkiem częste), że dwoje Wayanów bierze ze sobą ślub. I oczywiście ich pierworodne dziecko będzie nosić imię Wayan.

Mówi nam to co nieco na temat tego, jak ważna na Bali jest rodzina i jak istotne jest miejsce jej członków w rodzinie. Człowiek myślałby, że ten system nadawania imion może powodować komplikacje, ale naprawdę Balijszczyki doskonale sobie z nim radzą. Bardzo popularne, wręcz niezbędne, z oczywistych względów są tutaj przydomki. Na przykład w Ubud jest pewna kobieta o imieniu Wayan, świetnie radząca sobie w interesach właścicielka uczęszczanej restauracji. Lokal nazywa się Cafe Wayan, a jego właścicielka sama znana jest jako „Wayan Cafe”, czyli „Ta Wayan, która jest właścicielką Cafe Wayan”. Ktoś innym może być znany jako „Tłusty Made” albo „Nyoman - Wypożyczalnia Samochodów”, albo jeszcze „Głupi Ketut, Który Spalił Dom Wuja”. Mój nowy balijski przyjaciel Mario ominął ten problem, przybierając po prostu imię Mario.

- Dlaczego Mario?

- Bo kocham wszystko włoskie.

Kiedy mu powiedziałam, że całkiem niedawno spędziłam cztery miesiące we Włoszech, uznał ten fakt za tak niewyobrażalnie zdumiewający, że wyszedł z kontuaru i oświadczył:

- Chodź, siadaj, rozmawiaj.

Poszłam, usiadłam, rozmawialiśmy. I w ten sposób zawarliśmy bliższą znajomość.

Zatem dzisiejszego popołudnia postanawiam rozpocząć poszukiwania swojego szamana, pytając Maria, czy przypadkiem nie zna człowieka, który nazywa się Ketut Liyer.

Mario marszczy brwi, myśli.

Czekam, że powie coś w stylu: „A tak! Ketut Liyer! Stary szaman, który zmarł w ubiegłym tygodniu... to smutne, że taki szacowny sędziwy szaman odchodzi... „

Mario prosi, żebym powtórzyła imię i nazwisko, a ja piszę je na kartce, zakładając, że coś wymawiam nie tak jak należy. No i rzeczywiście, Mario rozpromienia się na widok tego, co napisałam.

- Ketut Liyer!

Teraz czekam, że powie coś w rodzaju: „Aha, tak! Ketut Liyer! Szalencie! Aresztowany w ubiegłym tygodniu za wariactwo... „

Mario oświadcza jednak:

- Ketut Liyer sławny uzdrowiciel.

- Tak! To on!

- Znam go. Chodzę do jego domu. W zeszłym tygodniu zabieram tam kuzynkę, potrzebuje lekarstwa dla dziecka, co całe noce płacze. Ketut Liyer pomaga. Kiedyś zabieram młodą Amerykankę, jak ty, do domu Ketuta Liyera. Dziewczyna chciała magii, żeby była jeszcze piękniejsza dla mężczyzn. Ketut Liyer robi obrazek na pomoc, żeby była piękniejsza. Potem z niej zartuję. Codziennie jej mówię: „Obrazek działa! Zobacz, jaka jesteś piękna! Obrazek działa!”

Pamiętając obrazek, jaki Ketut Liyer wyrysował dla mnie, mówię Mariowi, że ja sama też otrzymałam kiedyś od szamana magiczny rysunek.

- Dla ciebie obrazek też działa! - śmieje się Mario.

- Mój obrazek miał mi pomóc odnaleźć Boga - wyjaśniam.

- Nie chcesz być piękniejsza dla mężczyzn? - pyta, co zrozumiałe, zakłopotany.

- Słuchaj, Mario - mówię - sądzisz, że mógłbyś kiedyś zaprowadzić mnie do Ketuta Liyera? Jeśli nie jesteś zbyt zajęty?

- Teraz nie - odpowiada.

Kiedy już zaczynam odczuwać rozczarowanie, dodaje:

- Ale może za pięć minut?

I dzieje się tak, że tego samego popołudnia, którego przybyłam na Bali, siedzę na tylnym siodełku motocykla, obejmując mocno swojego nowego kumpla Maria, Włoch-Indonezyjczyka, który pędzi pomiędzy tarasowymi polami ryżowymi ku domowi Ketuta

Liyera. Mimo że przez ostatnie dwa lata wiele myślałam o ponownym spotkaniu z tym człowiekiem, nie mam najmniejszego pojęcia, co mu powiem, kiedy tam dojedziemy. I oczywiście nie jesteśmy umówieni. Więc pojawiajemy się bez uprzedzenia. Rozpoznaję napis przy wejściu, „Ketut Liyer - artysta malarz”. Typowa siedziba balijskiej rodziny. Całość otacza wysoki kamienny mur, pośrodku jest dziedziniec, a na tyłach świątynia. Za tym murem, w połączonych ze sobą różnych domostwach, mieszka razem kilka pokoleń. Wchodzimy bez pukania (zresztą nie ma żadnych drzwi) ku hałaśliwie wyrażonemu oburzeniu typowych balijskich psów podwórzowych (chude i złe) i natykamy się na sędziwego Ketuta Liyera, ubranego w sarong i koszulkę polo, który wygląda dokładnie tak samo jak dwa lata temu, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz. Mario mówi coś do Ketuta, co dla mnie, niezbyt biegłej w balijskim, brzmi jak: „Jest tutaj dziewczyna z Ameryki... korzystaj z okazji”.

Ketut obdarza mnie w zasadzie bezzębnym uśmiechem, w którym zawarta jest taka siła życzliwości, że od razu czuję się pokrzepiona: Dobrze sobie zapamiętałam, on rzeczywiście jest nadzwyczajny. Jego twarz jest jak obszerna encyklopedia dobroci. Ścisną mocno moją dłoń i potrząsa nią energicznie.

- Bardzo się cieszę, że cię poznaję - oświadcza. Nie ma pojęcia, kim jestem.

- Chodź, chodź - mówi i prowadzi mnie na werandę niewielkiego domu, gdzie plecione maty z bambusa służą za całe umeblowanie. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak wyglądało dwa lata temu. Siadamy. Bez chwili wahania ujmuje moją dłoń... zakładając, że jak większość jego zachodnich gości przybyłam tu po to, by mi powróżył z ręki. Nie zajmuje mu to dużo czasu, a ja przekonuję się z ulgą, że słyszę skróconą wersję tego samego, co powiedział mi ostatnim razem. (Może i nie pamięta mojej twarzy, jednak mój los dla jego wprawnego oka pozostaje niezmienny.). Jego angielski jest lepszy niż ten, który zapamiętałam, bogatszy od języka Maria. Ketut mówi jak mądry stary Chińczyk z klasycznego filmu kung-fu, taką wersją angielskiego, którą można by nazwać „pasikonikową”, bo można wsadzić czułe słówko „pasikonik” w środek każdego zdania, a ono i tak nadal będzie brzmiało bardzo mądrze. Na przykład: „Aha... masz bardzo pomyślny powodzenie, pasikoniku... „

Czekam, aż Ketut weźmie oddech, po czym przerywam mu i przypominam, że byłam już u niego dwa lata temu.

Wygląda na zdziwionego.

- Nie pierwszy raz na Bali?

- Nie, proszę pana. Zastanawia się mocno.

- Dziewczyna z Kalifornii?

- Nie - odpowiadam, a dobre samopoczucie zaczyna gwałtownie mnie opuszczać. - Jestem dziewczyną z Nowego Jorku.

A Ketut na to (i nie mam pojęcia, co to ma do rzeczy):

- Nie jestem już taki przystojny, straciłem sporo zębów. Może kiedyś pójde do dentysta, wstawię nowe zęby. Ale za bardzo się boję dentysta.

Rozwiera огоłcone szczęki i pokazuje mi szkody. Rzeczywiście, stracił większość zębów po lewej stronie, a po prawej tkwią tylko żalostne pozostałości pieńki. Upadł, informuje mnie, i sobie je wybił.

Mówię, że przykro mi to słyszeć, po czym próbuję raz jeszcze, bardzo powoli:

- Wydaje mi się, że mnie nie pamiętasz, Ketut. Byłam tutaj dwa lata temu z amerykańską instruktorką jogi, kobietą, która przez wiele lat mieszkała na Bali.

Uśmiecha się uszczęśliwiony.

- Znam Ann Barros!

- Zgadza się, nazywa się Ann Barros. Ale ja jestem Liz. Prosiłam cię kiedyś o pomoc, bo chciałam zbliżyć się do Boga. Narysowałeś mi magiczny obrazek.

Wzrusza uprzejmie ramionami, ani trochę nie przejęty moimi słowami.

- Nie pamiętam - oświadcza.

To tak zła wiadomość, że niemal zabawna. Co będę teraz robić na Bali? Nie bardzo wiem, jak wyobrażałam sobie to ponowne spotkanie z Ketutem, niemniej miałam nadzieję, że będzie to jakieś wzruszające superkarmiczne przeżycie. I choć obawiałam się, że może już nie żyć, nie przyszło mi do głowy, że jeśli będzie żył, to może mnie w ogóle nie pamiętać. Chociaż teraz wydaje mi się kompletną tępota wyobrażanie sobie, że nasze pierwsze spotkanie było dla niego w takim samym stopniu warte zapamiętania jak dla mnie. Może powinnam lepiej to wszystko sobie zaplanować, rozsądniej.

Opisuję więc obrazek, jaki dla mnie wyrysował, tę postać z czterema nogami (żeby stać mocno na ziemi) i bez głowy (żeby nie patrzeć na świat za pośrednictwem intelektu), ale z twarzą na sercu (żeby patrzeć na świat sercem), a on słucha uprzejmie, z umiarkowanym zainteresowaniem, jakbyśmy rozmawiali o życiu kogoś zupełnie innego.

Robię to z ogromną niechęcią, bo nie chcę stawiać go w trudnej sytuacji, ale trzeba to powiedzieć, więc oświadczam bez ogródek:

- Powiedziałeś mi, że powinnam wrócić na Bali. Powiedziałeś, żebym została tutaj na trzy czy cztery miesiące. Powiedziałeś, że mogłabym pomóc ci nauczyć się angielskiego, a ty nauczyłbyś mnie tego, co umiesz. - Nie podoba mi się brzmienie mojego głosu... odrobinę za

dużo w nim desperacji. Nie wspominam zaproszenia, które kiedyś mi przedstawił, żebym zamieszkała z jego rodziną. W tych okolicznościach wydaje się to zupełnie nie na miejscu.

Wysłuchuje mnie uprzejmie, uśmiecha się i kręci głową, jakby mówił: „Czy to nie zabawne, czego ci ludzie nie wymyślą?”

Niemal już rezygnuję. Ale ponieważ odbyłam taką długą drogę, próbuję ostatni raz.

- Jestem pisarką, Ketut - mówię. - Jestem pisarką z Nowego Jorku.

Z jakiegoś powodu te właśnie słowa odnoszą skutek. Nagle jego twarz rozpromienia się radością, staje się jasna i czysta, i przejrzysta. W jego umyśle zapalają się fajerwerki rozpoznania.

- TY! - wykrzykuje. - TY! Pamiętam cię! - Wychyla się do przodu, kładzie dłonie na moich ramionach i zaczyna mną radośnie potrząsać, tak jak dziecko potrząsa nieodpakowanym prezentem gwiazdkowym, żeby odgadnąć, co znajduje się w środku. - Wróciłaś! WRÓCIŁAŚ!

- Wróciłam! Wróciłam! - powtarzam.

- Ty, ty, ty!

- Ja, ja, ja!

Łzy cisną mi się do oczu, ale staram się tego po sobie nie pokazywać. Czuję głęboką ulgę... trudno mi ją sobie wytłumaczyć. Zaskakuje mnie. Zupełnie... zupełnie jakbym miała wypadek i samochód spadł z mostu do rzeki, a mnie udało się jakoś wydostać przez okno zatopionego pojazdu i teraz odpychając się mocno nogami, jak żaba, płynę ku światłu przez zimną zieloną wodę i kiedy już kończy mi się tlen w płucach, żyły nabrzmiewają na szyi, policzki wydeły ostatnią porcją powietrza, to wtedy - UFF! - przebijam powierzchnię wody i łykam łączywie powietrze. Przeżyłam. To pierwsze zachłyśnięcie, to wynurzenie - coś takiego właśnie odczuwam, słysząc, jak indonezyjski szaman mówi: „Wróciłaś!” Tak wielka jest moja ulga.

Nie mogę uwierzyć, że się udało.

- Tak, wróciłam - powtarzam. Oczywiście, że wróciłam.

- Ja tak cieszę! - mówi. Trzymamy się za ręce, a on jest szalenie podekscytowany. - Z początku cię nie pamiętam! Tak dawno nasze spotkanie! Wyglądasz teraz inaczej! Inaczej dwa lata temu! Ostatnim razem ty bardzo smutna kobieta. Teraz... taka zadowolona! Jak inna osoba!

Ta myśl - myśl, że czyjś wygląd może tak się zmienić w ciągu zaledwie dwóch lat - zdaje się wywoływać u niego napad chichotu.

Rezygnuję z dalszego powstrzymywania łez i pozwalam im płynąć swobodnie.

- Tak, Ketut. Przedtem byłam bardzo smutna. Teraz jednak życie jest lepsze.

- Wtedy ty masz zły rozwód. Niedobrze.

- Niedobrze - potwierdzam.

- Wtedy masz za dużo zmartwienie, za duży smutek. Wtedy wyglądasz smutna stara kobieta. Teraz ładna młoda dziewczyna. Wtedy brzydka! Teraz ładna!

Mario klaszcze entuzjastycznie i oświadcza zwycięsko:

- Widzisz? Obrazek d z i a ł a !

- Nadal chcesz, żebym pomogła ci w angielskim, Ketut? - pytam.

Mówi, że mogę od razu zacząć mu pomagać, i zrywa się zwinnie jak jakiś krasnal. Biegnie do domu i wraca ze stosem listów, które przyszły do niego z zagranicy w ciągu kilku ostatnich lat (a więc jednak posiada adres!). Prosi, żebym czytała mu je na głos; rozumie angielski niezłe, ale słabo czyta. Już jestem jego sekretarką. Jestem sekretarką szamana. To bajeczne. Listy pochodzą od zagranicznych kolekcjonerów dzieł sztuki, ludzi, którzy w jakiś sposób weszli w posiadanie jego słynnych magicznych obrazków. Jeden jest od kolekcjonera z Australii, który wychwala umiejętności malarskie Ketuta, pisząc: „Jak to możliwe, że potrafisz malować takie szczegóły?” Ketut udziela odpowiedzi mnie, zupełnie jakby dyktował: „Ponieważ ćwiczę, wiele, bardzo wiele lat”.

Kiedy kończymy lekturę listów, opowiada mi o tym, co się wydarzyło przez te ostatnie lata. Zaszły pewne zmiany. Na przykład ma teraz żonę. Wskazuje ręką na drugą stronę dziedzińca, gdzie w cieniu kuchennych drzwi stoi przysadzista kobieta i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby nie była pewna, czy ma mnie zastrzelić, czy najpierw otłuć, a dopiero potem zastrzelić. Kiedy byłam tu poprzednio, Ketut pokazywał mi ze smutkiem zdjęcia zmarłej niedawno żony - pięknej sędziwej balijskiej kobiety, która nawet w późnym wieku robiła wrażenie pogodnej jak dziecko. Macham do nowej żony po drugiej stronie dziedzińca, ale ta wycofuje się do kuchni.

- Dobra kobieta - oznajmia Ketut, patrząc w tamtym kierunku. - Bardzo dobra kobieta.

Opowiada mi dalej, że był bardzo zajęty balijskimi pacjentami, że zawsze jest dużo do zrobienia, musi służyć magią nowo narodzonym dzieciom, prowadzić obrzędy dla zmarłych, uzdrawiać chorych, organizować ceremonie ślubne. Kiedy następnym razem będzie balijski ślub: „Możemy iść razem! Zabiorę cię!” Przykre jest tylko to, że tak niewielu ludzi z Zachodu go teraz odwiedza. Ludzie boją się przyjeżdżać na Bali po tamtym terrorystycznym zamachu. To powoduje, że czuje się, jak to ujmuje, „bardzo zagmatwany w głowie”. Jak również „bardzo pusty w banku”.

- Teraz przychodzisz do mnie codziennie ćwiczyć angielski? - pyta. Kiwam z zadowoleniem głową, a on dodaje: - A ja nauczę cię balijska medytacja, zgoda?

- Zgoda - odpowiadam

- Myślę, że trzy miesiące dość czasu, żeby nauczyć cię balijska medytacja, znaleźć dla ciebie Boga w ten sposób - mówi. - Może cztery miesiące. Podoba ci się Bali?

- Uwielbiam Bali.

- Wychodzisz za mąż na Bali?

- Jeszcze nie.

- Myślę, że może niedługo. Wrócisz tu jutro? Obiecuję, że wrócę.

Nie mówi nic o zamieszkaniu razem z jego rodziną, więc nie podnoszę tego tematu, rzucam ostatnie ukradkowe spojrzenie na jego groźną małżonkę. Może zatrzymam się na cały ten czas w moim hoteliku. I tak jest tam znacznie wygodniej. Bieżąca woda i w ogóle. Potrzebny mi jednak będzie rower, żeby jeździć do niego codziennie... Czas wracać.

- Bardzo się cieszę, że cię poznaję - mówi, potrząsając moją ręką.

Udzielam mu pierwszej lekcji angielskiego. Uczę go różnicy między „cieszę się, że cię poznaję” i „cieszę się, że cię widzę”. Wyjaśniam, że mówimy: „Miło cię poznać”, tylko kiedy widzimy kogoś pierwszy raz. Potem już za każdym razem mówimy: „Miło cię widzieć”. Bo poznaje się kogoś tylko raz. A teraz będziemy się widywać często, co dzień.

To mu się podoba. Od razu ćwiczy.

- Miło cię widzieć! Cieszę się, że cię widzę! Widzę cię! Nie jestem głuchy!

Śmiejemy się z tego wszyscy, nawet Mario. Ściskamy sobie ręce i uzgadniamy, że wrócę tu jutro po południu. To do jutra, mówi i dodaje:

- I nie masz co zwlekać, bo będę czekać.

- Chyba cię ucieszę, bo się pośpieszę - odpowiadam.

- Niech sumienie będzie twój przewodnik. Jeśli jacyś twoi przyjaciele z Zachodu przyjadą na Bali, przyślij ich do mnie na wrózenie z ręki... teraz po bombach jestem pusty w banku. Jestem bankret. Bardzo się cieszę, że cię widzę, Liss!

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Ketut.

Bali jest małą wyspą hinduizmu pośrodku ciągnącego się na przestrzeni dwóch tysięcy mil indonezyjskiego archipelagu zamieszkanego przez najliczniejszy muzułmański naród na świecie. Dlatego Bali jest czymś dziwnym i cudownym; właściwie nie ma prawa istnieć, a przecież istnieje. Hinduizm tej wyspy został importowany z Indii za pośrednictwem Jawy. Kupcy indyjscy ponieśli swoją religię na wschód w czwartym wieku naszej ery. Królowie jawajscy założyli potężną, z czasem zhinduizowaną dynastię; obecnie niewiele po nich pozostało, z wyjątkiem imponujących ruin świątyni Borobudur. W szesnastym stuleciu gwałtowne islamskie powstanie przetoczyło się przez ten region i wyznający Siwę członkowie rodziny królewskiej uciekali z Jawy na Bali, co zapamiętano jako Exodus Majapahit. Jawajczycy z najwyższej kasty zabrali na Bali tylko członków swoich rodzin, artystów i kapłanów... nie jest zatem grubą przesadą, kiedy ludzie mówią, że na Bali wszyscy są albo potomkami króla, albo kapłana, albo artysty i stąd u Balińczyków ta duma i wybitne zdolności.

Jawajscy koloniści przynieśli ze sobą na Bali system kastowy, chociaż ten podział nigdy nie był tutaj tak rygorystycznie przestrzegany jak w Indiach. Niemniej Balińczycy uznają pewną skomplikowaną hierarchię społeczną (sami bramini dzielą się tutaj na pięć podgrup), no i zapewne łatwiej byłoby mi odszyfrować ludzki genom, niż zrozumieć złożony, poplątany system klanowy, jaki wciąż się tu bardzo dobrze trzyma. (Pisarz Fred B. Eiseman w znakomitych esejach na temat balijskiej kultury zagłębia się w szczegóły, wyjaśniając wszelkie subtelności, i stąd właśnie czerpię większość swojej ogólnej wiedzy, wykorzystanej nie tylko tutaj, ale w całej tej książce.). Dla naszych celów wystarczy powiedzieć, że na Bali każdy należy do jakiegoś klanu, że każdy wie, w jakim jest klanie, i że wszyscy wiedzą, w jakim klanie jest cała reszta. I jeśli cię wykopią z twojego klanu za jakieś poważne przewinienie, pozostaje ci jedynie skoczyć do wulkanu, bo szczerze mówiąc, już i tak cię nie ma.

Kultura balijska jest jednym z najbardziej metodycznych systemów społecznej i religijnej organizacji na naszej planecie, wspaniałym ułem zadań, ról i obrzędów. Balińczycy tkwią całkowicie unieruchomieni w skomplikowanej sieci zwyczajów. Tę sieć utworzyła kombinacja kilku czynników, zasadniczo możemy jednak powiedzieć, że Bali pokazuje, co się dzieje, kiedy mnogość rytuałów tradycyjnego hinduizmu dotyczy uprawiających ryż ludzi,

którzy z konieczności działają na zasadzie skomplikowanej współpracy lokalnych społeczności. Tarasy ryżowe, ich zakładanie i utrzymywanie w odpowiednim stanie wymaga niewiarygodnego wręcz wkładu wspólnej pracy, dlatego każda balijska wioska ma swój *banjar*, jednostkę organizacyjną obywateli, którzy na zasadzie konsensu zarządzają miejscowymi sprawami, politycznymi, ekonomicznymi, religijnymi i dotyczącymi upraw. Na Bali zbiorowość jest ważniejsza od pojedynczych osób - gdyby złamano tę zasadę, oznaczałoby to głód dla wszystkich.

Tutaj ceremonie religijne mają wyjątkowe znaczenie (nie zapominajcie, że to przecież wyspa z siedmioma nieprzewidywalnymi wulkanami... też byście się modlili). Obliczono, że balijska kobieta spędza jedną trzecią swojego czasu, poza godzinami przeznaczonymi na sen, albo na przygotowywaniu się do jakiejś ceremonii, albo na uczestniczeniu w niej, albo na sprzątaniu po niej. Życie jest tutaj nieustannym cyklem składania ofiar i innych rytuałów. Trzeba odbyć wszystkie obrzędy, we właściwej kolejności i ze stosowną intencją, bo inaczej cały wszechświat utraci równowagę. Margaret Mead pisała o „nieustającej krzątaninie” Balińczyków i rzeczywiście, w domostwie balijskim rzadko zdarzają się chwile bezczynności. Są ceremonie, które należy powtarzać pięć razy dziennie, i takie, które odprawia się raz dziennie, raz w miesiącu, raz w roku, raz na dziesięć lat, raz na sto lat i raz na tysiąc lat. Wszystkich tych dat i rytuałów pilnują kapłani i święci mężowie, którzy wspomagają się przy tym trzema oddzielnymi kalendarzami o przebogatej złożoności.

Na każdego Balińczyka przypada trzynaście głównych rytuałów przejścia; każdemu z rytuałów towarzyszy dokładnie ustalony ceremoniał. Skomplikowane ceremonie duchowego ułagodzenia prowadzone są przez całe życie, żeby uchronić duszę przed stu ośmioma bezceństwami (sto osiem - znowu ta liczba!), obejmującymi przemoc, złodziejstwo, lenistwo i kłamstwo. Każde balijskie dziecko podlega doniosłej ceremonii przejścia do dojrzałości, podczas której, w celach estetycznych, spiłowuje mu się na płasko kły. Najgorsza rzecz na Bali to być nieokrzesanym, a kły uważane są za pozostałość naszej bardziej brutalnej natury i dlatego muszą zniknąć. W tak zwartej kulturze brutalność jest groźna. Cała misterna sieć współpracy w wiosce mogłaby zostać rozdarta czyimiś morderczymi zamiarami. Dlatego na Bali najlepiej być *alus*, to znaczy „udoskonalonym” czy wręcz „upiększonym”. Piękno na Bali jest czymś dobrym, dla mężczyzn i dla kobiet. Piękno się szanuje. Piękno to bezpieczeństwo. Dzieci uczy się, by podchodziły do wszelkich trudów i przykrości z „promienną twarzą”, z uśmiechem od ucha do ucha.

Podstawową ideą Bali jest siatka, potężna i niewidoczna sieć duchów, drogowskazów, ścieżek i zwyczajów. Każdy Balińczyk dokładnie zna swoje miejsce dzięki tej ogromnej

wyobrażonej mapie. Popatrzmy na te cztery imiona, które noszą obywatele Bali - Pierwszy, Drugi, Trzeci i Czwarty - przypominające im wszystkim, kiedy pojawili się w rodzinie i gdzie przynależą. Trudno byłoby o klarowniejszy system orientacyjny, nawet gdybyśmy nazwali swoje dzieci Północny, Południowy, Wschodni i Zachodni. Mario, mój nowy włosko-indonezyjski przyjaciel, powiedział mi, że jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy potrafi utrzymać się - umysłowo i duchowo - w miejscu przecięcia linii pionowej i poziomej, w stanie doskonałej równowagi. W tym celu musi dokładnie wiedzieć, gdzie się znajduje w każdym momencie, zarówno w relacji do Boga, jak i do swojej rodziny tutaj, na ziemi. Jeśli utraci tę równowagę, utraci swoją siłę.

Dlatego nie będzie to śmieszne, jeśli założymy, że Balińczycy są największymi na świecie mistrzami równowagi, ludźmi, dla których jej utrzymywanie jest sztuką, nauką i religią. Ja, która jestem w trakcie odnajdywania równowagi, miałam nadzieję dowiedzieć się od Balińczyków wiele na temat tego, jak można trwać niezachwianie w chaosie tego świata. Im więcej jednak czytam o tej kulturze, im bliżej jej się przyglądam, tym lepiej zdaję sobie sprawę, jak daleko wypadłam z tej sieci równowagi, przynajmniej z balijskiej perspektywy. Mój zwyczaj włóczenia się po świecie bez pełnej świadomości swojego naturalnego położenia w danym momencie, a także moja decyzja o wyjściu poza sieć małżeństwa i rodziny, czynią mnie w oczach Balińczyków kimś na kształt ducha. Mnie się takie życie podoba, ale według standardów szanujących się Balińczyków jest ono koszmarem. Bo skoro nie wiesz, gdzie jesteś ani do jakiego klanu należysz, to jak możesz odnaleźć równowagę?

Zważywszy na to wszystko, nie jestem pewna, jak wiele ze światopoglądu Balińczyków będę w stanie włączyć do własnego, ponieważ w tej chwili skłaniam się chyba ku nowocześniejszej i bardziej zachodniej definicji słowa *ekwilibrium*. (Obecnie rozumiem je jako „równa wolność”, przy czym w każdej chwili może dojść do przechyłu w którąkolwiek stronę, w zależności od tego... no wiecie... jak się sprawy ułożą.). Balińczycy nie czekają na to, „jak się sprawy ułożą”. Byłoby to dla nich przerażające. Oni decydują o biegu spraw, żeby uchronić wszystko przed rozpadem.

Kiedy na Bali idziesz drogą i mijasz nieznanego, najpierw zapyta cię: „Dokąd idziesz?” Następnie: „Skąd idziesz?” Dla człowieka Zachodu są to pytania raczej natrętne, szczególnie kiedy zadaje je osoba zupełnie obca, oni wszakże starają się jakoś ciebie umiejscowić, umieścić w ogólnej sieci, dla bezpieczeństwa i dla dobrego samopoczucia. Jeśli odpowiesz, że nie wiesz, dokąd idziesz, albo że tak sobie spacerujesz bez konkretnego celu, możesz zasmucić swojego nowego balijskiego znajomego. Raczej podaj im jakiś konkretny kierunek - j a k i k o l w i e k - żeby wszyscy poczuli się lepiej.

Trzecie pytanie, jakie na pewno zada ci Balińczyk, brzmi: „Jesteś mężatką?” To też jest pytanie służące umiejscowieniu ciebie. Muszą wiedzieć, czy twoje życie jest całkowicie uporządkowane. Oni naprawdę oczekują, że odpowiesz tak. Czują wielką ulgę, kiedy mówisz tak. Jeśli jesteś samotna, lepiej nie mówić tego w sposób bezpośredni. I zdecydowanie radzę w ogóle nie wspominać rozwodu, jeśli ci się taki przydarzył. Bo bardzo tym zmartwisz Balińczyków. Twoja samotność jest dla nich bowiem świadectwem groźnego dla ciebie wypadnięcia z sieci. Jeśli jesteś podróżującą po Bali samotną kobietą i ktoś cię spyta: „Czy jesteś mężatką?”, najlepszą odpowiedzią będzie: „Jeszcze nie”. Jest to uprzejmy sposób powiedzenia „Nie” i jednoczesnego wyrażenia optymistycznego zamiaru zajęcia się tą sprawą przy najbliższej sposobności.

Nawet jeśli masz osiemdziesiąt lat albo jesteś lesbijką czy wojującą feministką lub zakonnica, albo osiemdziesięcioletnią wojującą feministką, lesbijką oraz zakonnica, i nie byłaś nigdy mężatką ani nie masz najmniejszego zamiaru nią być, i tak najbardziej uprzejmą odpowiedzią pozostaje: „Jeszcze nie”.

77

Nazajutrz Mario pomaga mi kupić rower. Jak przystało na prawie stuprocentowego Włocha, mówi: „Znam pewnego człowieka” i zabiera mnie do sklepu kuzyna, gdzie stoję się właścicielką ładnego roweru górskiego, kasku, łańcucha z kłódką i bagażnika za niecałe pięćdziesiąt dolarów amerykańskich. Teraz już mogę poruszać się swobodnie po swoim nowym mieście, to znaczy na tyle swobodnie, na ile bezpieczne jest poruszanie się po tutejszych drogach, które są wąskie, kręte, kiepsko utrzymane i zapchane motocyklami, ciężarówkami i autokarami z turystami.

Po południu jadę swoim nowym rowerem do wioski Ketuta, żeby spędzić z moim szamanem pierwszy dzień na... na tym, cokolwiek będziemy tam razem robić. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, na czym. Czy to będą lekcje angielskiego? Lekcje medytacji? Godziwe staroświeckie przesiadywanie na werandzie? Nie wiem, co Ketut dla mnie zaplanował, ale i tak jestem szczęśliwa, że zaprosił mnie do swojego życia.

Kiedy przyjeżdżam, okazuje się, że ma gości. Młode małżeństwo przybyło tutaj z innej wsi z roczną córeczką, żeby prosić Ketuta o pomoc. Biedactwu wyrzynają się ząbki i już

od kilku nocy bez przerwy płacze. Tata jest przystojnym młodym człowiekiem odzianym w sarong; ma muskularne łydki, jak posągi radzieckich bohaterów wojennych. Mama jest śliczna i nieśmiała, zerka na mnie spod lekliwie opuszczonych powiek. Przynieśli Ketutowi drobny prezent za usługi - dwa tysiące rupii, to jest około dwudziestu pięciu centów, umieszczone w koszyczku z liści palmowych ręcznej roboty, niewiele większym od hotelowej popielniczki. W koszyczku, obok pieniędzy i kilku ziaren ryżu, leży też pojedynczy kwiat. (Ich ubóstwo mocno kontrastuje z sytuacją zamożniejszej rodziny z największego miasta na Bali - Denpasar, która pojawia się u Ketuta późnym popołudniem, matka z trójpoziomym koszem na głowie, a w nim owoce, kwiaty i pieczona kaczka - takiego nakrycia głowy nie powstydziałaby się sama Carmen Miranda, brazylijska gwiazda filmowa.

Ketut jest swobodny i uprzejmy. Wysłuchuje wyjaśnień rodziców na temat kłopotów ich maleństwa. Potem ze stojącego na werandzie kufra wygrzebuje starą księgę zapisaną drobnym pismem balijskiej wersji sanskrytu. Studiuje tę księgę niczym uczony, szukając jakiejś pasującej kombinacji słów, przez cały ten czas nie przestając rozmawiać i żartować z rodzicami dziewczynki. Następnie wrywa z notesu pustą kartkę ozdobioną Kermitem z *Muppet Show* i wypisuje, jak mi mówi, „receptę” dla małej. Oprócz fizycznych dolegliwości związanych z ząbkowaniem dziecko dręczy także jeden z pomniejszych demonów, stwierdza. Na ząbkowanie zaleca rodzicom wcierać w dziąsła dziecka sok z czerwonej cebuli. Żeby ułagodzić demona, muszą złożyć ofiarę z małego kurczaka i prosiaka, a także odrobiny placka z ziołami, które ich babka na pewno ma w swoim ogródku z leczniczymi roślinami. (Pożywienie się nie zmarnuje; po złożeniu ofiary balijskim rodzinom wolno zjeść to, co ofiarowali bogom, ponieważ ta ofiara ma bardziej metafizyczny niż dosłowny charakter. Balijszczykowie postrzegają to tak: Bóg bierze to, co należy do Boga - gest - a człowiek to, co należy do człowieka - jedzenie.).

Po wypisaniu recepty Ketut odwraca się do nas tyłem, napełnia wodą miskę i zawodzącym głosem odmawia nad nią efektowną, przyprawiającą o delikatne dreszcze mantrę. Potem skrapia maleństwo wodą, w którą przed chwilą tchnął świętą moc. To roczne dziecko wie, jak przyjmować święte błogosławieństwo w tradycyjny balijski sposób. Matka trzyma dziewczynkę na rękach, a ona podstawia pulchne łapki pod wodę, spija jeden i drugi łyk z dłoni, a resztą ochlapuje sobie główkę... doskonale odprawiony rytuał. Ani trochę nie przeraża jej ten bezzębny starzec, który coś tam nad nią wyśpiewuje. Potem Ketut zabiera resztę święconej wody i wlewa ją do plastikowej torebki, którą zawiązuje i podaje rodzicom na później. Kiedy odchodzą, matka niesie tę torebkę; wygląda, jakby przed chwilą wygrała złotą rybkę w lunaparku, tyle że zapomniała ją zabrać.

Ketut Liyer za honorarium równowartości dwudziestu pięciu centów przez czterdzieści minut poświęcał tej rodzinie całą swoją uwagę. Zrobiłby to samo, gdyby w ogóle nie przynieśli pieniędzy; taki jest jego obowiązek jako uzdrowiciela. Nie może odmówić nikomu, bo bogowie odebraliby mu dar uzdrawiania. W taki dzień jak dziś Ketut przyjmuje około dziesięciu osób, które potrzebują jego pomocy w sprawach dotyczących religii albo zdrowia. W dni szczególnie pomyślne, kiedy każdy chce uzyskać specjalne błogosławieństwo, może mieć nawet ponad setkę gości.

- Nie męczy cię to?

- Przecież to mój zawód - odpowiada. - To jest moje hobby: szamaństwo.

Po południu zjawia się jeszcze kilkoro pacjentów, ale Ketutowi i mnie udaje się spędzić na werandzie trochę czasu sam na sam. Jestem taka spokojna i czuję się przy nim tak swobodnie, jakby był moim dziadkiem. Udziela mi pierwszej lekcji balijskiej medytacji. Mówi, że jest wiele sposobów na znalezienie Boga, ale większość z nich jest zbyt skomplikowana dla ludzi Zachodu, nauczy więc mnie tej łatwej medytacji, która sprowadza się do tego: siedź bez ruchu i uśmiechaj się. Jestem zachwycona. A on śmieje się nawet wtedy, kiedy mnie tego uczy. Wspaniale.

- Uczyłaś się joga w Indiach, Liss? - pyta.

- Tak, Ketut.

- No to znasz joga - mówi - ale joga bardzo trudna. - Co powiedziawszy, skręca się w pozycję lotosu i wykrzywia komicznie twarz, jakby cierpiał na zaparcie. Potem się rozplątuje i pyta ze śmiechem: - Dlaczego oni zawsze przy joga tacy poważni? Jak robisz taka poważna mina, to wystraszasz dobra energia. Żeby medytować, trzeba uśmiechać. Uśmiechaj twarzą, uśmiechaj umysłem, a dobra energia przyjdzie do ciebie i usunie zła energia. Uśmiechaj nawet w swojej wątrobie. Poćwicz wieczorem w hotelu. Żaden pośpiech, nie staraj za mocno. Za poważnie, sprowadzisz na siebie chorobę. Możesz przywołać dobrą energię uśmiechem. Na dzisiaj koniec. I nie masz co zwlekać, bo będę czekać. Przyjdź jutro. Cieszę się, że cię widzę, Liss. Niech sumienie będzie twój przewodnik. Jeśli przyjadą na Bali twoi zachodni przyjaciele, przyprowadź ich na wróżenie z ręki. Jestem bardzo pusty w banku od bomby.

Oto historia życia Ketuta Liyera, opowiedziana mniej więcej jego słowami: - Już dziewięć pokoleń w mojej rodzinie jest szaman. Mój ojciec, mój dziadek, mój pradziadek, każdy z nich jest szaman. Oni wszyscy chcą, żebym ja też był szaman, bo widzą, że mam światło. Widzą, że mam piękny i że mam inteligentny. Ale ja nie chcę być szaman. Za dużo nauki! Za dużo informacji! I ja nie wierzę w szaman! Chcę być malarz! Chcę być artysta! Do tego mam talent.

Kiedy byłem jeszcze młody człowiek, spotykam Amerykanin, bardzo bogaty, może nawet z miasta Nowy Jork jak ty. Podoba mu się moje malowanie. Chce kupić ode mnie duży obraz, może metrowy, za mnóstwo pieniędzy. Dość pieniędzy, żeby być bogaty. Więc zaczynam malowanie dla niego obraz. Maluję codziennie, maluję i maluję. Nawet w nocy maluję. W tamten czas, dawno temu, nie było elektryczna żarówka jak teraz, więc mam lampka. Oliwna lampka, rozumiesz? Na pompę, musisz pompować, żeby olej wypłynął. I zawsze maluję przy tej lampie każda noc.

Jedna noc, moja lampka nie świeci, więc pompuję i pompuję, a ona wybucha! Zapala mi ręką! Idę do szpitala na miesiąc z poparzoną ręką, mam zakażenie. To zakażenie idzie do mojego serca. Doktor mówi, że muszę jechać do Singapur, obciąć ręką, amputacja. To mi się nie podoba. Ale doktor mówi, że muszę jechać do Singapur na operacja. Mówię doktorowi... najpierw idę do domu, do mojej wioski.

Tego wieczoru w wiosce mam sen. Ojciec, dziadek, pradziadek... oni wszyscy we śnie przychodzą razem w mój dom i mówią mi, jak wyleczyć moja spalona ręką. Kazań zrobić sok z szafran i drewno sandałowe. Polać tym sokiem oparzenie. A potem zrobić proszek z szafran i drewno sandałowe. Wetrzeć w oparzenie. Mówią, że muszę to zrobić, bo wtedy nie tracę ręką. Taki prawdziwy ten sen, jakby byli ze mną w domu, wszyscy razem.

Budzę się. Nie wiem, co robić, bo czasami sny to tylko żart, rozumiesz? Ale polewam ręką ten sok z szafran i drewno sandałowe. A potem proszek. Ręką mocno zakażona, mocno ból, bardzo duża, bardzo puchnięta. Ale po sok i proszek robi bardzo chłodna. Robi bardzo zimna. Zaczyna czuć lepiej. Po dziesięciu dniach ręką jest w porządku. Cała wyzdrowiona.

I dlatego zaczynam wierzyć. Znów mam sen, z ojciec, dziadek, pradziadek. Mówią mi teraz ja muszę być szaman. Moja dusza muszę dać Bogu. Coby to zrobić, muszę brać post przez sześć dni, rozumiesz? Ani jedzenie, ani woda. Żadne picie. Żadne śniadanie. Nie jest

łatwe. Ja taki spragniony od post, że idę na pole ryżowe rano, przed słońcem. Siedzę na polu ryżowym, usta otwarte i biorę woda z powietrze. Jak to nazywasz, ta woda w powietrze na pole ryżowe, rano? Rosa? Tak. Rosa. Tylko ja jem ta rosa przez sześć dni. Żaden inne jedzenie, tylko ta rosa. W dzień numer pięć jestem nieprzytomny. Wszędzie widzę kolor żółty. Nie, nie żółty... ZŁOTY. Widzę wszędzie złoty kolor, nawet w sobie. Bardzo szczęśliwy, teraz rozumiem. Ten złoty to kolor Boga, ten we mnie też. Ta sama rzecz, co jest Bogiem, ta sama jest w środku mnie. Ta sama - ta sama.

Więc teraz muszę być szaman. Teraz muszę uczyć się księgi lecznicze od pradziadek. One nie z papieru, z liści palmowych. Nazywają się *lontar*. To balijska encyklopedia medyczna. Muszę poznać wszystkie rośliny na Bali. To nie łatwe. Jedno po drugim, nauczyć się wszystko. Nauczyć się zajmować ludźmi z duży problem. Jeden problem, kiedy ktoś chory jest fizycznie. Na ta fizyczna choroba pomagam ziołami. Inny problem, kiedy rodzina chora, kiedy ciągle się kłóć. Pomagam zgodą, specjalnym magicznym rysunkiem, także mówieniem dla pomocy. Umieścić magiczny rysunek w domu, koniec kłótni. Czasami ludzie chorzy od miłości i nie mają odpowiednia druga osoba. Dla Balijszyków i ludzi Zachodu zawsze duży kłopot z miłość, trudno znaleźć odpowiednia druga osoba. Sprawa miłości załatwia mantra i magiczny rysunek, przynoszę im miłość. Uczę się też czarna magia, żeby pomóc ludziom, kiedy ktoś rzuca na nich zły urok. Mój magiczny rysunek umieszczasz w domu i on daje ci dobrą energię.

Ciągle lubię być artysta, lubię robić obraz, kiedy mam czas, sprzedawać do galerii. Mój obraz, maluję to samo... kiedy Bali było raj, może tysiąc lat temu. Obraz dżungli, zwierząt, kobiety z... jakie to słowo? Piersią. Kobiety z piersią. Trudno mieć czas na malowanie, kiedy jestem szaman, a muszę być szaman. To mój zawód. Moje hobby. Muszę pomagać ludziom, inaczej Bóg gniewa na mnie. Czasem muszę odbierać dziecko, prowadzić ceremonie dla zmarłych, dla piłowanie zębów albo dla ślub. Czasami się budzę, o trzecia rano, maluję przy żarówce... to jedyny czas, kiedy mogę malować. Lubię sam o tej porze dnia, to dobre dla malowanie obrazy.

Robię prawdziwa magia, nie żartuję. Zawsze mówię prawda, nawet kiedy jest niedobra. Zawsze w życiu muszę być dobry, inaczej będę w piekło. Mówię po balijsku, indonezyjsku, troszkę japońsku, troszkę angielsku, troszkę holendersku. W wojna tu dużo Japończyki. Dla mnie nie takie złe... wróżę im z ręki, przyjaźnię się. Przed wojną tu dużo Holendry. Teraz dużo ludzie z Zachodu, wszyscy mówią po angielsku. Mój holenderski jest już... jak ty mówisz? Jakie słowo mnie wczoraj nauczyłaś? Niezdarny? Tak... niezdarny. Mój holenderski jest niezdarny. Ha!

Tu, na Bali, jestem w czwarta kasta, bardzo niska, jak rolnik. Ale widzę, że dużo ludzi w pierwsza kasta nie są tak inteligentni jak ja. Nazywam się Ketut Liyer. Liyer to imię, które nadał mi dziadek, kiedy byłem mały. Znaczy ono „jasne światło”. To ja.

79

Czuję się tutaj na Bali tak wolna, że to prawie niedorzeczne. Muszę tylko odwiedzać w każde popołudnie Ketuta i trudno to nazwać obowiązkiem. Resztę dnia traktuję dość nonszalancko. Co rano medytuję przez godzinę, stosując techniki jogi, których nauczyła mnie moja guru, wieczorem medytuję godzinę, stosując technikę Ketuta (siedź bez ruchu i uśmiechaj się). Pomiedzy jednym a drugim spaceruję, jeżdżę na rowerze, czasami rozmawiam z ludźmi i jem lunch. Znalazłam w mieście małą spokojną bibliotekę, wykupiłam kartę biblioteczną i teraz delectuję się tymi wielkimi porcjami mojego życia spędzonymi w ogrodzie na czytaniu. Po intensywnym czasie w aśramie, a nawet po tym dekadencjowym śmiganiu przez Włochy i pochłanianiu wszystkiego, co znalazło się w zasięgu wzroku, jest to zupełnie nowy i całkowicie odmienny epizod mojego życia. Mam tyle wolnego czasu, że można by go ważyć na tony.

Za każdym razem, kiedy wychodzę z hotelu, Mario oraz inni członkowie personelu pytają, dokąd idę, a za każdym razem, kiedy wracam, pytają, gdzie byłam. Niemal widzę, jak w szufladach trzymają maleńkie mapy dla wszystkich swoich bliskich, na których są znaczki pokazujące, gdzie w danym momencie każdy się znajduje, żeby było wiadomo, co się przez cały czas dzieje w tym ludzkim ulu.

Wieczorami pedałuję ile sił wysoko na wzgórze między rozciągającymi się na północ od Ubud tarasami ryżowymi, otacza mnie soczysta zieleń. Oglądam różowe obłoki, odbijające się w stojącej wodzie pól ryżowych, jakbym patrzyła na dwa nieba - jedno w górze, dla bogów, i jedno tutaj, w błotnistej wilgoci, odpowiedniej dla nas, śmiertelników. Któregoś dnia pojechałam do rezerwatu czapli, gdzie stoi tabliczka z niechętnie wypisanym zaproszeniem („No dobra, możecie tu sobie obejrzyć czaple”), ale akurat tego dnia czapli nie było, jedynie kaczki, więc przyglądałam się jakiś czas kaczkom, po czym ruszyłam do następnej wioski. Po drodze mijałam mężczyzn, kobiety i dzieci, kury i psy, a każde z nich na swój sposób było czymś zajęte, ale nie na tyle, żeby nie móc przerwać i mnie pozdrowić.

Kilka wieczorów temu na szczycie uroczego leśnego pagórka zobaczyłam tablicę z napisem „Dom artystki do wynajęcia, z kuchnią”. Ponieważ wszechświat jest taki łaskawy, trzy dni później już tam mieszkam. Mario pomógł mi się przenieść, a wszyscy jego przyjaciele z hotelu zgotowali mi łzawe pożegnanie.

Mój nowy dom stoi przy cichej drodze, otoczony ze wszystkich stron polami ryżowymi. Z pokrytymi bluszczem ścianami przypomina angielski domek. Należy zresztą do Angielki, która pojechała na lato do Londynu, wślizguję się więc do jej domu, zastępując ją sobą w tym cudownym miejscu. Jest tutaj pomalowana na jaskrawą czerwień kuchnia, staw ze złotymi rybkami, marmurowy taras, kabina prysznicowa na dworze, wyłożona błyszczącą mozaiką z płytek; kiedy myję włosy, patrzę na gniazdujące w palmach czaple. Wąskie, sekretne ścieżki wiją się przez prawdziwie czarowny ogród. Do posiadłości przypisany jest ogrodnik, więc pozostaje mi tylko podziwiać kwiaty. Nie mam pojęcia, jak brzmią nazwy tych niezwykłych tropikalnych roślin, zatem sama wymyślam dla nich imiona. Dlaczego nie? Przecież to mój Eden. Wkrótce nadałam nowe ksywki wszystkim roślinom - drzewo żonkilowe, palma kapuściana, strojne ziele, spiralny pyszałek, ukradkowy kwiat, melancholijne pnącze, a jedną efektowną różową orchideę ochrzciłam mianem „pierwszy dziecięcy uścisk dłoni”. Aż nie chce się wierzyć w ten nie całkiem przydatny, a wręcz zbyteczny ogrom czystego piękna, jakie widzi się dookoła. Mogę zrywać papaje i banany wprost z drzew rosnących pod oknem sypialni. Mieszka tu kot, darzący mnie ogromnym uczuciem codziennie przez pół godziny, zanim go nakarmię, bo przez resztę dnia jęczy tylko szaleńczo, jakby męczyły go koszmary z wojny wietnamskiej. Co dziwne, zupełnie mi to nie przeszkadza. Nic mi teraz nie przeszkadza. Nie wyobrażam sobie, a nawet już nie pamiętam uczucia niezadowolenia.

Świat dźwięków jest tutaj równie efektowny. Wieczorami słychać orkiestrę świerszczy, żaby włączają się basem. W samym środku nocy psy wyją, żeby pokazać, jak to nikt ich nie rozumie. Przed świtem koguty oznajmiają wszystkim w promieniu kilku mil, jak to odłotowo jest być kogutem. („Jesteśmy KOGUTAMI! - wyrzaskują. - Tylko my możemy być KOGUTAMI!”) Każdego ranka, o wschodzie słońca, ptaki tropikalne urządzą zawody w śpiewaniu, które zawsze kończą się remisem dla co najmniej kilkunastu mistrzów. Kiedy pojawia się słońce, wszystko cichnie i do pracy biorą się motyle. Cały dom opleciony jest bluszczem; mam wrażenie, że któregoś dnia zniknie bez śladu w listowiu, a ja razem z nim, stając się leśnym kwiatem. Czynsz jest niższy od sumy, jaką co miesiąc wydawałam w Nowym Jorku na same taksówki.

A tak przy okazji: angielskie słowo *paradise* (raj) pochodzi z perskiego i oznacza „otoczony murem ogród”.

80

Co powiedziawszy, muszę przyznać się szczerze, że po trzech zaledwie popołudniach w miejscowej bibliotece uzmysłowiłam sobie, jak błędne były moje pierwotne wyobrażenia na temat tego balijskiego raj. Po pierwszej wizycie na Bali opowiadałam ludziom, że ta niewielka wyspa jest jedyną na świecie autentyczną utopią, miejscem, w którym zawsze panowały spokój, harmonia i równowaga. Idealny Eden, bez przemocy i rozlewu krwi w historii. Nie jestem pewna, skąd się wzięły te moje wspaniałe wymysły, ale prezentowałam je z całym przekonaniem.

„Nawet policjanci noszą kwiaty we włosach”, mawiałam, jakby to stanowiło ostateczny dowód.

W rzeczywistości jednak historia Bali jest dokładnie tak samo krwawa i pełna przemocy jak historia każdego innego miejsca na ziemi, kiedykolwiek zamieszkiwanego przez ludzi. Kiedy w szesnastym wieku przybyli tutaj jawajscy królowie, ustanowili w zasadzie kolonię feudalną, z bezwzględnym ustrojem kastowym, w którym - jak we wszystkich szanujących się systemach kastowych - nie było miejsca na przejmowanie się tymi z samego dołu hierarchii. Gospodarka Bali w dużym stopniu opierała się na lukratywnym handlu niewolnikami (który nie tylko wyprzedzał o kilka stuleci udział Europejczyków w międzynarodowym handlu ludźmi, ale i przetrwał o wiele dłużej). Na wyspie trwały nieustanne wojny, rywalizujący ze sobą królowie napadali na sąsiadów, dopuszczano się masowych gwałtów i morderstw. Jeszcze pod koniec dziewiętnastego wieku wśród kupców i żeglarzy Balijszczyki mieli reputację zaciekle wojowników. (Słowo *amok*, na przykład, w wyrażeniu „dostać amoku”, jest słowem balijskim; opisuje technikę bojową, która polegała na tym, że wojownik wpadał raptownie w szal i rzucał się na wroga w samobójczej, krwawej walce wręcz; Europejczycy byli naprawdę przerażeni tym sposobem walki.). Zdyscyplinowana, złożona z trzydziestu tysięcy wojowników balijskich armia pokonała holenderskich najeźdźców w 1848 roku, powtórnie w 1849 i jeszcze raz w 1850. Ulegli Holendrom dopiero wtedy, kiedy konkurujący ze sobą balijscy królowie zaczęli się

wyłamywać i w walce o władzę nawzajem zdradzać, sprzymierzając z wrogiem dla obiecanych przyszłych korzyści z handlu. Tak więc otaczanie dzisiaj historii tej wyspy nimbem wyśnionego raju jest wypaczeniem rzeczywistości; ci ludzie nie spędzili ostatniego tysiąclecia, przesiadując beczynn timer, uśmierzając się i wyśpiewując radosne pieśni.

W latach dwudziestych i trzydziestych minionego stulecia, kiedy podróżujące zachodnie elity odkryły Bali, nie zwracano uwagi na wszystkie te krwawe zaszłości, a nowo przybyli zgodnie przyznali, że jest to rzeczywiście Wyspa Bogów, gdzie każdy jest artystą i gdzie mieszkańcy żyją w niczym nie zakłóconym stanie szczęśliwości. Ten pogląd do dziś pokutuje wśród odwiedzających Bali (również u mnie, podczas mojej pierwszej wizyty). „Byłem wściekły na Boga, że nie urodziłem się Balijszym”, oświadczył niemiecki fotograf George Krauser, zobaczywszy Bali w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Skuszeni opowieściami o niezmiernym pięknie i spokoju, zaczęli się pojawiać na wyspie znani ludzie - postaci takie jak artysta Walter Spies, aktor i dramaturg Noel Coward, tancerka i uczona Claire Holt, aktor Charlie Chaplin, uczona Margaret Mead (która, pomimo widocznych wszędzie nagich piersi, całkiem trafnie określiła balijską cywilizację, mówiąc, że jest równie pruderyjna jak wiktoriańska Anglia: „Ani krzty wolnego libido w całej tej kulturze”).

Sielanka się skończyła w latach czterdziestych, kiedy ten świat dotknęła wojna. Japończycy najechali Indonezję i wiodący błogi żywot w swoich balijskich ogrodach, obsługiwani przez ślicznych służących ludzie Zachodu musieli uciekać. W powojennej walce o niepodległość Indonezji Bali było tak samo podzielone i wstrząsane przemocą jak reszta archipelagu i jeszcze w latach pięćdziesiątych (jak podaje raport zatytułowany *Bali: raj wymyślony*), jeśli w ogóle jakiś człowiek z Zachodu ośmielił się przyjechać na Bali, to robił mądrze, śpiąc z pistoletem pod poduszką. W latach sześćdziesiątych Indonezja stała się polem walki o władzę pomiędzy nacjonalistami i komunistami. W roku 1965, po próbie zamachu stanu w Dżakarcie, nacjonałści wysłali na Bali żołnierzy z listą nazwisk wszystkich podejrzanych o komunizm mieszkańców wyspy. W ciągu mniej więcej tygodnia wspomagane przez miejscową policję i wioskowe władze siły nacjonalistyczne metodycznie przeczesywały osadę po osadzie, dokonując masowych mordów. Kiedy ta masakra dobiegła końca, około stu tysięcy ciał spłynęło pięknymi balijskimi rzekami.

Marzenie o bajecznym Edenie odżyło pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy indonezyjski rząd postanowił na nowo otworzyć Bali dla międzynarodowego rynku turystycznego jako Wyspę Bogów i przeprowadził bardzo udaną kampanię reklamową. Ludzie, którzy dali się skusić do przyjazdu na Bali, szukali czegoś wznioślejszego (ostatecznie nie była to taka atrakcja jak nasza amerykańska Wenecja - Fort Lauderdale) i ich

uwagę przyciągało artystyczne i religijne piękno balijskiej kultury. Mroczniejsze fragmenty historii pomijano. I do tej pory się pomija.

Czytając o tym wszystkim popołudniami w miejscowej bibliotece, czuję się nieco zdezorientowana. Chwileczkę... po co przyjechałam na Bali? Poszukiwać równowagi pomiędzy doczesnymi przyjemnościami i duchową pobożnością, tak? Czy to na pewno odpowiednie miejsce do takich poszukiwań? Czy Balijszczyki rzeczywiście bardziej niż inni na świecie żyją w takiej spokojnej równowadze? Chcę przez to powiedzieć, że w y g ł ą d a j ą na zrównoważonych, jeśli się patrzy na te wszystkie tańce, modły, świętowanie, piękno i uśmiechy, ale że tak naprawdę nie mam pojęcia, co dzieje się pod powierzchnią. Policjanci rzeczywiście noszą kwiaty zatknięte za ucho, ale korupcja na Bali jest powszechna, tak jak i wszędzie w Indonezji (sama dopiero co ukradkiem dałam mężczyźnie w mundurze kilkaset dolarów w gotówce, żeby przedłużyć sobie nielegalnie wiza, co pozwoli mi zostać tutaj cztery miesiące). Balijszczyki dosłownie żyją ze swojej renomy najspokojniejszych, najpobożniejszych i najbardziej wyrazistych artystycznie ludzi na świecie, ale ile z tego jest naturalne, a ile wynika z wyrachowania? I ile ktoś z zewnątrz, taki jak ja, jest w stanie dowiedzieć się o napięciach ukrytych za tymi „promiennymi twarzami”? Jest tutaj jak wszędzie... przyglądasz się obrazowi ze zbyt małej odległości i wszystkie wyraźne kreski zaczynają się rozplýwać i stają niewyraźną plamą zamglonych pociągnięć pędzla i wymieszanych kropek.

Tymczasem mogę na pewno powiedzieć, że uwielbiam dom, który wynajęłam, i że wszyscy bez wyjątku tutejsi ludzie są dla mnie bardzo uprzejmi. Ich sztukę i obrzędy uważam za piękne i krzepiące; oni też tak je chyba postrzegają. Tak właśnie odbieram to miejsce, które zapewne jest bardziej skomplikowane, niż potrafię kiedykolwiek zrozumieć. Jednak co tak naprawdę muszą robić Balijszczyki, żeby zachować równowagę (i zarobić na życie), to już ich wielka tajemnica. Ja przybyłam na tę wyspę, żeby popracować nad własną równowagą, i wciąż mam wrażenie, przynajmniej w tej chwili, że panuje tutaj najbardziej sprzyjający temu zamierzeniu klimat.

Nie wiem, ile lat ma mój szaman. Spytałam go, ale on nie jest pewny. Wydaje mi się, że kiedy byłam tutaj dwa lata temu, tłumacz powiedział nam, że ma osiemdziesiąt lat. Ale kiedy Mario któregoś dnia spytał go o wiek, Ketut odparł: „Może sześćdziesiąt pięć, nie jestem pewny”. Kiedy z kolei ja go spytałam, w którym roku się urodził, powiedział, że nie pamięta faktu swoich narodzin. Wiem, że był dorosły, kiedy Japończycy okupowali wyspę podczas drugiej wojny światowej, z czego by wynikało, że ma około osiemdziesiątki. Kiedy jednak opowiedział mi historię o swojej oparzonej w młodości ręce, a ja spytałam, w którym roku to było, odparł: „Nie wiem. Może w 1920?” Jeśli więc miał około dwudziestu lat w roku 1920, to ile ma teraz? Sto pięć? Pozostaje nam tylko określić jego wiek na jakieś sześćdziesiąt do stu pięciu lat.

Zauważyłam też, że jego szacunki w sprawie własnego wieku zmieniają się z dnia na dzień, w zależności od samopoczucia. Kiedy jest bardzo zmęczony, wzdycha i mówi: „Może dzisiaj osiemdziesiąt pięć lat”, ale kiedy jest w dobrej formie, powiada: „Dzisiaj mam chyba sześćdziesiąt”. Może jest to równie dobry sposób oceniania wieku jak każdy inny... na ile lat się dzisiaj czujesz? Bo cóż innego jest tak naprawdę ważne? Mimo to sprawa jego wieku ciągle mnie nurtuje. Któregoś dnia spróbowałam najprostszego podejścia i spytałam po prostu:

- Ketut... kiedy są twoje urodziny?

- W czwartek - odparł.

- W ten czwartek?

- Nie. Nie w ten czwartek. W czwartek.

To niezły początek... ale czy nie dowiem się nic więcej? Czwartek którego miesiąca? Którego roku? Trudno powiedzieć. W każdym razie na Bali dzień tygodnia, w jakim się człowiek urodził, jest ważniejszy od roku i dlatego, choć Ketut nie wie, ile ma lat, mógł mi powiedzieć, że bogiem patronującym dzieciom urodzonym w czwartki jest Siwa Niszczyciel i że dzień ten ma dwa zwierzęce duchy przewodnie - lwa i tygrysa. Drzewem dzieci urodzonych w czwartek jest banian. Ptakiem - paw. Osoba urodzona w czwartek zawsze odzywa się pierwsza, przerywa innym, może być odrobinę agresywna, bywa raczej ładna („playboy albo playgirl”, używając słów Ketuta), ale ma niezły charakter, doskonałą pamięć oraz potrzebę pomagania ludziom.

Kiedy do Ketuta przychodzą balijscy pacjenci z poważnymi problemami zdrowotnymi lub finansowymi, lub problemami w relacjach z innymi ludźmi, on zawsze pyta, w którym dniu tygodnia się urodzili, żeby móc przygotować dla nich właściwe modlitwy i lekarstwa. Bo, jak mówi Ketut, „ludzie czasami chorzy w urodziny” i potrzebna im drobna astrologiczna poprawka, żeby mogli odzyskać równowagę. Niedawno miejscowa rodzina przyprowadziła do Ketuta najmłodszego syna. Chłopiec miał ze cztery lata. Spytałam, na czym polega problem, a Ketut wyjaśnił, że rodzina martwi się „kłopotami z tym bardzo agresywnym chłopcem. Nie słucha poleceń. Nie zachowuje. Nie uważa. Wszyscy w domu zmęczeni od chłopca. On czasami niezbyt bystry”.

Ketut zapytał rodziców, czy może przez chwilę potrzymać dziecko. Posadzili mu chłopca na kolanach, a malec oparł się o pierś szamana. Spokojny i ani trochę nie przestraszony. Ketut objął go czule, położył mu rękę na czole, przymknął oczy. Potem przyłożył dłoń do brzuszka chłopca i ponownie przymknął powieki. Uśmiechał się i cały czas przemawiał łagodnie do małego. Badanie trwało bardzo krótko. Ketut zwrócił dziecko rodzicom i wkrótce wszyscy oddalili się z receptą i odrobiną święconej wody. Ketut powiedział mi, że spytał rodziców o okoliczności związane z przyjściem chłopca na świat, i stwierdził, że dziecko urodziło się pod złą gwiazdą i w sobotę - w dzień, który przynosi dziecku pierwiastki potencjalnie złych duchów, takich jak duch wrony, sowy, koguta (ten nastroja dziecko wojowniczo) i duch lalki (ten z kolei powoduje zawroty głowy). Ale nie wszystko wygląda tak źle. Ciało urodzonego w sobotę dziecka zawiera bowiem także duchy tęczy i motyla, a te można wzmocnić. Trzeba tylko złożyć odpowiednie ofiary i dziecko odzyska równowagę.

- Dlaczego przykładłaś dłoń do czoła i brzucha chłopca? - spytałam. - Sprawdzałaś, czy nie ma gorączki?

- Sprawdzałam mózg - odparł Ketut. - Zobaczyc, czy ma w umysł złe duchy.

- Jakiego rodzaju złe duchy?

- Liss - powiedział Ketut - jestem Balijszyk. Wierzę w czarna magia. Wierzę, że złe duchy wychodzą z rzeka i krzywdzą ludzi.

- Czy chłopiec miał złe duchy?

- Nie. Tylko choroba z dzień urodzin. Jego rodzina złoży ofiarę. Będzie dobrze. A ty, Liss? Ćwiczysz balijska medytacja każdy wieczór? Trzymasz umysł i serce czyste?

- Każdego wieczoru - przyznałam.

- Umiesz uśmiechać nawet w wątroba?

- Nawet w wątrobie, Ketut. Duży uśmiech w mojej wątrobie.

- Świetnie. Ten uśmiech zrobi cię piękną kobietą. On da ci moc do bardzo urodziwa. Możesz użyć ta moc... urodziwa moc!... żeby dostać od życie to, co chcesz.

- Urodziwa moc! - powtarzam frazę, rozkoszując się jej brzmieniem. Jak medytująca Barbie. - Chcę mieć urodziwą moc!

- Nadal ćwiczysz też hinduska medytacja?

- Każdego ranka.

- Świetnie. Nie zapominaj o joga. Dobroczynna. Dobrze ci ćwiczyć oba rodzaje medytacja - hinduska i balijska. Są różne, ale tak samo dobre. Każde dobre. Jak myślę o religii, to większość jest każde dobre.

- Nie wszyscy tak uważają, Ketut. Niektórzy lubią się spierać o Boga.

- Nie ma potrzeba - oświadczył. - Mam dobry pomysł na to, jak spotkasz człowieka z inna religia i on chce się spierać o Bóg. Mój pomysł jest taki, ty słuchaj wszystko, co ten człowiek mówi o Bóg. Nigdy się nie spieraj. Najlepiej mów: „Zgadzam się z tobą”. Potem idź do domu, módl się, jak chcesz. To mój sposób dla ludzi zachować pokój z religia.

Zauważyłam, że Ketut przez cały czas trzyma brodę wysuniętą do przodu, głowę ma lekko odchylną do tyłu, wygląda to elegancko, a jednocześnie zagadkowo. Niczym osobiwy sędziwy król spogląda na cały świat znad swojego nosa. Skórę ma połyskującą, złociście brązową. Jest niemal całkowicie łysy, ale nadrabia to wyjątkowo bujnymi pierzastymi brwiami, które wyglądają, jakby za chwilę miały popfrunąć. Gdyby nie brakujące zęby i blizny po oparzeniu na prawej ręce, byłby okazem zdrowia. Powiedział mi, że w młodości był tancerzem, brał udział w świątynnych ceremoniach i że w tamtym czasie był piękny. Wierzę mu. Jada tylko jeden posiłek dziennie - typowe proste balijskie danie: ryż wymieszany z kawałkami kaczki albo ryby. Lubi wypić sobie codziennie filiżankę słodzonej kawy, głównie po to, by uczcić fakt, że stać go na kawę i cukier. Na takiej diecie też bez trudu dożylibyśmy stu pięciu lat. Ciało utrzymuje w kondycji, powiada, medytując co wieczór przed snem i wciągając w siebie zdrową energię wszechświata. Mówi, że ludzkie ciało zbudowane jest tylko z tych pięciu żywiołów, które składają się na wszelkie stworzenie, a są nimi - woda (*apa*), ogień (*tejo*), wiatr (*bayu*), niebo (*akasa*) i ziemia (*priwi*); wystarczy podczas medytacji skoncentrować się na tej rzeczywistości, a uzyska się energię z wszystkich tych źródeł i zachowa siłę. Przy okazji zademonstrował znakomite wycucie językowe, co mu się czasem zdarzało, mówiąc, „Mikrokosmos staje się makrokosmos. Ty mikrokosmos - staniesz się wszechświat - makrokosmos”.

Dzisiaj był bardzo zajęty, tłum ludzi z maleńkimi dziećmi albo z ofiarami na kolanach wypełniał cały dziedziniec. Byli wśród nich wieśniacy i biznesmeni, ojcowie i babki. Byli

rodzice z niemowlętami cierpiącymi na wymioty i starcy cierpiący od klątw czarnej magii. Byli młodzi mężczyźni przepelnieni zawiścią i żądzą oraz młode kobiety szukające odpowiedniego mężczyzny, dzieci udęczone wysypką. Wszyscy pozbawieni równowagi, wszystkim ją trzeba przywrócić.

Mimo to na dziedzińcu Ketutowego domostwa zawsze panuje aura bezwzględnej cierpliwości. Czasami ludzie muszą czekać trzy godziny, nim przyjdzie ich kolej, nikt jednak nawet nie tupnie zniecierpliwiony, nie wzniesie oczu ku niebu w geście irytacji. Nadzwyczajne jest też to, w jaki sposób czekają dzieci. Oparte o swoje piękne matki, bawią się własnymi palcami, by zabić czas. Zawsze mnie śmieszy, kiedy później się okazuje, że tak spokojnie zachowujące się dziecko przyprowadzono tutaj, bo rodzice uważali, że jest „zbyt niegrzeczne” i wymaga leczenia. T a m t a dziewczynka? Tamta trzylatka, siedząca cichutko i cierpliwie kilka godzin w palącym słońcu, bez jedzenia i zabawek? Ona jest n i e g r z e c z n a ? Chętnie zawołałabym: „Ludzie... jeśli chcecie zobaczyć niegrzeczne dzieci, to zabiorę was do Ameryki. Pokażę wam takie dzieciaki, że uwierzycie w konieczność podawania ritalinu”. Najwyraźniej tutaj obowiązują inne standardy dobrego zachowania dzieci.

Ketut przyjmował uprzejmie wszystkich pacjentów, jednego po drugim, pozornie nie przejmując się upływem czasu, poświęcając każdemu dokładnie tyle czasu, ile było potrzeba. Był tak zajęty, że nie zjadł nawet tego jedyne go południowego posiłku, zobowiązany szacunkiem dla Boga i swoich przodków tkwił godzinami na werandzie, lecząc wszystkich po kolei. Wieczorem oczy miał zmęczone jak lekarz polowy podczas wojny domowej. Ostatnim pacjentem tego dnia był Balińczyk w średnim wieku, skarżący się na niespokojny sen; od tygodni, mówił, dręczy go koszmar, śni mu się, że „tonie w dwóch rzekach jednocześnie”.

Aż do tego wieczoru nie byłam pewna, jaka jest moja rola w życiu Ketuta Liyera. Codziennie pytam go, czy na pewno nie przeszkadza mu moja obecność, a on nalega, że bym przychodziła mu towarzyszyć. Mam wyrzuty sumienia, że zabieram mu taki duży kawał dnia, on jednak wydaje się zawiedziony za każdym razem, kiedy pod wieczór odchodzę. Tak naprawdę to nie uczę go angielskiego. Angielszczyzna, jaką sobie przyswoił, zapewne całe dziesięciolecie temu, wryła się w jego mózg, nie pozostawiając miejsca na doskonalenie ani świeże słownictwo. Jedyne, do czego go zmusiłam, to żeby witał mnie: „Miło cię widzieć” zamiast „Miło cię poznać”.

Dziś wieczór, po odejściu ostatniego pacjenta, Ketut był wyczerpany i postarzały od znużenia, ale kiedy spytałam, czy mam odejść, żeby wreszcie trochę odpoczął, odparł: „Dla ciebie mam zawsze czas”. Potem poprosił, żeby opowiedziała mu coś o Indiach, o Ameryce, o Włoszech, o swojej rodzinie. Wtedy uświadomiłam sobie, że nie jestem nauczycielką

angielskiego Ketuta Liyera ani słuchaczką jego nauk teologicznych, jestem najzwyklejszą, najprostszą rozrywką starego szamana... jego towarzystwem. Kimś, z kim może porozmawiać, ponieważ lubi słuchać o szerokim świecie, a nie miał okazji zobaczyć go na własne oczy.

W czasie, który spędziliśmy wspólnie na werandzie, Ketut pytał mnie o wszystko, poczynając od cen samochodów w Meksyku, na przyczynach AIDS kończąc. (Odpowiadałam najlepiej jak umiałam, choć wierzę, że są fachowcy, którzy udzieliliby bardziej konkretnych odpowiedzi.). Ketut nigdy nie opuścił Bali. Prawdę mówiąc, niewiele czasu spędził poza swoją werandą. Raz odbył pielgrzymkę do góry Agung, największego i najważniejszego w sensie duchowym wulkanu na wyspie, ale tamtejsza energia jest tak wielka, że bał się medytować, by nie strawił go święty ogień. Chodzi do świątyni na ważne uroczystości, sąsiedzi zapraszają go do swoich domów, żeby dokonał ceremonii zaślubin albo rytuału związanego z osiągnięciem dojrzałości, jednak przez większość czasu można zobaczyć go tutaj, jak siedzi po turecku na bambusowej macie, otoczony spisanyymi z liści palmowych medycznymi encyklopediami pradziadka, pomaga potrzebującym, uspokaja demony, od czasu do czasu pozwala sobie ma filiżankę kawy z cukrem.

- Ostatnia noc miałem sen o ciebie - powiedział mi dzisiaj. - Miałem sen, jak jeździsz zewsząd na swój rower.

Ponieważ zrobił przerwę, odezwałam się, proponując gramatyczną poprawkę.

- Chcesz powiedzieć, że miałeś sen, w którym jeżdżę w s z ę d z i e na rowerze?

- Tak! Śnię ostatnia noc, że jeździsz zewsząd i wszędzie na swój rower. W mój sen jesteś taka szczęśliwa! Przez cały świat jeździsz na swój rower. A ja za tobą!

Może on chciałby...

- Mógłbyś odwiedzić mnie kiedyś w Ameryce - odezwałam się.

- Nie mogę, Liss. - Pokręcił głową, radośnie godząc się ze swoim losem. - Nie dość zębów, żeby latać na samolot.

Jeśli chodzi o żonę Ketuta, to zbliżenie się do niej zabrało mi sporo czasu. Nyomo, jak mąż ją nazywa, jest postawna i pulchna, utyka na nogę z powodu sztywnego stawu biodrowego, zęby

ma czerwone od żucia betelu. Jej palce u nóg są żałośnie powykręcane artretyzmem. Spogląda byстрыm okiem. Bałam się jej od pierwszej chwili. Roztacza groźną aurę starszej pani, jaką emanują czasami włoskie wdowy i porządne, praktykujące, ubrane na czarno włoskie mamusie. Wygląda, jakby miała przetrzepać ci skórę za najdrobniejszą przewinę. Z początku była w stosunku do mnie otwarcie podejrzliwa... *Co to za flaming szwenda się codziennie po moim domu?* Wpatrywała się we mnie z mroku okopconej kuchni, nie całkiem przekonana, że mam prawo żyć. Uśmiechałam się do niej, a ona nawet nie mrugnęła okiem, jakby się zastanawiała, czy nie przegnać mnie miotłą.

Potem jednak coś się zmieniło. Po historii z kserowaniem.

Ketut Liyer ma te całe stosy starych zeszytów w linie, wypełnionych drobnym pismem, zawierających dawne balijsko-sanskryckie tajemnice medyczne. Zapisał tam wszystko w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych, w jakiś czas po śmierci dziadka, żeby mieć całą tę wiedzę medyczną pod ręką. Materiały te są absolutnie bezcenne. Stanowią kopalnię danych na temat rzadkich drzew i liści, roślin, wszystkich ich leczniczych właściwości. Jest tam też około sześćdziesięciu stron rysunków odnoszących się do wrózenia z ręki, jeszcze więcej zeszytów z danymi astrologicznymi, mantrami, zaklęciami i opisami metod leczenia. Jedyne problem to ten, że wszystkie zeszyty, przez dziesięciolecia wystawione na działanie pleśni i myszy, są w opłakanym stanie. Żółte, skruszałe, cuchnące stęchlizną, wyglądają jak stos gnijących jesiennych liści. Za każdym razem, kiedy Ketut przewraca kartkę, rozdziera ją.

- Ketut - powiedziałam do niego w ubiegłym tygodniu, podnosząc do góry jeden ze zniszczonych zeszytów - nie jestem co prawda lekarzem jak ty, ale myślę, że on umiera.

- Myślisz umiera? - roześmiał się.

- Szanowny panie - oświadczyłam poważnym głosem - oto moja profesjonalna opinia... jeśli nie udzieli się tej księdze szybkiej pomocy, zginie w ciągu sześciu miesięcy.

Potem spytałam, czy mogę zabrać zeszyt do miasta i skserować go, nim rozsypie się do końca. Musiałam wyjaśnić, na czym polega kserowanie, i obiecać, że zatrzymam zeszyt tylko przez dwadzieścia cztery godziny i że go na pewno ani trochę nie uszkodzę. Pozwolił mi wreszcie wynieść go poza werandę, przy akompaniamencie moich gorących zapewnień, że będę obchodzić się ostrożnie z mądrościami jego dziadka. Pojechałam do punktu usługowego w mieście, dysponującego podłączonymi do Internetu komputerami i kserokopiarkami, i ostrożnie skopiowałam każdą stronę, po czym kazałam całość oprawić w ładną plastikową okładkę. Nazajutrz, przed południem, odwozłam mojemu szamanowi starą i nową wersję zeszytu. Był zdumiony i zachwycony, szczęśliwy, bo, jak powiedział, ma ten zeszyt już od

pięćdziesięciu lat. Co mogło znaczyć dosłownie „pięćdziesiąt lat” albo po prostu „bardzo, bardzo długo”.

Spytałam, czy mogę skopiować pozostałe, żeby zabezpieczyć zawartą w nich wiedzę. Podał mi kolejny zwiotczały, postrzępiony, ledwo dychający kajecik, napisany balijskim sanskrytem i zawierający skomplikowane szkice.

- Jeszcze jeden pacjent! - oświadczył.

- Już ja go uzdrowię! - odparłam.

Był to kolejny wspaniały sukces. Do końca tygodnia skopiowałam kilka sfatygowanych rękopisów. Codziennie Ketut przywoływał swoją żonę i pokazywał jej świeże kopie. Był uszczęśliwiony. Jej wyraz twarzy nie zmieniał się ani na jotę, ale bardzo dokładnie przyglądała się rezultatom moich starań.

Następnego poniedziałku, kiedy pojawiałam się u nich, Nyomo przyniosła mi w słoiku po dzemie gorącą kawę. Patrzyłam, jak niesie ją przez dziedziniec na porcelanowym talerzyku, jak kuśtykając, pokonuje długą drogę z kuchni na werandę Ketuta. Byłam przekonana, że kawa przeznaczona jest dla jej męża, ale nie... on już swoją wypił. Ta była dla mnie. Przygotowała ją dla mnie. Próbowałam jej podziękować, ale to ją zirytowało i machnęła ręką, tak jak wtedy, kiedy odgania koguta, który zawsze, kiedy ona przygotowuje posiłek, próbuje wskoczyć na stojący na dworze kuchenny stół. Następnego dnia przyniosła mi kawę i miseczkę z cukrem. A kolejnego była kawa, cukier i zimny gotowany ziemniak. Przez cały tamten tydzień, codziennie, dodawała nowy smakołyk. Zaczynało mi to przypominać tę starą samochodową zabawę z dzieciństwa, pomagającą zapamiętać alfabet: „Jadę do babci i wiozę arbuza... jadę do babci i wiozę arbuza i balon... jadę do babci i wiozę arbuza, balon, cukier... kawę w słoiku po dzemie i zimnego ziemniaka... „

Wczoraj, kiedy stałam na dziedzińcu, żegnając się z Ketutem, Nyomo przyczłapała z miotłą w rękach, udając, że nic ją nie obchodzi, co się dzieje w jej królestwie. Stałam z założonymi do tyłu rękoma, a ona podeszła i ujęła jedną z moich dłoni. Gmerała w niej, jakby próbowała rozwikłać kombinację zamka, aż w końcu znalazła mój palec wskazujący. Otoczyła go swoją dużą twardą dłonią, ścisnęła mocno i trzymała. Poczulałam, jak jej miłość wpływa z pulsowaniem z tego mocnego uścisku i przepłynąwszy wzdłuż ramienia, trafia do mojego wnętrza. Potem puściła moją rękę i bez słowa pokuśtykała dalej na zniekształconych artretyzmem nogach. Po chwili zamiatała już, jakby się nic nie wydarzyło. A ja stałam, spokojnie tonąc w dwóch rzekach szczęścia jednocześnie.

Mój kolejny przyjaciel ma na imię Yudhi, wymawiane „judei”. Jest Indonezyjczykiem, pochodzi z Jawy. To on wynajmował mi dom; pracuje dla Angielki i dba tu o wszystko, kiedy ona wyjeżdża na lato do Londynu. Yudhi ma dwadzieścia siedem lat, jest krępej budowy i mówi po angielsku jak surfer z południowej Kalifornii. Przez cały czas zwraca się do mnie „człowieku” i „ziomal”. Ma uśmiech, którym mógłby powstrzymać złoczyńcę, i jak na kogoś tak młodego, niezwykle pogmatwany życiorys.

Urodził się w Dżakarcie, matka była gospodynią domową, ojciec indonezyjskim fanem Elvisa i właścicielem niewielkiego biznesu w branży klimatyzacji i chłodnictwa. Rodzina była chrześcijańska, co w tej części świata stanowiło dziwactwo, i Yudhi opowiada mi zabawne historyjki o tym, jak muzułmańskie dzieci z sąsiedztwa żartowały sobie z niego, wołając: „Jesz wieprzowinę!” i „Kochasz Jezusa!” Yudhiemu to nie przeszkadzało; Yudhiemu, z racji jego charakteru, niewiele przeszkadza. Natomiast jego mama wołała, żeby nie zadawał się z muzułmańskimi wyrostkami, głównie dlatego, że chodziły boso, Yudhi je naśladował, a ona uważała to za niehigieniczne. Dała synowi do wyboru - albo nosi klapki i bawi się na dworze, albo chodzi boso i zostaje w domu. Yudhi nie lubi mieć nic na nogach, więc większość dzieciństwa i lat młodzieńczych spędził we własnym pokoju i tam nauczył się grać na gitarze. Boso.

Chyba nie znam nikogo obdarzonego równie dobrym słuchem. Cudownie radzi sobie z gitarą; nigdy nie brał żadnych lekcji, a rozumie melodię i harmonię, jakby były siostrami, z którymi się wychował. Gra taką muzyczną mieszankę Wschodu i Zachodu, która łączy klasyczne indonezyjskie kołysanki z muzyką reggae i wczesnym funkiem Steviego Wondera... trudno to wytłumaczyć, ale on naprawdę powinien być sławny. Nie spotkałam nikogo, kto usłyszawszy jego muzykę, nie uważałby, że powinien być sławny.

A oto, co zawsze najbardziej pragnął robić - mieszkać w Stanach i pracować w rozrywce. Wspólne marzenie całego świata. Kiedy był jeszcze nastolatkiem, w jakiś sposób udało mu się zdobyć pracę (słabo jeszcze znał angielski) na statku wycieczkowym linii Carnival Cruise, a tym samym wyrwać z zamkniętego środowiska w Dżakarcie w szeroki, nieznany świat. Jego praca należała do tych szalonych zajęć wykonywanych przez pilnych imigrantów - oznaczała życie pod pokładem, dwanaście godzin na dobę sprzątanania, jeden wolny dzień w miesiącu. Jego współtowarzysze byli Filipińczykami i Indonezyjczykami.

Indonezyjczycy i Filipińczycy spali i jedli oddzielnie, nie stykając się ze sobą (bo przecież jedni to muzułmanie, drudzy chrześcijanie), jednak Yudhi, jak to on, zaprzyjaźnił się z wszystkimi i stał się kimś w rodzaju łącznika między tymi dwiema grupami azjatyckich robotników. Dostrzegał więcej podobieństw niż różnic pomiędzy tymi pokojówkami, posługaczami i pomywaczami, pracującymi bez wytchnienia, żeby wysłać rodzinom ze sto dolarów miesięcznie.

Kiedy za pierwszym razem statek wpływał do nowojorskiego portu, Yudhi nie spał całą noc, tkwił na najwyższym pokładzie, oglądał pojawiającą się na horyzoncie panoramę miasta, z podniecenia serce tłukło mu się w piersi jak szalone. Wiele godzin później zszedł ze statku i przywołał żółtą taksówkę, tak jak to widział w kinie. Kiedy prowadzący taksówkę świeży imigrant z Afryki spytał, dokąd ma jechać, Yudhi odparł: „Gdziekolwiek, człowieku... po prostu powoź mnie tu i tam. Chcę zobaczyć wszystko”. Kilka miesięcy później statek ponownie zawinął do Nowego Jorku i tym razem Yudhi wysiadł na dobre. Jego kontrakt wygasł, a on chciał zamieszkać w Ameryce.

Wylądował na jakimś przedmieściu w stanie New Jersey, gdzie mieszkał przez pewien czas z Indonezyjczykiem, którego poznał na statku. Dostał pracę w barze kanapkowym centrum handlowego... i znów, dziesięć do dwunastu godzin na dobę typowej dla imigrantów harówki, tym razem z Meksykanami zamiast Filipińczyków. Podczas tych kilku pierwszych miesięcy lepiej się nauczył hiszpańskiego niż angielskiego. W rzadkich wolnych chwilach jeździł autobusem na Manhattan, gdzie przemierzał pieszo ulice, ciągle niewymownie zauroczony tym miastem, które teraz określa jako „miejsce najbardziej na świecie przepełnione miłością”. Jakimś sposobem (znowu... ten uśmiech) poznał w Nowym Jorku grupę muzyków z całego świata i zaczął z nimi grać na gitarze - improwizował całe noce z utalentowanymi młodymi ludźmi z Jamajki, Afryki, Francji, Japonii... Podczas jednej z takich sesji poznał Ann... ładną blondynkę z Connecticut, która była basistką. Pokochali się i pobrali. Znaleźli mieszkanie na Brooklynie, mieli grupę świetnych przyjaciół, z którymi jeździli w muzyczne trasy aż do Florida Keys. Byli niewiarygodnie szczęśliwi. Wkrótce jego angielszczyzna stała się nieskazitelna. Zastanawiał się nad studiami.

Jedenastego września Yudhi patrzył z dachu swojego brooklyńskiego domu, jak padają dwie wieże. Był jak inni przygwożdżony żalem... jak ktoś mógł wyrządzić taką potworną krzywdę temu miastu, miejscu najbardziej na świecie przepełnionemu miłością? Nie wiem, czy Yudhi w ogóle zauważył, że w odpowiedzi na zagrożenie terrorystyczne Kongres przyjął tak zwany Patriot Act - ustawę, która wprowadziła drakońskie przepisy imigracyjne, skierowane w znacznym stopniu przeciwko krajom islamskim, takim jak

Indonezja. Jedno z postanowień wymagało, by wszyscy mieszkający w Stanach obywatele indonezyjscy zarejestrowali się w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Rozdzwoniły się telefony, kiedy Yudhi i jego indonezyjscy przyjaciele usiłowali wykombinować, co powinni robić... wielu miało nieważne, nieprzedłużone wizy i obawiali się, że kiedy się zarejestrują, zostaną deportowani. Z drugiej strony, obawiali się nie zarejestrować i tym samym zachować jak przestępcy. Przypuszczalnie terroryści, islamscy fundamentaliści, rozproszeni po całej Ameryce, lekceważyli ten przepis, Yudhi postanowił jednak, że się zarejestruje. Był ożeniony z Amerykanką, chciał uaktualnić swój status imigranta i zgodnie z prawem zostać obywatelem. Nie zamierzał żyć w ukryciu.

Szukali z Ann porady u różnych prawników, ale żaden nie wiedział, co im radzić. Przed jedenastym września nie byłoby najmniejszego problemu... Yudhi, żonaty z Amerykanką, udałby się po prostu do biura imigracyjnego, przedłużył wizę i złożył dokumenty potrzebne do uzyskania obywatelstwa. Ale teraz? Kto wie? „Nowe przepisy nie zostały jeszcze wypróbowane”, mówili prawnicy, specjaliści od prawa imigracyjnego. „Wypróbują je na tobie”. Tak więc Yudhi i jego żona spotkali się z miłym urzędnikiem imigracyjnym i przedstawili mu sprawę. Powiedziano im, że Yudhi ma przyjść jeszcze tego popołudnia na „drugą rozmowę”. Powinni byli mieć się na baczności; Yudhi dostał bowiem wyraźną instrukcję, że ma przyjść bez żony, bez prawnika i z pustymi kieszeniami. Pełen nadziei wrócił tam sam, spodziewając się drugiej rozmowy... i wtedy go aresztowano.

Zabrali go do ośrodka internowania w Elizabeth w stanie New Jersey, gdzie spędził wiele tygodni w tłumie imigrantów, których aresztowano w ostatnim czasie na podstawie Homeland Security Act, ustawy o bezpieczeństwie wewnętrznym. Wielu z nich mieszkało i pracowało w Stanach od lat, większość nie mówiła po angielsku. Niektórym nie udało się w ogóle skontaktować z rodzinami. Przebywający w ośrodku byli dla zewnętrznego świata niewidoczni; nikt nie wiedział, czy jeszcze żyją. Minęło wiele dni, zanim bliska hysterii Ann dowiedziała się w końcu, dokąd zabrano jej męża. Z ośrodka internowania Yudhiemu najbardziej wbił się w pamięć obrazek przedstawiający kilkunastu czarnych jak węgiel, wychudzonych i śmiertelnie przerażonych Nigeryjczyków, których znaleziono w stalowym kontenerze na frachtowcu; ukrywali się w nim, na dnie statku, przez niemal miesiąc, nim ich odkryto. Chcieli dostać się do Stanów... gdziekolwiek. Nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują. Wciąż wytrzeszczali oczy, powiedział Yudhi, jakby nieustannie próbowali przeniknąć wzrokiem ciemność.

Po jakimś czasie rząd amerykański odesłał mojego chrześcijańskiego przyjaciela - teraz już najwyraźniej podejrzanego islamskiego terrorystę - do Indonezji. Było to w

ubiegłym roku. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek pozwolą mu choćby zbliżyć się do Stanów. On i jego żona ciągle nie wymyślili, co mają teraz zrobić z życiem; w swoich marzeniach nie brali pod uwagę możliwości dożywania swoich dni w Indonezji.

Nie mogąc znieść slumsów Dżakarty po pobycie w Stanach, Yudhi przyjechał na Bali, żeby zobaczyć, czy będzie mógł się tutaj zadomowić, chociaż spotyka się z niechęcią miejscowych, bo nie jest Balińczykiem... pochodzi z Jawy. A Balińczycy ani trochę nie lubią Jawajczyków, uważają ich za złodziei i żebraków. Tak więc Yudhi spotyka się z większymi uprzedzeniami tutaj - w ojczystej Indonezji - niż w Nowym Jorku. Nie ma pojęcia, co robić dalej. Może Ann dołączy do niego tutaj. Chociaż... może lepiej nie. Bo co ją tu czeka? Ich krótkotrwałe małżeństwo, podtrzymywane teraz głównie e-mailami, zaczyna się chwiać. On sam nie czuje się tutaj jak u siebie, jest zagubiony. Więcej w nim Amerykanina niż kogokolwiek innego; Yudhi i ja używamy tego samego slangu, rozmawiamy o naszych ulubionych nowojorskich restauracjach i lubimy te same filmy. Przychodzi wieczorami do mojego domu, ja częstuję go piwem, a on gra mi na gitarze zachwycające melodie. Chciałabym, żeby zdobył sławę. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, już byłby sławny.

„Ziom... czemu życie jest takie zwariowane?”, pyta od czasu do czasu.

84

Ketut, czemu życie jest takie zwariowane? - spytałam następnego dnia swojego szamana.

- *Bhuta ia, dewa ia* - odparł.

- Co to znaczy?

- Człowiek jest demon, człowiek jest bóg. Oba prawda.

To była dobrze mi znana koncepcja. Bardzo hinduska, bardzo jogiczna. Chodzi o to, że ludzie przychodzą na ten świat, jak wielokrotnie wyjaśniała moja guru, z jednakową możliwością kurczenia się i rozwoju. Nosimy w sobie zarówno ciemność, jak światło i tylko od konkretnej osoby (albo rodziny lub społeczeństwa) zależy, co przeważy - dobre czy złe cechy. Szaleństwo naszej planety jest zasadniczo rezultatem tego, że istota ludzka ma trudności z uzyskaniem prawdziwej równowagi z sobą samą. Rezultatem jest szaleństwo (tak indywidualne, jak zbiorowe).

- Co więc mamy zrobić z wariactwem tego świata?

- Nic. - Ketut roześmiał się, ale w jego głosie była życzliwość. - Taka natura świata. Taka przeznaczenia. Martw o swoje wariactwo tylko... przyniesie ci spokój.

- Ale jak możemy odnaleźć spokój w sobie? - spytałam.

- Medytacja - odparł. - Cel medytacja tylko szczęście i spokój... bardzo łatwe. Dzisiaj uczę cię nowa medytacja, zrobię jeszcze lepsza osoba. Nazywa się Medytacja Cztery Bracia.

Zaczął mi wyjaśniać, jak to Balińczycy wierzą, że każdemu z nas przy narodzinach towarzyszy czterech niewidzialnych braci, którzy przychodzą na świat razem z nami i są przy nas przez całe życie. Kiedy dziecko znajduje się w łonie matki, nawet tam jest ta czwórka rodzeństwa... reprezentowana przez łożysko, wody płodowe, pępowinę oraz tę żółtą woskową substancję, która chroni skórę nienarodzonego dziecka. Kiedy dziecko już się urodzi, rodzice starają się zebrać jak najwięcej z tych ubocznych substancji, wkładają do skorupy orzecha kokosowego i zakopują przy frontowych drzwiach domu rodzinnego. W pojęciu Balińczyków ten pogrzebany orzech jest świętym miejscem spoczynku czterech nienarodzonych braci i o miejsce to dba się już zawsze jak o jakieś sanktuarium.

Dziecko wie od maleńkości, że gdziekolwiek się uda, towarzyszy mu na tym świecie czterech braci, którzy zawsze będą się nim opiekować. Bracia ci utożsamiani są z czterema cnotami, niezbędnymi każdemu, kto ma być w życiu bezpieczny i szczęśliwy: inteligencją, przyjacielskością, siłą i (to mi się szczególnie podoba) p o e z j ą. Braci można w sytuacjach krytycznych wzywać na ratunek i prosić o wsparcie. Kiedy umierasz, czterej duchowi bracia zabierają twoją duszę do nieba.

Dzisiaj Ketut powiedział mi, że nigdy jeszcze żadnego człowieka Zachodu nie uczył Medytacji Czterech Braci, ale że ja wydaję się do tego przygotowana. Najpierw nauczył mnie imion mojego niewidocznego rodzeństwa: Ango Patih, Maragio Patih, Banus Patih i Banus Patih Ragio. Kazał mi je zapamiętać i przez całe życie zwracać się do tych braci o pomoc, kiedy będę jej potrzebować. Powiedział, że nie muszę tego robić w żaden formalny sposób, tak jak wtedy, kiedy modlimy się do Boga. Wolno mi zwracać się do braci z rodzinną czułością, ponieważ oni moja rodzina! Mówi, że mam wymawiać ich imiona, kiedy myję się rano, a oni do mnie dołączają. Mam wymawiać ich imiona przed każdym posiłkiem, a będą razem ze mną cieszyć się jedzeniem. Wzywać ich przed zaśnięciem: mówiąc, „Teraz ja śpię, więc wy musicie czuwać i mnie ochraniać”, a moi bracia będą odstraszać przez całą noc demony i koszmary.

- To jest świetne - powiedziałam mu - bo czasami mam w nocy koszmary.

- Jakie koszmary?

Wyjaśniłam mu, że od dziecka mam ten sam straszny sen, w którym widzę stojącego przy moim łóżku mężczyznę z nożem. Ten koszmar jest tak wyrazisty, mężczyzna tak realny, że czasami krzyczę przerażona. Za każdym razem serce tłucze mi się w piersi (mało to zabawne dla tych, którzy dzielą ze mną łóżko). Odkąd moja pamięć sięga, ten sen nawiedza mnie co kilka tygodni.

Opowiedziałam to wszystko Ketutowi, a on wyjaśnił, że dotychczas nie zrozumiałam tej wizji. Człowiek z nożem w mojej sypialni nie jest wrogiem; jest po prostu jednym z moich duchowych braci. Jest tym, który reprezentuje siłę. Nie ma zamiaru mnie zaatakować, on chroni mnie we śnie. Prawdopodobnie budzę się dlatego, że wyczuwam zamieszanie, kiedy mój duchowy brat odpędza jakiegoś demona, który się na mnie czai. I mój brat nie nosi noża, ale kris - niewielki, groźny sztylet. Nie muszę się obawiać. Mogę spać spokojnie, wiedząc, że jestem pod opieką.

- Masz szczęście - oświadczył Ketut. - Szczęście, że możesz go zobaczyć. Ja czasami widzę moi bracia w medytacja, ale zwykła osoba rzadko. Myślę, ty masz wielka duchowa moc. Mam nadzieję, że może kiedyś zostaniesz szamanka.

- Zgoda - roześmiałam się - ale tylko jeśli dadzą mi własny program w telewizji.

Roześmiał się ze mną, nie chwytając oczywiście dowcipu, ale uradowany tym, że ludziom chce się żartować. Potem poinstruował mnie, że za każdym razem, kiedy mówię do swoich czterech duchowych braci, muszę im powiedzieć, kim jestem, żeby mogli mnie rozpoznać. Muszę używać sekretne przydomku, pod którym mnie znają. Mam mówić, „Jestem Lagoh Prano”.

Lagoh Prano znaczy „szczęśliwe ciało”.

Ruszyłam rowerem do domu, transportując swoje szczęśliwe ciało przez wzgórza, w promieniach późnopołudniowego słońca. Kiedy przejeżdżałam przez las, nagle tuż przede mną opuścił się z drzewa duży samiec małpy i wyszczerzył na mnie kły. Nawet się nie wzdrygnęłam. „Spływaj, łobuzie... mam tutaj czterech braci, którzy chronią mój tyłek”, rzuciłam i pojechałam dalej.

Następnego dnia (pomimo opieki czterech braci!) potracił mnie autobus. Nie był zbyt duży, ale zwałił mnie z roweru, kiedy jechałam drogą bez pobocza. Wpadłam do wybetonowanego rowu melioracyjnego. Co najmniej trzydziestu balijskich motocyklistów, świadków zdarzenia (autobusu nie było już widać), zatrzymało się, żeby mi pomóc; wszyscy zapraszali mnie do swojego domu na herbatkę albo chcieli zawieźć mnie do szpitala, wszystkim było niezmiernie głupio z powodu tego wypadku. Nie był aż taki poważny, jeśli zważyć, czym mógł się zakończyć. Rowerowi nic się nie stało, zgiął się jedynie bagażnik i pękł mój kask. (Dobrze, że kask, a nie głowa.). Najgorszym obrażeniem było głębokie rozcięcie kolana, pełne piachu i brudu, które - poddane w ciągu kilku następnych dni wilgotnemu tropikalnemu powietrzu - paskudnie się rozjątrzyło.

Nie chciałam martwić Ketuta, jednak kilka dni później podwinęłam nogawkę, ściągnęłam żółknący bandaż i pokazałam mu ranę. Przejęty, przyjrzał się jej uważnie.

- Zakażeń - zawyrokował. - Boli.

- Tak - przyznałam.

- Powinnaś pójść do lekarz.

Trochę mnie zaskoczył. Czyż on nie był lekarzem? Z jakiegoś jednak powodu nie zaproponował swojej pomocy, a ja nie nalegałam. Może nie chce leczyć ludzi Zachodu. A może po prostu miał jakiś ukryty superplan, bo ostatecznie przez to moje rozwalone kolano poznałam Wayan. A za sprawą tego spotkania wszystko, co się miało wydarzyć... wydarzyło się.

Wayan Nuriyasih jest, tak jak Ketut Liyer, balijską uzdrowicielką. Są jednak pomiędzy nimi pewne różnice. On jest starszym mężczyzną; ona kobietą pod czterdziestkę. On przypomina kapłana, jest postacią bardziej mistyczną, Wayan natomiast jest praktykującą lekarką, która przygotowuje u siebie mieszanki ziół i różne leki oraz przyjmuje pacjentów.

Wayan ma w centrum Ubud od strony ulicy niewielką przychodnię, która nazywa się Ośrodek Tradycyjnego Lecznictwa Balijskiego. Wiele razy przejeżdżałam tamtędy na rowerze w drodze do domu Ketuta i ośrodek nie uszedł mojej uwagi dzięki stojącym na zewnątrz roślinom w donicach i tablicy z dziwnym, napisanym ręcznie ogłoszeniem „Specjalność: lunch wielowitaminowy”. Nigdy nie byłam w środku, dopóki nie zaczęło mi się paprać to kolano. Kiedy jednak Ketut odesłał mnie, żebym sobie znalazła lekarza, przypomniał mi się ten ośrodek i pojechałam tam na rowerze w nadziei, że ktoś wyleczy to zakażenie.

Ośrodek Wayan to bardzo mała przychodnia, mieszkanie i restauracyjka - wszystko to pod jednym dachem. Na dole znajduje się maleńka kuchnia i skromna publiczna jadalnia z trzema stolikami i kilkoma krzesłami. Na piętrze jest coś w rodzaju gabinetu, gdzie Wayan wykonuje masaże i zabiegi lecznicze. Z tyłu mieści się jedna ciemna sypialnia.

Wkuśtykałam do środka ze swoim bolącym kolaniem i przedstawiłam się Wayan uzdrowicielce - uderzająco atrakcyjnej Balijsce z szerokim uśmiechem i sięgającymi do pasa lśniącymi czarnymi włosami. W kuchni za nią kryły się dwie nieśmiałe dziewczynki, które uśmiechnęły się do mnie, kiedy do nich pomachałam, po czym uciekły. Pokazałam Wayan swoją zainfekowaną ranę i spytałam, czy może mi pomóc. Po chwili gotowała już na piecu wodę z ziołami i podawała mi napój zwany *jamu* - tradycyjną indonezyjską miksturę leczniczą domowej roboty. Położyła mi na kolanie gorące zielone liście i natychmiast poczułam ulgę.

Zaczęłyśmy rozmawiać. Mówiła zupełnie dobrze po angielsku. Ponieważ jest Balijską, od razu zadała mi trzy standardowe wstępne pytania: „Dokąd dzisiaj idziesz? Skąd idziesz? Czy jesteś mężatką?”

Kiedy jej powiedziałam, że nie jestem mężatką („Jeszcze nie!”), wyglądała na zaskoczoną.

- Nigdy jeszcze? - spytała.

- Nie - skłamałam. Nie lubię kłamać, ale odkryłam, że na ogół lepiej nie wspominać Balijszykom o rozwodzie, bo bardzo ich to martwi.

- Naprawdę nigdy? - spytała ponownie, przyglądając mi się z wielkim zaciekawieniem.

- Słowo daję - brnęłam dalej. - Nigdy.

- Jesteś pewna? - drążyła. To już stawało się dziwaczne.

- Jestem tego w zupełności pewna!

- Ani razu? - spytała.

W porządku, więc mnie przejrzała.

- Cóż - przyznałam - zdarzyło się ten jeden raz... Twarz jej się rozjaśniła, jakby mówiła: Dobrze wiedziałam.

- Rozwiedziona?

- Tak - odparłam, teraz już zawstydzona. - Rozwiedziona.

- Wiedziałam.

- To tutaj rzadkość, prawda?

- Kiedy ja też - powiedziała na to Wayan, zaskakując mnie tymi słowami. - Ja też rozwiedziona.

- Zrobiłam wszystko, co mogłam - oświadczyła. - Próbowałam wszystkiego, modliłam się codziennie. Ale musiałam od niego odejść.

Łzy napłynęły jej do oczu i zanim się zorientowałam, trzymałam za rękę pierwszą napotkaną przeze mnie balijską rozwódkę.

- Jestem pewna, że zrobiłaś, co mogłaś, moja droga - mówiłam. - Jestem pewna, że próbowałaś wszystkiego.

- Rozwód jest taki smutny.

Nie zaprzeczyłam.

Spędziłam w przychodni Wayan następne pięć godzin, rozmawiając z moją nową najlepszą przyjaciółką o jej kłopotach. Ona oczyściła zakażone miejsce w moim kolanie, ja wysłuchałam jej historii. Jej balijski mąż, powiedziała, to mężczyzna, który „cały czas pije, bez przerwy uprawia hazard, traci wszystkie nasze pieniądze, a potem bije, kiedy mu nie daję więcej na hazard i picie”. Rozsunęła włosy, pokazała blizny na głowie i powiedziała: „To od uderzenia kaskiem motocyklowym. Zawsze tłukł mnie tym kaskiem, kiedy pije, a ja nie zarabiam pieniędzy. Uderzał tak mocno, że tracę przytomność, kręci mi się w głowie, nie widzę. Mam szczęście, że jestem uzdrowicielką, z rodziny uzdrowicieli, bo wiem, jak sobie pomóc, kiedy mnie bije. Myślę, że bez tego straciłabym uszy, no wiesz, nie słyszałabym. Albo oczy, oślepla”. Powiedziała, że zostawiła go po tym, jak ją tak brutalnie pobił, że „straciłam dziecko, moje drugie, to w moim brzuchu”. Po tym wydarzeniu ich pierwsze dziecko, bystra dziewczynka nazywana Tutti, oświadczyła: „Powinnaś się rozwieść, mamusi. Za każdym razem, kiedy idziesz do szpitala, zostawiasz w domu za dużo pracy dla Tutti”.

Tutti miała cztery lata, kiedy to powiedziała.

Człowiek Zachodu nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak osamotniona i bezbronna staje się na Bali kobieta, która odchodzi od męża. Tutaj rodzina jest wszystkim. Balijszczy

żyją w otoczonych murami siedzibach - cztery pokolenia rodzeństwa, kuzynów, rodziców, dziadków i dzieci mieszkają w małych bungalowach otaczających rodzinną świątynię i opiekują się sobą nawzajem od urodzenia do śmierci. Stała bliskość rodziny oznacza siłę, finansowe bezpieczeństwo, opiekę zdrowotną, codzienną troskę, dostęp do wspólnej wiedzy i - co dla Balińczyków najważniejsze - duchowy związek.

Ta rodzinna siedziba ma dla Balińczyków tak wielkie znaczenie, że myślą o niej jak o żyjącej osobie. Tradycyjnie już ludność balijskiej wioski oblicza się, nie sumując osób, ale te rodzinne siedziby. Taki teren otoczony murem to samowystarczalny świat. Więc się go nie opuszcza. (Chyba że, co oczywiste, jesteś kobietą, a zatem przenosisz się tylko raz... z siedziby rodziny ojca do mężowskiej.). Kiedy ten system działa - jak w tym zdrowym społeczeństwie jest prawie przez cały czas - wydaje najbardziej trzeźwe umysłowo, niczym nie zagrożone, spokojne, szczęśliwe i zrównoważone istoty ludzkie na świecie. A kiedy nie działa? Jak w przypadku mojej przyjaciółki Wayan? Wyrzutki giną na pozbawionej powietrza orbicie. Miała wybór: albo pozostać w bezpiecznej sieci rodzinnego domostwa, z mężem, przez którego regularnie lądowała w szpitalu, albo ratować się i odejść, czyli pozostać z niczym.

No cóż, nie tak zupełnie z niczym. Zabrała ze sobą encyklopedyczną wiedzę na temat leczenia, swoją życzliwość, etykę pracy i córkę Tutti... o którą musiała ciężko walczyć. Bali to ekstremalna forma patriarchatu. W przypadku rozwodu, który jest rzadkością, dzieci w sposób automatyczny należą się ojcu. Żeby odzyskać Tutti, Wayan musiała wynająć adwokata, któremu zapłaciła wszystkim, co posiadała. Dosłownie w s z y s t k i m . Nie tylko sprzedała meble i biżuterię, ale też sztuce, skarpetki i obuwie, nawet stare myjki i wypalone do połowy świeczki... wszystko poszło na honorarium dla tego prawnika. Ale w końcu po dwuletnich zmaganiach odzyskała córeczkę. Wayan ma szczęście, że Tutti jest dziewczynką; gdyby była chłopcem, nigdy by już nie zobaczyła swojego dziecka. Chłopcy są o wiele cenniejsi.

Przez ostatnie kilka lat mieszkają same - zdane na siebie w tym ulu, jakim jest Bali! - przeprowadzając się co kilka miesięcy, w zależności od posiadanych w danym czasie środków; sen z powiek spędzał im niepokój o to, co przyniesie kolejny dzień. Ciągłe przeprowadzki utrudniają życie jej pacjentom, którzy i tak mają swoje kłopoty. Przy każdej przeprowadzce Tutti musi zmieniać szkołę.

Jeszcze niedawno dziewczynka była najlepszą uczennicą w klasie, ale po ostatniej zmianie szkoły jest dwudziesta na pięćdziesięciuro uczniów.

W trakcie opowieści Wayan do ośrodka wbiegła Tutti, która właśnie wróciła ze szkoły. Ta tryskająca energią ośmiolatka z charakterem (żywa jak iskra, chudziutka, potrząsa warkoczykami) zapytała mnie świeżą angielszczyzną, czy nie zjadłabym lunchu.

- Całkiem zapomniałam! Musisz zjeść lunch! - zawołała Wayan i obie ruszyły do kuchni i z pomocą tamtych dwóch chowających się nieśmiały dziewczynek przygotowały najlepsze potrawy, jakie dotąd jadłam na Bali.

Mała Tutti z każdym kolejnym daniem wyjaśniała radośnie, co się znajduje na talerzu, z tak szerokim uśmiechem i taką werwą, jakby wywijiała buławą na paradzie.

- Sos z kurkumy dla czystych nerek!
- Wodorosty dla wapnia!
- Sałatka z pomidorów, dla witaminy D!
- Mieszanka ziół, żeby nie dostać malarii!

Wreszcie i ja się odezwałam.

- Tutti, gdzie się nauczyłaś tak dobrze mówić po angielsku?

- Z książki! - zawołała.

- Jesteś bardzo bystrą dziewczynką - powiedziałam.

- Dziękuję! - Żywiłowo zakręciła się w tańcu radości. - Ty też jesteś bardzo bystrą dziewczynką!

A przy okazji, dzieci balijskie na ogół się tak nie zachowują. Są przeważnie spokojne i uprzejme, chowają się za matczynymi spódnicami. Ale nie Tutti. Ona się nie chowa. Lubi się pokazać, a także opowiadać.

- Zobaczą ci moje książki! - zaszczębiotała i pognała na piętro, żeby je przynieść.

- Chce być lekarzem zwierząt - powiedziała mi Wayan. - Jak to jest po angielsku?

- Weterynarz?

- Tak. Weterynarzem. Zadaje mi wiele pytań na temat zwierząt, ale nie umiem odpowiedzieć. Mówi: „Mamusi, jeśli ktoś przyprowadzi chorego tygrysa, czy najpierw bandażuję mu zęby, żeby mnie nie ugryzł? Jeśli wąż zachoruje i trzeba mu dać lekarstwo, to gdzie jest jego otwór?” Nie mam pojęcia, skąd bierze te pomysły. Mam nadzieję, że pójdzie na studia.

Tutti zbiegła ze schodów z naręczem książek i bez ceregieli wpakowała się na kolana matki. Wayan roześmiała się i pocałowała córkę, a cały smutek wywołany wspomnieniami o rozwodzie ulotnił się nagle z jej twarzy. Przyglądałam się im, myśląc, że małe dziewczynki, które samym swoim istnieniem utrzymują matki przy życiu, wyrastają na bardzo silne

kobiety. Podczas tego popołudnia zakochałam się w tej małej. Spontanicznie pomodliłam się do Boga: *Spraw, by kiedyś Tutti Nuriyasih bandażowała zęby tysiącom białych tygrysów!*

Matkę Tutti również pokochałam. Spędziłam tam już wiele godzin i czułam, że czas odejść. Pojawiły się zresztą kolejne turystki z nadzieją, że dostaną tu lunch. Hałaśliwe niemłode babsko z Australii gromkim głosem prosiło Wayan, by wyleczyła je z tego „straszno zaparcia”. Pomyślałam sobie: *Wyśpiewaj to jeszcze głośniejsze, złotko, a będzie można tańczyć do tej melodii...*

- Przyjdę jutro - obiecałam Wayan - i znowu zamówię na lunch wielowitaminową specjalność.

- Twoje kolano już wygląda lepiej - oceniła Wayan. - Szybka poprawa. Nie ma już infekcji.

Starła mi z nogi resztki zielonej ziołowej paćki, po czym ponaciskała trochę moją rzepekę, jakby próbowała coś wyczuć. Potem, z zamkniętymi oczyma, obmacała drugie kolano. Wreszcie otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Po kolanach widzę, że mało masz ostatnio seksu.

- Niby jak? Że są tak blisko siebie?

Roześmiała się.

- Nie... chodzi o chrząstki. Są bardzo suche. Hormony od seksu smarują stawy. Kiedy miałaś go ostatni raz?

- Jakieś półtora roku temu.

- Potrzebujesz porządnego mężczyzny. Znajdę ci takiego. Pomodlę się w świątyni o dobrego mężczyznę dla ciebie, bo teraz jesteś moją siostrą. A jak przyjdiesz jutro, oczyszczę ci nerki.

- Porządny mężczyzna i czyste nerki? To brzmi świetnie.

- Nigdy przedtem nie mówię nikomu to wszystko o swoim rozwodzie - powiedziała. - Ale moje życie jest ciężkie, za dużo smutno, za dużo trudno. Nie rozumiem, dlaczego życie jest takie ciężkie.

I wtedy zrobiłam coś dziwnego. Wzięłam obie jej dłonie w swoje ręce i oświadczyłam z pełnym przekonaniem:

- Najtrudniejszą część życia masz już za sobą, Wayan. Wyszłam na zewnątrz, drząc, nie wiadomo dlaczego, przepelniona jakimś silnym przecuciem czy może ochotą, której nie potrafiłam jeszcze ani nazwać, ani ujawnić.

Teraz moje dni w sposób naturalny dzielą się na trzy części. Ranki spędzam z Wayan w jej ośrodku, na żartach i jedzeniu. Popołudnia z Ketutem, na rozmowach i picciu kawy. Wieczorem natomiast siedzę w swoim ślicznym ogrodzie, sama nad książką albo gawędząc z Yudhim, który przychodzi, żeby pograć na gitarze. Codziennie rano, kiedy słońce wstaje nad polami ryżowymi, medytuję, a przed pójściem spać przemawiam do swoich czterech braci i proszę, żeby czuwali nade mną podczas snu.

Jestem tutaj dopiero od kilku tygodni, ale już mam poczucie spełnionej misji. Moim zadaniem w Indonezji było poszukiwanie równowagi, nie mam poczucia, żebym musiała czegoś szukać, ponieważ równowaga jakoś pojawiła się sama, naturalnie. Nie chodzi o to, że zaczynam być Balijką (w każdym razie nie bardziej, niż stałam się Włoszką czy Hinduską), rzecz w tym... że czuję swój spokój i uwielbiam ten rytm, w jakim mijają dni, wypełnione beztrudną praktyką religijną i przyjemnościami, które płyną z pięknych krajobrazów, obecności przyjaciół i z wyśmienitych potraw. Ostatnio dużo się modłę, często i swobodnie. Zauważyłam, że lubię się modlić podczas jazdy rowerem z domu Ketuta do siebie, w drodze przez mały las i ryżowe tarasy w zmierzchu nadchodzącego wieczoru. Oczywiście modłę się o to, żeby już mnie nie potracił autobus, żeby nie napadła na mnie żadna małpa i nie ugryzł pies, ale to są modlitwy dodatkowe; większość wyraża czystą wdzięczność za pełnię mojego zadowolenia. Nigdy nie czułam się mniej obciążona samą sobą ani światem.

Ciągle myślę wracam do jednej z nauk mojej guru na temat szczęścia. Guru mówi, że na ogół ludzie traktują szczęście jak traf, coś, co się może zdarzyć, tak jak piękna pogoda. Ale szczęście nie pojawia się w taki sposób. Szczęście jest rezultatem naszego osobistego wysiłku. Trzeba o nie walczyć, dążyć do niego, upierać się przy nim, a czasami nawet szukać go na drugim końcu świata. Musimy nieustrudzenie przejawiać pragnienie szczęścia. A kiedy już dotrzemy do tego szczęścia, nie wolno nam się rozleniwzić, należy podjąć wszelkie wysiłki, by już na zawsze pozostać w tym stanie. Jeśli to zaniedbamy, naturalny stan zadowolenia się ulotni. Łatwo się modlić, kiedy człowiek jest w rozpacz, natomiast kontynuowanie modlitwy, kiedy kryzys już minął, jest jak ostateczna pieczęć, zabezpieczenie dla duszy, by mogła trzymać się mocno tego, co osiągnęła.

Przypominając sobie te nauki podczas swobodnej jazdy rowerem o zachodzie słońca na Bali, odmawiam modlitwy, które są w rzeczywistości oświadczeniami, przedstawiającymi

Bogu mój stan harmonii. „Właśnie to chciałabym utrzymać - mówię. - Proszę, pomóż mi zapamiętać to uczucie zadowolenia i pozwól, bym zachowała je na zawsze”. Wkładam to szczęście gdzieś do banku, gdzie strzeże go nie zwyczajna Federalna Korporacja ds. Ubezpieczenia Depozytów, ale moi czterej duchowi bracia, stanowi ono zabezpieczenie na wypadek przyszłych życiowych prób. Jest to ćwiczenie, które zwę „usilną radością”. Kiedy skupiam się na „usilnej radości”, przypomina mi się prosta myśl, którą podzielił się ze mną kiedyś mój kolega Darcey - że wszystkie smutki i nieszczęścia tego świata wywołują ludzie nieszczęśliwi. Nie tylko w tym wielkim globalnym ujęciu, w skali Hitler-Stalin, ale na najmniejszym osobistym poziomie. Nawet we własnym życiu jestem w stanie dostrzec, kiedy moje nieszczęścia sprowadzały cierpienie i rozpacz albo (przynajmniej) kłopoty na otaczających mnie ludzi. Dlatego poszukiwanie zadowolenia nie jest wyłącznie działaniem samozachowawczym i przynoszącym korzyści tylko nam samym, jest ono szczodrym darem dla świata. Pozbycie się własnych cierpień u s u w a n a s z drogi innych. Przystajemy stanowić przeszkodę, nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich innych. Dopiero wtedy można nieskrępowanie cieszyć się obecnością ludzi i być pożytecznym.

W tej chwili osobą, której obecność daje mi najwięcej radości, jest Ketut. Stary szaman - bezsprzecznie jedna z najszczęśliwszych osób, jakie w życiu spotkałam - nie ma przede mną tajemnic, odpowiada na wszelkie pytania dotyczące Boga i ludzkiej natury. Podobają mi się medytacje, których mnie nauczył, komiczna prostota „uśmiechu w wątrobie” i krzepiąca obecność czterech duchowych braci. Przedwczoraj powiedział mi, że zna szesnaście różnych technik medytacyjnych oraz wiele mantr służących przeróżnym celom. Niektóre mają przynosić ukojenie i szczęście, inne dawać zdrowie, są też takie, które mają czysto mistyczny charakter... i mają go przenosić do innych sfer świadomości. Powiedział, że zna na przykład medytację, która zabiera go „do w góra”.

- „Do w góra”? - spytałam. - Co jest do w góra?

- Do siedem poziomy w góra - odparł. - Do niebo. Usłyszawszy znane mi pojęcie „siedmiu poziomów”, spytałam, czy chodzi mu o to, że medytacja unosi go do góry poprzez siedem świętych czakramów ciała, o których mówi joga.

- Nie czakramy - odparł. - Miejsca. Ta medytacja zabiera mnie do siedem miejsca wszechświata. W góra i w góra. Ostatnie miejsce idę, to niebo.

- Byłeś w niebie, Ketut? - spytałam.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że tam był, - odparł. - Łatwo iść do nieba.

- Jak ono wygląda?

- Piękne. Wszystko tam piękne. Każdy tam piękne. Wszystko jedzenie piękne. Wszystko tam miłość. Niebo jest miłość.

Potem Ketut powiedział, że zna jeszcze jedną medytację. „Do w dół”. Ta medytacja zabiera go siedem poziomów poniżej tego świata. To bardziej niebezpieczna medytacja. Nie dla początkujących, tylko dla mistrza.

- Więc jeśli w pierwszej medytacji udajesz się do nieba, to w drugiej musisz iść w dół do... ?

- Piekło - dokończył.

To było interesujące. Niebo i piekło nie są koncepcjami, które pojawiałyby się często w hinduizmie. Hindusi postrzegają wszechświat w kategoriach karmy, procesu ciągłego krążenia, co oznacza, że tak naprawdę nie „kończymy” - ani w niebie, ani w piekle - ale tylko powracamy do obiegu na ziemię w innej postaci, żeby zamknąć niedokończone sprawy lub naprawić błędy, jakie popełniliśmy ostatnim razem. Kiedy wreszcie uzyskujemy doskonałość, wydostajemy się z tego cyklu i wtapiamy w Pustkę. Pojęcie karmy oznacza, że niebo i piekło można znaleźć tylko tutaj, na ziemi, gdzie my sami możemy je urzeczywistnić, tworząc albo dobro, albo zło, w zależności od naszego przeznaczenia i cech charakteru.

Koncepcja karmy zawsze mi się podobała, ale nie w sensie dosłownym. Nie chodzi o to, że wierzę, jakobym była kiedyś służką Kleopatry... postrzegam to bardziej metaforycznie.

Filozofia karmy przemawia do mnie na poziomie metaforycznym, ponieważ widzimy, jak w ciągu jednego życia w kółko powtarzamy te same błędy, rozbijamy się o te same nałogi i natręctwa, powodując te same żalosne i często katastrofalne konsekwencje, dopóki wreszcie nie weźmiemy się do swoich spraw i ich nie uporządkujemy. Oto najważniejsza lekcja karmy (a przy okazji także zachodniej psychologii) - rozwiąż swoje problemy już teraz, bo będziesz cierpieć od początku, kiedy następnym razem wszystko spieprzysz. A powtarzanie się cierpienia... to jest piekło. Ale jeśli wyrwiesz się z tej nieskończonej powtórki i przeniesiesz na nowy poziom rozumienia... tam właśnie odnajdziesz niebo.

Ketut mówił o niebie i piekle zupełnie inaczej, jakby były jakimiś realnymi miejscami we wszechświecie, które rzeczywiście odwiedził. Przynajmniej, wydaje mi się, że to właśnie miał na myśli.

Żeby sprawę wyjaśnić, spytałam:

- Byłeś w piekle, Ketut?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że był.

- Jak jest w piekle?

- Tak samo jak w niebo - odpowiedział.

Zobaczył na mojej twarzy konsternację i próbował wyjaśnić.

- Wszechświat to koło, Liss.

Nadal nie bardzo rozumiałam.

- Do w góra, do w dół... to samo, w końcu.

Przypomniałam sobie dawne chrześcijańskie pojęcie mistyczne: *To, co jest na górze, jest jak to, co na dole.*

- Więc jak możesz odróżnić niebo od piekła? - spytałam.

- Po tym, jak tam idziesz. Do nieba idziesz do góra, przez siedem szczęśliwe miejsca. Piekło, idziesz do dół, przez siedem smutne miejsca. Dlatego lepiej dla ciebie iść do góra, Liss. - Roześmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że lepiej spędzić życie, poruszając się do góry przez miejsca szczęśliwe, skoro niebo i piekło - czyli cel podróży - są takie same? - spytałam.

- Takie same, takie same - odparł. - Takie same w końcu, więc lepiej być szczęśliwa w podróż.

- Jeśli więc niebo to miłość, to piekło jest...

- Też miłość - oświadczył.

Siedziałam jakiś czas, zastanawiając się na jego słowami, próbując dopasować wszystko do siebie.

Ketut roześmiał się ponownie, poklepał mnie z czułością po kolanie.

- To zawsze trudne do zrozumienia dla młoda osoba!

Tego ranka znowu przesiadywałam w ośrodku Wayan, a ona zastanawiała się, co zrobić, żeby moje włosy rosły szybciej i gęściej. Ponieważ sama ma wspaniałe, gęste, połyskujące włosy, które sięgają jej do pupy, współczuje mi takich delikatnych jasnych kosmyków. Oczywiście jako uzdrowicielka wie, co robić, żeby wzmocnić moje włosy, ale nie będzie to łatwe. Najpierw muszę własnoręcznie ściąć drzewo bananowca. Mam „odrzucić górę drzewa”, następnie w pozostawionym w ziemi pniaku i korzeniach wydrążyć głęboką misę „jak basen do pływania”. Potem trzeba przykryć to wyżłobienie płaskim kawałem drewna, żeby woda

deszczowa i rosa nie dostawały się do środka. Po kilku dniach zobaczę, że ten basen wypełniony jest bogatym w substancje odżywcze płynem z korzeni bananowca, który muszę zebrać do butelek i przynieść do Wayan. Ona pobłogosławi sok z korzeni bananowca w świątyni, a potem codziennie będzie mi go wcierać w skórę głowy. Po kilku miesiącach będę miała gęste, połyskujące włosy, długie do pupy, jak Wayan.

- Nawet łysemu - powiedziała - wyrosną od tego włosy.

Kiedy my tak sobie rozmawiamy, Tutti - która właśnie wróciła ze szkoły - siedzi na podłodze i rysuje dom. Ostatnio Tutti rysuje głównie domy. Marzy o własnym domu. Zawsze w tle jej obrazków widnieje tęcza, a także uśmiechnięta rodzina... ojciec i cała reszta.

Tak właśnie spędzamy czas u Wayan. Tutti rysuje obrazki, a Wayan i ja plotkujemy i droczymy się ze sobą. Wayan ma sprośne poczucie humoru, ciągle mówi o seksie. Krytykuje mnie za to, że jestem sama, spekuluje na temat wielkości genitaliów wszystkich przechodzących za oknem mężczyzn. Powtarza mi, że co wieczór chodzi do świątyni i modli się, żeby w moim życiu pojawił się jakiś porządny mężczyzna.

- Nie, Wayan... nie potrzebuję tego - powiedziałam jej znów dzisiaj rano. - Zbyt wiele razy złamano mi serce.

- Znam lekarstwo na złamane serce - odparła. Z całkowitą pewnością siebie zaczęła odliczać na palcach sześć składników jej sprawdzonej terapii złamanych serc: - Witamina E, dużo spać, pić dużo wody, pojechać daleko od osoby, którą się kochało, medytować i nauczyć swoje serce, że takie jest przeznaczenie.

- Wszystko to zrobiłam, poza przyjmowaniem witaminy E.

- Więc jesteś wyleczona. I potrzebujesz teraz nowego mężczyzny. Sprowadzę ci takiego, wymodłę.

- No cóż, ja się nie modłę o nowego mężczyznę, Wayan. Jedyne, o co się ostatnio modłę, to żeby być w zgodzie ze sobą samą.

Wayan wzniosła oczy ku niebu, jakby mówiła: *Taa, możesz sobie gadać, ty duża biała dziwaczko*, i oświadczyła:

- To dlatego, że masz problemy z pamięcią. Zapomniałaś, jaki przyjemny jest seks. Ja też kiedyś miałam kłopoty z pamięcią, w małżeństwie. Zawsze, kiedy widziałam przystojnego mężczyznę na ulicy, zapomniałam, że mam w domu męża. - Omal się nie przewróciła ze śmiechu. Potem wzięła się w garść i podsumowała: - Każdy potrzebuje seksu, Liz.

W tej właśnie chwili weszła wspaniale wyglądająca kobieta, z uśmiechem jaśniejącym jak światło latarni morskiej. Tutti zerwała się i rzuciła jej w ramiona, wołając: „Armenia! Armenia! Armenia!” Jak się okazało, było to imię tej kobiety... a nie żaden nacjonalistyczny

okrzyk bojowy. Przedstawiłam się Armenii, a ona powiedziała, że jest z Brazylii. Była taka żywiolowa... taka brazylijska. Olśniewająca, elegancko ubrana, charyzmatyczna i ujmująca, i w nieokreślonym wieku, po prostu niewymownie seksowna.

Armenia przyjaźni się z Wayan. Często przychodzi do niej na lunch oraz na różne lecznicze i upiększające zabiegi. Usiadła i rozmawiała z nami około godziny, powiększając nasz rozplotkowany, dziewczynski krąg. Będzie na Bali jeszcze tydzień, po czym odleci do Afryki, a może do Tajlandii, żeby dopilnować swoich interesów. Jak się okazało, w jej życiu była odrobina splendoru. Pracowała kiedyś dla Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców. W latach osiemdziesiątych wysłano ją do salwadorskiej i nikaraguańskiej dżungli, w okresie prowadzonych tam intensywnie walk, jako negocjatora, gdzie wykorzystując swoją urodę, wdzięk i inteligencję, miała wpłynąć uspokajająco na wszystkich generałów i buntowników i spowodować, by okazali rozsądek. (Witaj, urodziwa mocy!) Obecnie kieruje międzynarodową firmą o nazwie Novica, która pomaga tubylczym artystom na całym świecie sprzedawać ich produkty przez Internet. Mówi siedmioma czy ośmioma językami. Miała na nogach najcudowniejsze pantofelki, jakie widziałam od czasów Rzymu.

Przyglądając się nam obu, Wayan spytała:

- Liz... dlaczego nigdy nie starasz się wyglądać tak seksownie jak Armenia? Jesteś śliczna, masz dobry kapitał, to znaczy ładną twarz, ładne ciało, ładny uśmiech. Ale zawsze ten sam obszarpany T-shirt, nosisz te same obszarpane dzinsy. Nie chcesz być seksowna jak ona?

- Wayan - odparłam - Armenia jest B r a z y l i j k ą . To zupełnie co innego.

- Niby jak?

- Armenio - powiedziałam, zwracając się do nowej znajomej - proszę cię, wyjaśnij Wayan, co to znaczy być Brazylijką.

Armenia roześmiała się, po czym jednak musiała poważnie rozważyć moją prośbę, bo powiedziała:

- Cóż, ja zawsze starałam się wyglądać ładnie i kobieco, nawet w strefie walk i w obozach dla uchodźców w Ameryce Środkowej. Nawet podczas największych tragedii i kryzysów nie ma powodu, żeby do nieszczęść innych dodawać swój nieszczęsny wygląd. Taka jest moja filozofia. Dlatego zawsze nosiłam makijaż i zabierałam do dżungli biżuterię... nic ekstrawaganckiego, jakaś ładna złota bransoletka, kolczyki, trochę pomadki na ustach, dobre perfumy. Akurat tyle, by pokazać, że mam szacunek dla samej siebie.

W pewnym sensie Armenia przypomina mi tamte wspaniałe damy, brytyjskie podróżniczki epoki wiktoriańskiej, które twierdziły, że nie ma powodu, by w Afryce nosić

stroje, które byłyby niestosowne w angielskim salonie. To istny motyl, ta Armenia. Nie mogła posiedzieć dłużej u Wayan, bo miała coś do zrobienia, ale zdążyła zaprosić mnie na przyjęcie tego samego wieczoru. Zna pewnego Brazylijczyka mieszkającego w Ubud, powiedziała, i on dzisiaj wieczorem wydaje przyjęcie w dobrej miejscowej restauracji. Sam przygotowuje coś, co się nazywa *fejjoada*... tradycyjną brazylijską potrawę, w której skład wchodzi stopy wieprzowiny i fasoli. Będą też brazylijskie koktajle. Mnóstwo interesujących obcokrajowców z całego świata mieszkających tutaj, na Bali. Czy chciałabym przyjść? Możliwe, że później pójdą potańczyć. Nie wie, czy lubię przyjęcia, ale...

Koktajle? Tańce? Stopy wieprzowiny?

Jasne, że idę.

89

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się stroiłam, ale tego wieczoru wykopałam z dna torby swoją jedyną szykowną sukienkę, na cieniutkich jak spaghetti ramiączkach, i wśliznęłam się w nią. Pomalowałam nawet usta. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz to robiłam, wiem tylko, że nie było to nigdzie w pobliżu Indii. W drodze na przyjęcie zatrzymałam się w domu Armenii, a ona ustroiła mnie w swoją kunsztowną biżuterię i użyczyła luksusowych perfum. Zostawiłam rower na tyłach domu i zajechałam na przyjęcie jej eleganckim autem, jak przystało porządnej, dojrzałej kobiecie.

Kolacja w towarzystwie ekspatriantów sprawiła mi dużo radości; miałam wrażenie, że ponownie odwiedzam od dawna uśpione aspekty swojej osobowości. Nawet się lekko upiłam, co było warte odnotowania po tej wszechstronnej abstynencji ostatnich kilku miesięcy. I flirtowałam! Tego nie robiłam od wieków. Ostatnio spędzałam czas w towarzystwie mnichów i szamanów, a tutaj nagle znowu odkurzałam swoją dawną seksualność. Choć tak naprawdę nie potrafiłabym powiedzieć, z kim konkretnie flirtowałam. Wydaje mi się, że równo ze wszystkimi. Czy pociągał mnie ten dowcipny Australijczyk, były dziennikarz, który siedział obok mnie? („Wszyscy tutaj jesteśmy pijaczkami - żartował. - Pisujemy referencje innym pijaczkom”). Czy ten spokojny Niemiec, typ intelektualisty, siedzący na końcu stołu? (Obiecał pożyczyć mi książki ze swojej prywatnej biblioteki.). A może też ten przystojny starszy od tamtych Brazylijczyk, który osobiście przygotował tę ucztę dla nas wszystkich?

(Podobały mi się jego życzliwe ciemne oczy i akcent. I oczywiście kucharskie umiejętności. Ni stąd, ni zowąd powiedziałam do niego coś prowokującego. Właśnie żartował na swój temat, mówiąc: „Jestem kompletnie nieudanym Brazylijczykiem... nie umiem tańczyć, nie umiem grać ani w piłkę nożną, ani na żadnym instrumencie”. Coś mnie podkusiło, żeby powiedzieć: „Może tak jest. Ale zdaje mi się, że umiałbyś bardzo dobrze zagrać Casanovę”. Czas stanął w miejscu na długą, bardzo długą chwilę, kiedy patrzyliśmy na siebie bezceremonialnie, jakbyśmy mówili: *To interesująca uwaga, którą należałoby... poddać pod rozwagę*. Śmiałość mojej wypowiedzi unosiła się w powietrzu wokół nas jak jakaś woń. Nie zaprzeczył. Pierwsza odwróciłam wzrok, czując, jak się rumienię.).

W każdym razie jego *feijoada* była niesamowita. Dekadencka, pikantna i pożywna... miała to wszystko, czego na ogół brak potrawom balijskim. Zjadłam kilka porcji i podjęłam decyzję: nie mogę być wegetarianką, kiedy na świecie są takie potrawy. Potem poszliśmy tańczyć do miejscowego nocnego klubu, jeśli można to nazwać klubem. Bardziej przypominało kapitalną budę plażową, tyle że bez plaży. Orkiestra złożona z młodych Balijszczyków grała niezłe reggae, a na sali bawili się ludzie w różnym wieku i różnej narodowości, mieszkający tutaj na stałe obcokrajowcy i turyści, i miejscowi, i zachwycający balijscy chłopcy oraz dziewczęta, wszyscy tańczyli swobodnie, bez najmniejszego skrępowania. Armenia nie przyszła, powiedziała, że nazajutrz czeka ją dużo pracy, ale opiekował się mną ten przystojny starszy Brazylijczyk. Nie tańczył tak źle, jak twierdził. Pewno potrafił też grać w piłkę. Podobało mi się, że jest obok, otwiera przede mną drzwi, prawi komplementy, nazywa „kochaniem”. Co prawda zauważyłam, że do każdego mówi „kochanie”... nawet do owłosionego barmana. Ale to miło, że poświęca mi uwagę...

Już tak dawno nie byłam w żadnym lokalu. Nawet we Włoszech nie chodziłam do takich miejsc, z Davidem też rzadko wychodziłam do miasta. Chyba ostatni raz poszłam potańczyć, kiedy byłam mężatką... kiedy jeszcze byłam szczęśliwą mężatką, mówiąc precyzyjnie. Boże, to było całe wieki temu. Na parkiecie wpadłam na swoją znajomą, Stefanię, pełną życia Włoszkę, którą poznałam niedawno w Ubud na zajęciach z medytacji - zatańczyłyśmy razem, wirowałyśmy wesoło, a w powietrzu fruwały nasze włosy, czarne i blond. W jakiś czas po północy, orkiestra zamilkła i ludzie zaczęli rozmawiać.

I wtedy poznałam Iana. Och, ten gość mi się naprawdę spodobał. Z punktu go polubiłam. Był bardzo przystojny, takie połączenie Stinga i młodszego brata Ralpha Fiennesa. Był Walijszczykiem, więc miał uroczy głos. Wygadany i bystry, rozmawiał ze Stefanią tym samym dziecinny włoskim, jakim ja mówię. Okazało się, że jest perkusistą w tym zespole reggae, gra na bongach. Zażartowałam więc, że jest „bongalierem”, jak tamci faceci w

Wenecji, tyle że z perkusją zamiast łodzi, i jakoś się z miejsca zrozumieliśmy, zaczęliśmy się śmiać i rozmawiać.

Podszedł Felipe - tak miał na imię Brazylijczyk. Zaprosił nas wszystkich do tej wystrzałowej restauracji prowadzonej przez ekspatriantów z Europy, lokalu, gdzie prawie wszystko wolno i którego nigdy nie zamykają, jak obiecywał, gdzie piwo i bzdurne gadki serwuje się o każdej porze. Uważnie patrzyłam na Iana, czekając, jaką podejmie decyzję, i kiedy powiedział tak, zrobiłam to samo. Poszliśmy więc wszyscy do tej restauracji i siedziałam z Ianem; rozmawialiśmy, żartowaliśmy przez całą noc i, och, ten facet mi się naprawdę podobał. Był pierwszym mężczyzną od długiego czasu, który podobał mi się w ten sposób. Był o kilka lat starszy ode mnie, miał bardzo ciekawy życiorys, w którym znalazły się wszystkie ważne rzeczy (lubił *Simpsonów*, jeździł po świecie, mieszkał kiedyś w aśramie, wspominał Tolstoja, wyglądało na to, że ma pracę itd.). Swoją karierę rozpoczął w armii brytyjskiej, służył w Irlandii Północnej, w brygadzie antyterrorystycznej, potem został międzynarodowym ekspertem od rozminowywania terenu. Budował obozy dla uchodźców w Bośni, teraz zrobił sobie dłuższą przerwę, żeby na Bali popracować nad muzyką... wszystko to razem bardzo nęcące.

Nie mogłam uwierzyć, że o trzeciej trzydzieści nad ranem wciąż jestem na nogach, wcale nie po to, żeby medytować! Nie śpię, ubrana w sukienkę rozmawiam z atrakcyjnym mężczyzną. Cóż za radykalna odmiana. Na koniec spotkania Ian i ja przyznaliśmy, że bardzo miło było się poznać. Spytał, czy mam telefon, powiedziałam, że nie, ale że mam adres e-mailowy, na co on: „*Taa, tyle że e-maile są takie... le...* „. Więc ostatecznie nie wymieniliśmy niczego oprócz uścisku.

- Zobaczymy się znowu, kiedy oni - ręką wskazał na niebo - pozwolą.

Tuż przed świtem Felipe zaproponował, że odwiezie mnie do domu.

- Kochanie, przez całą noc rozmawiałaś z największym picerem w Ubud - oświadczył, kiedy jechaliśmy krętymi uliczkami.

Zrobiło mi się przykro.

- Czy Ian jest rzeczywiście picerem? - spytałam. - Powiedz mi prawdę teraz i oszczędź późniejszych kłopotów.

- Ian? - Felipe roześmiał się. - Nie, kochanie! Ian to poważny gość. Dobry człowiek. Miałem na myśli siebie. Ja jestem największym picerem w Ubud.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

- Zresztą i tak się tylko z tobą droczę - dodał. Znowu zapadło milczenie.

- Ian ci się podoba, prawda?

- Nie wiem - odpowiedziałam. Nie myślałam zbyt jasno. Wypiłam za dużo brazylijskich koktajli. - Jest atrakcyjny, inteligentny. Już bardzo dawno nie myślałam o tym, czy mi się ktoś podoba czy nie.

- Spędzisz na Bali kilka cudownych miesięcy. Poczekaj, a zobaczysz.

- Nie wiem tylko, ile jeszcze będę mogła udzielać się towarzysko, Felipe. Mam tę jedną jedyną sukienkę. Ludzie zauważą, że ciągle przychodzę w tym samym.

- Jesteś młoda i piękna, kochanie. Wystarczy ci jedna sukienka.

90

Czy jestem młoda i piękna?

Myślałam, że jestem stara i rozwiedziona.

Prawie nie mogę spać tej nocy, wybita z codziennego rytmu, muzyka taneczna nadal rozbrzmiewa mi w głowie, włosy cuchną papierosami, żołądek buntuje się przeciwko obecności alkoholu. Zapadam w krótką drzemkę, budzę się o wschodzie słońca, tak jak co dzień. Tyle że dzisiaj nie jestem wypoczęta ani spokojna i nie jestem w odpowiednim stanie, by medytować. Dlaczego jestem taka wzburzona? Spędziłam miłą noc, prawda? Poznałam ciekawych ludzi, musiałam się wystroić, tańczyłam, flirtowałam z kilkoma mężczyznami...

MEŹCZYŹNI.

Mój niepokój narasta, kiedy myślę o tym słowie; zaczyna przybierać formę lekkiego popłochu. *Nie wiem już, jak to się robi.* Kiedyś, jako nastolatka i tuż po dwudziestce, byłam największą, najśmielszą i najbardziej bezwstydną flirciarą. Pamiętam, że kiedyś była to świetna zabawa, poznać jakiegoś gościa, zacząć go wabić, dawkować zawołowane zachęty, prowokować, wreszcie odrzucić wszelką ostrożność i nie zastanawiać się nad konsekwencjami.

Teraz odczuwam wyłącznie lęk i niepewność. Zaczynam rozdmuchiwać ten wieczór do o wiele większych rozmiarów, wyobrażam sobie, jak angażuję się w związek z tym Walińczykiem, który nawet nie dał mi swojego adresu e-mailowego. Już widzę przyszłość, łącznie ze sporami na temat jego tytoniowego nałogu. Zastanawiam się, czy ponowne związanie się z jakimś mężczyzną nie zrujnuje moich podróży/pisarstwa/życia itd. Ale przecież... byłoby miło przeżyć jakiś romans. Mam za sobą taki długi okres posuchy.

(Pamiętam, jak Richard z Teksasu radził mi w związku z moim życiem uczuciowym: „Potrzebujesz kogoś, kto przerwie suszę, dziecinko. Musisz znaleźć sobie „zaklinacza deszczu”). Potem wyobrażam sobie, jak Ian, z tym swoim silnym torsem antyterrorysty, pędzi na motocyklu, żeby kochać się ze mną w ogrodzie, i jak to byłoby miło. Ta nie do końca nieprzyjemna myśl powoduje, że osuwam się w okropną świadomość tego, jak bardzo nie chcę znów cierpieć. Potem zaczynam tęsknić za Davidem, najmocniej od miesięcy, i myślę sobie: *Może powinnam do niego zadzwonić, żeby sprawdzić, czy nie ma ochoty spróbować raz jeszcze...* (Po czym słyszę bardzo precyzyjny komentarz swojego starego przyjaciela, Richarda, który mówi: „Och, to genialne, Żarełko... oprócz tego, że byłaś wstawiona zeszłej nocy, to jeszcze zrobili ci lobotomie?”) Od rozmyślania o Davidzie do obsesyjnego roztrząsania okoliczności mojego rozvodu nigdy nie jest daleko i już wkrótce zaczyna się to ponure rozpamiętywanie (jak za dawnych czasów) historii małżeństwa, rozvodu...

Myślałam, że z tym tematem już skończyłaś, Żarełko.

A potem, nie wiem dlaczego, zaczynam myśleć o Felipe... tym przystojnym, starszym Brazylijczyku. Jest sympatyczny. Felipe. Mówi, że jestem młoda i piękna i że będzie mi tutaj na Bali cudownie. Ma rację, racja? Powinnam się odprężyć i zabawić, racja? Dzisiejszego ranka nie czuję się jednak najlepiej.

Nie wiem już, jak to się robi.

91

Jak to jest z tym życiem? Ty rozumiesz? Bo ja nie. To głos Wayan. Byłam u niej i zjadłam pyszny i pożywny wielowitaminowy lunch, z nadzieją, że ulży trochę mojemu kacowi i wyciszy niepokój. Była tam też Armenia; znów wyglądała, jakby w drodze do domu z weekendu spędzonego w jakimś kurorcie wpadła na chwilę do salonu piękności. Mała Tutti, jak zwykle, siedziała na podłodze i rysowała.

Wayan dowiedziała się właśnie, że termin odnowienia dzierżawy jej ośrodka przypada na koniec sierpnia - zaledwie za trzy miesiące - i że czynsz zostanie podniesiony. Prawdopodobnie znowu będzie musiała się przeprowadzić, bo nie udźwignie ciężaru wyższych opłat. Tyle że miała w banku zaledwie pięćdziesiąt dolarów i nie wiedziała, dokąd

mogłaby się przenieść. Przeprowadzka znowu pociągnęłaby za sobą przeniesienie Tutti do innej szkoły.

Potrzebny im był dom... prawdziwy dom. Balińczycy nie mogą tak żyć.

- Dlaczego cierpienie nigdy się nie kończy? - pytała Wayan. Nie płakała, znużona stawiała tylko proste pytanie, na które nie ma odpowiedzi. - Dlaczego wszystko powtarza i powtarza, nigdy nie koniec, nigdy odpoczynek? Pracujesz tak ciężko jednego dnia, a następnego znowu tylko musisz pracować. Jesz, a następnego dnia już jesteś głodna. Znajdziesz miłość, potem miłość odchodzi. Przychodzisz na świat bez niczego... bez zegarka, bez T-shirta. Pracujesz ciężko, potem umierasz bez niczego - bez zegarka, bez T-shirta. Jesteś młoda, potem jesteś stara. Nieważne, jak ciężko pracujesz, i tak się starzejesz.

- Nie dotyczy to Armenii - zażartowała. - Ona najwyraźniej się nie starzeje.

- To dlatego, że ona jest Brazylijką - powiedziała Wayan, teraz wreszcie pojmując, jak funkcjonuje świat.

Roześmiałyśmy się wszystkie, ale był to przejaw wisielczego humoru, bo w obecnej sytuacji Wayan nie było nic zabawnego. Fakty przedstawiały się następująco: Samotna matka, nad wiek rozwinięte dziecko, ledwie wystarczający na przeżycie interes, realne zagrożenie nędzą, utratą dachu nad głową. Dokąd pójdzie? Jest oczywiste, że nie zamieszka z byłym mężem. Jej własna rodzina to biedni uprawiający ryż rolnicy, mieszkający daleko stąd. Jeśli zamieszka z nimi, oznaczać to będzie koniec jej ośrodka, bo pacjenci nigdy tam nie dotrą, i marzeń Tutti o studiach weterynaryjnych.

Jest jeszcze jeden kłopot. Co z tymi dwiema nieśmiałymi dziewczuszkami, które zobaczyłam pierwszego dnia, jak kryły się w kuchni? Okazuje się, że to sieroty, które Wayan przygarnęła. Obie mają na imię Ketut (żeby jeszcze bardziej zagmatwać tę książkę), a my nazywamy je Duża Ketut i Mała Ketut. Kilka miesięcy temu Wayan natknęła się na nie, kiedy przeraźliwie głodne żebrały na targu. Zostawiła je tam pewna kobieta, prawdziwie dickensowska postać - może nawet krewna dziewczynek - która pełni rolę kogoś w rodzaju naganiaczki zebrzących dzieci, rozwozi sieroty po targowiskach, a wieczorem zbiera je do furgonetki i odebrawszy im pieniądze, pozwala spać w jakiejś budzie. Kiedy Wayan zobaczyła te małe, nie jadły już od kilku dni, miały wszy, pasożyty i w ogóle wszystko, co możliwe. Przypuszcza, że młodsza ma około dziesięciu lat, starsza może trzynaście, one same jednak nie znają ani swojego wieku, ani nazwiska. (Mała Ketut wie tylko, że urodziła się w tym samym roku co „duża świnia” w jej wiosce; w żaden sposób nie pomogło nam to ustalić dat.). Wayan przyjęła je pod swój dach i otacza taką samą troską jak własną Tutti. Wszystkie cztery śpią na jednym materacu, w tej jednej ciemnej sypialni na piętrze.

Skąd u balijskiej samotnej matki, którą czeka eksmisja, tyle serca, żeby wziąć do siebie dwoje bezdomnych dzieci? To wykracza bardzo daleko poza moje dotychczasowe rozumienie współczucia.

Chcę im pomóc.

Zatem o to chodziło. Stąd do drzenie, które poczułam po pierwszym spotkaniu z Wayan. Od początku chciałam pomóc tej samotnej matce z córką i dwiema sierotkami. Chciałam przeprowadzić je do lepszego życia. Tyle że nie udało mi się jeszcze wykombinować, jak tego dokonać. Dzisiaj, kiedy jadłam lunch z Wayan i Armenią, podczas naszych typowych pogaduszek, w których empatia mieszała się z kpina, zauważyłam, że mała Tutti robi coś dziwnego. Maszerując wokół nas, niosła na uniesionych wysoko odwróconych do góry dłoniach jeden kwadratowy, kobaltowobłękitny, ceramiczny kafelek i śpiewała monotonię. Przyglądałam się jej chwilę, żeby się zorientować, o co chodzi. Tutti długo bawiła się tym kafelkiem, podrzucała go, szeptała do niego, śpiewała, potem przesuwiała po podłodze jak miniaturowe autko. Wreszcie usiadła na nim w kącie, zamknęła oczy i śpiewała do siebie, zanurzona w jakiejś mistycznej, niewidocznej, całkowicie osobistej przestrzeni.

Spytałam Wayan, co to wszystko znaczy. Powiedziała, że Tutti znalazła ten kafelek przy placu budowy eleganckiego hotelu, niedaleko stąd, i wzięła go ze sobą. Od tego czasu bezustannie powtarza matce: „Może jak kiedyś będziemy miały dom, to zrobimy w nim taką ładną niebieską podłogę”. Wayan mówi, że Tutti godzinami przesiaduje z zamkniętymi oczyma na tym niebieskim kafelku, wyobrażając sobie, że znajduje się we własnym domu.

Cóż mam powiedzieć? Kiedy usłyszałam tę historię i popatrzyłam na to dziecko, przycupnięte na małym niebieskim kafelku i pogrążone w medytacji, wszystko we mnie mówiło: *No dobra, to przesądza sprawę.*

Pod pierwszym lepszym pretekstem wyszłam stamtąd, żeby definitywnie naprawić ten nieznośny stan rzeczy.

Wayan powiedziała mi kiedyś, że czasami, lecząc swoich pacjentów, staje się przekaźnikiem Bożej miłości i wtedy przestaje nawet myśleć o tym, co należy robić. Umysł się wyłącza,

zaczyna działać intuicja, a ona sama musi jedynie pozwolić, by ta nieziemskość przez nią przepływała. „To tak jakby wiatr popychał moje ręce” - mówi.

Możliwe, że to ten sam wiatr wywiał mnie tamtego dnia z jej domu, wypchnął z tego wzmocnionego kacem nastroju niepewności, czy jestem już w pełni gotowa spotykać się z mężczyznami, i zaprowadził do miejscowej kawiarenki internetowej. Tam usiadłam, napisałam - od razu i bez najmniejszego trudu - e-mail w sprawie gromadzenia funduszy do wszystkich swoich przyjaciół, znajomych i rodziny na całym świecie.

Powiedziałam im, że w lipcu są moje trzydzieste piąte urodziny. Oznajmiłam, że nie ma na tym świecie nic, czego bym potrzebowała lub pragnęła, bo nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza niż tam. Napisałam, że gdybym była w domu, w Nowym Jorku, planowałabym wielkie niemądre przyjęcie urodzinowe i zaprosiłabym ich wszystkich, a oni przynieśliby mi prezenty i wino i wydali na to mnóstwo pieniędzy. Tańszym i piękniejszym sposobem uczczenia tych urodzin będzie - wyjaśniłam - dokonanie wpłaty pieniędzy, które pomogą pewnej kobiecie w Indonezji, niejkiej Wayan Nuriyasih, kupić dom dla siebie i dzieci; poprosiłam, by zechcieli to zrobić.

Potem opowiedziałam całą historię Wayan, Tutti i sierot i opisałam ich sytuację. Zobowiązałam się, że niezależnie od wysokości zebranej sumy ja sama, z własnych oszczędności, dołożę jej równowartość. Oczywiście zdaję sobie sprawę, wyjaśniłam, że ten świat pełen jest niewymownych cierpień i wojen i że jest tyle ludzi w potrzebie, ale co możemy na to poradzić? Ta mała grupka ludzi na Bali stała się moją rodziną, a wszyscy powinniśmy troszczyć się o nasze rodziny, gdziekolwiek są. Kiedy zakończyłam swój apel, przypomniałam sobie, co powiedziała moja przyjaciółka Susan dziewięć miesięcy wcześniej, zanim wyjechałam w tę podróż. Bała się, że już nigdy nie wrócę. Powiedziała: „Wiem, jaka jesteś, Liz. Spotkasz kogoś, zakochasz się i w końcu kupisz dom na Bali”.

Istny Nostradamus z tej mojej Susan.

Kiedy rano sprawdziłam swoją pocztę, znalazłam deklaracje na łączną sumę siedmiuset dolarów. Następnego dnia wysokość darów przekroczyła równowartość kwoty, którą byłam w stanie dołożyć z własnych pieniędzy.

Nie będę opisywać dramatyzmu wydarzeń tego tygodnia ani wyjaśniać, jakie to uczucie, czytać codziennie e-maile z całego świata o treści: „Też się na to piszę!” „Możesz na mnie liczyć!” Wszyscy się dołożyli. Ludzie, o których wiedziałam, że są bez pieniędzy albo mają długi, zrobili to bez wahania. Jako jedna z pierwszych odezwała się przyjaciółka dziewczyny mojego fryzjera, której przesłano mój apel, i zadeklarowała piętnaście dolarów. Mój przemądrzały przyjaciel John oczywiście nie darował sobie typowego dla siebie

sarkastycznego komentarza na temat tego, jaki to długi, ckliwy i sentymentalny był mój list („Słuchaj... kiedy następnym razem odczujesz potrzebę szlochania nad rozlanym mlekiem, dopilnuj, żeby było skondensowane, dobra?”), co jednak nie przeszkodziło mu wpłacić pieniędzy. Nowy chłopak mojej przyjaciółki Annie (bankier z Wall Street, którego nie miałam jeszcze okazji poznać) zaoferował się podwoić ostateczną zebraną sumę. Potem ten mój apel zaczął fruwać wokół całego świata i dostałam darowizny od zupełnie nieznanymi mi osób. Nastąpiła globalna ulewa szczodrości. Podsumujmy ten epizod, mówiąc, że w siedem zaledwie dni od napisania przeze mnie tamtego e-maila moi przyjaciele, rodzina i grupa nieznanymi ludzi z całego świata pomogli mi zebrać prawie osiemnaście tysięcy dolarów, żeby Wayan Nuriyasih mogła kupić sobie dom.

Wiedziałam, że to Tutti dokonała tego cudu siłą swoich modłów, pragnieniem, by ten jej mały niebieski kafelek zmiękł i rozrósł się w prawdziwy dom, który już na zawsze będzie schronieniem dla niej samej, dla jej matki i tych dwóch sierot.

I jeszcze jedno. Ze wstydem przyznaję, że to mój kolega Bob, a nie ja sama, zauważył oczywisty fakt, że „Tutti” po włosku znaczy „Wszyscy”. Jak mogłam się sama nie zorientować? Po tylu miesiącach w Rzymie! Po prostu nie dostrzegłam związku. Bob musiał mi o tym napisać z Utah. W zeszłym tygodniu pod zobowiązaniem udziału w zbiórce pieniędzy na kupno domu napisał: „Więc to jest ta ostateczna lekcja, prawda? Kiedy wyruszasz w świat, żeby pomoc sobie, nieuchronnie kończy się to pomaganiem... Tutti”.

93

Dopóki pieniądze nie zostaną zebrane, nie mówię Wayan o całej sprawie. Trudno mi to utrzymać w tajemnicy, szczególnie kiedy widzę, jak ona ciągle zamartwia się o swoją przyszłość, nie chcę jednak wzbudzać jej nadziei, zanim wszystko się potwierdzi. Zatem przez cały tydzień trzymam język za zębami, wypełniam sobie czas, prawie co wieczór spotykając się na kolacji z Brazylijczykiem Felipe, któremu rzeczywiście zupełnie nie przeszkadza, że mam tylko jedną porządną sukienkę.

Chyba się w nim zadurzyłam. Po kilku kolacjach jestem już tego pewna. Bo jest w nim coś więcej, niżby się wydawało, w tym samozwańczym „mistrzu picowania”, który zna

wszystkich w Ubud i jest duszą towarzystwa na każdym przyjęciu. Spytałam o niego Armenię. Znają się już od jakiegoś czasu.

- Ten Felipe... jest w nim znacznie więcej niż w innych. Ma w sobie coś, prawda?

- O tak - odparła. - To porządny, dobry człowiek. Ale przeżył ciężki rozwód. Wydaje mi się, że przyjechał na Bali, żeby dojsć do siebie.

Aha... to ci dopiero nowość.

Ma pięćdziesiąt dwa lata. Ciekawe. Czy naprawdę osiągnęłam już ten wiek, by się na randki umawiać z pięćdziesięciodwuletnim mężczyzną? I tak go lubię. Ma srebrne włosy i łysieje w atrakcyjny sposób, jak kiedyś Picasso. Ma ciepłe brązowe oczy, łagodną twarz i cudownie pachnie. I jest naprawdę dorosły. Dorosły przedstawiciel gatunku... drobna nowość w moim doświadczeniu.

Felipe mieszka na Bali około pięciu lat, współpracuje z balijskimi złotnikami przy wyrobie przeznaczonej na eksport do Ameryki biżuterii z brazylijskimi kamieniami szlachetnymi. Podoba mi się, że przez niemal dwadzieścia lat, nim jego małżeństwo z wielu różnych powodów rozpadło się, był wiernym mężem. Podoba mi się, że wychował już dzieci i zrobił to dobrze, a one go kochają. Podoba mi się, że był ojcem, który zostawał z dziećmi, kiedy były małe, żeby jego australijska żona mogła się zajmować swoją karierą. (Jako dobry feministyczny małżonek, mówi, „Chciałem znaleźć się po tej właściwej stronie historii społecznej”).

Podoba mi się jego brazylijska wylewność. (Kiedy jego australijski syn skończył czternaście lat, powiedział wreszcie ojcu: „Tato, może teraz już powinienes przestać całować mnie w usta na pożegnanie przed szkołą”). Podoba mi się, że Felipe mówi płynnie co najmniej czterema językami. (Upiera się, że nie zna indonezyjskiego, ale przecież słyszę, jak przez cały dzień w nim mówi.). Podoba mi się, że odwiedził ponad pięćdziesiąt krajów i że postrzega świat jako niewielkie i łatwe do zarządzania miejsce. Podoba mi się sposób, w jaki mnie słucha, nachylony w moją stronę; przerywa mi tylko wtedy, kiedy ja sama robię przerwę, żeby spytać, czy go nie nudzę, na co niezmiennie odpowiada: „Mój cały czas jest dla ciebie, moje słodkie kochanie”. Podoba mi się, że nazywa mnie „słodkim kochaniem”. (Nawet jeśli to samo usłyszy od niego kelnerka.).

- Dlaczego nie weźmiesz sobie kochanka na czas pobytu na Bali, Liz? - zapytał mnie przedwczoraj wieczorem.

Trzeba mu to oddać, nie miał na myśli wyłącznie siebie, choć przypuszczam, że chętnie przyjąłby ten obowiązek. Zapewnił mnie, że Ian - ten przystojny Walińczyk - świetnie by do mnie pasował, choć są też inni kandydaci. Jest szef kuchni z Nowego Jorku, „wielki,

gruby, muskularny, pewny siebie gość”, który, jak sądzi, mógłby mi się spodobać. Naprawdę jest tu duży wybór mężczyzn, a wszyscy oni przepływają przez Ubud, ekspatrianci z całego świata, kryjący się w tej przemieszczającej się społeczności „bezdomnych i bez majątku”, spośród których wielu byłoby szczęśliwych, mogąc dopilnować, „moje słodkie kochanie, byś spędziła tutaj cudowne lato”.

- Chyba jeszcze nie jestem na to gotowa - odparłam. - Wiesz, nie mam ochoty na te wszystkie starania, jakie wiążą się z romanssem. Nie mam ochoty golić sobie codziennie nóg ani pokazywać ciała nowemu kochankowi. I nie chcę raz jeszcze opowiadać historii swojego życia ani zaprzętać sobie głowy antykoncepcją. W każdym razie nie jestem nawet pewna, czy nadal wiem, jak to się robi. Odnoszę wrażenie, że miałam większą pewność siebie, jeśli chodzi o seks i romansowanie, kiedy miałam szesnaście lat niż teraz.

- Nie wątpię - powiedział Felipe. - Wtedy byłaś młoda i głupia. Jedynie młodzi i głupi są pewni siebie w sprawach seksu i uczuć. Czy sądzisz, że ktokolwiek z nas wie, co robi? Czy uważasz, że istnieje sposób, żeby ludzie mogli się kochać bez komplikacji? Powinnaś zobaczyć, jak to wygląda na Bali, kochanie. Ci wszyscy mężczyźni z Zachodu przyjeżdżają tu, bo tam w domu zabałaganili swoje życie. Dochodzą do wniosku, że mają dość kobiet Zachodu, i żenią się z jakąś filigranową, słodką, posłuszną balijską nastolatką. Ja wiem, co oni sobie myślą. Myślą, że ta śliczna mała dziewczynka ich uszczęśliwi, uczyni ich życie prostym. Jednak za każdym razem, kiedy to widzę, mam ochotę powiedzieć to samo: **Powodzenia**. Bo wciąż masz przed sobą kobietę, przyjacielu. A ty wciąż jesteś mężczyzną. Wciąż dwoje ludzi próbuje żyć razem, więc sprawy się skomplikują. A miłość jest zawsze skomplikowana. Ale i tak ludzie muszą próbować się kochać, kochanie. Czasem musimy łamać sobie serca. To dobry znak, mieć złamane serce. Oznacza, że czegoś próbowaliśmy.

- Ostatnim razem moje serce zostało tak ciężko doświadczone, że wciąż czuję w nim ból - powiedziałam. - Czyż to nie szaleństwo? Mieć złamane serce jeszcze dwa lata po tym, jak historia miłosna się skończyła?

- Kochanie, pochodzę z południa Brazylii. Z powodu kobiety, której nawet nie pocałowałem, potrafię mieć złamane serce przez dziesięć lat.

Rozmawiamy o naszych małżeństwach, rozwodach. Nie małostkowo, ale z ubolewaniem. Porównujemy doświadczenia związane z głęboką depresją porozwodową. Pijemy wino i jemy smacznie, i wydobywamy z pamięci najsympatyczniejsze historyjki o naszych byłych współmałżonkach, żeby uśmierzyć ból całej tej rozmowy o stracie.

- Chcesz robić coś ze mną w ten weekend? - pyta Felipe, a ja odpowiadam, że tak, byłoby miło. Bo b ę d z i e miło.

Już dwukrotnie po tym, jak odwiózł mnie pod dom i powiedział dobranoc, Felipe pochylił się, żeby pocałować mnie na pożegnanie, a ja dwukrotnie postąpiłam tak samo: pozwoliłam, by mnie przyciągnął, ale w ostatniej chwili, schyliłam głowę i przytuliłam policzek do jego piersi. I tak trwałam przez jakiś czas. Dłużej niż to konieczne w stosunkach przyjacielskich. Czuję, jak wtula twarz w moje włosy, podczas gdy ja wtulam swoją w jego mostek. Czuję zapach jego miękkiej lnianej koszuli. Naprawdę podoba mi się jego zapach. Ma muskularne ramiona, szeroką klatkę piersiową. Kiedyś, w Brazylii, był mistrzem gimnastyki. Co prawda było to w roku 1969, kiedy się urodziłam, ale zawsze... Jego ciało wydaje się mocne.

To moje chowanie głowy za każdym razem, kiedy mnie przyciąga, jest swojego rodzaju ucieczką... unikam zwyczajnego pocałunku na dobranoc. Jednocześnie nie jest to ucieczka. Pozwalając mu na to, żeby mnie obejmował przez kilka cichych chwil na zakończenie wieczoru, pozwalam s o b i e , żeby mnie obejmowano.

A to już dawno mi się nie zdarzyło.

94

Co wiesz o romansie? - spytałam Ketuta, mojego starego szamana.

- Co to, romansie? - on na to.

- Nieważne.

- Nie... co to? Co słowo to znaczy?

- Romans. Kobieta i mężczyzna, zakochani w sobie. Albo mężczyzna i mężczyzna, kobieta i kobieta. Całowanie i seks, i małżeństwo... te wszystkie sprawy - wyjaśniłam.

- Nie uprawiam seks ze zbyt wiele ludzi w swoje życie, Liss. Tylko z moja żona.

- Masz rację... to niezbyt wiele osób. Ale czy masz na myśli swoją pierwszą żonę czy drugą?

- Mam tylko jedna żona, Liss. Ona teraz nie żyje.

- A Nyomo?

- Nyomo naprawdę nie moja żona, Liss. Ona żona mój brat. - Widząc moją zdezorientowaną minę, dodał: - To typowo na Bali.

Dowiedziałam się, że starszy brat Ketuta, który zajmuje się uprawą ryżu, mieszka w sąsiednim domu i jest mężem Nyomo. Mają ze sobą troje dzieci. Ketut i jego żona nie mogli mieć dzieci, więc zaadoptowali jednego z bratanków, żeby zapewnić sobie spadkobiercę. Kiedy zmarła żona Ketuta, Nyomo zaczęła dzielić swój czas między oba domy, mieszkając po trochu w każdym, dbając o swojego męża oraz jego brata, o obie rodziny swoich dzieci. W kategoriach balijskich (gotowanie, sprzątanie, zajmowanie się domowymi obrzędami i rytuałami religijnymi) jest w każdym sensie żoną Ketuta, tyle że ze sobą nie współżyją.

- Czemu nie? - spytałam.

- Za STARZY! - odparł. Po czym przywołał Nyomo i powiedział, że ta pani z Ameryki chce wiedzieć, dlaczego nie uprawiają ze sobą seksu.

Nyomo prawie umarła ze śmiechu, kiedy to usłyszała. Podeszła i dała mi kuksańca w ramię, całkiem mocnego.

- Miałem tylko jedną żona - ciągnął swoje Ketut. - I teraz nie żyje.

- Odczuwasz jej brak?

- Przyszedł jej czas umrzeć. - Uśmiechnął się smętnie. - Teraz powiem, jak znalazłem żona. Kiedy mam dwadzieścia siedem lat, spotykam dziewczyna i ją kocham.

- W którym to było roku? - spytałam, jak zwykle starając się dociec, w jakim Ketut jest wieku.

- Nie wiem - odparł. - Może 1920. (Wynikałoby z tego, że ma teraz sto dwanaście lat.

Chyba zbliżamy się do rozwiązania...).

- Kocham ta dziewczyna, Liss - ciągnął Ketut. - Bardzo piękna. Ale charakter nie dobry, ta dziewczyna. Ona tylko chce pieniędzy. Biega za inny chłopiec. Nigdy nie mówi prawda. Myślę, że w swój umysł miała umysł ukryty, nikt nie może do środka zajrzeć. Przestaje kochać mnie, chodzi z inny chłopiec. Jestem bardzo smutny. Jestem złamany w sercu. Modlę się i modlę do moi duchowi bracia, pytam, dlaczego nie kocha mnie już. Jeden z moi duchowi bracia, on mówi mi prawda. Mówi: „To nie jest twoja prawdziwa para. Bądź cierpliwy”. Więc ja cierpliwy i wtedy znajduję moja żona. Piękna kobieta, dobra kobieta. Zawsze dla mnie słodka. Nigdy żadna kłótnia, zawsze harmonia w domu, ona zawsze uśmiechnięta i mówi, jak się cieszy, że mnie widzi. Kiedy umiera, ja bardzo smutny w swój umysł.

- Płakałeś?

- Tylko troszkę, w oczach. Ale robię medytacja i oczyszczam ciało z bólu. Medytuję dla jej dusza. Bardzo smutny, ale też szczęśliwy. Codziennie odwiedzam ją w medytacja, nawet całuję. Ona jedyna kobieta, z którą uprawiam seks. Więc ja nie wiem... jakie jest to nowe słowo z dzisiaj?

- Romans.

- Tak, romans. Ja nie znam romans, Liss.

- Zatem nie jest to dziedzina, w której jesteś ekspertem?

- Co to, ekspertem? Co słowo to znaczy?

95

Wreszcie usiadłam z Wayan i powiedziałam jej o pieniądzach, które zebrałam na jej dom. Wyjaśniłam, że życzyłam sobie takiego prezentu z okazji moich urodzin, pokazałam listę nazwisk, a potem podałam ostateczną sumę: osiemnaście tysięcy dolarów amerykańskich. Najpierw była wstrząśnięta do tego stopnia, że twarz jej zastygła w rozpaczy. To dziwne, a jednocześnie prawdziwe, że czasami silne uczucia powodują reakcję na jakieś doniosłe wydarzenie odwrotną, niż wskazywałaby logika. Taka jest bezwzględna wartość ludzkich emocji - radosne wydarzenia możemy odebrać jak wielki wstrząs w skali Richtera; głęboki smutek może objawić się wybuchem śmiechu. Wiadomość, jaką właśnie przekazałam Wayan, była dla niej zbyt trudna do przyswojenia, niemal ją zasmuciła, zatem przesiedziałam z nią kilka godzin, powtarzałam wielokrotnie całą historię i pokazywałam wciąż na nowo te liczby, aż wreszcie rzeczywistość zaczęła do niej docierać.

Jej pierwszą, jasno sformułowaną sensowną reakcją (zanim jeszcze się rozplakała, uświadomiwszy sobie, że będzie mogła mieć ogród) była wypowiedziana w pośpiechu, jako niezwykle ważna, kwestia:

- Proszę, Liz, musisz wytłumaczyć wszystkim, którzy pomogli zebrać pieniądze, że to nie dom Wayan. To dom tych wszystkich, którzy jej pomogli. Jeśli ktoś z nich przyjedzie na Bali, nie wolno mu zatrzymać się w hotelu, dobrze? Powiedz im, że mają mieszkać w moim domu, dobrze? Obiecujesz im to powiedzieć? Nazwiemy go Dom Grupowy... Dom dla Wszystkich...

Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że będzie miała ogród, i się rozplakała.

Powoli jednak zaczęła wyobrażać sobie otwierające się przed nią radosne perspektywy. Emocje wylewały się z niej strumieniem, sypała pomysłami jak z rękawa. Jeśli będzie miała dom, to może mieć małą biblioteczkę, na swoje wszystkie książki medyczne! I aptekę z tradycyjnymi lekami! I restaurację jak trzeba, z prawdziwymi krzesłami i stolikami (bo musiała sprzedać stare porządne krzesła i stoliki, żeby opłacić prowadzącego sprawę rozwodową prawnika). Jeśli będzie miała dom, nareszcie będzie mogła znaleźć się na liście „Lonely Planet”, które zawsze chciało zamieścić informację o jej usługach, ale nie mogło tego zrobić, bo nie miała stałego adresu. Jeśli będzie miała dom, Tutti wyda któregoś dnia urodzinowe przyjęcie!

Potem ponownie oprzytomniała i spoważniała.

- Jak mam ci dziękować, Liz? Dałabym ci wszystko. Gdybym miała męża, którego kocham, a tobie potrzebny byłby mężczyzna, dałabym ci mojego męża.

- Zatrzymaj sobie swojego męża, Wayan. Dopilnuj tylko, żeby Tutti poszła na studia.

- Co bym zrobiła, gdybyś tu nie przyjechała?

Ale przecież ja zawsze tu przyjeżdżałam. Pomyślałam o jednym z moich ulubionych poematów sufickich, który mówi, że dawno temu Bóg nakreślił na piasku okrąg, dokładnie wokół tego miejsca, na którym w tej chwili stoimy. Nigdy nie było tak, że tutaj nie przyjeżdżałam. To nigdy nie miało się nie zdarzyć.

- Gdzie zbudujesz swój nowy dom, Wayan? - spytałam.

Niczym dwunastoletni bejsbolista, który już od dawna miał oko na pewną konkretną rękawicę z wystawy sklepu, albo romantyczne dziewczę, które w swoje trzynaste urodziny zaprojektowało sobie ślubną sukienkę, Wayan wie już dokładnie, który kawałek ziemi chciałyby kupić. Znajdował się w pobliskiej wiosce, miał doprowadzoną wodę i prąd i był tak położony, że pacjentom i klientom łatwo byłoby dotrzeć do niej pieszo, a Tutti miałyby blisko do dobrej szkoły. Bracia pomogą wybudować dom, powiedziała. Już prawie wybierała próbki farby na ściany sypialni.

Poszłyśmy więc razem do pewnego miłego ekspatrianta z Francji, doradcy finansowego znającego się na handlu nieruchomościami, który był tak uprzejmy, żeby nam poradzić najlepszy sposób transferu pieniędzy. Najprościej było przesłać telegraficznie pieniądze bezpośrednio z mojego rachunku bankowego na rachunek Wayan i pozwolić, żeby to ona kupiła ziemię lub dom, wtedy ja sama nie wplątywałabym się w posiadanie nieruchomości na terenie Indonezji. Jeśli przekazy nie przekroczą jednorazowo dziesięciu tysięcy dolarów, to ani Urząd Skarbowy, ani CIA nie będą mnie podejrzewać o pranie

narkotykowych pieniędzy. Potem udałyśmy się do malutkiego banku Wayan i porozmawialiśmy z dyrektorem na temat transferu pieniędzy.

- A więc, Wayan, za kilka dni, kiedy pieniądze zostaną już przesłane, powinnaś mieć na swoim koncie około stu osiemdziesięciu milionów rupii - gładko podsumował dyrektor banku.

Spojrzałyśmy z Wayan na siebie i wybuchnęłyśmy szaleńczym śmiechem. Taka kolosalna suma! Próbowaliśmy się uspokoić, bo przecież znajdowałyśmy się w wytornym gabinecie dyrektora banku, ale nam się to nie udawało. Wytoczyłyśmy się więc stamtąd jak pijane, trzymając się jedna drugiej, żeby nie upaść.

- Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby cud się wydarzył tak szybko! - oświadczyła Wayan. - Przez cały ten czas błagałam Boga, żeby mi pomógł. A Bóg błagał Liz, żeby też pomogła Wayan.

- A Liz błagała swoich przyjaciół, żeby oni pomogli Wayan! - dodałam.

Kiedy wróciłyśmy, Tutti właśnie przyszła ze szkoły. Wayan uklękła, objęła dziewczynkę i powiedziała: „Dom! Dom! Mamy dom!” Tutti osunęła się spektakularnie na podłogę, udając omdlenie.

Śmiałyśmy się wszystkie trzy, kiedy zauważyłam przyglądające się nam z kuchni te dwie sierotki; w ich twarzach rozpoznałam coś, co wyglądało na... lęk. Podczas gdy Wayan i Tutti biegały radośnie w kółko, ja zastanawiałam się, co sobie myślą te dwie dziewczynki. Czego się boją? Że zostaną porzucone? A może patrzyły na mnie ze zgrozą, bo dosłownie znikąd wydostałam tyle pieniędzy? (Taka niewyobrażalna masa pieniędzy mogła pojawić się tylko w wyniku czarnej magii.). A może, jeśli miało się takie niepewne życie jak one, każda zmiana jest przerażająca.

Kiedy w naszym świętowaniu nastąpiła chwilowa przerwa, spytałam Wayan, żeby się upewnić:

- Co z Dużą Ketut i z Małą Ketut? Czy dla nich to też dobra nowina?

Wayan spojrzała na dziewczynki i musiała dostrzec ten niepokój, bo pomknęła ku nim, objęła i szeptała im nad główkami krzepiące słowa. Wtulone w nią uspokajały się. Zadzwonił telefon i Wayan chciała się od nich oderwać, ale one chudymi ramionkami trzymały się uparcie „przyszywanej” matki, głowy przytulały do jej brzucha i chowały pod pachami i jeszcze po długim czasie - z zawziętością, jakiej nigdy wcześniej u nich nie widziałam - się jej trzymały.

Wobec tego ja odebrałam telefon.

- Ośrodek Tradycyjnego Lecznictwa Balijskiego - rzuciłam w słuchawkę. - Proszę wpaść na wielką wyprzedaż poprzedzającą przeprowadzkę!

96

Znowu wyszłam z Brazylijczykiem Felipe, dwukrotnie w ciągu jednego weekendu. W sobotę zabrałam go, żeby poznał Wayan i dziewczynki, i Tutti rysowała mu domy, podczas gdy Wayan mrugała do mnie znacząco zza jego pleców i pytała bezgłośnie: „Nowy przyjaciel?”, a ja kręciłam przecząco głową: „Nie, nie, nie”. (Choć wiecie co... nie myślę już o tamtym uroczym Walijczyku.). Wzięłam też Felipe do Ketuta. Szaman powrózył mu z ręki i oświadczył, nie mniej niż siedem razy (przeszywając mnie przy tym wzrokiem), że mój przyjaciel to „dobry człowiek, bardzo dobry człowiek, bardzo, bardzo dobry człowiek. Nie zły człowiek, Liss... dobry człowiek”.

Potem, w niedzielę, Felipe spytał, czy nie mam ochoty spędzić dnia na plaży. Uświadomiłam sobie, że mieszkam na Bali już dwa miesiące i jeszcze nie widziałam plaży, co zakrawa na czysty idiotyzm, więc się zgodziłam. Przyjechał po mnie jeepem i po godzinie jazdy znaleźliśmy się na rzadko odwiedzanej przez turystów, małej ustronnej plaży w Pedangbai. Miejsce, do którego mnie zabrał, było najlepszą możliwą imitacją rajku, z tą błękitną wodą, białym piaskiem i cieniem palm. Rozmawialiśmy przez cały dzień, robiąc sobie przerwy tylko na pływanie, drzemkę i czytanie, czasami na głos, jedno drugiemu. Balijski w szałasie za plażą upiekły nam świeżo złowione ryby, do których kupiliśmy zimne piwo i schłodzone owoce. Igrając z falami, opowiedzieliśmy sobie pozostałe szczegóły historii naszego życia, których nie zdążyliśmy wspomnieć podczas dotychczasowych wieczornych spotkań w najcichszych restauracjach Ubud, przy wielu butelkach wina.

Podoba mu się moje ciało, powiedział po wstępnych oględzinach na plaży. Oznajmił też, że Brazylijczycy mają odpowiednie określenie na ten typ budowy (j a s n e, że mają), mianowicie *magra-falsa*, co można przetłumaczyć jako „falszywie chude”; odnosi się ono do kobiet, które z daleka wyglądają na szczupłe, ale przy bliższych oględzinach okazuje się, że są całkiem zaokrąglone i nie brak im ciała, co Brazylijczycy uważają za zaletę. Boże, błogosław Brazylijczykom. Kiedy tak sobie gawędziliśmy rozciągnięci na ręcznikach, Felipe wyciągał od czasu do czasu rękę, a to żeby strzepnąć ziarenka piasku z mojego nosa, a to żeby

odsunąć mi z twarzy niesforny kosmyk włosów. Rozmawialiśmy całe dziesięć godzin. Potem zapadł zmrok, spakowaliśmy więc nasze rzeczy i trzymając się pod rękę, poszliśmy pod rozgwieżdżonym niebem na spacer niezbyt dobrze oświetloną gruntową drogą, będącą główną ulicą balijskiej wioski rybackiej. I wtedy Felipe z Brazylii, w najbardziej naturalny i spokojny sposób (niemal jakby chciał wiedzieć, czy nie czas coś przekąsić), zadał mi pytanie:

- Czy powinniśmy mieć ze sobą romans, Liz? Jak sądzisz?

Podobał mi się sposób, w jaki to się odbywało. Nie poprzez działanie - usiłowanie pocałunku czy jakiś śmiały ruch - ale poprzez pytanie. I na dodatek właściwe pytanie. Pamiętam coś, co powiedziała mi moja terapeutka, zanim wyruszyłam w tę podróż. Mówiłam jej, że chcę żyć w celibacie przez cały rok podróżowania i martwię się jednocześnie, co będzie, jeśli polubię jakiegoś mężczyznę, jeśli mi się naprawdę spodoba. Co powinnam wtedy zrobić? Powinnam się z nim związać czy nie? Mam zachować niezależność? Czy pozwolić sobie na romans? Moja terapeutka odpowiedziała z uśmiechem wyrozumiałości: „Wiesz, Liz... wszystko to można przedyskutować, kiedy ten problem powstanie, z osobą, której to będzie dotyczyło”.

I mieliśmy teraz to wszystko - czas, miejsce, problem i osobę, której to dotyczy. Przedyskutowaliśmy więc ten pomysł bez najmniejszych trudności, podczas przyjacielskiego spaceru pod rękę nad brzegiem oceanu.

- W normalnych okolicznościach, Felipe, powiedziałabym zapewne tak. Czymkolwiek są te „normalne okoliczności”...

Roześmialiśmy się oboje. Potem jednak wyjaśniłam mu powód mojego wahania. Chodzi o to, że... niezależnie od tego, jak bardzo chętnie oddałabym moje ciało i serce fachowym staraniom kochanka-ekspatrianta, coś innego w moim wnętrzu usilnie prosi, abym poświęciła cały ten rok podróżowania sobie samej. W moim życiu zachodzi bowiem istotna przemiana i ta przemiana wymaga czasu i przestrzeni, by cały proces mógł się bez przeszkód zakończyć. Jestem jak tort dopiero co wyjęty z piekarnika, któremu potrzeba jeszcze trochę czasu, żeby ostygł, nim zostanie polukrowany. Nie chcę sama siebie ograbić z tego cennego czasu. Nie chcę raz jeszcze utracić kontroli nad swoim życiem.

Naturalnie Felipe powiedział, że rozumie i że powinnam zrobić to, co dla mnie najlepsze. Wyraził też nadzieję, że nie mam do niego pretensji o poruszenie tego tematu. („To pytanie musiało paść, moje kochanie, wcześniej czy później”). Zapewnił, że niezależnie od tego, co postanowię, pozostaniemy w przyjaźni, skoro cały ten wspólnie spędzany czas nam obojgu robi tak dobrze.

- Chociaż - kontynuował - musisz pozwolić mi przedstawić swoje argumenty.

- Tak będzie uczciwie - zgodziłam się.

- Po pierwsze, jeśli dobrze cię rozumiem, cały ten rok ma służyć poszukiwaniu równowagi pomiędzy pobożnością a przyjemnością. Wiem, że dla pobożności zrobiłaś wiele, nie jestem jednak pewien, gdzie znalazłaś przyjemność.

- We Włoszech zjadłam mnóstwo makaronu, Felipe.

- Makaronu, Liz? M a k a r o n u ?

- Właśnie.

- Po drugie, wydaje mi się, że wiem, co cię niepokoi.

Jakiś mężczyzna wejdzie w twoje życie i znowu ci wszystko zabierze. Ja ci tego nie zrobię, kochanie. Ja też długo byłem samotny i też tak jak ty mnóstwo straciłem przez miłość. Nie chcę, żebyśmy sobie cokolwiek zabierali. Tyle że nigdy niczyje towarzystwo nie odpowiadało mi tak bardzo jak twoje i chciałbym być z tobą. Nie martw się... nie pogonię za tobą do Nowego Jorku, kiedy wyjedziesz stąd we wrześniu. A jeśli chodzi o te wszystkie powody, o których powiedziałaś mi kilka tygodni temu, a dla których nie chcesz wziąć sobie kochanka... Cóż, spójrz na to w ten sposób. Nie obchodzi mnie, czy golisz codziennie nogi, ja już zdążyłem pokochać twoje ciało, opowiedziałaś mi historię całego swojego życia i nie musisz przejmować się środkami antykoncepcyjnymi... miałem wazektomię.

- Felipe - powiedziałam - to najbardziej ujmująca i romantyczna propozycja, jaką kiedykolwiek przedstawił mi mężczyzna.

Tak rzeczywiście było. Niemniej wciąż mówiłam nie.

Odwiózł mnie do domu. Zaparkował i wymieniliśmy kilka słodkich, słonych, okraszonych ziarenkami piasku pocałunków. Było uroczo. Jasne, że było uroczo. Ale niezmiennie mówiłam nie.

- W porządku, kochanie - oświadczył. - Przyjdź jednak jutro do mnie na kolację, zrobię ci stek.

Po czym odjechał, a ja poszłam samotnie do łóżka.

Mam za sobą już wiele szybkich decyzji związanych z mężczyznami. Zawsze szybko się zakochiwałam, nie biorąc pod uwagę żadnego ryzyka. Mam nie tylko tendencję do zauważania w innych tego, co najlepsze, ale też zakładałam, że każdy jest zdolny osiągnąć swój najwyższy potencjał emocjonalny. Nie będę liczyć, ile razy się zakochiwałam w tym najwyższym potencjale raczej niż w samym mężczyźnie, a potem czepiałam się związku (czasami o wiele za długo), czekając, aż mężczyzna osiągnie wreszcie tę swoją wielkość. Często w moich związkach stawałam się ofiarą własnego optymizmu.

Wysłałam za mąż młodo i pośpiesznie, z miłości i pełna nadziei, ale bez dłuższej dyskusji na temat tego, jak ma wyglądać małżeńska rzeczywistość. Nikt mi nie doradzał w sprawie mojego małżeństwa. Rodzice wychowali mnie na osobę niezależną, umiejacą na siebie zarobić, decydującą o sobie. Nim skończyłam dwadzieścia cztery lata, wszyscy już zakładali, że mogę samodzielnie dokonywać wszelkich wyborów. Oczywiście świat nie zawsze tak wyglądał. Gdybym urodziła się w którymkolwiek innym stuleciu zachodniego patriarchy, uważano by mnie za własność ojca, aż do czasu, kiedy przekazałby mnie mojemu mężowi, żebym przeszła na jego małżeńską własność. Niewiele miałabym do powiedzenia w najważniejszych sprawach dotyczących mojego życia. Gdyby to było kiedyś, mój ojciec starającemu się o moją rękę mężczyźnie kazałby usiąść i odpowiedzieć na długą listę pytań, żeby ustalić, czy jest dla mnie odpowiednią partią. Pytałby go: „Jak utrzymasz moją córkę? Jaką masz opinię w swojej społeczności? Czy jesteś zdrowy? Gdzie będziecie mieszkać? Czy masz długi i jakim dysponujesz majątkiem? Jakie są twoje zalety?” Ojciec nie oddałby mnie za żonę pierwszemu lepszemu tylko dlatego, że byłabym w nim zakochana. W świecie współczesnym natomiast, kiedy ja postanowiłam wziąć ślub, mój nowoczesny ojciec nie miał w tym żadnego udziału. Nie wtrąciłby się w tę sprawę, tak jak nie mówiłby mi, jaką mam nosić fryzurę.

Proszę, wierzcie mi, nie tęsknię za patriarchy. Uświadomiłam sobie jednak, że kiedy rozmontowano (słusznie) patriarchalizm, nie zastąpiono go żadnym innym systemem ochrony. Chcę przez to powiedzieć, że... nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zadać kandydatowi na mojego męża konkretne pytania, jakie zadałby mu mój ojciec w innym czasie. Wiele razy zatraciłam się w miłości, wyłącznie dla miłości. I czasami przy okazji oddawałam wszystko. Jeśli mam być naprawdę niezależną kobietą, muszę wziąć na siebie rolę własnego opiekuna. Gloria Steinem, ta ikona feminizmu, udzieliła kiedyś kobietom słynnej rady - że mają się starać być takie jak mężczyźni, których chciały mieć za mężów. Dopiero całkiem niedawno uzmysłowiłam sobie, że nie tylko muszę stać się swoim własnym mężem, ale także swoim ojcem. I dlatego tamtego wieczoru posłałam siebie samotną do łóżka. Ponieważ uważałam, że jest za wcześnie na przyjmowanie zalotnika.

Z taką myślą poszłam spać i obudziłam się o drugiej w nocy z ciężkim westchnieniem i tak dojmującą cielesną tęsknotą, że zupełnie nie miałam pojęcia, jak ją zaspokoić. Stuknięty kot, który mieszka w moim domu, miauczał żałośnie, więc mruknęłam do niego: „Dobrze wiem, co czujesz”. Musiałam koniecznie coś zrobić z tym moim pragnieniem, wstałam więc, poszłam w nocnej koszuli do kuchni, obrałam kilka ziemniaków, ugotowałam je, pokroiłam, odsmażyłam na maśle, posoliłam obficie i zjadłam do ostatniego kawałka... prosząc przez

cały czas swoje ciało, żeby przyjęło zaspokojenie w postaci funta smażonych ziemniaków w miejsce spełnienia, jakie daje uprawianie miłości.

Ciało odpowiedziało, ale dopiero kiedy zjadłam ostatni kawałek: „Nie ma mowy, dziecinko”.

Wróciłam więc do łóżka, westchnęłam znudzona i zabrałam się...

Cóż. Jedno słówko na temat masturbacji, jeśli można. Czasami jest użytecznym (wybaczcie) narzędziem, kiedy indziej jednak potrafi być tak boleśnie niesatysfakcjonująca, że ostatecznie czujesz się gorzej niż przedtem. Po półtorarocznym obcowaniu z samą sobą w łóżku przeznaczonym dla jednej osoby miałam tego trochę dosyć. Niemniej tej nocy, ogarnięta tym niepokojem... co mogłam zrobić? Ziemniaki nie pomogły. Więc raz jeszcze się sobą zajęłam. Jak zwykle mój umysł przewracał kartki erotycznych zapisków, szukając odpowiedniej fantazji czy wspomnienia, które pomogłyby przyspieszyć cały ten proces. Jednak tej nocy nic nie działało... ani strażacy, ani piraci, ani rezerwowa stara perwersyjna scena z Billem Clintonem, która na ogół spełniała zadanie, ani nawet ci wiktoriańscy dżentelmeni napierający zewsząd na mnie w salonie, wspomagani oddziałem atrakcyjnych młodych pokojówek. Ostatecznie jedyne, co mogło mnie zadowolić, to niechętnie uświadomiona myśl, że to mój dobry przyjaciel z Brazylii znajduje się w łóżku ze mną... na mnie...

Potem zasnęłam. Obudziłam się i rozejrzałam po spokojnym błękitnym niebie i jeszcze spokojniejszej sypialni. Nadal odczuwając niepokój i brak równowagi, dużą część ranka poświęciłam odśpiewaniu wszystkich stu osiemdziesięciu dwóch wersów *Gurugity*... tego wspaniałego, oczyszczającego, najważniejszego hymnu mojej indyjskiej aśramy. Potem przez godzinę mrowiącego bezruchu medytowałam, aż poczułam to raz jeszcze... tę szczególną, stałą, niebiańsko krystaliczną, oderwaną, nieporuszoną, bezimienną i niezmienną doskonałość mojego szczęścia. To szczęście jest naprawdę lepsze od wszystkiego, czego doświadczyłam gdziekolwiek na tej ziemi, również od słonych maślanych pocałunków i jeszcze bardziej słonych i bardziej maślanych ziemniaków.

Byłam taka zadowolona, że jednak zdecydowałam się zostać sama.

Dlatego nieco mnie zaskoczyło, że kiedy następnego wieczoru (najpierw była kolacja, a następnie rozciągnięci na kanapie przegadaliśmy kilka godzin, potem niespodziewanie nachylił się nade mną i zanurkował pod moją pachę, oświadczając, że uwielbia ten mój cudowny podniecający zapaszek) Felipe położył dłoń na moim policzku i oświadczył: „Dość tego, kochanie. Chodź już do łóżka”, to poszłam.

Tak, poszłam z nim do łóżka, w tej sypialni z wielkimi otwartymi oknami wychodzącymi na mrok i ciche balijskie pola ryżowe. Rozsunął cieniutką, białą moskitierę i poprowadził mnie do łóżka. Potem pomógł mi zdjąć sukienkę z czułą fachowością mężczyzny, który najwyraźniej przez wiele lat szykował swoje dzieci do kąpieli, i wyjaśnił swoje warunki - nie chce ode mnie absolutnie niczego, tylko żebym pozwoliła mu się wielbić, jak długo będę sobie tego życzyła. Czy są to dla mnie warunki do przyjęcia?

Straciwszy głos gdzieś pomiędzy kanapą i łóżkiem, skinęłam tylko głową. Nie pozostało nic do dopowiedzenia. Był to długi okres surowej samotności. Dobrze mi zrobił. Jednak Felipe miał rację... już dość.

- W porządku - powiedział i uśmiechając się, odsunął na bok poduszki, zagarnął mnie pod siebie. - Zorganizujmy się tutaj jak należy.

Zabrzmiało to dość zabawnie, ponieważ właśnie w tym momencie nastąpił koniec wszystkich moich starań organizowania czegokolwiek.

Jakiś czas potem Felipe powiedział mi, jak mnie postrzegał tamtej nocy. Wydawałam mu się taka młoda, ani trochę nie przypominałam tej pewnej siebie kobiety, z którą miał do czynienia za dnia. Mówił, że wyglądałam na strasznie młodą, ale jednocześnie otwartą i podekscytowaną, pokrzepioną zdobytym uznaniem i taką zmęczoną swoją wytrzymałością. Było dla niego oczywiste, że od bardzo dawna nikt mnie nie dotknął. Zauważył, że kipię pragnieniem, ale zarazem przepelnia mnie wdzięczność, że mogę dać temu pragnieniu wyraz. I choć nie powiedziałabym, że to wszystko pamiętam, wierzę mu na słowo, ponieważ wyraźnie zwracał na mnie wtedy baczną uwagę.

Najlepiej z tamtej nocy pamiętam wydetą białą moskitierę wokół nas. Wyglądała jak spadochron. Wydawało mi się, że właśnie wyskakuję na tym spadochronie z wielkiego samolotu, który przez ostatnie kilka lat metodycznie unosił mnie jak najdalej od bardzo trudnego okresu mojego życia. Teraz ta solidna maszyna, tam w powietrzu, była już

przestarzała. Wsiadłam więc z tego lecącego uparcie tylko do jednego celu jednosilnikowego samolotu i pozwoliłam, by biały spadochron, kołysząc się, niósł mnie w dół przez dziwnie pustą przestrzeń pomiędzy moją przeszłością i przyszłością i osadził bezpiecznie na małej wysepce w kształcie łóżka, zamieszkaney tylko przez tego przystojnego rozbitka, brazylijskiego żeglarza, który (po długim okresie samotności) był taki szczęśliwy i taki zaskoczony, widząc, że się zbliżam, że nagle kompletnie zapomniał całą swoją angielszczyznę i za każdym razem, kiedy spojrzał na moją twarz, potrafił jedynie powtarzać w kółko te pięć słów: *piękna, piękna, piękna, piękna i piękna*.

98

Oczywiście nie zmrużyliśmy oka. A potem, co było zupełnie niedorzeczne... musiałam odejść. Musiałam wracać do siebie wcześniej rano, bo byłam umówiona z moim przyjacielem Yudhim. Dawno już sobie zaplanowaliśmy, że właśnie w tym tygodniu wyruszymy razem na wielką wyprawę przez Bali. Wpadliśmy na ten pomysł któregoś wieczoru, kiedy Yudhi powiedział, że oprócz żony i Manhattanu najbardziej brakuje mu przejażdżek samochodem - tego zwykłego ładowania się do auta z kilkorgiem przyjaciół i ruszenia po przygodę, czekającą na tych ogromnych przestrzeniach, poprzecinanych wszystkimi tymi bajecznymi międzystanowymi autostradami. Powiedziałam mu wtedy: „W porządku, wybierzemy się razem w podróż samochodem, w amerykańskim stylu, tutaj na Bali”.

Uderzyło nas to zresztą jako nieodparcie komiczne - w żaden sposób na Bali nie da się pojechać na wyprawę samochodową w amerykańskim stylu. Przede wszystkim na wyspie o rozmiarach stanu Delaware nie ma wielkich odległości. I „autostrady” są okropne, nieprawdopodobnie wręcz niebezpieczne, za sprawą szalonego rozpanoszenia się balijskiej wersji amerykańskiego rodzinnego minivanu - małego motocykla ze stłoczonymi na nim pięcioma pasażerami; ojciec prowadzi jedną ręką, drugą trzyma nowo narodzone dziecko (jak piłkę od amerykańskiego futbolu), podczas gdy mamuśka siedzi bokiem na tylnym siodełku, w obcisłym sarongu, trzymając na głowie kosz i pokrzykując do pozostałych berbeci, bliźniąt, żeby się mocno trzymały i nie spadły z pędzącego pojazdu, który prawdopodobnie na dodatek porusza się po niewłaściwej stronie drogi i nie ma żadnych świateł. Kaski nosi się tutaj

rzadko, natomiast często - i nigdy nie odkryłam, po co - w o z i się je ze sobą. Wyobraźcie sobie dziesiątki tych obwieszonych, beztrosko prowadzonych motocykli, przemykających zygzakiem, kluczących i omijających się wzajemnie jak w jakimś szalonym zmotoryzowanym tańcu, a będziecie mieli obraz życia na balijskich drogach. Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze Balińczycy nie wyginęli w wypadkach.

Mimo wszystko postanowiliśmy z Yudhim to zrobić: wyruszyć na tydzień, wynająć auto i objechać całą tę maleńką wyspę, udając, że jesteśmy w Ameryce i że oboje jesteśmy całkowicie wolni. Pomysł ten oczarował mnie, kiedy na niego wpadliśmy w zeszłym miesiącu, ale ten dzisiejszy termin - kiedy tak leżę w łóżku z Felipe, a on całuje opuszki moich palców i przedramiona, i barki, zachęcając, bym się nie spieszyła - wydaje się bardzo niefortunny. Muszę jednak iść. I w pewnym sensie chcę iść. Nie tylko po to, żeby spędzić tydzień z Yudhim, ale także żeby odpocząć po tej wielkiej nocy z Felipe, przetrwać nową sytuację, przyzwycząić się do myśli, że, jak mówią w powieściach: *Wzięłam sobie kochanka*.

Zatem Felipe podrzuca mnie do domu i po ostatnim namiętym pocałunku ledwie mam czas wziąć prysznic, a także wziąć się w garść, kiedy w wynajętym samochodzie podjeżdża pod dom Yudhi. Rzuca na mnie jedno spojrzenie i mówi:

- Ziomal... o której wczoraj wróciłaś do domu?

- Ziomal... nie w r ó c i ł a m wczoraj do domu - oznajmiam.

- Zioooooomal - on na to i zaczyna się śmiać, przypominając sobie zapewne rozmowę, jaką odbyliśmy dwa tygodnie wcześniej, w której z całą powagą twierdziłam, że być może już nigdy w życiu nie będę uprawiać seksu. - Więc się poddałaś, he?

- Yudhi - zaczęłam - pozwól, że opowiem ci pewną historię. Ubiegłego lata, tuż przed wyjazdem ze Stanów, pojechałam odwiedzić swoich dziadków, mieszkających na północy stanu Nowy Jork. Zona dziadka - jego druga żona - to bardzo sympatyczna pani o imieniu Gale, po osiemdziesiątce. Wyciągnęła stary album i pokazała mi zdjęcia z lat trzydziestych, kiedy miała osiemnaście lat i pojechała na rok do Europy z dwiema najlepszymi przyjaciółkami i z opiekunką. Przewraca kartki, pokazuje mi te niesamowite stare fotografie z Włoch i nagle mamy przed oczyma zdjęcie ślicznego młodego Włocha, w Wenecji. Pytam: „Gale... kim jest ten przystojniak?” Ona na to: „Syn właścicieli hotelu, w którym zatrzymaliśmy się w Wenecji. Był moim chłopakiem”. „Twoim c h ł o p a k i e m ?” - pytam. A słodziutka małżonka mojego dziadka spogląda na mnie szelmowsko i oczy błyszczą jej seksownie jak u Betty Davis, kiedy tłumaczy: „Znudziło mnie oglądanie kościołów, Liz”.

Yudhi unosi wysoko dłoń i przybijamy piątkę.

- Tylko tak dalej, ziomal.

Wyruszamy na naszą udawaną amerykańską wyprawę przez Bali, ja i ten wspaniały młody indonezyjski geniusz muzyczny na wygnaniu, tył auta zajmują gitary i piwo, i balijski odpowiednik amerykańskiej wałówki: smażone ryżowe krakersy i miejscowe batoniki o okropnym smaku. Nie przypominam sobie zbyt wyraźnie szczegółów naszej wyprawy, bo przysłoniły je nurtujące mnie myśli o Felipe oraz zamazała owa dziwaczna mglistość, jaka towarzyszy objazdom wszystkich krajów świata. Pamiętam natomiast, że przez cały czas rozmawiamy z Yudhim po a m e r y k a ń s k u ... językiem, którego już dawno nie używałam. Oczywiście w minionym roku dużo mówiłam po angielsku, ale nie po amerykańsku, a już na pewno nie tym hiphopowym amerykańskim, jaki podoba się Yudhiemu. Więc sobie dogadzamy, zamieniając się podczas jazdy w fanów MTV, dogadując sobie wzajemnie jak małolaty z Hoboken, zwracamy się do siebie „ziomal” i „człowieku”, a czasami - z wielką czułością - „cioto”. Mnóstwo z tych rozmów kręci się wokół serdecznych obelg pod adresem naszych matek.

- Ziomal, gdzie podziałś mapę?

- Czemu nie spytasz swojej matki, co zrobiłam z mapą?

- Spytałbym, człowieku, ale jest za gruba. I tak dalej.

Nie kierujemy się w głąb wyspy; jedziemy wzdłuż wybrzeża i plaż; plaże i plaże, przez cały tydzień plaże. Tu i tam płyniemy rybacką łodzią na jakąś wysepkę, żeby zobaczyć, jak tam jest. Na Bali jest tyle przeróżnych plaż. Jednego dnia jedziemy wzdłuż plaż Kutu omywanych białymi, długimi grzywaczami, zupełnie jak w południowej Kalifornii, po czym kierujemy się ku złowrogo pięknym czarnym skałom zachodniego wybrzeża, przekraczamy niewidzialną linię podziału, poza którą zwykli turyści się nie zapędzają, aż do dzikich plaż północnego wybrzeża, gdzie mają odwagę się poruszać jedynie surferzy (i to też tylko ci szaleni). Siadamy na plaży i obserwujemy groźne fale, patrzymy, jak szczupli brązowi i biali indonezyjscy i zachodni akrobaci surfingu tną wodę, jakby otwierali zamki błyskawiczne błękitnej sukni wizytowej oceanu. Patrzymy w zadziwieniu, jak butnie ocierają się o koralowce i skały, by powrócić po chwili i ujeżdżać kolejną falę.

- Ziomal, toż to kompletny ODJAZD - mówimy.

Tak jak było zamierzone, na długie godziny zapominamy (wyłącznie ze względu na Yudhiego), że jesteśmy w Indonezji. Jeździmy sobie tym wynajętym samochodem, żywimy się niezdrowym jedzeniem i śpiewamy amerykańskie piosenki, wszędzie gdzie się da zjadamy pizzę. Kiedy ze wszystkich stron ogarnia nas balijskość, staramy się ją ignorować i udajemy, że jesteśmy w Ameryce.

- Którą trasą najlepiej objechać ten wulkan? - pytam.

- Sądę, że powinniśmy pojechać I-95 - odpowiada mój towarzysz.

- Ale wtedy musielibyśmy przejeżdżać przez Boston w godzinach szczytu...

To tylko taka gra, ale trochę działa.

Gdziekolwiek natrafiamy na spokojne błękitne wody oceanu i przez cały dzień pływamy, udzielamy sobie wzajemnie pozwolenia na dorwanie się do piwa już o dziesiątej rano („Ziomal... to dla zdrowia”). Zaprzyjaźniamy się z każdym, kogo spotkamy. Yudhi to taki facet, który idzie plażą i zobaczywszy, że ktoś buduje łódź, zatrzymuje się i mówi: „Ojej! Budujesz łódź?” I ta jego ciekawość jest tak absolutnie ujmująca, że leciwie się spostrzeżemy, a już mamy zaproszenie, żeby zatrzymać się na rok u miejscowego skutnika i jego rodziny.

Wieczorami zdarzają się dziwaczne sprawy. Na kompletnym pustkowiu natykamy się na grupę odprawiającą jakieś świątynne obrzędy, dajemy się zahipnotyzować chórowi, bębnom i gamelanom. Pewnego razu w małej nadmorskiej osadzie, wiosce właściwie, wszyscy mieszkańcy zgromadzili się na zaciemnionej ulicy, by uczcić czyjeś urodziny; Yudhiego i mnie wyciągają z tłumu (honorując obcych) i zapraszają do tańca z najładniejszą dziewczyną z tej miejscowości. (Obwieszona jest złotem i klejnotami, twarz ma pomalowaną jak Egipcjanka i pachnie kadzidłem; ma pewnie ze trzynaście lat, ale kręci biodrami ze zmysłowym spokojem osoby przekonanej, że mogłaby uwieść każdego boga, jakiego by zechciała.). Następnego dnia odnajdujemy dziwną restaurację rodzinną, której balijski właściciel oświadcza, że jest wielkim ekspertem od tajskiej kuchni, co nie okazuje się prawdą, niemniej i tak spędzamy tam cały dzień, popijając lodową coca--colę, jedząc tłuste *pad thai*, i grając w amerykańskie gry planszowe z dziewczęcą delikatnym synem właściciela. (Dopiero jakiś czas później przychodzi nam do głowy, że ten śliczny nastolatek mógł być tamtą nocną tancerką; Balińczycy są mistrzami rytualnego transwestytyzmu.).

Codziennie skąd tylko mogę, dzwonię do Felipe.

- Ile spań minie, zanim do mnie wrócisz? - pyta mnie niezmiennie. I dodaje: - Kochanie, tak się cieszę, że się w tobie zakochałem. To uczucie jest takie naturalne, jakby mi się zdarzało co drugi tydzień. Ale tak naprawdę nie czułem niczego podobnego od prawie trzydziestu lat.

Ja nie dotarłam jeszcze do tego punktu swobodnego spadania w miłość, wydaję niepewne dźwięki, mające przypominać, że za kilka miesięcy wyjeżdżam. Felipe się tym nie przejmuje.

- Może to tylko głupi, romantyczny południowoamerykański koncept - oświadcza - ale musisz zrozumieć... kochanie, że dla ciebie jestem nawet gotów cierpieć. Cokolwiek wydarzy

się z nami w przyszłości, już to akceptuję, dla samej przyjemności bycia z tobą teraz. Cieszymy się tym czasem. Jest cudowny.

- Wiesz... to dziwne, ale zanim cię poznałam - mówię - całkiem poważnie rozważałam możliwość spędzenia reszty życia w samotności i w celibacie. Myślałam, że może na zawsze zagłębię się w duchowej kontemplacji.

- Pokontempluj więc to, kochanie... - zaczyna, po czym skrupulatnie i po kolei wymienia, co po pierwsze, drugie, trzecie, czwarte i piąte planuje robić z moim ciałem, kiedy ponownie znajdziemy się w łóżku. Odchodzę od telefonu na miękkich nogach, rozbawiona i skołowana całą tą nową namiętnością.

Ostatniego dnia podróży siedzimy z Yudhim wiele godzin na jakiejś plaży i - co często się nam przydarza - znowu zaczynamy rozmawiać o Nowym Jorku, jaki jest wspaniały, jak go bardzo kochamy. Yudhi mówi, że tęskni za tym miastem, że niemal tak bardzo jak za żoną... jakby Nowy Jork był osobą, krewnym, którego po deportacji utracił. Podczas rozmowy wygląda kawałek białego piasku pomiędzy naszymi rącznikami i rysuje plan Manhattanu.

- Postarajmy się nanieść tu wszystko, co pamiętamy z tego miasta.

Opuszkami palców rysujemy aleje, główne skrzyżowania, niesfornie biegnący na skos Broadway, rzeki, Greenwich Village, Central Park. Wybieramy cieniutką, śliczną muszelkę na Empire State Building i drugą na Chrysler Building. Nie zapominamy o bliźniaczych wieżach WTC i umieszczamy dwa patyki we właściwym miejscu przy brzegu wyspy.

Wykorzystujemy ten piaskowy plan, żeby pokazywać sobie nasze ulubione miejsca w Nowym Jorku. Tutaj Yudhi kupił okulary przeciwsłoneczne, które właśnie ma na nosie; tam ja kupiłam sandały, które mam na nogach. Tutaj jadłam pierwszą kolację ze swoim byłym mężem; a tam Yudhi poznał swoją żonę. Tu jest najlepsze wietnamskie jedzenie w mieście, tutaj najlepsze bajgle, tam sklep z najlepszym makaronem („o nie, ziomal... to tu jest najlepszy sklep z makaronem”). Nanoszę na plan swoją dzielnicę, Midtown West.

- Znam tam dobrą knajpkę - mówi Yudhi.

- Tick-Tock, Cheyenne czy Starlight? - pytam.

- Tick-Tock, ziomal.

- Piłeś kiedyś w Tick-Tocku egg-creamy?

- O mój Boże, znam... - jęczy.

Tak mocno odczuwam jego tęsknotę za Nowym Jorkiem, że przez chwilę biorę ją za własną. Zaráżam się jego nostalgią i zapominam, że ja przecież mogę wrócić na Manhattan, ale on nie. Przez chwilę bawi się dwoma patyczkami Wież, wbija je mocniej w piasek, po czym spogląda na spokojny błękitny ocean.

- Wiem, że tu jest pięknie... ale czy sądzisz, że jeszcze kiedyś zobaczę Amerykę?

Cóż mam mu powiedzieć?

Milkniemy. Potem wysuwa spomiędzy warg obrzydliwy twardej indonezyjski cukierek, który ssał przez ostatnią godzinę, i oświadcza:

- Ziomal, ten cukierek smakuje jak d u p a . Skąd go wzięłaś?

- Od twojej matki, ziomal - odpowiadam. - Od twojej matki.

99

Po powrocie do Ubud idę prosto do domu Felipe i nie opuszczam jego sypialni przez mniej więcej miesiąc. Jeśli jest w tym zdaniu przesada, to bardzo niewielka. Nigdy wcześniej nikt mnie nie kochał i nie wielbił z taką ogromną przyjemnością i w takim nabożnym skupieniu. Nigdy wcześniej nie kochałam się w nikim, kto by mnie tak zwijał, rozwijał, rozpościerał i zbierał.

Jedno wiem na temat życia intymnego: istnieją pewne naturalne prawa, które rządzą seksualnym doświadczeniem dwojga ludzi, i że tych praw nie da się ominąć, podobnie jak grawitacji. Swoboda, z jaką reagujemy na bliskość ciała drugiej osoby, nie jest czymś, o czym sami decydujemy. Ma to niewiele wspólnego z tym, co myślą te dwie osoby, jak się zachowują, o czym rozmawiają ani nawet jak wyglądają. Ów tajemniczy magnes albo tam jest, ukryty gdzieś głęboko za mostkiem, albo go nie ma. A kiedy go nie ma (o czym dowiedziałam się w przeszłości z bolesną wręcz jasnością), nie da się go na siłę wszczepić, tak jak chirurg nie może zmusić ciała pacjenta do nieodrzućcia nerki od nieodpowiedniego dawcy. Moja przyjaciółka Annie twierdzi, że wszystko to można sprowadzić do prostego pytania: „Chcesz trzymać swój brzuch przyciśnięty do brzucha tej drugiej osoby w nieskończoność... czy nie?”

Felipe i ja, ku zachwytowi nas obojga, odkrywamy, że jesteśmy idealnie dopasowani, moglibyśmy być przykładem zakończonego sukcesem eksperymentu inżynierii genetycznej o nazwie „brzuch przy brzuchu”. Nie ma takich fragmentów naszych ciał, które byłyby uczulone na jakiegokolwiek części ciała tego drugiego. Nic nie jest niebezpieczne, nic nie jest trudne, niczego nie trzeba odmawiać. Wszystko w tym naszym zmysłowym wszechświecie jest - prosto i całkowicie - dopełnione. A także... o d w z a j e m n i o n e .

- Tylko popatrz - mówi Felipe. Prowadzi mnie do lustra po tym, jak znowu się kochaliśmy, i pokazuje mi moje nagie ciało i włosy, które wyglądają, jakbym właśnie zakończyła trening w wirówce ośrodka lotów kosmicznych NASA. - Zobacz, jaka jesteś piękna... każdy kontur twojego ciała jest krzywizną... wyglądasz jak piaskowe wydmy...

(Rzeczywiście, nie sądzę, by moje ciało kiedykolwiek przedtem wyglądało lub czuło się takie odprężone, może tylko wtedy, kiedy miałam pół roczku i po miłej kąpieli w zlewozmywaku leżałam na kuchennym blacie rozkosznie rozciągnięta na ręczniku, a matka robiła mi zdjęcia.)

Potem prowadzi mnie z powrotem do łóżka.

- *Vem, gostosa* - mówi po portugalsku. Chodź, kącyczku.

Felipe jest również mistrzem czułych słówek. W łóżku wielbi mnie po portugalsku i w taki sposób awansowałam z „mojego słodkiego kochania” na *queridinha*. Byłam na Bali zbyt leniwa, żeby nauczyć się choć trochę indonezyjskiego lub balijskiego, a portugalski nagle przychodzi mi bez trudu. Oczywiście uczę się tylko łóżkowych rozmówek, ale to bardzo odpowiednie zastosowanie portugalskiego.

- Kochanie - mówi Felipe - będziesz tego miała powyżej uszu. Znudzi ci się to moje ciągle dotykanie i powtarzanie w kółko, że jesteś piękna. *Akurat. Sprawdź.*

Gubię dni, znikając w jego pościeli, pod jego dłońmi. Podoba mi się to uczucie, kiedy człowiek nie wie nawet, jaki jest dzień. Mój świetnie uporządkowany harmonogram zajęć rozsypał się w proch. Wreszcie, po długiej przerwie, któregoś popołudnia odwiedzam swojego szamana. Nim zdążę się odezwać, Ketut odczytuje z mojej twarzy prawdę.

- Znajdujesz przyjaciela na Bali - mówi.

- Tak, Ketut.

- Dobrze. Bądź ostrożna, nie zając w ciąża.

- Będę.

- On dobry człowiek?

- Ty mi to powiedz - odparłam. - Widziałeś jego dłoń. Twierdziłeś, że jest dobrym człowiekiem. Powtórzyłeś to z siedem razy.

- Naprawdę? Kiedy?

- Jeszcze w czerwcu. Przyproceedziłam go tutaj. To ten Brazylijczyk, starszy ode mnie. Powiedziadeś, że ci się podoba.

- Nigdy nie mówiłem - powiedział z naciskiem i w żaden sposób nie byłam w stanie go przekonać, że było inaczej. Czasami Ketutowi coś uleci z pamięci i nie jest to dziwne u kogoś będącego w wieku pomiędzy sześćdziesiąt pięć a sto dwanaście lat. Na ogół wykazuje

bystrość i przenikliwość, ale bywają chwile, kiedy odnoszę wrażenie, że wyrwałam go z jakiegoś innego poziomu świadomości, z jakiegoś innego świata. (Kilka tygodni temu ni stąd, ni zowąd powiedział do mnie: „Ty dla mnie dobry przyjaciel, Liss. Wierny przyjaciel. Kochający przyjaciel”. Potem westchnął, popatrzył w przestrzeń i dodał smętnym głosem: „Nie jak Sharon”. Kim, do diabła, jest Sharon? Co mu zrobiła? Kiedy starałam się dowiedzieć, nie odpowiedział. Zachowywał się tak, jakby nagle nie wiedział, o kogo mi chodzi. Jakbym to ja sprowadziła tutaj Sharon, tę złodziejkę i lafiryndę.).

- Dlaczego nie przyprowadzasz do mnie swój przyjaciel? - zapytał.

- Przyprowadziłam go, Ketut. Naprawdę. I powiedziałaś, że ci się podoba.

- Nie pamiętam. On bogaty, twój przyjaciel?

- Nie, Ketut. Nie jest bogaty. Ale ma dość pieniędzy.

- Średnio bogaty? - Szaman domaga się szczegółów, arkuszy kalkulacyjnych.

- Ma dość pieniędzy.

Moja odpowiedź chyba go zirytowała.

- Jak prosisz ten człowiek o pieniądze, on może ci dać czy nie?

- Ketut, ja nie chcę od niego pieniędzy. Nigdy nie wzięłam pieniędzy od mężczyzny.

- Spędzasz z nim każda noc?

- Tak.

- Dobrze. On cię psuje?

- Bardzo.

- Dobrze. Ciągłe medytujesz?

Tak, nadal medytuję, każdego dnia w tygodniu; wyslizguję się z łóżka Felipe i przenoszę na kanapę, gdzie mogę siedzieć w milczeniu i wyrażać wdzięczność za to wszystko. Przed werandą Felipe kwaczące kaczki drepczą po poletku ryżowym i taplają się w wodzie. (Felipe mówi, że te stada ruchliwych balijskich kaczek zawsze przypominają mu paradujące po plażach Rio Brazyljki; rozgadane i nieustannie wpadające sobie w słowo i z taką dumą kręcące tyłkami.). Jestem teraz taka odprężona, że zanurzam się w medytację, jakby była przygotowaną przez mojego kochanka kąpielą. Naga w porannym słońcu, jedynie z lekkim kocem zarzuconym na ramiona, znikam w przestrzeni łaski, balansuję na krawędzi pustki niczym maleńka muszelka na łyżeczce od herbaty.

Dlaczego kiedyś życie wydawało się takie trudne?

Pewnego dnia dzwonię do Susan do Nowym Jorku, a ona przy typowym wielkomięjskim akompaniamencie wycia syren policyjnych zwierza się szczegółowo z

ostatniego przypadku złamanego serca. Mój głos ma chłodne, gładkie brzmienie nocnego didżeja jazzowej radiostacji, kiedy mówię jej, żeby dała spokój (człowieku!), bo musi się nauczyć, że idealnie jest tak, jak jest, a wszechświat o nas zadba (dziecinko), tam wszystko jest spokojem i harmonią...

Niemal słyszę, jak wywraca oczyma, kiedy wraz z jękiem syren dociera do mnie jej głos.

- Jakbym słyszała kobietę, która zdążyła już mieć dzisiaj cztery orgazmy - mówi moja przyjaciółka.

100

Po kilku tygodniach zabawa się jednak skończyła. Po tych wszystkich nieprzespanych nocach i tych dniach wypełnionych seksem moje ciało podniosło bunt i zaatakowała mnie paskudna infekcja pęcherza moczowego. Jest to typowa przypadłość osób nadużywających seksu, po tym jak się już od seksu zdążyły odzwyczaić. Przyszła tak nagle i niezapowiedzianie jak każdy inny kataklizm. Któregoś ranka szłam sobie przez miasto, robiąc jakieś sprawunki, kiedy nagle nogi ugięły się pode mną pod wpływem palącego bólu i gorączki. Miewałam już przedtem takie infekcje, w czasach swojej kapryśnej młodości, więc wiedziałam, z czym mam do czynienia. Na chwilę ogarnęła mnie panika - te rzeczy potrafią być okropne - po czym pomyślałam: „Dzięki Bogu moja najlepsza przyjaciółka na Bali jest uzdrowicielką” i ruszyłam do ośrodka Wayan.

- Jestem chora! - oznajmiłam.

Rzuciła mi tylko jedno spojrzenie i powiedziała:

- Chora od za dużo seksu, Liz.

Jęknęłam, zażenowana ukryłam twarz w dłoniach. Moja przyjaciółka zachichotała.

- Przed Wayan nic się nie ukryje...

Bolało mnie jak wszyscy diabli. Każdy, kto miał taką infekcję, zna to paskudne uczucie; ten, kto nie doświadczył tego konkretnego cierpienia... cóż, niech sobie wymyśli własną metaforę tortury, najlepiej z użyciem gdzieś w zdaniu „rozpalonego żelastwa”.

Wayan, jak przystało na doświadczonego strażaka albo lekarza ze szpitalnej izby przyjęć, nigdy nie działa pośpiesznie. Zaczęła metodycznie siekać jakieś zioła, gotować

korzenie, wędrować pomiędzy kuchnią a mną. Przynosiła jedną po drugiej ciepłe, brązowe, smakujące trucizną mikstury i powtarzała: „Pij, złotko... „

Za każdym razem, kiedy gotowała się kolejna porcja, Wayan siadała naprzeciwko mnie, obrzucała tym szelmowskim spojrzeniem i korzystając z okazji, zadawała wścibskie pytania.

- Uważasz, żeby nie zająć w ciążę, Liz?

- Nie ma takiej możliwości, Wayan. Felipe miał wazektomię.

- Felipe miał w a z e k t o m i ę ? - spytała z taką fascynacją, jakby pytała, czy Felipe ma willę w Toskanii. (A przy okazji, ja mam podobne odczucia.) - Na Bali bardzo trudno zmusić mężczyznę do tego. Zawsze problem kobiety, antykoncepcja.

(Chociaż prawdą jest, że ostatnio przyrost ludności w Indonezji został nieco wyhamowany dzięki wprowadzonemu niedawno genialnemu programowi kontroli urodzin: rząd obiecał nowy motocykl każdemu mężczyźnie, który na ochotnika zgłosi się do zabiegu wazektomii... choć wolę jednak nie myśleć, jak ci faceci wracali do domu na swoich nowych motocyklach tego s a m e g o d n i a .).

- Seks jest zabawny - zadumała się Wayan, patrząc, jak krzywię się z bólu i piję kolejną porcję jej mikstury.

- Taa, Wayan, dzięki. Prześmieszny.

- Nie, naprawdę jest zabawny - ciągnęła. - Powoduje, że ludzie robią zabawne rzeczy. Każdy tak się zachowuje na początku miłości. Chce za dużo szczęścia, za dużo przyjemności, aż się rozchoruje. Nawet Wayan się to przydarzyło na początku miłosnej historii. Utrata równowagi.

- Jestem zakłopotana - odezwałam się.

- Nie trzeba - stwierdziła. Po czym należytą angielszczyzną (z należytą balijską logiką) dodała: - Utrata czasem równowagi dla miłości stanowi część zrównoważonego życia.

Postanowiłam zadzwonić do Felipe. Miałam w domu trochę antybiotyków, taki zapasik na wszelki wypadek, z którym zawsze podróżuję. Ponieważ już wcześniej miewałam te infekcje, wiedziałam, jakie potrafią być groźne, mogą zająć nawet nerki. Nie chciałam przechodzić czegoś takiego, nie w Indonezji. Zadzwoniłam więc do niego, powiedziałam, co się stało (był speszony), i poprosiłam, żeby przyniósł mi tabletki. Nie żebym nie ufała medycznym umiejętnościom Wayan, rzecz w tym, że ból był naprawdę silny...

- Niepotrzebne ci zachodnie pigułki - oświadczyła moja przyjaciółka.

- Może jednak lepiej, dla pewności...

- Poczekaj dwie godziny - powiedziała. - Jeśli ja ci nie pomogę, możesz wziąć te swoje pigułki.

Niechętnie się zgodziłam. Z doświadczenia wiedziałam, że pozbycie się takiej infekcji, nawet za pomocą silnych antybiotyków, może trwać wiele dni. Nie chciałam jednak jej urazić.

Tutti bawiła się koło nas i przynosiła mi ciągle małe rysunki domu, żeby mnie rozweselić, ze współczuciem ośmiolatki gładziła mnie po ręce.

- Mama Elizabeth chora? - Ona przynajmniej nie wiedziała, jak doprowadziłam się do choroby.

- Kupiłeś już sobie dom, Wayan? - spytałam.

- Jeszcze nie, złotko. Nie ma pośpiechu.

- A co z tym, który ci się podobał? Myślałam, że chcesz go kupić.

- Nie do kupienia. Za drogi.

- Masz na oku jakiś inny?

- Nie martw się tym, Liz. Na razie trzeba cię wyleczyć szybko.

Felipe pojawił się z moim lekarstwem i z markotną miną przeproszał i mnie, i Wayan za to, że to on zadał mi ten ból, bo tak właśnie to widział.

- Nic poważnego - oświadczyła Wayan. - Nie przejmuj. Szybko jej pomogę. Szybko poprawi się.

Po czym ruszyła do kuchni, skąd przyniosła ogromną szklaną misę, wypełnioną liśćmi, korzeniami, jagodami, czymś, co wyglądało na kurkumę, kłębem czegoś splątanego, co przypominało włosy wiedźmy, zauważyłam jeszcze oko, które mogło być okiem traszki... a wszystko to pływało we własnym brązowym soku. Było tego z galon i cuchnęło trupem.

- Wypij, złotko - powiedziała Wayan. - Wypij wszystko.

Wmusiłam w siebie całość. I po niecałych dwóch godzinach... cóż, wszyscy domyślamy się końca tej historii. Po niecałych dwóch godzinach byłam zdrowa, zupełnie zdrowa. Infekcja, której wyleczenie zachodnimi antybiotykami trwałoby wiele dni, zniknęła. Chciałam zapłacić jej za pomoc, ale ona się tylko roześmiała.

- Moja siostra nie musi płacić. - Po czym z udawaną surowością zwróciła się do Felipe: - Bądź z nią teraz ostrożny. Dziś w nocy tylko spanie, żadnego dotykania.

- Nie odczuwasz zażenowania, pomagając ludziom z problemami, które się biorą z uprawiania seksu? - spytałam Wayan.

- Liz... jestem uzdrowicielką. Pomagam przy wszystkich problemach, przy kobiecych pochwach, męskich bananach. Czasami nawet robię dla kobiet udawane penisy. Żeby same miały seks.

- Sztuczne penisy? - spytałam wstrząśnięta.

- Nie każda ma brazylijskiego przyjaciela, Liz - napomniała mnie. Spojrzała na Felipe.

- Jeśli będziesz kiedyś potrzebował pomocy, żeby usztywnić twojego banana, mogę dać ci lekarstwo - oświadczyła radośnie.

Zapewniałam ją gorliwie, że Felipe nie potrzebuje żadnej pomocy przy swoim bananie, ale on mi przerwał - ani na chwilę nie przestając być przedsiębiorcą - żeby spytać Wayan, czy to jej lekarstwo na usztywnianie banana da się zabutelkować i wypuścić na rynek.

- Moglibyśmy zarobić fortunę - powiedział.

Ona jednak wyjaśniła, że to niemożliwe. Wszystkie jej lekarstwa, żeby działać, muszą być codziennie świeżo robione. I muszą temu towarzyszyć modlitwy. W każdym razie lekarstwa do użytku wewnętrznego to nie jedyny sposób, żeby usztywnić męskiego banana, zapewniła nas; ona potrafi dokonać tego samego masażem. Potem, wzbudzając w nas niezdrową fascynację, opisała różne rodzaje masażu, jakim poddaje zwiędłe męskie banany, jak chwyta je u podstawy i w specjalny sposób wywija nimi przez mniej więcej godzinę, żeby ożywić przepływ krwi, odprawiając jednocześnie odpowiednie modły.

- Ale Wayan - spytałam - co się dzieje, jeśli mężczyzna wraca codziennie i mówi: „Ciągłe nie wyleczony, pani doktor! Potrzebuję następnego masażu!”

Roześmiała się na ten sprośny pomysł i przyznała, że owszem, musi być ostrożna, żeby nie spędzać za dużo czasu na leczeniu męskich bananów, bo wywołuje to pewne... mocne uczucia... w niej samej, a nie jest pewna, czy to jest dobre dla jej uzdrowicielskiej energii. A czasami, owszem, mężczyźni tracą nad sobą kontrolę. (Co może przydarzyć się każdemu, kto latami był impotentem i nagle ta piękna kobieta o mahoniowej skórze i czarnych jedwabistych włosach doprowadza do tego, że maszyna rusza od nowa.). Opowiedziała nam o tym jednym mężczyźnie, który zerwał się i zaczął ją gonić po pokoju podczas terapii przeciwko impotencji, wołając: „Chcę Wayan! Chcę Wayan!”

To nie wszystko, co Wayan robi. Czasami uczy uprawiać seks pary małżeńskie, które mają kłopoty z impotencją lub oziębłością, lub też z poczęciem dziecka. Rysuje im magiczne obrazki na prześcieradłach i wyjaśnia, jakie pozycje są odpowiednie na konkretne dni miesiąca. Powiedziała nam, że jeśli mężczyzna chce spłodzić dziecko, powinien kochać się z żoną „naprawdę, naprawdę mocno” i powinien wystrzelić wodę ze swojego banana do jej

pochwy „naprawdę, naprawdę szybko”. Czasami Wayan musi być w tym samym pokoju co kochająca się para, wyjaśniać, jak mocno i jak szybko mają to robić.

- A czy mężczyzna jest w stanie tryskać wodą ze swojego banana naprawdę mocno i naprawdę szybko, kiedy doktor Wayan stoi nad nim i się przygląda? - pytam.

Felipe udaje Wayan obserwującą małżeńską parę.

- Szybciej! Mocniej! Chcesz mieć to dziecko czy nie?

Wayan mówi, że tak, zgadza się, ona wie, że to wariactwo, ale taka jest praca uzdrowicielki. Chociaż przyznaje, że wymaga to mnóstwa oczyszczających obrzędów, przed i po takim wydarzeniu, żeby mogła zachować swojego świętego ducha w nienaruszonym stanie, i nie lubi robić tego zbyt często, bo czuje się potem „dziwnie”. Ale skoro koniecznie trzeba począć dziecko, ona się tym zajmie.

- I wszystkie te pary mają teraz dzieci? - pytam.

- M a j ą d z i e c i ! - potwierdza z dumą.

Oczywiście, że mają.

I wtedy Wayan zwierza się z czegoś nadzwyczaj interesującego. Mówi, że jeśli para nie ma szczęścia przy poczęciu dziecka, ona bada i mężczyznę, i kobietę, żeby ustalić, kogo, jak to się mówi, należy za to winić. Jeśli jest to kobieta, nie ma problemu... Wayan pomoże jej starodawnymi uzdrowicielskimi technikami. Ale jeśli to mężczyzna... cóż, tutaj, w balijskim patriarchacie, sytuacja staje się delikatna. Uzdrowicielka ma związane ręce, ponieważ poinformowanie Balijszczyka o jego bezpłodności jest dość ryzykowne. Ostatecznie, mężczyźni to m ęż c z y ź n i . Jeśli nie dochodzi do ciąży, musi to być z winy kobiety. A jeśli kobieta nie da szybko mężczyźnie dziecka, może się znaleźć w ciężkich tarapatach... można ją bić, upokarzać albo się z nią rozwieść.

- Więc co robisz w takiej sytuacji? - spytałam zdumiona, że kobieta, która nadal nazywa nasienie „bananową wodą”, wie, jak rozpoznać męską bezpłodność.

Wayan powiedziała nam wszystko. Jeśli stwierdzi męską bezpłodność, informuje mężczyznę, że bezpłodna jest jego żona i że musi każdego popołudnia poddawać się „kuracji uzdrawiającej”. Kiedy kobieta pojawia się w ośrodku, Wayan wzywa do niej jakiegoś młodego ogiera z wioski, licząc na to, że dojdzie do zapłodnienia.

- Wayan! Nie! - Felipe był wstrząśnięty. Ona skinęła tylko spokojnie głową.

- Tak. To jedyny sposób. Jeśli żona jest zdrowa, urodzi dziecko. Wtedy wszyscy szczęśliwi.

- Kto? Kogo wynajmujesz do tej pracy? - dopytywał się Felipe, który przecież tu mieszka.

- Kierowców - odparła Wayan.

Wszystkich nas to rozśmieszyło, bo Ubud jest pełne tych facetów, tych „kierowców”, którzy siedzą na każdym rogu ulicy i zaczepiają turystów: „Transport? Transport?”, starając się zarobić parę groszy na wożeniu turystów do wulkanów, na plażę i do świątyń. Ogólnie rzecz biorąc, nieźle się prezentują, mają cerę jak z obrazów Gauguina, harmonijną budowę ciała i świetne długie włosy. W Ameryce można by nieźle zarobić, prowadząc „klinikę płodności” dla kobiet obsadzoną takimi facetami. Wayan mówi, że w jej kuracji najlepsze jest to, że ci kierowcy na ogół w ogóle nie żądają zapłaty za swoje seksualne usługi transportowe, szczególnie jeśli taka żona jest naprawdę ładna. Felipe i ja zgadzamy się, że ci faceci okazują wielkoduszność i obywatelską postawę. Dziewięć miesięcy później przychodzi na świat śliczne dzieciątko. I wszyscy są zadowoleni. Nie ma potrzeby unieważniać małżeństwa i to jest w tym wszystkim najlepsze, bo przecież wiemy, jaką straszną rzeczą jest unieważnienie małżeństwa, zwłaszcza na Bali.

- Mój Boże... ależ z nas, mężczyzn, frajerzy - komentuje Felipe.

Wayan nie zamierza się tłumaczyć. Taka kuracja tylko dlatego jest niezbędna, że na Bali nie można powiedzieć mężczyźnie o jego bezpłodności, jeśli nie chce się ryzykować, że ten wróci do domu i zrobi żonie coś strasznego. Gdyby mężczyźni na Bali byli inni, mogłaby ich leczyć z bezpłodności. Ale tak właśnie wygląda tutejsza kultura, i tyle. Nie ma w związku z tym najmniejszych wyrzutów sumienia, uważa natomiast, że to jeszcze jeden sposób, by być twórczą uzdrowicielką. A poza tym, dodaje, miło jest czasem żonie uprawiać seks z jednym z tych fajnych kierowców, ponieważ większość mężów na Bali i tak nie wie, jak trzeba się kochać z kobietą.

- Większość mężów to jak koguty, jak capy.

- Może powinnaś uczyć wychowania seksualnego, Wayan - zasugerowałam. - Mogłabyś uczyć mężczyzn, jak mają dotykać kobiety w delikatny sposób: może wtedy ich żonom seks bardziej by się podobał. Bo jeśli mężczyzna dotyka cię delikatnie, pieści twoją skórę, mówi czule słowa, całuje po całym ciele, nie spieszy się... seks może być przyjemny.

Nagle moja przyjaciółka zarumieniła się. Wayan Nuriyasih, ta masująca banany, lecząca infekcję pęcherza, sprzedająca sztuczne penisy drobna stręczycielka najzwyczajniej się zarumieniła.

- Czuję się dziwnie, kiedy tak mówisz - powiedziała, wachlując się. - To gadanie, ono powoduje, że czuję się... i n a c z e j . Nawet tam, w majtkach, czuję się inaczej! Idźcie już sobie, oboje. Koniec z takim gadaniem o seksie. Idźcie do domu, do łóżka, ale tylko spanie, dobrze? Tylko SPANIE!

Kupiła już dom? - spytał Felipe, kiedy wyszliśmy od Wayan.

- Jeszcze nie. Ale mówi, że szuka.

- Minał już ponad miesiąc, jak dałaś jej pieniądze, prawda?

- Taa, ale to, co chciała, okazało się nie do kupienia...

- Bądź ostrożna, kochanie - powiedział Felipe. - Niech to się nie ciągnie zbyt długo.

Niech ta sytuacja nie stanie się zbyt balijska.

- Co to ma znaczyć?

- Nie zamierzam się wtrącać w twoje sprawy, ale mieszkam w tym kraju od pięciu lat i wiem, jak to jest. Niektóre sprawy lubią się tu komplikować. Czasami trudno się zorientować, o co tak naprawdę chodzi.

- Co próbujesz mi powiedzieć, Felipe? - spytałam, a kiedy nie odpowiedział mi od razu, zacytowałam mu jedno z jego powiedzonek: - Jak będziesz mówić powoli, to szybko zrozumiem.

- Próbuję ci powiedzieć, Liz, że twoi przyjaciele zebrali kupę forsy dla tej kobiety i teraz ta forsa tkwi na rachunku bankowym Wayan. Dopilnuj, żeby kupiła za nią dom.

Nadeszła druga połowa lipca, a z nią moje trzydzieste piąte urodziny. Wayan wydała dla mnie przyjęcie urodzinowe, zupełnie niepodobne do tych, jakie miałam do tej pory. Wystroiła mnie w tradycyjny balijski urodzinowy kostium - jaskrawofioletowy sarong, gorsecik bez ramiączek i długi prostokąt złotej tkaniny, który owinęła tak ciasno wokół mojego torsu, że ledwo mogłam w tym futerale oddychać, a co dopiero zjeść kawałek mojego urodzinowego tortu. Kiedy za pomocą tego kunsztownego kostiumu w swoim maleńkim ciemnym pokoju (zapchanym rzeczami trzech innych istot ludzkich, które tam z nią mieszkały) robiła ze mnie mumię, spytała, nie bardzo patrząc na mnie:

- Masz plan na małżeństwo z Felipe?

- Nie - odparłam. - Nie mamy planów małżeńskich. Nie chcę już więcej mężów, Wayan. I nie sądzę, by Felipe chciał żony. Ale dobrze mi z nim.

- Przystojnego na zewnątrz łatwo znaleźć, ale przystojnego na zewnątrz i przystojnego w środku... to nie jest łatwe. A Felipe to ma.

Przyznałam jej rację. Uśmiechnęła się.

- I kto sprowadza ci tego dobrego człowieka, Liz? Kto codziennie się o niego modlił?

Ucałowałam ją.

- Dzięki, Wayan. Wykonałaś świetną robotę.

Zaczął się urodzinowe przyjęcie. Wayan z dziewczynkami udekorowała cały ośrodek balonikami, liśćmi palmowymi i ręcznie wykonanymi skomplikowanymi napisami w rodzaju: „Z okazji urodzin wszystkiego najlepszego dobremu i słodkiemu sercu, tobie, nasza najdroższa siostrze, naszej ukochanej Pani Elizabeth, Wszystkiego Najlepszego, spokoju zawsze dla ciebie i Wszystkiego Najlepszego”. Dzieci brata Wayan są utalentowanymi tancerzami, biorą udział w świątynnych ceremoniach, a teraz zatańczyły dla mnie - chłopcy i dziewczyny - dając niezwykle, wspaniałe przedstawienie, jakie zazwyczaj oglądają jedynie kapłani. Wszystkie dzieci odziane były na złoto, miały wielkie ozdoby na głowach, twarze wymalowane ostro, jak miewają transwestyci na scenie, energicznie przytupywały i wdzięcznie poruszały delikatnymi paluszkami.

Balijskie przyjęcia na ogół polegają na tym, że ich uczestnicy ubierają się w to, co mają najlepszego, potem siadają kręgiem i wpatrują się jedni w drugich. Przypominają pod tym względem przyjęcia w redakcjach nowojorskich czasopism. („Mój Boże, kochanie - jęknął Felipe, kiedy powiedziałam mu, że Wayan urządza dla mnie typowo balijskie przyjęcie - to będzie takie nudne...”). Jednak nie było nudne, chociaż... takie spokojne. I inne. Wszyscy byli wystrojeni i była ta część artystyczna, a potem siedzieliśmy i przyglądaliśmy się sobie wzajemnie, co okazało się wcale nie takie złe. Goście rzeczywiście wyglądali ślicznie. Przyszła cała rodzina Wayan, wszyscy uśmiechali się do mnie i machali z odległości czterech stóp i ja też uśmiechałam się do nich i machałam.

Zdmuchnęłam świece na urodzinowym torcie wspólnie z Małą Ketut, tą mniejszą sierotką, której urodziny, o czym zdecydowałam kilka tygodni wcześniej, od tej pory też będą przypadły osiemnastego lipca. Nigdy dotąd nie miała urodzin ani urodzinowego przyjęcia i teraz obchodzić je będzie ze mną. Kiedy świece zostały zdmuchnięte, Felipe wręczył Małej Ketut lalkę Barbie, którą dziewczynka odpakowywała w nabożnym skupieniu,

a potem wpatrywała się w nią, jakby była biletem na Jowisza... czymś, czego posiadania na własność i w siedem miliardów lat nie potrafiłaby sobie wyobrazić.

Wszystko w tym przyjęciu było na swój sposób dziwne. Goście tworzyli osobliwą mieszankę nacji i generacji, na którą złożyła się garstka moich przyjaciół, rodzina Wayan oraz niektórzy spośród jej zachodnich klientów i pacjentów, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Yudhi przyniósł mi w prezencie sześciopak piwa, wpadł też ten oblatany, młody scenarzysta z Los Angeles o imieniu Adam. Poznaliśmy z Felipe Adama dwa dni wcześniej w barze i zaprosiliśmy go. Adam i Yudhi dla zabicia czasu rozmawiali z chłopczykiem imieniem John, którego matka, Niemka, projektantka mody, żona mieszkającego na Bali Amerykanina, jest pacjentką Wayan. Mały John - który ma siedem lat i jest w pewnym sensie Amerykaninem, jak to ujmuję, z racji tego, że jego tata jest Amerykaninem (choć on sam nigdy w Stanach nie był), i który mówi z matką po niemiecku, a po indonezyjsku z dziećmi Wayan - był dosłownie zafascynowany Adamem, kiedy dowiedział się, że ten pochodzi z Kalifornii i potrafi surfować.

- Jakie jest pana ulubione zwierzę? - chciał wiedzieć.

- Pelikan - odparł Adam.

- Co to jest pelikan? - spytał chłopczyk, a Yudhi natychmiast zareagował:

- Ziomal, nie wiesz, co to takiego pelikan? Jak wrócisz do domu, spytaj o to swojego tatę. Pelikany są super, ziom.

Potem John, w pewnym sensie Amerykanin, odwrócił się, żeby powiedzieć coś po indonezyjsku do Tutti (pewnie spytać, co to takiego pelikan), siedzącej na kolanach Felipe i próbującej odczytać moje urodzinowe kartki, podczas gdy Felipe rozmawiał piękną francuszczyzną z emerytowanym dżentelmenem z Paryża, który przychodzi do Wayan leczyć nerki. Tymczasem Wayan włączyła radio i Kenny Rogers zaśpiewał *Coward of the County* i wtedy trzy młode Japonki przypadkiem zajrzały do ośrodka z myślą o masażu leczniczym. Kiedy ja namawiałam te trzy Japoneczki na spróbowanie mojego urodzinowego tortu, nasze dwie sierotki - Duża Ketut i Mała Ketut - przyozdabiały moje włosy ogromnymi mieniącymi się klamrami, na których zakup wydały całe swoje oszczędności. Bratanice i bratankowie Wayan, ci mali świątynni tancerze, których rodzice uprawiali ryż, siedzieli nieruchomo, spowici w złoto niczym miniaturowe bóstwa i z niepewnymi minami wpatrywali się w podłogę, wprowadzając osobliwy nieziemski nastrój pobożności. Na dworze zaczęły pisać koguty, chociaż nie nadszedł jeszcze wieczór, nawet się nie zmierzchało. W swoim tradycyjnym balijskim stroju czułam się jak w żarliwym uścisku i myślałam sobie, że to najdziwniejsze - ale może i najszcześniejsze - przyjęcie urodzinowe w całym moim życiu.

Wayan ciągle jeszcze nie kupiła domu i zaczynam się zamartwiać, że nic się w tej sprawie nie dzieje. Nie pojmuję, dlaczego to się tak ciągnie, przecież koniecznie musi do tego zakupu dojść. Razem z Felipe wkroczyliśmy w tę sprawę. Znaleźliśmy pośrednika handlu nieruchomościami, który obwiał nas po okolicy i pokazał wszystko, co było na sprzedaż, ale Wayan nic się nie podobało.

- Wayan, to ważne, żebyśmy coś kupili - powtarzałam. - Wyjeżdżam we wrześniu i przedtem muszę zawiadomić moich przyjaciół, że ich pieniądze rzeczywiście zostały wykorzystane na kupno domu dla ciebie. A ty musisz mieć dach nad głową, zanim cię stąd eksmitują.

- Nie tak prosto kupić ziemię na Bali - odpowiadała mi za każdym razem. - To nie tak jak wejść do baru i kupić piwo. Może zabrać dużo czasu.

- Nie mamy dużo czasu, Wayan.

Wzrusza ramionami, a mnie się przypomina balijska koncepcja „gumowego czasu”, która oznacza, że jest on pojęciem bardzo względnym i elastycznym. „Cztery tygodnie” dla Wayan to nie to samo co dla mnie. Dla niej jedna doba też niekoniecznie składa się z dwudziestu czterech godzin; czasami jest dłuższa, czasami krótsza, w zależności od duchowej i emocjonalnej aury danego dnia. To tak jak z moim szamanem i jego tajemniczym wiekiem, czasami dni się liczy, czasami się je waży.

Okazuje się w międzyczasie, że nie do końca przewidziałam, ile może kosztować kupienie jakiejś działki lub domu na Bali. Ponieważ wszystko jest tutaj takie tanie, człowiek zakłada, że ziemia też jest tania, ale to błędne założenie. Ziemia na Bali - szczególnie w Ubud - może być taka droga jak w Westchester County, w Tokio czy na Rodeo Drive. Nie ma w tym żadnej logiki, bo jak się już kupi tę ziemię, to i tak nie znajdzie się żadnego tradycyjnie rozumianego logicznego sposobu, żeby pieniądze, choć w części się zwróciły. Można zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za *aro* gruntu (*aro* jest miarą powierzchni, którą można z grubsza przełożyć na angielski jako: „Odrobinę większa niż miejsce parkingowe dla samochodu terenowego”), potem można postawić tam mały sklepik, gdzie przez resztę życia będzie się sprzedawać jeden batikowy sarong dziennie jednemu turyście, osiągając około siedemdziesięciu pięciu centów zysku. Bez sensu.

Balijscy cenią sobie jednak swoją ziemię z pasją, która daleko wykracza poza sens ekonomiczny. Ponieważ tradycyjnie już ziemia jest jedynym dobrem, którego posiadanie Balijscy uznają za prawnie usankcjonowane, cenią ją sobie podobnie jak Masajowie bydło lub jak moja pięcioletnia siostrzenica błyszczak do ust: po prostu nigdy nie jest tego dość, a jak już się do tego dorwałeś, nie wolno ci tego wypuścić z rąk, a wszystko, co jest z tym związane, słusznie ci się należy.

Co więcej - jak odkryłam w sierpniu, w swojej przypominającej wędrówki po Narnii podróży po zawiłościach indonezyjskiego rynku nieruchomości - dowiedzenie się, kto chce sprzedać jakiś kawałek ziemi, graniczy z cudem. Balijscy starają się ukryć fakt, że mają grunt na sprzedaż. Człowiek by myślał, że korzystnie byłoby rozpowiedzieć o tym dookoła, ale Balijscy widzą to inaczej. Jeśli jesteś balijskim rolnikiem i sprzedajesz swoją ziemię, oznacza to, że rozpaczliwie potrzebujesz gotówki, a to jest upokarzające. Poza tym, jeśli sąsiedzi i rodzina dowiedzą się, że sprzedałeś kawałek gruntu, założą, że masz pieniądze, i wszyscy będą prosić o pożyczkę. Zatem o ziemi na sprzedaż można się dowiedzieć jedynie... z pogłosek. I wszystkich tych transakcji dokonuje się potajemnie i podstępnie.

Zachodni ekspatrianci mieszkający tutaj, usłyszawszy, że usiłuję kupić dla Wayan działkę, zaczęli się gromadzić wokół mnie i częstować historyjkami na temat swoich koszmarnych doświadczeń. Ostrzegają, że nigdy nie można być pewnym, jaki jest status prawny nieruchomości na tym terenie. Ziemia, jaką się „kupi”, może w rzeczywistości nie „należać” do osoby, która ją „sprzedaje”. Gość, który ci ją pokazywał, może wcale nie być właścicielem, ale tylko zawiedzionym niezadowolonym bratankiem właściciela, z powodu jakichś zadawnionych rodzinnych sporów próbującym wywinąć wujowi numer. Nie oczekuj, że granice twojej posiadłości będą jasno i jednoznacznie określone. Grunt, jaki kupujesz pod swój wyśniony dom, może być później uznany za „położony zbyt blisko świątyni”, żebyś mogła uzyskać pozwolenie na budowę (a niełatwo jest w tej małej krainie, gdzie liczbę świątyń szacuje się na jakieś dwadzieścia tysięcy, znaleźć miejsce, które nie byłoby zbyt blisko świątyni).

Trzeba też koniecznie uwzględnić fakt, że prawdopodobnie będzie się mieszkało na zboczu wulkanu, a może i okrakiem na uskoku geologicznym. I nie chodzi tylko o uskoku geologiczny. Przy całej idyllicznej urodzie Bali mądrzy ludzie nie zapominają, że jest to przecież Indonezja - największe na świecie państwo islamskie, niestabilne w samym swoim jądrze, przeżarte korupcją, poczynając od ministerstwa sprawiedliwości aż do samego dołu, do tego faceta, który nalewa ci benzynę do baku (i który tylko udaje, że tankuje do pełna).

Tutaj w każdej chwili można się spodziewać jakiejś rewolucji, a wtedy zwycięzcy mogą zgłosić prawa do wszelkiej własności. Prawdopodobnie trzymając cię na muszce.

Nie mam najmniejszych kwalifikacji, które pozwoliłyby mi na jakiegokolwiek manewry w tym śliskim biznesie. Chcę przez to powiedzieć, że przeszłam, co prawda, procedury rozwodowe w stanie Nowy Jork i w ogóle, ale to tutaj, to już zupełnie inna strona z Kafki. Tymczasem osiemnaście tysięcy dolarów, pieniądze zebrane przeze mnie, moją rodzinę, bliskich, przyjaciół, znajomych i nieznajomych, tkwi na rachunku bankowym Wayan, zamienione na indonezyjskie rupie - walutę, której zdarzało się ni stąd, ni zowąd tracić na wartości i wyparowywać bez śladu. A Wayan we wrześniu czeka eksmisja, mniej więcej w tym czasie, kiedy będę stąd wyjeżdżać, czyli za jakieś trzy tygodnie.

Znalezienie kawałka ziemi, który mogłaby uważać za odpowiedni na swój dom, okazuje się dla Wayan zadaniem niewykonalnym. Bo oprócz wszystkich aspektów praktycznych, musi ona zbadać *taksu* - ducha - każdego z tych oglądanych miejsc. A jest oczywiste, że w przypadku uzdrowicielki takiej jak Wayan wyczulenie na *taksu*, nawet uwzględniając balijskie standardy, jest niesamowicie ostre. Znalazłam jedno miejsce, które wydawało mi się idealne, ale Wayan powiedziała, że jest opanowane przez gniewne demony. Następną kawałek ziemi odrzuciła, bo był za blisko rzeki, gdzie, jak wszyscy wiedzą, mieszkają duchy. (W nocy, po dniu, w którym go oglądała, mówi Wayan, śniła jej się piękna zapłakana kobieta w łachmanach, co przesądziło... nie mogliśmy kupić tej ziemi.). Potem znaleźliśmy uroczy domek pod miastem, z podwórkiem i w ogóle, ale stał na rogu, a tylko ktoś, kto chce zbankrutować i młodo umrzeć, brałby pod uwagę zamieszkanie w domu usytuowanym na rogu. O tym przecież wiedzą wszyscy.

- Nawet nie próbuj jej przekonywać - poradził mi Felipe. - Zaufaj mi, kochanie. Nigdy nie pchaj się pomiędzy Balijszczyków i ich *taksu*.

W ostatnim tygodniu Felipe znalazł miejsce, które idealnie spełniało wszystkie kryteria - niewielka, śliczna posesja, blisko centrum Ubud, przy cichej uliczce, w pobliżu pola ryżowego, z miejscem na spory ogródek, na dodatek mieszcząca się bez trudu w budżecie.

- Kupujemy? - spytałam Wayan.

- Jeszcze nie wiem, Liz. Nie trzeba pośpiechu przy takich decyzjach. Muszę porozmawiać z kapłanem.

Wyjaśniła, że kapłan musi wskazać pomyślny dzień na dokonanie zakupu, jeśli w ogóle ona będzie kupować. Bo na Bali nie można zrobić nic ważnego, nim się wybierze pomyślny dzień. A przecież nie może prosić kapłana o ustalenie takiej daty, jeśli jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji, że naprawdę chce tam zamieszkać. A decyzji takiej nie podejmie,

dopóki nie nawiedzi jej dobrze wróżący sen. Świadoma uciekających szybko dni, spytałam Wayan, jak przystało na prawdziwą nowojorczankę:

- Ile czasu zajmie ci załatwienie sobie takiego snu? Odpowiedziała, jak przystoi dobrej Balijsce:

- Tego nie można przyspieszyć. - Chociaż, zastanawiała się na głos, mogłoby pomóc, gdyby udała się do którejś z głównych świątyń na Bali z ofiarą i pomodliła się tam do bogów, żeby sprowadzili na nią dobry sen...

- W porządku - powiedziałam. - Jutro Felipe zawiezie cię do takiej ważnej świątyni, złożysz ofiarę i poprosisz bogów, żeby sprowadzili na ciebie dobrze wróżący sen.

Byłaby zachwycona, oznajmiła. Wspaniały pomysł. Jest tylko jeden problem. Przez cały ten tydzień nie wolno jej wchodzić do świątyni.

Bo... ma miesięczkę.

104

Może nie potrafię przekazać, jakie to wszystko jest zabawne. Naprawdę, to rzeczywiście dziwaczna i dająca zadowolenie zabawa, kiedy człowiek usiłuje to wszystko rozgryźć. A może ja dlatego czerpię taką radość z tego surrealistycznego momentu w moim życiu, że przypadkowo w tym samym czasie zaczynam się zakochiwać, a to zawsze powoduje, że świat wydaje się człowiekowi zachwycający, nieważne jak szalona jest rzeczywistość.

Zawsze lubiłam Felipe. Jednak w sposobie, w jaki podchodzi do Sagi o Domu Wayan, jest coś takiego, co z upływem sierpnia zbliża nas do siebie jak stare małżeństwo. Oczywiście to, co stanie się z tą oszałamiającą niczym narkotyk balijską szamanką, nie jest żadnym jego zmartwieniem. On jest biznesmenem. Udało mu się mieszkać na Bali przez pięć lat bez zbytniego wplątywania się w prywatne życie i złożone rytuały Balijszyków, a tutaj nagle brodzi ze mną przez błotniste pola ryżowe i usiłuje znaleźć kapłana, który podałby Wayan pomyslną datę...

- Było mi doskonale w tym moim nudnym życiu, zanim ty się pojawiłaś - powtarza.

Rzeczywiście, nudził się tu przedtem. Był ospały, zabijał czas niczym postać z powieści Grahama Greene'a.

Ta opieszałość skończyła się w momencie, w którym nas sobie przedstawiono. Teraz, kiedy już jesteśmy razem, poznaję wersję Felipe naszego pierwszego spotkania, tę smakowitą historyjkę, której nigdy nie mam dość - o tym, jak zobaczył mnie tamtego wieczoru na przyjęciu, stojącą plecami do niego, i że w ogóle nie musiałam odwracać głowy i pokazywać mu swojej twarzy, żeby gdzieś w głębi trzewi nabrał przekonania: „To jest moja kobieta, zrobię wszystko, żeby ją mieć”.

- I łatwo było cię dostać - mówi. - Wystarczyły tygodnie próśb i błagań.

- Nie prosiłeś i nie błagałeś.

- Nie zauważyłaś, jak prosiłem i błagałem?

Opowiada, jak to poszliśmy tańczyć tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, i jak obserwował moje zauroczenie tym intrygującym Walińczykiem, jak upadł na duchu, kiedy zobaczył, co się dzieje, i jak pomyślał sobie: „Tak się staram uwieść tę kobietę, a teraz ten młody przystojniak mi ją zabierze i bardzo skomplikuje moje życie... gdyby ona tylko wiedziała, ile miłości mógłbym jej zaoferować”.

Naprawdę może. Jest z natury opiekuńczy i czuję, jak krąży wokół mnie, jak stoję się jego jedynym celem, a on wczuwa się w rolę mojego rycerza. Felipe jest tego typu mężczyzną, który rozpaczliwie potrzebuje w życiu kobiety - nie po to jednak, by się nim zajmowała; wyłącznie po to, by miał się o kogo troszczyć, kogoś, komu mógłby się poświęcić. Żyjąc bez takiego związku od rozpadu małżeństwa, dryfował ostatnio trochę bez celu, teraz jednak układa swoje życie wokół mnie. To urocze być tak traktowaną. Jednocześnie mnie to przeraża. Czasem słyszę go na dole, jak przygotowuje mi kolację, a ja siedzę sobie na górze i czytam, on pogwizduje jakąś brazylijską sambę i woła: „Kochanie... jeszcze kieliszek wina?”, a ja zastanawiam się, czy potrafię być czyimś słońcem, czyimś wszystkim. Czy jestem dostatecznie wyśrodkowana, żeby być ośrodkiem czyjegoś życia? Kiedy jednak pewnego wieczoru zaczęłam mówić na ten temat, zapytał:

- Czy prosiłem cię, żebyś była tą osobą, kochanie? Prosiłem cię, żebyś była ośrodkiem mojego życia?

Natychmiast zawstydziłam się własnej próżności, założenia, że on pragnie, bym została przy nim na zawsze, by mógł spełniać moje kaprysy, aż do końca świata.

- Przepraszam - powiedziałam. - To było nieco aroganckie, prawda?

- Odrobinę - przyznał, po czym pocałował mnie w ucho. - Ale nie tak bardzo. Kochanie, oczywiście, że to jest coś, co musimy omówić, bo prawda wygląda tak... jestem w tobie do szaleństwa zakochany - oznajmił. Poczułam, że błędę, a on zmienił to w żart, starając się dodać mi pewności siebie. - Oczywiście w sensie absolutnie hipotetycznym. - Po

chwili jednak spoważniał. - Posłuchaj, mam pięćdziesiąt dwa lata. Uwierz mi, wiem już doskonale, jak funkcjonuje ten świat. Widzę, że nie kochasz mnie jeszcze tak jak ja ciebie, ale szczerze mówiąc, nie zależy mi na tym. Z jakiegoś powodu czuję to samo, co kiedyś, kiedy dzieci były małe... uważałem wtedy, że nie mają obowiązku mnie kochać, natomiast moim obowiązkiem jest je kochać. Możesz decydować o swoim uczuciu, jak zechcesz, ale ja cię kocham i nigdy nie przestanę. Nawet gdybyśmy mieli się już nigdy nie zobaczyć, ty już przywróciłaś mnie do życia, a to znaczy bardzo wiele. I oczywiście chciałbym dzielić z tobą życie. Jedyne problemy polegają na tym, że nie wiem, jakie życie mógłbym zaoferować ci na Bali.

To było też moje zmartwienie. Obserwowałam ekspatriancką społeczność w Ubud i wiem ze stuprocentową pewnością, że nie jest to życie dla mnie. Wszędzie widzi się te same postaci - ludzi Zachodu, których życie potraktowało podle i tak sponiewierało, że zrezygnowali z walki i postanowili bezterminowo założyć obóz tutaj, na Bali, gdzie za dwieście dolarów miesięcznie mogą mieszkać w cudownym domu, mieć przy sobie młodą Balijkę lub Balińczyka, gdzie mogą pić przed południem i nikt im nie będzie tego wytykał, gdzie mogą zarobić parę groszy, zajmując się eksportem mebli na indywidualne zamówienie. W sumie wszyscy oni robią tu jedno: pilnują, żeby niczego poważnego od nich nie wymagano. A zwróćcie proszę uwagę, że to nie żadne wałkonie. To ludzie na poziomie, kosmopolityczni, utalentowani i inteligentni. Odnoszę wrażenie, że każdy, kogo tutaj spotykam, był kiedyś kimś (na ogół „żonatym” albo „zatrudnionym”); ale teraz łączy ich wszystkich brak jednej rzeczy, z której kompletnie i na zawsze zrezygnowali: *a m b i c j i*. Nie trzeba już dodawać, że pije się tutaj dużo.

Naturalnie urocze miasteczko Ubud nie jest takim złym miejscem na przeczekanie reszty życia bez zwracania uwagi na upływający czas. Przypuszczam, że pod tym względem podobne jest do takich miejsc, jak Key West na Florydzie czy Oaxaca w Meksyku. Większość cudzoziemców w Ubud, kiedy ich spytać, od jak dawna tutaj mieszkają, nie jest tego pewna. Po pierwsze, nie wiedzą, ile czasu minęło, odkąd się tutaj znaleźli. Po drugie, nie są pewni, czy tu rzeczywiście mieszkają. Oni nie należą do żadnego miejsca, nigdzie nie są zakotwiczeni. Niektórzy lubią wyobrażać sobie, że zatrzymali się tutaj na krótką chwilę, że silnik pracuje na jałowym biegu, a oni stoją na światłach i czekają, aż się zmienią. Tyle że po siedemnastu latach człowiek zaczyna się zastanawiać... czy ktoś stąd w ogóle odjeżdża?

Można czerpać sporo przyjemności z ich leniwego towarzystwa podczas długich niedzielnych popołudni spędzanych wspólnie przy późnym śniadaniu połączonym z lunchem, na picciu szampana i gadaniu o niczym. Jednak czuję się w tym otoczeniu trochę jak Dorotka

na makowym polu Oz. *Bądź ostrożna. Nie zaśnij na tej narkotycznej łące, bo przepisz tutaj resztę życia!*

Co zatem stanie się ze mną i z Felipe, teraz, kiedy wydaje się, że istniejemy „ja i Felipe”? Powiedział mi niedawno:

- Czasami chciałbym, żebyś była zagubioną dziewczynką, a ja mógłbym przytulić cię i oświadczyć: „Zostań ze mną, a ja już zawsze się będę tobą opiekował”. Ale ty nie jesteś zagubioną dziewczynką. Masz pracę, ambicje. Jesteś doskonałym ślimakiem; dźwigasz swój dom na własnych plecach. Powinnaś trzymać się tej wolności jak najdłużej. Ja tylko mówię coś takiego... jeśli chcesz tego Brazylijczyka, możesz go mieć. Już jestem twój.

Nie jestem pewna, czego chcę. Wiem jednak, że jest we mnie ta cząstka, która zawsze chciała usłyszeć od mężczyzny: „Zawsze będę się tobą opiekował”, a nigdy wcześniej tego nie usłyszałam. W ciągu ostatnich kilku lat zrezygnowałam z szukania kogoś takiego, nauczyłam się wypowiadać to krzepiące zdanie sama do siebie, szczególnie w chwilach lęku. Ale usłyszeć je teraz od kogoś innego, od kogoś, kto mówi szczerze...

Myślałam o tym wszystkim ubiegłej nocy, kiedy Felipe zasnął, a ja zwinięta obok niego, zastanawiałam się, co z nami będzie. Jakie są potencjalne wersje przyszłości? Co z problemem dzielącej nas przestrzeni... gdzie mielibyśmy mieszkać? Nie można zapominać o różnicy wieku. Chociaż kiedy zadzwoniłam pewnego dnia do matki i powiedziałam, że poznałam naprawdę sympatycznego mężczyznę, tyle że - trzymaj się, mam, mocno - „on ma pięćdziesiąt dwa lata” - nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Powiedziała jedynie: „Cóż, mam dla ciebie wiadomość, Liz. Ty masz trzydzieści pięć”. (Celna uwaga, mam. Mam szczęście, że w ogóle kogoś poznałam, skoro sama jestem w tak zaawansowanym wieku.). Szczerze mówiąc, ta różnica wieku mnie też zupełnie nie przeszkadza. Nawet podoba mi się to, że Felipe jest o tyle ode mnie starszy. Uważam, że to seksowne. Powoduje, że czuję się trochę... jak Francuzka.

Co z nami będzie?

A w ogóle dlaczego się tym trapię?

Czyż nie wiem już wszystkiego na temat bezcelowości zgryzoty?

Tak więc po chwili przestałam o tym wszystkim myśleć i przytuliłam się do niego mocno. *Zakochuję się w tym mężczyźnie.* Potem zasnęłam i miałam dwa godne zapamiętania sny.

W pierwszym śnie moja guru powiadomiła mnie, że zamyka swoje aśramy i że nie będzie już więcej wykładać, nauczać ani publikować książek. Wygłosiła do swoich uczniów

ostatnią mowę, w której powiedziała: „Macie już dość nauk. Otrzymaliście wszystko, czego wam potrzeba, aby być wolnymi. Czas, byście poszli w świat i wiedli szczęśliwe życie”.

Drugi sen okazał się jeszcze bardziej dopingujący. Byłam z Felipe w niesamowitej nowojorskiej restauracji. Jedliśmy wspaniały posiłek złożony z jagnięcych kotlecików i karczochów, piliśmy wyśmienite wino, rozmawialiśmy i śmialiśmy się zadowoleni. Spojrzałam w głąb sali i zobaczyłam Swamidźiego, mistrza mojej guru, nieżyjącego od 1982 roku. Tamtej nocy w tej wytwornej nowojorskiej restauracji żył jednak. Jadł kolację z grupą przyjaciół i oni też chyba dobrze się bawili. Nasze spojrzenia spotkały się i Swamidźi z uśmiechem podniósł kieliszek, jakby chciał wznieść toast.

A potem jego usta poruszyły się bardzo wyraźnie i ten drobny indyjski guru, który prawie w ogóle nie znał angielskiego, wypowiedział do mnie bezgłośnie jedno słowo:

Przyjemności.

105

Dawno już nie widziałam Ketuta Liyera. Zaabsorbowana Felipe i walką o dom dla Wayan przestałam spędzać długie popołudnia ze starym szamanem na bezcelowych rozmowach o duchowości. Wpadałam do niego od czasu do czasu, żeby go pozdrowić i zostawić dla jego żony podarek w postaci owoców, ale od czerwca nie zdołałam poświęcić mu więcej czasu. Za każdym razem, kiedy próbuję go przeprosić za swoją nieobecność, wybucha śmiechem jak ktoś, komu już pokazano odpowiedzi na każdy test we wszechświecie, i mówi: - Wszystko idzie idealnie, Liss. Niemniej brakuje mi staruszka, więc tego ranka wybrałam się, żeby dotrzeć do towarzystwa. Obrzucił mnie jak zawsze promiennym spojrzeniem:

- Bardzo się cieszę, że cię poznaję! - oświadczył.

(Nauka poszła w las).

- Cieszę się, że cię widzę, Ketut.

- Niedługo wyjeżdżasz, Liss?

- Tak, Ketut. Za niecałe dwa tygodnie. Dlatego przyszedłam. Chciałam ci podziękować za wszystko, co mi dałeś. Gdyby nie ty, nigdy bym nie przyjechała na Bali.

- Zawsze wracałaś na Bali - oświadczył spokojnie i bez cienia wątpliwości. - Nadal medytujesz z czterema braćmi, jak cię uczyłem?

- Tak.

- Nadal medytujesz, jak twoja guru w Indiach cię nauczyła?

- Tak.

- Masz jeszcze niedobre sny?

- Nie.

- Teraz ty szczęśliwa z Bóg?

- Bardzo.

- Kochasz nowy mężczyzna?

- Chyba tak. Tak.

- Więc musisz go psuć. A on musi psuć cię.

- Dobrze - obiecałam.

- Jesteś moja dobra przyjaciółka. Więcej od przyjaciółka. Jesteś jak moja córka - oświadczył. (*Nie jak Sharon...*). - Kiedy umrę, wrócisz na Bali, na moją kremację. Balijska ceremonia kremacji dobra zabawa... spodoba ci się.

- Dobrze - obiecałam raz jeszcze, teraz już ze ściśniętym gardłem.

- Niech sumienie będzie twój przewodnik. Jeśli twoi zachodni przyjaciele przyjadą na Bali, przyprowadź ich do mnie na wróżenie z ręką. Jestem bardzo pusty w banku od bomby. Chcesz iść dzisiaj ze mną na ceremonię z dzieckiem?

Tak więc wzięłam udział w uroczystości błogosławienia niemowlęcia, które skończyło sześć miesięcy i które przygotowano na pierwszy kontakt z ziemią. Balijscy nie pozwalają swoim dzieciom dotykać ziemi przez pierwsze sześć miesięcy życia, ponieważ noworodki uważane są za bogów przysłanych prosto z nieba, a przecież nie można pozwolić, by bóg raczkował po podłodze, gdzie walają się te wszystkie obcięte paznokcie i niedopałki papierosów. Dlatego balijskie dzieci przez sześć miesięcy cały czas się nosi i otacza szacunkiem jak pomniejsze bóstwa. Jeśli dziecko umrze przed osiągnięciem szóstego miesiąca życia, urządza się specjalną ceremonię kremacji, a prochów nie grzebie się na zwykłym cmentarzu, ponieważ ta istota nigdy nie była człowiekiem: była jedynie bogiem. Jeśli jednak niemowlę dożyje siódmego miesiąca, urządza się wielką ceremonię, pozwala mu się wreszcie dotknąć ziemi i przyjmuje je w poczet rasy ludzkiej.

Dzisiejsza uroczystość odbyła się w domu jednego z sąsiadów Ketuta. Mała dziewczynka miała już nadany przydomek, Putu. Jej rodzicami byli piękna kilkunastoletnia dziewczyna i równie piękny chłopak, który jest wnukiem mężczyzny, który jest kuzynem Ketuta lub kimś takim. Ketut włożył z tej okazji swoje najlepsze ubranie - biały satynowy sarong (przybrany złotem) i biały rozpinany żakiet ze złotymi guzikami, długimi rękawami i

stójką w stylu Nehru, przez co wyglądał trochę jak dworcowy tragarz albo pikolak z eleganckiej restauracji. Na głowie miał biały turban. Dłonie, co mi z dumą pokazał, ozdobił ogromnymi złotymi pierścieniami i pierścieniami z magicznymi kamieniami - w sumie siedem sztuk, a wszystkie obdarzone świętą mocą. Miał ze sobą błyszczący mosiężny dzwonek swojego dziadka służący do przyzywania duchów i chciał, żebym zrobiła mu dużo zdjęć.

Udaliśmy się do domu sąsiada razem. Mieliśmy do pokonania znaczną odległość i musieliśmy iść ruchliwą główną drogą. Byłam na Bali cztery miesiące i jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Ketut opuszczał swoje domostwo. Poczułam niepokój, kiedy zobaczyłam, jak mijają go rozpędzone auta i te szalejące motocykle. Był taki drobniutki i bezbronny. Nie pasował do tej nowoczesnej scenerii ruchliwej drogi i hałasu klaksonów. Nie wiem dlaczego, zbierało mi się na płacz, ale dzisiaj rzeczywiście wszystko budziło we mnie więcej emocji niż zazwyczaj.

Kiedy przybyliśmy do domu sąsiada, czekało tam już około czterdziestu gości i ołtarz rodzinny zasypany był ofiarami - stosy wyplecionych z liści palmowych koszy pełnych ryżu, kwiatów, kadzideł, pieczonych prosiąt, martwych gęsi i kur, kokosów i szeleszczących na wietrze banknotów. Wszyscy byli wystrojeni w swoje najlepsze jedwabie i koronki. Ja byłam nieodpowiednio ubrana, spocona po jeździe na rowerze, zakłopotana w swoim obszarpanym T-shircie pośród całego tego piękna. Powitano mnie jednak dokładnie tak, jakbyście mogli sobie tego życzyć, będąc białą dziewczyną, która przypałała się niestosownie odziana i niezaproszona. Zebrani uśmiechali się ciepło, a potem przestali zwracać na mnie uwagę i rozpoczęli tę część uroczystości, podczas której wszyscy zasiadają kręgiem i nawzajem podziwiają swoje stroje.

Ceremonia trwała wiele godzin, celebrował ją Ketut. Tylko antropolog z zespołem tłumaczy mógłby powiedzieć, co się wydarzyło, niemniej niektóre rytuały rozumiałam dzięki wyjaśnieniom Ketuta i książkom, które kiedyś przeczytałam. Podczas pierwszej rundy błogosławieństw dziecko trzymał ojciec, matka natomiast trzymała kukłę dziecka - orzech kokosowy opatulony tak, żeby wyglądał jak niemowlę. Orzech pobłogosławiono i pokropiono święconą wodą, potem położono na ziemi na moment przed tym, jak nóżki dziecka pierwszy raz jej dotknęły, po to, żeby zmylić demony, które zaatakują kukłę, pozostawiając w spokoju dziecko.

Zanim dziecko opuszczono na ziemię, były całe godziny monotonnego śpiewania. Ketut dzwonił dzwonkiem i śpiewał niekończące się mantry, a młodzi rodzice promienieli radością i dumą. Goście przychodzili i odchodzili, kręcili się, pogadali z tymi, z tamtymi,

obserwowali ceremonię przez jakiś czas, składali dary i odchodzili na inne spotkania. Działo się to wszystko w dziwnie swobodnej atmosferze mimo formalnego charakteru starodawnego obrzędu i przypominało nieskrępowane spotkania wiernych po nabożeństwie w Kościele anglikańskim. Mantry śpiewane dziecku przez Ketuta były urocze, brzmiały jak połączenie świętości z czułością. Matka trzymała małą na rękach, Ketut wymachiwał jej przed buzią co chwilę czymś innym, a to szczyptą potrawy, owocem, kwiatem, a także naczyniem z wodą, dzwoneczkami, skrzydełkiem upieczonego kurczaka, kawałkiem wieprzowiny, rozłupanym orzechem kokosowym... Za każdym razem coś do małej śpiewał. Dziecko śmiało się i klaskało w dłonie, Ketut też się śmiał i śpiewał dalej.

Wymyśliłam sobie własne tłumaczenie jego słów.

„Ooooo... dziecinko, to jest pieczony kurczak do jedzenia! Kiedyś bardzo polubisz pieczone kurczaki, a my mamy nadzieję, że będziesz ich miała mnóstwo! Ooooo... dziecinko, to garstka gotowanego ryżu, obyś miała zawsze tyle garści ryżu, ile zapragniesz, niech zawsze spada na ciebie deszcz ryżu. Ooooo... dziecinko, to jest orzech kokosa, czy to nie zabawne, jak on wygląda, kiedyś będziesz jadła mnóstwo orzechów kokosa! Ooooo... dziecinko, to twoja rodzina, widzisz, jak twoja rodzina cię uwielbia? Ooooo... dziecinko, jesteś bezcenna dla całego wszechświata! Jesteś uczennicą na piątkę z plusem! Jesteś naszym wspaniałym króliczkiem! Jesteś słodką kuleczką plasteliny! Ooooo... dziecinko, jesteś sułanką swingu, jesteś naszym wszystkim... „

Wszyscy wielokrotnie byli obsypywani płatkami kwiatów umoczonymi w święconej wodzie. Dziecko przechodziło z rąk do rąk wszystkich członków rodziny, którzy czule do niego przemawiali, podczas gdy Ketut śpiewał mantry. Nawet mnie, pomimo dzinsów, pozwolono potrzymać małą przez chwilę, a ja, kiedy inni śpiewali, pobłogosławiłam ją po swojemu. „Powodzenia - powiedziałam. - Bądź dzielna”. Było nieznośnie gorąco, nawet w cieniu. Młoda matka, ubrana w seksowny gorsecik pod przejrzystą koronką, pociła się. Młody ojciec, który zdawał się nie znać innego wyrazu twarzy jak szeroki dumny uśmiech, też się pocił. Różne babcie się wachlowały, męczyły, siadały, wstawały, kręciły przy ofiarnych prosiętach, odganiały psy. Wszyscy byli na zmianę zaciekawieni, niezainteresowani, zmęczeni, roześmiani, przejęci. Jednak Ketut i mała niezmiennie trwali zanurzeni w rytuale, nic nie odwracało ich uwagi. Przez cały czas dziecko nie odrywało oczu od starego szamana. Czy ktoś kiedyś słyszał o sześciomiesięcznym niemowlęciu, które nie płacze, nie marudzi i nie śpi, przez cztery godziny wystawione na gorące słońce, a tylko z zainteresowaniem się komuś przygląda?

Ketut dobrze wywiązał się ze swojego zadania, dziecko - ze swojego. Dziewczynka była w pełni obecna podczas swojej ceremonii przemiany z boga w człowieka. Cudownie wypełniała obowiązki, już była porządną balijską dziewczyną... zanurzoną w rytuałach, pewną swojej wiary, posłuszną wymogom kultury.

Na koniec tych wszystkich śpiewów dziewczynkę zawinięto w długi pas czystego białego płótna, które zwisało poniżej jej stópek, przez co wyglądała majestatycznie i królewsko... niczym wprowadzana w świat panna z arystokracji. Ketut wyrysował cztery kierunki wszechświata na dnie ceramicznej miski, napełnił ją święconą wodą i postawił na ziemi. Ten ręcznie wyrysowany kompas wyznaczał miejsce na ziemi, którego jako pierwszego dotkną stopy dziecka.

Potem cała rodzina otoczyła dziewczynkę, wyglądało to, jakby wszyscy trzymali ją jednocześnie i - *dalej! chlup!* - zanurzyli delikatnie stópki małej w misce pełnej święconej wody, bezpośrednio nad tym magicznym rysunkiem obejmującym cały wszechświat, a potem opuścili ją nóżkami na ziemię. Kiedy podnieśli ją z powrotem do góry, na ziemi pozostały dwa maleńkie wilgotne ślady - dziecko wreszcie umieszczono w wielkiej balijskiej sieci, wreszcie ustalono, kim jest, dzięki ustaleniu, gdzie się znajduje. Wszyscy zaklaskali w dłonie zachwyceni. Mała dziewczynka stała się teraz jedną z nas. Istotą ludzką... ze wszystkimi zagrożeniami i emocjami, jakie pociąga za sobą to kłopotliwe wcielenie.

Dziewczynka podniosła wzrok, rozejrzała się wokół, uśmiechnęła. Przestała być bogiem. Jednak najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Niczego się nie obawiała. Wyglądała na całkowicie zadowoloną z każdej decyzji, jaką kiedykolwiek podjęła.

106

Do transakcji nie doszło przez Wayan. Nie kupiła domu, który znalazł dla niej Felipe. Kiedy pytam Wayan, co było z nim nie tak, otrzymuję jakąś niejasną odpowiedź o zgubionym dokumencie własności; nie sądzę, by mówiła mi prawdę. W każdym razie do kupna nie dochodzi. Zaczynam się denerwować tą całą sytuacją. Próbuję jej wyjaśnić, dlaczego jest to dla mnie kwestią niecierpiącą zwłoki.

- Wayan... muszę wyjechać z Bali za niecałe dwa tygodnie i wrócić do Stanów. Nie mogę stanąć przed ludźmi, którzy dali mi te wszystkie pieniądze, i powiedzieć im, że nadal nie masz domu.

- Ale Liz, jeśli miejsce nie ma dobrego *taksu*...

Najwyraźniej każdy inaczej rozumie, co to jest kwestia niecierpiącą zwłoki.

Kilka dni później wpada jednak oszołomiona do domu Felipe. Znalazła inny kawałek ziemi i tym jest naprawdę zachwycona. Szmaragdowy spłacheć pola ryżowego przy spokojnej drodze, blisko miasta. Dobry *taksu* wprost bucha stamtąd. Wayan mówi, że grunt należy do pewnego rolnika, przyjaciela jej ojca, który rozpaczliwie potrzebuje gotówki. W sumie ma do sprzedania siedem aro, ale (ponieważ potrzebuje pilnie gotówki) skłonny jest sprzedać jej dwa aro, na które ją stać. Jest zachwycona tym kawałkiem ziemi. Ja jestem zachwycona. Felipe jest zachwycony. Tutti - z wyciągniętymi ramionami kręcąca na trawie piruety, mała balijska Julie Andrews - też jest zachwycona.

- Kupuj - mówię Wayan.

Mija kilka dni, a ona ciągle zwleka.

- Chcesz tam mieszkać czy nie? - pytam ją w kółko.

Zwleka jeszcze jakiś czas, po czym znowu zmienia historyjkę. Dziś rano, mówi, wpadł do niej ten rolnik i powiedział, że chyba nie może sprzedać jej tylko tych dwa aro; raczej będzie musiał sprzedać całe siedem aro... a problemem jest jego żona... Musi porozmawiać z nią, bo nie jest pewien, czy ona nie ma nic przeciwko podziałowi gruntu...

- Może jakbym miała więcej pieniędzy... - mówi Wayan.

Mój Boże, ona chce, żebym dała jej gotówkę na kupno całej tej ziemi. Kombinując w myślach, skąd mogłabym wziąć oszałamiającą sumę dodatkowych dwudziestu dwóch tysięcy dolarów, mówię do niej:

- Wayan, nic nie poradzę, nie mam tyle pieniędzy. Nie możesz się dogadać z tym rolnikiem?

Wtedy Wayan, która już przestała patrzeć mi prosto w oczy, snuje kolejną skomplikowaną historyjkę. Opowiada, że odwiedziła jakiegoś mistyka i ów mistyk wpadł w trans i powiedział, że Wayan koniecznie musi kupić całe siedem aro, jeśli ma mieć porządny ośrodek leczniczy... że to przeznaczenie... i, zresztą, ten mistyk powiedział też, że jeśli Wayan mogłaby kupić całą tę ziemię, to może kiedyś wybudowałaby tam ładny, elegancki hotelik...

Ładny, elegancki hotelik?

No tak.

Właśnie w tym momencie głuchnę i ptaki milkną i widzę, jak poruszają się usta Wayan, ale już jej w ogóle nie słucham, bo właśnie przysłała mi do głowy pewna myśl, zaświeciła jak wyraźny neon w moim mózgu: ONA ROBI CIĘ W KONIA, ŻAREŁKO.

Podnoszę się, mówię jej do widzenia, idę powoli do domu i bez owijania w bawełnę proszę o opinię Felipe.

- Czy ona robi mnie w konia?

Nigdy wcześniej nie czynił żadnych uwag na temat moich interesów z Wayan, ani razu.

- Kochanie - odpowiada mi teraz uprzejmie. - O c z y w i ś c i e , że robi cię w konia.

Moje serce z pląsnięciem opada w trzewia.

- Ale nie celowo - dodaje szybko. - Musisz zrozumieć balijski sposób myślenia. Próbowanie wydobywania od przyjezdnych jak największej ilości pieniędzy to dla tutejszych ludzi sposób na życie. Dzięki temu przeżywają. Więc ona zmyśla jakieś historyjki o tym rolniku. Kochanie, odkąd to Balijszyk musi rozmawiać ze swoją żoną, zanim dokona jakiejś transakcji? Posłuchaj... człowiekowi bardzo zależy, żeby jej sprzedać ten mały kawałek ziemi; już powiedział, że sprzeda. Ale ona teraz chce całości. I chce, żebyś to ty jej ją kupiła.

Wzdragam się przed przyjęciem tego do wiadomości z dwóch powodów. Przede wszystkim wolę nie wierzyć, że Wayan mogłaby tak postąpić. Po drugie, nie znoszę tych kulturowych implikacji, jakie kryją się za jego słowami, pachnie mi to podejściem białego kolonialisty, powtarzanym jak refren protekcjonalnym argumentem „tacy-to-oni-wszyscy-są”.

Felipe to jednak nie kolonialista; jest Brazylijczykiem.

- Posłuchaj, wychowałem się w południowoamerykańskiej biedzie - wyjaśnia. - Uważasz, że nie rozumiem kultury ubóstwa? Dałaś Wayan więcej pieniędzy, niż w życiu widziała, i ona teraz myśli gorączkowo. Jesteś nie tylko ofiarodawczynią, ale cudotwórczynią i wie, że to może być jej ostatnia szansa na cokolwiek w życiu. Więc chce uzyskać wszystko, co tylko się da, przed twoim wyjazdem. Na miłość boską... cztery miesiące temu ta biedna kobieta nie miała dość pieniędzy na lunch dla swojego dziecka, a teraz chce h o t e l u ?

- Co powinnam zrobić?

- Nie wpadaj w gniew, cokolwiek się stanie. Jeśli się rozgniewasz, stracisz ją, a byłaby szkoda, bo to cudowna osoba i szczerze cię kocha. Taka jest jej taktyka przetrwania, po prostu to zaakceptuj. Nie wolno ci pomyśleć, że Wayan nie jest dobrym człowiekiem ani że ona i jej dzieci tak naprawdę nie potrzebują twojej pomocy. Nie możesz jednak pozwolić, by cię wykorzystywała. Kochanie, tyle już razy to widziałem. Mieszkający tutaj długo ludzie Zachodu zazwyczaj ostatecznie dołączają do jednego z dwóch obozów. Połowa z nich wciąż

odgrywa turystów, mówiąc: „Och, ci uroczy Balińczycy, tacy słodcy, tak pełni wdzięku”... i daje się naciągać na całego. Pozostali, sfrustrowani tym, że się ich naciąga, zaczynają Balińczyków nienawidzić. A szkoda, bo wtedy tracą tych wszystkich cudownych przyjaciół.

- Ale co powinnam zrobić?

- Musisz odzyskać pewną kontrolę nad sytuacją. Odegraj przedstawienie tak, jak ona odgrywa przed tobą. Zagroź jej czymś, co da jej motywację do działania. Wyświadczysz jej przysługę; ona rzeczywiście potrzebuje domu.

- Nie chcę nic odgrywać, Felipe.

Całuje mnie w głowę.

- Więc nie możesz mieszkać na Bali, kochanie. Następnego ranka obmyślam plan. Nie mogę w to uwierzyć... oto ja, po roku kształcenia się w cnotach i po tych wszystkich usiłowaniach wyprostowania swojego zagmatwanego życia, zamierzam posłużyć się wierutnym kłamstwem. Zamierzam okłamać moją ulubioną osobę na Bali, kogoś, kto jest mi bliski jak siostra, kogoś, kto oczyścił mi nerki. Na miłość boską, zamierzam okłamać mamę Tutti!

Idę do miasta, wchodzę do ośrodka Wayan. Podbiega, żeby mnie uścisnąć. Odsuwam się, udaję, że jestem zdenerwowana.

- Wayan - mówię - musimy porozmawiać. Mam poważny problem.

- Z Felipe?

- Nie. Z tobą.

Wygląda, jakby miała zemdleć.

- Wayan - mówię - moi przyjaciele z Ameryki bardzo się na ciebie gniewają.

- Na mnie? Dlaczego, złotko?

- Bo cztery miesiące temu dali ci mnóstwo pieniędzy na kupno domu, a ty go jeszcze nie kupiłaś. Codziennie wysyłają e-maile, pytają mnie: „Gdzie ten dom Wayan? Gdzie są moje pieniądze?” Myślą teraz, że kradniesz ich pieniądze, wykorzystujesz je na coś innego.

- Ja nie kradnę!

- Wayan - mówię - moi przyjaciele z Ameryki uważają, że jesteś... kanciarą.

Zachłystuje się, jakbym jej przyłożyła w tchawicę. Wygląda na tak zranioną, że przeżywam moment wahania i niemal już ją obejmuję, żeby powiedzieć: „Nie, nie, to nieprawda! Zmyślam!” Ale nie, muszę doprowadzić to do końca. Jednak, Boże, ona jest teraz naprawdę wstrząśnięta. Angielskie słowo „kanciarz” jest mocniejsze niż inne osadzone w języku balijskim. To jeden z najgorszych epitetów, jakim można określić Balińczyka. W tej kulturze, gdzie ludzie kantują się wzajemnie kilka razy przed śniadaniem, gdzie kantowanie

jest sportem, sztuką, zwyczajem, rozpaczliwą taktyką służącą przetrwaniu, nazwanie kogoś bez ogródek kanciarzem jest czymś okropnym. Jest czymś takim, co w dawnej Europie musiałyby zakończyć się pojedynkiem.

- Złotko - mówi Wayan ze łzami w oczach - nie jestem kanciarą!

- Ja to wiem, Wayan. Dlatego jestem taka zdenerwowana. Tłumaczę swoim amerykańskim przyjaciółom, że Wayan nie jest kanciarą, ale oni mi nie wierzą.

Kładzie rękę na mojej dłoni.

- Przykro mi, złotko, że przeze mnie masz kłopoty.

- Wayan, to bardzo poważne kłopoty. Moi przyjaciele są rozgniewani. Mówią, że musisz kupić jakąś ziemię przed moim powrotem do Ameryki. Powiedzieli, że jeśli jej nie kupisz w przyszłym tygodniu, to mam... odebrać ci te pieniądze.

Nie wygląda, jakby miała zemdleć; ona wygląda, jakby zamierzała umrzeć. Czuję się jak najgorsza menda w historii, kiedy opowiadam swoją bajeczkę tej biednej kobiecie, która najwyraźniej kompletnie nie zdaje sobie sprawy, że mam mniej więcej takie same możliwości zabrać jej pieniądze z konta bankowego, jak odebrać indonezyjskie obywatelstwo. Skąd miałyby wiedzieć? Przecież to dzięki mnie pieniądze w jakiś magiczny sposób pojawiły się na jej koncie. Czyż nie mogę spowodować, żeby w ten sam sposób zniknęły?

- Złotko - mówi - wierz mi, zaraz znajduję ziemię, nie martw się, już znajduję kawałek ziemi. Proszę, nie martw się... może za trzy dni będzie koniec, obiecuję.

- Musisz to zrobić Wayan - mówię z wielką powagą, nie całkiem udawaną.

Bo faktem jest, że musi. Jej dzieciom potrzebny jest dom. Wkrótce mają ją eksmitować. To nie pora na kanty.

- Wracam teraz do Felipe - mówię. - Odezwij się, jak coś kupisz.

Po czym zostawiam moją przyjaciółkę i mimo pewności, że ona podaży za mną wzrokiem, nie odwracam się. Przez całą drogę do domu kieruję do Boga najdziwaczniejszą z modlitw: „Proszę, niech to będzie prawda, że ona mnie zwodziła”. Bo jeśli nie zwodziła, tylko rzeczywiście nie jest w stanie znaleźć sobie miejsca do zamieszkania, pomimo zastrzyku w postaci osiemnastu tysięcy dolarów, to mamy naprawdę ogromny kłopot i nie wiem, jak ta kobieta kiedykolwiek zdoła wydobyć się z biedy. Gdyby jednak mnie zwodziła, to paradoksalnie dawałoby to jakąś nadzieję. To by znaczyło, że jest zdolna do pewnych sztuczek i ostatecznie poradzi sobie w tym niepewnym świecie.

Wchodzę do domu Felipe, czuję się okropnie.

- Gdyby Wayan wiedziała, jak pokrętną snuję intrygę za jej plecami... - mówię.

- ... dla jej szczęścia i pomyślności - Felipe kończy za mnie zdanie.

Cztery godziny później - cztery nędzne godziny! - dzwoni telefon. To Wayan. Zdyszana. Chce mnie poinformować, że zadanie wykonane. Właśnie kupiła te dwa *aro* od rolnika (którego „żonie” nagle przestało przeszkadzać, że grunt zostanie podzielony). Jak się okazuje, nie były konieczne ani magiczne sny, ani interwencje kapłanów, ani sprawdzanie mocy *taksu*. Wayan ma już nawet w garści dowód własności! Poświadczony przez notariusza! A także, jak mnie zapewnia, zamówiła już materiały budowlane i na początku przyszłego tygodnia - jeszcze przed moim wyjazdem - robotnicy rozpoczną budowę domu. Tak że będę mogła to zobaczyć. Ma nadzieję, że się na nią nie gniewam. Chce, żebym wiedziała, że kocha mnie bardziej niż własne ciało, bardziej niż własne życie, bardziej niż cały ten świat.

Mówię, że też ją kocham. I że nie będę się mogła doczekać, kiedy zagoszczę w jej pięknym nowym domu. I że chciałabym kopię tego aktu własności.

- Grzeczna dziewczynka - mówi Felipe, kiedy odkładałam słuchawkę. Nie wiem, czy ma na myśli ją czy mnie. Tak czy inaczej, otwiera butelkę wina i wznosimy toast za pomyślność naszej drogiej przyjaciółki Wayan, balijskiej właścicielki ziemskiej. A potem Felipe pyta: - Czy teraz już możemy sobie zrobić wakacje?

107

Miejscem, które wybrałam na nasze wakacje, jest maleńka wysepka Gili Meno, usytuowana u wybrzeża Lombok, następnego przystanku na wschód od Bali w rozciągniętym na ogromnej przestrzeni indonezyjskim archipelagu. Byłam już wcześniej na Gili Meno i chciałam pokazać ją Felipe, który nigdy tej wysepki nie widział.

Dla mnie Gili Meno to jedno z najważniejszych miejsc na świecie. Przyjechałam tutaj sama dwa lata temu, kiedy pierwszy raz odwiedziłam Bali. Miałam tamto zlecenie, żeby napisać o wakacjach z jogą, i byłam właśnie po dwóch tygodniach takiego wzmacniającego kursu. Postanowiłam jednak przedłużyć swój pobyt w Indonezji, skoro już i tak byłam tutaj w Azji. A konkretnie chciałam znaleźć jakieś odległe miejsce, w którym mogłabym spędzić dziesięć dni w całkowitej samotności i ciszy.

Kiedy spoglądam wstecz, na te cztery lata, które minęły pomiędzy czasem, gdy moje małżeństwo zaczęło się rozpadać, i dniem, w którym wreszcie zakończył się proces rozwodowy, a ja odzyskałam wolność, widzę w nich kronikę ustawicznego bólu. Chwila, w

której przybyłam na tę maleńką wysepkę, była najgorszą w całej tej mrocznej podróży. Szczytem i jądrem tego bólu. Mój nieszczęsny umysł był polem bitwy skłóconych demonów. Kiedy postanowiłam spędzić dziesięć dni samotnie i w milczeniu, na kompletnym pustkowiu, powiedziałam wszystkim wojującym we mnie stronom to samo: „Teraz jesteśmy tu wszyscy razem, chłopcy, zupełnie sami. I musimy wypracować jakąś strategię, która pozwoli nam żyć, w przeciwnym bowiem razie wszyscy wcześniej czy później pomrzemy”.

Słowa te mogą brzmieć stanowczo i pewnie, w rzeczywistości jednak nigdy wcześniej w życiu nie byłam tak przerażona jak wtedy, kiedy płynęłam na tę wysepkę, żeby spędzić tam samotnie czas. Nie wzięłam ze sobą nawet żadnych książek, niczego, co by mnie rozpraszało. Tylko ja i mój umysł mieliśmy stanąć naprzeciw siebie na pustym polu. Pamiętam, że nogi trzęsły mi się ze strachu. Wtedy zacytowałam sobie swoje ulubione słowa mojej guru: „Strach... kogo on obchodzi?” i zesłam samotnie na ląd.

Za kilka dolarów dziennie wynajęłam domek na plaży, zamknęłam usta i przysięgłam sobie nie otwierać ich, dopóki coś się w moim wnętrzu nie zmieni. Gili Meno miała się stać świadkiem dotarcia do prawdy i nastania zgody. Wybrałam na to właściwe miejsce... to było oczywiste. Sama wyspa jest maleńka, nieskazitelnie czysta, piaszczysta, porośnięta palmami, otoczona błękitną wodą. Tworzy idealny okrąg, wokół którego prowadzi ścieżka, i można ją całą obejść w godzinę. Leży prawie dokładnie na równiku, więc długość dni i nocy jest niezmienna. Słońce wstaje z jednej strony wyspy około szóstej trzydzieści rano i zachodzi po drugiej stronie około szóstej trzydzieści wieczorem, każdego dnia przez cały rok. Mieszka tam garstka rybaków z rodzinami, sami muzułmanie. Nigdzie na wyspie nie ma takiego miejsca, z którego nie słychać oceanu. Nie ma tutaj żadnych pojazdów mechanicznych. Elektryczność wytwarzana jest przez generator uruchamiany tylko na kilka godzin wieczorem. To najspokojniejsze miejsce, jakie w życiu widziałam.

Okrażałam wyspę każdego dnia o świcie i ponownie o zmierzchu. Resztę czasu spędzałam, siedząc i przyglądając się. Przyglądałam się swoim myślom, emocjom, rybakom. Wielcy jogini twierdzą, że wszelki ból u człowieka wywołany jest słowami, podobnie jak wszelka radość. Tworzymy słowa, aby opisać nasze doświadczenia, a słowa te ciągną za sobą towarzyszące im emocje, które szarpią nami jak psy na smyczy. Dajemy się uwieść własnym mantrami (*jestem nieudacznikiem... jestem samotna... jestem nieudacznikiem... jestem samotna...*) i stajemy się ich pomnikami. Zamilknięcie na jakiś czas stanowi więc próbę odebrania słowom tej mocy, próbę zaprzestania dławienia się słowami, wyzwolenia się od tych naszych duszących mantr.

Zapadnięcie w prawdziwe milczenie zabrało mi trochę czasu. Nawet kiedy już przestałam mówić, odkryłam, że cały czas rozbrzmiewam słowami. Jeszcze długo po tym, jak przestałam wydawać dźwięki, moje mięśnie i organy mowy - mózg, gardło, klatka piersiowa, kark - wibrowały szczątkami mówienia. Głowa telepała się wypełniona pogłosem słów, podobnie jak kryty basen zdaje się rozbrzmiewać dźwiękami i okrzykami przedszkolaków jeszcze długo po tym, jak już sobie pójdą. Zaskakująco dużo czasu zabrało mi zatrzymanie tej pulsacji mowy, uspokojenie tego wirującego zgiełku. Chyba ze trzy dni.

Potem wszystko zaczęło się wynurzać. Nastanie ciszy zwolniło miejsce i przez opustoszały umysł przebiegało wszystko, co nienawistne, przerażające. Czułam się jak ćpun na detoksie, wstrząsała mną wydobywająca się trucizna. Mnóstwo płakałam. Mnóstwo się modliłam. Było to trudne i przerażające, ale jedno wiedziałam na pewno... nigdy nie pomyślałam, że nie chcę tam być, i nigdy nie chciałam, by ktokolwiek tam mi towarzyszył. Wiedziałam, że muszę to zrobić i że muszę zrobić to sama.

Oprócz mnie na wyspie było tylko kilka par turystów na romantycznych wakacjach. (Gili Meno jest zbyt ładnym i zbyt odległym miejscem, żeby ktoś poza autentycznym szaleńcem odwiedzał je samotnie.). Obserwowałam te pary z odrobiną zazdrości, powtarzałam sobie jednak: „To nie pora na towarzystwo, Liz. Masz inne zadanie”. Trzymałam się z dala od wszystkich. Ludzie zostawiali mnie w spokoju. Myślę, że musiałam roztaczać jakąś upiorną aurę. Przez cały rok czułam się źle. Nie można spędzić tylu bezsennych nocy, tak schudnąć, tak długo i rozpaczliwie zalewać się łzami i nie wyglądać jak psychotyczka. Nikt więc się do mnie nie odzywał.

Ścisłe mówiąc, nie jest to prawda. Była jedna osoba, która odzywała się do mnie, codziennie. Mały chłopiec, jeden z grupy takich, co to biegają w tę i z powrotem po plaży i starają się sprzedać turystom świeże owoce. Miał około dziewięciu lat i wydawał się ich przywódcą. Był twardy, zadziorny i nazwałabym go królem ulicy, gdyby ta wysepka miała jakąś ulicę. Był królem plaży, jak przypuszczam. Jakimś cudem nauczył się świetnie mówić po angielsku, pewnie nękając opalających się gości z Zachodu. I przypiął się do mnie. Nikt inny nie pytał, kim jestem, nikt nie zwracał mi głowy, ale ten nieustępliwy dzieciak w jakimś momencie dnia siadał obok mnie na plaży i pytał: „Dlaczego się w ogóle nie odzywasz? Dlaczego jesteś taka dziwna? Nie udawaj, że mnie nie słyszysz... wiem, że słyszysz. Dlaczego zawsze jesteś sama? Dlaczego nigdy nie idziesz sobie popływać? Gdzie twój chłopak? Dlaczego nie masz męża? Co jest z tobą nie tak?”

Przyjęłam postawę w stylu: *Odczep się, mały! Kim niby jesteś... zapisem moich najgorszych myśli?*

Codziennie starałam się uśmiechać do niego miło i odprawiać go uprzejmym gestem, ale on nie rezygnował, dopóki nie wyprowadził mnie z równowagi. I co nieuniknione, wyprowadzał. Pamiętam, jak raz wybuchłam: „Nie odzywam się, bo odbywam pieprzoną duchową podróż, ty mały, podły gnojku... a teraz spływaj!”

Pobiegł ze śmiechem. Za każdym razem, kiedy udawało mu się uzyskać jakąś moją reakcję, odbiegał ze śmiechem. Ostatecznie ja też się śmiałam, kiedy już zniknął mi z pola widzenia. Bałam się tego nieznośnego chłopaka i jednocześnie tęskniłam za jego obecnością. Stanowił jedyny zabawny przystanek w tej naprawdę ciężkiej jeździe. Święty Antoni napisał kiedyś o tym, jak udał się samotnie na pustynię, gdzie zaatakowały go wszelkiego rodzaju wizje - diabły i anioły, jedne i drugie. Mówił, że w swojej samotności czasami spotykał diabły, które wyglądały jak anioły, a kiedy indziej anioły, które wyglądały jak diabły. Kiedy spytano, po czym je rozpoznawał, święty odparł, że można je rozpoznać jedynie po tym, jak się czujesz, kiedy taka istota cię opuści. Jeśli jesteś przerażony, oświadczył, to znaczy, że odwiedził cię diabeł. Jeśli czujesz się lekko, to był anioł.

Myślę, że wiem, kim był ten mały łobuziak, który zawsze potrafił doprowadzić mnie do śmiechu.

Dziewiątego dnia milczenia, wieczorem na plaży, o zachodzie słońca, rozpoczęłam medytację, którą zakończyłam dopiero po północy. Pamiętam, że pomyślałam sobie: „Pora już, Liz”. Zwróciłam się do swojego umysłu: „To twoja szansa. Pokaż mi, co powoduje twoje przygnębienie. Niech zobaczę wszystko. Niczego nie zatajaj”. Smutne myśli i wspomnienia smutku po kolei podnosiły ręce, wstawały, żeby wyjawić swoją tożsamość. Patrzyłam na każdą myśl, na każdy pojedynczy przypadek smutku, przyjmowałam do wiadomości jego istnienie i odczuwałam (nie próbując się przed nim chronić) jego straszny ból. I wtedy mówiłam temu smutkowi: „Wszystko w porządku, kocham cię. Uznaję cię. Wejź teraz do mojego serca. Już po wszystkim”. I czułam, jak ten smutek (jakby był żywą istotą) wkracza do mojego serca (jakby było pomieszczeniem). Potem mówiłam: „Następny?” i wynurzał się kolejny strzęp bólu. Przyglądałam mu się, doświadczałam go, błogosławiłam i również zapraszałam do swojego serca. Robiłam tak z każdą żalną myślą, jaką kiedykolwiek miałam - sięgając wstecz w całe lata pamięci - aż nie pozostało nic.

Potem powiedziałam do swojego umysłu: „Pokaż mi teraz złość”. Jeden po drugim ujawniały się kolejne przypadki gniewu z mojego życia. Każda niesprawiedliwość, każda zdrada, każda strata, każda wściekłość. Zobaczyłam je wszystkie i przyjąłam do wiadomości ich istnienie. W pełni odczuwałam każdy przypadek złości, jakby zdarzyły się pierwszy raz, a potem mówiłam: „Wejź teraz do mojego serca. Odpoczniesz tam. Już jest bezpiecznie. Już

po wszystkim. Kocham cię”. Przez wiele godzin trwałam zawieszona pomiędzy tymi potężnymi biegunami przeciwstawnych uczuć... przez jeden wstrząsający moment dogłębnie doświadczając gniewu, a potem całkowitego spokoju, kiedy gniew wchodził do mojego serca jak przez drzwi, układał się tam obok swoich braci i rezygnował z walki.

Potem przyszła ta najtrudniejsza część. „Pokaż mi to, czego się wstydzisz”, poprosiłam swój umysł. Drogi Boże, jakie okropności zobaczyłam. Żalną procesję wszystkich swoich klęsk, kłamstw, swojego egoizmu, zazdrości, arogancji. Nie cofnęłam się jednak przed niczym. „Pokaż, co masz najgorszego”, powiedziałam. Kiedy próbowałam zaprosić do serca wszystkie te wstydlive wydarzenia, wahały się przy wejściu, mówiąc: „Nie... nie, m n i e tam nie potrzebujesz... przecież wiesz, co zrobiłem”, a ja powtarzałam: „Naprawdę cię chcę. Nawet ciebie. Naprawdę. Nawet ty jesteś tutaj mile widziany. Wszystko w porządku. Zostało ci wybaczone. Jesteś częścią mnie. Możesz teraz odpocząć. Już po wszystkim”.

Kiedy to się skończyło, byłam kompletnie pusta. W moim umyśle nie walczyło już nic. Wejrzałam w swoje dobrotliwe serce i zobaczyłam, jak jest pojemne. Przekonałam się, że jest jeszcze mnóstwo miejsca, mimo że przyjął do jego wnętrza tych wszystkich fatalnych urwisów w postaci smutku, złości i wstydu; moje serce bez trudu mogło przyjąć ich jeszcze więcej i im przebaczyć. Jego miłość była nieskończona.

Wtedy zrozumiałam, że tak właśnie Bóg kocha i przyjmuje nas wszystkich i że we wszechświecie nie istnieje nic takiego jak piekło, chyba że w naszych przerażonych umysłach. Bo przecież jeśli nawet jedna złamana i ograniczona istota ludzka mogła doświadczyć choćby jednego takiego przypadku bezwzględnego wybaczenia i akceptacji samej siebie, to wyobraźcie sobie - tylko sobie wyobraźcie! - jak wiele Bóg, w swoim wiecznym współczuciu, może przebaczyć i zaakceptować.

Wiedziałam też, że ta chwila wytchnienia nie będzie trwała wiecznie. To jeszcze nie był koniec i mój gniew, smutek i wstyd podkradną się niepostrzeżenie z powrotem, uciekną z serca i ponownie zajmą mi głowę. Wiedziałam, że znów będę musiała radzić sobie z tymi myślami, dopóki powoli i z determinacją nie zmienię całego swojego życia. I byłam przekonana, że będzie to zadanie trudne i wyczerpujące. Niemniej w mroku i ciszy tej plaży moje serce powiedziało do umysłu: „Kocham cię, nigdy cię nie opuszczę, zawsze będę się tobą opiekować”. Ta obietnica popłynęła z mojego serca do ust, gdzie ją przytrzymałam i smakowałam, wracając z plaży do mojego małego domku. Tam wzięłam pusty notes, otworzyłam go na pierwszej stronie... i dopiero wtedy otworzyłam usta i wypowiedziałam te

słowa na głos, uwolniłam je. Pozwoliłam, by przerwały moje milczenie, a potem pozwoliłam, by ołówek przeniósł ich kolosalną treść na papier.

„Kocham cię, nigdy cię nie opuszczę, zawsze będę się tobą opiekować”.

Były to pierwsze słowa, jakie zapisałam w tym moim osobistym notatniku, który od tamtej chwili zawsze nosiłam przy sobie i wielokrotnie zwracałam się do niego w ciągu następnych dwóch lat, zawsze z prośbą o pomoc... i zawsze ją znajdowałam, nawet kiedy byłam potwornie smutna lub zalękniona. Mówiąc prosto, tylko dzięki temu przesiąkniętemu obietnicą miłości notesowi przetrwałam następne kilka lat.

108

A teraz wracam na Gili Meno w całkowicie odmiennych okolicznościach. Od ostatniego pobytu na tej wysepce okrążyłam świat, sfinalizowałam rozwód, przeżyłam ostateczne rozstanie z Davidem, pozbyłam się z organizmu resztek zmieniających nastrój leków, nauczyłam się nowego języka, w Indiach spędziłam kilka niezapomnianych chwil na dłoni Boga, pobierałam nauki u indonezyjskiego szamana i kupiłam dom dla balijskiej rodziny, która bardzo potrzebowała miejsca do życia. Jestem szczęśliwa, zdrowa i zrównowazona. A tak, trudno nie zauważyć, że płynę na tę piękną tropikalną wyspę ze swoim brazylijskim ukochanym. Co jest - przyznaję! - niemalże niedorzecznie baśniowym zakończeniem tej historii, jak z marzeń gospodyni domowej. (Może nawet z moich własnych marzeń sprzed wielu lat.). Tym, co powstrzymuje mnie przed roztopieniem się w całkowicie baśniowym mirażu, jest konkretny fakt, który w ciągu kilku ostatnich lat pozwolił mi „wzmocnić kości”... to nie żaden ksiądz mnie uratował; ratunek zorganizowałam sobie sama.

Moje myśli kierują się ku jednemu z wierzeń buddystów zen. Według niego dąb powołują do życia dwie siły jednocześnie. Jest, co oczywiste, żołądź, od którego to wszystko się zaczyna, załazek, który zawiera w sobie całą obietnicę i cały potencjał wyrastający w drzewo. Wszyscy to widzą. Niewielu jest jednak w stanie rozpoznać inną działającą tam siłę - samo przyszłe drzewo, które tak bardzo chce powstać, że zmusza żołądź do zaistnienia, swoim pragnieniem wyciągając młodą roślinkę z pustki, kierując ewolucją od nicości do dojrzałości. W tym sensie, mówią mędrcy zen, to właśnie drzewo dębu stwarza żołądź, z którego się narodziło.

Myślę o tej kobiecie, jaką się ostatnio stałam, o życiu, jakie teraz prowadzę, i o tym, jak bardzo zawsze chciałam być tą osobą i wieść to życie, wyzwolona z farsy udawania, że jestem kimś innym niż tylko sobą. Myślę o tym wszystkim, co musiałam znieść, zanim dotarłam tutaj, i zastanawiam się, czy to ja - to znaczy ta szczęśliwa i zrównoważona ja, drzemiąca teraz na pokładzie tej małej indonezyjskiej łodzi rybackiej - przez te wszystkie ciężkie lata ciągnęła tę drugą, młodszą, bardziej zdezorientowaną i szamocącą się. Ta młodsza ja była tym pełnym możliwości żołędziem, jednak to ta starsza ja, ten istniejący już dąb, powtarzała przez cały czas: „Tak... rośnij! Zmieniaj się! Ewoluuuj! Przyjdź i spotkaj się ze mną tutaj, gdzie ja już istnieję, wypełniona i dojrzała! Chcę, byś we mnie wrosła!” I możliwe, że właśnie to obecne i w pełni urzeczywistnione ja unosiło się cztery lata temu nad łkającą na posadzce w łazience mężatką i może to ja szeptałam czule do ucha tej pogrążonej w rozpacz kobiecie: „Wracaj do łóżka, Liz”... Ja już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, że ostatecznie wszystko sprowadzi nas razem t u t a j . Dokładnie tutaj, dokładnie w tę chwilę, bo to jest miejsce, w którym na nią zawsze czekałam, spokojna i zadowolona.

I wtedy budzi się Felipe. Oboje drzemaliśmy z przerwami przez całe popołudnie, wtuleni w siebie na pokładzie łodzi. Słońce świeciło, ocean nas kołysał. Leżę z głową na piersi Felipe, a on mówi, że śpiąc, wpadł na pewien pomysł.

- Wiesz... jest oczywiste, że muszę mieszkać na Bali, bo z tą wyspą wiążą się moje interesy i stąd jest tak blisko do Australii, gdzie mieszkają moje dzieci. Muszę też często bywać w Brazylii, bo tam są kamienie szlachetne i moja rodzina. Jest też oczywiste, że ty musisz być w Stanach, bo tam masz pracę, rodzinę i przyjaciół. Myślałem więc sobie... może spróbujemy zbudować wspólne życie, które w jakiś sposób będzie podzielone pomiędzy Amerykę, Australię, Brazylię i Bali.

Mogę się tylko roześmiać, bo przecież... czemu n i e ? To na tyle szalone, że może się udać. Wielu pomyśli, że życie w tym stylu to absolutne wariactwo, czysta niedorzeczność, ale przecież to takie do mnie podobne. Tak właśnie należy postąpić. Nawet nie muszę oswajać się z tym pomysłem. Przyznaję, że podoba mi się też poezja tej koncepcji. W sensie dosłownym. Po roku, jaki spędziłam na odkrywaniu poszczególnych i nieustraszonych „I”, Felipe przedstawił mi całkowicie nową teorię podróŜowania.

Australia, Ameryka, Bali, Brazylia = A, A, B, B.

Nicznym klasyczny wiersz, niczym para rymujących się dwuwierszy.

Mała rybacka łódź rzuca kotwicę blisko brzegu wysepki. Nie ma tam przystani. Trzeba podwinąć nogawki, zeskoczyć z łodzi i poprzez fale brodzić do brzegu o własnych siłach. Nie ma sposobu, by nie przemoczyć się na wylot i nie zawadzić o koralowce, ale rzecz

warta jest zachodu, ponieważ plaża jest taka piękna, taka wyjątkowa. Zatem ja i mój ukochany, oboje na bosaka, przytrzymując tobołki z rzeczami na głowach, jesteśmy gotowi do zeskoku z łodzi do wody.

Wiecie, to zabawne. Jedynym romańskim językiem, jakim nie mówi Felipe, jest włoski. Nie powstrzymuje mnie to jednak i zanim skoczymy, mówię do niego:

- Attraversiamo.

Przejdźmy na drugą stronę.

Ostateczne wyrazy uznania i podziękowania

Kilka miesięcy po wyjeździe z Indonezji wróciłam tam ponownie, żeby z bliskimi mi ludźmi spędzić święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Mój samolot wylądował na Bali zaledwie dwie godziny po tym, jak tsunami niszczącą siłą zaatakowało Azję Południowo-Wschodnią. Znajomi z całego świata natychmiast się ze mną skontaktowali, zatroskani o bezpieczeństwo moich indonezyjskich przyjaciół. Wszyscy martwili się zwłaszcza o Wayan i Tutti. Tsunami jednak w żaden sposób (poza emocjonalnym) nie dotknęło Bali i wszystkich zastałam całych i zdrowych. Felipe czekał na mnie na lotnisku (ten pierwszy raz z wielu kolejnych, kiedy to mieliśmy się spotykać na różnych lotniskach). Ketut Liyer siedział na swojej werandzie, taki sam jak zawsze, przygotowywał leki i medytował. Yudhi niedawno podjął pracę gitarzysty w jakimś szycownym miejscowym hotelu i wiodło mu się dobrze. A rodzina Wayan żyła szczęśliwie w pięknym nowym domu, usytuowanym bezpiecznie z dala od wybrzeża, wysoko na ryżowych tarasach Ubud.

Z największą wdzięcznością (także w imieniu Wayan) chcę teraz podziękować wszystkim, którzy mieli finansowy udział w budowie tego domu. Są to:

Sakshi Andreozzi, Savitri Axelrod, Linda i Renee Barrera, Lisa Boone, Susan Bowen, Gary Brenner, Monica Burke i Karen Kudej, Sandie Carpenter, Davis Cashion, Anne Connell (która podobnie jak Jana Eisenberg jest mistrzynią przychodzenia na ratunek w ostatniej chwili), Mike i Mimi de Gruy, Armenia de Oliveira, Rayya Elias i Gigi Madl, Susan Freddie, Devin Friedman, Dwight Garner i Cree LeFavour, John i Carole Gilbert, Mamie Healey, Annie Hubbard i niemalże niewiarygodny Harvey Schwartz, Bob Hughes, Susan Kittenplan, Michael i Jill Knight, Brian i Linda Knopp, Deborah Lopez, Deborah Luepnitz, Craig Marks i Rene Steinke, Adam McKay i Shira Piven, Jonny i Cat Miles, Sheryl Moller, John Morse i Ross Petersen, James i Catherine Murdock (z błogosławieństwem Nicka i Mimi), José Nunes, Anne Pagliarulo, Charley Patron, Laura Platter, Peter Richmond, Toby i Beverly Robinson,

Nina Bernstein Simmons, Stefania Somare, Natalie Standiford, Stacey Steers, Darcey Steinke, trzy panie Thoreson (Nancy, Laura i panna Rebecca), Daphne Uviller, Richard Vogt, Peter i Jean Warrington, Kristen Weiner, Scott Westerfeld i Justine Larbalestier, Bill Yee i Karen Zimet.

I jeszcze jedna sprawa. Brakuje mi słów podziękowania dla moich umiłowanych wujka Terry'ego i cioci Deborah, za całą pomoc, jakiej mi udzielili podczas mojej rocznej podróży. Nazwanie tego „wsparciem technicznym” to pomniejszenie wagi ich wkładu. Oboje utkali zabezpieczającą siatkę pod moją akrobatyczną liną; bez tej siatki - całkiem po prostu - nie byłabym w stanie napisać tej książki. Nie wiem, jak im się odwdzięczyć.

Ostatecznie jednak może wszyscy powinniśmy zrezygnować z prób odwdzięczania się ludziom, którzy utrzymują nas przy życiu. Może mądrzej jest ulec tej cudownej wręcz sile ludzkiej szczodrości i tylko powtarzać dziękuję, zawsze i szczerze, tak długo jak starczy nam tchu.